

1843,

D Z I E Ł A
JÓZEFA KREMER A.

Z DODANIEM ŻYCIORYSU I ROZBIORU PRAC KREMER A
ORAZ NOTATEK UZUPEŁNIAJĄCYCH,

PRZEZ

HENRYKA STRUVEGO.

TOM IV.

LISTY Z KRAKOWA.

TOM I.

WARSZAWA.

NAKŁAD I Druk S. LEWENTALA.

Nowy - Świat, Nr 39.

—
1877.

2pB|ĩ-65 [1] [2] Dubled do m. m.
3061 9578 Museum
JÓZEF KRÉMER, M. 82 W-oy.

LISTY Z KRAKOWA.

T O M I.

WSTĘPNE ZASADY ESTETYKI

I

Dzieje artystycznej fantazyi

CZĘŚĆ PIĘRWSZA.

WARSZAWA.

NAKŁAD I Druk S. LEWENTALA.

Nowy - Świat, Nr 39.

1877.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 1 Июня 1877 года.



LISTY Z KRAKOWA.

AWOHOH YH

CZĘŚĆ PIERWSZA.

WSTĘPNE ZASADY ESTETYKI.

LIST PIERWSZY.

Wstęp.

Oznaczenie treści listów. — Stanowisko całej osnowy. — Usprawiedliwienie formy.

Kraków — w Jesieni 1841 r.

W ostatnim liście twoim, piszesz mi, drogi przyjacielu mój, że sprawy powołania twojego i codzienne zatrudnienia tak ci czas zajęły, że, mimo nawet szczerzej chęci twojej, brakłoby swobody, byś się mógł rozczytać w tém wszystkiém, czego się dorabia świat nam społeczny w dziedzinie wiedzy i umiejętności; a gdy przecież nie esteś obojętny na to wszystko, co się w świecie duchowym dzieje, więc wzywasz mnie, bym w listach moich do ciebie rozpisywał się nad jaką treścią naukową, przedstawiając ci jej obraz wedle dzisiejszego stanu umiejętności, a zarazem nie szczędził moich własnych uwag nad przedmiotem przezemnie obranym. Zapewniasz mnie, że radbyś czytał listy takowe, bo w nich znalazłbyś jakiś odpoczynek i rozerwanie umysłu znużonego sprawami powszedniemi życia, a zarazem nabrałbyś choć ogólnego wyobrażenia o stanowisku dzisiejszém jednej z nauk, które tak znacznie dziś się rozwijają. Zostawujesz mi nawet wszelką wolność, i co do wyboru samej treści i co do rozciągłości jej, ale nawzajem żądasz jedynie, abym pisując do ciebie miał nieustannie na pamięci, że choć lubisz nauki, wcale atoli nie

liczysz się z powołania do ludzi uczonych, że naukowość bynajmniej nie jest zadaniem życia twojego; a tém samém wymagasz odemnie, abym zastósował pisanie moje do usposobienia twojego. Słowem pragniesz, żeby sposób mojego wykładu mniej miał na celu ścisłość umiejętną, jak raczej aby był roztoczeniem choć w lżejszej formie ogólnych prawd, przyjętych już dziś przez celnych pracowników w pewnej gałęzi wiedzy ludzkiej.

Chętnie odpowiem tym życzeniom twoim, ale wyznaję ci otwarcie, że swoboda, którą mi nadajesz co do wyboru przedmiotu samego, niepospolitą właśnie stanowi dla mnie trudność. Jakoż uważ, iż co do samej osnowy wybór nie jest tak łatwym; bo jakże bogate jest koło wiedzy ludzkiej! pełno jest tam przedmiotów, o których z pewnością przewidzieć możesz, iż za zbliżeniem się naszym okażą nam cały urok skarbów swoich i sowito wynagrodzą łożoną dla nich pracę. Wiész dobrze, iż z umiejętnościami tak się dzieje, jak z zacnymi ludźmi, im dłużej z nimi pożyjemy i głębiej ich poznamy, tém też serdeczniej ich kochać i cenić umiemy. Nie dziw tedy, iż długo się z sobą ważyłem rozbierając pilnie naturę każdej treści, a przytém i własną nieudolność moją.

W tej wątpliwości jednak pomogło mi nakoniec i rozpatrzenie się we własnej osobie twojej; a lubo jak mi powiadasz, nie jesteś z powołania naukowym człowiekiem, widzę przecież w tobie obszerny i wszechstronnie ukształcony rozum i uczucie głębokie i trafne, będące owocem wrodzonej szlachetności duszy, a długiego nad sobą i światem myślenia; pragnę przedstawić ci tego rodzaju osnowę, co by sobą dotknęła całą treściwość rozłożystego twego umysłu i zając zdołała wszystkie strony ducha twojego.

A lubo wypadało mi przedewszystkiém policzyć się z własnymi siłami i zapytać się, czyli wystarczę przedsięwzięciu takowemu, wszakoż przeważała wszystkie wątpliwości nieskończonych dla mnie powabów myśl, iż właśnie przedmiot takowy zawiąże tysiące nitek i stosunków między twoim umysłem i moim, i że za pośrednictwem treści takowej zetknąć się zdołamy we wszystkich punktach ducha naszego. Nadzieja ta tém głębszego dla mnie nabierała znaczenia, gdyś zawsze był zdania, iż jest wielkiej wagi korzyścią dla piszącego, aby czytelnik nie sądził o nim z ułomków jego istoty, ale poznał go we wszystkich gałęziach umysłowości jego.

Wypadało mi tedy taką znaleźć treść dla pracy mojej, któraby w jednym spólnym środku zebrała całą czynność ludzką i była niby ostatecznym wypadkiem i summą życia naszego tak duchowego jak materialnego; a takowym przedmiotem są, wedle mojego zdania, *sztuki piękne*. W nich zjawiają się jakby kwiatem wszystkie pierwsiastki żyjące i pracujące od wieków w duszy człowieka, w nich obaczysz na oczy wszystką treść człowieka, ale oblaną wdziękiem nadświatnym. Jakoż w sztukach pięknych człowiek składa całego siebie, im powierza najdroższe serca swojego uczucia, i wiarę swoją

i nadzieję, i tęsknotę swoją; a co jest dla duszy dopiero jakimś jasnowidzeniem, to mistrz przeistacza na dzieło piękności; w tych to dziełach jego znajdziesz i cały dobytek prac naukowych, i prawdy z wiary płynące, i zasady z filozofii i doświadczenia czerpane; te dzieła równie wyraźnie wyjawiają nam i jasne i ciemne ludzkiego rodu chwile, i wszystkie koleje ciągle zmieniającej się historii jego, jak i dzieje Natury, toczone się od początku stworzenia przekazanem im kołem; wszystko co jeno człowieka obchodzić może i co porusza głębiny duszy jego, wszystko to wyraża się w dziełach sztuki pięknej. Dla tego też one są tym wielkiem ogniskiem, jakie Bóg świata rozpalil, i do którego chodzą grzać się wszystkie wieki i narody i wszyscy ludzie bez względu na różnice powołania, wieku, płci i położenia towarzyskiego.

Czy się zaś piękność okaże w dziełach architektury, rzeźby, malarstwa, muzyki lub poezji, zawsze one będą najpowabniejszym wieńcem żywota umysłowego, a poświęcenie im pracy swojej, tyle zaiste ma uroku, ile też i zasług.

Zamierzając sobie atoli zabrać się piórem około sztuk pięknych, daleki jestem od myśli, abym był godnym robotnikiem a sługą w tej winnicy Pańskiej; rozumiem jednak, iż świetność przedmiotu samego udzieli mi trochę poświęty swojej, i że ta drobna praca moja pożyczysz sobie od osnowy samej częśćkę jej wartości.

Wiem również, iż lubo mała liczba prac naukowych przetrwać zdoła czas swój i spłynąć puszczoną na późniejsze pokolenia, inne zaś choć toną w zapomnieniu i do imienia nawet giną w ogromnej powodzi prac ludzkich, przecież każda w swoim szczupłym zakątku i w skromnym obrębie, choćby tylko przez chwilę czasu swojego działała, nie jest zupełnie straconą i nie żyła zupełnie daremnie na świecie, i choć atomem przyczyniła się do ogólnej budowy czasów, zwłaszcza gdy była w poczciwości podjęta i w dobrej wierze odprawioną. Mogę tedy sobie rościć nadzieję, że i ta drobna robota moja stanie za grosz wdowi w wielkiej sprawie oświecenia. Bo gdy się sekundy złożą, zrodzą wieki, a ziarenka granitowego piasku wydzwigły turnie tatrzańskie.

Spodziewam się tedy, iż przed sądem twoim pobbżanie znajdę, a to tym więcej, gdy, jak wiesz dobrze, tak mało mam poprzedników w literaturze naszej (*). Jakoż ze wszystkich sztuk pięknych jedna prawie Poezya, sama jaśniejąc u nas tak pełnym, tak świetnym kwiatem, znalazła przeważne komentarze i zasłużonych prawodawców swoich (**). W tej więc stronie piśmiennictwa naszego nie

(*) Przypominam czytelnikom, że te wyrazy były pisane 12 lat temu: od tego czasu pojawiły się wielce znakomite, a nawet systematyczne dzieła o Estetyce, które zaprawdę są z bogaceniem niepospolitą literatury polskiej. (Ma tu Kremer głównie na myśli *Umnictwo piękne* Karola Libelta. St.)

(**) Od czasu napisania tych słów przez autora, rozwinęła się u nas obok poezji

jedno piękne imię świeci; przewiduję, iż tu lub owdzie zejść mi się z niemi wypadnie, a w takim razie jak jawnie i rzetelnie wypowiem, gdy sam innego będę zdania, tak nawzajem z wielkiem serca zadowoleniem będę korzystał z prawd, które inni na pewnych utwierdzili podwalinach, i choć wątle siłami przyczynię się do wzmocnienia prawdziwych wyobrażeń o piękności, które już w powszechnej literaturze stały. Myślę bowiem, że jak samo przeczenie obcych zdań może być sprawą lada czyją, tak ten duch przeczenia i ciągłego niweczenia jest iście *złym duchem*.

Z tych tedy powodów rozumiem, iż każda praca literacka winna przypierać do całej budowy społecznej jej naukowości, boć każda jest niby listkiem wyrosłym na drzewie ogólnej wiedzy swojego stulecia. Każdy zaiste człowiek jest synem wieku swojego; wiek, w którym on żyje, jest dla niego jakby planeta przekazany mu od Opatrzności na mieszkanie; z nim razem odprawia biegi koło słońca i świata wszechnicy, na nim się rodzi, żyje i kości swoje składa. Pragnąc więc, aby i ta praca moja nie była czémś zupełnie odrębnem a li o sobie stojącym, wręcz i wyraźnie pisać ci będę choć nie tak ze stanowiska, toć przecież na stanowisku społecznej nam filozofii, używając myśli jej zasadniczych za kanwę, na której roztoczę obrazy tego, czego sam doszedłem myśleniem, rozmową ze znawcami sztuki, wpatrywaniem się własnem w arcydzieła piękności, i co mi nastreczyła literatura estetyczna ostatnich lat tak bogata w znakomite badania, a nawet korzystać będę z prac mistrzów nauki w innych dzielnicach wiedzy ludzkiej, a mianowicie o ile takowe zostają w jakimś pokrewieństwie z treścią tej przedsięwziętej pracy mojej.

Nie tracąc zatem osobistej niezawisłości, będę korzystał z dzisiejszego stanu literatury, a tak stając na pracach poprzedników zachowam też własne piętno moje. Albowiem jak pomijanie dobytków umiejętnego świata i chętką rozpoczynania nauki od siebie, jest bezwątpienia zarozumiałością i śmiesznem zuchwalstwem, tak i wyrzeczenie się własnego ugruntowanego przekonania jest rzeczą niegodną myślącego człowieka.

Tak już będącemu z samym sobą w zgodzie względem treści mojej, chodziłoby mi jeszcze o formę dla tej treści; lecz ty sam szczęśliwym instynktem wiedziony nastreczyłeś mi formę *listów*. Jestem wprowadzie przekonany, iż praca systematyczna, a będąca niby całością organiczną i plastyczną w sobie, byłaby iście najgodniejszym kształtem dla zamierzonej osnowy mojej, ale widzę równie, iż forma takowa ani mnie ani tobie nie byłaby na rękę. Pismo bowiem tego rodzaju z góry zaraz wymaga osobnego zakroju swojego, aby samo

i sztuka plastyczna. Świetne stanowisko, jakie *malarstwo polskie* w sztuce europejskiej zajęło, powszechnie jest znanem; a *rzeźba* także daje pocieszające dowody nowego, ożywczego tchnienia, lubo dotąd swego *Matejki* jeszcze nie znał. (St.)

poczucie, pochod dalszy i ukończenie, stworzone niby jednym odlewem, składało się jakby w posąg pełny w sobie harmonii i co do treści i co do umiejętności wykładu. Aby zaś pokusić się o doskonałość takową, trzeba być bardzo pewnym sił swoich, i naprzód wiedzieć, iż się ją ukończyć zdoła; gdy tymczasem przewidzieć się nie da, czy ty zajęty sprawami codziennego życia będziesz zawsze miał sposobność potemu, byś ściśle poszedł za wątkiem osnowy takowej, i jak długo ona będzie godną uwagi twojej; również i ja, mogąc jedynie na dorywku pisać, nie wiem czyli będę miał zawsze dość swobody i siły potemu. Jak ty bowiem spodziewasz się znaleźć w tej pracy mojej rozerwanie umysłu, tak i ja w niej szukam ochłody i orzeźwienia myśli z powszedniego zatrudnienia; książka zaś systematyczna byłaby i dla ciebie i dla mnie pełną grozy pracą. Zresztą sam wiesz, jak trudno utrzymać jedność harmonijną w samej zewnętrznej formie, i jak wielce wykład zawisł od chwilowego natchnienia i rozmaitej życia pogody.

Z tych wszystkich powodów przeto zgadzam się zupełnie na formę listów; z czego obiecuję sobie jeszcze inne mnogie a dla mnie bardzo ważne dogodności, bo nie tylko otworzy się miła dla mnie sposobność częstych z tobą stosunków, ale też będę mógł pisywać do ciebie w każdej chwili i pod różnym nastrojeniem umysłu; nie zawadzi bowiem choćby i każdy list miał inną barwę swoją. Nadto forma listów nadaje mi prawo skreślenia ci wprost, co mi przy sposobności myśl i serce pod pióro przyniesie, a nie spuszczając z oka głównego celu mojego, będę mógł czynić wycieczki w przedmioty będące w związku ze sztukami pięknymi; tym sposobem zdołam wedle upodobania tak długo rozwijać rzecz całą, póki tobie do czytania ochoty a mnie do pisania swobody nie zabraknie.

Nie oznaczam ci też dla tego liczby listów moich, może ich będzie bardzo długi szereg, może ich liczba będzie bardzo szczupła; ilekolwiek zaś nakreślę, zawsze złożą jakąś całość ukończoną w sobie, a zaczynając od najogólniejszych zasad teorii, zapuszcze się w coraz bliższe szczegóły sztuki całej. Unikając rozrywania materii, postaram się aby każda ważniejsza osnowa całkowicie, ile możliwości, w jednym liście objętą była; będą tedy listy nierównej obszerności, a obojętną jest rzeczą, choćbym niekiedy i przestąpił miarę właściwą listom zwyczajnym.

Otóż widzisz cały zamysł mój; upraszam tylko, abyś sobie nie robił zbyt pochlebnych dla mnie nadziei. Jeżeli zaś te listy upodobanie twoje zjednać sobie zdołają, toż zechciej z twej strony wyjawić zdanie swoje o mej pracy. Wiem iż w końcu zawsze się zgodzimy; boć tak najczęściej bywa, jeżeli różność zdania pochodzi ze szczerzego zamiłowania prawdy, nie zaś z chęci pustej utrzymania się przy swoim, a spór pocziwie i w dobrej wierze wiedziony, kończy się zawsze z korzyścią dla rzeczy samej i z podwyższonem poważaniem wzajemnem.

LIST DRUGI.

Ogólny widok na sztukę.

Stosunek dzisiejszego społeczeństwa do potęg natury. — Zjawiska nam społeczne, dowodzące budzącej się miłości do sztuki. — Zasmakowanie w sztukach pięknych jest oznaką uduchowienia się czasu. — Sztuka ma cel swój sama w sobie. — Sztuka jest ogniwem łączącym świat duchowy z cielesnym. — Historia sztuki jest obrazem rozwijania się duchowej potęgi ludzkiego rodu. — W świecie chrześcijańskim sztuka straciła wagę swoją.

Wśród zgiełku codziennego życia, wśród kłopotów i kłopotków powszednich, i zabiegów, i wrzawy świata, bieży nam czas cały i wiek nasz. Niby falą płynie trud za trudem, praca ściga pracę, a wśród tego zamętu i hałasu nie dosłyszysz i wołania wyższej natury człowieczej i szlachetniejszej istoty swojej. Niekiedy atoli odezwie się w głębiach piersi znienacka ten głos, tak silnie, tak potężnie i cudownie zarazem, że już umilkną w duszy wszystkie niskie chęci i pragnienia, i pierzchną niby mgły nocne przed wschodzącą jutrzeńką. Wtedy nieśmiertelna istota ducha naszego, dawno zapomniana, znów zadzwoni niby pieśnią anielską i obudzi chęci, uczucia i myśli do innéj należące dziedziny. Rzekłbyś, że matka, dawno zmarła, nawiedziła w szarą godzinę tęsknącą sierotę; bo chwile takowe uświęcają nas do wyższego powołania i wzywają, byśmy wstąpili w głąb siebie i zbadali do dna wiekiustą istotę naszą.

Zaprawdę, i narody całe, i stulecia, i części świata takie mają chwile, taką stronę żywota swojego. Patrz na naszą mądrą i doświadczoną Europę, zdawałoby się zrazu, iż rękodzieła, papiery, handel, przemysł, weksle, kredyt, koleje żelazne, para, banki i roje corocznych a coraz świetniejszych wynalazków, przygłuszyły wszelkie życie duchowe; że wśród hałasu tego, wśród gonitw niezmordowanych za zarobkiem, przepomniano o wyższych celach człowieczej istoty. Jeżeli zaś głębiej zapuścisz oczy w ten żywot społecznego nam towarzystwa, wyświeci się jasno, iż właśnie podniesienie materialnego bytu jest potężną pobudką umysłowego przebudzenia; a jeżeli jest prawdą niezaprzeczoną i starą jak świat, iż jedynie w zdrowém i silném ciele silna téż i potężna dusza przemieszkująca może, natenczas nie podlega wątpieniu, iż ułatwienie w zaspakajaniu potrzeb cielesnych, jest warunkiem koniecznym zwrócenia myśli do nadmysłowych rzeczy.

Przemysł materialny jest ciałem społeczności umysłowej. Dowodem tego jest przeszłość cała. Marzenia tysiącoletnie staréj Azji, dzieje poranne człowieka w Grecyi, i prace harde i pełne majestatu dawnego Rzymu, i wysilenia następnych dziesięciu wieków płowieją

w obliczu dziwów obecnego nam świata. Bo jeżeli niegdyś człowiek, pasując się z sobą i żywiołami, pełnym boleści mozołem pracując ciężko na to życie swoje, nie miał ani siły po temu, ani swobody, by się wzniosł ku wiekiustemu pochodzeniu ducha i wypiaستował niebiański pierwiastek jego; dziś już we wieńcu swych cierpień i chwaly ociera czoło krwawym znojem złane, widzi, że nowe zaranie dnia nad przyszłością jego; żywioły poddały mu się w panowanie, zaprzęgly się na jego miejsce, pracują na niego. A nabral tym potężniejszego hartu, gdy dawna walka z potęgami natury wyćwiczyła siły jego, wzmocniła ducha i wyrobiła go w sobie. Gdy zaś najgłówniejszym warunkiem fizycznego świata jest przestrzeń, bo każda rzecz materialna miejsce jakieś sobą zajmować musi, więc też przestrzeń była najpotężniejszym oporem, który ten świat materialny stawiał dotychczas zwycięztwom umysłowym człowieka. Ale dziś ta trudność przemożona. Para uskrzydła podróż, morzem i lądem zniesione oddalenie, wielka społeczność ludzi, rozstrzelona w kraje osobne i dzielnice świata, rozdrobiona w ludy daleko od siebie mieszkające, czuje się być znienacka zbliżona do siebie; miasta, rozsypane na setki mil, już sąsiadować z sobą będą, a za handlem rzeczy materialnych trop w trop pójdzie zamiana najkosztowniejszego towaru, bo udzielanie i nabywanie wzajemne pojęć i cywilizacyi umysłowej. Niebawem tedy ród ludzki będzie miał za wspólny dom swój Ziemię całą, a za ojca jedynego Boga na niebie, a tak zaiste spełnią się obietnice najpiękniejsze i zwiastowania Chrześcijaństwa na świecie.

Nie dziw tedy, iż przy wzmożeniu się potęgi materialnej ludzi, wśród wartkich łoskotów przemysłu, będzie korzystać koniecznie i część umysłowa człowieka, i rychlej lub później zajmie godne siebie stanowisko. Bo nawet, im głośniejsza zewnętrzna wrzawa i ruchawsze zabiegi świata, tym też silniejsza potrzeba schowania się w siebie i otulenia się sobą samym. Tej prawdy dowodzą zjawiska, które się wszędzie czuć dają. Pomijając już owe ciche ale liczne prace rodzące się w samotnej izbie uczonych, i umiejętności po Akademjach, co z katedr dla szczupłej liczby wybrańców płyną; nie wspominając już o mnóstwie dzieł, co choć może nie zawsze głębokiem ale zaiste coraz przystępniejszym dla wszystkich korytem wylewa się na świat, wspomnę o jednej tylko oznace silnie ocknionej dążności umysłowej: jest to owo wszędzie dostrzedz się dające zasmakowanie publiczności europejskiej w rozkoszach sztuk pięknych. Były wprawdzie wieki słynące wielkimi mistrzami w pewnej gałęzi sztuk, na których stulecie nasze zdobyć się nie może, a przecież od czasów stariej Grecyi nigdy wielka publiczność nie zajmowała się więcej estetycznym wykształceniem jak dziś. Nasz wiek nie dałby umrzeć Cerwantesowi z głodu, ani Tasso nie byłby zmuszony, jak niegdyś, pożyczyć sobie w Paryżu talara jednego, ani Coreggio umarłby pod ciężarem miedzi zapłaconej mu za arcydzieło jego; a da-

wneż to czasy, gdy Schiller, chirurg batalionowy, mdlał w lesie z nędzy i czczości?

Dziś prawdziwy geniusz dorobi się zawsze wieńców i nagrody należnej, bo podstawa jego szczęścia i chwały jest szeroka, bo nią jest ukształcenie i sąd publiczności całej; już dziś dla artystów nie ma owego dawnego znaczenia łaska lub protekcyja osób przeważnych, zawsze niepewna i chwiejąca się. W naszych czasach nie mają się o co troszczyć Vernety, Lipińscy, Suchodolscy, Thorwaldseny; żadna więcej nielaska lub intryga nie podkopie ich sławy, ani przyszłości nie roztrąci. Wszystkie prawdziwe talenta do uznania swojego przychodzą.

Powiesz może, iż zajmowanie się publiczności sztuką piękną, dowodzi raczej powierzchownego lubownictwa niż znawstwa, że wśród tłumu powołanych mała liczba odbiera święcenie na kapłaństwo do świątnicy sztuki, że u większej części sztuka piękna zastępuje jedynie miejsce zabawy, lub służy próżnej chęci wystawności. Nie chcę temu przeczyć; niechaj się atoli święci czas taki, kiedy już szlachetniejsze rozkosze choćby dla zabawy poszukiwane będą; niechaj się, powiadam, święci czas taki, w którym wystawność i zamkniętość domu okazuje się raczej kosztownym posagiem, cudnej piękności obrazem, lub smacznie budowanym domem, niżeli, jak to dawniej bywało, tłuszcza służby próżnującej lub szarańczą pasibrzuchów. Zbytek okazujący się w dziejach piękności jest zbytkiem ze wszystkich najszlachetniejszym.

Już to nawet i Schiller powiedział, iż łatwiej poznasz, czém kto jest i co wart, z tego, jak się bawi, jak z tego nad czém pracuje. I bardzo słuszne wedle mnie jest to orzeczenie, gdyż najczęściej każdy pracuje, bo musi, a zawsze bawi się, jak chce. Świątem uroczystym dla Grecyi były igrzyska; tam obok siły i zwinności cielesnej okazywano potęgę i zwinność umysłową. W obliczu całego zgromadzonego ludu, wieszcz uderzywszy w lutnie śpiewali pieśni swoje bogom i wielkim ludziom na cześć; historycy czytali dzieje, pełne chwały ludu, który ich słuchał, a lud ten dawał im oklaski i wieńce. Przeciwnie w onym Rzymie trzeba było mordów i rzezi na krwawej Arenie, by zabawić naród, co się panem świata uczynił. Hiszpanów, owych katów całych ludów Ameryki, rozkoszą jest walka z rozjuszonym bykiem. W średnich wiekach nie zawsze skręcano sobie karki na turniejach dla rozrywki, ale znano i inne rozkosze; dość ci będzie przypomnieć Truwerów, Minstrelów, Minnesengerów, i owe *Jeux floraux* i *Corte d'amore*, których ślady w Tuluzie do dni naszych się przechowały. Otóż każdy wiek i naród ma swoje smaki będące piętnem jego. Nigdzie tak dobitnie, jak przy zabawie, nie odróżnisz barbarzyńca od ukształconego człowieka.

Mógłbym ci zaiste przytoczyć wiele zjawisk, będących dowodem, że w czasie nam społecznym, kłuje się zewsząd miłość do sztuki pięknej. Nie rozwodzę się nad tak świetnym, a może nawet i prze-

sadnem powodzeniem po świecie mistrzów muzykalnych, ani nawet nad wychowaniem dzisiejszém, w którym zwykle za ważny pierwiastek uchodzi nauka muzyki i rysunku; nie będę ci téż mówił o wystawach publicznych rzeźb i obrazów, ani o licznych już stowarzyszeniach w celu opiekowania się sztuką piękną, a szerzących tak szczęśliwie wśród samej publiczności zajęcie się dziełami sztuki; pomijam już te wszystkie tak ważne oznaki, bo lubo one, jak i inne podobne im sprawy, mają wielkie znaczenie swoje, uważam atoli, że daleko silniejszą wróżbą ocknienia się powszechnego zmysłu dla sztuki, jest kilka innych pojavów, będących tak charakterystyczną cechą naszych czasów. Pod tym względem zwracam baczność twoją na chęć tak wyrazistą upiększenia natury, która, w około otaczając człowieka, jest jakby ciałem każdego narodu. Teraz po wielu stronach Europy, mianowicie w Niemczech, zawiązały się stowarzyszenia i komitety, mające, jak same orzekły, na celu „upiększenie ojczyzny swojej”. Więc pomagają naturze własnego kraju. Komitety wybrane z ludzi kochających ziemię ojczystą a z estetycznym wykształceniem, zajmują się stworzeniem pięknych, naturalnych pejzażów; więc stroją w kwiaty, w krzewy miejsca jałowe, ułatwiają przystęp do widoków pięknych, sprowadzają stare drzewa, by ubrać brzegi jakiegoś jeziora lub rzeki, opiekują się biegiem potoków, budowaniem zgrabnych mostków, torują ścieżki wdzięcznym zakrętem, zakładają chodniki, przeistaczają pustkowia, cierniem i chwastem zarosłe, na łąki lub gaje i t. d. Ale trudno wyliczyć tutaj te wszystkie prace, które niby tak drobne a przecież zmieniają fizyognomię całej okolicy, przeistaczając ją na pejzaż jakby idealny, który tém jest wdzięczniejszy, że rzeczywiste parki, założone koło miast, dworów i pałaców wiejskich, nie kończą się zmagłą, znienacka, ale zwolna i niepostrzeżenie przechodzą w pejzaż przyrodzony kraju. Wyznasz, że to staranie około piękności ziemi ojczystej nagradza się już samo przez się użytkiem rzetelnym, który na mieszkańców spływa; ale nadto te wdzięki, nadane ziemi ojczystej, uszlachetniają i człowieka, mieszkającego wśród uszlachetnionej natury.

Zwracam jeszcze teraz uwagę twoją na zjawisko, równie ważne, bo na owe wystawy po krajach europejskich, w których, obok wyrobów przemysłowych, umieszczone są dzieła sztuki właściwej. Rzemieślnik, rękodzielnik, fabrykant, przypatrując się pracom własnego powołania, widzi zarazem dzieła artystyczne, a tak uczucie piękności form, choćby nawet bez wiedzy jego, przenika w duszę jego, i w nią rozpoczyna magiczne pracowanie swoje. Tym trybem, choć zwolna i niepostrzeżenie, roboty ślusarskie, garncarskie, złotnicze, kotlarskie, stolarszczyzna i kamieniarka nabierają form wdzięcznych, artystycznych. Coraz przeto silniej a silniej rodzi się chęć do ornamentyki, czyli do sztuki umiejacej stroić i zdobić narzędzia, sprzęty, wprost do powszedniego użytku, do potrzeb codziennych przeznaczone. Ta sztuka zdobiąca, lubo tutaj jest tylko przydatkiem, lubo

tedy nie istnieje jeszcze dla siebie i o sobie, lubo nie jest usamowolnioną i *wyzwoloną*, lubo dopiero jest sztuką nadobną, toć przecież jest jakby ogniwnem pośredniem między prostem rzemiosłem a sztuką właściwą. Obejdzie się podobno bez długich rozpraw nad głębokiem znaczeniem tego kierunku przemysłu i rękodziel; nie potrzeba zaiste szerokich wywodów, by wyświecić wpływ, jaki ten kierunek wywiera i na wyrabiających te przedmioty, i na tych, którzy je kupują dla użytku swojego. Jakoż praca tego rodzaju około rzemiosła uszlachetnia się i uzacnia, a tém samém, nabierając coraz wyższego duchowego znaczenia, uzacnia i tych, którzy się nią trudnią, a tak co piękne i urocze wnika w wielką część pracującego ludu. Bo jak piękność form wykształca i podnosi uczucia, tak praca rąk nabiera wyższego znaczenia, a na krwawy trud rzemieślnika spływa uświęcenie z góry. Granice, dotychczas wydátne, a niby nie przebyte między rzemiosłem a sztuką właściwą, łagodnieją; a zatem i przejście z warsztatu do pracowni artystycznej łatwiejsze; majster przeistoczyć się może na mistrza! Przypominam ci Wieki Średnie, gdy i artyści składali cechy swoje, podobnie jak rzemiosła, w tych czasach téż niejeden rękodzielnik przeszedł na artystę (np. Benvenuto Cellini, Piotr Vicher). Przywiedź sobie na pamięć wyroby z owych czasów: te klucze zdobne, okucia, zamki misterne, artystyczne, te stare prasy, szafy, w snycerstwo ubrane, lichtarze, dzwonki, dzbany, puławy, zbroje bogato wyrabiane, te kamienne odrzwia w gałęzie i kwiaty, hafty na szatach i t. d. Wszak dziś, mimo wyraźnej dążności do form estetycznych, wiele nam jeszcze brakuje, zanim wyrównamy średnim wiekom, pod względem użycia form i kolorów. Przypatrz się sukniom naszym, czyliż może być coś szpetniejszego jak te ubiory nasze! do czego podobne te ich barwy! im suknio mniej podobnem do jakiegoś koloru, więc im brudniejsza jego farba, tém modniejsze. Trzeba wyznać, iż i pod tym względem kobiety wyższe są od nas szczęśliwym instynktem swoim i co do formy, i co do barwy stroju swojego.

Z drugiej strony i ci, dla których się wyrabiają tak artystyczne sprzęty, zyskują niezmiernie wiele. Zważ bowiem, że sama kosztowność materiału (np. złota, srebra, palisandru, hebanu) bez artystycznych form, jak jest dowodem zamożności domu, tak zarazem jest smutnem świadectwem barbarzyństwa właściciela. Wyznaj, że to życie nasze powszednie tak zwykle bywa biedne i prozaiczne, że się trzeba bronić całemi siłami od suchot duchowych, od zjałowienia serca i fantazyi; prawda, że do tego celu niepomalu pomagają i muzyka w domu, kilka dobrych obrazów na ścianie, kilka książek i może ogródek, a choćby nawet doniczki z kwiatami na oknie; ale przecież forma estetyczna sprzętów, które nas w około otaczają, których codziennie używamy, wpływa daleko jeszcze silniej choć nieznacznie na całe usposobienie psychologiczne nasze. Patrzymy, jakże wiele potrzeb cielesnych jest nam spólnych ze zwierzętami! Wy-

pada nam tedy koniecznie jakoś się uwolnić od tej spólności z jęstetwami bezrozumnymi, wypada nam zaspokojenie tych potrzeb jakoś uduchownić, zidealizować; a to się dzieje w części przez nadanie formy estetycznej sprzętom, narzędziom, których używamy właśnie przy zaspokojeniu tych potrzeb zmysłowych. Możemy się pochwalić, żeśmy się nauczyli już wiele w tym względzie od starożytnego świata; wyraźnie już widać, że nie darmo patrzymy się na owe przesliczne formy lamp, wazonów, puharów, samowarów wykopanych w Herkulanum i Pompei (*).

A prawić o oznakach wrozących rozbudzenie się miłości do sztuk pięknych, czyliż można pominąć zewsząd już klujące się prace literackie, mające sztuki piękne za przedmiot swój; a mówiąc o takich pisarzach, czyliż można przemilczyć o ogromnych zasługach *M. Grabowskiego* i *Kraszewskiego*? Obaj ci zacni ludzie nie tylko słowem ale czynem, nie tylko teorią ale praktycznym jej zastosowaniem tyle już okazali dobrego, że patrząc na ich usiłowania każdy człek pocziwy całęm sercem zawoła: szczęść wam Boże na tej drodze! A gdy (o częm nie wątpię) czynność ich i staranie wywarły najszczęśliwsze skutki na koło, do którego stanęli w osobistych stosunkach, tak znów ich pisma rozechodzą się w najdalszą dal przenikając wszystkie warstwy czytelników. Ta siejba uczciwa pewno nie przeminie bez bogatego plonu. Uprzedzam cię, że być może, iż przeczytawszy np. *Grabowskiego* pisma, znajdziesz niekiedy zdania, co niezupełnie okażą się w zgodzie ze zdaniami, które tu i owdzie znajdziesz w tych listach moich. Aleć to nie wiele zawadzi, bo też nie mogę mieć pretensyi, abyśmy już wszyscy jednemi i temi samemi oczyma zapatrywali się na rzeczy; nie ma też nic nudniejszego jak jednostajność zdań; onaby dowodziła raczej strupienia umysłów, a nie życia rozwijającego się w całej pełni swojej. Różność stanowiska pokazując rzecz z różnych stron nie zaszkodzi nigdy, a byle każdy sumiennie imał się pracy i wedle sił swoich, ile tylko może najlepiej uiszczał się z roboty wziętej na siebie, toć pewno błogosławieństwa mu nie zabraknie, a praca jego nie pójdzie na niwecz. A obok *Kraszewskiego* i *Grabowskiego* godzi się też uczciwie i z poważaniem wspomnieć o *Rastawieckim* i *Przeddzieckim*, tudzież o innych szanownych pracownikach, którzy w ostatnich latach tak szczęśliwie zajęli się w różnych kierunkach robotą około sztuki pięknej!

Witajmy tedy z całęm sercem czas podający na miejsce grubych wesołości sztuki piękne. Przy wyraźnej dążności świata do ukształcenia i uduchowienia istoty swojej, spodziewać się też należy, iż

(*) W muzeum burbońskim w Neapolu pokazują nam samowar znaleziony w gruzach pompejańskich, podobny z kształtu do samowarów naszych (z kominem), ale forma jego nierównie estetyczniejsza, strojna i zdobna.

i u nas znikać zaczęły owe zabawy barbarzyńskie, wpływające niby z potrzeby nastrojenia nerwów i napięcia umysłu, a szafujące minutami i godzinami jakby zdawkową monetą życia. Co aby się jak najrychlej stało, daj Boże!

Zasmakowanie w sztukach pięknych jest zawsze wróżbą uduchowienia się czasu i pierwszym szczeblem poznania najwyższych prawd, bo sztuki piękne dopiero przez zmysły na nas działają. Porusza cię rzeźba, obraz, budowanie; toć przecież to są rzeczy, co twój wzrok, co zmysły uderzają, a przez tę zmysłową formę świeci istota duchowa. Oczyma posągu lub obrazu spogląda na nas świat nadzmysłowy; architektura, ciosami i cegłą cuda sprawiając, jakby pieśnią przejmując duszę; wszak i tony muzyki są brzmieniem zmysłowem, bo do słuchu zmierzonym; ale harmonia, ale melodia, którą się tony te wiążą, zrodziły się w głębiach duchownych i do ducha płyną; a cóż dopiero rzec o poezji, co potęgą wyobraźni i czarem języka łączy w sobie urok wszystkich sztuk zarazem. Sztuki odziewają prawdy żywotne piękności szatą. A co nam filozofia podaje w trudnych i jedynie abstrakcją dościgłych rozumowaniach, sztuki piękne tchem swęj potęgi przetwarzają na ciepłe i pełne życia istoty. Ztąd Göthe gdzieś powiada, że prawdy zstąpiły nagie z nieba na ziemię, a sztuki sprawiły im sukienki. Lecz z tego wszystkiego już poznać możesz, że w każdym dziele sztuki dwa zaiste różne schodzą się pierwiastki: jeden zmysłowy, materialny, drugi duchowy, będący prawdą nieskończoną. Pierwszy dla zmysłów przystępny, drugi tylko dla samego ducha widza lub słuchacza istnieje. Pojmowanie takowe istoty sztuki jest główną piastą całego przyszłego rozumowania naszego, a dostatecznie później udowodnionem zostanie.

Jeżeli więc w życiu całego naszego rodu piękność jest tak wielkiej wagi pierwiastkiem, warto, byśmy też całą myślą naszą zanurzyli się w ten świat i poznali najskrytsze tajemnice jego. Zanim atoli zapuścimy się w ten bliższy rozbiór przedmiotu naszego, przedewszystkiem radbym jedynie w tej chwili uprzątnąć niektóre wątpliwości, jakieby ci się zrazu nasunąć mogły. Potrzeba żebyśmy je na wstępie samym z siebie zrzucili, niby juki dalszy pochod nasz opóźniając.

Powyżej rzekłem, że dwa są pierwiastki w dziele sztuki, że w sztuce duch, prawda nieskończona, wciela się w postać zmysłową, i że dlatego właśnie piękność artystyczna jest pierwszą nauczycielką człowieka, roztwierając mu państwo duchowe i objawiając mu prawdy najwyższe. Być atoli może, że się łatwo nie zgodzisz na samo wyobrażenie takowe o piękności i powiesz, że przecież daleko prostszą drogą do nauczania prawdy jest gołe rozumowanie, nieodziane w żaden przystroj, że ono rychlej do celu doprowadzi i wyraźniej nam wskazuje, o co w życiu istotnie chodzi, niż wszelkie piękności dzieła, w których niekiedy i bardzo trudno dopatrzeć się prawdy; że sama prawda nie z urody lecz z prawdy się rodzi, bo człowiek nie

pieszczotami piękności, ale cierpką pracą dokupuje się przekonania swojego; słowem, że sztuki nie są wcale właściwym środkiem do celu. Otóż ten zarzut nie tylko tobie ale każdemu zrazu mimowolnie do myśli przyjdzie, skoro wspomni o wielkiem znaczeniu piękności.

Lecz ten zarzut byłby wtedy zupełnie słusznym, gdybym twierdził, jakoby nauczanie prawd najwyższych było celem sztuk pięknych, bo w takim razie nauka ścisła, umiejętność gruntowna mogłaby zaiste zastąpić sztuki i byłaby daleko właściwszym środkiem do celu. Obaczmy już w inném miejscu dokładniej, że oswojenie człowieka z prawdą nieskończoną, wiekuistą, jest zaprawdę skutkiem sztuk pięknych, spływającym na umysł nasz, lecz nie jest ich celem.

Odrzuć przedewszystkiém myśl, jakoby sztuka piękna miała jakieś cele krom siebie, i jakoby była jedynie środkiem do osiągnięcia jakiegoś dobra, będącego czém inném jak pięknoscią. Sztuka ma cel swój sama w sobie, sobie samą jest celem i końcem, do którego zmierza. Tak jak i wszystkie prawdy niczyją nie są służebnicą, ani środkiem do osiągnięcia obcych im celów, lecz same z siebie mają wagę i znaczenie swoje. Czyliż cnota, dlatego jedynie ma wartość wysoką, iż zdradza wewnętrzny duszy pokój, że jest podwaliną towarzyskiej budowy i źródłem szczęśliwości człowieczego rodu? Czyliż najwyższym celem wychowania młodzieńca jest to, aby się, jak mówią, dobrze wydał w towarzystwie, zaradzał sobie w przyszłości w każdej potrzebie i znalazł w naukach sposób dalszego utrzymania swojego?

Czyliż prawdy matematyczne dlatego istnieją, aby służyły za ćwiczenie gimnastyczne rozumowi i miały zastosowanie w miernictwie, astronomii i przemyśle? Ktoby tego był zdania, mógłby równém prawem powiedzieć, iż miliony gorejących światów na niebie jedynie dlatego są stworzone, by nam ustroić i rozświecić ciemność nocy, by namiot niebieski rozbity nad ziemią wyszyć gromadami gwiazd błyszczących, na ozdobę mieszkania naszego. My mieszkańcy na tej drobnej ziemi mieliśmy istotnie takie zarożumienie o sobie, bo podobni do źle wychowanego dziecięcia, mniemaliśmy, iż wszystko dla naszej zabawy i pożytku jest stworzoném; a nawet aż do Kopernika świat mniemał, iż te tłumy ciał niebieskich, wraz z naszym słońcem, pędzą kołowrotem koło ziemi naszej, jakoby około środka i pani swojej; a było to nawet bardzo szczęśliwie, że gwiazdy tak są wysoko zawieszone, bylibyśmy może ich się napaarli, by się z niemi pobawić i popsuć je w końcu. Zaledwie już mędrkowie się nie pytali, dlaczego zamiast owych gwiazd nie mamy kilku księżyców ziemi dodanych, boćby przecież piękniej nam noc oświeciły i bogaciej nam ustroiły niebo, niż owe słońce miryady, których małą tylko częścią gołym okiem dojrzyć można, a których nieskończonej

chmury choćby najlepszym teleskopem człowiek na wieki nie dostrzeże.

Do podobnie krzywych rezultatów prowadzi fałszywe stanowisko i krótkowzrokie zapatrywanie się na rzeczy. Bo jako kwiat na iglicy niedostępnych Alpów, dyszy zapachem i świeci barwą, choć niewidziany nigdy od oka ludzkiego, kwitnąć jedynie Bogu samemu na chwałę, tak i gwiazdy mają cel swój w sobie, i dla siebie są stworzone, a nie służą naszej drobnej ziemi. Co innego zapewne jest twierdzić, iż gwiazdy stroją niebo nasze, a co innego, iż one dla samej ozdoby tylko istnieją. Podobnie i zasady matematyczne są i były prawdą, choćby i nie było rodu ludzkiego, któryby je poznał; mimo to nie przeczę, że matematyka jest bezwątpienia ważnym wielce środkiem pedagogicznym do wychowania młodzieży, i że jako środek ma cel niby po za granicą własną, bo tym celem jest głównie wyćwiczenie abstrakcyjne myśli młodzieńca. Zresztą któżby zaprzeczył ważne wielce przysługi, które przyniosła matematyka innym umiejętnościom, a mianowicie życiu społecznemu w zastosowaniu technicznym swoim!

Gdy zaś już same przedmioty natury (np. kwiaty, gwiazdy) lub nauki mające właściwy sobie, więc ograniczony zakres (np. matematyka) nie mogą być wyłącznie uważane za środek do jakiegoś celu, coś dopiero rzecz o prawdach wiekuistych, nieskończonych! One właśnie dla tego są, bo są. Wszak cnota jest prawdą wiekuistą, o sobie stojącą, bez względu na skutki zbawienne z niej płynące; człowiek powinien być zacnym i pocziwym, dlatego że jest człowiekiem. Tak i sztuka piękna, dlatego stoi sama o sobie, dlatego ma cel sama w sobie, że w niej tkwi pierwiastek wiekuistości, a człowiek tworzy dzieła sztuki, bo duch jego jest wiekuistym. Gdyby potrzeba jeszcze dowodów o nieśmiertelności ducha ludzkiego, możnaby rozpocząć również wywody takowe od jego potęgi stwarzającej piękności i od upodobania, którego doznajemy patrząc się na dzieła takowe przez mistrzów stworzone. Ta bowiem twórczość i to upodobanie rodzi się z potrzeby oglądania wiekuistości, choć odzianej jeszcze materją; a ta potrzeba, ta tęsknota właśnie dlatego w nas przebywa, iż wiekuistość żyje w duchu naszym, że on sam jest nieśmiertelnym.

Jeżeli zaś sztuki piękne są jedynie środkiem do czegoś innego, słowem jeżeli wchodzą w obcy sobie zakres, jak to widzimy, iż malarstwo, rzeźba, architektura, zdobi sprzęty domowe, stroi ogrody, szaty, łącząc się ze stolarszczyzną, haftami, strojem mieszkań i t. d. toć wtedy przestaje być sztuką istotną, o której mówię, ale jest jedynie sztuką zdobną, nadobną, jest przystrojem. Przecież my tu jedynie o sztuce wyzwolonej, to jest usamowolnionej od wszelkich pobocznych celów rozprawiać mamy.

Jeżeli tedy, jakeśmy wyżej powiedzieli, sztuka piękna wyraża prawdę we formie zmysłowej, przystępnej dla wzroku i słuchu, toć już widzisz, iż ona, służąc do uzmysłowienia prawdy, sama sobie

służy i siebie samą ma za cel, bo ona sama jest prawdą, ale wyjaśnioną w sposób materyalny; jest ona jednym z kształtów, który prawda na siebie przybiera; tak np. znów filozofia jest również prawdą, ale już we formie bezbarwnego rozumowania. W niej duch świeci bez pośrednictwa materii i zmysłów, świeci czystym wieczności promieniem i przemawia wprost o sobie i o wielkiem przeznaczeniu człowieka. Sztuka piękna zaś, łącząc świat cielesny z wieki-
stym, jest pośrednicą między niebem i ziemią; opuściła dla nas rajska dziedzinę, a przywdziawszy na się cielesność śmiertelną, dzieli z nam i znikomość i biedy nasze by nas w czarnych pocieszyć chwilach, zabawić swojemi kwiatami, i przytulić do siebie niby dziecię płaczące. Gdy atoli świat zmysłowy łatwiejszy jest do pojęcia niż czysto rozumowy, więc też sztuka piękna wcześniej była nauczycielką ludzi niż filozofia.

Nim się ród ludzki mocą rozumu dobił prawd o niebie i ziemi, o życiu i śmierci, o wieczności i naturze, wcześniej o nich zamarzył, ucząc się czytać z dzieł piękności jakby z książki obrazkowej, w nich przeczuwając wielkie przeznaczenie swoje. Dlatego też poeci, wieszcz, bardy byli pierwszymi nauczycielami narodów, tudzież pierwszymi ich kapłanami i filozofami.

Od wieków sztuka, religia i filozofia w ścisłym z sobą były związku, rosnąc na wspólnym sobie gruncie prawdy. A że pojmowanie różne prawdy i różny sposób jej uzmysłowienia wynika z najgłębszej duszy świątynicy i z całej treści człowieka, więc też historia sztuki jest wiernym obrazem owej wewnętrznej historii rodu ludzkiego.

Jeżeli cały ród człowieczy, co od wieków niepowrotnie płynie niby rzeką do wieczności morza, uważać będziesz za jedną osobę, znajdziesz to samo pracowanie się jego nad sobą, te wolne ale pewne postępy rozwijania się duchowego, co w pojedynczym człowieku. Tu jedna tylko zachodzi różnica, iż ród ludzki nie umiera nigdy; a choć i on ma mroźne i głuche zimy i długie nocy swoje, co szeregiem wieków jakby grobem przywalają świat, aleć gdy otrętwienie śmiertelne przemienie, doczeka się znów wiosny swojej, a każda wiosna silniejsza i piękniejsza cudniejszym buja liściem, i nową świetniejszą epokę w historii rozpoczyna. Każda epoka odradza się nowym pierwiastkiem, którym żyje i oddycha, a ten pierwiastek jest różny wedle różnego stopnia ukształcenia, który ród ludzki w pewnym właśnie czasie zajmuje.

Tak więc i sztuka koniecznie różne a różne kształty na się przyjmuje. Patrz na dzieje staréj Azji, co to jest zarazem wschodem i słońca i ducha człowieczego, spostrzeżesz wszędzie, iż tu historia przeżyła dziecięce lata swoje. Nie wdając się jeszcze teraz w głębsze dowodzenie i nie zapuszczając się w te dzieje, przypomnę ci pokrótce, co nam stary Herodot o téj Azji, o tym Egipcie prawi, owe koleje fantastyczne losu Psametyka, sny starożytnego Astyagesa, owego króla Rampsenita żeniącego dowcipnego złodzieja z córką swoją,

pierścień Polykratesa, Zopyra i płaszcz jego purpurowy, Babilon, Niniwę, Semiramidę. Rzekłbyś, że te gawędy Herodot gdzieś na wieczernicach ruskich posłyszał; są to gadki, jak je to nianki lubią dzieciom bajać; jakoż zawsze też uważałem, iż ta pierwiastkowa historia bardzo do smaku małym pacholetom przypada i z wielką jej chciwością słuchają. A lubo Azya i historia jej dziś jeszcze podobna jest do jakiegś długiej a świetnej bajki, lubo przypomina powieści, opowiadane przez Arabów przy samotném ognisku w głuchocie pustyni, wszakoż jest to już nowe życie Azji, nowe jej wydanie. Azya mahometańska wielce się różni od owej Herodotowej, bo w tej tylko istotnie widać ducha człowieczego niby w powiciu; tu fantazyja samopas bujając, na poły we śnie i na poły na jawie o sobie przemawia; ztąd tutaj sztuki są jakby wymarzone nocą widziadła; poezya, choć pełna treści, jest potrzebą natury samej, i bezprzytomnie brzmi z pełnych piersi, jakby pieśń słowika z wońnych krzewów róży.

Jeżeli spojrzysz na mapę, widzisz, jak z ogromnego pnia Azji wyrasta niby konarem Europa; tak i duch europejski jest uszlachetnionym szczepem na starém drzewie azjatyckiej historii. Dla tego, jeżeli odwróciwszy się od dawnych Indyów, Assyrii i Persyi, spojrzysz na Grecyą, uderza cię przeobrażona już do dna postać rzeczy. Jest to pierwsza historia europejska, a wita ją też powiew ducha Europy zwiastującej tchem swoim wielką świata przyszłość. Lubo i historia Grecyi ma swoje powieści i cudotworne podania, wszakże one łączą się z mitologią, i należą jedynie do pierwotnej historii. Bohaterowie Homerowi: Herkules, Egeus, Tezeus, Dioskury, są równie jakby Lech, Czech, Krakus i Wanda przypomnieniem z lat dziecięcych, ale nie wchodzą w dojrzały żywot Grecyi.

W Grecyi umysł człowieka stał się młodzieńcem, podrośł, serce się wzduło w piersiach, świat w około zagrał poezyą i całym cudem uludy. Był to naród-poeta, lud-artysta; umysł tu bowiem już przezuwał prawdę wiekiustą, ale nie zdołał jej jeszcze pojąć, jaką jest sama przez się. Lud grecki zanadto był jeszcze zmysłowy, by prawdy te w całej ich grozie i powadze przyjął; uzmysłowił je więc i sprowadził do dziedziny materyjalnego świata, słowem pojął ją jako sztukę piękną, i dla tego właśnie całe życie Greków, ich tętno, ich istota wskróś jest estetyczną. Tak, kogo anioł muzyki z milionów wybierze, i przystępując do kolebki śpiącego niemowlęcia, ucałowaniem na kochanka swojego poświęci, już wtedy szczęśliwego wybrańca przysze życie z dźwięku i harmonii splecione, a nim on dorosnie, już wszystkie uczucia, myśli, pragnienia swoje, cierpienia i rozkosze na tony tłómaczy, wszystko mu jest pieśnią i w melodyę się składa, a co słowami objawić nie zdoła, wylewa muzyką. Tak i Greków kochaniem, ich duszą, ich żywiołem była piękność; ku niej to wszystko kierowali, ona była najwyższém ich powołaniem. Ani przed nimi, ani też po nich, żaden naród niebył im w tym względzie podobny. Mądrość ich filozofów, najgłębsze tajemnice natury i ser

ca człowieczego, skrytości ziemskiego i tamecznego życia uwite są w obrazy ich mitologii pełne cudownego uroku i rzewności, a tak i do rozumu i do serca i do zmysłów przemawiały. Marmurowe ich bogi, tak ciepłe i czarowne, tak pełne spokojnego majestatu i wspaniałej wesołości, tak dumne i tkliwe zarazem. W nich uczucia całej Grecyi, jej duch skamieniał. Greków olimpijskie igry, ich uczty, ofiary, były poetyczne; u nich nawet morza i skały, gaje i krynice, drzewa i potoki, bóstwami były ożywione, co poufaląc się z ludźmi cieszyli się i smucili z nimi. Ów Jowisz potężny, skinieniem brwi niebem wstrząsający, zstępował z wysokości stolicy swój, kochał się w córach Ziemi i napelniał olimp komerażami o sobie. A że z góry idzie przykład, więc też mieszkańcy ziemscy, na wzór niebian, z wadami swemi i swawolą byli poetyczni, pełni dobrego smaku. Czyliż może być, powiedz, genialniejszy hultaj i poetyczniejszy *roué* niż ów Alcibiades? Jakaż to są lichota ci nasi dzisiejsi panowie *mauvais sujets*, owe źle udawane Lowelasy i biédne kopie Donżuanów; są to jedynie bezmózgłe karykatury plastycznych hulaczów greckich. Ich nawet nie stać, by hultajami byli.

Wodzowie Greków, ich prawodawcy, ich wojny i bitwy, ich życie i skonanie były żywymi epopejami. Widzisz owe popiersie przesłane nam ze starych lat, ową cudną piękności głowę? Patrz, jak utrefione starannie włosy, jaka broda spada bogactwem kędziorów, jak ta przepaska strojnie wieńczy czoło; zrazu rzekłbyś, iż to jakieś dandy ateńskie, ale wnet gdy zważysz pełne szlachetności zarysy i ów profil grecki, a potężne Jowiszowe czoło i mądry zakrój oczu, zgądniesz, iż w głowie tej zrodziły się błyskawiczne myśli, co oświeciły świat. Jestto Plato, ów boski Plato, który pierwszy rozum i myśl na tronie osadził i wyrzekł: iż jest pokrewieństwo między duchem człowieczym a nieskończonością wiekuistą, która nie ma końca ani początku. On to jest najprzezroczystszym wyrazem Greka. W dziełach jego mądrość odziana w obrazy uroku pełne. Filozofia jego jest jakby pieśnią o wieczności i zacności człowieka, jestto Filozof-Poeta. A ów Aleksander, co to niby Macedończyk ale przejęty i party duchem greckim, na czele garstki awanturników przeskakuje hożo Hellespont, z Iliadą w kieszeni rzuca się na Azję i chce sobie zawojuować świat, i zawojował go; bo macedońskiego bohatera nosił przez świat duch Hellady i pragnienie podobania się Grekom, których przecież się był panem uczynił; oparł się o Indus, obudził drzemiącego Brahmę, a wróciwszy do Babilonu umiera tam młodzieńcem przehulawszy noc. Życie jego rozlegało się jak pieśń po całym obrębie ziemskim i przeminęło jak pieśń. Zaledwie zgasł, a już z całego jego państwa, wielkiego jak świat ówczesny, nic, nic wcale potomności nie pozostało, prócz wieńca chwały i sławy imienia: prawdziwa nagroda żywota Poety!

Ale widzę, że się zbyt rozbijał i zawcześniej o Grekach wspominał; wiesz atoli dobrze, iż trudno o nich na zimno rozprawiać;

skoro w ich dzieje, w ich życie zajrzesz, toć się zdaje, jakbyś do dawnych i drogich przyjaciół zajechał; tak tu miło, tak każdemu dobrze, iż się o rozstaniu ani myśli. A pisać o sztukach pięknych, jakże nie mieć ciągle tój Grecyi przed oczyma? Bądź tedy przygotowany, że ci ją bardzo często wprowadzę jeszcze w listy moje.

Lecz też Greków epoka, ich powołanie koniecznie się skończyć musiało z wyższm dojrzaniem umysłu; z upływem stuleciów zmieniła się postać rzeczy, umysł się z bogacił nowym a coraz wyższym dobrikiem prawd. Wyjawiał się inny czas. Bo skoro myśl człowieka się wzmogła i nabrała potęgi, wyrosła też z form piękności, jakby ze szat swych młodzieńczych. Szczupłe koło prawd rozumowych starego świata mogło się jeszcze wyrazić sposobem zmysłowym. A póki duch człowieczy był latoroślą, wystarczała mu forma sztuk pięknych, jak kwiatowi wystarcza słabe choćby strojne naczynie garncarskie; ale gdy latorośl owa urosła w potężną sosnę północy, rozsadziła naczynie wbijając korzenie w głąb serca ziemi i rozpinając konary namiotem nad połową świata. Tém drzewem olbrzymiém była *Wiara Chrześcianańska*. Sztuka piękna przestała być wszystkim dla człowieka, zmalała, jak maleje światło kaganca przed jasnym wschodem słońca. Już nie pod zmyśleniem pełnem uludy, ale wprost słowami Syna Bożego płynęła prawda, dreszcz wieczności przejął ziemię całą, — nowy się rodził świat, a zrodziła go wśród boleści własnego skonania światowładna *Roma*. Dech żywota, którym Bóg natchnął człowieka stworzonego z prochu ziemi, był zarazem tchem prawdy wiekiustej, co była w nim *od początku*, ale teraz dopiero dostąpiła prawa swojego. U Greków była jedynie jeszcze przecuciem, teraz stała się pewnością serca. Wiekiustota cofnęła się z zewnętrznego świata, opuściła materją, a wstąpiła, jakby do świątynicy swojej, do wewnętrznych serca tajników i zagrała tam wiarą, miłością, nadzieją. Pod światłem i ciepłem religii urosła też silnie i filozofia, której dziś najwyższą jest chwałą, że jest chrześcijańską. Bo nie mieszając rzeczy niebiańskich i ziemskich, wyznać powinien, że nigdy filozofia nam społeczna nie byłaby dostąpiła tego doskonałości stopnia, gdyby ję nie był ogrzał i oświecił promień prawd religii; choć nabytek, co nam przyszedł łaską i objawieniem, wcale różny jest od zasad zdobytych mocą samego rozumowania człowieka, jak to obaczmy w innym liście, w którym nam przyjdzie rozprawiać o różnicy wiary i filozofii (*). Tak jak kwiat rozrosły swoją pięknnością choć jest czémś inném, niż to niebo, co mu śle rosę swoją i promień słońca swojego, wszelako kwiatu piękność bez tego nieba się nie obejdzie. Gdy tedy u Greków jedyną i najwyższą formą wyrażania się prawdy, jedyném ogniskiem całej ich istoty były sztuki, my zaś, obok sztuki pięknej, mamy jeszcze wyższe nierównie formy,

(*) Porównaj list VIII.

bo wiarę objawioną i filozofią; nie dziw tedy, że i dla nas piękność sztuki nie jest już tem, czém była dla Greków. Dla nich ona była kochanką, dla nas jest przyjaciółką. Grek, porwany pięknością pełną majestatu Jowisza Fidasowego, padał przed nim na kolana; u nas nie sama piękność obrazu lub rzeźby nas przejmując, ale znaczenie wielkie i święte, jakie on mieć może dla nas. Stajesz przed dziełem sztuki, przed budowlą, rzeźbą, malowidłem, uderzy cię potok muzyki, poezyi: wtedy wśród rozkoszy, wśród rozgrzania uczuć króluje rozum i rozsądek; nie stracisz przytomności swojej, ale o obrazie, o tej kompozycji, lub poezyi sądzić będziesz. Sąd ten o dziełach sztuki jest głównem piętnem czasu naszego i jego prawem.

Artyści tedy już nie powinni więcej poniewierać zdaniem publiczności, wszak oni dzieła swoje nie dla siebie, ani dla małego kółka artystów tworzą; sztuka przestała być hieroglifem tajemniczym. Dla tego też godzi się, by artyści obzierałi się na istotę wewnętrzną i na bicie serca publiczności, dla której pracują. A lubo Madonny Rafaela, Laokoon, i Rekwiem Mozarta i Hamlet tchną duchem nieprzeżytej nieśmiertelności, lubo będą celem czci wszystkich wieków i uwielbieniem wszystkich narodów bez względu na ich pochodzenie; przecież znów cała tajemnica geniuszu, np. Verne'ta jest ta, iż trafił w samo tętno Francyi. Z tego też powodu mogłeś przypatrzeć się galeryom Włoch, Niemiec i Francyi, a przecież bawić z upodobaniem przed jakim weselem wiejskiem Stachowicza i cieszyć się chwackimi figurami krakowskiego ludu, mimo mnóstwo niedostatków, jakie zaiste słusznie temu mistrzowi zarzucają (*).

Patrząc się na to wszystko, com ci tu popisał, spostrzegam, żem się dotknął choć z wierzchu wszystkich prawie główniejszych przedmiotów mających być treścią listów moich; wyznaję, iż większa część tych twierdzeń nie obejdzie się bez dowodów następnych, niechaj jednak tymczasem zostaje, com skreślił; nie zawadzi, byśmy z początku zaraz porozumieli się względem istoty przedmiotu naszego.

LIST TRZECI.

O prawidłach i ustawach w sztuce.

Rozmaitość pierwiastków duchowych i ich walka stwarza doskonałość. — Różne zdania co do samej drogi, prowadzącej do piękności. — Czas głuchy w sobie i bez treści wierzy w same jedynie prawidła. — Prawidła stojące li na wzorach przeszłości. — Tow. Przyjac. Nauk Warsz. w r. 1812. — Prawidła opierające się na abstrakcyjnym rozumowaniu z pomijaniem wzorów. — Natchnienie.

Jestto stara a tylekroć powtarzana pieśń, iż człowiek zawisł między dwoma wręcz przeciwnemi światy, a życie jego ciągłą jest wal-

(*) Michał Stachowicz, twórca licznych obrazów historycznych i rodzajowych,

ką dwóch pasujących się z sobą pierwiastków. Bo w głębinach duszy dwojaka mieszka potęga, co, jakby igła magnesowa, dwie odwrotne wskazuje strony. Niekiedy, gdy zamieci życia i burze zatrzęsą duchem i do dna poruszą istotę naszą, owa igielka zadrga w sobie, oscyluje, miesza położenie swoje; ale zaledwie wichry przemina, a jużci znów ona nieruchoma staje, jednym biegunem pokazuje jakby zimną północ powinności i prawd rozumowych, a drugi zwracając tęsknie do południa ciepłych serca uczuć. Człowiek wiecznie na rozstajnych drogach, a dwa różne od siebie anioły, już od kolebki jego, dwie różne mu otwierają życia ścieżki. Szczęśliwy, kto obie dążności w jedną zlać zdołał całość i w jedną je stopi harmonię.

Wszakże to rozdwojenie istoty naszej, nie tylko uczuć się daje, gdy idzie o zacność żywota i wartość naszą moralną, lecz, przechodząc w głąb całej treści naszej wewnętrznej, dotyka wszystkich dążności, pragnień i czynności naszych. Nie ma rzeczy, nie ma celu życzeń i myśli, co by się nie zmieniały wedle pierwiastku, który w nas przeważa. Świat się w oczach mieni wedle wewnętrznego nastrojenia duszy, a najczęściej widzimy go nie we własnych barwach jego, ale powlekamy go kolorami naszego natchnienia. Meta, do której tak każdy człowiek w szczególności, jak i cały ród ludzki biegnie, jest prawda; tu zawieszone wieńce jego chwały, a prawda właśnie jest wyrobieniem się wzajemnem przeciwległości takowych.

Żywot też historii jest ciąglem przeczuciem się z jedną ostateczności w drugą; bo ta walka przeciwległych sobie żywiołów stanowi duszę dziejów świata, są to główne sprężyny ruchu pracy człowieczego rodu i warunkiem koniecznym udoskonalenia jego. Spójrzij na historią każdego narodu, co nie utonął w motłochu mniej znaczących państw i wypłynął na wierzch historii, a wszędzie obaczysz, iż podwaliną jego wielkości jest poprzednia walka wrogich sobie żywiołów. Każda umiejętność, każda nauka, każda prawda, tém więcej ma wagi, im silniejsze i cięższe było pasowanie, którem okupioną została. Najwyższe szczyty wiadomości ludzkich i najniższe ich doliny doznały rozdwojenia tego.

Nie dziw tedy, że i sztuki piękne różnie osądzone były, wedle różnego stanowiska zapatrywania się na nie. Ta dwoistość, walcząca w sercu człowieka, dała często znać o sobie w sporach estetycznych, a wyjawia się ona już przedewszystkiem odwrotnością dwóch potęg przeciwległych: bo z jednej strony posłyszysz tłumne głosy, iż prawidła pewne i niezachwiane są głównym warunkiem rozkwitania sztuki i nieomylném jej zbawieniem; z drugiej strony wznoszą się zdania poniewierające wszelkimi ustawami, twierdzące, iż piękności cyrklem mierzyć nie można, iż rozum nie ma prawa wdziera-

nia się w dziedzinę smaku, iż pod zimnym tchem rozsądku najpiękniejsze kwiaty uczuć naszych omdlewają i marzną. Otóż te dwie ostateczności podzieliły estetyków na dwa wrogie sobie obozy.

Wyznajemy że sztuki piękne, wypływając z ducha ludzkiego, są dziełem jego, do niego należą, podlegają tedy sądowi jego; duch, tworząc dzieła piękności, ma przecież prawo stanowić ustawy tym dziełom swoim. Ani te szranki nie mogą mu być szkodliwe ani ubliżające, bo on je sam sobie naznacza. Nawzajem znów przyznasz, iż gdy na świecie pusto i głucho, gdy umysł wyludniony z myśli i uczuć, gdy czczość ciemna spada na serca, wtedy najczęściej rodzą się reguły, ustawy i prawidła pisane; nauka rzuca się na dzieła lepszej przeszłości i pragnie w nich dociec tajemnic rodzenia się tych wszystkich uroków, które podziwiać jeszcze może, ale których już stworzyć nie zdoła. Co zeszłe wieki w spadku zostawiły, to teraz rozbiera, wyprowadzając z nich ustawy postępowania w sztukach pięknych. Sekcya ciała następuje po śmierci. Tak się rzecz ma w piękności dziełach, tak we wszystkiiej czynności umysłowej. Póki Rzym żył życiem świeżem, wewnętrznem i rodzimem, póty też kodeksów nie potrzebował; prawa zwyczajowe, ustawy, rosnące niby w obliczu jego, tętniały jak krew własna w życiu narodu; ale gdy się wyrodzi, odbiegł od siebie i samego siebie zapomniał,—uronił i wiadomość ustaw swoich. Wtedy w 1000 lat po onych ustawach 12-tu tablic, trzeba było Justynianowi z ułomków, ze szmat przeszłości, ułożyć ów ogromny kodeks, ono *Corpus Juris*; robota łatana, preparat anatomiczny; tutaj Rzym dawny w spirytusie przechowany, ale w nim jeszcze widać geniusz onego ludu prawnika-żołnierza. Z tych biednych okruchów, ze sztuk potrzaskanych świeci duch starego Rzymu, a księga dawnych prawników była testamentem jego, poczem dokonał — i umarł. A do dzisiejszego dnia jedzą ją prawnicy, krzepiąc nią od półtora tysiąca lat dowcip swój.

Podobnie też w czasie ubogim dla literatury, pracownicy skrzętne, bibliografy spisują jak po umarłym inwentarz całego majątku naukowego, nie przepuszczając żadnemu szpargałowi i wydzierając dziedzictwo toczącym mólom. Po śmierci wielkich wodzów światoburzców zjawia się najwięcej dzieł, mapp i planów strategicznych. Tak najczęściej po praktyce następuje teoria. Jakoż zawsze też uważać możesz, iż starce hulaszce, przegoniwszy resztki i osiadłszy na mieliźnie, najchętniej smakują w rozmówkach w stylu Pawła Kocka. Słabe i bez ładu głowy lubią też dla porządku poliniować sobie godziny dnia każdego, i wziąć w rubrykę żywot swój i wszystkie swoje sprawy, by nie zginęły w powszednim natłoku czynności swoich. Kto ma istotną przytomność w duszy i porządek w głowie, obejdzie się bez tych rubryk i szufladek, i bez nich z ładem dopełni spraw swoich, rzetelnie spłaci się z powołania swojego i skwituje się z długu życia.

Gdy Pindar, Eschylus, Sofokles i Aristophanes, i wszystkie one

gwiazdy greckiej poezji, schodzili z nieba Hellady, a noc zapaść miała nad Grecją, Arystoteles potężną myślą spuścił się do głębin tych skarbów, dobywając z nich, jakby lite złoto, ustawy dla potomnych wieszczów. Gdy znów Rzym zabił Grecją, gdy ciężką i niezgrabną ręką złupił ją z kosztownych dzieł sztuki, a nauczysz się frazesów greckich myślał, że już sam Grekiem się stał, wtedy i on chciał mieć filozofię i poezję swoją. Wtedy biedny Cycero, choć drżącym piórem i choć z poprzednim przeproszeniem, zaczął im prawie pochwały nauk, filozofii, wykladać zasady prawa i wymowy, zbierając myśli z greckich ksiąg. Zasady cnoty obywatelskiej były spisane w jego dziełach, ale dawno już umarli w życiu, a Rzymianie, ten lud najpraktyczniejszy, nie mając własnej poezji, puścili się tropem Greków. Wówczas Horacyusz, chcąc rodaków barbarzyńskich ośwoić z pięknosciami sztuki, skleił im naukę o sztuce poetycznej; a było to właśnie wtedy, gdy Vitruvius, jakby przewidując zwalenie się przybytków i świątń Grecji, napisał księgi swoje o architekturze i porządkach.

Patrz, co się dzieje kilkunastu wiekami później we Francji. Tu w XVI stuleciu już oddawna były zgasyły czasy średnich wieków. Bayard, ten ostatni rycerz, skonał we krwi swojej, modląc się do rekojeści pałasza swego w kształcie krzyża złożonej; a Franciszek I-szy pod Pawią poznał, że rycerskość więcej nie popłaca, i odpokutował tę pomyłkę swoją w niewoli madryckiej. Nastąpił na miejsce dawnej budowy tumów gotyckich styl *renaissance*, a zuchwałe pomysły Michała Anioła miały się już dostać w niezgrabne ręce następców, i przeradzać się zwolna w smak *rokoko*. Nie dziw też, że i pieśń romantyczna oniemiała.

Jużto ów Klement Marot, przybrawszy na się szaty dworu Franciszka I-go, cenił gładkie a mądre panie, wielił ze szczęściem Dianę de Poitiers i królowę Małgorzatę Nawary, obsypywał je wonnemi różami swych pieśni; choć atoli był tak romansowym poetą, nie był wszakże już romantykiem: bo lubo świetnym i lekkim motylem oblatywał poezji kwiaty i damy dworu króla swojego, jednak skrzydełka jego lśniły klejnotami i złotem wieszczów greckich i rzymskich; był to klasyk w całym rynsztunku swoim. Chociaż, na wzór dawnych lat, lutnia jeszcze niekiedy większą dawała część niż liczne grody i zamki, a kto jeno mógł, przebierał na lirze; i nawet ów posępny i żelaznej woli kardynał Richelieu składał także jak mówią wiersze i chętnieby się był do Atalii Rasyna przyznał; literatura atoli traciła zwolna rodzinne życie swoje, chwytając obee od kilkunastu wieków zamarłe wzory, i uрониła resztki własnego ducha, co w niej tętniało i żyło. W braku treści swojskiej wszystko przetworzyło się na formę, a dla tego ustawy i prawa tym potrzebniejsze się stały. Sztuka, poezja, winna rodzić się z potrzeby wewnętrznej, z tęsknoty nieskończonej ulżenia sercu, w której wiekuista prawda o sobie znać daje w formie uczucia i pocucia; dzieło sztuki jest żywym kwiatem

wyrastającym z głębin piersi ludzkich; kwiat obcy na zewnątrz do serca przypięty zwiednieje, bo zbraknie uczuć swojskich i soków rodzimych — jedynie kwiat robiony, sztuczny, obejdzie się bez właściwej sobie ziemi. W takich czasach obcych i zwiedłych kwiatów, lub kwiatów robionych, sztucznych, na miejsce sztuki staje sztuczność; i takim to czasem była właśnie epoka, gdy wystąpił Boileau z przepisami i regułami. W nim jeszcze treść i wielka poprawność języka; lecz wzorem przytęp jest wymuskanego stylu i kalkułu; znać, jak drży, by jakąś śmielszą myślą nie zgrzeszył przeciw konwencji. Myśli jego, od stóp do głów utrefione, chodzą jakby w sznurówkach. Sztuka się wynarodowiła i zwiedła, bo, odcięta od soków własnej ziemi, obojętniała coraz więcej na treść, stała się formą, lupiną. Poezya dramatyczna przemienić się musiała w sztukę retoryczną. Literatura bez iskry wewnętrznego życia szklannemi oczyma patrzała się na naród, co już był bez głębi duchowej, nie zdradzała się w świętych tajnikach natchnienia, ale leżała się w głowie; w tej tedy literaturze wszystko było wyrachowaniem. Patrzając jak autor tragedyi ówczesnej obliczył każdy akt, każdą scenę, każdy efekt, jak roztropnie rozwiązuje sobie trudności, jak kombinuje, jak sobie zagrywa i odgrywa nawzajem, zdaloby się, że widzisz wyćwiczonego mistrza grającego wista z dziadkiem. Dużo w tej literaturze jest isticie rozumu i prawideł, a nic wcale natchnienia.

Tak bez końca mógłbym ci wynajdywać przykłady dowodzące jawnie, iż zawsze, albo przynajmniej często, czas prawideł jest czasem biednym dla nauk i sztuk, i że wszystkie reguły nie zdołają ożywić umarłego już ducha. Pocóż atoli mamy tego szukać przykładów po obcych, gdy mamy tu pod ręką najtrafniejszy, bo swojski. W epoce tak jałowej dla literatury, jak epoka księstwa Warszawskiego, zdarzyło się, iż w roku 1812 na wniosek księdza Staszycza Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk uchwaliło: iżby dobrze było, aby raz na zawsze spisać sobie prawidła wszystkich rodzajów poezyi, „aby (odpisując dosłownie) smak dobry ustalić i zdrową ugruntować krytykę”. Książka ta nie miała nic mieć nowego, ale jedynie uznać już zasady w jasnym porządku wystawić, „podać niewzruszone sztuki przepisy”. Myśl ta prawie powszechnie trafiła w rym, bo cóż wygodniejszego, jak mieć taki receptarz pod ręką, gdzieby jak na leguminy, blanmanże i konfitury, można znaleźć przepisy i sposoby robienia dobrych hymnów, słodkich sielanek i smacznych tragedyi. Wzięto się tedy co żywo do roboty. Członkowie lubujący się w poezyi rozebrali różne jej gałęzie między siebie, prace ich miały być niby przygotowawcze i materiałem do owjej książki. Na Franciszka Wężyka padła kréska, by prawidła tragedyi napisać. Ciekawy téż jest bardzo sąd Towarzystwa Przyjaciół Nauk o pracy Wężyka, a napisany — niewiem z pewnością przez kogo. Mam ten akt przed oczyma, udzielony mi uprzejmością Wężyka, datowany 2 maja 1814 roku. A isticie jestto ważne źródło historyczne do ocenienia wyobrażeń ów

czesnych, bo one tu nam płyną niby z pierwszej ręki. Dzieło całe, jak widzisz, miało być posągiem doskonałym i wiecznotrwałym, którego osobne części mieli wyrabiać artyści różni, każdy osobnym swym dworem, wedle własnego pojmowania rzeczy i smaku swojego, a potem dopiero te części miały być złożone w jeden posąg-potwór. Ani ci się będę rozwodził nad całą treścią tej odpowiedzi towarzystwa, dość na tém, że praca Franciszka Wężyka odrzuconą została, a to z pięciu powodów, z których ci tylko trzy wymienię; wystarczą, jak myślę. Najprzód *powód pierwszy*: „iż autor, mówiąc o dramatycznej poezyi, wspominał jedynie o tragedyi i komedyi, pomijając inne rodzaje *a mianowicie opere*. *Powód drugi*: że wzorami autora więcej byli, jak się zdaje, pisarze angielscy a mianowicie Shakespeare, o którym nie można do młodzieży powiedzieć: *haec vos exemplaria nocturna versate manu, versate diurna* (*). *Powód trzeci*: że autor nadto pozwała powstawać przeciw uznanym już powszechnie prawdom, do czego z uszczerbkiem dobrego smaku pisarze niemieccy obszernie już i pochopnie otworzyli pole”. Wyznaj, iż gdyby dziś ktoś znający się na rzeczy z takim zdaniem się odezwał, jużby nikt nie wątpił, iż sobie żartuje z ludzi. I rzeczywiście ta nagana jest najpiękniejszą pochwałą, jaką Towarzystwo P. N. dla rozprawy Wężyka wymyślić mogło.

Któżby w tej odpowiedzi poznał to samo towarzystwo, co w kilka lat później, tak głęboko przejąwszy się powołaniem swoim, tak wielkie zasługi położyło w literaturze naszej, zajaśniało wieńcem tak świetnych imion i stało się zaszczytem czasu swojego!

Widzę jednak, żem się już nadto rozpisał, mówiąc o prawidłach wydobytych ze wzorów, z sztuki przeszłej, i niby z tego, co już jest na placu, bo znajdziesz inny jeszcze rodzaj prawodawców powyższym tak zupełnie przeciwny, jak ogień wodzie. Ci bowiem wpadają w odwrotną zupełnie zasadę, zarzucając wszelkie wzory poprzednie i prawidła z nich płynące. Co przed nimi stworzyły wieki, nie ma żadnej u nich powagi, nie chcą widzieć wielkich dzieł sztuki, którei genjusze całej przeszłości uposażyły świat; chcą z gołego rozumowania, z pojęć abstrakcyjnych wysnuć ustawy stałe i niezienne dla sztuk pięknych. Rzecz jasna, iż trzymając się w sferze czystego i abstrakcyjnego rozumu, stanowić mogą jedynie zasady ogólne, nie wdając się wcale w szczegóły. Bo proszę cię, jakim tu sposobem z ogólnego rozumowania wywieść, ile aktów ma mieć tragedia?... dla czego nie jeden tylko, dla czego nie sześć lub więcej? albo jak ze samych pojęć rozumowych wskazać warunki doskonałego obrazu lub rzeźby? A mówiąc takim ogólnym trybem o kolumnach w architekturze, uczyć oni cię będą, aby one ani zbyt cienkie, ani zbyt grube nie były; powiedzą nawet, jakie wrażenieby uczyniły popelnione w tym rodzaju błędy, ale ci nie oznaczają w liczbach stosunku grubości kolumn do ich

(*) Te wzory miejcie w rękach dniem i nocą. Horacyusz. (St.)

wysokości, bo jakżeby z rozumowania samego taka dokładność wypłynąć mogła? W takowe szczegółowe objaśnienia nasi teoretycy nie wdają się wcale; dla tego ich zdania o dziełach sztuki są zupełnie ogólne, są to formuły i pewniki. Im nie chodzi bynajmniej o to, aby wykazać prawdę zamkniętą w jakim dziele sztuki pięknej, ani nawet określić, czém ta prawda jest w sztuce, bo uważają jedynie, czém jest prawda sama w sobie wzięta. I nie przeczę, że rozumowanie takowe może być bardzo prawdziwe, ale do celu nie doprowadzi, bo zastosowania nie ma. Podobnie można być wielkim teoretykiem prawa, znać doskonale historią prawodawstwa wszystkich narodów cywilizowanych, i przesiąknąć prawem rzymskiem, jak genialny Savigny w Berlinie, rozumować nad ustawami jak Montesquieu, a przecież nie umieć jeszcze napisać pozwu, lub poradzić sobie w najzwyczajniejszym wypadku. Nie przyjąłbyś zapewne obiadu zgotowanego na najpewniejszych zasadach chemii, a nawet wedle najdoskonalszej książki kucharskiej przez człowieka, który nigdy w kuchni nie postał. Można być wielkim teoretykiem lekarzem, a nie wiedzieć jak sobie począć przy łóżku chorego. Niechajże ktoś pływa, jeździ na koniu lub rąbie się wedle książki, nie mając żadnej w tym względzie wprawy!

Takowe teorie estetyczne mogą dać ogólne i trafne nawet wyobrażenie, ale odstepują nas, skoro istotnie przyjdzie wykonać dzieło sztuki, wymagającej koniecznie wprawy i nałożenia się, a przede-wszystkiem wrodzonej twórczej potęgi. Że teoretycy tego rodzaju tu i ówdzie u nas się płaczą, poznasz ze zdań ogólnych, z ekliwicznych frazesów ustnych i pisanych, jeżeli chodzi o ocenienie czyli to poematu, czy posągu, muzyki, obrazu, gry scenicznej i t. d., choć te pięknie brzmiące formuły są nawet najczęściej bez rozumowania i oznaką czczego umysłu.

Przeczytawszy to wszystko, com ci dziś napisał, powiesz, że to są dawne rzeczy, bo od wieków ludzie już wiedzą, że do sztuk pięknych potrzeba i natchnienia i prawideł, że się jedno bez drugiego nie obejdzie; i że znów prawidła, jak nie powinny opierać się na samych tylko wzorach i obcej powadze, bez własnej samoistości rozumu, tak i nawzajem nie powinny być rozumowaniem gołym bez wdania się w szczegóły, nastrecone nam pracą wielkich mistrzów. Przyznaję, że to są dawne zasady wypływające już nawet z gołego rozsądku, ale cóż, kiedy w rzeczywistości widzimy, iż mało kto tego zbawiennego środka się trzyma; wszędzie i zawsze znajdziesz postępowanie wręcz mu przeciwne. Jestem przekonany, iżbyśmy mniej mieli maroderów, pozostałych z owej wojny mniemanych klasyków i tak zwanych romantyków, gdyby sobie jakoś do serca wzięto te pojęcia z samego wynikające rozsądku. Małoż to jest ludzi rozumiejących, iż byle przypatrzeć się jak inni robią, nabyć wprawy, potem już można samemu się do pracy; byleby schwycić na uczynku Corneliusa, gdy maluje, albo Thalberga, gdy palcami przebiera, a już

można zostać wielkim malarzem, wielkim pianistą: jedno ci panowie zapomnieli, iż sztuki piękne nie są rzemiosłem, i że czego innego jeszcze wymagają jak wprawy i mechanicznego wykonania, że potrzeba uświęcenia z góry, promienia z nieba, — natchnienia.

Ale nierównie liczniejszy do dziś dnia jest naród tych, co rozumieją, iż natchnienie samo, zwłaszcza w poezyi, zupełnie wystarcza, iż się obejdzie bez wzorów, że wszelkie naukowe przygotowania są zbyteczne, że byleby wydać, co w sercu żyje i pracuje, toć już się zostaje wielkim wieszczem. Dziwnie też to zdanie przypada do smaku tym, co sądzą, iż bez ślęczenia, jak powiadają, nad książkami, bez wielkich nauk, można być człowiekiem rozumnym, dowcipnym i bardzo przyzwoitym w świecie. Ci panowie niezmiernie się boją, by się nie stali przypadkiem, jak mówią „erudydami”, coby nie było zgodnym z ich powołaniem; ale niechaj się uspokoją, uczoność nikogo nie łowi, ani erudycya na nikogo nie poluje. Nie ma tedy żadnego dla nich niebezpieczeństwa, bo muzy są to harde panie, bardzo zadzierające noska; bardzo i bardzo trzeba się o nie starać, bardzo się im zalecać, by były na kogós łaskawe; co nie łąda tam komu się zdarza. Przecież takowe zdanie ma legiony zwolenników swoich, bo cóż miłszego, jak nie pracować, i młodość, jakby lazaroni jaki, spoczywając na gruzach wielkiej przeszłości w *dolce farniente* przepędzić, wiosnę życia swojego przełuczyć szumnie bakiem, lub przeziwać ją na przypiecku tatusinym; a przedewszystkiem być wolnym od tej „nudnej i niepotrzebnej łaciny”. Ludzie tacy pożywają i trawią dnie i lata żywota swojego, jak gąsienica pożywa liście i gałązki drzewa, które plugawi.

Jeżeli przyszły wieszcz nie spojrzy wstecz za siebie i nie potoczy w koło wzrokiem na świat, co go czarownym otacza wieńcem; jeżeli obojętny na prace olbrzymie przeszłych stuleci, co niesłychaną boleścią, wśród krwawego potoku, znosiły na barkach swoich ciosy do ogromnej budowy, na której stanął wiek nasz; jeżeli mądrość lat tysięcy, opłacona tylu trudami i takim pasowaniem się milionów ludzi, będzie dla niego głuchą i wymietną łupiną; jeżeli nie trawił samotnie cichych nocy sam na sam z Bogiem i książkami, gdy świat inny wyższy wylewa na prace błogosławieństwo ducha: toć iście na nic się nie zda i natchnienie i zdolność, jakie z urodzenia może otrzymał. Bo gdy w duszy głucho i pusto, gdy rozum, w sobie biedny, nie wyrobił sił z siebie, toć i nie będzie prawdziwego natchnienia, ale odurzenie szału; talent będzie się zataczał nie umiejąc panować nad sobą, ani o swój mocy nie stanie, bo z ducha bez treści żaden się też wątek nie wysnuje.

Mylą się ci, co fundując się w zupełności na swym zapale, na owém tajemniczym miotaniu się ducha, rozumieją, iż to, co w nich robi, prze, już ich do sztuki uświęca, i byleby iskra talentu zaświeciła w człowieku wewnętrznym, już zajmie sobą całego ducha i buchnie płomieniem geniusza. Wszak Göthe tak słusznie wyrzekł:

„Sztuka jest sztuką! kto jej nie przeniknął do dna myślą, nie będzie nigdy mistrzem!”

Gdy w nowej Europie poezja stargała dawne swoje pęta, wtedy wezbrała, i zerwawszy brzegi swoje, rozlała się szeroko i rozswawoliła się do woli, nim znów wróciła do karbów prawdziwej piękności. U nas to nieco później nastąpiło, ba! ta epoka się u nas dziś jeszcze niezupełnie skończyła. Tu i ówdzie widzimy jakieś pieśni, poezye, pełne surowizny uczuć i myśli, wichrem szalu oderwane od ziemi, co podrzeźniając wielkiemu przykładowi, unoszą się niby nad rzeczywistością, a choć same z siebie nie mają polotu, przecież same nazywają się orłami; zaiste są to orły papierowe, latawce, uwiązane na sznurku i puszczone z wiatrem ręką dziecka z fary. Im więcej nieładu w myślach, im więcej sprzeczności, im mniej rozsądku, tém niby mocniejszy zapal i szal. Lada kto woła: *est Deus in Nobis*, ale tym *Deus*, tém bóstwem dającym mu natchnienie nie jest zaprawdę Apollo, ale niższy jakiś bożek. — Rzekłbyś bowiem, czytając takie płody, iż tym panom wieszczom krynica kastalska na Węgrach płynie, i że to natchnienie ich jest natchnieniem greckich bachantek, nie laurowym ustrojonych wieńcem.

Powiedzą mi może, iż praca nad umiejętnością i czytaniem autorów odebrałaby im właściwe ich piętno i mogłaby zatracić indywidualność, odznaczającą ich od innych; jeżeli jednaka indywidualność charakteru ma jakąś wartość, toć téż nie zaginie i nie utonie w pracy, ale zawsze na wierzch wypłynie; a jeżeli przeciwnie, nie obroni się obcym wpływem i przewadze wielkich wzorów, toć niechaj jej nie żalują, boć zaiste nie ważyła wiele, a szkoda niezbyt bolesna. Cóżby sądzili o wartości moralnej jakieś pani, niechęcej bywać w świecie, by nie naraziła słusznie *reputacyi* swojej?

Jednym z głównych warunków każdego artysty jest ukształcenie naukowe. A im wyraźniej duch w sztuce jakieś z siebie się rozwija, im jaśniej wyświeca istotę swoją wewnętrzną, tém bogaciej naukami uposażony być winien. Tak muzyka jest właśnie tą sztuką, w której on najmniej jasno o sobie przemawia; w niej jakby hieroglifami tonów za mgłą jeszcze i pod zagadką uczucia swe rodzi; dla tego téż sztuka ta mniej niż wszystkie inne wymaga udoskonalenia umysłowego; z téj przyczyny téż ona już w młodym wieku może być do wysokiego stopnia doprowadzona, gdy władze rozumowe zamknięte są jeszcze w początku. Wszak widzujemy nawet ludzi z miernymi zdolnościami dowcipu, a odznaczających się mistrzostwem w muzyce.

Ale architekt, co patrząc się na wielkie pomniki świata, przez nie niby wgląda w serce wieków i narodów; ale rzeźbiarz, do którego marmurowe bohaterzy i bogi o piękności przemawiają, nie obejdą się bez nauki. I malarz, choćby był niepospolitego talentu, bez wiadomości i nauk utworzy jedynie idealizowane kopie natury, a najwyszszego kwiatu swéj sztuki, bo malarstwa historycznego i religijnego,

nigdy nie osiągnie. A cóż dopiero powiedzieć o poezji używającej nie tonów, nie marmurów lub barwy, ale najduchowniejszego narzędzia, bo mowy, do wyrażenia tego, co wre i kipi w duchu!

Atoli o wszystkich pierwiastkach i potęgach, które się znaleźć winny w mistrzu, w wieszczu, mówić będziemy w osobnych listach, w których też ten przedmiot tak ważny dokładniej rozbierzemy. Tutaj powtórzmy sobie wypadki ostateczne niniejszego listu naszego. Zaiste gołe prawidła, czyli one będą czerpane z wielkich wzorów przeszłości, czyli będą wprost wyrozumowane z zasad filozoficznych, będą tak niedostateczne jak usposobienie przyrodzone, jeżeli nie będzie wykształcone zapatrywaniem się na dzieła sztuki, które nam po zmarłych wiekach zostawili arcymistrze piękności. A przedewszystkiem zdaje się być potrzebą, zwłaszcza u nas konieczną, aby zwrócić uwagę młodych artystów i uczniów, by nie ważyli sobie lekce udoskonalenia rozumowego, co z prac naukowych płynie; umiejętności niechaj będą pierwszą jego geniuszu kąpielą; gdy się na nich wyrobi, zaprawi, uszlachetni, już i silnie urosną skrzydła natchnienia jego. Gdy pozna, co się wielkiego na ziemi i na niebie święci, gdy przeczuje, co na dnie ogromnych wydarzeń tętni i żyje, gdy zawsze pozna godzinę na wielkim zegarze świata, a przybytek myśli jego z bogaci się całą treścią wieków; wtedy, jeżeli istotnie przeznaczony na wieszczą, przyjdzie chwila, co jakby grom Boży spadnie na duch jego, i tam tysiące światła na chwałę nieba zapali.

LIST CZWARTY.

Sztuka nie jest naśladowaniem natury.

Panowanie świata materialnego nad duchem.—Sztuka nie jest kopiowaniem natury.—Wielkie dzieła natury, Tatry.—Stosunek rzetelny sztuki do natury.—Dwa pierwiastki konieczne objęte w każdym dziele sztuki.—Różnica między prawdziwymi dziełami sztuki, a dziełem będącym naśladowaniem natury.—Wrażenie, jakie te ostatnie na nas czynią.—Zofijówka—figury woskowe, udawanie zwierząt.—Wyznanie, iż sztuka ma prawo przebijania w dziełach sztuki.—Natura w swych najwyższych pięknościach jest ukryta dla sztuki.—Przykłady.—Przestrzeń niebios.—Puszcze pierwotne i ich cuda.—Natura przedpotopowa.—Piękność natury i piękność sztuki.—Lubo sztuka nie może być naśladowaniem natury, przecież poznanie tej natury jest ogromnej wagi dla ducha człowieka.

Od chwili stania się Boga człowiekiem, materya i natura jest jedynie naczyniem duchowem.

W Grudniu 1841.

Znów tedy wróciła zima, owa stara niańka północy, by naturę znękaną skwarem i wysileniem lata po dawnemu ukołysać do nocne-

go spoczynku; pokryła ją czarnych chmur namiotem i niby prawiać jęj czarodziejskie Arabii powieści, obsypała smutne drzewa, jakby kwiatem grudniowym, srebrną bielą szronu; ich kity wysadziła całém bogactwem wschodnich klejnotów, dając im za tło ciemne nasze niebo, by tém piękniej błyszczały i zagrały brylantem w mroźném słońcu naszym. Bając nam żarty o wiosnie, rysuje na szybach okien gałązki, gaje, tak dziwnéj, czarownéj i drwiącéj postaci, jakby widma powojów i palm amerykańskiej puszczy — z innego świata goście. Na miejsce dnia życia, nastąpiło państwo martwe kryształów i ślepych żywiołów walka; a kiedy noc roztoczy się królestwem swoim, już téż wtedy zima w całej swéj poezyi; jakby sny śpiącej natury ciągną się po ziemi i plątają różnokształtne mary bałamutnéj mgły; wszystko śni i drzémie; niebo samo tém jaśniej czuwa i tak świetnie, tak pilnie gwiazdami swojemi na nas patrzy, iżbyś rzekł, że to oczy wielkich ludzi z dawnych lat, co z wiekuistości na ziemię spoglądają i onéj strzegą.

Im ciszej atoli w okół nas, im samotniej w naturze, im w głębszém uspieniu świat fizyczny, tém potężniej budzi się życie wewnętrzne człowieka: świat duchowy, wycofnąwszy się z zewnątrz w siebie, jakby w ognisku gromadzi wszystkie promienie swéj potęgi, aż rozgoreje w sobie i cichym płomieniem myśli zaświeci.

Im silniej się duch wzmoże, tém już słabsze ma nad nim świat zmysłowy panowanie. War namiętności traci siły przy jasném przebudzeniu się rozumu. I ludy bowiem dzikie, idioty i dzieci, powodowane jedynie naturą zwierzęcą, stoją jakby w kole zaczarowaném zmysłów, oddane na oślep ich przemocy; sam tylko wzrost i ukształcenie umysłu zdoła zakłnać te czary, i usamowolnić człowieka z pod ich władzy. Człowiek natury tak jest obrzydliwym, jak człowiek zepsuty; tamten idzie wprost za jęj chęcią, ten ją przekreśla i mąca. Peszeres (*) maluczkiego ducha, mieszkający jakby wygnaniec świata na szarym końcu Ameryki, tak jest przerażającym i smętnym widokiem, jak Paryżanin z czasów Regencyi; tamten niby sfinks zagadkowy natury, na polu zwierzem, nie przeczuwa nawet jeszcze wysokiej zacności człowieka, ten ją już zapomniał, przemarnił i w karykaturę obrócił. Ani stan dziki natury, ani stan zepsucia, choć tak różne są od siebie, nie sprzyjają bynajmniej rozwojowi sztuki pięknej.

Są przecież w dziejach ludzkich czasy, w których sztuka jest tylko naśladowaniem natury i prostém jęj kopiowaniem. To zjawisko miewa atoli różne powody w ludzkiej historii. Najczęściej rodziło się w epokach wolnych wprawdzie już od pierwotnéj dzikości, w których wszelako życie duchowe, wewnętrzne, idealne mniej było roz-

(*) Peszeresowie są mieszkańcami Południowéj Patagonii, należą do szczepu amerykańskiego. (St.)

winięte, a natomiast życie zmysłowe, zewnętrzne, praktyczne przeważało w świecie; w takich czasach nastaje definicya, że sztuka piękna jest naśladowaniem natury. Jakoż po dziś dzień tu i ówdzie ta definicya uchodzi jeszcze za prawdziwą, lecz już z innych powodów; bo jeżeli w najnowszych czasach odzywają się głosy, nakazujące artystom kopiować naturę, toć to poszło ztąd, że zaledwie przeminęła epoka, w której sztuka, poniewierając formami natury i zdrowym rozsądkiem, paczyła czyste formy piękności. Nie dziw tedy, że świat, ze wstętem odwracając się od tych gwałtów dokonanych w państwie sztuki, rzucił się w objęcie przyrody i jęj się zupełnie powierzył. Tak przeto upowszechniło się zdanie, jakoby najwyższą zaletą artysty było naśladowanie natury. Lubo zaś one czasy jałowych form przeminęły, zostało przecież to zdanie; przechodzi z ust do ust, mając obieg między ludźmi, jak owa stara wytarta moneta, co choć już bez wewnętrznej wartości swojej, ma przecież jeszcze wiarę nałogową ludu, boć się jęj mało kto bliżej przypatrzył.

Już nawet z ostatnich dwóch listów moich wypływa, iż sztuka, będąc najpiękniejszym kwiatem samodzielnego ducha, z głębi istoty naszej wyrasta, musi tedy być czémś więcej, niż prostém puszczeniem się śladem natury. Przecież mniemanie takowe ma tak licznych stronników swoich, iż mi pozwolić zechcesz, abym nieco obszerniej tę całą rzecz rozebrał. Jakoż jasne porozumienie się wzajemne, co do pojmowania stosunku sztuki do natury, jest najważniejszym warunkiem całego dalszego wątku naszego.

Nikt nie przeczy, iż sztuka piękna była nauczycielką ludów i karmicielką wysokich myśli i uczuć prawdziwie człowieczych; gdyby tedy ona była prostém natury naśladowaniem, rzecz jawna, iżby same dzieła natury były potężniejszym środkiem do tego celu, niż dzieła sztuki. Na cóż byśmy więc mieli tworzyć z całym móżdżem i poświęceniem naszym to, co już przyroda sama tak sutą, tak wielką odmierzyła nam miarą. Czyliż mogłaby już praca być mniej pożyteczna i mniej potrzebna?

Odwiedź no te nasze Tatry, zapuść się w serce tych olbrzymich grodów natury, a wnet odstąpią myśli porównyujące sztukę i przyrodę. Pożegnaj społeczność ludzi, co tętni życiem i ciepłem w dolinie, porzuć siola i kołyszające się błogosławieństwem zbożne łąny, a wystąp na ostrze Łomnickiej iglicy, na najwyższy szczyt Krepaku, wspinając się po piętrach coraz wznioślejszych, przedrżij się przez wszystkie szczeble coraz biedniejszej, coraz niższej roślinności. Przebywszy bory ciemnej sosny, wyżej dosięgnij krzewów karłowatęj brzozy, wyżej jeszcze granice najwznioślejszych polan, zostaw następnie pod sobą państwo czarnej kosodrzewiny o rozkręconych warokoczach, następnie ostatnie smugi traw zielonych, a staniesz w smutnej ojczyźnie gładkich i suchych mchów i pierwotnych porostów, kędy poczyną się grobowe samowładztwo martwego kamienia. Wkoło dźwigają się stos na stosie gruzy ogromnych bałwanów granito-

wych — głuchego zniszczenia obraz. Roztworzą ci się zewnątrz niby ulice, niby labiryntne budowania, place i ściany roztrzęsionego miasta Gigantów, a wszędzie cisza śmiertelna, jakby u grobu natury. Ni tu kwiatek zabłyśnie, ni listek zaszeleści; wszelki głos tu zamarł i został gdzieś w głębi. Od czasu do czasu tylko usłyszysz martwy i trupi łoskot; jestto skała granitowa, co, urwawszy się z posady swój, w podskoki szalone podbijając się niby rykoszetem, coraz chylęj pędzi, i warcząc przepada w otchłaniach; porywa w swym polocie do okropnej podróży tłuny skalnych ułomów, góra się poruszyła, odezwała się głuchym przytłumionym grzmotem — i znów ucichła. Znowu natura wkoło oniemiała, a ta cisza, niby zimną ręką śmierci, okryła serce; bo to milczenie głębokie straszniejsze niż głos grożących piorunów na ziemi. Spinaj się wyżej a wyżej po urwiskach sterczących i stromych upłazach, aż cię kołem obstąpią, niby straszdyła niebosiężne, szczyty bure Tatrów, syny innej natury, co je zrodziła wśród mąk i cierpień ziemia nasza, i wśród wywrotów całej świata dzielnicy. Te szczyty zrosłe u dołu kotliną czarną, pokryte śniegów płachtą niby koszulą śmiertelną, bo tu skonanie wszelkiego żywota, i ciemno wiecznie i wiecznie zimno. Gdy po długiej fizycznej pracy, po twardszym jeszcze trudzie duszy, staniesz wreszcie na samém ostrzu łomnickiem, świat nowy, dziwny i straszny obejmie cię sobą. W głębiach pod tobą przeciągają chmury i pokryły sobą ziemię całą niby morzem nieprzejrzanem, a miotane oddechem wiatru, igrają falą i wzdymają się jakby oceanu wody. Trunie sterczą z chmur, jak wyspy wśród łona powodzi.

Wrychle wiatry tu i ówdzie przedarły obłoków oponę, a po przez te szczeliny, jakby przez okna, widzisz w przepaści płatami świat zielony, rozkoszny. Teraz rozstąpiły się chmury, spadła zasłona ze sceny stworzenia, a już jakby mapą na dnie otchłani roztaczają się całe kraje, narzucone tkanicą, srebrną siatką rzek; zdala, na rąbku północnym widnokregu, świeci się stary Kraków nasz. Kręchy ciemniejsze, tu i ówdzie rozsypane, znaczą porozrzucane szmatami bory, a w kropki i plamki bieżkształtne spłynęły mieszkania ludzi, siola i miasta. Wszystko w głębi pozostało, i życie ludzi, i ok morskich gromady, i kosodrzewiny, i zwierzęta i rośliny, i trop dzikiej kozy i gniazda tatrzańskich orłów, i wszystko przepadło w toni głębokiej, przepadło życie i śmierć, radość i żal, śmiechy i westchnienia. Tu sam jeden Bóg mieszka na majestacie swoim; sąsiadujesz z gwiazdami, a dwie otchłanie objęły cię sobą; tam ziemia gdzieś tonie pod tobą, tu sklepi się bezдно błękitów niebiańskich. Dech wiekuistości powiewa ochłodą, a przecucie nieśmiertelnej istoty twój wzmaga się w piersiach, i tysiączne, dotychczas drżące w duszy, głosy budzą się hymnem zmartwychwstania; żywot tuteczny znika z oczu i wyciera się z pamięci; coś w ciągu lat twoich przeżył, przemarzył, przecierpiał, toć jest teraz jakby snem, — niby wieki całe rozdzielają cię od dnia wczorajszego. Zdaje ci się tutaj, jakbyś już przebył chwilę

skonania twego i odprawił już tę najcięższą i ostatnią pracę, i jakbyś tu teraz ocucił się z długiego snu grobowego, i przez wspomnień szregę patrzył się na lata twoje upłynione na ziemi, co jeno słabo jeszcze brzmia w sercu niby głosy dalekiej muzyki. Wszystko co doczesne w głębi pozostało, srebrne tylko obłoki wznoszą się nad ziemią, niby dymy ofiarnych kadzidel; posyła je świat ku niebu jako modlitwy dziękczynienia i zrekowiny swoje z Bogiem.

Mamyż się jeszcze w myśli postawić na śnieżnych czubach wiekuistej Himalaj, czy na lodowych Andów lub Alpów rogału? kędy atmosfera rzadka, misterna, nie zafarbowana więcej błękitną farbą, ale gdzie na miejsce lazurów niebiańskich już czarny i ciemny eter rozpostarł się na oném przestworzu wiekuistém świata, a twarz słońca i gwiazdy wszystkie palą się czerwonym ogniem?

Jeżeli człowiek, zapomniawszy o wątłych siłach swoich cielesnych, pracowaniem fizycznym zechce się mierzyć z olbrzymią potęgą natury, już téż stanie się podobnym do owych nieszcześliwych podupadłych na rozumie i wystawionych tak po mistrzowsku w onym obrazku Hogartha, kędy biedak jeden, marząc na jawie i położywszy sobie szpargał starych nut na głowie, rozumie że jest wielkim kompozytorem. Tam znów drugi, w łzawym obłędzie, zamknięty w ciasnej ciemnicy, nagi, drżący od zimna, wyschły w szkielet, przykuty łańcuchem, siedząc na garści słomy, trzyma patyk w ręku, a opasał sobie zwiędłe czoło papiérem, marzy że jest królem, cesarzem, i żąda poszanowania i czi.

Tak się téż dzieje, jeżeli sztuka wypuści z pamięci prawdziwe powołanie swoje, i jeżeli się pokusi pracowaniem cielesném naśladować naturę, zawsze w takich razach spaczy się w sobie i skreśli. Jeżeli zaś sztuka pamiętać będzie, że jest pierworodną ducha córą, że ona z nadgwiazdnych światów ród swój wieździe, jeżeli rozgoreje zaeném uznaniem siebie, już wtedy urośnie w olbrzyma, przerośnie naturę i wszelkie jęj sprawy. Bo zaprawdę, drogi przyjacielu mój, choć ogromne i majestatu pełne są dzieła natury, szlachetniejsze atoli jeszcze są dzieła z ducha płynące. Zaiste, wysokie są Alpów i Tatrów przyczola, ale wyżej sięgają zacne człowieka sprawy. Gwiazdy goreją chwałą Boga na niebie, ale piękniejszą Jego chwałą są czyny wielkich ludzi na ziemi; wszak te jak i tamte z łaski Bożej się dzieją. Bóg promieniem swęj wiekuistej mądrości, przeświecając świat materji, zapala go życiem jestestw milionów; ale gdy przejmie sobą ono najwyższe i ostatnie dzieło swoje, bo ducha człowieczego, wtedy już promień światłości Jego, jakby słońce przez pryzmę kryształowe puszczone, zajaśnieje złotemi barwami tęczy, i odradza się w duchu człowieka nową wspaniałością, bo zaświeci *wiarą, pięknoscią i mądrością*. Co człowiek zacnego i wielkiego sprawi, sprawi to błogosławieństwem nieba.

Przedewszystkiém atoli chciej rzucić okiem na istotę sztuki i istotę natury, a już stosunek ich wzajemny i ich różnice na jaw wystą-

pią. Jeżeli bowiem sztuki piękne są myślą i córami ducha naszego, wcielonego w materią, już jasno znać, iż świat fizyczny dostarczać winien sztuce osnowy swojej, i niby materyjalnej przyodziewy. Pożycza on jej dźwięku, tonów, marmurów, ciosów, metali, barwy, a nade wszystko pożycza kształtów jestestw przyrodzonych, zjawisk i scen swoich; a sztuka, używszy tych materyałów, występuje z dziełami architektury, rzeźby, malarstwa, muzyki i poezji. Temu przeczyć nie można, ale tę prawdę wzięto mylnie za drugą i pomieszano ją z zasadą, jakoby sztuka piękna naśladowała naturę. Bo co innego zupełnie jest wyjawiać pracę duchową sposobem zmysłowym, a co innego brać sobie za wzór ostateczny jestestwa w naturze istniejące. Co więc, jeżeli mowa w sztuce o naśladowaniu natury, tedy można mieć tylko na oku rzeźbę i malarstwo; bo te niby pożyczają sobie kształtów z natury tworząc kształty ludzkie i zwierzęce, okolic, knieje i wody, niebo i skały, chociaż i tutaj posąg i obraz jest czémś więcej niż gołym naśladowaniem natury, jak obaczymy poniżej. Ale jakże zrozumieć, iż architektura i muzyka naśladowują naturę? czémże mają być te nasze grody i tury, ich sklepienia wsparte na słupach gotyckich? czyliż, jak niektórzy rozumieją, przypominać one mają puszcze i święte gaje, owe pierwsze przybytki dzikiej Europy?—Bądź pewien, że one były jakby gąbką wymazane z ludzkiej pamięci w czasie, gdy stawiano mynster strasburski lub nasz kościół maryacki. Jakież głosy w naturze ma naśladować muzyka? czyliż ona udaje może wichru gowory w drzewach, ptaków szczebiotanie, lub ryk rozhułanych bałwanów?—sam wiesz, jak dziecinne i małej wartości są te kompozycje, co to tonami udają to bitwy z hukiem dział, to burze z piorunami, grzmotami, deszczem i innym przydatkiem. A co do poezji, tu jeszcze mniej można mówić o naśladowaniu natury. Jeden rodzaj poezji, to jest opisowy, może być niby najwięcej z tą naturą fizyczną w stosunku; ale on właśnie opisuje tylko naturę, ale jej nie udaje, nie naśladuje wcale. Pamiętam,—gdy w szkołach byłem,—czytywano nam na wzór z Wirgiliusza i Buffona obraz konia, i kazano nam uważać, jak tu słowa, nawet ich brzmienie i miara naśladowują furkanie, świstanie, stapanie i rżenie rumaka; mnie się zaś zdawało, iż lepiej, niż te wszystkie sztuczne opisy, udaje konia długouchy kuzynek jego. Ale w jakichże stosunkach jest dramat, lira, komedia ze światem fizycznym? One zaiste zupełnie ze światem duchowym, z istotą umysłową człowieka są połączone. Można wprawdzie mówić, iż ten charakter romansu lub dramatu nie zgadza się z naturą, tak jak mówić można, że gra tego lub owego artysty dramatycznego nie jest naturalną; jednak zdanie takowe jedynie jest sposobem mówienia, bo tu przez wyraz *natura*, *naturalny* rozumiemy raczej zgodność z prawdą duchową a nie ze światem fizycznym, materyjalnym, to jest z naturą fizyczną, z naturą w ścisłym znaczeniu. Chociaż, jak obaczymy później, sztuka także bynajmniej nie ma celu, by i pod względem umysłowym rzeczywi-

stość kopiować, by ludzi i pod względem ich umysłowego charakteru żywcem brać z rzeczywistego świata i przenosić do dzieła sztuki. Ale wróćmy do przedmiotu.

Choćbyśmy tedy mieli już prawo pominąć architekturę, muzykę i poezję, dowodząc jedynie, iż malarstwo i rzeźba są czemś więcej jak naśladowaniem natury, wszakoż błędność zdania tego wypływa nawet z rozumowania ogólnego nad istotą sztuki, nie czyniąc tymczasem żadnej różnicy między sztukami w szczególności, choć nam rzeźba i malarstwo z natury swój najtrafniejszych użyczy przykładów.

Jak człowiek w sobie wzięty nie jest samym martwym zbiorem członków i części ciała, ale w obliczu jego, w oczach, w grze ogólnej jego osoby znać obecność ducha i właściwość jego charakteru, rozlaną po harmonii całej istoty jego, tak przez dzieła sztuki, przez ich formę zmysłową, niby przez ich ciało, przegląda duch mistrza. W każdym tedy dziele sztuki dwa są pierwiastki: jeden zmysłowy, a drugi duchowy; jak to już w drugim liście powiedziałem. Patrz na obraz, zrodzony pod pędzlem *Salvatora Rozy*; tu na płótnie, na łokciowej przestrzeni, na równiej płaszczyźnie zamknięte są wprawdzie piękności tajemnicze natury, w całej ich groźbie; ale krom tego jest jeszcze jeden pierwiastek, którego rzeczywistej naturze brakuje — jestto duch mistrza sobie przytomny. Te malowane góry, skały, obłoki, urwiska, knieje i potoki, choć z natury wzięte, odrodziły się na nowo w duszy wielkiego mistrza, skąpały w jej toniach, uduchowwały się, przeszły wskrós jego myślą, a tak wystąpiły na jaw. Kopiował on, lecz nie tę rzeczywistą, materyalną naturę, którą widział cielesnemi oczyma swojemi, ale kopiował obraz jej, jej widmo, jakie mu duch zrodził i jakie w duchu swoim ujrzał; widziadło to stało przed oczyma duszy jego, uchwycił je farbami i rysunkiem na płótnie wcielił. A dzieło jego właśnie dlatego ma wielką wartość swoją, iż nie jest kopią natury. Tak malował okolice *Rubens*, *Poussin*, *Claude Lorrain*, *Ruysdael*, *Józef Vernet* i wielu innych świetnych talentów; tak maluje nasz *Głowacki Tatry* (*). Dzieła ich tém się różnią od prac mających li za cel wierne oddanie natury, iż jak te są proste widokiem okolic (*vue — veduta*), tamte raczej są widokiem w duchu samego mistrza. Patrząc się na widoki malowane, zajmuje nas nie mistrz ale rzecz, ale przedmiot, to jest okolica, którą obraz wystawia, i najczęściej nie pytamy wcale o malarza; w onych zaś dziełach mistrzów mniej, albo wcale nie zajmuje nas przedmiot, bo obraz wyobrażać może kilka biednych krzaków, potok z mostkiem i kilka krów, ale podziwiamy mistrza.

Podobnie widzieć możemy najpiękniejsze wydanie historii naturalnej z wybornemi wizerunkami zwierząt, ptaków, kwiatów; te wi-

(*) Jan Nepomucen *Głowacki*, znany pejzażysta, urodził się w Krakowie 1802 roku, zmarł tamże 1845 roku. (St.)

zerunki będą nas o tyle obchodziły, o ile wiernie naśladowały naturę, o ile nas ta natura sama zajmuje, a w robocie chwalić może będziemy czystość i dokładność technicznego wykonania. Ale gdy ci *Hondekoeter* lub *Snyders* maluje zwierzęta i ptastwo, gdy staniesz przed malowanemi kwiatami *Jana Breughel* lub *Racheli Ruysch*, porwany będziesz nie już przedmiotami, które ci mistrz przedstawia i ich treścią, ale genialnością jego. Powód tego bardzo jasny, bo obrazy w historii naturalnej i one widoki rzeczywistych okolic mają za cel jedyny oddać ci naturę jaką jest, więc też ona tutaj jest przedmiotem, który cię głównie zajmuje; a odwrotnie *Poussin*, *Claude Lorrain*, *Hondekoeter*, rozkwierając ci tajniki własnego ducha swojego, używają tylko natury za środek, za kanwę. Tu nie chodzi o treść, ale o sztukę mistrzów, wyjawiającą się tym przedmiotem. Dlatego też ich roboty do sztuki pięknej należą; obrazki zaś w historii naturalnej i widoki nie należą do dzieł sztuki, są one tylko pomocą dla nauk, nie są pojmowaniem natury artystycznem, ale naukowem, prozaicznem.

Kto zrozumieć nie może, co to jest pojmowanie artystyczne natury i jak wielka różnica między poetycznem a prozaicznem zapatrywaniem się na okolice, niechaj tylko się zakocha, a iście zaraz pozna różnicę tę; natura nagle się dla niego przeobrazi, uduchowni. Wszędzie, gdzie kochanie swoje widywał, gdzie miłość jego chodziła i natura się zmieni i odzieje się światłem i barwą duszy jego; jakże mu będą gaworzyć drzewa, rozmawiać potoki, świecić niebo, a krzak każdy, drzewo każde odzieje się poezią; świat w około ożywi się „lekkim gnomów i sylfidów narodem; zrozumie ptaków pogadanki, mienienie się złotych promieni w liściach zielonych, zgodnie postacie fantastyczne obłoków, podszlucha cichy sen księżycy, drzemającego na pagórach”, będzie miał oczy i uczucia artysty. A kto tego wszystkiego sam jeszcze nie doświadczył, niechaj tymczasem, nim na niego kréska przyjdzie, przeczyta, jeżeli może, owe tęsknoty pisane i drukowane młodych naszych poetów, z których jeden radby być wazonikiem na *jéj* oknie, drugi w ciekawej miłości firanką u *jéj* łóżka, a trzeci jakimś bladym promieniem księżycy na *jéj* podłodze, lub karnikiem w klatce, i Bóg wie nie czém.

Jeżeli nie może być powołaniem sztuki, aby była kopią natury, wypływa z tego, iż wszelkie udawanie natury traci śmiesznością i wzbudza wstręt i obrzydzenie. Do czego zaś kuszenie się takowe i podrzeźnianie natury prowadzi, już to najlepiej poznasz nie tak z dzieł sztuki, jak z innych prac ludzkich, mających istotnie udawanie natury na celu. Dość ci będzie przypomnieć one skały na tarczach zwiezione, one groty wysadzone muszlami, i kaskady sztuczne, jeziora, któremi to niby zdobili ogrody swoje, a podobno, jak słyhać, jeszcze tam gdzieś zdobią. Podrzeźnianie takowe natury jest zawsze ekliwe i zdradza wielkie barbarzyństwo myśli; bo jeżeli roboty takie są drobiazgowo, wzbudzić mogą uśmiech; jeżeli pocz-

nione na wielką stopę, wzniecają wstręt, nie wyjawszы Zofijówki, tak Trębeckiego zachwycającą; bo czy małe, czy wielkie są takowe dzieła, brakuje im właśnie tego, coby ich urok stanowiło, to jest, iż są dziełem rąk ludzkich, a nie natury. Lecz co więcéj, im bardziéj się zbliży dzieło człowieka do natury, im ją wiérniéj kopiować zdoła, tém téż przykrzejsze będzie wrażenie, jakie sprawi na umyśle naszym. Wizerunki i portrety, trafione z najdokładniejszą wiernością, są nawet obrzydliwe w tém podobieństwie swojém.

Wstąp do galeryi choćby najwyborniejszych figur woskowych, a znajdziesz tu wypukłości form jak w rzeźbie, i barwy rozmaitość jak w malarstwie; obie te sztuki są tutaj zjednoczone, a przecieź obie razem zrodziły tylko ironię życia i śmierci: są to drwiny z umarłych i z żywych zarazem. Czém one są istotnie, najtrafniéj poznasz, przypatrując się wrażenióm, jakie czynią na dzieciach i osobach mniéj nawykłych do podobnych widowisk. Z jakąż nieśmiałością, z jakimże skrepowaniem duszy i wyrazów przypatrują się tym sławnym politykom, wodzóm, autoróm i rozbójnikom; widzowie znajdując się jakby pod wpływem nocnej zmory. Rzekłbyś, iż tu upiory różnych narodów i wieków zbiegły się na jakieś sejmy swoje. Nie jest téż miłszy on szereg konnych królów angielskich ustawionych w korytarzu Toweru, lub ona woskowa królowa Elżbieta, przechowywana w szklanych kuferkach po różnych miejscach Londynu, lub kurfirsty saskie w zbrojowni drezdeńskiej; lecz te wszystkie mają przecieź jeszcze znaczenie pamiątki; czém inném także są preparaty anatomiczne z wosku, bo tu nie chodzi o piękność, o estetyczność, ale o naukę, będącą głównym ich celem.

Może w téj chwili przychodzą ci na myśl owe figury drewniane średniowiekowego snycerstwa a pomalowane barwami, i przypominasz mi może arcydzieło naszego Wita Stwosza na wielkim ołtarzu maryackiego kościoła w mieście naszym, co również łączy snycerstwo z malarstwem, a przecieź nietylko nie wzbudza wstrętu, ale jest najwyższego wdzięku obrazem? Chętnie wyznaję, że ta grupa świętych postaci, stworzona ręką genialnego mistrza, jest pełna najwyższej a rzewnej piękności, że patrząc się na te figury, jakieś dziwne nadziemskie technienie idzie na lud, co tu pokoleniem po pokoleniach składał część Boga-Rodzicy, modląc się do niej z serca i powierzając jej głębokie duszy tęsknoty, bólesci i nadzieje swoje. Na to chętnie się zgadzam; ale bo téż jest ogromna różnica między widokiem figur woskowych a tém dziełem starego mistrza; w niém za prawdę powiewa dech chrześcijańskiej sztuki: lecz o téj sztuce i o téj pracy obszerniejsze jeszcze powiemy w innym liście, gdy nam wypadnie bliżej rozebrać istotę romantycznych stuleci.

Są ludzie mający osobliwą zdolność i ochotę udawania zwierząt; naśladują np. pianie kogucie, ryk bydła, miauk koci, ruchy wiewiórki i t. d. Za pierwszą razą udawanie takie może rozśmieszyć, ale później stanie się ekliwém. Dlatego póki będziesz np. przypisywał

istotnie pianie kogutowi, głos ten nie będzie miał nic w sobie przykrego, skoro się atoli przekonasz, iż to człowiek pieje a nie kur, wnet sprzykrzysz sobie te sztuki i zechcesz się czém rychlej uwolnić z ich sąsiedztwa. Dla czego widok małpy i jej obyczajów taki sprawia nam wstręt, którego do innych zwierząt nie czujemy wcale? oto właśnie dlatego, iż ciało małpy przypomina człowieka, gdy tymczasem dusza jej jest zwierzęca w całej bezecności swojej, jestto wydrzeźnianie i paszkwil na naturę ludzką. Nie dziw, iż genialny Retzsch (*), rysując scenę do Mackbetha Shakspearowego, użył małpich postaci do-maszkarów szatańskich. Kto zechce mieć wierną kopię natury, może tego dokazać prostą technicznością bezduszną; niechaj sobie zdejmie maskę gipsową z umarłego lub z żywego człowieka poddającego się tej operacyi; może go też chemia zastąpić, niech tylko daguerrotyp nadstawi naturze, a złowi ją żywcem jakby rybę w saku. Wiész dobrze, iż po wynalezieniu tej maszyny, tak bogatej w skutki, byli tacy, co obaczywszy mikroskopową dokładność jej płodów, już radzi byli zaśpiewać wieczne odpocznienie malarstwu, nie zważając właśnie, iż daguerrotyp zabił tylko kopiistów a nie istotnych malarzy, jak wynalazek druku zabił przepisywaczy a nie autorów.

Najtrafniejszy wizerunek jakiegóś twarzy, wymuskany z największą dokładnością i pracą, z udaniem każdego włoska, nieskończenie mniejszą ma wartość, jak kilka zarysów wielkiego mistrza, pociągniętych węglem na ścianie, lub genialne szkice Piotra Michałowskiego (**). Niedawno widziałem przesliczny zbiór rysunków Rafaela; zarysy niby z niechcenia tylko piórem i tuszem rzucone, a jednak tam widzisz improwizacyą ducha gorejącego ogniem Bożym. Na jednym zwłaszcza półarkuszu jest kilka pomysłów do obrazu Madonny. Znać jak dusza mistrza natchniona rośnie, wzmacnia się w sobie, każdy pomysł zradza następny, pełniejszy, bogatszy, formy coraz przejrystsze, świętsze i wolniejsze od powłoki zmysłowej; rzekłbyś, iż, gdy je Sanzio kreślił, słuchał pieśni niebiańskich, co na skrzydłach cherubinowych spuszczały się z gwiazd na ziemię; a były te śpiewy coraz silniejsze, bliższe a bliższe, aż ogarnawszy powodnią harmonii duszę jego, uniosły go z sobą ku niebu, kędy przez rozsunioną obłoków oponę ujrzał oblicze Królowej Nieba Boga-Rodzicy.

Tak wszędzie i zawsze znać, iż sztuka jest córą ducha, w najwyższych chwilach jestestwa jego poczętą, a nie zaś niewolnicą form narzuconych jej od natury. Zważ atoli, że z tej prawdy, iż sztuka

(*) Maurycy Retzsch, urodził się 1779 † 1857 r., profesor akademii sztuk pięknych w Dreźnie, znany malarz i ilustrator dzieł Göthe'go, Schillera i Shakspeara. (St.)

(**) Piotr Michałowski, europejskiej sławy malarz zwierząt, szczególniej koni, narodzony w bliskości Krakowa r. 1801, umarł tamże 1855. Dzieła jego pędzla znajdują się szczególniej we Francyi i Anglii. (St.)

nie jest naśladowaniem natury, bynajmniej nie wypływa, jakoby ona mogła ważyć lekko sobie przyrodę i cały ten piękny Boży świat, co nas w koło otacza jakoby dramatem stworzenia. Wszak są rodzaje sztuki, których właśnie istota na tém zawisła, aby kształty natury zidealizować i unieść je w dziedzinę piękności. Takim rodzajem sztuki jest malarstwo i rzeźba, a nawet pod pewnym względem i poezya. Te to sztuki właśnie winny dokładnie poznać naturę, zrozumieć głębokie jęj tajemnice, pojąć jęj ruchy, życie i tętno. Bo jeżeli w sztuce prawda ma się powlekać kształtami przyrodzonymi, potrzeba téż, żeby te formy nie były spaczone, ani kłamliwe, ale winny być rzetelne, to jest takie, jakie istotnie znajdują się w naturze. Jeżeli np. w obrazie mistrz, z braku zgłębienia natury, chybi w perspektywie, kolorycie, anatomii, w rozdzieleniu światła i cieniów i tym podobnie, toć takowe uzmysłowienie, same błędne będąc, nie zdola godnie odpowiedzieć prawdziwości myśli. Treść czyli myśl wewnętrzna dzieła, sztuki, samą prawdą będąc, winna téż mieć formę prawdziwą; dlatego więc mistrz, chcąc wydać myśl swoją pod formą zmysłową, znajdzie zawsze odpowiednią formę w naturze, bo jestestwa natury, jak i myśl prawdziwa, wspólne mają źródło, obie płyną z najwyższego rozumu.

Jeżeli zaś wiek jaki lub naród nie dobił się jeszcze prawdy, jeżeli nie ma jeszcze jasnój i ukończonój w sobie wiedzy, jeżeli sam nie jest jeszcze świadom ducha swego, wtedy téż myśli jego nie są prawdą, ale urojeniem; nie znajduje więc dla nich w świecie rzeczywistym, w naturze form odpowiadających, ponatwarza postaci fantastycznych, dziwolężnych; świadkiem tego są owe rzeźby potworne bożyszczów indyjskich, owe wielorekie i wielogłowe poczwary, których nie ma w naturze, a które tak są kłamstwem jak jest kłamstwem myśl, którą one uzmysłowić mają. Przeciwnie u Greków, gdy myśl się wyrobiła, więc téż wyrażała się we formie prawdziwój, bo w postaci jestestw rzeczywiście istniejących w świecie, zwłaszcza w postaci człowieczej. Inne formy zaś fantastyczne należą u nich do wyobrażeń pierwotnych i mają znaczenie symboliczne tylko.

Zechciej zresztą zważyć, iż gdyby jedynie o naśladowanie natury chodziło, jużby było zupełnie obojętném, jakiby był przedmiot natury do naśladowania wzięty; byleby tylko był dobrze udany, jużby téż i dzieło było doskonałe. A przecież na to się nikt nie zgodzi, owszem każdy żądać będzie, aby mistrz przebierał, i co piękniejsze w naturze, za wzór sobie uważał. Otóż w żądaniu takowém już są dwie rzeczy zamknięte, na które uwagę swoją zwracam: naprzód, żeby w takim razie wszystko od wyboru przedmiotu zależało, który może być bardzo rozmaity; powtóre, żądanie takowe zawiera już i wyznaczenie, iż nie wszystko w naturze jest piękném, i że tedy niecała natura godna naśladowania; nareszcie, że i sąd o piękności przedmiotów do umysłu należy, że tedy duch człowieka w sobie ma próbierz i miarę piękności, a tak mimowolnie już przyznana jest w sztukach wyższość

ducha nad przyrodą. Jeżeli zaś człowiek w sztuce pięknej ma wybierać co jest najwznioślejszém w naturze, wypływałoby znowu ztąd, iżby winien być w takim stosunku do natury, aby właśnie najogromniejszą jej stronę, najwyższą jej potęgę w całej świeżości jej uroku poznać mógł. Ale rzecz zupełnie przeciwnie się ma, bo właśnie najbogatsze skarby piękności przyrodzonej albo są z trudnością przystępne dla sztuki, albo też na zawsze zasłonięte przed śmiertelnymi oczyma ludzi. Jeden rzut oka na naturę wrychle nas o tém przekonać zdoła.

Człowiek, ciałem swém z prochu do ziemi przykuty, zdolen jedynie marzyć o przestworach niebiańskich, bez końca, początku i granic jak wieczność, kędy światów, słońc i planet tłumy bieżą niby pochodnie Boże po czarnym eterze, czerwonym jaśniejąc płomieniem. Na skrzydłach wyobraźni jedynie zdoła przelatywać to Królestwo Niebieskie, mijając tych gwiazd oceany, póki ziemia nasza wraz z księżycem swym nie zleje się w jedną świecą kroplę, póki zupełnie nie utonie atomem w przepaści niebios. Nie daremnie to już Plato marzył o muzyce światów, o harmonii sfer. Ale pocóż rzucać się w te myśli zawroty? alboż to nasz własny planeta, owa matka ziemia, nie stroi się w klejnoty cudownego uroku, ale tak odsunięta od świata i sztuki pięknej, że tylko trafem szczęśliwym ktoś tam z Europy zabłądzi. Spójrzmy na one zwrotnikowe puszcze, ogromne, wiekuiście, któremi porasta jeszcze stara ziemia nasza. Cała siła roślinności, wywołana potęgą wilgoci i upałów, tak tu świeża, dziewicza, silna i młoda, jak w pierwszej chwili stworzenia, gdy ją Bóg z nicstwa wywołał. Puść się nurkiem w one przedwieczne knieje, a natura, niewidzianej u nas siły, jakby kościołem Bożym obejmie cię dokoła. Paprocie, znane naszej ciemnej i biednej północy jako mdłe i nikłe trawy, i chwasty, tam rosnąc w olbrzymie postaci, zamieniają się na drzewa, grające wysoko nad ziemią rozłożystą i powiewną kitą. Ciemnolistne figi, lub palmy wysmukłej i poetycznej formy, strzelają cienkim pniem w górę, rozwijając się u szczytu bogatym zawojem ogromnych liści; konary potężne, misterne gałęzie wiążą się ciasnym i gęstym spletem w ciemną strzechę, co nie przebita słońca promieniem, wieczną pomrokę rozściela po lasu podłodze, a pnie drzew niby lekkie śmiałe kolumny podpierają borów strop. Tu nie ma próżnego miejsca; krzewy, trawy, kwiaty i ziół tysiące gęstwiną tłumną cisną się od ziemi, jedno drugie na wyścigi wyprzedzając. Tu zamożność przyrody, w całej mocy i uroku, cieszy się bogactwem i siłą młodego życia; wegetacya tak dzielna, iż zewsząd kipi bujnością swoją; nieprzebrane rośliny pnące ciżbą wiją się węzłem około drzew, wstępują po pniach, gałęziach, a dostawszy ich wieńców najwyższych, przerzucają się z wierzchołów na wierzchoły, wiążą drzewo z drzewem jakby grubemi linami, a tak utwierdzają las, by dostał uraganom mającym tu ojczyznę swoją. Ciemny namiot boru lśni barwami tysiącznych kwiatów, a na każdym drzewie jest tych kwiatów

bez liczby, różnych kształtów i różnej barwy; bo odmienne z natury swojej pnące rośliny, każda po swojemu kwitnąc, schodzą się w nadpowietrznych wysokościach, i wiążąc się w bukiety, tworzą ogrody wiszące niby czarem nad ziemią wzniesione. Scena ta cudownego powabu zaludniona jest gromadami żywych mieszkańców, bo narody wrzaskliwych ptaków, zwłaszcza papug gadatliwych, goszczą po gałęziach, a farby ich skrzydeł i ciała tak jasne, tak świetne, jakby się kąpały w złotym świetle słońca, a roje płocze różnogatunkowych małp swawolą i radzą pod gęstą strzechą drzew, lub huśtając się po rozwieszanych sznurach, pnących się wiciowych roślinach, gniewnie patrzą się na ludzkiego przychodnia, wyszczerzając nań zęby, albo witają go pociskami gałęzi lub orzechów kokosowych; gdzieś znów zdaleka, jak uderzeniem w kotły, bębni olbrzymia żaba. Potok nieprzebrany życia wylany jest na tę naturę, co tak ochocza, młoda, jak gdyby wczoraj wyszła z rąk Stworzyciela swojego. Tu życie jest wiecznym natury weselem. Lecz gdy uragany się rozszałeją, gdy burza grzmiąca zaryknie nad puszcza i ogniem błyskawicy zajmie się niebo i zajaśnieje pożarem siarczystym, puszcza uchwycona we wichru objęcie miota się z nim, pasuje i szarpie; wtedy chmury ciężkie, czarne, pękają z hukiem nad ziemią, a ulewa rzeką lunie na las. Słychać szum głuchy, niby katarakt huk. W lesie kołysanym burzą — jeszcze sucho, jeszcze żadna kropla nie przeciekła przez ciasny splot liści potwornych; ale gdy tu i owdzie uragan z korzeniem wysadzi pradziadowe jakie drzewo i otworzy nawalnicy okno, wtedy woda słupem ciężkim, gęstym, uderzy w las. Strach pada na mieszkańców boru, chowają się milczkiem pod gałęzie, uciekają drząc do nor, powszechna trwoga, bo życie lęka się szału żywiołów, a ślepe potęgi natury są zawsze wrogiem organicznej przyrody.

Tu, do tej czystej krynicy stworzenia, niechaj chodzą malarze i wieszcz, by odświeżyć ducha swego w tej naturze, co tak jeszcze młoda, hoża w pierwszym zaraniu żywota swojego. Tędy nie zawiał jeszcze oddech cywilizacji, tu sama natura sobie panią i gospodynią swoją, i sobie sama zostawiona, niewycieńczona na siłach, bo jeszcze nie płaci ludziom haraczu życia swojego. Jedne drzew pokolenia, przeczekawszy wieki w spokojnej swobodzie, padają nareszcie nawożąc sobą ziemię dla przyszłych pokoleń; zagrzebują je jakby w grobie gęste i stare mchy, latorośle młode i ławy grube liści, długim lat szeregiem złożone. Gdzieś tam tylko sterczy z ziemi konar zuchwałym ramieniem, dając znać, iż w tej dzikiej i wolnej przyrodzie śmierć włada. Tu jednak śmierć odradza się żywotem tyśiącznych postaci, rozstula się przepychem kwiatów, przeobraża się w brzmiające pieśni śpiewaków skrzydlatych.

Ale tych cudów natury my tu w Europie nie znamy; u nas ona podeszła, zaledwie zachowała zarysy swej dawniej piękności, a nim cywilizacja rozłoży się w tych tam błogich stronach, już tej natury więcej nie będzie. Nim sztuki zatkną tu panowanie swoje, wprzód

rolnik zaorze ziemię, a siekiera wyprzedzi pędzel. Natura niknie przed cywilizacją, jako przed wyższą od siebie potęgą, świat fizyczny korząc się ustępuje duchowemu; wszak i ten ma swoje kwiaty, ale kwiaty co nie wiednieją nigdy, i wieńcem niezatartej chwały stroją skronie człowieczego rodu: temi wiecznotrwałymi kwiatami są piękności dzieła. Tak natura, dotknięta śmiertelnym ciosem od ręki człowieka, jakby konając uczy go jeszcze, by z przybytków własnych piersi swoich dobył piękności wzorów; ona umierając uczy, by dzieła jego, nieśmiertelności przekazane, nie były wizerunkiem martwych jestestw, co same są marne i przemijające.

Czyliż cała przeszłość ziemi naszej, cała historia jej żywota nie jest dobitną i głośną nauką, iż natura w najsilniejszym ogromie swęj wielkości obojętną jest na oko człowieka, i że ona podziwienia jego nigdy nie miała na względzie; bo właśnie gdy planeta nasz odprawił młody wiek swój i burzył się dzikich sił potęgą, sztuka piękna nie zaznała go jeszcze.

Słuchaj, co mówią geologowie o onych lat tysiącach, co upłynęły niepowrotnie do wieczności łona; rzekłbyś, że ci plotki prawią, gdy na zasadach pewnych, na faktach niezaprzeczonych wysnuwają cały wątek przemian i wywrotów, jakie przecierpiała ziemia, nim te części świata nasze, te twierdze lądów osiadły ostatecznie na węglach swych. I księgi święte nawet wspominają o powodziach ziemię trapiących, a tak jakby pieczęcią wierzytelności potwierdziły głębokie prace, bystre badania umiejętności czasu naszego. Zapuć się w głębinę ziemi, rozświeć te jej tajniki ukryte przed światłem dnia białego; odważ te warstwy skalne, co jakby wiekiem kamienném późniejsze przywalily stulecia; tu jakby w podziemnym grobowcu znajdziesz hieroglifami wypisane dawne dzieje świata; myśmy się już teraz nauczyli czytać hieroglify te. Zanurzając się w głębie ziemi patrz jak te ławy i warstwy skalne jedne na drugich rozpostarte, niby karty kronik ziemskich, a znów po kilka lub po kilkanaście ich stanowią osobne grupy, oddziały, niby tomy oddzielne, z których każdy do innej wielkiej epoki czasu należy; wody je w długim i w bardzo długim przeciągu osadziły. Te ławy skalne atoli tu i owdzie pękły, rozwarły się, zesunęły i podniosły się w górę; tam znów są pogruchotane, wykręcone, a sprawcami tych wywrotów i nieładu pokładów były masy roztopione ogniem podziemskim, co z głębin wykipiając gąszczem rozpalonym, cisnęły się w górę, gruchocząc, podźwigując, rozrywając i przeginając ławy dziełem wód będące. Te masy wrzące ostygły, steżały w ciągu wieków; są to bazyalty, porfiry, gnejzy, granity sterczące grodami Alpów, Tatrów i gór olbrzymich ziemi naszej, i stanowią jakby jej wrzab i wiązanie. Tak, na rozkazanie Boże, ognie i wody były budownikami kształtów ziemskich, jako je dziś widzimy, a dzieje rodzenia się ziemi są pełne boleści, okupione śmiercią całego świata jestestw żyjących. Srożenie się dzisiejszych wulkanów, trzęsienie ziemi dające się uczuć po przez

pół oceanów przestrzenie, i owe podnoszenie się ładu szwedzkiego na ogromnej przestrzeni od Kalmaru do Torneo odbywające się do dziś dnia pod oczyma naszymi, toć wszystko jest niby drobiazgowo porównanie z gwałtami, jakich doznał niegdyś planeta nasz przez podźwiganie się onych skał ogniowych.

Przemiany te i wywroty wszystkich kształtów łądów ziemskich, przetwarzania takowe po kilka razy się powtarzały, a była ta tragedia świata z wielu, z wielu bardzo aktów złożona. Łądy, tracąc dno pod sobą, zapadały się w głębiach, a posada oceanów wyparta, wysadzona do góry, zalewała powodzią suchą ziemską; tak łądy stały się trzonem mórz, a dna oceanów łądem i zniknęło wszystko, co było żywe. Ale gdy wody się rozbiegły, a ziemia powiewem ciepłym wyschła, wtedy ustroiła się znów w łąki, knieje ciemne, trzciną i kwiatem dziwnego rodzaju, a na tej scenie nowi okazali się mieszkańcy nowego i dziwnego kształtu, a po grobowej ciszy natura zabrzmiała z całych piersi nową żywota pieśnią; aż gdy znowu na nią kolej przyszła, wszystko przepadło w żywiołów zamęcie, i znów morz padł na żywot wszystek, i znów dziki szum i grzmot rozhukanego morza zagłuszył wszelki żywota głos i sobą pochłoniął, a wszystko co na suszy było, pomarło. Ale duch Boży unaszał się nad wodami, i zawarte są źródła przepaści i okna niebieskie, a zahamowany jest deszcz z nieba i wróciły się wody z wierzchu ziemi idąc i wracając się. Nowe zaranie zajaśniało nad światem i obudziło umarłe życie, a natura znów przywołała jestestwa wszystkie do wielkiej żywota uczty. A jaka musiała być ta natura i to życie, już łatwo zgadniesz przypatrując się onym zabytkom w spuściznie z dawnych lat nam zostawionym, bo ona stara kośnica, ziemia nasza, pełna jest szczątków i resztek zwierząt i roślin. W głębi, do tysiąca stóp poniżej posady morskiej, znachodzimy w kamień obrócone kości zwierząt ssących, a nawzajem na szczytach alpejskich, na kilka tysięcy stóp wysokich, złożone są zabytki muszli, ślimaków i innych jestestw morskich. Gdy w Irlandyi znachodzą róg jeleni na 5 łokci długi, a 300 funtów ważący, Ehrenberg (*), profesor berliński, znów dowiódł drobnowidzem, iż w jednym granie *trypli* znajduje się 187 milionów zwierzątek mikroskopowych, które niegdyś żyły. Tak tedy cała kula była życiem hożem i pełnem siły, z którym porównana dzisiejsza, choćby uważana w onych puszczech zwrotnikowych powyżej ci wspomnianych, jest martwą i głuchą. Ale też pod wiecznymi lodowcami i nigdy nie topniejącymi śniegami podbiegunowej trupiiej strefy, odkrywamy skamieniałe reszty organicznego świata, będące tej samej istoty, co dzisiejsze nasze zwrotnikowe, mogące się tedy udawać tyl-

(*) Krystyn Ehrenberg, ur. 1795 r. umarł 1876, znany przyrodnik, autor *Mikrogeologii*, dzieła poświęconego badaniom minerałów, wytworzonych z rozkładu zwierzątek mikroskopijnych. (St.)

ko wśród spieków i waru ciepła. W zimnej północy Europy i Azji znachodzimy kości krokodyłów, słoniów i lwów, mających ojczyznę swoją wśród skwarnej strefy, gdzie nigdy nie ma zimy.

Nie mówmy, iż te cząstki splawione zostały falą oceanów, boć sposób, w jakim one pogrzebane są, jawnie świadczy, że w tych samych miejscach zginęły, kędy je znajdujemy. Weź np. one reszty palm i paproci w sąsiedztwie bieguna północnego znalezionych, a obaczysz, iż wszystkie ich cząstki, nawet najmisterniejsze, jako kwiaty i kity, w całości zachowane są; coby przecież być nie mogło, gdyby były falą z pod równika aż pod biegun przyniesione. Z tego raczej rośnie pewność, iż cała kula ogrzana była skwarem, ciepłem pochodzącem właśnie od tych podziemnych ogniów, co z głębi przygrzewając roślinom i zwierzętom, czyniły świat do szklarni podobnym, a wilgocią nasycona atmosfera, bujna i nowa ziemia, dodawały aż do zbytku siły i przesycaly sokami świat żyjący. Natura zwłaszcza kochała się w płodach dziwacznych i igrała fantastycznemi, pełnemi swawoli kształtami. Ni tu miejsce, ani czas potemu, żebym się miał nad tym światem tak osobiwym rozszerzać, pozwolisz tylko, bym ci kilka tych jestestw jakby na próbkę przedstawił; będą dostateczne, by okazać biedotę naszej dzisiejszej natury w porównaniu z pierwotną jej wielmożnością. Geologowie złożyli te zwierzęta doskonale z kości, jakby z mozaiki, a genialnie wysnuli wątek ich obyczajów i naturę.

Była epoka ziemi, mówią geologowie, osobiwie obfita w płazy, a były one olbrzymie, bo z kościotrupów znać, iż miały do 100 stóp długości. Czyliż ci wspomnieć o onym ichtyosaurusie długim do 30 stóp, co to był na pół rybą, na pół jaszczurem, a łączył w sobie kształty zupełnie różnych od siebie zwierząt, bo kręgi rybnie, głowę jaszczurczą, pletwy wieloryba, ogon tęgi, ogromny, w paszczy 180 zębów krokodylich, oczy tak wielkie jak głowa męzka, a tak sztuczne, że mu do wszystkiego służyły. Gdy je ścisnął lub na wierzch wysadził, miał z nich wyborne mikroskopy i widział co najdrobniejszego, a gdy je roztworzył, zamieniał je na teleskopy i dostrzegał najodleglejszych przedmiotów? Wiesz, że ten ichtyosaurus zjadał społecznego mu towarzysza wód plesiosaurusa, podobnego jemu dziwaka: ten miał 12 stóp długości, tułów i ogon jakby u zwierza ssącego, pletwy wieloryba, zęby krokodyla; nurek to był wyborny, bo miał płuca ogromne i silne, szyję długą jak wąż, legiwał sobie snąć w trzcinnie nad wodą, kędy strzelał głową na wszystkie strony za mniej silnemi zwierzętami; zaiste jednak nie dostał placu ichtyosaurusowi. Czyli może wolisz onego osobiwszego pterodaktyla, co to był pół ptaka, niby nietopérz, ale ogromnej wielkości, a miał w paszczy 60 zębów krokodylowych, a oczy nadzwyczajnej wielkości, bo zapewne w nocy polował, co mu to że skrzydeł wychodziły niby palce, zakończone długimi szponami, nogi tylne tak silne, iż złożywszy skrzydła wygodniej na nich stać mógł, a u nóg między palcami były błony do

plywania. Otóż o nim to Buckland (*), sławny geolog angielski, powiada, że miał wszystkie zalety szatana w Miltonie, bo mógł, gdy mu się podobało, latać po powietrzu i z niego spadać na zwierzęta, pływać po wodach i chodzić dowolnie po lądach. O tych ogromnych żółwiach, hyenach, lwach, tygrysach, słoniach i t. d., z którymi porównane nasze dzisiejsze nikną i są drobną fraszką, ani ci już wspomnę.

Lecz natura pierwotna nietylko w kościach skamieniałych zostawiła nam po sobie dziedzictwo, ale obwijając swoje przedpotopowe muszki i robaczki bursztynem, lub mroząc biegunowem zimnem ciała potworów, udarowała nas niby pamiątkami dzieł swoich. Dawnoż to, jak przy ujściu sybirskiej rzeki Leny, kry przywiezły z pod bieguna zwłoki pierwotnego zwierza; trzy lata leżał sobie nietknięty, bo lody broniły przystępu, aż nareszcie zdobył go przecie naczelnik tam mieszkających Tunguzów. Był to mamut w całej zupełności, bo z ciałem, kośćmi i sierścią, jak gdyby przed kilku dniami zmarły. Tunguzom zdawało się, że najstosowniej uczczą ten stary ułomek zapomnianego świata, skoro jego mięsem nakarmią psiarnię. Coć się i stało. Tym sposobem owo zwierzę, świadek zaiste potopu, przechowany pod opieką wiecznych mrozów przez tyle tysięcy lat, skończył tak mizernie karierę swoją i dopełnił przeznaczenia swojego. Szczęściem szkielet prawie cały i szmaty skóry, uratowane na czas przez uczonego rosyjskiego, znajdują się dziś w muzeum petersburskiem. Ba! ale pocóż nam Leny, blisko nas, bliżutecznie znalazłbyś podobnych Tunguzów.

Jeżelim ci się może zbyt rozpiśał o owych zwierzętach kopalnych i o owych dziwoleźnych potworach, alem sobie do takich zboczeń wyrobił przywilej u ciebie, a uczynilem to zaiste nie dlatego, aby mogły być wzorem piękności, bo téj pretensyi nie mógł mieć zapewne ani on pterodaktylus lub plesiosaurus i towarzysze ich, ale miałem raczej na celu okazać bujność, siłę i fantastyczność nieprzebraną natury owéj. Ledwie najśmielsza wyobraźnia zdola w myśli skreślić sobie, choćby słabym zarysem, on żywot, co wrzał na łonie pierwotnych epok czasu naszego. Również ogromne a nawet ogromniejsze i fantastyczniejsze jeszcze było państwo roślin, bujające w promieniu słońca a ocieplone dojmującym skwarem własnego planety. A jeżeli świat zwierzęcy właśnie dla bujności téj natury porannéj wypaczał się we formy dziwaczne, toć zaiste ta sama potężność sił przyrodzonych stwarzała świat roślinny najwyższej piękności; w niej, jak myśle, estetyczność przyrody pojawiała się w całym blasku zamożności swojej. I być inaczej nie mogło, naprzód zbudowały się góry, doliny, twierdze i morza i cała natura nieorganiczna; później wybujała przyroda państwem roślinném, później świat zwierzęcy nabrał kształ-

(*) William Buckland, profesor uniwersytetu Oxfordzkiego, ur. 1784 um. 1856, starał się pogodzić rezultaty badań geologicznych z poglądami Biblii. (St.)

tów doskonalszych, a gdy już dom był gotowy, wtedy zjawił się dopiero sam pan téj natury — człowiek. O téj roślinności pierwotnego świata my już w dzisiejszej epoce wyobrażenia nie mamy, społeczne nam lasy i bory choćby zwrotnikowe są słabym tylko odcieniem téj młodej potężnej natury. Dowodzą tego puszcze całe skamieniałe, w głębiach ziemskich zamknięte lub schowane na dnie morza, a nade wszystko one ogromne ławy i kopalnie węgla kamiennego, nie będącego niczem inném, jak przeobrażonemi zabytkami borów pierwotnych; a strojne i pełne kokieterii kwiaty, kity, gałązki niby malowane, zdobią jakby pokojowe obicia paryżkie ściany kopalń węglowych, wysadzają ich stropy wieńcami i gałązkami przesłicznych i cudnych rysunków. Te puszcze zwęglone, te olbrzymie drzewa i bogactwo skamieniałych roślin są zwiędniętym wiankiem weselnym staréj matki ziemi naszej. Lecz czemuż był człowiek w onych świata epokach? Otóż wśród tych zwłok, wśród stosów kości, co jakby cmentarzem zasypały skorupę kuli naszej, dotychczas nigdzie a nigdzie nie znaleziono kości człowieczych. Czyliż wierzyć, mówi Cuvier, że człowiek nie patrzył jeszcze na te przeobrażenia się świata?

Nie wdając się w zaciekania pod tym względem, to przecież pewna, że tych epok nie zaznała historia człowieka, i że je tém mniej sztuka zaznać mogła. Natura w chwilach, gdy była olbrzymich sił i rozwijała całą potęgę panowania swojego, była zupełnie obcą dla pamięci człowieczego rodu. Bo natura stroi się sobie i Bogu na część, ona obejdzie się bez człowieka, ona sama sobie jest celem i samolubnie w siebie się patrzy. Ale piękność sztuki jest rozmową duchów, jest uroczystością weselną, w której niebo i ziemia odprawiają śluby swoje: a na to święto a wesele wezwani współbracia wszyscy, współbracia w duchu. Sztuka piękna, łącząc czarem swéj potęgi w jedno wielkie koło wszystkie jestestwa nieśmiertelnością natchnione, jest hasłem i językiem wszystkich narodów i wieków. Cześć i zamięłowanie piękności jest spólném sercem świata, z niéj jakby krew rozdziela się ciepło i życie na wszystkie jestestwa rozumne i na stulecia wszystkie. Sztuki piękne samotne, bez współczucia, nie miałyby wagi: one są wspólnym udziałem świata całego; wszak, gdy zabrzmiały srebrne struny jednéj liry wylewając się śpiewów potokiem, już i milczące jéj siostry zadrgają w sobie i z cicha szepejąc zawtórzą wiekuistej pieśni. Życie sztuki jest zupełnie duchowe, przybrane jedynie w materii szaty i na wzajemności stoi. Natura zaś sama jest materyalna tylko i obchodzi się bez wzajemności i współczucia.

Widzisz tedy, iż ze wszystkiego, com powyżej rzekł, wypływa głównie ta prawda, że człowiek, choćby nawet chciał, nie jest mocen naśladować naturę; wszak nawet mistrz, czyli rączéj kopista najskrupulatniejszy nie zdoła udać ani jednego listka tak dokładnie, aby już nie było różnicy między jego kopią a rzeczywistym listkiem; a w końcu pytamy, na coby nam się zdała sztuka cała, gdyby jéj

chodziło jedynie o naśladowanie niewolnicze, o kopie tego, co już posiadamy rzeczywiście w naturze, w oryginale, bez wszelkiej pracy.

Zważ jeszcze, ta niemożność wiernego kopiowania natury sama już przez się okazuje, że sztuka inne ma powołanie, że ona nie powinna naśladować natury. Natura choć tak wielka, tak wspaniała, jest doczesności córą: na jej jestestwa biją przypadki tutecznego świata, żadne z nich nie zdoła się rozwinąć z całą swobodą, z całą pięknoscią swoją; na każdym z tych jestestw ciąży jakby kłatwa pierworodnego grzechu, niedostatek i bieda ziemską i śmierć. Nakoniec chciej baczyć: każde jestestwo natury, choćby się jakimś szczęśliwym trafem rozwinęło swobodniej, piękniej, przecież i w tym tak nadzwyczajnym razie będzie tylko wyobraźnikiem swojego rodzaju, swojego gatunku, a tén samém wyjawi tylko jedno ogniwo całego łańcucha natury, jeden jej ułomek; dzieło zaś sztuki pięknej jest całością, a całością w najwyższém znaczeniu, bo w niem przebywa duch wiekuisty, nieskończony. I to jest różnicą najogromniejszą zachodzącą między dziełem sztuki a jestestwem przyrody, i to jest powodem, dla którego sztuka nie może i nie powinna być naśladowaniem natury. Do téj prawdy jednak, tak ciężkiej wagi, często jeszcze powracać będę; co tutaj wyrzekłem, niechaj w téj chwili nam wystarczy.

Lecz równie obaczmy na inném miejscu dokładniej jeszcze ogromną wartość, jaką ma dla mistrza zapatrywanie się świeże, miłości pełne, na naturę; tutaj tylko powiemy, że gdy mistrz ma łączyć w jedność świat duchowy ze zmysłowym, więc z przyrodzonym, niechaj otworzy duszę swoją i serce zjawiskom zmysłowego świata, niechaj skąpie serce w źródle wiecznie świeżym uroków natury, a wzmoże się uczuciem, a spotęguje się natchnieniem, i obroni się wszelkiej niemocy mogącej spaczyć myśl i zapatrywanie się jego na świat.

Miłość do natury i jej pojawów stanie się dla każdego człowieka, i mistrza i nie mistrza, jednym z aniołów stróżów, co go wiodą przez życie i świat, dodając otuchy i pociechy wśród chwil smętnych i opuszczonych na pielgrzymce jego żywota.

Wszak duch nasz i natura zarówno wyszły z twórczej dłoni Bożej; czyliż więc się temu dziwić, że te ciche tony mądrości, te mistrze wszech światów, brzmiące w jestestwach przyrody, budzą téż w sercu naszym spokrewnione im muzyki. Duch nasz tedy znajduje w pojawach zmysłowej natury odpowiednią sobie symbolikę. Co w duchu jest myślą, uczuciem miłości, nadzieją i wiarą, to on widzi przed sobą w przestrzeni, w téj biednej martwej naturze, lub w senném życiu bezduchowego świata. Niechaj tedy młodzieniec każdy pozna tę naturę, niechaj wiedza jego spina się po wszystkich jej szczeblach, poczynawszy od atomku, co igra w eterach promienistych, poczynawszy od zawiązku błyszczącego kryształka, co buduje ścianki swoje około

niewidomego punktu niby serca swojego, od żyjotka, co jest dopiero punktem drgającym; a niechaj się ta wiedza posuwa coraz wyżej, na coraz wznioślejsze natury przyczół, aż się nie zatrzyma przed postacią człowieka! Gdy tu wiedza badawcza stanie, już ona nawykawszy do wznoszenia się od stopnia do stopnia, uzna, że i ta postać doczesna człowieka, choć pełna uroków, choć ostatniem natury słowem, nie jest przecież ostatniem słowem Królestwa Bożego, a myśl, zdjeta tęsknotą nieskończoną, urosnie w skrzydła wiekuiste, rozepnie te skrzydła swoje, i jakby ptak wędrowny uniesie się w inne światy, w światy duchów, kędy już nie omdleją skrzydła, kędy nie umierają kwiaty, a serce nie zapłaczę boleścią!

Gdy młodzieniec pokocha z całego ciepłego serca tę naturę, i zrozumie mowę martwych kamieni i skał, gdy pozna żywoty robaczków brzęczących po ziołach, i orłów tatrzańskich loty, gdy się nauczy mowy lasów ojczystych co mu prawią tajemnice w gaworze swoich drzew, gdy się nauczy witać po imieniu te kwiaty, co mu rosną po łąkach ojczystych, po mogiłach i grobach; gdy zdola czytać w tych hieroglifach, co mu się jawią na niebie w rozlotnych kształtach obłoków, lub w mglistych postaciach gór na widnokręgu; gdy młodzieniec całą naturę zamknie w sercu swoim, już ta natura odda mu stokrotnie te miłości jego; ona ostudzi palące biedy życia i ukoji zadane od ludzi sercu rany, ona mu będzie księgą do nabożeństwa, na której zamodli się duch jego Panu. Ta miłość do natury będzie młodzieńcowi obroną od myśli niedobrych i utwierdzeniem w cnocie. Szepty borów stron rodzinnych, kwiaty na grobach ojcowskich, co słuchały uczuć młodocianych, gdy w głębi duszy swojej zaślubił się zacości i prawdzie, będą mu talizmanem przez życie chroniącym serce od skazy.

Lecz znajomość natury i jęj spraw ściśle spokrewniona z estetycznym zapatrywaniem się na naturę (ob. wyżej). Tajemnice przyrody, to jęj życie ukryte, ciche, stanie się dla młodzieńca artystyczności zarodem. Bo miłość jego do tęg przyrody Bożęj wleje w te jestestwa stworzone ducha, ożywi je ciepłem własnych uczuć, uczyni z nich piękności dzieła, bo przebaczy niedostatkom jestestw natury i uzupełni je, nadając im wdzięki własnej duszy swojej. Co biedne i ułomne w rzeczywistości, to on dojrzy jakby jasnowidzeniem wzniezione do uroków nadziemskich, a ciężkie, grube tuteczne zjawiska staną się przejrzyste, niby przeświecone własnym duchem, staną się lekkie, eteryczne, bo uskrzydłone lotem własnych uczuć jego. Tak każde jestestwo, co jest ułomkiem świata, w oczach człowieka z duszą ciepłą zmartwychwstanie wdziękiem i stanie się własnej jego wiekuistości prorokiem.

Prawda, że usposobienie różnych ludzi tak jest różne, że nie każdy zdola równie snadno ubrać sobie świat promieniem i barwą własnej duszy, ale przecież każdy z nas winien, ile go stać, nawyknać za-

wczasu do zapatrywania się estetycznego na naturę (*). Wszak dziś zwykle młodzież uczy się rysować; nie przecząc bynajmniej tym korzyściom, które powszednio przypisują tej nauce, myślę atoli, że najwyższa korzyść, która z niej płynie, jest zaiste ta, że ona przyucza młodzież, jak ma mieć oczy otwarte na ten piękny Boży świat, jakto widzieć wszystkie szczegóły i zrozumieć najcichsze mowy, któremi przemawia stworzenie każde. Mniejsza już, że później, gdy go życie obejmie grozą i powagą swoją, rzuci ołówki i pędzle swoje; wprawa nabyta do poglądu na naturę zostanie mu na zawsze, na życie całe, jemu będzie w koło natura prawić i śpiewać, on zrozumie jej mowy i pieśni, on dojrzy piękności, które nastreczy świat natury; te piękności płynąć będą tysiącnym strumieniem w duszę jego, tyśięcznym zdrowiem, co odświeży, odmłodni uczucie jego. Natura będzie mu królestwem i państwem pełnem wesela i najczystszych rozkoszy, a gdy tak spotężeje na duszy i sercu, wtedy się może stanie, że i na niego przyjdzie chwila zachwycenia i że z miłośnika natury dźwignie się w mistrza. Ale choćby kochanek przyrody i nie był artystycznej piękności wybrańcem, toć przecież dla siebie będzie mistrzem, i w naturze, w której się rozmiłował, obaczy postaci i obrazy ducha swojego, wśród świata materialnego obaczy własnej nieskończoności spojrzenie, wśród nizin tutecznych zajaśnieje mu błyskawicą wiekiistość!

Śluchaj, w tej chwili, gdy to kreśliłem, dzwony rozlegają się po nocy i głoszą światu, że sam Bóg zstąpił z Majestatu, stał się człowiekiem. Dziś wigilia Bożego Narodzenia, a dzwony jakby muzyką rozplywają się falami po świecie chrześcijańskim, jedno drugiem niosąc uroczystą wieść, że słowo, co było na początku u Boga, stało się ciałem i zamieszkało między nami, a gwiazda, zwiastuna Boża, zaświeciła nad biedną strzechą człowieka. Świat zadrżał w sobie zbawienia hymnem i poznał, że materji państwo doszło końca swojego, że nie ma więcej znaczenia i wagi, a ciało i natura jest tylko jeszcze naczyniem nieśmiertelnego ducha, co nie ginie na wieki.

(*) Niepomału do tego celu pomogą studia estetyczne natury i wczesne zwrócenie uwagi choćby na najdrobniejsze szczegóły świata fizycznego, jak tego dokonał wielce znakomicie autor dzieła *Estetyka czyli Umiejętność Piękne* w Tomie II, obejmującym piękności natury we wszystkich pojawach. To dzieło uwalnia mnie od rozszerzania się nad tą osnową.

LIST PIĄTY.

Stosunek sztuki do zmysłów i do rozumu.

Powołanie zmysłów. — Wzrok i słuch są jedynie zmysłami będącymi w stosunku do sztuki pięknej. — Różnica ich od innych trzech zmysłów. — Przyjemność zmysłów nie jest celem sztuki. — Przeważanie strony zmysłowej w sztuce dowodzi jej poniżenia. — Czas malarzy *Huet* i *Boucher*. — Przecież bez zmysłów potęgi nie byłoby sztuki. — Wielkie znaczenie świata zmysłowego. Skon. — Czasy poniewierania światem zmysłowym nie są dla sztuki przyjazne. — Pierwsze czasy chrześcijaństwa. — Symboliczność. — W sztuce nie wyraża się pojmowanie rozumowe. — Allegorye. — Shakespeare i Leonardo da Vinci. — Dzieła sztuki przed sądem zimnego rozumu. — Podział sztuki pięknej na różne jej rodzaje.

Słowem wiekuistém stworzenia całe natury państwo wywołane z nicestwa łona, by o Bogu świadectwo dało. Proszku atom, co drga i krąży wirem w słonecznym promieniu, i gwiazd wojska, co chodzą po rozpostarciu niebieskiem, niby wieczności zegar, odmierzając światu, jakby minuty i godziny, upływające wieki całe i lat tysiące, i dębu przyszelego ogromność zwinięta jak w myśli twórczej w ciasnej łupinie żołądki swój, i wszystka dusza żyjąca, którą ziemia wydawa, i wszystko, co jeszcze żywe w powietrzu, we wodach, i na łąkach, stworzone jest każde wedle rodzaju swojego. Ale w środku wszechnicy jestestw postawiony człowiek, sam jeden stworzony na wyobrażenie Stworzyciela i Ojca na niebie, dlatego doskonałość i potęgą wszystkich jestestw gromadzi się w cielesności jego, niby w ognisku spólném; a jak słońce poranne świeci wspaniałością swoją w rosy kropelce drżącej na listku, tak w duchu człowieka świeci iskrą wielkość i majestat Boży.

Gdy Bóg stworzył świat i widział, że wszystko, co uczynił, było bardzo dobre, stworzył i człowieka; a w oblicze jego tchnął dech swój, by człowiek poznał i zrozumiał ten świat. Poczém sam przywiódł wszystkie jestestwa przed człowieka, aby obaczył jakoby je nazwać miał i panował nad niemi.

Otóż te są zrodzenia niebios i ziemi, tak pełne grozy i wielkości zarazem, objęte w Piśmie Św., w onej księdze wszystkich ksiąg, co po wieki wszystkie będzie prawdą. A tak więc z prosta i tak głęboko oznaczony już na zawsze stosunek człowieka do fizycznego świata. Prawo nadawania imion rzeczom stworzonym, jest upoważnieniem rozumu naszego do zgłębiania dzieł stworzenia; a nadanie panowania nad światem zmysłowym dowodzi przewagi duchowej człowieka nad dziełami przyrody. Prace zaiste umiejętności przyrodzonych ten mają jedyny sobie cel, by pojąć i zgłębić istotę wszech stworzeń i podbić sobie naturę całą. Jest to przywilój człowieka, nadany mu

od początku, a nikt mu go nie odbierze. Obeszłoby się tedy bez sofizmów i dowcipnych teorii w tym względzie, i bez onych westchnień a pokornych lamentów, że człowiek pojąć nie zdoła tajemnic natury; odsłoni on niechybnie te wszystkie, na których mu tylko zależeć może — *Sapere aude* (Miej odwagę badać, zrozumieć)!

Jestestwa zmysłowe są myślą twórczą powleczone, jakby skorupą, materyą głuchą, a do téj skorupy przystęp mamy przez zmysły; one są tedy sługi duchowe, znoszą przed nas świat fizyczny, niby ośnowę dla myśli, podają one nam rzeczy tak, jakimi się z wierzchu być wydają z całą ich plewą; rozum zaś dochodzi, czém one są w sobie i co ich treść a istotę stanowi, w czém są do siebie podobne, lub w czém znów różne mimo pozornego podobieństwa lub różnicy ich. Dochodzi ich wewnętrznego połączenia i wzajemnego ich na siebie działania i téj pierwotnej myśli stworzeń, co jest dnem wszech rzeczy i, że tak rzekę, ich duszą, i co jakby iskra galwaniczna, ręką Boga puszczone, płynie i drga przez cały łańcuch jestestw aż do ostatniego ogniwa, którem jest człowiek. A ta téż zawsze będzie różnica między pojmowaniem rzeczy ludzkim a zwierzęcym. Zwierzę bierze świat fizyczny li zmysłami samemi, dbając o to jedynie, czém rzecz jest dla niego; człowiek pojmuje rzeczy, czém one są same w sobie, i jak one się mają do siebie nawzajem. Dlatego téż mniejsza lub większa bystrość zmysłów w pojmowaniu natury nie stanowi wcale, bo pod tym względem człowiek wielu zwierzętom ustąpić musi pierwszeństwa; ale téż brak doskonałości zmysłów wynagradza narządami, które sobie wymyślił, a duszą swoją przenika wskrós ich istotę. Branie przeto jestestw przyrodzonych li ze samej ich zewnętrznej strony, ze samej ich formy zmysłowej jest bałwochwalstwem, jest światłobożeństwem, jest oddaniem czci fetyszom, kłanianiem się światu materyalnemu.

Z drugiej strony atoli również jest prawda, że gdyby umiejętność chciała naturę pojmować samą czystą myślą, samem gołym abstrakcyjnym rozumowaniem, gdyby sobie rościła lekkomyślnie prawo wyrokowania o zjawiskach przyrody z zamkniętymi oczyma, niby na pamięć wedle widzi mi się swojego, jużby przestała być umiejętnością, byłaby marzeniem pustym, bezważnym. Taka nauka zaiste niedobrałaby się nigdy wewnętrznego znaczenia jestestw stworzonych. Umiejętność winna pamiętać, że choć każde zjawisko przyrodzone jest tylko powłoką, łupiną myśli twórczej w niem zamkniętej, toć przecież właśnie ta myśl jest powodem, że to zjawisko się pojawiło, ona jest jego prawem; to zjawisko jest tedy odpowiednie téj myśli, w nią ukrytej wielmożnej, choć cichej. Dlatego te zjawiska, ta niby zewnętrzna łupina jest właśnie hieroglifem téj myśli wewnętrznej, jój wyrazem. Niechaj tedy umiejętność nauczy się czytać hieroglify takowe, niechaj przypatrzy się pojawom zewnętrznym a pilną, niezmęczoną pracą czyni spostrzeżenia a doświadczenia, niechaj pozberra naprzód fakta, a wnet ten świat widomy, dotykalny, wypowiedzi

nam duszę swoją i roztoczy jakby najskrytszą treść sumienia swojego.

Jeżeli zaś tak się rzecz ma z przedmiotami natury, jeżeli tutaj dwie są potęgi, bo zmysłowa jedna a nadzmysłowa druga, cóż dopiero rzec mamy o dziełach piękności! bo i w nich schodzą się również dwa światy, ale oba są spotęgowane, oba występują wolne od ułomności ziemskiej. Wszak rzekłem już w liście przeszłym, że jestestwo rzeczywistej natury choćby szczęśliwym trafem rozwinęło się wyższą pięknoscią nad inne tegoż samego rodzaju jestestwa, toć przecie ono będzie jedynie doskonalszym wyrazem tego rodzaju swojego, będzie tylko wyjawem myśli tego rodzaju, który atoli sam jest tylko ogniwikiem jednem w całości natury. Gdy jednak ten sam przedmiot będzie przez sztukę zrodzony, już wtedy on obejmie w sobie nieskończoność, a rodzaj, który się w nim wyrazi, stanie się tylko czemś podrzędnem, będzie tylko przyborem chwilowym, w którym się pojawia ducha naszego wiekuistość. Ta strona widoma, zmysłowa, będąc przybytkiem gościa z innego świata, wyjawia tę treść swoją wiekustą, niebiańską, bo piękność nie z ziemi zrodzoną, tak strona ziemską widoma, materyalna, stanie się duchem widowym, a duch, będący treścią dzieła sztuki, uzmysłowi się w postaci.

A więc dzieło piękności, będąc ślubem między niebem i ziemią, duchem i materią, ma dwie strony, które zarazem przemawiają i do zmysłów twoich i do wiekuistego ducha, a tém samém wypływa, że wyłączna przewaga jednego z tych dwóch pierwiastków zrodzi i w samém dziele sztuki spaczenie, tudzież wykrzywi zapatrywanie się na te piękności dzieła.

Zaiste, stanowisko li zmysłowe w sztukach nie popłaca: jest nie-stosowne, krzywe i bywa zawsze oznaką jałowizny serca i dzikości lub zepsucia umysłu. A przecież znajdziesz takich czcicieli fetyszów na różnych stopniach społeczności towarzyskiej, a co więcej, zostawione są ich ślady liczne, w historii sztuki. Są ludzie, dla których sztuki piękne o tyle wartości mają, o ile im zmysły głaszczą: architektura, rzeźba, malarstwo, muzyka i poezja, są dla nich bawidłem zmysłów; pojmują isticie oni tak sztuki, jak pojmuje botanikę kózka, objadająca rzadkie rośliny i kwiaty. Kto jest zdania, iż sztuka dla zmysłów stworzona, znać, że nie ma ich spełna, bo zmysłów, jak wiadomo, jest pięć, a dwa z nich tylko, bo wzrok i słuch mają styczność z dziełami sztuki pięknej. Gdyż inaczej, pan Jan Marya Farina w Kolonii, co od wieków wyrabia te swoje wódki wonne, lub jaki przesławny restaurator paryzki, albo jaki siódłarz doskonały, lub garniarz, byliby również artystami, jak Bethowen, Canova lub Overbeck i Byron. Porównywając następnie one dwa zmysły, będące w stosunku ze sztuką, widzimy, iż one właśnie ze wszystkich są naj-szlachetniejsze, i są li teoretyczne, bo nie naruszają wcale ani zużywają przedmiotów swoich.

Na arcydzieła architektury, rzeźby i malarstwa patrzą się narody

długim szeregiem wieków, a onych dzieł tém patrzeniem nie ubyło wcale, o ile ich żywy nie pojadły, albo świętokradzka ręka nie dotknęła; trwają na cześć rodowi człowieczemu i stoją na podziwieniu wszystkich stuleciów, tak pełne jeszcze piękności i okazałości, jak w pierwszym dniu zrodzenia swojego. Od wieków lud krakowski oblega ołtarz maryacki, one arcydzieło naszego Wita Stwosza; od wieków to grono świętych postaci króluje w tym przybytku swym, a duch ich, jakby gość z innego świata, rozrzewnieniem spływa w serca wszystkich pokoleń, co jakby fale morskie tłumem przychodziły tu z kolei swój, by na tych stopniach krzyżem leżeć, modlić się i wypłakać żale swoje przed dziejami Matki Dziewicy. Słodkie i wzniosłe duchem Haydena harmonie, poruszały już serc tysiące i zatętniały jeszcze w duszy tysięcy, i nie zaginą one, i nie braknie ich nigdy, jak nie braknie słońca, co ociepla i oświeca z każdym zaraniem istot miliony. A jak na początku swojego stworzenia, nieśmiertelne morze, tocząc z hukiem bałwany swe, grzmiało i grało niby organy w świątnicy natury, tak Homerowe pieśni, wypłynawszy ze strun lutni starego wieszczka, grzmiały i grały jeszcze z dalekich lat, po przez burze wieków i państw zwaliska.

Dzieła sztuki pięknej, przyniesione do duszy słuchem i wzrokiem, są jakby światło i atmosfera; wszyscy się niemi cieszą, a przecież ich nie ubywa; każdy w nich rozkosz znajduje, nie czyniąc tém uszczerbku drugiemu, choć je każdy całkowicie i w zupełności posiada. Gdy tymczasem owe trzy inne grube zmysły nie lubią żadnej wspólności, bo one z natury swój trawiają i zużywają przedmiot swój. A jak woń jest rozkładem ciała pachnącego na atomy swoje, zatem wietrzeniem, znikaniem jego, tak przedmiot miły smakowi rozplynać się pierwsi musi i rozłożyć na cząstki. A jak i z obiadów nie trwała po ciecha, a najmiłszy i najcieplejszy ogień kominkowy gaśnie i wypala się, tak też najdoskonalsze karło się zużywa. Zmysł albowiem smaku, powonienia i dotykania (*) są szczeremi samolubami, bo poświęcają rzecz przedmiotem ich będącą, a to dlatego, iż wprost i bezpośrednio stykać się muszą z tym przedmiotem, przemawiającym do smaku, powonienia, lub miłym w dotykaniu. Trzy też zmysły te nie mają żadnego stosunku z dziełami sztuki pięknej. Przeciwnie, wzrok i słuch przez pośredniki tylko są w związku z przedmiotami, a tymi pośrednikami jest światło i atmosfera. Atmosfera, ten płyn czysty,

(*) Nowsza psychologia i estetyka przypisują *dotykowi* daleko większe znaczenie, wykazując jego udział przy wytworzeniu wyobrażenia o stosunkach *przestrzennych* świata zewnętrznego. Zob. *Al. Bain*, The senses and the intellect. 1868, str. 159 i nast. *H. Spencer*, The principles of Psychology. 1872, T. II, str. 232 i nast. *W. Wundt*, Grundzüge der physiologischen Psychologie. 1874, str. 478 i nast. *W. Volkman*, Lehrbuch der Psychologie. 1875, T. I, str. 280 i nast. Z pomiędzy estetyków, szczególnie *Rob. Zimmermann*, Aesthetik. 1865, T. II, str. 483 i nast. wskazuje na *dotyk* jako na zmysł *plastyczny* par excellence. (St.).

lekki niby oddech kuli ziemskiej, służy muzyce i mowie; dźwiękiem poruszone powietrze, zadrgawszy w sobie jakby falami wody rozplywa się dalej i dalej, nim uderzy w słuch. A światło, ono dziwne jestestwo, nieważkie, w mgnieniu oka zalewające niebiosy jasności oceanem, jest jakby krynica życiodawczą natury i niby odbłaskiem Bożego spojrzenia. Światło należy na polu do cielesnego, na polu do duchowego świata; dlatego też jest pośrednikiem między światem fizycznym a najzacniejszym zmysłem, boć oczy są nieśmiertelnego ducha ogniskiem i słońcem śmiertelnej powłoki naszej. Trafnie też powiedział ów Leibnitz, iż światło tylko dla człowieka istnieje, on je sam jeden widzieć zdoła, zwierzę widzi tylko oświecone przedmioty. Słuch i wzrok są zmysłami nieskończoności; wzrok roztacza się po ogromie gwiazd i światów wszechnicy, jak duch nurzy się w głębinach własnej swojej istoty; a słuchu potęga, do melodyi i muzyki zwrócona, słyszy w niej nieskończoności mowę, rozumie w niej westchnienia lat, które dawno już przeszły, pociechy i żale wieków; co się dopiero kiedyś zrodzić mają: bo muzyka jest kwiatem urosłym na przeszłości grobach, a wyjawiając zarazem co w sercach dnieje, staje się przyszłości wróżą. Dwa tedy te zmysły, słuchu i wzroku, są jedynie godnymi pośrednicami między duchem człowieka a dziełami sztuki.

Gdyby nam jedynie o przyjemność zmysłową chodziło, sztuki piękne wcaleby były bezużyteczne i zupełnie niepotrzebne, boć rzeczywiste przedmioty silniej do zmysłów przemawiają, aniżeli wszystkie pięknej sztuki dzieła. Kobieta żywa, choćby tylko zwyczajnych powabów, więcejby miała uroków, niż owa Wenus Tycyana w trybunie florenckiej; a choćby sam Franciszek Snyders wymalował pobitą zwierzyne, mniejszejby była wartości, niż rzeczywiste zające i sarny, zwłaszcza rozłożone już na półmisku. Dlatego cześć tym, co jawnie i pocziwie, bez obludy, ogłaszają się wielbicielami rozkoszy ziemskich, nie chowając smaków swoich pod pozory uczuć estetycznych. A znajdziesz wszędzie zwolenników zdania takowego, chociaż się ukazują pod różną formą. Gdy biedacy mieszkający pod biegunem uważają tran za szczyt ziemskiej szczęśliwości, mażą nim usta drewnianych swych bożyszczy; u nas w strefie nieco cieplejszej, a zatem oświecieńszej, nie jeden w braku bałwanów struganych, sam sobie tę cześć oddaje, zbierając wszystkie promienie swęj myśli w ognisku kuchenném, i myśląc jedynie nad tem, jakby się tu najsmaczniej uraczyć, co przecież nierównie jest dowcipniejszém i zacniejszém niż ów śmieszny obyczaj ciemnych Grenlandczyków i Samojedów.

Rzecz jawna, iż bez zmysłów nie byłoby i sztuk pięknych; noc głucha, ciemna, niema, pokrywałaby świat dokoła; mimo to jednak, słuch i wzrok nie są bynajmniej dostateczne, aby być mistrzem w sztukach pięknych, a nawet, by w nich smakować. Piękność estetyczna, samemi zmysłami pojęta, jest to księga pisana w nieznanym nam

języku i obcemi głoskami. Widzimy jedynie kréski czarne i znaki, ale nie zdołamy zrozumieć słów, ani pojąć myśli autora. Nie ma nawet wątpliwości, iż gdyby ogień wyższy, niebiański, nadmysłowy, przyświecający nam, wygaś, jużby człowiek, zostawszy szczerem jestestwem zmysłowém, zrównałby się ze zwierząt czeredą. Zaiste, właśnie ta wyższa natura człowieka uszlachetnia nawet i samą tę zmysłowość jego. Jakoż ślepy instynkt płciowy zwierząt uzacnia się w nas miłości płomieniem i dusz współczuciem; nawyknienie ich do legowiska i nor, jest u człowieka świętém kraju swojego miłowaniem; ta troskliwość samie dla młodych, przeniesiona w ludzką sferę, staje się macierzyńską miłością, co w dzieciach swych nie tylko krew krwi swęj widzi, ale nawet rosnącą nadzieję społeczności całej. Ta miłość matki, gromadząc się niby w dziecięciu swoim, wylewa się zarazem na cały ród człowieczy.

Sztuki piękne mają istic stronę zmysłową swoją i nią są zwrócone do strony cielesnej człowieka. Część materyalna sztuki jest tedy jednym z dwóch koniecznych jęj pierwiastków, jest ona jedną połową jęj istoty, a drugą, jakęśmy już powtórzyli, jest jęj żywioł duchowy. Jeżeli sztuka przerzuci się cała w stronę cielesną, służąc niskim chęciom człowieka i gorszej jego połowie, już téż to będzie oznaką upadku społeczności i próchnienia podwalin towarzyskich. Szczęściem, w naszych czasach i w naszych tu stronach znajdziesz jedynie jeszcze na pokątnych śmieciach towarzyskich smak w bezecnych obrazkach, w wierutnych wierszach, powieściach lub wszetecznych tańcach; nie wznoszą się one nigdy w sferę pocziwego wychowania, ani się nie osmielają nigdzie na jawie okazać. Nie zawsze atoli tak bywało, owszem całe wieki i wszystkie klasy ludzi kąpały się w kole rozbestwionych obyczajów. Świadkiem tego jest sama sztuka we Francyi w ciągu upłynionego stulecia. Już na czasy Ludwika XIV, jakaś wrzekoma wielkość padła jakby puchlina, blada, rozdęta, a w środku pusta i bez treści. Dymy kadzidel i pochlebstw jakby nad cnotą umarłą osłaniały nędzę i biędę tak umysłową jak i materyalną, a bohaterowie ówczesnej historyi na szczytach komedyanckiej wielkości, lśniły kłamliwym szychem i przystrojem teatralnym. I sztuka, przywdziawszy na się liberyą, poszła służyć zepsutej chuci, a dzieła jęj stały się ornamentem i floresem zdobiącym czczość i próżność czasu; tak sztuka spadając coraz niżej a niżej, pod onemi paniami przeważnemi, a bezecnej pamięci, zewszeteczniała do szczytu. Voltaire dowcipem Mefistofelesa już tchnął na świat. Ow Krzysztof Huet († 1759), Franciszek Boucher († 1770), wrzekomy malarz gracyi, bezwstydnym pędzlem robili obrazy jakby dla bezmocnej straży serajowej, a pomagał im téż później Parny wraz z kompanij swymi, plugawiąc wielki talent wyuzdaną poezją. Aż nareszcie w końcu stulecia, przed samém rozpoczęciem najstraszniejszego dramatu historyi nowoczesnej, cała społeczność, jakby opojona ślepym zmysłom zapustem, rozszalała się zawrotnym tanem i chichotała nad własnym

swym grobem. Był to jakby ów obraz Holbeina, gdzie strojne panie i kniotek, i wojownik błyszczący, i starzy i młodzi, i bogacze i żebraki hasają kołem w tańcu ze śmiercią, mając w każdej parze ohydne szkielety (*). Ale powiew z cmentarza chuchnął na ich tany, a do drzwi i do okien onego festynu pukały i pchały się, jakby blade i trupie straszdyła, zgrozy ostatnich lat 10ciu dogorywającego wieku, ciągnąc za sobą widma długoletnich wojen i pobojuwisk krwią zbroczonych, pokrywających kośćmi jakby całunem śmierci, ćwierć wieku i świat cały.

Mógłbym ci bez wielkiego mozołu wskazać, jak zawsze zepsucie obyczajów zradza wyrzucanie się sztuki pięknej; bo piękność prawdziwą jedynie czyste serce i szlachetny wiek pojąć może, nie wstępuje ona nigdy do piersi występkiem znieważonych.

Tak, gdy człowiek znidzie z tronu zaćności swój i własnego majestatu się wyrzekając, sponiewiera pochodzenie swoje, już samowolnie w materji ciężkie panowanie się oddaje. Pierworodny syn stworzenia teraz natury jeńcem, co jój panem być miał. Jak muszla biedna, w głębiach morskich do skały przykuta, i jedynie przez pomrokę wód oceanu oświecona słabym słońca promieniem, zradza w swém łonie drogich pereł skarby, nieświadoma sama ich wartości, tak człowiek w ciemnicach materji zamknięty, głuchy na głos wewnętrzny, co mu o wieczności przemawia, nie wie, że we własnych serca przybytkach nosi rodzące się całe światy i całe niebo gorejących gwiazd.

Ale w duchu jest prawdy pierwiastek, a prawdy na wieki trwa nie i żywot jój tak silny i potężny, że choć chwilowo przyćmi płomieniem, przecież wnet znowu sam z siebie się rozpali, a duch jakby z długiego snu przebudzony, zerwie się i znów zwróci oblicze ku wiekuistej ojczyźnie swój. Wszak niekiedy i zimne wichry i niewczesne śnieżnice opóźnić mogą powrót wiosny i życia w naturze, a ziarno powierzone ziemi, w sobie stulone, martwe i głuche drżmie długo w swym grobie pod skibą; ale gdy przecież słońce idzie niewstrzymanie swym wiekuistym szlakiem po niebie, tedy wcześniej lub później do zmartwychwstania pobudzi ono ziarno, by ku słońcu się wzniosło i rozkwitło naturze na ozdobę i chwałę: podobnież pokolenia i narody całe mogą przemarzyć długie lata żywota swojego we więzach materji i w niemoralności kale, ale nie zdołają nigdy na zawsze zetrzeć z siebie piętno nieśmiertelne swój zaćności, bo wszechmocna jest siła, co człowieka wzgóre pędzi. Jak młode orle, pisklęciem zamknięte w skorupie, instynktem parte przeczuwa już i skrzydła swoje i szczyty alpejskie i eterów wysokości, tak i dusza, ściśnio-

(*) *Taniec śmiertelny* znakomitego malarza niemieckiego Hansa Holbeina młodszego (urodzony w Angsburgu r. 1495, umarł w Londynie 1543), składa się z 50ciu kilku rysunków, wykonanych w drzeworycie. Wydanie pierwsze w Lyonie 1538 r. wydanie nowsze Weissa r. 1858. (St.)

na zmysłów powłoką, marzy o rajskich ogrodach, o obłokach złocistych, co żeglują po niebie, o śpiewach anielskich chórów, aż zerwie ciężkiej materyi okowy, rozepnie skrzydła swęj potęgi, a unosząc się do ostatniej bladęj gwiazdy stworzenia, w krainie wiekuistej piękności zdobędzie swe laury. Wtedy i sztuki się uszlachetnią i odrodzą się świeżością swych uroków, jak bogini miłości poczęta w przejrzystych błękitach morza.

Sztuki piękne, te posłannice nieba, jakby dziewicze westalki, strzegą świętego ognia uczuć, co gorejąc płomieniem godności człowieka, bronią by ród ludzki nie upadł w zapomnieniu siebie. A gdy zepsucie serca jak dżuma ziemię zaleje, gdy godność zniknie i poczytywy obyczaj wymrze w ludziach, a zimna noc myśli i uczuć zalegnie świat, wtedy jeszcze poezya, jakby harfa eolska u gwiazd zawieszona, tknięta powiewem lepszych światów, zakwili pieśnią żaloby i tonami rzewnej harmonii nad upadkiem człowieka zapłacze, a tony jej płyną a płyną, coraz dalej, coraz wyżej, aż pod Boży tron, gdzie zmiłowanie znajdują.

Ale człowiek ma inną stronę istoty swęj: w nim tkwi pierwiastek materyalny, jest on ziemskim jestestwem, a zmysłów hoża siła w nim robi i wre, i rześkiem tętnem płynie mu żywota potok. Radość i uciechy uśmiechają się i płasają w koło, jakby swawolne grono zachępných rusalek, a z rajskich krain tchnie na ziemię życia wesele i rozdmuchuje, jakby kwiatów pączki, serca wszystkie rozkoszy współczuciem; boć to kwiatów dzieje są i serca dziejami. Kwiaty roztulają swe liście jakby miłości łozem, a w każdym kwiecie kołysze się śpiący geniuszek, a w każdym sercu drzemią uczuć roje, niby skrzydlatych bożków drużyny. Powódź rozkoszy zalewa sobą świat cały, gotując niby łaźnię ochłody wszech stworzeń strudzonym milionom. Opatrzna wiekuistości łaska przystroiła nam powabem przemijającą gospodę ziemską, a obok cierniów doczesnego świata, zasadziła drugie Edenu ogrody, co rodzą złote jabłka uciechy, a przybrała w wonne róże męczeńską palmę żywota. Skwary i spieki, i pracowania dnia każdego, kończą się poezją wieczora, co pocałowaniem swoim rozpalone czoło pielgrzyma chłodzi; a z niebieskich wysokości po promieniu księżyca zstępuje gromada aniołów, co jakby kwiatami obsypuje łoże jego złotem marzeniem i uludą sennych obrazów, i śpiewają mu z cicha w duszy pieśnią pociechy, a głos ich tak słodki, jak słowicze pieśni.

Bóg stworzył życie i świat, tak piękne i jasne jakby dzień wiosenny, w serce zaś człowieka wlał miłość tych uciech ziemskich, a dając duchowi nieśmiertelnemu ciało i zmysły, zaślubił go docześnie ze światem tutecznym, z naturą, aby już rozkosze, otaczające człowieka różnokształtną postacią, znalazły drogę do serca jego i odgłos w przybytkach duszy, i aby nawzajem każde drganie wewnętrznych stron ducha, każdy z ich tonów miał w zewnętrznym świecie głosy wtórujące ich harmonii. Nie poniewieraj uciechą ziemską, co peł-

nym i kipiącym puharem natura ci na wzmocnienie podaje. Tkanka tysięcznych złotych nitek wiąże człowieka ze światem i doczesnością; dlatego też tak twardą, tak tęskną, jest ostatnia chwila rozstania się z tym żywotem, z tym tak pięknym, tak jasnym światem; ztąd też skonanie jest arecydzielem człowieka. Posłuchaj opowiadania tych, co stojąc przy łożu umierających, uczyli się od śmierci mądrości, podsłuchując ostatnie pożegnalne akkordy ulatującego życia z ułomków zagadkowych wyrazów, i wypatrując wieczność z zarysów twarzy biednego pracownika. Na skinienie bladego śmierci anioła, rozsuwają się jakby na przegląd obrazy z przeszłego całego żywota; żywi i dawno zmarli, świeże i stare czasy splatają się w jeden wieńiec, aż gdy światło w oku i duszy zgaśnie, gdy już nie dochodzą łkania otaczających przyjaciół, gdy wszystko ucichło, gdy płomień gromnicy nie oświeca więcej śmiertelnego łoża, zlewając się tylko jeszcze w jeden punkt czerwony, gdy już łamie się doczesność z wiecznością, wtedy omdlewają i zmysły, ale zarazem najogromniejsze sceny natury, żegnając niby wędrowca idącego ku wieczności, rozciągają się w duszy jego. Zda się, iż oceanu nieskończoność śpiewa mu cześć piorunnym głosem swych fali, że skrzydła wichrowe unoszą go w tryumfie po przez bezdna przestrzeni bez końca i początku, że gwiazdy i słońce obiegają go w koło, jakby świetny orszak ślubny, odprowadzający oblubienicę wieczności do nowego mieszkania.

Nie poniewieraj uciechami ziemi, ani waż sobie lekko stronę materialną człowieka, bo do niej właśnie przemawia pierwiastek cielesny dzieł piękności. Potęga zmysłów jest właśnie podwaliną uczuć naszych; skoro ona się dopali, już i uczuć siła wędnieje, a człowiek zbliża się do podeszłości swojej i wstępuje pod panowanie zimnego rozumu i siwego rozsądku.

Jest francuzkie przysłowie: „*si jeunesse savait, si vieillesse pouvait*”, ale najgorzej podobno, jeżeli ani jednego ani drugiego nie będzie, jeżeli młodość przemija bez kwiatów, a jesień życia bez owoców. Gdy się kilka lat żywota na jeden rok złoży, gdy zmysłowość dogoreje jak kaganiec, nic prócz skorupy glinianej nie zostawując, gdy cwałem przebieżone młodości życie, wtedy młody bankrut idzie na emeryturę, żeniąc się. Czyliż dziwno, iż zamiast rześkiej życia ochoty znajdzie przesycenie i niesmak? nie zna, co rozczarowanie, bo nie zaznał uludy młodości, wszystko strupiało. Po ładajakić wiosnie życia idzie bezmogła starość; świat w koło spłowieł, stracił barwy i ciepło swoje. Z takimi to w pokrewieństwie bywa, a nawet się z nich najczęściej rekrutuje owa druga klasa ludzi, co choćby młodzi jeszcze, na wszystko otrętwiali i niezdadni do pracy i do zabawy, co to ani do tańca ani do rożnięcia. Sam zysk pieniężny, jakby galwaniczna iskra, pobudza jedynie ich duszę do automatycznych ruchów. Zgniłe sapiska, nie znają, co poświęcenie, co miłość i nienawiść, niezdolni do występków i enoty, samoluby drobiazgowie. Oni na świecie nic dobrego, nic już i złego nie robią.

Dante powiada, iż gdy niegdyś piekło odwiedzał, spotkał tę gawiedź zaraz na wstępie do podziemnego państwa. Odepchnęło ich niebo, pogardziło piekło, bo ni miłosierdzia ni sądu nie warci. Jęczą straszliwie, pragną losu odmiany, lecz oni nadziei śmierci nie mają, i zostawieni są przy tém ślepém ich życiu, tak pełném nikczemności i podłoty. Szatany nawet nimi się brzydzą, nie chcą ich męczyć, szpetne muchy tylko, osy i plugawe robactwo pastwi się nad nimi — ale — *Non ragioniam di lor; ma guarda e passa!* (Nie rozprawiajmy o nich; lecz patrz i przechodź!)

Brak społecznia w rzeczach ziemskich zjawia się inną wręcz odwrotną postacią; niekiedy bowiem, lubo już rzadziej, dusza, od doczesności odwrócona, ku rzeczom niebiańskim tęski, wygnana z raju, nie dotknąwszy nawet owocu poznania ziemskich rozkoszy; świat i wesołe koło jestestw jego nie ma dla niej powabu. Najczęściej nastrojenie takowe znajdziem u kobiet. Twarz, jakby rzeźba z marmuru ukuta, nie zmienia się nigdy, zawsze ta sama, czyli na balu czyli w kościele, na herbacie lub przy konfesyjale, a świat cały i boleści jego i uciechy, czarne i jasne chwile przeszły po tém obliczu, nie zostawując śladu swój bytności, a spojrzenie patrzy gdzieś tam w nieskończoności dal. Zdarza się, iż nowe stosunki życia sprowadzają znów myśli na ziemię, a uczucia małżonki, matki zbliżają ją do rzeczywistości, ocieplają, rozświecają samotne duszy ognisko; niekiedy zaś istota takowa jest wiecznie obca, wiecznie gościem na ziemi; dla niej na świecie nie ma sztuki pięknej; jój życie jest długim konaniem.

Jeżelim powyżej dawał ci na przykład czasy historyi, w których przeważał pierwiastek zmysłowy w sztuce, tak téż i nie brak czasów, gdy znów połowa jój duchowa, zbyt górę biorąc, pomijała się z przeznaczeniem prawdziwem piękności. Spójrzij na pierwsze dziejów chrześcijańskich koleje; był to czas pełen okropności i zgrozy, Rzym wśród złotych pałaców swoich, postawionych na łzach i krwi całego ówczesnego świata, umiera śmiercią zbrodniarza. Jak wyrzuty gorączkowe sumienia, mszczące zabójstwo tyłu w okolo narodów i państw, trapiły go bunt y żołnierstwa wyuzdanego, uliczne mordy, szalone fantazyje niecných cesarów, ze swór puszczone chucie, rozbestwienie, głupota i okrucieństwo. A czego akta kryminalne pojedynczych złoczyńców dowodzą na małą stopę, owe roczniki krwawe Rzymu okazują jawnie i na wielką skalę, iż okrucieństwo krwi chciwe łączy się zawsze z przemyślną chcią i ochotą rozzwierżoną do lubieżności. Ale więcej niż wszystkie nieszczęścia domowe i publiczne, więcej niż wszystkie zbrodnie i strachy zewnętrzne, dojmowała światu owa nieszczęśliwość wewnętrzna, owa cześć okropna i głuchota gnieżdżąca się w sercach wszystkich. Nie było ufności ani w życie, ani w świat, ani w ludzi, ani w bogów: wszystko było głuchem i pustem; człowiek w samego siebie stracił wiarę, a mroźne, rozpaczne pełne powątpiewanie, rakiem wżarło się w życie społeczne. Nie było więcej bogów w sercu, a posagi ich w świątnicach były już

beztreściwą ozdobą, głuchą formą. W Panteonie, w onęj wszechbożnicy, stały pstrzem kołem greckie, egipskie, perskie, rzymskie, azyatyckie i wszystkie narodów zabitych bogi, ale cześć i bez znaczenia, nikt w nie wierzył, były to teraz jakby martwe zwłoki umarłych ludów, z których uleciał duch. Rozpacz powszechna rozlała się mrozem. Olimp cały skonał, a serce człowiecze stało się pustym Olimpem, zgłiszczami zgorzałej świątnicy.

Przeszłość zapadła w wieczne zapomnienie, przyszłość była bez znaczenia, każdy dzień był osobną w sobie jednostką nieznaną, co to wczoraj, co jutro; zacość człowieka zatracona już była w języku, jak oddawna zapomniana w rzeczywistości. Zdawało się, iż słońce, opatrne oko natury, wygasło, a czarne zmory północą spuściły się na ziemię. Niekiedy tylko w tej ciemnicy głuchej jakiś człowiek wyższy zaświecił fosforycznym blaskiem, jakby błędne światelko nad grobem wszego życia i przeszłości całej, i znów zgasł niepoznany jak błędne światelko. Ale wśród gruzów ogólnych i zwalisk szczupła drużyna, nieznajoma światu, kopała fundamenta dla przyszłych pokoleń i dla wszystkich czasów: budowniki nowego świata, nieliczne grono chrześcian odwróciło oczy od ziemskiej niedoli i bezcześci ludzkiej, podniosło w górę źrenicę, kędy na obłocznych wysokościach zaświeciło godło krzyża; a duch pocieszyciel, zesłaniec wieczności, przyświecał na cześć zakładzinom nowej historii. Wówczas to człek, własnej istoty zmysłowej i natury cielesnej się zapierając, a uważając królestwo swoje nie z tego świata, obrzydził sobie wszystko, co było pogańskiego, odrzucił precz od siebie zmysłowość, pogardził pięknosci formami. Piękne kształty sztuki, niby potępience, nie okazały się na jawie; taka to była cała sztuka ówczesna. Postać Zbawiciela nawet przedstawiała się w niepięknym zarysie; rozumiano, iż jęj świętość znieważyc może piękność zmysłowa, zaniedbywano z umysłu cielesność wszelką. Chodziło tu nie o powłokę ale o wewnętrzne znaczenie; myśl, będąca jądrem i duszą rzeczy, sama tylko miała wartość; rozebrano ją ze wszelkich szat, ztąd też sztuka stała się symboliczną; krzyż, baranek, kotwica, palma zwycięztwa, gołębek, grona winne i winna macica, siedem świeczników zabraly miejsce sztuki. Później dopiero znaczenie takowe uzmysłowiło się więcej. Zbawiciel występował w postaci dobrego pasterza i we formach, mających coraz więcej a więcej uzmysłowienia.

Ten charakter początkowej sztuki utrzymał się później w sztuce bizantyjskiej; jęj piętno jest symetryczność architektoniczna, w której jedna strona obrazu odpowiada drugiej; każdy nawet fałd sukni, każdy jęj załomek, każda gwiazdka zdobiąca szatę, każdy promień ma inny odpowiedni z drugiej strony twarzy; wizerunek składa się z dwóch połów zupełnie do siebie podobnych, jak tego przykład masz na wizerunku Najświętszej Panny Częstochowskiej. Tu i w obrazach cerkiewnych greckiego wyznania, wyraźnie znać, iż zmysłowa natura wzięta została w karby przez świat duchowy; jest ona nieu-

samowolniona wcale, ale ściśniona i zmuszona, bo tu nie o nią chodzi, lecz o wewnętrzne znaczenie. Jest to tedy sztuka, w której strona zewnętrzna, materyalna jest zaniedbana.

Podobnie i architektura, przyciśniona pośpiechnością czasu swojego, odrzucała wszystko, coby przypominało zmysłów uludy i wesołe wejście świątyni pogańskich. Znajdziesz to piętno zwłaszcza w budownictwie bizantyńskim; tu znać, iż myśl chrześcijańska upodobała sobie kształty powagi pełne, działające na serce, a przypominające królestwo niebieskie. Tą myślą nacechowana jest i rzeźba ówczesna, okazująca się zwłaszcza w ozdobach strojących główne drzwi kościołów: znajdziesz figury przypominające żywot Maryi Panny i Zbawiciela i męki jego, połączone w dziwnym splocie z figurami fantastycznych zwierząt i poczwar, niby w piekle wylęgłych; to wszystko ma się labiryntnem powiązaniem, a jednakże, razem wzięte, tworzy jedną harmonijną całość. Przecież okres ten miał i swoją odpowiednią poezję; wylewała się ona z wewnętrznych krynic serca, nie dbając na kształt powierzchowny; były to wiersze długie, bez wyraźnej miary, bez rymu. Poniewieranie wszelką formą zewnętrzną, wszelką budową będącą jakby cielesną stroną poezyi, jest piętnem pieśni ówczesnych. Chowałem się na później z bliższym rozbiorem wieków onych i ich sztuki, wszelakoż i ten powierzchowny rzut oka wystarczy, by poznać, iż treść wewnętrzna duchowa jest wszystkiem, że pierwiastek umysłowy przeważa nad stroną fizyczną sztuki.

Przewaga atoli pierwiastku duchowego, rozumowego, ukazuje się jeszcze pod innym trybem, zwłaszcza w sposobie sądzenia o dziełach sztuki. Ludzie, którym zmysłowość zgasła, przystępując do dzieł sztuki, uważają je tylko za plody czystego rozumu. Rozum jednak jest właśnie potęgą ustawodawczą w nas; jego pojmowanie, jego sposób brania rzeczy są ogólne, a jego właściwym sposobem wyrażania się jest mowa, jest język, nie zaś formy cielesne, będące zupełnie czémś szczegółowem, oznaczoną jakąś istotą.

Kto tedy pojmowanie czysto rozumowe, zdania rozsądkowe w sztukę wprowadza, wtłacza je w zupełnie niewłaściwą formę, a rezultat podobnego postępowania nie będzie, ściśle mówiąc, ani do sztuki, ani do rozumu należeć, będzie to allegorya. Widzisz to w rzeźbie, to na medalach, to na malowidłach figury wyrażające: sprawiedliwość, odwagę, umiejętność, zemstę i t. d., albo znów figury mające znaczenie kraju jakiego, np. Francya, Bretania, Bawarya i t. d., wszystko to jest pojęciem ogólnem. Jakoż nawet i poeci w wieku przeszłym wprowadzali uosobione namiętności, używając ich zwłaszcza za sprężyny poruszające epopeję; tak np. *Voltaire*, wodzący na on czas rój w całej Europie, wprowadza to Niezgodę, to Jędze, to inne pojęcia rozumowe w swoje poezye, a za nim poszli i inni, a nawet i u nas pełno tego jest przykładów. Przecież figury takowe zawsze są czémś zbyt ogólnem, a zatem gluche w sobie, czeze i zimne, ani do rozumu, ani do uczuć nie przemawiają. W podobnych tedy rzeźbach, meda-

iach, trudno niekiedy zgadnąć, co one znaczyć mają, bo niewiedzieć czém się różnić ma figura Francyi od osoby wystawiającej Bretanią, jaki wyraz twarzy ma je różnić od siebie; ratuje się wtedy godłami symbolicznemi, jakie są: waga, miecz, zawiązane oczy, kotwica, statek, róg obfitości i t. d., ale to wszystko jest niedostateczne, trzeba koniecznie jak podrysunkami dzieci, podpisywać co jakie ma mieć znaczenie.

Właśnie téż ta jest różnica między poetycznością i allegoryą, iż jak allegorya zaczyna od myśli ogólnej czyli rozumowej i dla niej szuka kształtu szczegółowego odpowiedniego, tak odwrotnie poezya tworzy sobie kształty rzeczywiste, a skoro te już są utworzone i staną, wtedy z nich wyczytać można myśl ogólną. Patrz, figury jakimi są np. Macbeth i lady Macbeth, Romeo i Julia, Hamlet, są rzeczywistymi ludźmi, pełne prawdy, krwi i życia w sobie; zdaje się, iż widzisz lub czytasz los dziejów prawdziwych, które się rzeczywiście stały, a przecież z nich wyprowadzić możesz teorią mądrości, pełną myśli ogólnych, roztwierających ci całą otchłań serca człowieczego, i malujących barwami żywemi nie tylko tajniki duszy Macbetha, Hamleta, Julii i t. d., ale w ogólności tajniki duszy ludzkiej. A zaiste *Shakespeare*, tworząc w duchu te figury, nie myślał może nawet o ogólnem i filozoficznem ich znaczeniu; kreślił zapewne tylko *Macbetha*, *Julia*, *Hamleta*, a tu bez wiedzy jego, z ducha tego wypłynęła głęboka mądrość, myśli ogólne, będące prawdą po wszystkie wieki. I dlatego *Shakespeare* nie jest wyłącznie poetą angielskim, on jest własnością kuli ziemskiej i chwałą wszystkich ludzi i wieków. Albo patrz na *Wieczerzę Leonarda da Vinci*, tak jak ją pojął i wyrytował *Morghen* (*) w trzechletniej pracy życia swojego; ugrupowanie figur, położenie ich rąk, wyraz każdej twarzy mógłby być treścią całej książki filozoficznej; a więcej tam istic złożeń jest prawd wziętych z historii duszy człowieka, niż w niejednej psychologii. Figury, stworzone przez *Leonarda*, a pojęte przez *Morghena*, są rzeczywistymi ludźmi, ale z nich wypływają myśli ogólne, pojęcia dające się zastosować do całego rodzaju człowieczego, do całej gry tajemnej serca jego. Tacy niechaj się święcą malarze i poeci!

Że pojęcia rozumowe i myśli ogólne nie mogą być przedmiotem sztuki, okazuje się najtrafniej z przeczucia całych narodów. Patrz, ani Żydzi, ani Turcy nie mają obrazów; przyczyna prosta, bo Bóg, w którego oni wierzą, nie uwidomił się im nigdy, jest Bogiem niewielonym, niewidomym, jest pojęciem ogólnem, myślą czysto rozumową, nie mogącą być oddaną w cielesnej postaci sztuce właściwej.

Kto jedynie zdolen samym czystym rozumem rzeczy pojmować i na pojęcia, na rozumowanie sobie tłómaczyć, niechaj ćwiczy się

(*) Rafael *Morghen*, znakomity rysownik, professor akademii florenckiej; urodził się 1758, zmarł 1853 r. (St.)

w matematyce; wszak w algebraicznym rachunku znaki alfabetyczne, jakkolwiek wielkość znaczyć mogą, treść ich szczegółowa jest zupełnie obojętna, wypadkiem jest zawsze jedna i taż sama formuła. Tu rzecz sama i pojmowanie jęj jest zupełnie umysłowe. Ani też przeczę, iż środki takie, jak znajomość perspektywy, rozmiarów, oświecenia, anatomia, techniczność wykonania, wiadomości archeologiczne, znajomość indywidualności mistrzów, ich żywota, czasu w którym żyli, historia sztuki, są ważną pomocą, a nawet pierwszą zasadą oceniania wartości jakiego dzieła sztuki, ale przecież same jedno nie wystarczają.

Kto z zimnym rozbierającym rozsądkiem przystępuje do dzieła sztuki, bez wyższego natchnienia, rozkrawając jak umarłego najwyższe dzieła ducha; kto na miejsce wrzącego serca przyniesie zimny jedynie rozsądek: już podobny jest do owego, co widząc piękność kobiecą w całym swym uroku i czarach, rozbierze sobie jęj powaby anatomicznie i chemicznie. Będziesz się unosił nad urokiem jęj kształtów i harmonią jęj ciała, nad „śnieżną białą ramion i łabędzią szyją”, lub zachwycony staniesz patrząc w te oczy, tonące „niby w wilgotnym ogniu”, toć on powie nam, iż kształtna kibić jęj pochodzi od normalnego kształtu jęj szkieletu i kości, które jak u każdego człowieka składają się z 33,17 materii chrząstkowej, 53,14 fosforanu wapna, zresztą jest w nich trochę glinki, trochę soli kuchennej i t. d. A to piękne ciało, toć jest połączeniem włókna mięsnego, białka, pierwiastku ekstraktowego i t. d.; a owa białość i delikatność skóry pochodzi po prostu z tego, iż mięsne są rzadziej utkane i mają trochę więcej białka w sobie, zresztą na 100 części jest tam przeszło 50 części wody, drugie 50 znów zajmują inne pierwiastki, które ci najsumienniejszy wyliczy; a krew, co, jakby tchem ducha, rumieńcem na twarzy wykwiła, o tajemnicach serca przemawiając, jest taka sama zupełnie jak nasza męzka, z tą tylko różnicą, że u kobiet na 100 części jest 2 części więcej wody, a 2 części mniej kuleczek krwistych; a owe bogate kędziory, które „Sylfidy igrają”, ba! toć to jest niedokwas żelaza, mangan, siarkan wapna, krzemionka; a czyli te włosy są płowe, czarne, ciemne, toć to tylko zależy od większej, lub mniejszej ilości niedokwasu żelaza. Tak ci w tygielku rozbierze wszystkie uroki, wszystkie powaby, co cię czarują; rozsmarzy i rozłoży na drobna pierwiastki, złożyć ich tylko nie umie, co za szkoda!

Kto z myślą zimną, rozbierając niby chemicznie, przystąpi do pojmowania piękności w dziełach sztuki, nigdy jęj nie obaczy; z przed oczu świętokradzkich mu uleci w inne światy, w inne krainy, kędy ją godniejsi czcić i kochać umieją.

Widzisz przeto, że gdy dzieło piękności jest ześlubieniem się dwóch światów, bo ducha a materii, idealnej a zmysłowej natury człowieka — nieba a ziemi; więc też sztuki piękne przemawiają do dwoistej istoty człowieka, tak dziwnym, tak nadświatnym urokiem

wieją i czarują serce jego; ono jeszcze na ziemi a widzi w piękności świat nadziemski rozarty; to serce biedne człowieka jeszcze się trawi, jeszcze się pasuje z doczesnymi mocami a w dziełach sztuki woła na niego głos z nadniebnej ojczyzny. Przecież widziałeś równie powyżej, że właśnie dla dwóch tych pierwiastków, żyjących równem pełnem życiem w sztuce, już żaden z nich nie powinien sobie rościć prawa do wyłącznego panowania, ani w sercu widza, ani w samém dziele piękności.

Wszak tutaj już zapewne sama ci się nasuwa myśl, że gdy z jednej strony zmysły nasze są różne, więc i z drugiej strony różnie do zmysłów naszych mają się przedmioty zewnętrzne, materialne, a tém samém znowu widzisz, że same dzieła sztuki różnie działać będą na zmysły nasze, a zatem różnie przemówią do duszy człowieka; one wprawdzie wszystkie proroczyć będą o wiekuistości naszej, ale każda niby właściwym sobie językiem. To prawda! Właśnie atoli też w tej rozmaitości tkwi zarazem rozmaitość rodzajów sztuki. Zdaje mi się, że tu przeto będzie na porze wspomnieć ci choć przelotem o tych jej rodzajach, zatem o jej podziale, a tém samém o wzajemném zachowaniu się tych różnych sztuk do siebie. A radbym też rzecz tę całą wesprzeć właśnie na tém, com wyżej powiedział.

Rzekliśmy sobie bowiem dopiero, że sztuki piękne nie odnoszą się bynajmniej do wszystkich zmysłów naszych, ale że tylko dwa zmysły, bo wzrok i słuch mają przystęp do dziedziny sztuki, a zatem same przez się nam wypłyną dwa główne rodzaje piękności, z których jeden przemówi do wzroku a drugi do słuchu. Może się atoli na taki podział nie odrazu zgodzisz, mówiąc, że on oparty jest li na naszym organizmie, więc na usposobieniu samego tylko człowieka, a że przecież człowiek, patrząc na dzieła sztuki, jest tylko jedną stroną, a drugą stroną jest natura, jest świat rzeczywisty, z którego mistrz bierze osnowę dla dzieł swoich. Wymagasz tedy, by nasz podział sztuki na różne jej rodzaje był wzięty raczej z istoty samej tej rzeczywistości zewnętrznej.

Chciej atoli zważyć: gdy człowiek jest ostatniem słowem stworzenia i najwyższym szczytem rzeczywistości, więc już jest prawdą, co tyle razy powiedziano, że w nim zbierają się wszystkie promienie stworzenia, że on jest sam małym światkiem dla siebie, a z tego wypływa, że byleś jego istotę rozwinął, znajdziesz w niej wszechstworzenie, więc i ową rzeczywistość zewnętrzną. Z tego znać, że co jest prawdą dla jego istoty, będzie też prawdą dla tej rzeczywistości. Inaczej też być nie może. Ten sam Ojciec niebiański, który stworzył świat, stworzył też człowieka; więc człowiek i duch jego z jednej strony a ten świat rzeczywisty, z drugiej, choć różne od siebie, nie mogą być różnorodne. Ale z tego wszystkiego wynika, jak widzisz, że podział sztuki pięknej, oparty na różnicy wzroku i słuchu, więc na organizmie człowieka, znajdzie też zastosowanie swoje i w rzeczywistości zewnętrznej.

I tak w istocie jest.

Jakoż chciej zważyć — cała natura zmysłowa, cały rzeczywisty świat ulega dwojakić ustawie, bo albo zjawiska jego istnieją w przestrzeni, i w niej zajmując pewne miejsce, pewne rozmiary, mają zatem swoje ograniczenie w przestrzeni, i swój koniec i początek; albo też te jestestwa uważane być mogą jako istniejące w pewnym czasie, jako mające tedy swoje granice, bo swój początek i swój koniec w czasie. Tak samo dźiać się winno i z dziełami sztuki, które istnieją w rzeczywistości; jedne z nich istnieją w przestrzeni a drugie przemijają w czasie. Otóż widzisz — te, które istnieją w przestrzeni, odnoszą się zarazem do wzroku, bo przestrzeń jest państwem zmysłu tego — a te, które mają istnienie swoje w czasie, odnoszą się do słuchu. Widzisz tedy, iż zasada naszego podziału odnosi się również do człowieka i do rzeczy samęj. Jeżeli tedy zgadzasz się już na taki pogląd, chciej jeszcze bliżej ze mną rozpatrzyć rzecz całą.

Baczmy — każde dzieło sztuki, które widzimy mocą światłości, które tedy istnieje w przestrzeni, ma swoje wymiary jak przestrzeń sama, ma przeto długość, szerokość i wysokość, ma ciężkość jako materya istniejąca w tej przestrzeni, jest tedy czémś materyalném i istniejącém jakby zewnątrz naszego ducha. Odwrotnie dzieło sztuki, odnoszące się do słuchu, istniejące w czasie, traci niby materyalność swoją; bo jest rzeczą niepodobną dojrzyć takiego dzieła lub się go domierzyć lub doważyć; więc ono istnieje już jakby w duchu naszym, niby wewnątrz nas, boć i nasze uczucia, myśli, wyobrażenia także odbywają się w nas następstwem czasu. Znać zatem, że dzieło sztuki, płynące w słuch nasz, jest czémś wewnętrzném, gra i drga w duchu naszym.

Jest przeto jakiś dualizm w świecie piękności; ale choć dualizm każdy jest zawsze życiem i podniętą, działaniem i oddziaływaniem, toć przecież każdy winien się zawsze zestroić harmonią w jedność; z tego zaś właśnie wróżyć sobie można, że się znajdzie trzeci rodzaj piękności, w którym spłyną sztuki przestrzeni, to jest odnoszące się do wzroku i światła z jednej strony, a sztuki słuchu czyli czasu z drugiej strony — będzie to przeto nowy rodzaj sztuki, w którym poślubi się miłością zewnętrzny i wewnętrzny świat.

Zanim jednak obaczmy, jak się nam ziszcza te wróżby o tym trzecim rodzaju sztuki, obaczmy najprzód rozwój tego rodzaju sztuk, które do wzroku i przestrzeni należą, a następnie dzielnice tej sztuki, która się do czasu, do słuchu odnosi.

Rzecz jasna, że tutaj stanie na reju ten rodzaj sztuki, który nie tylko w przestrzeni istnieje ale nawet z samęj przestrzeni się rodzi, a który właśnie jak przestrzeń sama ma za ośnowę materyą. Pytamy, coż się rodzi z samęj przestrzeni? To wiemy już z matematyki, z geometryi, których dzielnicą jest właśnie przestrzeń. Z przestrzeni powstaje punkt, linia, płaszczyzna prosta i krzywa, figury więc różne: trójkąty, prostokąt, koła, łuki, elipsy, sześciiany, kule, pira-

midy i t. d. Zgadujesz przeto już, że sztuką tą, rodzącą się z przestrzeni, jest architektura; nadto architektura, równie jak przestrzeń, ma do czynienia z masą ciężką materji.

Przecież znowu właśnie dla tego, że architektura z przestrzeni się rodzi, więc i ona stwarza sobie własną przestrzeń artystyczną, ona buduje sobie świat osobny, w sobie zamknięty. Wszak i przestrzeń natury, ta przestrzeń Boża, jest dziełem Bożej architektury, w niej święci się budowanie i matematyka aniołów, co wodzą światy i słońca i księżyc. Przestrzeń wszech światów, toć jest dom widzialny dla duchów, który sobie wystawił Pan. Ale dla jestestw zmysłowych, dla oka zmysłowego, doczesnego, ten dom a przybytek Pański nie jest ogarniony; my tylko widzimy tysiące gwiazd, tysiączne ich roje, co świecą w tym domu; a choć te światy wszystkie przez nas widziane są tylko może jakimś zakąciem przybytku Pańskiego, toć i one przecież są dla naszej biednej myśli istnym zawrotem. Spójrzij przez teleskop choćby na planety, jak one wędrują zdobne w księżyc, w pierścienie, po przez bezdenne, ciemne przestworza Boże, a lęki i trwogi padną na serce twoje. Ztąd człek architektoniczną sztuką buduje sobie całość, którą może ogarnąć, buduje po swojemu przybytek, odgradzając go od zewnętrznego istnienia, a tak stwarza świat osobny dla siebie. Osnowa zaś surowa, którą mu dostarczą natury ciosy i belki, metal i marmury, jest mu tutaj materją; on przezwycięża jęj nieużytość i ciężkość. Materja surowa krystalizuje się w dzieła człowieka.

Stań! tedy już przybytek, — kolumny i łuki, sklepienia i strop patrz! się na człowieka świątecznie, uroczyście; ale przybytki puste, głuche, brak im mieszkańca, coby równie jak przybytek był zrodzony w niebie piękności. I stań! na podnożu gość olimpijski, stań! w cudnej postaci marmurową bielą odziany; on cichy, niemy, a przecież z niego przemawiają głębie duchowe! Tego gościa z nadzwyczajnej wysokości sprowadziła skulptura na ziemię, by zamieszkał w piękności swojej dom, co mu przygotowała architektura jęj siostra.

Lecz gdy architektura z cyrklem w ręku mierzy i waży i liczy, gdy się posługuje, jakby czeladzią, matematyką i geometryą, rzeźba nie zna, co cyrkiel, co matematyka, tych powierzchni na jęj posagu nie obrachuje już żadna matematyka, tutaj nie pomoże żadna geometrya! Gdy architektura liniami swojemi, grą swoich powierzchni, harmonią swoich linii, jest dopięro przecuciem, symboliką treści głębokich a nie przebudzonych w duchu, w rzeźbionym posagu już nie przecucie ducha, już nie symbolika jego ale on sam, sam duch oświecić występuje, choć odziany ciałem, to przecież ciało nie jest ciałem od doczesności pożyczonem, ale samo jest uświadomionym duchem; tutaj ducha niby dotknąć się możesz. Gdy oko nasze, patrząc na arcydzieła architektoniczne, mierzy jego stosunki i liczy, patrząc się zaś na posag, dotyka się go niby wzrokiem; czucie, zmysł dotykania przeniósł się w źrenice. Gdy architektura mocuje się z ciężkością

materyi, podpięrając jęj brzemię, w rzeźbie postać sama na sobie ciąży, sama się na swoich członkach podpięra. Gdy architektura buduje w sobie zamknięty świat, niby artystyczną przyrodę, artystyczne otoczenie, w rzeźbie już duch jest usamowolniony od natury; posąg ze wszystkich stron obróbiony stanął samodzielnie, jest wyobrażeniem wyzwolenia z pod potęg przyrodzonych. Dla tego płaskorzeźba, nie oderwawszy się od tła swojego, patrzy na nas jako jedynie ozdoba architektury, jakoby jęj przystroj. Bo właśnie rzeźby powołaniem jest aby wymiary, aby formy rzeczywiście istniejące w naturze znalazły się równie doprawdy i w dziele rzeźbioném, lubo już uduchowione pięknoscią nadziemską. To powołanie skulptury jest zarazem jęj szczęśliwym światem a zarazem jęj kółkiem zakłętém, z którego już ona wystąpić nie zdoła. Ale właśnie dla tego pojawia się na ziemi nowa sztuka, która już tych form i wymiarów rzeczywistego świata nie przenosi naprawdę w dzieło swoje, ale wdzięczną uludą mami wzrok; sztuka, która, będąc ukochaną córą państwa idealnego, zmyśla świat czarodziejski, w nim udając wrzekome wymiary, oddalenia, formy wklęsłe i wypukłe, cienie i światła, słowem udaje to wszystko magią swoją, co jest w rzeźbie rzeczywistością rzetelną. Wszak ta sztuka dla tego właśnie, że tak cudnie zmyśla i ludzi, pozwala sobie udawać téż oddalenia kilkomilowe i wymiary tak ogromne, że te przestrzenie jęj już są nieprzystępne dla rzeźby, co jest tak prawdomówną, szczerą i rzetelną. Domyślasz się, że tą sztuką nową jest malarstwo. Właśnie to ona przemogła przestrzeń, bo jęj prawdziwa przestrzeń jest płaszczyzna, a jęj wymiarem jest tylko sama długość i wysokość obrazu, a przecież tu są wszystkie wymiary rzeźby, co więcęj, jak rzekłem, ona zmyślając perspektywę, majaczy i mami i ludzi. A jęj różczką czarnoksiężką jest pędzel, a geniuszki, co jęj służą, zakłęte są w jęj farbach na palecie; sztuka malowania przemogła przestrzeń, przemogła więc i ciężkość i materię samą. Patrzysz na jęj postacie urocze, widzisz — to olimpy rozwinięte, to bitwy i krocie wojowników, to miasta i grody i skały, to niebo, obłoki i morza i puszcze. Ona, gdy nierada tobie, zwinie te światy swoje; zamknie w swojej tece i zastępy wojenne, i skały i morza, puszcze i kraje wielomilowe. Sztuka malarska majactwem lubém tak sobie poczęła, iż co widzisz w jęj dziele, to nie jest rzeczywistością, to nie jest materią zewnętrzną istniejącą, ona rację przebywa w tobie, we wnętrzu twojem, we widzu; ty patrząc na jęj dzieła, patrzysz oczyma ducha twojego, patrzysz idealnie! Ale z drugiej strony potrzeba ci przecież i oczu zmysłowych, potrzeba aby obraz malowany istniał obok ciebie, przed tobą; potrzeba, aby ten obraz istniał w przestrzeni. Te jęj przestrzenie malowane, choć uludne, nie są tedy jeszcze ostatniem przemożeniem przestrzeni. Wtedy geniusz pięknosci natęży siły swoje by przezwyciężyć i te ostatki przestrzeni, by zwalczyć te ostatki zewnętrznego świata; on cofa się w siebie, zatuszkuje za nadgwiadnym światem, za ojczyzną swoją,

i w tęsknocie anielskiej przemówi muzyką — muzyką, której barwy, której cienie i światła są tony, akkordy, melodye i harmonie! Cóż zostało teraz z przestrzeni? — drganie struny, narzędzia muzycznego; drganie, co jest drżeniem w przestrzeni, odbywajacém się w czasie. Tutaj oczy zmysłowe przygasły, słuch stanął na ich miejscu, tutaj przestrzeń, owa rzeczy materialnych macierz, starta! A tak muzyka jest drugim rodzajem sztuki pięknej; ona buduje sobie światy we wnętrzu duchowém, ona buduje sobie własne światy, własne przybytki z promieni swoich dźwięków, ona z akkordów stwarza postacie rzeźbione, ona maluje melodyą. Posłuchaj jej mowy, mowy muzyki, a z końnicy historii wystąpią dzieje umarłych ludów i przesuną się orszakiem tryumfów przed oczami serca twojego, a ujrzysz jako dźwigną się góry nieba sięgające, i zaszumią puszcze prorocstwem dalekich jeszcze lat, morza zaśpiewają hymny a gwiazdy tanem światlistym zawtórzą ziemskim śpiewom, akkordom nieskończonym. Toć wszystko obaczysz, gdy fale muzyki pełnym nurtem wpłyną w duszę i przyniosą ci wieści z innych światów.

Muzyka cała jest sztuką wewnętrzną, jej domem rodzinnym jest tętnienie serca; serce wróży muzyką, ona tedy równie jak architektura jest sztuką symboliczną, jej ciosami są tony, jej budowaniem harmonie i melodye. Muzyka wprost wpływa w serce, ona nie przechodzi przez myśl, jej wdzięki nie ubierają się w słowa, w wyrazy; co muzyka szepnie nieśmiertelnemu duchowi, tego już nie wypowiesz mową wyraźną, jasną; muzyka jest światła zagadką, wyrocznią, w której przemawia Pan; jej tajemne orzeczenie, serce tylko słyszy, a wytłómaczyć je tylko zdoła sama jedna poezya. Co w muzyce jest senném jasnowiedzeniem, to w poezyi staje się jawném.

Jak poezya łączy się z muzyką i płynie jej tonami, tak też ona, występując samodzielnie, jest sztuką istną o sobie. Bo samo przez się poezya jest muzyką, jej rytmy i rymy są harmonią i melodyą, ale jej treść już nie jest więcej zagadką symboliczną, bo duch, innych światów syn, sam tutaj przemawia wprost o sobie, więc też wątkiem jego, osnową jego, są już nie ciosy budowne, nie marmury rzeźb, ani farby lub światła, ani tony lub dźwięki; jego osnową i wątkiem a narzędziem jest mowa. A przecież poezya maluje i stawia ci przed oczy i bohaterów i bogów posągami rzeźbionymi, ale te jej posągi mówią, ruszają się życiem i krwią; ona rozwija jakby dla wzroku obrazy natury, i śpiewa i weseli się i płacze w sercu muzyką swoją. Ona ogarnia też przestrzeń, światłem promienném oblaną; ona drga w sercu niewidomie, niby podziemny nurt, wiekuistości zdroj; ona objęła miłością zewnętrzną i wewnętrzną światy. Słowem, ona w harmonią zestrzaja wszelki ów dualizm sztuki, o którym powyżej mówiłem, bo ześlubia te jej rodzaje z sobą, które do przestrzeni, więc do oczu się odnoszą, ze sztuką, która jest córą czasu, i dla słuchu stworzoną. Ona tedy jest trzecim rodzajem sztuki.

Przecież właśnie znowu dla tego, że poezya jednoczy w sobie oba

poprzednie rodzaje sztuk, ztąd już wypłyne, że ona sama rozdzieli się w sobie na rodzaje różne, z których jeden będzie wyobraźnikiem onych sztuk światła i wzroku, stwarzających zewnątrz siebie, bo w przestrzeni, dzieła swoje, a drugi rodzaj poezyi odniesie się przeważniej do wewnętrznych przybytków duchowych; trzeci zaś, jak przewidujesz, będzie sam powiązaniem obu pierwszych rodzajów poezyi.

Zgadniesz zapewne, że wedle tego, com dopiero rzekł, najprzód pojawi się tu poezya niby plastyczna, malownicza, która zwróciwszy źrenicę duchową na zewnątrz, widzi Boże i światowe dzieje, patrzy na sprawy natury i historyi człowieka. Jestto epopeja, sielanka, powieść i tak następnie; a gdy ona wyśpiewa te zewnętrzne światy, gdy głos jój rozbiegnie się po pokoleniach i stuleciach, wtedy duch piękności zwróci oko swoje na wewnątrz, i co potęg, co mocy żyje w piersiach człowieka, to wypłyne strumieniem, potokiem, rzeką lirycznej poezyi, i zagrzmi hymnem, psalmem Bogu, i uwielbi odą wielkie czyny wielkich ludzi na ziemi. Albo nakoniec poezya stanie się dramaturgią. Tu, jak w epopei, widzisz postacie przed sobą, widzisz ich dzieje na ziemi; ale co one mówią, toć jest wylewem ich duszy, co czynią i działają, toć jest wyrazem onych mocy tajemniczych, co pracują w ich wewnętrznych przybytkach, tych mocy, co prą i robią w piersiach ich do działania porywając.

Tak tedy zlekka rzuciłem ci zarysy podziału sztuk pięknych; prawda, że te zarysy są zbyt lekkie, prawda, że możnaby innym jeszcze trybem uszykować cały poczet tych cór olimpijskich; wyznaję, że w tej chwili nie wiem nawet, czylibym się tego samego trzymał szyku, gdyby mi kiedyś wypadło w przyszłym jakim szeregu listów moich przypatrzeć się z osobna każdemu z tych rodzajów sztuk — ale w takim razie przyszłoby nam też ściślej ugruntować podział cały. Wszak dotychczas estetycy nie mogą się zgodzić w tej mierze! (*)

(*) Inne głównejsze podziały sztuk pięknych. *Arystoteles*: sztuki ruchu: poezya, muzyka, taniec; sztuki spokoju: plastyka, malarstwo. *Batteux*: sztuki mechaniczne: przemysł artystyczny; piękne: plastyka, malarstwo, taniec, muzyka, poezya; ornamentacyjne: budownictwo, krasomówstwo. *Kant*: sztuki mówne: krasomówstwo, poezya; plastyczne: budownictwo, rzeźbiarstwo, malarstwo; uczuciowe: (empfindende): muzyka, sztuka dramatyczna. *Schelling*: poezya, jako wcielenie nieskończoności do skończoności; sztuki plastyczne i muzyka jako podniesienie skończoności do nieskończoności. *Hegel*: sztuka symboliczna: budownictwo; klasyczna: rzeźbiarstwo; romantyczne: malarstwo, muzyka, poezya. *Vischer*: sztuki przedmiotowe: budownictwo, rzeźba, malarstwo; podmiotowe: muzyka; podmiotowo-przedmiotowa: poezya. *Carriere*: sztuki przestrzenne: budownictwo, rzeźba, malarstwo; czasowe: muzyka; duchowe: poezya. *Lemcke*: sztuki wzrokowe: budownictwo, rzeźba, malarstwo; słuchowe: muzyka; mówne: poezya. *Tain*: sztuki naśladownicze: poezya, rzeźba, malarstwo; matematyczne: budownictwo, muzyka. W naszej literaturze, obok podziału Kremera, zasługują na uwagę następujące podziały: *Trentowski* (Panteon wiedzy ludzkiej. T. II. 1874, str. 487 i nast.): sztuki wzrokowe: rysunek, architektura, malarstwo, płaskorzeźba, rzeźba, snycerstwo i posążnictwo, oraz taniec; słuchowe: muzyka, śpiew, deklamacya; mówne: proza wzorowa, krasomówstwo, poezya. *Panteon* sztuki: teatr. *Libelt* (Umnictwo piękne.

Myszę atoli, że podział i systematyzowanie wzajemne sztuk pięknych trybem, jak to uczynilem powyżej, zupełnie nam na teraz wystarczy, a to tém więcej, że jest i łatwy i zrozumiały. Trzymając się naszej myśli, która w nim przewodniczy, zdołasz bez trudności każdy z tych rodzajów sztuk rozdzielić znów na podrzędne rodzaje; co więcej, bez mozołu poznasz, jako w tym systemacie wypadnie umieścić i inne pojawy, które równie do dziedziny sztuki i bardzo słusznie policzone bywają. Tak np. zważ taniec, — rozumię się, że nie ten, który w życiu powszedniem tak się zwykł nazywać, ani ów co zwykle w baletach trąci sztuką łamaną, — a wyznasz, że taniec w najszlachetniejszym znaczeniu uważany, znajdzie i w naszym systemacie łatwo umieszczenie swoje. Bo taniec jest wcieleniem piękności linii w ruchy ciała, a te właśnie odbywają się zarazem w przestrzeni i w czasie (takt, rytm). Tak tedy taniec jest jakoby przejściem ze sztuk, istniejących w przestrzeni, do sztuki, żyjącej w czasie, bo do muzyki; on równie przejmując wewnątrz człowieka jako też jest zewnątrznym pojawem; on jest rzeźbą żywą i muzyką widomą, harmonią niemą a symboliką wymowną uczuć człowieka. Albo sztuka ogrodnicza! O ile takowa zasadza się na udaniu natury, jęj dolin i strumieni, jęj gajów, i tak o ile ona niby stwarza naturę wolną a przecież pełną wdzięku, o tyle graniczy z malowaniem pejzażów; o ile zaś buduje szpalery i strzyże, o tyle zaiste staje się pokrewną architekturze; rzekłbym, że w pierwszym razie jest naturą sztuczną, w drugim sztuką naturalną. A cóż dopiero powiedzieć o sztuce dramatycznej! podobno łatwoby nam przyszło okazać, jak to ona jest wykwittem całego grona sztuk pięknych. Miłoby mi było, gdybym ci kiedyś mógł wyłożyć ogromne znaczenie tęg sztuki i pierwsze choć najogólniejsze jęj zasady. Ale tutaj nie ma ani miejsca, ani czasu po temu.

Zwróć tylko uwagę na całą osnowę przebieżoną w liście niniejszym. Okazało ci się jawnie, jak mniemam, że dwa pierwiastki wręcz odwrotne, bo świat duchowy i zmysłowy, spływają w jedność w sztuce pięknej, a tém samém, że przewaga jednego z tych pierwiastków paczy zawsze cudne piękności formy. Tak tedy wyjawila się nam najprzód prawda, że same zmysły nie wystarczą, by ująć piękność w całym niebiańskim jęj znaczeniu, i że z drugiej strony sama myśl, wyrzekająca się doczesności, spinająca się po wierzchołkach hardych lecz zimnych i lodowych, wysoko wzniesionych nad ży-

Część ogólna, Wyd. 2-gie 1875, str. 172 i nast.): sztuki formalne: architektura, snycerstwo, malarstwo; treściowe: muzyka, poezya, wymowa; społeczne: idealizowanie natury, estetyczne wychowanie człowieka, idealizowanie społeczności. *Struwe* (O pięknie i jęgo objawach, 1865 str. 23 i nast.): sztuki idealizujące rzeczywistość: architektura, rzeźbiarstwo, malarstwo; urzeczywistniające idee: poezya, krasomówstwo, muzyka. (St.)

cie ciepłe, pełne krwi i tętna, wyrzeka się dobrowolnie rozkoszy, płynącej dla ducha z piękności artystycznej.

Tym prawdom przypatrzyliśmy się z przeróżnych względów, a nakoniec widzieliśmy, jak ten właściwy stosunek świata materialnego i duchowego w sztuce, staje się sam zasadą podziału sztuki na różne jej rodzaje. A wszędzie pojawiła się nam prawda, że sztuka piękna zaiste jest zjednoczeniem dwóch światów, bo doczesności i wiekuistej prawdy, zmysłów i ducha.

Dusza, Psyche, o motyliach skrzydłach, słonecznego bóstwa córa, jasnieje w swej piękności nadziemskiej, ale świat tylko cześć niebiance oddawać umie, a nikt ze śmiertelnych nie ośmiela się jej kochać rzewną miłością. A smutnie i tęskno płyną godziny samotnej psychy; ale amor, ziemskiego kochania i najwyższych uroków bóg, sam miłością ku niej goreje i dla oblubienicy nieśmiertelność od Pana Olimpu wyprosił, a cały olimp zstąpił na ziemię i uwieńczył zaślubiny niebiańskiej z ziemską miłością. Sztuka jest tą historią miłości Amora i Psychy, zlaniem się w jedność zmysłowego i duchowego świata.

LIST SZÓSTY.

Stosunek sztuki do uczuć.

Niezawisłość uczuć od woli naszej. — Uczucia nie mogą być prawidłem sądenia o rzeczach, ani skazówką postępowania naszego. — Nie mogą tedy stanowić prawdy w sądeniu o dziełach sztuki. — Uczucia są właściwym sądem w sprawach zupełnie osobistych. — Sztuka nie ma celu wzbudzenia uczuć religijnych, ani moralnych. — Uczucie piękności, czyli smak, nie jest dostatecznym sędzią, ani twórcą dzieł sztuk pięknych. — Pojmowanie piękności przez Platona. — Właściwy okres dla smaku, w znaczeniu zwykłym uważanego. — Smak estetyczny — styl.

Chwile przemagających uczuć są zupełnie przeciwne sztuce. — Uczucia są atoli wyborną treścią dla sztuki. — Indyana pani Sand. — Stanowisko dzisiejszych romanów francuzkich. — Powołanie rzeczywiste piękności. — Harmonia rozumu i uczuć.

Gdy Dante przy grzmiącym głosie swej lutni pieśnią potężną zaśpiewał o piekle, czyśćcu i niebie, o aniołach i szatanach, już, jakby na pobudkę ostatecznego sądu, zerwały się Włochy, złożone jeszcze barbarzyństwa snem, a roztwierając nagle oczy, ujrzały zarazem purpurowy świt swej sztuki w malowanych Giotto obrazach. Poranie nowego życia rozlało się po niwach i gajach Italii. Wtedy i promyk jeden świeżej jutrzeńki padł na skromny domek w Arezzo, kiedy się chował młody *Spinello*. Zawrzała w nim dusza, zakipiała namiętnością: — był to Włoch w całym znaczeniu; co w sercu zatliło,

rozgorzało płomieniem ponurym i buchło na jaw, odbijając się, niby w duszy zwierciadle, w zuchwałych i pełnych grozy figurach pędzła jego. Wnet rozbiegła się sława młodego malarza, a starzy i pacholęta, kobiety i mężczyźni, rozprawiali o jego dziełach, podziwiając te śmiałe, butne i namietne kształty jego; a dziwna też w tych postaciach żyła potęga i dziwne też o nich chodziły wieści. Czyliż on może puścił się w tropy Dantego ku progom lucyfera, podpatrzył piekielnego gospodarza i z pod boku jego wyniósł sobie na świat wzory dla swych figur? — Bądź jak bądź, zawsze jakaś siła tajemnicza w nim parla i do pospiechu napędzała, bo choć pędzel jego lotem błyskawicy ścigał myśli i uczucia mistrza, nie mógł im dostać, ani wystarczyć gwałtownemu pochodowi duszy jego. A lubo z równą szybkością wypadały z pod ręki Spinelli i mnichy i światowe damy, święci, cesarze i papieże, i choć wszystko już stawało się obrazem, o czém zaledwie pomyślał; przecież z głębokiej otchłani gorącej wyobraźni jego coraz nowe a nowe wylatywały kształty; zaczęte, na pół dokonieczone rzucił, chwytając następne, bo nie miał pokoju w sobie, i coś, jak powiadano, w nim paliło. Ale w końcu Spinello, pragnąc by przecież w mieście rodzinném zostawił ślady żywota swojego, zabrał się do wielkiej roboty w kościele S. Maria degli Angioli: upadek i stracenie aniołów pysznych, było treścią tej pracy. — Łatwo sobie wystawić możesz gromadę złych duchów, co urosła z pędzła jego. Główną atoli figurą obrazu, i słusznie, był sam szatan, robiący niby honory piekła; a zawziął się też na tego wroga naszego rodu Spinello, i w taką brzydotę go przystroił, jak tego jest godzien. I udało mu się — ba, obaczysz, iż mu się udało na jego biędę aż nadto: posłuchaj tylko cierpliwie.

Zbiegała się tłumem cała okolica, by tę sławną szpetność podziwiać, a strach brał patrzac na nią; i nikt już w obecności tego obrazu nie śmiał głośno przemówić, by licha nie budził; — kto spojrział, to i truchlał. A panie wszystkie przyznawały, iżby nigdy się nie spodziwały, by zwodziciel mógł być do tego stopnia brzydkim; a może też nie jedna i nie jeden pocieszał się myślą, iż znów djabeł nie tak straszny jak go malują. Rzecz cała byłaby się może na tém skończyła, i z samym djabełem byliby się może oswoili, bo najtrudniej zacząć, a już resztę jakby znalazł. Boć i sami panowie Francuzi nas uczą: *Ce n'est que le premier pas qui coûte*. Ale cóż się stało? Tak wiele o tym djable gadano, rozprawiano, szeptano, iż jakoś wieść o malowidle Spinelli doszła komerażem do piekła i ubodła do żywego stronę interesowaną. Niewiedzieć, czyli djabeł był istotnie na starość w jakichś jeszcze pretensjach, czyli się obawiał wyraźnej straty i bankructwa na kredycie, i mądrze u siebie zważył, iż zwodziciel, o którym wszyscy wiedzą że szpetny, i licha nie wart: o to wszystko nie pytaj, ja o tém wiedzieć nie mogę, ani chcę wiedzieć, bo zresztą nie lubię się w takie tam rzeczy mieszać. Koniec końców, wszystko się skrupiło na biednym Spinellu. Słuchaj.

Jednej nocy, gdy księżyc, niezmordowany od wieków kochanek i towarzyszy ziemi naszej, po swojemu ją kółkiem obiegał, i tak słując pani swojej dowodził, że miłość na starość nie rdzewieje; gdy przy poetycznym świetle jego Italia kąpała się w srebrnych toniach obu mórz swoich, co niby dwaj cavaliere servente z obu stron grających fali śpiewały jej serenady swoje, a ona wiecznie młoda, wiecznie cudna, ustrojona wiankiem gajów i kwiatów, tchnęła pod ciche gwiazdy woń swoją, oddając niebu, co od nieba wzięła; Spinello — gdy się to wszystko działo, spał sobie snem prawego, o niczem złém nie myśląc. Aż tu nagle staje przed łóżkiem jego osobiście djabeł, od stóp do głów w tej samej postaci, w której go był odmalował Spinello w kościele degli Angioli; miał kubek w kubek ten sam wyraz fizyognomii, te same maniere, ułożenie i t. d. słowem, oryginał był, jak to mówią, z miny i czupryny tak podobny do owej swej kopii, jak dwie krople wody. A nuż tedy żale i chryje, nuż wyrzuty; a tyś taki, a ty owaki, gdzieś ty mnie tak szpetnym widział, co ja tobie winien, po co ty mnie tak despet malował, co ja ci kiedy złego zrobił, ty mi psujesz reputacyą i t. d. i t. d. i t. d. do widzenia się! Przebudził się Spinello, kąpiąc się w mroźnych potach, a w mózgu kipiało; czoło miał zimne, a głowę w płomieniach — ot, dostał pomieszaną zmysłów, nie długo umarł, i na tém się skończyło.

Otóż widzisz, drogi mój bracie; czém dla tego nieboraka był djabeł, tém zupełnie dla nas pospolitych ludzi są najczęściej własne serca *uczucia*; kto się na bacności nie ma, kto ich potędze rość w sobie pozwoli, kto je w sobie na oślep wychowa, toć wnet ich będzie miał własnymi wrogami, stanie się ich ofiarą i będzie zabity od nich, lub przynajmniej zaszwanuje na rozumie. Uczucia własne dźwigają się często w olbrzymie złowrogie demony, które się stają naszej zguby przyczyną; co się w sercu zrodziło wywołuje moce w świecie zewnętrznym, a te moce biją na nas i karzą za to, żeśmy pominęli ogólny Boży zakon władający światem i gruntowali sprawy nasze wyłącznie na własnego serca natchnieniu kłamliwem.

A istotnie, rzecz dziwnie się ma i z uczuciem i z tém powszedniem odwoływaniem się do nich. Zwyczajnie własne uczucia na świadectwo biorą w rzeczach, do których je najmniej zastosować można; a znowu tam, gdzieby wypadało sięgnąć do przybytku własnego serca i zapytać li samego głosu uczuć, tam najczęściej radzą się zimnego rozsądku: paczą tedy i rozsądek, i znieważają uczuć świętość. Gdy zaś najpospolicij przy sztukach pięknych zwykło się wiele i suto rozprawiać o uczuciach, racz tedy ze mną trochę bliżej ich istotę rozebrać, mając atoli zawsze na pamięci, że ja tu mówić będę o uczuciach samych przez się, a nie będących pod wpływem wyższych władz i ukształconej woli. Dla uniknięcia wszelkiego nieporozumienia wolę ci już z początku oświadczyć, czego przy końcu listu tego dowiodę, że jak człowiek bez uczuć jest głuchą, bezjedną łupiną w świecie moralnym, tak też przynaję, iż w świecie estetycznym

uczucia są głównym pierwiastkiem; bo gdzie nie ma uczuć, tam nie ma mistrza, tam nie ma sędziego sztuk pięknych, tam nie ma sztuki wcale.

Ale wyznaj, że też trudno znaleźć coś tak zmiennego, tak przemijającego jak uczucia same, jeżeli one nie staną pod rządem rozumu i nie poddadzą się zasadom prawdy. Rodzą się one w nas ciągle, i ciągle się przeobrażają, przychodzą nam z nienacka, niewołane, i niespodziewanie występują z ziemi, jakby z pod podłogi teatralnej widziadła i strachy; legną się w nas mimowolnie, bez najmniejszego wpływu naszego; jedna chwila bywa tu stanowczą. Ten lub ów, co wstał sobie spokojnie z rana, kładzie się wieczorem mając nienawiść, troskę, lub miłość w sercu; a co gorsza, przez nie, jakby przez żółte, bure, lub różowe szkiełka na świat spoziera. Uczucia tak mało od nas zależą, jak rumieniec na licu, jak iskra w oku, jak łza boleści, jak barwa włosów, jak sen i marzenia nocne, jak łagodniejsze lub mocniejsze pulsu bicie — serce nie służy.

Czyli się kto z tkliwszém lub słabszém sercem rodzi, to ani jego zasługa, ani wina; ani też o to chodzi, jakim się kto rodzi, ale jakim się własną pracą uczyni. Nie ma ludzi lichszych jak ci, których cała pochwała, że mają dobre serce: bo najczęściej to dobre serce znajdzie się i przy braku charakteru, honoru i ścisłego dopełnienia powinności swoich, i przy słabej głowie, rozwiozłości i złych obyczajach. Ludzie tacy nie dają żadnej rękojmi swojego postępowania, a najczęściej i sobie i innym stają się zguby przyczyną. Najwyższym dowodem wartości człowieka jest walka z wadami przyrodzonymi serca, aby na miejscu przemennych uczuć zbudować w sobie charakter. Ludzi bezmózgłych najczęściej tém bronimy, iż mimo tego i owego, co uczynili, mają przecież dobre serce. Podobnie też ludzie wskrós sentymentalni nigdy nie zdobędą się na dzielne i potężne czyny; dusza ich pełna woni, niby fiołek w zaciszy, wyzionie zapachem swe życie niezaznane, ciche i wiotkie. Jestto wielka różnica między człowiekiem sentymentalnym a człowiekiem, jak to mówią, mającym sentymenta.

Uczucia, mieszczące się w piersiach naszych, są skutkiem i ostatecznym wypadkiem nieprzeliczonych wpływów. Cały przeszły żywot nasz, towarzystwo, rodzaj wychowania, miejsce kędy kolébka nasza stała, obrazy rozwieszone na ścianach ojczystego domu, czarne i jasne chwile dzieciństwa naszego i cała ta nasza młodość brzmi głosem przeciągłym, długim, aż w późne lata życia. Nawet bieg szybszy lub powolniejszy krwi, różny temperament, wszystko, czegośmy sami się wyuczyli, albo czego nas świat nauczył przedewszystkiem usposobienie psychiczne od natury wzięte... słowem, summa nieskończonej liczby przypadłości, które bynajmniej od nas nie zależały, stworzyły te uczucia, które się w piersiach naszych mieszczą. Muszą tedy uczucia być tak przypadkowe, jak i okoliczności, które je zrodziły. A ponieważ wypadki i wydarzenia takowe w każdym

człowieku są inne a inne, więc też każdy człowiek ma inne uczucia i inne nastroje serca swojego. Ale co więcej, w jednym i tym samym człowieku nawet one ciągle się mieniają, wiecznie przeobrażają. Spójrzij w serca własnego ciemne otchłanie, w ten świat dziwny, niezgłębiony, w to gniazdo bezokich marzeń, zagadkowych potęg; ztamtąd, jakby z zamglonego oceanu, wznoszą się w różno-kształtnych fantastycznych formach, niby widma wywołane czarnoksiężnika słowy, tłumy uczuć różnego języka, różnej twarzy, a każde w imieniu innej namiętności przemawia, każde inną wprowadza sprawę przed sąd rozumu, każde ku swój stronie kieruje życiem naszym: a rozum, wśród tej wirzawy niesfornej, przesłyszany niekiedy i słuszności głosu. Uważ, iż nawet nigdy jedno uczucie samo w nas się nie odezwie; owszem, gdy jedno w serce uderzy, budzi całe akkordy spokrewnione z sobą uczuć, podobnie gdy się dotkniesz jednej struny w muzycznym narzędziu, już dźwięk jej obudzi inne, posłyszysz jej tercję, kwintę i oktawę.

Nieustannie coś w sercu naszym się zradza, porusza, mówi, a lada zdarzenie, lada zjawisko na nas działać może: spadający listek wieczorem jesiennym, umiérający kwiat, pięknych oczu spójrzenie, niebo jasne, promienne lub szare i smutne, pieśń z dawnych lat, miejsce niegdyś widywane i ukochane, niebo w gwiazdy strojne, gawory dzwonów znane z lat dziecięcych — i tysiące nieprzewidzianych małych i wielkich wypadków przestrajają w mgnieniu oka duszę naszą.

Sama wieku różnica, różnaitość pory dziennęj lub rocznęj, przeszłość, przyszłość i terażniejsze chwile w innych barwach zjawiają się oczom duszy naszéj i inne w nas budzą uczucia. Lata, co jeszcze drżemią w przyszłości łonie, podobne do młodości i wiosennego zarania, gdy wschód purpurowy goreje gromadą obłoków złocistych, a w każdéj rosy kropelce zwierciadli się niebo, błyszcząc nam jakby tysiączną nadzieją; przeszłość zaś jest znów jakby wieczorem jesiennym, niby podeszłością wieku naszego; przedmioty rzucają długie cienie na obraz świata; smutne, zimne mgły pokrywają życie ziemskie, aż gdy księżyc powodzią drżącego światła zaleje doliny, już też drzewa, góry, krzewy i skały tracą barwy swoje, i są tylko jakby widmami siebie samych. Południe życia, strzelając z góry promieniem swoim, dojmuje upałem pracownika téj ziemi; człowiek w znoju wieku średniego trzuci się z chwilą terażniejszą i pasuje się z nią i walczy, zapomniawszy na życia swojego wschód, a często nie pomyśli, że słońce żywota ku zachodowi się skłania. Tak uczucia nasze coraz inne przybierają kształty, a serce ciągłym niby jest kalejdoskopem, za każdym poruszeniem w inne się przemienia postaci.

A już teraz myślę, iż mi przyznasz że uczucia, powstając w nas i niknąc bez woli naszéj i przyczynienia się naszego, muszą też być w każdym człowieku inne, i nawet w każdym znów, wedle różnej chwili, wedle trafu, różne; a z tego znów rozumiéć możemy, iż one są rozmaite: złe i dobre, zacne i nikczemne, że nas tak do wielkich

i szlachetnych czynów prowadzą, jak hańby i zbrodni stają się przyczyną. Przyjaźń, miłość, poświęcenie za prawdę, bojaźń Boża, obyczaj pocziwy, również mają w sercu ojczyznę swoją, i również z uczuć pochodzą, jak zdrada, nienawiść, mordy, cudzołóstwo, kradzież, zazdrość, kazirodstwo i wszeteczność wszelka, o tém i Pismo Św. świadczy. Wstąpno do więzień karnych, kędy mieszka występki i rozpacz, a najczęściej znajdziesz, iż zarodem złego, owym ciemnym aniołem, co zwraca człowieka od drogi prawego żywota i wabi ku złemu, były źle pilnowane serca uczucia.

Uczucia są to owe czarownice, co na głuchych i pustych wrzoscach, wśród wichru, burzy i bitwy spotykają Makbeta i w serce jego, nadpsute pychą odniesionego zwycięstwa, niby jadu krople wpuszczając, pochlebną i zdradliwą przepowiednią wznecają w nim żądze panowania i chciwość korony; a droga do tronu wiedzie go przez mordy i zdrady. Pugiwał-widmo wabi Makbeta po przez noc do komnaty śpiącego Dunkana, a sam morderca siebie pyta, czyli krwawe zabójstwa narzędzie jest piekła widziadłem, lub dziełem podstępnych zmysłów? Shakspeare jest mistrzem w malowaniu uczuć stojących na zdradzie człowiekowi. Dla Ottella znów zazdrość serca w postaci Jaga staje się szatanem jego. Uczucia złe, dojrzewając bowiem w piersiach, przybierają te lub owe kształty, kuszą i do grzechu pociągają. Wię o tém Hamlet; głucho i pusto w sercu jego, rozpacza o ludziach, o sobie, o wieczności; patrzy na świat niby na wielki grób, a w serce własne jak w cmentarz, kędy pochował i miłość, i nadzieję, i uludy i wiarę swoją; skrzepnął w sobie, bo powątpił nawet o matce własnej. W tém duszy nastrojeniu podejrzenie ostatnie, najwyższe, zjawia mu się w bladym widmie ojca: ale Hamlet i jemu nie dowierza i sam sobie powiada, że duch ten może być zawodnym piekła posłannikiem, by go uludą zwieść i wtrącić do zbrodni.

Jeżeli tedy zaprzeczyć nie możesz, iż uczucia są czémś niepewnym, przypadkowym, a często złego powodem, toć już widzisz, iż one nie mogą być sędziami spraw naszych, owszem, iż one same należą pod sąd rozumu. A jak tedy niebezpiecznie jest zaufać im, tak jest ubliżeniem godność człowieka uważać to za prawdę, co nam, jak uczucia, znienacka i niewiedzieć z kąd przychodzi. — Człowiek, by bez krzywdy swęj wiekuistej istoty cokolwiek za prawdę mógł uważać, winien być przy zakładzinach jej i znać jej fundamenta.

Nie rozumiem tedy, jakim prawem w rzeczach pełnych grozy i powagi, w sprawach ogromnego dla wszystkich ludzi znaczenia, można się do uczucia swojego odwoływać; a jednak tak się dzieć zwykło. Bo czy to jest mowa o wydarzeniach historycznych, o wielkich figurach w życiu rodu ludzkiego, lub o prawie, stosunkach towarzyskich, sztuce pięknej i podobnych sprawach, toć najczęściej słyszymy, iż ktoś sobie uczucia własne za sędziów bierze, i z nich tworzy sobie zdania. Ale rzecz jasna, iż zdanie takowe jest li wa-

zném dla niego samego, dla innych nie ma żadnej wartości. Tu na nie się nie przyda, choć kto, kładąc rękę na sercu, sentymentalnie zawoła: „ja tak czuję!” bo choćby tém nawet jakiś efekt sprawił, nikogo przecież nie przekona; a wykrzykniki takowe są nierównie łatwiejsze, niż dowody na rozumowych zasadach oparte.

Człowiek, gruntujący zdanie swoje na własnych tylko uczuciach, opiera się tylko na powodach zupełnie osobistych, więc przypadkowych, które innych ludzi nie obchodzą wcale; a gdy czerpie li z siebie samego zdanie, nie z rzeczy, o której sądzi, więc téż to jego zdanie będzie prawdą osobistą tylko, a nie rzeczywistą: bo, czyniąc uczucia swoje najwyższym sędzią o rzeczy, nie pyta czém ona jest sama w sobie, a zatem czém być winna dla innych, tylko, czém ona jest dla niego. Nie przypuszcza żadnej dyskusyi, żadnego dowodzenia, ani za, ani przeciw: bo gdzie dyskusya i dowody, tam i rozumowanie, a uczucie nie wdaje się w rozumowania; jest, bo jest. Kto tylko w uczucia wierzy, żąda tedy ślepej wiary, bezwarunkowej ufności, ma pretensyą, aby to, co wyrzecz, miało dogmatów wagę; a przecież zdania takowe mają tylko piętno urywkowych prawideł, nie mogących się nigdy związać w systematyczną całość, bo do téj potrzeba zasady rozwiniętej z rozumowania. Estetyk, wierzący tylko w uczucia własne, na świat patrzy się z piętra, i radby mieć w swoim kraju niby propinacyą wyłączną na zdania i sąd o rzeczach i ludziach.

Są zaiste stosunki ludzkie, w których każdy samego jedynie uczucia radzić się musi i powinien, w których samo serce rozstrzyga. Zakochał się kto i żeni się, toć już słucha samego swojego uczucia, boć to jest jego własna sprawa, i zupełnie ma słuszość nie dbać o zdanie i perswazyę innych. Lecz byłby człowiekiem nieznośnym i śmiesznym, gdyby nas zniewolić chciał, byśmy i my te wszystkie owe zalety, przymioty i powaby w jego oblubienicy widzieli, które on w niej spostrzegł. Któż bierze za złe rodzicom, gdy w swych dzieciach widzą dowcip, rozsądek i urodę, i jakieś nadzwyczajne upatrują zdolności, których się inni ludzie w nich, choć przy najlepszej woli, dopatrzeć nie mogą. Dla ciebie ów ogromny dąb, pod którym siadywał dziad twój i ojciec, jest księgą świętą nieprzebranych marzeń słodkich i wspomnień drogich — gdy tymczasem obcy człowiek w myśli oblicza, ileby z onego dębu było fosztów, i po czemu by ich łokieć sprzedać można. Z tego téż powodu uczucia zwykliśmy zamykać w cichych tajnikach duszy, rzadko je komu otwierając, by świętokradzką ręką nie znieważono téj świętej kaplicy w piersiach naszych, by zimném dotknięciem nie zmrożono nam ciepłego drgania serca. Nie dziw tedy, że téż miłość lub przyjaźń zdradzona tak pali i boli.

W sprawach przeto zupełnie osobistych, zupełnie do nas należących, uczucia są właściwym sądem; wyprowadzone zaś z tego koła nie znajdują się więcej na miejscu swoim. Przewaga bowiem ja-

kiego uczucia w człowieku tak mięsza i mąci wyobrażenia o rzeczach, tak je majaczy, iż jest w niższym stopniu zupełnie tém, czém obłąkanie umysłu. Dla téj téż przyczyny gorowanie uczucia jakiego najczęściej do obłąkania prowadzi. W stanie takowym umysł zwrócony przedewszystkiém ku jednemu przedmiotowi (fiksacya), nie zdoła uporządkować wyobrażeń swoich, ani naznaczyć każdemu właściwego miejsca, wszystkie z sobą mięsza; dlatego choroby umysłowe słusznie pomieszaniami się nazywają. Rzeczy dla duszy w tym stanie będącej nie są istotnie tém, czém są rzeczywiście, ale czém się umysłowi schorzałemu być wydają. Najtrafniejszém téż leczeniem jest staranie, by człowieka z tego osobistego stanowiska jego, niby z kółka zaczarowanego, wyprowadzić a wystawić go na działanie świata zewnętrznego, rzeczywistego, czyli, jak powiadają, by go rozzerwać, zając rzeczami istotnemi.

Bo téż świat zewnętrzny, zwłaszcza natura, jest właśnie tą prozą, toczącą się zawsze i wszędzie drogą rozumu; i świat nie pyta się wcale, czém on się temu lub owemu człowiekowi wydać może, ale uczy rozumu każdego, kto się do niego nie stosuje, bo uczy, aby zapatrywanie się osobiste swoje zamienić na zdanie z rzeczy pochodzące, na pojmowanie rzeczywiste. Otóż patrz, szanowny pan Don Quixote z Manchy choć sam miewał zajaczki, wiedział przecież, jakby je leczyć w drugich. Gdy piękna panna Altisidora, niby rozgorzała ku niemu nieukojoną miłością, zuchwały rycerz z Manchy nie zdołał płacić wdzięcznością i wzajemnością uczuć, bo siebie na wieki był oddał nieporównanej Dulcinei z Tobozy. Przejęty jednak litością, rad był sentymentalnej Altisidorze podać niezawodne lekarstwo na ową serca chorobę. Jednego tedy wieczoru, gdy, wróciwszy od księztwa do komnaty swój, usłyszał głosy niewieście w ogrodzie zamkowym pod oknami swemi, dorożumiał się w oka mgnieniu, że to ona nieszczęśliwa ofiara: bierze tedy gitarę i, wedle świadectwa biografu swojego, trochę chrapliwym ale wcale nie przykrym głosem zaśpiewał pieśń, którą sam był na ten przypadek ułożył, choć nie wiem czyli dość grzeczną dla owój damy. Dość na tém, że jęj radzi, by się zatrudniała jak najwięcej, unikała próżniactwa, żeby dozierała kuchni, patrzała gospodarstwa, i zapewnia że szyćie, hafty, dzięrgania, druty, dogłądanie ogrodu, ciągła czynność, są wybourni środkami na miłość zbyteczną. Pamiętasz może, że po téj radzie, tak niby rozsądnej, sami biedny rycerz nasz odbywa walkę z kotami, które mieni być złośliwemi czarownikami. Bo tak bywa wśród nocy przyćmionéj duszy; niekiedy myśl strzeli, jakby błyskawicą, dawną potęgą swoją, by potem znów zapaść w sen i w marzenia na jawie. Tak masz, na wstępie do domu obłąkanych w mieście naszym, napisane węglem na ścianie tą samą nieszczęśliwą ręką i tuż przy sobie: *Deus est ens musicale, ml'ko piekło papa.*

Mimo tego, iż tak mało na samych uczuciach fundować się można, przecież jest zdanie powszechne prawie, iż sztuki piękne jak

z jednej strony ze samego uczucia mistrza płyną, tak też znowu w same tylko uczucia widza i słuchacza uderzać winny; że zatem ich głównym celem jest wzruszanie serca, pobudzanie uczuć, wzniecanie namiętności, a z tego znów, iż uczucia są właściwymi sędziami sztuk, i że wedle nich wyrokować można o dziełach piękności; bo jeżeli sztuki piękne dla uczuć pracują, więc też uczucia najtrafniejsze zdanie o nich mieć zdołają. Tutaj zaraz z góry możnaby uczynić tę uwagę, iż ze wszystkich sztuk pięknych właśnie muzyka jest tą, która zdaje się być najwięcej uczuciową, bo istotnie najwięcej ze wszystkich do uczuć przemawia — a przecież, pytam się, słysząc naprzykład kompozycyą jaką muzykalną, czyliż tylko samego uczucia mistrza w niej szukać będziemy, i czyliż dość jest, aby słuchający miał tylko uczucie samo, a nic więcej? Cóż dopiero rzec o malarstwie, architekturze, o rzeźbie lub poezyi? Nie ma nic łatwiejszego jak wołać, że sztuki powinny nas poruszać, wzbudzać uczucia, rozgrzać je sobą i t. d. Ta rada atoli jest tak ciemna i niezrozumiała jak uczucia same. A zresztą jakież to uczucia one wzruszać powinny? Dajmy na to, iż nam naprzykład odpowiedzą: że sztuki mają wzniecić uczucia religijne, zamilowanie cnoty, pogardę występku, słowem, że podnieść i uszlachetnić winny uczucia moralne. Takie wyjaśnienie rzeczy nie wystarcza wcale, bo nam mięsza cel religii i moralności z celem sztuki pięknej, a tu właśnie wszystko na tém zależy, by oznaczyć, czém jest sztuka, co ona ma właściwego sobie, żeby ją odgraniczyć od uczuć religijnych i moralnych. Taka definicya przenosi zupełnie sztuki na grunt im wcale obcy.

A jak zaprzeczyć nie możesz, iż religia i moralność sama w sobie jest prawdą i sama o sobie stoi, nie potrzebując od nikogo pomocy, obejść się zatem może i bez sztuk pięknych, tak z drugiej strony zechcesz przypomnieć sobie, żeśmy już w drugim liście zgodzili się na to, iż sztuki piękne nikomu nie służą, nie mają obcych celów, i same są sobie celem: nie służą tedy i moralności. Nie ma płytszego sądu o sztukach pięknych, jak zdanie powtarzane aż do znudzenia często: iż ten lub ów obraz, posąg, poezya, romans nie jest niby moralnym. Sąd taki jest czczy. Ludzie, którym brakuje podniety wewnętrznej do uczuć moralnych, niechaj nie narzekają na sztuki piękne, ale na wychowanie, jakie odebrali. Dzieła sztuki pięknej wcale nie mają powołania, by zastąpiły naukę wiary lub zasady pocziwe, skoro w sercu nie ma ani wiary, ani zacności. Sztuki wcale nie mają celu, by pomagały rozszerzeniu moralności w świecie, to do nich wcale nie należy. Powieść, malująca ohydłą barwę zbrodni w celu jedynie by była odstrachem od złego, chybia powołania swojego, zbacza ze swój drogi, bo jej cel jest jedynie artystyczny. Po architekturze, po muzyce, po rzeźbie nawet nikt nie wymaga, by miały cel moralny; jedna tylko poezya budująca, grająca, malująca wyrazami, ma mieć jeszcze cel dobrego obyczaju, choć ona ani mniej ani więcej nie jest sztuką jak architektura lub muzyka. Powieści

pisane dla dzieci mają zaiste głównie na bacznosci kształcenie serc młodych; ale téż powieści takowe nie należą do sztuki pięknej, lecz do pedagogiki, do liczby książek wychowaniu poświęconych. Jest rzeczą nawet dość komiczną, jeżeli ludzie późniejszego wieku chcą się jeszcze budować i polepszać z dzieł, które dla rozerwania swojego czytają; wszak już oni dawno powinni byli skończyć sprawę ze sercem i rozumem swoim i wiedzieć stosunki swoje do Boga, bliźniego i siebie samych. Rozprawiania o moralności dzieł sztuki pochodzi z pomieszania wyobrażeń o rzeczach zupełnie różnych. Czyliż sztuki piękne mają być rozprawą o moralności, czyliż one mają mieć w końcu dodany sens moralny jak bajeczki Krasickiego? — a zresztą, któż z nich tę moralność wytłómaczy? — czyli tu nie wszystko zależy od sposobu uważania tego, który je tłómaczy? — W jednym i témże samém dziele, wedle stanowiska różnego, wiele dobrego i wiele złego widzieć można. Posłuchaj, co w towarzystwie mówią, gdy przy herbacie rozmawiają o moralności jakiego romansu lub dramatu; rzadko znajdziesz dwa zdania zgodne w tym względzie.

Nie przeczę iż dzieło sztuki każde, byleby było doskonałe, na wartość téż wewnętrznego człowieka wywrze wpływ swój potężny i zagrzeje miłością tego, co jest moralném, wielkiém, prawém i świętém. Bo sztuki tak są prawdą i tak z zacności człowieka płyną, jak moralność, cnota i wiara; nie mogą one być tedy im przeciwne, ani w sprzeczności z sobą; są to ściany jednego i tego samego brylantu, gorejącego tylko różnemi barwami ognia swojego. Co innego atoli jest powiedzieć, iż z dzieł sztuk pięknych wypływa moralność i zacność, a co innego, iż one tylko dla téj moralności i cnoty bytność swoją mają, i że one dla moralności są środkiem tylko. Przypuszczam, iż istotnie sztuki piękne winny mieć na celu obudzenie uczuć szlachetnych, wielkich i zacnych; czyliby na tém moralność tak wiele zyskała? — mniemam, że nie wiele: bo moralność nie stoi na uczuciach, nie na zapalach tylko, ale raczej na przekonaniu, na jasnej wiedzy powinności świętych człowieka, na łamaniu się z sobą, jeżeli potrzeba, a nawet na zmuszeniu swych uczuć, by się zastósowały do tego, cośmy w sobie za prawdziwe i godne nas uznali.

Zaiste sztuki piękne nie służą żadnemu celowi obcemu za środek; ich celem jest właśnie piękność sama. Ich celem nie jest ani rozbudzenie uczuć religijnych ani moralnych, ich celem téż nie może być nauczanie ani wiedza żadna; sztuki piękne są wolnemi córami potęgi niebiańskiej, która zamieszkała w sercu człowieka.

Rzekłem już w inném miejscu, że człowiek w sztuce uzmysławia wiekuisty pierwiastek ducha swojego; ten pierwiastek w nim robi i prze, niewoli to do własnej twórczości artystycznej, to do podziwiania dzieł mistrzów i skąpania ducha swojego w źródło piękności. Człowiek nie może nie mieć sztuki, ona jest najwyższym wykwitem ducha jego; sztuka jest zarazem i rękojmnią i wpływem nieśmiertelnej jego istoty. Dla tego téż właśnie sztuki piękne pojawieniem

swojem uszlachetniają, uzacniają uczucia człowieka; dla tego właśnie stanęły obok cnoty, obok religii jako zacne jej sprzymierzenie. Atoli to uszlachetnienie, to wzniesienie ducha ludzkiego przez sztuki piękne jest ich skutkiem, ale nie jest ich powodem ani celem.

Widzisz tedy że cel, narzucony sztukom pięknym, jest świętokradztwem na nich dokonaniem, więc dla tego sztuka, uczyniona służebnicą obcych jej celów, mścić się będzie na mistrzach zniewagi swojej, skrecając i pacząc ich dzieła, jakby na urągawisko ich talentów.

Patrz jak mdle najczęściej są np. wszelkie poezye mające na celu nauczanie; poemata dydaktyczne nie są nigdy ani prawdziwą nauką, a rzadko bardzo prawdziwą poezyą. Wszak dążności „praktyczne” Rzymian, mające we wszystkiem cel utylitarny na oku, stały się klątwą, ciężarą na ich sztuce; wszak ta praktyczność ich przedewszystkiem stworzyła ową poezyę rzymską dydaktyczną, co świeci i błyszczy, migocze się jakby wysadzona w drogie kamienie; w niej znać pilne, wytrwałe wykonanie, ale najczęściej brak im natchnienia. Bo téż inaczej być nie może! Wszelkie dzieło sztuki, do którego się zabiera mistrz z zamiarem osiągnięcia jakiegoś celu ubocznego dla piękności, wszelkie dzieło sztuki, przedsięwzięte z zamiarem rozszerzenia jakiejś dążności ubocznej między ludźmi, nie będzie nigdy arcydziełem piękności. Bo gdy mistrz ma na oku cel jakowyś, już tém samém dobrać winien środki stosowne do osiągnięcia zamierzonego celu, i wiąże te środki i kombinuje je z sobą, i waży je i mierzy i stosuje. Takie postępowanie atoli jest już sprawą chłodnej rozważy, rozumowania, rozsądku; lecz rozum, rozważa chłodna nie stworzy nigdy dzieła sztuki, z głowy samej nie zrodzi się nigdy piękność; takowe dzieło nie będzie żywym kwiatem, ale kwiatem trupim, robionym. Przypatrz się dobrze tym poezyom, romansom tak zwanym „tendencyjnym”, a zgodzisz się ze mną, że prace takowe, mimo ogromnego talentu pisarzy, nie będą przecież dziełem prawdziwie estetycznem, artystycznem. Bo dwóm panom służyć nie można. Kto jest kapłanem piękności, niechaj się już nie kłania obcym jej bogom. Połowiczność zawsze i w tém odnosi karę, że takowe dzieła wnet idą w niepamięć; świat zwróci się do innej dążności i odrzuci precz od siebie dzieła, które niedawno uwielbiał. Piękność artystyczna w całym majestacie swoim zasiadła na stolicy; garnijcie się do niej i oddajcie jej hołdy; ale biada jej i wam, gdy ona, zapomniawszy godność a zacność swoją, zestąpi z swojego tronu i, mizdrząc się do łada zachętki swojego czasu, ofiaruje się każdemu co jej przysługi po swojemu użyć zechce.

Rozumiem, że mi nie zarzucisz tutaj, iż najwyższe arcydzieła sztuki, że pieśni wielkich mistrzów, porywając, zagrzewając serc tysiące, wlewają w duszę dążności wielkie, szlachetne, olbrzymie i unoszą widza, słuchacza nad siebie samego; nie spodziewam się zarzutu takowego, bo rzecz jasna, że gdy każde dzieło sztuki, każda pieśń ma

pewną treść swoją, już tём samém obudza w sercu ludzi dźwięki pokrewne, wskrzesza uczucia a tём samém i dążności, które wtoro-
wać będą tonami swojemi tój treści, tym uczuciom mistrza samego. Tego przecież nikt zaprzeczyć nie zdoła. Nie mniej jest rzeczą pe-
wną, że ta duchowładna tajemna potęga mistrza właśnie w tём tkwi,
że on te uczucia, te zapęły w sercach ludzi zbudził sztuką, ale nie
sztucznością; że tych dzieł nie robił jakoby na obstalunek, że sam
mistrz-wieszcz był przenikniony wskrós jakąś prawdą wielką, pra-
wdą głęboką, która przeszła jakby w krew jego duszy, w tętno jego
serca, wrzała w nim i kipiała i parła do dzieła; i on wyśpiewał tę
prawdę w swojej pieśni, odział ją w postać dzieła swego, a ta pieśń,
to dzieło uderzyło gromem widzów, słuchaczy i rozpałiło ich ogniem
zacnym i szlachetnym. Prawda, która się stała panią wieszczą i du-
szą jego duszy, sama przez się z własnej mocy swojej żyć będzie
w dziele jego, i nie będzie bynajmniej potrzeba aby mistrz założył ją
sobie z góry za cel swojego dzieła; w tём dziele będzie dążność, ale
ona sama się w nim zrodzi bez umyślnego powziętego zamiaru. Lecz
właśnie dla tego głównie chodzi o to, aby treść, przejmująca duszę
mistrza, była rzeczywiście prawdą, bo wtedy i natchnienie jego bę-
dzie iście prawdziwém, wtedy to zachwycenie twórcze nie tylko
z imienia ale z istoty swojej będzie aniołem wiekuistym, zesłanym
od Bożego tronu, wtedy jedynie to zachwycenie nie będzie kłamli-
wém, zawodnym demonem, co się zrodzi z próżności osobistej i za-
chcianki drobnej ciasnego serca.

Ale rzekną nam, że smak jest zaiste najwyższym krytykiem dzieł
sztuk pięknych; aleć, proszę, czémże jest smak, jeżeli nie uczuciem
piękności? Co tedy powyżej o uczuciach w ogólności powiedziałem
zupełnie stosuje się i do uczucia piękności, do smaku. Lecz co wię-
cej, ze wszystkich uczuć właśnie uczucie piękności, ów smak jest
najniestalszy, najrozmaitszy; każdy wiek, każdy człowiek ma inny,
każdy rok inne smaki rodzi. Myślę iż nasze damy za wszystkie
skarby świata nie ustroiłyby się w mody, będące najwyższym dowo-
dem wykwintnego smaku lat temu 30-ci; ba, i tak dawnego czasu
nie potrzeba wcale. Byłoby szczerem zbytkiem dowodzić tego, a nie
ma tóż oklepańskiego i prawdziwszego przysłowia: *de gustibus non
est disputandum*.

Powiadają, smaku dorobić się można wpatrywaniem się pilném
w dzieła sztuk pięknych, zostawionych nam w puściźnie po wielkich
mistrzach przeszłości. Wołają zewsząd: czytaj tylko pilnie dzieła
wzorowe, odznaczające się wytwornością, nabywaj uczucia piękności
w galeryach obrazów, rozbiéraj celujące pomniki architektury, zro-
zumiéj czarodziejstwo muzyki po koncertach, operach, kościołach,
utop się myślą w posągach świecących po glyptotekach europejskich,
a widząc i słysząc te skarby sztuki, wprawisz smak swój i będziesz
już mógł sądzić o wartości dzieł.

Gdyby samo widzenie zgola miało być dostateczném, więc nie

wiedzieć czém się dzieje, że pomimo onych gestych a częstych podróży, znajdziesz owo dziwaczenie się, zwłaszcza pod względem architektury. Spójrzysz na browar, rzekłbyś, że to kościół; na owczarnię, że to ratusz; obaczysz karczmę podobną do galeryi obrazów, a dwór do obory. Lada gdzie usadzą pęką basztę, wlepią ci drzwi i okienka śpiczaste, i powiadają, że to styl gotycki. I takie to całe wyobrażenie o smaku i piękności. Bo już nikt nie żąda, by kto innemi sprawami życia zatrudniony, znał się na sztuce, ale chodzi o to, aby wiedział na co go stać, a na co nie. A zkadże to wszystko się bierze? Zaiste żąd, że choć owa rada nabierania smaku przez przypatrywanie się rzeczom prawdziwie pięknym ma wiele prawdy, przecież w niej jest jedna niedogodność: trzeba bowiem już naprzód i z góry wiedzieć, co jest pięknem i czemu się przypatrywać potrzeba, by smaku nabyć; lecz kto to wie, już ma smak i już go nabywać przypatrywaniem się nie potrzebuje wcale; już taki ma to uczucie piękności, o które właśnie mu chodzi. A jeżeli go nie ma w sobie, jakże poznać zdoła, co piękne a co niepiękne w dziełach sztuki? a jakim sposobem ma znaleźć tę piękność, czyli za pomocą przewodnika, co by mu wskazał te piękności wszystkie? — Zapewne. Ale zkadże znów ta pewność, że ten sam przewodnik ma smak dostateczny — i zkadże znów ów przewodnik nauczył się tego smaku? zapewne także musiał mieć przewodnika swojego, a ten znów innego; a tak niewiedzieć gdzie się ten łańcuch przewodników kończy. Ale może sława Rafaela, Correggia, Thorwaldsena, Homera, Praxytelesa wystarczy, by wiedzieć, iż ich dzieła są wzorami piękności i że się im przypatrzeć należy. Zaiste, jesto zawsze czémś; pytam się jednak, cóż im tę sławę sprawiło, czyli smak współczesnych i potomnych? a ci znów zkad tego smaku nabyli, jako też prawa ustalenia sławy mistrzów onych?

Mamy więc podziwiać Zbawiciela w katedrze naszej nie dla tego, że jest dziełem najwyższej piękności, ale dla tego że jest dziełem Thorwaldsena, który jest *bardzo sławnym rzeźbiarzem*? więc tedy nie mistrz ma brać sławę z dzieł swoich, lecz dzieła z mistrza?

Dziwna rzecz, iż po tylu pracach, po tylowiecznych trudach jeszcze się nie upowszechniła jasna i przezroczysta wiedza o wiekuistej istocie piękności, gdy tymczasem Plato przed dwoma tysiącami lat uchwycił ją z najwyższego szczytu geniuszu swojego. Skracam słowa jego, dając im zakrój zbliżony nieco do naszego pojmowania rzeczy. „Gdy dusza — mówi Plato — ujrzy piękność na ziemi, przeżywa się dreszczem tajemniczym, bo przypomina sobie własnego żywota dzieje przed lat tysiącem upłynione, gdy jeszcze mieszkała na gwiaździstej nieba stolicy, i nim spadła w zimne padole doczesnego życia. Gdy bowiem tutaj w tych poniżach ziemskich piękność przed duszą stańie, wtedy dusza rozgoreje pamięcią zapomnianej szczęśliwości; rozwija się przed nią jasny obraz onęj chwili wielkiej, gdyśmy wszyscy, jedni w orszaku Jowisza króla Olimpu, inni chórem idąc

za innymi bogami, obchodzili uroczystość najwyższej Piękności, oddając wraz z niebianami tej wspólnej wszystkim pani pokłon i cześć. Dusza tym widokiem jasnym rozpływała się w morzu wesela bez granic, bo ona była jeszcze bez skazy, pełna czystej rozkoszy, niedotknięta jeszcze biędami, które na ziemi na nią czekały, ani obłożona jeszcze ciałem ciskającym ją jak skorupa ślimacza. Dla tego dusza tak do niej tęsknotą drga, gdy ją tu pełną blasku, świecącą, w postaci ciężkiej materji obaczy; a jej też urok jasny oczyma, owym jasnym zmysłem, do duszy płynie."

"Wzrokiem zaiste piękność oglądać człowiek zdoła, ale mądrości nie ujrzy oczyma; bo gdyby dusza obaczyła mądrość zmysłami swojemi, tak silną ku niej rozgorzała by miłością, iżby już nie podolała tej tęsknocie swojej; dla tego wzrokiem człowiekowi samą tylko piękność oglądać dozwolono jest."

"Kto już zatracił w sobie przypomnienie onej piękności wiekuiściej, w niebie widzianej, lub kto zepsuty spróchniał w sobie, to i kochania prawdziwego tej piękności nie pojmie; w dzikości swęj natury rozkołysze się ku niej zmysłową namiętnością i grubych zapragnie rozkoszy. Kto zaś w piersiach dochował świętość pamięci onej niebianki, już na widok materji, uduchowionej pięknością, zadrży w sobie jakąś trwogą wewnętrzną, a lęk z onych czasów spłynie na niego uwielbieniem; upadnie przed nią, będzie się modlił do niej i patrzył na nią niby na Boga, lub na kochankę swoją; radby jej poświęcić wszystko i palić ofiary, jak się to bogom najwyższym czyni, gdyby znów nie bojaźń, żeby go ludzie za obłąkanego nie mieli. A gdy się w tę piękność dusza wpatrywać będzie, rozkosz tęskna jakimś ciepłem rozleje się po całej jej istocie, i ona poczuje jakąś boleść po sobie; bo wśród ciepła i tych bólów wykluwają jej się dawne niebiańskie pióra, dawne skrzydła; a dusza, jak niegdyś w niebie, rozwinie te swoje pióra, te loty i skrzydła, i znów się wzniesie do górnego Olimpu, ojczyzny swęj." (Phaedrus.)

Powiedz, czyli może być głębsza filozofia jak ta poezya, i czyli może być wyższa poezya jak ta filozofia Platona? I jak przy tym sposobie zapatrywania się jego wydaje się zdanie, iż smak jest najwyższym sędzią sztuk, iż to one ku niemu się mają i że wszystko jest piękne, co trafia w smak współczesny?

Ośmielam się twierdzić, iż może korzystniejsza jest całość, teorya zbudowana choćby na mylnych zasadach, niż gołe odwoływanie się do smaku choćby najwyborniejszego; albowiem smak nigdy ogólnej teoryi nie złoży, bo jest uczuciem, a zatem nie rozumuje wcale; do teoryi zaś rozumowania potrzeba. Objawić się tedy smak może li w formie recenzyi, krytyki jakiegoś już utworzonego dzieła sztuki.

Powiadają iż dzieła, które są najwyższą pięknością dla jednego wieku lub narodu, są szpetne i obrzydliwe dla innego czasu lub kraju; zatem nic stałego, nic trwałego o piękności i sztuce powiedzieć nie można, zatem też żadna teorya sztuki utworzyć się nie da.

Zkądże urosło takie wyobrażenie o rzeczy? Właśnie ztąd, iż w sztukach li samego smaku się trzymają, a właśnie smak jest zmienny, więc się zdaje, że i piękność sama jest zmienna i że każda teorya sztuki jest pustym zachodem. Rozumowanie takowe krąży kółkiem; bo gdy sztuki są niby dziełem smaku, — więc smak o nich sędzić powinien, — a smak o nich sędzi, bo one są dziełem smaku i t. d. I smak ma swoje dzielnice, w których jest samowładnym choć zmiennym panem. Do niego należy ubrać pokoje, wybrać sprzęty, ustawić je, zarządzić obiadem, bałem, zastawić stół, — kreślić nowe rysunki na obicia pokojowe, stwarzać kardynałki, burnusy, wymyślać nowe mantylki, kryspinki, wiktorynki, bibi i t. d. i t. d. Radbym atoli abyśmy się dobrze zrozumieli. Powyżej mówiłem o smaku w znaczeniu przyjętém zwykle w życiu powszedniém; nie przeczę jednak bynajmniej, że gdy się znajdzie człowiek z duszą estetycznie wykształconą i kłiwą na to wszystko, co szlachetne i zacne na świecie, gdy do uczucia piękności, wziętego z natury a wyrobionego zapatrywaniem się na arcydzieła sztuki, przystąpi jeszcze umiejętność wyrozumowania prawideł artystycznych, wtedy zaiste takie uczucie, taki smak może być sędzią niezawodnym dzieł piękności.

Zrozumiesz, że gdy tu mówię o umiejętności prawideł estetycznych, nie obstaję bynajmniej za pedanckiem szkolnictwem; mnie mam jedynie, iż jak mistrz nie obejdzie się bez wiadomości o prawidłach swjej sztuki, tak téż i sędzia dzieł jego znać je powinien; ta teorya będzie dla niego samego nawet rękojmią, że zdanie jego nie płynie li z osobistego usposobienia, ale wynika zarazem i z samej istoty rzeczy. Zważ równie, iż tu wcale nie chodzi o to, aby, dając zdanie o dziełach sztuki z całym rozsądkiem chłodnym, sobie obecnym, przymierzał do dzieł takowych prawidła estetyczne; bo im więcej on sam przejmie się temi prawidłami, im więcej je zleje z własną istotą swoją, im ściślej je sobie przyswoi, tém one téż ściślej przejdą w uczucie jego, staną się, że tak powiem, jego estetycznym sumieniem i instynktem, przejdą w jego smak i uczynią go właśnie smakiem prawdziwym. Mówiłem w téj chwili o sumieniu estetyczném. Widzisz, ów smak osobisty, przypadkowy, niepewny, zawodny, słowem ów smak w znaczeniu, jak go zwykle w życiu codzienném bierzemy, tak się ma do smaku prawdziwie estetycznego, o którymśmy tutaj dopiero mówili, jak sumienie w znaczeniu nieprawdziwém do sumienia istotnego, rozświeconego prawidłami wiary i nauki moralnej.

Czyliż się to nam rzadko zdarza, że ten lub ów najgorszy człowiek o miedzianém czole, uważa to być sumieniem swoim, co zaiste jest tylko żądzą poziomą, namiętnością nikczemną, która mu wciękła w duszę jego. Kto zaś nauczył się nierzyc sumienie swoje wedle prawd religii i etyki, kto stanął własnemu sumieniu na straży, ten odgarnął od sumienia prawdziwego, od tego głosu Bożego, demoniczne i złe uczucia, ten już bez chyby a zawodu, gdy do działania

przyjdzie, postąpi sobie zacnie i uczciwie, nie przypominając nawet sobie prawideł i ustaw moralnych. Te prawidła staną się już same przez się, jak powyżej rzekłem, krwią jego duszy, tętnem jego serca. Podobnie np. kto nauczył się wedle prawideł wyrozumowanych układu palców, już grając zachowa te prawidła w dotykaniu klawiszów, i nie pomyśli nawet w tej chwili o prawidłach owych.

Zważ atoli jeszcze, że gdy smak ów, w zwyczajném znaczeniu wzięty, trzyma się w wykonywaniu dzieł sztuki raczej osobistego zapatrywania swojego niż istoty rzeczy, niż istoty przedmiotu i zasad ogólnych piękności, wynika ztąd, że smak taki wyradza się najczęściej w wypaczenia, które zwykle „manierą“ zowią, ale manierą w złém znaczeniu. Ona to jest wykonywaniem dzieł sztuki niby na pamięć, wedle pewnych formułek raz na zawsze przyjętych, wedle pewnych sposobków, których się wrzekomy mistrz na pamięć nauczył. Maniera też bardzo często chwytą się ucznia miernych talentów, chcącego naśladować wielkiego mistrza. Co innego jest styl. Styl jest skutkiem przejęcia wskrós istoty samego przedmiotu, wypływa tedy nie z osobistej dążności ani z własnych kaprysów, ale raczej z rzeczy samej i z zasad sztuki. Buffon niegdyś rzekł: *le style c'est l'homme*; trudno by nam przyszło zgodzić się z tém orzeczeniem, gdybyśmy je brać mieli co do litery; zdaje mi się atoli, że słowa wielkiego pisarza powinny być wzięte w tém znaczeniu, że ze stylu poznać można o ile mistrz zdołał ująć całą głębię przedmiotu swojego, a tém samém o ile przedstawienie jego artystyczne odpowiada przedmiotowi temu. W tém znaczeniu iście powiedzieliby można, że styl jest człowiekiem. Duch mistrza nurkiem zgłębia topiele myśli Bożych, zamkniętych w przedmiocie, i wynosi je na świat, przedstawiając je ludziom w szacie właściwej, we właściwym stylu. Atoli wielu arcy-mistrzów z równą genialnością mogą przeniknąć jeden i ten sam przedmiot; każdy przedstawi go w prawdzie wiekui-stej jego, w sposób właściwy przedmiotowi, a każdy przecież przedstawi go po swojemu, w sposób jemu tylko właściwy; tak tedy każdy z nich będzie miał styl sobie właściwy. W tém znaczeniu możemy mówić o stylu Michała Anioła, Rafaela, Overbecka i t. d. — z których każdy, choć się zabierze do tego samego przedmiotu, odda go po swojemu. Lecz o stylu i manierce wypadnie mi może jeszcze i na inném miejscu pomówić.

Przecież widzę, iż list mój niepohamowanie rośnie, bo postrzegam, iż zaledwie do połowy wyczerpałem przedmiot dla niego przeznaczony. Wypadałoby mi może ukończyć teraźniejszy list mój, zachowując sobie na raz następny ciąg dalszy jego; ale znów z drugiej strony nie radbym na dwa listy rozwlekać tej samej treści; dla tego przebaczyć, iż rzecz moją za jednym zawodem do końca poprowadzę, i tak też na przyszłość czynić będę.

Zechcesz sobie przypomnieć, iż dopiero co przytoczyłem ci zdanie, jakoby uczucia były główną i jedyną nawet podstawą sztuk pięknych, i że zdanie to rozumiane być powinno pod dwojakim względem: raz, iż sztuki na uczucia widza lub słuchacza działać mają; drugi raz, iż sam mistrz, jako twórca dzieła pięknego, li samego uczucia słuchać powinien. Tak dawniej, bo w liście trzecim, wspominałem choć zdaleka, iż samo uczucie, i samo nawet natchnienie w mistrzu, nie jest dostatecznym środkiem do stworzenia dzieła sztuki. Tutaj więc kilku słowami reszty dopowiem.

Będziesz zaiste dość często w tych listach spostrzegał, iż niektóre przedmioty za dwoma lub więcej jeszcze zawodami rozbięram; nie zechcesz zaiste postępowania tego przypisywać niebaczniemu powtarzaniu się lub błędnemu rozkładowi osnowy, czynię ja to z umysłu, albowiem jestem zdania, iż jasność rzeczy i wzajemne zrozumienie się na tém zyskuje, jeżeli ważniejsze rzeczy przy różnych sposobnościach i z różnej strony swojej wyjaśniane bywają; upraszam cię, żebyś to usprawiedliwienie się moje raz na zawsze miał na oku.

Jeżeli mistrz samém jedynie uczuciem powodować się będzie, toć nie zdoła wyjawić, co się wewnątrz serca jego dzieje. Wiemy wszyscy, iż w chwilach, w których uczucie zupełnie nad nami górę bierze, zdobyć się jedynie możemy na wykrzykniki nie mające żadnego znaczenia, nie zawierające żadnej myśli w sobie: — są to puste głosy i dźwięki urwane. Im zaś duch więcej ochłonie, stanie się przytomnym sobie i nawraca do siebie, tém już jaśniej zaczynają się wiązać z sobą słowa, tém mocniej łączą się w zdania; a gdy myśl zupełnie przyjdzie do siebie i sama już jasno siebie obejmie, wtedy mowa płynie jasna i przejrzysta z duszy wnętrza jakby potok czysty, wypadający ze skalistej Tatrów piersi; bo efekt gwałtowny, bo rozrukane fale uczuć głuszą ducha przytomność, a on w téj burzy serca i własnego nie dosłyszysz głosu.

Co powyżej rzekłem stosuje się prawie do każdego z nas ludzi zwyczajnych; w innych listach zaś będziemy szeroko rozprawiali o usposobieniu właściwem, które znów mistrze mieć winni; obaczmy, że lubo uczucie gorące, tkliwe, jest głównym warunkiem wszelkiej twórczości, tedy, z drugiej strony, to samo uczucie, choćby najgłębsze, nie uczyni jeszcze nikogo mistrzem. Obaczmy, że chwila natchnienia, więc chwila mistrzowych źródeł, jest właśnie stanem, w której dwie moce pasują się z sobą o władztwo nad duchem jego; bo on, jakby czyniony obcą potęgą, porwany geniuszem, traci siebie i świat otaczający go w koło, a zarazem znów nad tym zmrokiem ciemnym ducha dnieje świtem przytomność siebie, świadomość rozumowa, tak iż myśl prawie już zupełnie trzeźwa zdoła wybrać pośród tych obrazów zrodzonych w natchnieniu właśnie te, które się najwięcej nadają, zdoła je uporządkować i uszykować. Lecz o tém wszystkiém, jak rzekłem, pomówimy jeszcze na inném miejscu. Tutaj tylko zważ, że uczucia gwałtowne, bijące na serce człowieka, nie stwo-

rzą nigdy dzieła sztuki, i że zasada Horacyusza *si vis me flere, dolendum est primum ipsi tibi* (*), winna być brana w zupełnie innym sensie. Czyliby malarz, poeta, rzeźbiarz, muzyk, mógł stworzyć dzieło swoje, gdyby sam w chwili stworzenia był miotany namietnościami i falą tych uczuć, które chce uzmysłowić w dziele swoim? — czyliby artysta dramatyczny, sam będąc przejęty afektem, który na scenie wydać zechce, mógł wywiązać się ze swęj roli? Bynajmniej: — bo gdzie afekt, tam nie ma przytomności umysłu, nie ma wtedy sztuki wcale. W sztuce właśnie chodzi, aby nie uczucie ogarnęło myśl, ale aby przeciwnie myśl była panią namietności, a wtedy ona płynie mową pełną patetyczności. Myśl przytomna i ciepłe uczucie, razem wzięte, są tēm najwyższēm Pathos sztuki.

Jeżeli jest prawda niezaprzeczoną, iż wszystko co w człowieku żyje, i co jedno go obchodzić może, co ducha i jego serce napęlnia treścią, zdoła być przedmiotem dla sztuki, więc autor ma słuszość, gdy w dramacie, romansie lub innēm dziele, rozwinie ten cały świat nierozdzierniony serca, ciemny i zagadkowy; lecz niechaj tēz maluje, jak uczucia ogarnęwszy ducha człowieka, porywają go do czynów, do walki, do pasowania ze światem, i jak nareszcie, uchwycony burzą namietności własnych, rozbija się i tonie, rzucony o opoki rzeczywistości i towarzyskiego porządku: toć to iście będzie przedmiotem dla sztuki. Ale mistrz niechaj sam nie będzie pod panowaniem tego uczucia, niechaj sam mu nie przyznaje słuszości, niechaj nie staje w obronie jego; bo uczucia te szczegółowe nie są prawdami, one do pomyłki wiodą, a człek płaci za tę swoję pomyłkę utratą spokojności, szczęściem żywota całego, lub śmiercią. Bo nie uczucie, co goreje w piersiach jego, ma wagę i znaczenie, ale ten porządek powszechnego obyczaju, to ogólne przekonanie, spoczywające jakby na podwalinie swęj, na woli wszystkich i prawdzie wiekui-stęj: — ona to jest tą opoką, o którą się nietylko gruchocze, jak powiedziałem, słaba łódź uczuć miotana namietności burzą, lecz gruchotać się koniecznie powinna, bo one li są osobiste, a tu prawda powszechna jedynie ma wagę.

Pani Sand w przedmowie do *Indyany*, tłōmacząc się z ducha tēj książki, powiada: „Le narrateur espere qu'après avoir écouté son conte jusqu'au bout, peu d'auditeurs nieront la moralité, qui ressort de ses faits et qui triomphe là, comme dans toutes les choses humaines“. Ale już wyżej powiedzieliśmy, iż jak z dzieła doskonałego sztuki nie wypłynie niemoralność, tak zaiste moralność nie może znów być uważana za cel jego. Jeżeli zaś autorka istotnie wzięła sobie w swēm dziele moralność do serca, nie wystarczy znów, jak myślę, jēj sposób widzenia rzeczy, wyrażony w następujących słowach: „Indiana, c'est la femme, l'être faible, chargé de représenter

(*) Jeśli chcesz mnie oplakiwać, żal się przedewszystkiēm nad samym sobą. (St.)

les passions opprimées, ou, si vous l'aimez mieux, réprimées par les lois; c'est la volonté aux prises avec la nécessité, c'est l'amour heurtant son front aveugle à tous les obstacles de la civilisation. — Mais le serpent use et brise ses dents à vouloir ronger une lime, les forces de l'ame s'épuisent à vouloir lutter contre le positif de la vie.“ Te słowa są prawdy pełne, ale nie obejmują sobą całej prawdy, bo wypadło dodać: iż nie tylko tak bywa, jak autorka powiada, ale że tak koniecznie być powinno. Można nie rzucać kamieniem na kobietę taką jak Indyana, widzimy atoli, iż cios, który przez jej postępowanie na jej głowę spada, jest koniecznością, jestto z grobu wstały Komtur w Don Juanie, mszczący się uściśnieniem śmiertelném marmurowém za znieważenie praw i pocziwego obyczaju.

Ta konieczność, ta ustawa, ta proza życia, co dławi i zabija uczucia, ma słuszność, ona jest w prawie swém, ona to wymierza wieczną sprawiedliwość, ona jest wiekuistym rozumem, któremu nie o osoby, ale o rzeczy chodzi. Kto się nie zgadza z obyczajem ogólnym, sam sobie pisze wyrok swój; kto zrywa z zakonem powszechnie uznanym, z tym i zakon zrywa. Gwiazdy, one pierwotne stworzenia córy, idą po niebie grzmiącym szlakiem swym, który im Bóg od wieczności na przestrzeni bez końca zakreślił, a żadna nie zbacza z swjej jasnej drogi, żadna nie buntuje się wiecznej harmonii. Jak atoli uczucia mocne, głębokie nie są zakonem w porządku świata moralnego, jak one bynajmniej nie są wyłącznym warunkiem twórczości mistrza, tak też mistrz chybi powołaniu swojemu, jeżeli mniema, że rozkołysanie do najwyższej potęgi uczuć w duszy czytelnika lub widza jest najwyższym sztuki jego tryumfem. Temu mniemaniu przypisać należy pojawienie się w czasach naszych owych romansów tak wprawdzie efektownych, które atoli są jawnym dowodem gwałtów dokonanych przez mistrza na własnych talentach. Czytając te sceny okropności pełne, zdaje się że one są złym snem, co cię trapi na jawie; wszystkie uczucia, wszystkie, że tak powiem, nerwy duszy są poszarpane, zbolełe jakby przecierpiały męki katowskie, a w tych utworach występują szatany z błota zrodzone, popisujące się wykrintem łotrowstwa.

Czyliż tedy dziwno, że gdy młodzież obczyta się w takich dziełach, już osobliwszych nabierze pretensyj do życia i świata, że rościć sobie będzie niestworzone prawa do przyszłości swojej, że to życie ciche i pocziwe, że dopełnienie powinności codziennych, wyda mu się dobroduszością mdłą i pogardliwą, że nakoniec w najszcześniejszym razie zbankrutuje na uczuciach prawdziwych, a serce zestarzeje się za młodu (*).

(*) W pierwszym wydaniu tych listów, mówiąc w tém miejscu o romansach mających ówczesnie ogromną przewagę, wyraziliśmy się w sposób następujący: „Panowie autorzy we Francyi zapewne uważają sobie za zaszczyt doskonałości,

Przecież z drugiej strony i to jest prawdą, iżby świat nie był obaczył tych romansów, gdyby nie był chciwy podobnych książek. Bo jeżeli prawda, że literatura tworzy sobie publiczność swoją, toć z większém jeszcze prawem powiedzieć można, że publiczność tworzy sobie literaturę odpowiednią; bo przecież, prócz piśmiennictwa, inne jeszcze a również potężne moce wyrabiają duszę narodową np. Historya, Religia i t. d.

Cóż tedy dziwnego, że ci autorowie starali się trafić w rym tym czytelnikom swoim, stosując się ile mogą do nich, a wiedząc, że to są po większej części ludzie wielce realni a praktyczni, zaczynają wszystkie prawie powieści i romanse od budżetu swoich bohaterów i bohatererek, jak gdyby jaki pisarz prowentowy; wyszczególniają sumiennie ile tysięcy franków wzięli po rodzicach, ile po wuju, ile się jeszcze spodziewać mogą po ciotce; ile już stracili, ile tysięcy franków rocznego dochodu im pozostało, i gdzie te dochody są ulokowane, słowem, wszystko przerachowane jak najdokładniej. A co do uczuć swęj publiczności, jeli się postępowania lekarzy z ciałem na poły

aby czytelników swoich od pierwszej do ostatniej karty puszczać niby przez różgi. Jeden pokazuje ci panią, rozkochaną do szaleństwa w prostym złodzieju, wierutnym oszuście, w beczelnym zbrodniarzu, co jęj poświęcenie i miłość płaci zdradą, gładem, biciem, a nakoniec za pieniądze sprzedaje podobnemu sobie przyjacielowi; — a ona? ona, rzecz jasna, kocha go za to stale, ciągle i tém goręcej jeszcze. To wszystko znajdziesz cudnym językiem odmalowane w *Leon-Leoni* pani Sand, będącej niechybnie jednym z najświetniejszych talentów dzisiejszej Europy († 1876 r.). Chcesz może rozrzewnić się, być sentymentalnym, czytaj pana *E. Sue* († 1857 r.); przez siedm długich tomów każe on swęj heroinie tańcować jakby na linie, na powinnościach swoich; niekiedy dla rozrzewnienia publiczności serce *Matyldy* odprawia jakieś sztuki łamane, lub popisuje się z jakimś *salto mortale*, a to wszystko ku zbudowaniu i użytkowi dusz i zachęceniu do cnoty. Jestto ten sam pan *Eugène Sue*, co wprowadza w jeden z późniejszych romansów scenę, w której córka staręj obłąkanęj matki woła w nocy na męża: „*Mon Dieu! tu sais bien que tu n'en finiras pas avec elle (to jest: avec ma mère), si tu ne lui fais pas peur avec le fouet — il n'y a que ce moyet là de la faire rester tranquille.*” Lubisz oryginalność pomysłu, i tém się możesz uraczyć, czytaj tylko powieść o onęj pannie, czyli o dwóch pannach zrosłych z sobą, z których jedna prześliczna brunetka, — druga prześliczna blondynka, a składają jedną osobę, czyli dwie, gdyż tego z pewnością wiedzieć nie można, bo nawet mają i uczucia te same, a przecież uczucia różne. Najpewniej, są to dwie panny w jednéj pannie, albo jedna panna w dwóch pannach — słowem, jak zapewnia autor, jestto cudnej piękności całość. — Świćcą one na pierwszych salonach paryżkich, ubrane zawsze z wielką elegancją, wedle *le petit courrier des Dames* — zawracają wszystkim głowy: jedni szalenie się kochają w brunetce, a drudzy w blondynie. Wszystko to jasno wyłożone znajdziesz w powieści: *Un coeur pour deux amours*. Jeżeliś przyjaciel wielkiej energii, hartu duszy, tęgości charakteru, i tém ci służyć mogę. Znajdziesz ojcobójstwo, kazirodztwo, mordy, synobójstwo i wszeteczność wszelką w *Tour de Nesle*, pana *A. Dumas*. Lubisz komedye, czytaj *Reperitorium* teatru francuzkiego: obaczysz, jak tam autorowie umieją zjednać sympatya publiczności dla swych bohaterów, ludzi tego rodzaju, iż gdyby jeden z nich w rzeczywistości u nas się pojawił, żaden pocziwy człowiek ręki by mu nie podał i nie przepuścił przez próg domu swojego. Jesteś mniej czuły, twardego serca i nie łatwy do poruszenia, czytaj romanse i tragedye prawdziwie genialnego *Victora Hugo*. Olbrzymi talent ten napisał kilka dzieł, które zaiste staną się bogactwem literatury,

umarłém; szli stopniowo sobie: najprzód pochłustywali swoich czytelników zimną wodą, dalej cucili anodyną, octem, wódką kolońską, eterem, amonią — potem wzięli się do synapizmów, wezykatoryi, pailili bawełnę i spirytusy na sercu, a w końcu już piekli rozpaloném żelazem; — coby już dalej robili — nie wiem.

Wyznaj, że nam wcale nie do twarzy z tą literaturą i trudno by powiedzieć, co ona u nas ma za sprawę? Czyliż my także gwałtownych poruszeń szukamy? Zkądże u nas to upodobanie przebierania w cudzych śmieciach i brudach. Dla tego dzięki niechaj będą tym wysokim a zacnym talentom, które, pojawiwszy się u nas jakby na jutrznię nowój epoki, owocami własnej ziemi zastąpili egzotyczne wymysły nie dla nas stworzone; dzięki niechaj będą Kraszewskiemu, który prawie pierwszy dał hasło do własnej i swojskiej powieści, dzięki Korzeniowskiemu, M. Grabowskiemu, dziełom: jak *Pamiętki starego szlachetca*; wszak te prace były wołaniem nowego czasu, — a wnet szereg świetnych i młodszych talentów wstąpił w literaturę. Jakoż te zjawiska tak radośne dla literatury polskiej są właśnie dowodem, że byle mistrz osiągnął warunków piękności, byleby pisał

i nie utonął w tej gawiedzi współczesnych im książek; ale on trafił na czas kłamstwa, na czas apoteozy okropności, i oszargał się czasem. *Victor Hugo* na pamięć zna anatomię i fizyologię serca ludzkiego, zna każdy nerw jego, wszystkie miejsca bolejące, więc jak i kiedy się dotknąć i zranić; aby zranić do żywego duszę, wydobywa wszystkie tony bóleści i serce czytelnika w kolo wplata.

Po przeczytaniu dzieł tego rodzaju gdy spojrzysz w siebie, rzekłbyś, iż dusza podobną się stała do świątyni zrabowanej i znieważonej od hordy złodziejów; ołtarze obdarte, świecznik duszy wywrócony, naczynia święte porozrzucane, rozszarpane obrazy, co drogie sercu, to albo skradzione albo zdeptane i sponiewierane. A jak niepodobna zaprzeczyć tym autorom świetnych zdolności, dziwnego powabu stylu, mistrzowskiego władania piórem, tak znów wyznać należy, iż to wszystko razem jest kałużą krwi i błota, co wylewając się na Europę, szerokim też upływem do nas się przewala, by miały w czém kąpać się i walać umysły młodych pań naszych.

Nie rozumięj atoli, że we Francyi na tę literaturę nie powstają i nią się nie gorszą? We wszystkich prawie feuilletonach sam pan *Jules Janin* wygaduje na nią, utyskuje na niemoralność i bezrozum tych romansów, i powiedział nawet raz, i bardzo trafnie, iż najstosowniejszém rozwiązaniem węzła takiego rodzaju dramatów lub romansów byłby komissarz policyi, aresztujący tych bohaterów i te heroiny. Ale szkoda tylko, że on sam nie lepszy, bo owe *le Coeur pour deux amours* jest jego własnoręcznej roboty. Przypomina on koncept urwisa, co uciekając sam woła: „chwytajcie złodzieja!” by tém samém gładko umknął i gdzieś się schował.

Ten ustęp cały był w pierwszym wydaniu umieszczony w ciągu samego listu, bo odnosił się do piśmiennictwa, które naówczas całą potęgą uderzało umysł publiczności. Dziś atoli ta hałaśna sława tych romansów przebrzmiała, więc też ten ustęp cały, dotyczący się rzeczy przedawnionych, nie byłby już na swoim miejscu, gdybym go zostawił w liście, z drugiej strony zaś właśnie to skonanie owęj literatury jest dla nas wielce uczącym, i może być nielada poparciem naszego powyższego rozumowania i dla tego umieściłem ustęp rzeczony w odsyłaczu.

Kto dziś jeszcze weźmie do ręki np. Tajemnice Paryża lub Żyda Tulacza? te romanse jak liść żółtkły spadły z drzewa literatury — one poszły w zapomnienie mimo prawdziwie olbrzymiego talentu autorów. Dla czego? Bo stały na fałszywej zasadzie, bo były obrachowane na efekt, na rozkołysanie uczuć, bo miały ubocznie, z góry powzięte, dążności i cele.

do czego go prze własne uczucie, już z pracy ducha jego spłynie błogosławieństwem korzystać nieskończona, spłynie, choć jęj sobie autor nie zakładał jako cel poświęceń swoich.

Ale wróćmy do naszego przedmiotu i kończmy rzecz kilku słowami.

Gdyby sztuki piękne miały za cel jedyny rozkołysanie uczucia naszego, jużby się i bez nich wcale obeszło, obeszłoby się bez dramatów tych i romansów; każdy w domu swoim ma te biedy, a ma je taniej i wyraźniej; a zresztą mocnych poruszeń szukać nie potrzeba po książkach, znajdziesz je w tych chatach obdartych, dymnych, samotnych, po naszych tu przedmieściach Krakowa, tu widzieć można moralną i fizyczną nędzę, poniżenie i sromotę; każda niska izba mogłaby podać ośnowę do powieści tęsknej, pełnej lez i boleści; a komu to nie wystarcza do wzniecenia uczuć, toć niechaj odwiedza inkwizycje kryminalne, szpitale i sale amputacyjne. Jeżeli autor tylko w same uczucia mierzy, mając jedynie samo czytelnika serce za cel swój, cóż dziwnego, iż napłodzi mnóstwo charakterów nieprawdopodobnych, kłamliwych, będących i w złém i dobrém karykaturą rzeczywistości; są to upiory fantastyczne, bez serca i duszy, automaty poruszające się wedle kaprysu autora, nie umiejące ani radować się po ludzku, ani cierpieć z godnością, żyjąc albo umierając zawsze pogardy warte. Właśnie atoli powołaniem sztuki jest, ażeby wskazać wyższą naturę człowieka, nieginącą choć w najgłębszem i najsromotniejszym poniżeniu jego; duch człowieka, jak płomień gorejący, choć w brudnych i ciężkich dymach doczesności, zawsze wzgóre się ma. I piękność jest niebios córą, ją tylko z wierzchu dotknąć mogą cierpienia doczesnego żywota, ale jęj istoty wiekuistej skazić nie zdołają; i sztuki piękne płaczą, ale po przez lzy boleści ich uśmiecha się nieśmiertelne ducha wesele. Uczmy się od Greków, wpatrzmy się w ten majestat Nioby, w tę otchłań boleści Laokoona, w patetyczność bohaterów Sofoklesa — ba, niechaj się figury autorów onych uczą umierać od prostych gladiatorów rzymskich, co z raną śmiertelną w piersiach konali na krwawej arenie; gdy w gasnącej żrenicy zakółsało się niebo, i amfiteatr z tysiącami widzów obracał się niby wirum zawrotnym, wtedy wzgardzony ten gladiator przypomina sobie, iż to lud rzymski na niego patrzy; z ogromnym mozolem i z pełnym boleści trudem układa ciało swoje, nadaje mu postawę godną, estetyczną, by w obecności tego ludu, co był świata królem, legnąć z zachością zdołał. A tak żywota swojego poniżenie kończył, równając się z Cezarem, boć i ten hardy olbrzym starożytności, upadając w krwi swojej, zakrywa togą swoje oblicze, by świat nie obaczył rysów, znieważonych może ostatnim wyrazem fizycznej boleści. Rzymianie w ogólności nie wiele umieli, ale umierania sztukę znali, jak żaden naród.

Sztuka, kędy się dotknie, uzacnia przedmiot, uszlachetnia go i podnosi do wzniosłości ideału. — W nízkie nasze życie, w oną chat-

kę ziemską, spada promień wiekuistej piękności i oświeca ją jasnością niebiańską. Pod ręką wielkiego mistrza i treść, nawet mniej nadająca się do piękności, odziewa się nadziemskim urokiem. — Odwiedź np., jak będziesz w Krakowie, kościół Ś-go Floryana na Kleparzu, zobaczysz tam obrazy wielkiej wartości, pochodzące, jak się zdaje, z końca XV wieku; połączona w nich rzewna prostota stariej szkoły niemieckiej z powabem czarodziejskim Włochów. Jeden z nich wystawia chwilę męczeństwa Ś-go Jana w Oleju: zda się myśl niby pospolita, przedmiot nie estetyczny, ale zważ co z niego uczynił mistrz. Ta cała scena ułożeniem uszlachetniona, uzacniona: — Ś-ty Jan duchem w niebie utkwiony, wśród mąk ciała swojego słucha słodkich pieśni niebiańskich zastępów, a nadziemska piękność wylana na całą postać jego.

Zaprawdę, Bóg nie daremnie wlał w duszę naszą uczuć potęgę, ocieplającą swym płomieniem chłodne życie rozumu i rzeczywistości. Uczucie i myśl, czyli, jak to zwyczajnie mówią, serce i głowa, są to iście dwa przeciwniki działające ciągle na siebie, a często nawet stojące w otwartym z sobą boju; jestto pełna cierpień wojna domowa w piersiach człowieka, a w niej zwycięstwo nie zawsze przy prawdzie i słusznosci. Ta niezgoda i waśń w umyśle, jakby dźwiękiem fałszywym, wdziera się w harmonię naszego jestestwa, burzy spokójność i zatrzuwa dni nasze. Dla tego też najwyższym celem życia człowieka, ostatnim końcem wychowania, jest właśnie pogodzenie tych dwóch sił, co jakby dwa wrogie sobie bliźnięta z nami się rodzą, żyją i umierają. Ale chodzi o pogodzenie, a bynajmniej nie przytłumienie jednej z tych potęg; bo jak poniewieranie rozumem i oddanie go na oślep pod przemoc uczuć do zguby wiedzie, tak przygnębianie uczuć i samowładztwo rozumu obejmuje treść duszy, gasi ciepło i barwy świata, i czyni życie nasze podobnem do owej pełnej wspaniałości natury podbiegunowych mrozów, co wiecznie dziewicza, i wiecznie martwa, i samotna i głucha, bez ciepła i głosu, bez radości i smutku, bez uczuć i serca, zasiadła w szacie wiecznych śniegów jakby na stolicy śmierci, na hardym majestacie grodów lodowych, co zuchwałe, fantastyczne, jakby nieme i głuche upiory natury, świecą nad tym niemym i głuchym światem, co zawsze jeden, zawsze ten sam. Od czasu do czasu tylko zapala się pod gwiazdą biegunową ognistym blaskiem pierścien zorzy północnej, onęj córki mrozów bez końca, co sycząc strzela promieniem niewypowiedzianej jasności po sklepieniu niebieskiem, ale, w sobie mroźna, jest tylko światłem bez ciepła, pokrywa świat lodów purpurową ale zimną luną.

I tak dotychczas starałem się dowieść, iż uczucia przez się wzięte nie zdołają same stworzyć mistrza, i że do samego uczucia widza lub słuchacza mierzyć nie powinny, tak jest rzeczą niemniej pewną, iż bez uczuć nie byłoby ani mistrza, ani sędziego, ani sztuki pięknej; a dzieło, nierozgrzewające sobą serc ludzkich umiejących uczuć, zaiście nie będzie dziełem sztuki. Człowiek z rozumem bez uczuć jest

już za życia zmarłym upiorem bez serca. Jak ze światem materyalnym przez zmysły jesteśmy w związku, tak ognia, łączące myśl naszą ze światem duchowym, są uczucia; one to podają rozumowi treść, by ją w sobie strawił, uporządkował, precedził, ocenił, a tak zamienił ją na pojęcia rozumowe, na myśl. Najczęściej prawdy wielkie wprzód nam okazują się w postaci uczuć, niż myślą zostaną. Nim prawodawca popisał ustaw księgi, uczucie sprawiedliwości i prawa zjawilo się w sercu człowieka, przemawiając do niego, jak Bóg w krzaku gorejącym. Nim matka w swęj młodości uroku wytłómaczy sobie miłość swoją dla dziecięcia z porządku fizycznego i moralnego świata, wprzód ta jęj miłość dla niemowlęcia żyła w jęj marzeniach nocnych, i we śnie rumieńcem cichego szczęścia zapłonęła na licu. Nim człowiek głębką myślą zanurzył się w tajnikach świata i ze stworzeń wszechnicy wypatrzył mądrość Bożą, wprzód o Bogu rozmawiał z gwiazdami na niebie, i z robaczkiem świecącym na listku, i słyszał bytność jego w huku oceanu i pieśniach ptaków. Z uczuć rodzą się myśli, jak z kwiatów żyjących barwy, woń i owoce; gdy myśl się rodzi, więdnęją uczucia, gdy owoc zaświeci, już pomarły kwiaty. Cokolwiek w nas jest jako myśl, po większej części było dawniej uczuciem; ztąd uczucia, o ile są prawdziwe, wytłómaczone być mogą drogą rozumową. Tak instynktowe garnienie się ludzi pod spólną praw obronę, choć pochodzi z uczucia słusności, pojęte być przecie może z samęj istoty człowieka. Podobnie macierzyńska miłość, będąca uczuciem mimowolnem, ma potwierdzenie swoje w obliczu mądrości, i pojęta rozumem okazuje się nam jako święty ołtarz cnoty domowej i podwalina rodzinnego życia, będącego znów podstawą życia towarzyskiego i cnót obywatelskich. Podobnie głos, przemawiający w sercu o Bogu, jest początkiem mądrości człowieka i prowadzi do poznania rozumowego najwyższego jestestwa, będącego alfą i omegą wieczności i tego wszystkiego, co jest. Tak uczucia ciągle dostarczają osnowy rozumowi: on ją sądzi, rozbiera, czyści, i przyswaja sobie jęj treść. Na tém też stoi potęga człowieka, by uczucia na myśl przemieniał, by tę poezję uczuć przetłómaczył sobie na prozę rozumu, by ją zamienił na prawdy rozumowe, zgodne z całością świata, a uznał każde uczucie za mylne i za złe, które przeciwne będąc ogólnęj harmonii trwającęj w świecie, nie zgadza się z rozumem.

Lecz rzekniesz może, że i rozum podlega błędom, i odwołując się do prostego przysłowia, powiesz: co głowa, to rozum; niechaj nam atoli nie chodzi o słowa. Ja tutaj nie biorę rozumu w znaczeniu potocznem, ale właśnie za promień onęj wiekuistęj mądrości, którym Bóg oświecił ducha naszego w tęg życia ciemnicy; promień ten łączy nas z Bogiem i wiecznością: ten zawsze jest jeden i ten sam we wszystkich ludziach, w każdym wieku i godzinie.

Rozumiem, że nie będziesz wymagał obszernego dowodu tęg prawdy, należałby on do systematu filozofii, a nie do szczupłego obrębu

listów tych. Zaiste — nikt nie zaprzeczy, iż rozum jest środkiem poznania prawdy, kto jeno wierzy w zacość natury ludzkiej, kto wie, że Bóg stworzył człowieka na podobieństwo swoje, dając mu rozum, by poznał dzieła jego i w nich doczytał się jego wszechmocności, wiekuistej mądrości i uszlachetnienia własnej istoty człowieczej.

Dla tego też rozum jest pierwszym warunkiem wiary; niemożliwa, obłąkami i zwierzęta nie mają wiary, bo nie mają rozumu. Co myli nasze zdanie o rzeczach, bynajmniej nie jest rozumem, ale uczucia, ale zmysły, ale inne potęgi, które nas ludzą. Uczucia działają na serce nasze, i nim rozum się upamięta, już serce sąd swój wyrzekło, a sąd osobisty — zdanie. Zkądże matematyka zawiera w sobie prawdy ogólne i dla wszystkich prawdą będące? — Odpowiedź łatwa, bo jej liczby, jej linie i bryły nie działają ani na zmysły, ani na uczucia; tu sam rozum na placu zostaje, więc sam bez mieszania się zmysłów i uczuć o prawdzie orzeka, a orzeka nieomylnie.

Jak przyznać powinniśmy, iż z jednej strony uczucia przed potęgą rozumu korzyć się winny; tak też z drugiej niemięj prawdą jest, iż bez uczuć nie byłoby i cnoty prawdziwej. Bo gdy człowiek serce swoje ma na baczności, gdy się uczucia nałożą chodzić drogami rozumu, gdy tej dojdzie doskonałości, iż uczucia jego nigdy nie będą sprzeczne z rozumem, a gdy nawzajem wszystko, co jest prawdą, rozumne znajdzie potwierdzenie w sercu człowieka, — wtedy też sam człowiek będzie z sobą w zgodzie, i śmiało w swoim postępowaniu i w żądach swoich będzie się mógł uczyć swych radzić, a nim rozum przez rozbiór, myślenie, zastanowienie swoje pokaże mu drogę i sprostuje postępowanie, już ją uczucia instynktem zgadną, a zgadną bez zwłoki, bez długiego rozbioru; nauczą w tej chwili, co jest w moralności zacne, co pocziwe, i co w sztukach piękne i prawdziwie estetyczne. Rzecz tak się zupełnie mieć będzie, jak z mechaniczną wprawą; kto już wyćwiczonym pianistą, już grając nie myśli o układzie palców, ani szukać już będzie klawiszów oczami; palce mechanicznie pójdą za jego wolą, gdzie uderzy, uderzy zawsze trafnie i bez pomyłki. Tak też kto zkadinał pojął, co prawdziwie pięknem i zastósował uczucia do tego pojmowania swojego, już radząc się uczuć swoich odrazu piękność spostrzeże; ale sąd ten będzie mógł usprawiedliwić z zasad ogólnych sztuki pięknej, zdoła tedy nim i drugich przekonać; dla tego też sąd takowy, choć z uczuć wypłyne, tém się różni od onych sądów z samego uczucia pochodzących, o których wyżej wspomnieliśmy, iż tamte nie mają ogólnej wartości rozumowej, i dla tej przyczyny nikomu do przekonania nie przypadną.

Ze zlewu w jedność rozumu i uczuć, z tej zgody świata rzeczywistego i serca, rodzi się najwyższa myśl szczęśliwości człowieczej. Uczucia im szlachetniejsze, tém mniej są osobiste, i występują z ciastnego przybytku serca, i obejmują sobą wielkie jestestwokoło. — Tak szczytem wszystkich uczuć jest miłość. Miłość ogólna, powszechna,

podobna do mądrości, bo, jak i ona, w innych siebie widzi i wylewa się na świat cały. Ta miłość ogólna nie jest córą z ziemi zrodzoną, jest posłannicą innych światów, wstępująca w serca wszystkich wieków i narodów. — Słuchaj np. pieśni mądrości pełnych, co nam jakby woń przyniosły powiewy z dalekiego Wschodu:

Ucz się od komara miłości, co rozkochany
W świetle płomienia, w niem przepada i ginie.

A znów w inném miejscu:

Ja ci powiadam, jak z ziemi człowiek stworzon jest;
Bo Bóg tchnął w ziemię miłości dech.

Ja ci powiadam, czemu wiecznym kołowrotem bieżą nieba;
Bieżą one wiecznie, bo je napelnia miłości blaskiem Boży tron.

Ja ci powiadam, dokąd tchną zarania powiewy;
Tchną one w miłości gaj, by roztulić liście róż.

Ja ci powiadam, dla czego noc pokrywa świat oponą;
Obsłania ona świat, by go uświęcić na miłości namiot.

Ja ci rozwiążę zagadnienia wszech stworzeń wszystkie;
Bo zagadnień wszystkich rozwiązaniem, miłość jest.

Albo miejsce następujące:

Kończy zaprawdę skon życia trudy,
Jednak dreszczem trwogi dla życia jest skon.
A dla serca trwogą jest miłości dreszcz,
Trwoży się serce miłością, jak gdyby groził mu skon.

Bo gdy miłość w sercu się budzi,
Umiera w tobie samolub, ciemieźca ponury;
Niechaj ci zamrze w nocnym państwie swém,
A ty odetchniej swobodą w zarania łunie!

LIST SIÓDMY.

Istoła sztuki. — Różne rodzaje piękności.

Wielki piątek, 25 Marca 1842 r.

Oniemiały dzwony krakowskie, — całe miasto przybrało na się pościć uroczystą, świąteczną; ulice spokojne i ciche, choć lud cały

jakby wypuszczony z objęcia zimy, głęboko odetchnąwszy, wyroił się na świat otwarty, rozlewając się po świątyniach naszych, — by po staremu cześć dał w grobie złożonemu Bogu. Słońce przetarło oczy swoje, i jasnym spojrzeniem rozplynęło po niebie, budząc ze snu twardego ziemię, a w serce ludzi nadzieją świecąc.

Bóg umarł — a potęga przyrodzenia uśpiona jak w trumnie; ale wnet z grobu anioł w bieli kamień odwali, a nad światem pieśń skowronka, niby dzwonek poranny natury, ogłosi mu przebudzenie i świt. Bóg umarł, i duch nasz nieśmiertelny tęskni sobie w tym ziemskim żywocie, a doczesność ciśnie go ciężej od kamienia grobowego; ciemno, chłodno mu w cielesności świecie — póki też na niego nie przyjdzie zbawienia chwila, w której i jemu anioł w bieli ciemnicę otworzy, a wtedy spadną z niego i uciechy tej ziemi, i jój biedy, i jój płacze, i będą zwinięte i na boku złożone, jak te chusty grobowe w onę wielkię zmartwychwstania nocy.

Wielkie i święte rocznice, jakby gościem drogim z dawnych czasów, odwiedzają każdy rok naszego żywota, i jakby Bożem imieniem pukają rokrocznie do wnętrza serca naszego, cucąc w niém tęskne obrazy upłynionej młodości, a zarazem zwracając myśl do głębin własnej naszej istoty. Są one jakby słupce milowe ziemskiej pielgrzymki człowieka; wzywają go, by się policzył z życiem, ze światem i z sobą, by się obaczył, ile mu znów kwiatów zmarło na smętnej życia ścieżce, ile znowu zwiędło w sercu nadziei, ile nłud złocistych zgasło. Ale im samotniej, im smętniej i ciszej w duszy, im więcej traci wagi doczesność, tém jaśniej wiekuistość zaziera we wnętrze człowieka i rozświeca je swym promieniem. Wtedy pokój głęboki, jakby harmonią niebiańską, wpływa w tajne piersi przybytki; ziemskie gwary, śmiechy i boleści milkną — a w sercu świątecznie, uroczysto; jakby na ołtarzu Bożym zapali się w niém płomień nieskończonej miłości, i jakby organy zagrzmi samotne duszy nabożeństwo. W takich chwilach świat zewnętrzny i rozkosze jego, i trudy, i wszystkie nocne widziadła doczesności naszej, ulatują niby ptaków płochę stada, a uczucia ziemskie, i cała część człowieka do grobu się kładzie. Jakby na zesłanie ducha Bożego, jakieś jasnowidzenie rozświeca myśl; wtedy już świat jego, i pstry jego orszak, i dzieje człowieczego rodu, i własne serca bicie nie ma więcej dla nas tajemnicy, — rozwiązują się zagadki wszystkie. W takich chwilach świętych duch występuje z cielesności grobu, wstaje z martwych, rośnie z siebie, dźwiga się olbrzymem, ogarnia nieskończoność swém objęciem, zna że wiekuistość bez granic, czasu i przestrzeni, jest ojcowizną jego, a nieśmiertelność domem.

Ta istota nieśmiertelna a wiekuista, którą Bóg tchnął w człowieka od początku, jest właśnie tą potęgą, co jak złota nić jest wpleciona w całą tkaninę historii rodu ludzkiego, i we wszystkie stosunki i czynności każdego człowieka, a choć ona rzadko widzialna, wszędzie przecież jest obecną, nie zerwana nigdy, i sama zostaje

i trwa; choć cała owa tkanina doczesna się rozpada, i wszystkie jej nitki próchnieją, właśnie wtedy ona sama nietknięta zostaje i wystąpi na jaw jasniejąc swém złotem.

Patrz na wszystkie człowiecze sprawy od kolébki aż do ostatka żywota, na jego wszystką robotę, i na trudy jego, marzenia, sny, troski i uciechy, a wszędzie obaczysz, iż siła, co nawet jemu bezwiadomie w nim prze i w nim robi, rodzi się z nieśmiertelności ducha jego. Potocz okiem na pasowanie się całej historii człowieka, zaczawszy od owęj wielkiej chwili, gdy się dotknął poznania owocu, tracąc niewinności raj, podśluchaj tajemną robotę stuleciów, co jak uderzenie pulsu, wybijają światu ulatujący do wieczności żywot jego, a wszędzie, i zawsze i ciągle, znajdziesz pod oponą przypadkową i marną, pod postaciami wielkich wydarzeń historii, nieskończoność istoty człowieka. Bez niej ród nasz nie miałby dziejów, ni postępu, byłby zawsze jeden i zawsze ten sam, należałby do poziomego zwierząt koła, dzieje jego przekazaneby były historii przyrodzenia. Jak w różnobarwnym tłumie wypływają na widok figury latarni magicznej, przesuwają się po nieruchomej ścianie, przemykają się coraz inne a inne, a prześwieca je wszystkie lampy płomieni, co w ciemnym pokoju gore niewiedomie, tak przemykają się lat tysiące, i narody, i wielkie imiona w historii na nieruchomym wieczności tle; ale lampa, co je prześwieca, jest zawsze jedna i taż sama, jestto płomień nieśmiertelnego ducha, co wiecznie goreje, choć ukryty w ciemnościach doczesnego życia i niedojrzany cielesnemi oczyma człowieka. Ta nieskończoność, którą Bóg człowieka uposażył, by miał godnego sługę i towarzysza wiekuistości swęj, jest ową wielką sprężyną, co ród nasz porusza i do działania porywa. Ona jest światłem i słońcem wywołującym, jakby z kwiatu pączków, wielkie epoki i wielkie czyny w historii, i wszystko co w życiu ludzi na jaw występuje, i co jest treścią jego; ona mu gra w duszy, i na jawie i we śnie, ona wznosi się w pacierzu dziecięcia i w hymnach narodów, ona dźwiga mu piramidy, śle go po śmierć na bitew pole, uczy go biegu gwiazd i tajemnic własnego ducha, odkrywa mu nowe światy i roztwiera tajemnicze ziemie łono, waży słońce i planet brzemie, roztwiera księgi przeszłości i przemawia wyroczni ustami.

Człowiek jest nieśmiertelną istotą i nieskończoną, bo jest rozumną istotą. Tu szukaj źródła onych najgłówniejszych praw jego, bo religii, filozofii i sztuki pięknej. Sztuki piękne płyną z nieskończoności ducha człowieczego, i już nie pytaj, z kąd się one biorą. Człowiek z nieskończonością zarazem odebrał i sztuki piękne, i mądrość i religię; nie utyskuj tedy nad znikomością rzeczy ziemskich. Wszak Bóg sam umarł dla prawdy, która nie ginie na wieki; robak wprzód zasklepia się w swym grobie, nim przerodzony w lekkiego motyla uniesie się, złotem jaśniejąc skrzydłem; a przekonanie o nieskończoności istoty naszej wykwita z uważania skończoności. Bo zważ — dęby długo-wieczne tak przemijają jak ich liście, a skały

granitowe tak się rozplywają w powietrzu, jak przejrzyste obłoki koczujące po niebie. Jak ciągle przelévające się fale oceanu błyszczą znikomie iskrami w słońca promieniu, tak przelévą się falami wieczny ocean rzeczy zmysłowych; a kędy nań spojrzysz jasne Opatrzności oko, zapalają się iskrami jestestw miliony, a za każdą nową falą inne a inne zabłysną jestestwa i giną — zamigoczą się i gasną. Więcej jeszcze cierpu ma ta marność i znikomość rzeczy ziemskich, skoro staniesz nad ową ogromną rzeką historii rodu człowieczego, co płynie gdzieś tam z górnych nieznanych światów zamglonej przeszłości; płynie ona rzeka całe stulecia, płynie przez lat tysiące, i spławia nam kości nieznanych zwierząt ze starych lat, toczy jakieś gruz dawnych świątnic, pomników ułomy, i, jakby liście pobrzeżnych krzewów, niesie imiona królestw, światowładnych państw i zgruchotane włócznie ludoburzców krwawych — a gdzieś tam unoszą się na jej falach, jakby kwiaty, jakieś pieśni stare, strzaskané lutni reszty i laurowe wience; a przecież po obu stronach onego biegu historii, a z daleka od jej brzegów, rozlegały się ziaste ludy liczne jak piasek pustyni, i grody, i miasta potężne i państwa; o nich historia milczy, nawet ich imion nie doniosła naszym czasom. Utoneły te narody i państwa w wiecznej otchłani zapomnienia, jak tonie robotek na otwartém i głuchém morzu; gwiazdy tylko widzą śmiertelny trud jego, a Bóg tylko sam słyzy ostatnie wołania jego skonu. Lecz dokądże płynie owa rzeka, w jakąż nieznana dal przebiegają się jej wody, by znów z kolei późniejszym lat tysiącom zanieść, jakby bajeczną wieść, prace i trudy naszych stuleciów? kędyż jest ujście tej rzeki? gdzie jest on ocean wiekuisty, co ją w swoje objęcia pochłonie sobą?

A jeżeli już rzeczy zmysłowe, jeżeli dzieje historii są znikomości obrazem, témci więcéj wnétrze istoty naszej jest piętnem ciągłego tworzenia i niweczenia się uczuć i myśli; wszak o tém wspominaliśmy już wyżej. Lecz nie utyskuj nad tą skończonością rzeczy ziemskich, boć właśnie jej poznanie prowadzi do pojęcia nieskończoności istoty naszej. Bo zważ — czylibyśmy utyskiwali nad skończonością wszystkiego, co doczesne, gdybyśmy zarazem w sobie nie mieli wyobrażenia o nieskończoności? zkadźeby się rodziło w nas poznanie znikomości tego, co nas otacza, gdybyśmy zarazem przy tém nie myśleli o jakimś istnieniu, co nie ginie nigdy? zkadźeby nam przychodziła owa tęsknota patrząc się na przemienność, gdyby nam się przed myśl nie stawiało jakieś istnienie, co trwa na wieki? Zawsze, gdy o skończoności pomyślimy, nasuwa się duchowi naszemu nieskończoność. Te dwa pojęcia, odwrotne sobie, zawsze razem chodzą; jak ten nie zna okropności ślepoty, kto sam dnia jasnego nie widział, jak kto wie, co linia krzywa, musi wiedzieć co linia prosta, tak téż wiadomość skończoności dowodzi poznania nieskończoności. Nieskończoność tedy isticie w naszej myśli mieszka. — Prawda ta jest prawdą wszystkich prawd, bo właśnie dla tego, iż człowiek o nie-

skończoności myśleć może, jest dowodem, iż sam jest nieskończonym. Bo co jest skończonem, nie obejmie sobą nieskończoności; co jest bez granic, tam tylko pomieścić się może, gdzie także granic nie ma; bo większe w mniejszem objęte być nie może. Tak jak potrzeba być samemu uczuć tkliwych, by zrozumieć obcego serca drganie i te wszystkie tony ciche, szepczące we wnętrzu duszy; jak potrzeba samemu być rozumnym, by pojąć rozumu potęgę; jak ten jedynie ocenić zdoła cnoty majestat, kto sam pełen jest zachości, — tak też tylko jestestwo nieskończone pojąć zdoła nieskończoność i do niej tęsknić. Posłuchaj treści stariej perskiej pieśni:

Słowik zakochał się w róży; rzewną miłością płynęła pieśń jego, brzmiały po gajach tęskne drżące śpiewy skrzydlatego kochanka, brzmiały bolesnie, samotno i radośnie przez noce całe, wieczory i ranki; a gdy słońce zaświeciło nad ziemią ciepłem, pieszcząc naturę, ustawały słowicze pieśni, i wieszcz małuchny milcząc ginał pod liści spletem; — skoro atoli dzień jasny z gajów ulatywał, zapalając kagańce na niebie, znów z drgających piersi zakochanego śpiewaka rozplywały się harmonie pełne miłości i żalu. Słuchały tych pieśni i krzewy, i gaje, i strumienie i dąbrowy, przecie nikt tego kochania słowika dla róży zrozumieć nie zdołał. Lecz znał kochanie swoje słowik, bo nie różę on miłował, nie do jęj rumieńca, nie do jęj woni on tęsknił, bo — na różę spadała co wieczór, co rano, rosy kryształowa kropelka, i w niej to, jakby w jasnym z nieba spłynionem zwierciadle, siebie widywał słowik, i sam pokochał siebie — zakochał się. Atoli obraz, który widywał, który miłował, nie był tylko samym wizerunkiem doczesnej jego postaci; widywał tę postać rozjaśnioną, promieniejącą światłem niebiańskim słońca, i do niej to słowik tak tęsknił sobie. Nie dziw już tedy, iż gdy skwarem dziennym owa rosy kropelka rozplynęła i uleciała, i obraz ten, owo niebiańskie widziadło, znikł, a słowik tęskny w boleści oniemiał.

Rozumiemy tedy już tęsknotę naszą ku nieskończoności; wszak i ona jest tylko obrazem naszej własnej istoty, rozjaśnionej wiekiutem światłem.

Jeżeli tedy nieskończoność stanowi konieczną istotę człowieka, więc zradza się pytanie: jakim trybem objawia się w nim ta nieskończoność, jaki ona wpływ widomy na niego wywiera? Pierwszym i koniecznym wypadkiem nieskończoności, którą Bóg człowieka wyposażył, jest instynktowa tęsknota, by wszędzie upatrzył nieskończoność, radby ją znaleźć we wszystkiem, co jeno być może przedmiotem myśli jego, radby widzieć i znaleźć wszędzie jęj wizerunek i obraz. Ta dążność jest koniecznym skutkiem jego natury; bo zważ pilnie, iż cokolwiek jest prawdą, to nie tylko bywa w nas, w duchu naszym, ale również znaleźć się winno i na zewnątrz ducha naszego, bo inaczej nie byłoby prawdą. Bo wszystko, co mieszka we wnętrzu ducha naszego, byłoby tylko ułudą, a nie prawdą, jeżeliby nie zna-

lazo i w świecie potwierdzenia swojego. Otóż dla porozumienia się łatwiejszego podam ci kilka przykładów.

Czyliż dosyć jest aby moralność, aby cnota w sercu tylko mieszkała? czyliż nie potrzeba, aby wystąpiła na jaw i okazała się czynami w rzeczywistości? Moralność we wnętrzu li naszym przemieszkująca nie jest moralnością; aby nią była, potrzeba aby koniecznie okupiła się walką własną, wyjawiała się czynem; albo — czyliż mogłaby powstać w duszy człowieka miłość, gdyby nie było zarazem w świecie rzeczywistym przedmiotu, będącego celem tej miłości? Czyliż każda teorya prawa jest czem więcej niż ułudą, jeżeli nie może być wprowadzona w świat? Otóż zważ, iż dla wewnętrznej naszej istoty, ten świat zewnętrzny, rzeczywisty, jest zawsze z początku czemś obcym, czemś jej przeciwnym, i póty my wewnętrznych prawd naszych nie uważamy za zupełne, póki ich w rzeczywistość nie wprowadzimy, albo ich już tam nie znajdziemy. I dla tego to właśnie, mając przekonanie o czem silne, gruntowne, czujemy w sobie niepokój, póki nie obaczymy, iż prawda, którą przejęci jesteśmy, i od świata przyjętą nie zostanie. Bo świat nasz wewnętrzny, one prawdy, które w duchu naszym żyją, i świat zewnętrzny, rzeczywisty — czyli teorya i praktyka, do siebie należą i jedną składają całość, i nawzajem na sobie się opierają, choć zdają się czemś zupełnie różnym od siebie, a nawet przeciwnym sobie. Są to dwa bieguny igielki magnesowej, które, choć różne, przecież do siebie należą, tak jak znak (—) i plus (+) w matematyce, choć niby zupełnie sobie odwrotne, przecież do siebie się ściągają, i tak dalece jedną składają całość, iż żaden z nich, z osobna uważany, nie będzie miał znaczenia, ani zrozumiany być nie może. Tak i światło dopiero światłem jest, gdy je z ciemnością razem weźmiemy.

Tak się też rzecz ma z nieskończonością, która wewnątrz nas tkwi; nią to party człowiek tęskni, by ją koniecznie ujrzał i w zewnętrznym świecie, pragnie, jak słowik ów, obaczyć w nim własny swój obraz. Rozważmy atoli, czyli pragnienie to swoje zadowolić zdoła; czyli on znaleźć zdoła wizerunek i odbłask tej nieskończoności, która w nim tkwi.

Najprzód natura fizyczna, rzeczy zmysłowe, uderzają umysł nasz, bo on je najłatwiej pojmuje, gdyż one są zmysłowe; a człowiek sam, mając stronę zmysłową, rychléj rozumie, co oczyma, słuchem, dotykaniem i innemi zmysłami dostrzega, niż to, czego dopiero rozumem dochodzić powinien; więc też natura jest pierwszym polem jego poznania. W niej tedy przedewszystkiem pragnie dostrzedz nieskończoności; ale zjawiska natury są jedynie ułomkami wielkiej całości, pojedynczemi tonami wiekuistej harmonii, którą Bóg wlał w wszechnicę stworzeń. Żadne atoli pojedyncze jestestwo natury samo z siebie, i wzięte z osobna, nie wyraża całkowitej myśli, ale jest jedynie ułomkiem myśli; a co jest ułomkiem czegoś, należy do czegoś i za-

leży od czegoś; jest ograniczonem w sobie, nie może być tedy nieskończonem.

Wznies oczy ku niebu, patrz — planety, słońca, księżyce, są rozosobnionemi jednostkami; każde ciało niebieskie, choć należy do swego systematu słonecznego i z nim składa całość, wszakże, samo wzięte, jest tylko jednostką osobną, a system słoneczny nie jest jednem jestestwem, ale składa się z mnóstwa jestestw, bo z mnóstwa gwiazd osobnych. Widzisz tedy, iż całość tutaj rozbita jest na wiele rozpojedynczonych szczegółów, na wiele ciał niebieskich. Możesz wprawdzie gwiazdy, należące do systematu, uważać za jedność, ale to połączenie ich jest robotą twojej myśli, twojego przyłożenia się; to połączenie jest li rozumowe, świat fizyczny nie okazuje téj jedności zmysłom, ale przedstawia rozosobnione gwiazdy, z których każda jest tylko kawałkiem osobnym jedności systematu. Podobny każdy system słoneczny z całym gronem planet, księżyców do niego należących, zaiste znów jest częstką drobną innego ogromnego systematu. A tak myśl Boża, myśl nieskończona, wlana w ciała niebieskie, rozstrzeliła się oceanem rozpojedynczonych gwiazd, z których atoli żadna, z osobna wzięta, nie jest obrazem onej myśli nieskończonej, a co jest ułomkiem, jest czémś skończonem i przemijającym. Spójrzij teraz w koło siebie, w te zjawiska, które ci rzeczy, otaczające nas, przedstawiają, i tu spostrzeżesz, iż zjawiska są jedynie ułomkami całości, i nigdzie nie znajdziesz jestestwa, będącego wizerunkiem nieskończoności. W zjawiskach mechanicznych, na przykład, potrzeba zawsze najmniej dwóch ciał na siebie działających. Jedno z najprostszych zjawisk, które tu widzimy, ciężkość, okazująca się w spadaniu ciał, wymaga przedewszystkiem dwóch jestestw; bo ciała, które spada, i ziemi, na którą spada. Póki ciało spada, to jest, póki się to zjawisko okazuje, póty też i ciało spadające i ziemia są w rozłączeniu; skoro zaś rozłączenie ustaje, i ciało i ziemia się dotyka, przez to już staje się jednością, już i zjawisko spadania samo ustaje. Widzisz tedy, iż tutaj każde jestestwo z osobna wzięte jest jedynie ułomkiem.

Podobnież w fenomenach magnetycznych, elektrycznych, galwanicznych i t. d. potrzeba dwóch biegunów, z których jeden jest dodatny a drugi ujemny. W zjawiskach optycznych, znów najmniej dwóch ciał potrzeba, bo promienia światła, i ciała oświeconego; tak i tu obaczysz, iż jedno jestestwo w naturze nie jest czémś zupełnem, potrzeba najmniej dwóch lub więcej, by złożyć całość. Tak się rzecz ma i ze zjawiskami chemicznymi i z powinowactwem ciał. Ale powiesz mi może, iż w jestestwach organicznych dzieje się inaczej, bo ciało zwierzęce a zwłaszcza człowiecze jest całością w sobie, a zatem już wizerunkiem doskonałości; ręce, głowa, nogi i wszystkie członki, tak różne od siebie, składają jedną całość doskonałą, wszystkie one do siebie należą, jedną składają harmonię. Prawda, ale dla tego też właśnie ciało ludzkie jest szczytem wszystkich dzieł natury, naj-

wyższym wieniec rzeczy stworzonych, i dla tego właśnie jest stolicą nieśmiertelnego ducha.

Zważ przecież, iż i tutaj jeszcze niedoskonałość jestestw natury uczuć się daje. Człowiek właśnie w życiu swém ziemskiém do dwóch światów należy; jest napróżnikiem między państwem wiekuistém, duchowém, a państwem rzeczy materyalnych, bo on w sobie mieści i duszę i ciało — i właśnie dla tego, że należy do cielesnego świata, do natury, nie jest sam przez się całością w sobie skończoną, zupełną, bo się sam przez się ostać nie może. Najprzód jest bowiem w stosunku do innego jestestwa podobnego, ale płci odwrotnej. Mąż i kobieta z osobna wzięte nie stanowią całości. Następnie téż człowiek obejść się nie może bez natury otaczającej go; bierze od niej pokarm swój, oddycha jej atmosferą i z nią dopiero stanowi całość, a właśnie ten związek i stosunek ciała do natury jest przyczyną śmierci jego, bo natura zewnętrzna, onych ślepych żywiołów potęga, bez ustanku działa na organizację ciała jego, i psuje je, i niszczy, i trawi; a gdy się ciało w końcu oprzeć nie zdoła tym wpływom, wtedy ginie i śmierć następuje.

Widzisz, iż nawet najwyższe dzieło przyrody, bo ciało człowieka, nie jest całością w sobie i ginie, i dla tego nie może być dla nas wizerunkiem nieskończoności, którą człowiek śledzi mimowiednie w rzeczywistym świecie, choć nie wie, co go tak prze i co w nim działa. Cała natura tedy pokazuje nam jestestwa, które same wzięte są tylko ułomkami jednej myśli, ale całej myśli nie stanowią, a tém samém mają swój początek i koniec, nie mogą być tedy nieskończoności obrazem. To już wyżej choć innemi słowami powiedziałem. Ale może właśnie wizerunek ten znaleźć zdołasz w obrębie nie natury cielesnej, lecz w sferze czynności człowieka? może na przykład moralność, cnota, obejmująca jakby sercem miłości pełnem świat cały, będzie doskonałym nieskończoności obrazem? Zważ atoli, moralność, cnota jest jedna i zawsze taż sama, ona jest całością ogólną, póki zamknięta jest w duchu, póki trwa we wnętrzu naszym; ale ona jako całość nie może się zjawić w świecie, bo w rzeczywistém życiu moralność się tylko w czynach pojedynczych okazać może. Utulisz boleść, lżę nieszczęścia, zapomnisz krzywdy złowrogięj nienawiści, gdy zacość gorejąca w piersiach twoich wystąpi na jaw poświęceniem dla dobra drugich, toć wszystko zależeć będzie od podanej sposobności, okaże się przy szczególnych okolicznościach, które mogą być tak różne, tak przypadkowe i rozmaite, jak rozmaite są życia przygody. Słowem, moralność zamknięta w duszy jako całość, występując na świat, rozbija się na pojedyncze osobne czyny moralne. Co się wyjawia w świecie rzeczywistym, są to tylko ułamki téj moralności, nie mogące być moralności saméj, a tém bardziej nieskończoności obrazem. A prawa, a ustawy spajające węzłem towarzyskim ludzi, zakładające miasta i garnące wszystkich pod sprawiedliwości paize? może tutaj dostrzeżesz wizerunku nieskończoności?

Przecież tak sprawiedliwość jak i moralność zawsze jest jedna, wiecznie ta sama, i całością w sobie; ale ona, jako taka, nie wstępuje w rzeczywistość i wystąpić nie może, bo jest również jak moralność, jak cnota, myślą, ideą; w rzeczywistym świecie zjawić się tylko ona może w prawach, w księgach ustaw. Każdy jednak naród, każdy wiek ma inne swoje kodeksa. Sprawiedliwość tedy jest tylko gruntem ogólnym, na którym wzrastają księgi praw, są to jedynie ułamki całości, ale nie całością. Co więcej, księga praw, obowiązująca w pewnym kraju a będąca przeto uwidomieniem wyobrażeń tegoż narodu i wieku o prawie, także nie wstępuje w całości w rzeczywistym świecie, lecz tylko ułomkami. Wszak prawo np. broni własności, jakże atoli ono chroni np. własności twojej i kiedy? oto wtedy tylko, jeżeli twój dom, twoja wieś, albo jakaś summa pieniędzy, będąca w twojej własności, jest zagrożoną; wówczas udajesz się pod obronę ustaw, a one oddalają napastnika. Widzisz tedy, iż praw wykonanie broni własności, lecz nie własności jako ogólnej myśli, ale rzeczy szczegółowych, jako wsi, domu, summy pieniędzy, a to wtedy tylko, jeżeli one są zagrożone; czyli zaś są zagrożone lub nie, toć znów od przypadku zawisło, od szczególnych okoliczności, więc własność rzeczy szczegółowych okazuje się w ułomkach. Jest tedy niewątpliwą prawdą, iż i sprawiedliwość w tej formie, jak się w rzeczywistym świecie okazuje, nie może być wyrażeniem nieskończoności.

Ale rzekniesz mi może, iż przecie historia powszechna, będąc najwyższem dziełem wieków i pracownią nieskończoną ducha człowieka, wyraża nam myśl nieskończoną odzianą w szaty ludów, w postaciach bohaterów historycznych? W tym liście moim już dwa razy wprowadziłem ci historią świata: raz, wskazując ci znikomość rzeczy doczesnych i przemijającą robotę ludzkiego rodu; drugi raz przedstawiłem ci dzieje człowiecze i jego sprawy, jako przeświecane płomieniem nieskończoności. Zaiście nieskończoność jest dnem wszystkich wydarzeń. Teraz jednak zjawia się inne pytanie; chciałby ze mną zważyć, czyli wydarzenia w historii, tak jak nam je historia wystawić może, są zwierciadłem same przez się tej nieskończoności? Bóg w nieograniczonej łasce swój natchnął człowieka rozumem, rozumną też drogą prowadzi ród cały za rękę przez stulecia i lat tysiące do udoskonalenia najwyższego. Choć jednak krew biegnie w żyłach, choć życiodawczą potęgą tętni w ciele człowieka, przecież nie jest widzialną dla zmysłów, ale drganiem serca, iskrą w oku i rumieńcem kwiatem na widok występuje. Tak podobnie duch, żyjący w historii, nie występuje na jaw w zupełności swój, lecz w wielkich wydarzeniach, w epokach przemieniających świat, niewidomie tli i żyje, i jest krwią, co bije w pulsach narodów, a wieki całe, a stulecia, są oddechami wiekuistej myśli, przebywającej w dziejach ludzkich. By ujrzeć potęgę, poruszającą narody i wielkich ludzi historycznych, trzeba zajrzeć za kulisy teatru świata, i tam widzieć, jak owa myśl wiekuista, kierująca tym dramatem, wysyła kiedy porą,

jakby aktorów, wielkie figury historyczne na scenę czasów. Za jej skinieniem występuje to Aleksander, to Cezar, to Kolumb, lub Arystoteles, znów Cyrus, to Dżingishan, to Filip II, lub Piotr Pustelnik, Grzegorz VII, lub Napoleon; każdy z kolei się zjawia, by odegrał rolę swoją z dramatu, którą wiekuisty autor ułożył, i, wedle uiszczenia się z gry swojej, zyskiwał oklaski lub wyswisty potomności. Boć iście nie ślepego trafu lub fatalizmu jest historia, ale Opatrzności dziełem; a ten Bóg, bez którego woli ani pyłek z kwiatu, ani włos z głowy nie spada, ten sam Bóg jest i dziejów ludzkich ojcem; i gdy mądrość Jego uzna potrzebę, roztwiera ciepłą dłoń swoją i z niej wypuszcza, niby pisklęta, uskrzydłone młode stulecia, i gwiazd gromady i wielkich ludzi. Ależ my tego w samej historii nie widzimy jeszcze, bo myśl Boża, co żyje i działa na dnie wydarzeń, nie występuje w swjej całości w wypadkach historycznych, rozpryskuje się na narody, na wieki, na figury szczegółowe, na kraje pojedyncze. Każdy naród a każdy wiek zradza nową jedną myśl, wprowadza ją w świat i z kolei ustępuje z widowni; a ustąpić musi, bo nie będąc całością, lecz jedynie ułamkiem i częścią, jest również skończonym jak gwiazda, jak zjawisko mechaniczne, jak jestestwo organiczne, jak czyn moralny, jak ustawa prawna i t. d. i dla tego przeminać musi. Historia taka, jak nam się ukazuje, podaje nam dzieje, rozerwane na tysiące szczegółów osobnych, na milionowe wypadki, ale nam nie wskazuje tej jednej ogólnej myśli, żyjącej i pracującej we wnętrzu tych dziejów. Jest i tutaj nieskończoność zaiste, ale zakryta; historia jest jedynie jej widzialną łupiną ułomkową. Widzisz tedy, iż jak w naturze, tak i w moralności, prawie, historii i we wszystkich czynnościach podobnych, duch nieskończony ujrzyć nie może własnego wizerunku a zwierciadło, które mu się tu przedstawia, jest stłuczone na sztuk tysiące, z których każda wskazuje jedną część oblicza wiekuistego, które w posagu od Boga na dziedzictwo odebrał. Aby w tej całej świata wszechnicy nieskończoność obaczyć, trzeba nam innego szczebla ducha, inną jego umiejętność, jak to obaczymy w liście następującym.

Duch człowieczy, ciśniony tym niedostatkiem, party by to szczupłe koło istoty swjej rozszerzył, by nieskończoność obaczyć i znalazł siebie samego w rzeczywistości, przerzuca się w inną wyższą sferę własnej swjej istoty, nabywa jaśniejszej wiedzy o tej nieskończoności, a nie mogąc jej znaleźć w rzeczywistości, zaczyna od tego, iż sam sobie *jej obraz tworzy*. Tworzy go, używając do tego właśnie tej osnowy, która mu jest najbliższą, najłatwiejszą dla niego; jestto ten świat dostępny dla oczu i słuchu jego, ten świat zmysłowy, i staje się mistrzem, tworzy dzieła sztuki. I to jest sztuk pięknych zaród tajemny i powód ich najwyższy. Świat materyalny, natura, pożycza mu swoich postaci, swoich kształtów, daje mu na osnowę swoje marmury, drzewa, kruszce, barwy, tony, głos, a człowiek, uchwyciwszy je, wlewa w nich duszę swoją, przyciska gorejącą objęciem do

serca, wlewa w nich nieskończone życie swoje, swego ducha, a tak staje się twórcą, *mistrzem*. Co żyło na bezdnach ducha, o czém jakby przez sen marzył, teraz dla niego zjawia się widome. On siebie w dziele swém widzi, a trud cały, jaki ponosił, pasując się z sobą, wlał w piękności dzieła, niby w naczynie boleści swój. Niedziw tedy, iż zjawienie się dzieła sztuki jest pieśnią, wtórującą nieskończoności człowieka; bo gdy on stanie przed obrazem, rzeźbą lub świątnicą, albo gdy mu zabrzmią w duszy tony muzyki, melodyi, lub święty urok myśli poezją odziany, już rozumie, że go głos z dziecięcych lat wita, że się nań patrzy święte oblicze znane z dawnych lat, widziane gdzieś, niegdyś, czyli we śnie, czyli nad kolebką swoją, czyli może anioł-stróż jego, co mu niewidomie przez życie towarzyszył. Widzi obraz malowany, w kamieniu, w postaci, słyszy potok muzyki; ale cóż mu z kamienia tego, z tych obrazów, z tych muzyki tonów; tęskni i płacze, coś go porywa i na niego woła. Zda się, iż jakby w długiej niebytności w kraju rodzinnym, nagle gdzieś niespodzianie w cudzoziemskiej stronie zabrzmiął mu mowy ojczyściej dźwięk, niby dawna własna pieśń jego. Tysiące głosów dotychczas drzemiących budzi się w piersiach, i gromadami, jakby orły Boże, zrywają się i giną w ostatnich błękitnych nieba przepaściach.

A teraz jak myślę zrozumiesz, dla czego w listach poprzednich dowodziłem, iż ani zmysły, ani samo zachwycenie, ani uczucia, ani myśl, ani serce, ani rozum, same z osobną wzięte, nie mogą być sztuk pięknych podstawą. Bo jeżeli iście sztuka piękna jest nieskończoności córą, jeżeli wiekiistość tu jest odzianą w cielesności szaty, jeżeli sztuki istotę ziemską i niebiańską człowieka, jak dwa bieguny sobie obce i przeciwne, ku sobie naginają, jeżeli one biją we dwa światy tak odwrotne sobie, jak są zmysły ciała jego i duch wiekiisty, nie dziw tedy, iż godzą też wszystkie inne sprzeczności istoty naszej, iż uderzają na całą treść człowieka, chwytają wszystkie struny jego jestestwa, i całą istotę człowieczą budzą pełnym akkordem. Zmysły i rozum, uczucia i myśl, duch i serce, ciało i dusza, wszystkie te potęgi zarazem są tknięte piękności dziełem, żadna tedy z osobna, ale wszystkie razem jakby w chór grzmącym psalmem witają Wiekiistość, która na ziemię zstąpiła. Tak piękność godzi wszystkie sprzeczności duszy naszej i pokojem niebiańskim ucisza wieczny w piersiach naszych bój. Przecież pokój ten nie jest głuchym przytłumieniem tych potęg, ale podniesieniem ich wyższém i uduchownieniem, on je uszlachetnia, wylewa na nie powódź światłości niebiańskiej, uwalnia od ziemskiej ciężkości, dodając cherubiniowych skrzydeł. Gdy piękność się zjawi, wszystkie radości i boleści, tęsknoty i nadzieje, odwagi potęga, lęki i miłość, żale i wesele, i co jeno w duszy naszej jest, rozgoreje ogniem nadziemskim i łączy się wspólnym płomieniem. Niebo i ziemia obejmują się uściśnieniem miłości. Gdy piękność się zjawi, cały ocean jestestwa naszego rozkołysze się do dna swego pioruną falą, i znów się jednoczy, znów

złewa się z sobą niby w zwierciadło, w którym niebo i Bóstwo się przegląda. Wpatruj się w obraz Sykstyńskiej Madonny; tutaj zmysłów naszych powaby i myśli potęga, duch i uczucia, wiara i miłość, mrozy i ciepło duszy naszej, słowem, cała nasza treść, roztopiona jakby pieśnią niebiańską, wciela się w tę postać nadziemską Boga-Rodzicy. Podobnie, słuchając muzyki wielkich mistrzów, widzisz jak nieba podwoje na rozcież są otwarte, i widzisz, jakby po szczeblach Jakóba na obłokach spartych, wchodzące i zstępujące anioły, skinieniem drogę nam do wiekuistej ojczyzny pokazując. I zaiste, połączenie w jedną harmonię rozpromienionych tonów duszy, pogodzenie rozdwojenia w piersiach naszych, jest najwyższym sztuki wieniec.

Myślę tedy, że już zgodzisz się na to ze mną, że wiekuistość ducha a świat doczesny, że niebo i ziemia nawzajem są zaślubione sobie w piękności dziele; słowem, że nieskończoność i skończoność są dwoma pierwiastkami, przebywającymi w dziele sztuki, że powiązanie ich w jedność jest wszelkiej piękności warunkiem.

Zważ jednak, że piękność świeci się tak przeróżnym rodzajem; ona zawsze będzie jedną i tą samą, ale występuje w coraz to innej postaci. W samej naturze nawet piękność jest tak różna. Ona jest inną gdy morskie zwierciadła, ciche i milczące, przezierają się w błękitach niebiańskich, a inną, gdy grzmotną burzą rozkołysane fale, wzdymając się i przepadając w otchłani, powstają i giną na nieskończonej przestrzeni, i znów dźwigają się w zuchwałém rozjątrzeniu, i znów stracają się w rozwarte topiele. Inna piękność, gdy dech uroczystego wieczora roznosi ciche szepty kwiatów, a w mroku świętym natura obchodzi zrękowiny ze sercem człowieka; inna piękność orla, co, oparłszy skrzydła na słonecznych promieniach, mierzy okiem rozłożone pod nim w głębi kraje; inna znowu piękność tajemniczego państwa, co w głębiach podziemnych zbudowało czarnoksiężkie pałace swoje, przystrajając je w sople świeciste, w zwoje i gałęzie błyszczących kryształów, wysadzając je bogato w szmaragdy i rubiny; inna pięknoscia przemawia pierwiosnek, co wykwiła na grobowej mogile, co tak rzewny, milczący, tęskny i zadumany, iżbyś rzekł, że go posiała Iza, co tu padła milcząca, rzewna, i teraz na pierwiosnku błyszczy rosy kropelką jakby oczko niebiańskie, a motyl różnobarwny, strojniś zalotny, oblatuje kwiatek płaczący. Tak jest, i natura roztacza się całym światem piękności przeróżnych; kędy spojrzysz, kędy wrócisz duszy twojej słuch, już ta przyroda zaśpiewa ci to hymny wzniósłe, to tęsknej słodczy elegie, to zanuci piosenkę radosną, weselną. A cóż dopiero się dzieje w państwie sztuki, kędy już piękność ma właściwą ojcowiznę swoją! kędy ona żyje w całej swobodzie a wolności swojej! Bo sztuka piękna jest zaślubieniem skończoności doczesnej z nieskończonością wiekuistą ducha. Ale gdy duch czło-

wieka jest duchem stworzonym, gdy on sam jest ochuchany tchem ziemskiego żywota, więc on sam wypowiada treść swoją w różnych akkordach, w różnych postaciach. Cóż dziwnego że sztuka to przemawia do nas *wzniosłością*, to znów zdradza piękność *naiwną*, *prostotą pełną*, to ubiera się w przepychy fantazyi, to staje przed tobą w *urozystej* postaci, to jest pięknoscią *szlachetną*, to znów strachem przejmuję, gdy rozwija losy *tragiczne* figur swoich; a tak sztuka coraz inną a inną formą piękności zadziwia, pociesza, zachwyca widza i słuchacza swojego. Trudno by mi było wyliczać wszystkie te formy piękności, więc też tém mniej będziesz wymagał, bym ci się wdawał w różne ich definicje. Zdaje mi się też, że jak to zwykle definiowanie wyobrażeń jest wielce nudne, tak też najczęściej nie dotrzyma placu, gdy mu się bliżej przypatrzysz; takie definicje, choćby położone rzędem po sobie, będą niby ułamkami luźnymi nie powiązanymi z sobą, a zatem też żadna z nich nie będzie miała udowodnienia swojego w drugiej, bo nie będzie się rodziła z poprzedzającej. Niema się tedy czego gniewać na czytelnika, gdy nie dowierza tym definicyom, gdy tu i ówdzie je doprawia, uzupełnia i prostuje.

Widzisz przeto, że chcąc te różne postaci piękności bliżej i trafniej oznaczyć, trzeba by je rozwinać genetycznie, wypadłoby jej zrodzenia wskazać w zarodzie, należałoby tedy wysnuć je z owych dwóch pierwiastków, będących żywiołami piękności wszelkiej; takowy wywód okazałby, że, wedle różnego wzajemnego zachowania się tych dwóch pierwiastków, różne też będą pojawy piękności. Przecież, gdy te listy moje bynajmniej nie mają na celu rozwicia systematycznego estetyki, gdy moim, jak wiiesz, zamiarem jest, aby jedynie pobieżnie potrącić myśl twoją, zatem wystarczy, gdy, wspomniawszy już o tych różnych postaciach, jeszcze naprzykład rozwinę choć z lekka i z wierzchu niektóre z tych szczegółowych form piękności, nadając im znaczenie mniej więcej przyjęte dziś już przez estetyków. Prawda, że lubo sposób, którym ci podaję, nie będzie ani ścisłym ani wyczerpującym rzecz, wystarczy atoli, jak się zdaje, do okazania, że te wszystkie kształty piękności możnaby wysnuć rzeczywiście łańcem systematycznym.

Jakoż baczmy np. co rozumiemy przez wyraz „wzniosłość“. Sama nazwa okazuje, że tutaj zachodzą dwa czynniki: jeden, który się wznosi nad czémś, a drugi właśnie ten, nad którym tamten pierwszy się wznosi; jestto przeto porównanie, które tutaj się objawia. Uważ teraz, że te dwa czynniki wyrażają właśnie owe dwa pierwiastki, które są dwoma warunkami wszelkiej piękności, ale one są tutaj rozdzielone od siebie dualizmem. Bo ów pierwszy czynnik, który się wznosi nad drugi, wyobraża tutaj nieskończoność, wiekiistość; a czynnik drugi, nad który się wznosi ta nieskończoność, ta wiekiistość, jest właśnie wyobraźnikiem doczesności tutecznej. Ten czynnik drugi istnieje tutaj li dla tego, aby wyświetlił moc, potęgę, nie-

skończoność; on się w obec niej kurczy, on ją mierzy ale zmierzyć jej nie zdoła.

Chciéj atoli mieć na oku wielce ważną okoliczność. Oba te czynniki występują w estetyce jako zamknięte w dziele piękności, które samo przez się i w całości jest wiekuistości i nieskończoności wyrazem; wynika ztąd, że i ten drugi czynnik, który w dziele sztuki wyobraża skończoność, sam nie może być czémś codzienném, drobném, a choć sam nie jest jeszcze nieskończonością prawdziwą, rzetelną, winien być jakby owiany tą nieskończonością, bo tak jedynie zdoła wyswiecić nieskończoność wiekuiatą, która obok niego staje w postaci olbrzymiej, niezmierzonej. Z drugiej strony baczyć nam należy, że i ten pierwszy czynnik, który wyobraża nieskończoność, właśnie dla tego, że się pojawia w dziele sztuki, a zatém w postaci uzmysłowionej, będzie miał przecież granice swoje; lecz sztuka, że tak powiem, na tém zależeć będzie, aby to ograniczenie jego zasłonić, aby tych kończyn a granic nie było widać. Może jednak całe to przedstawienie moje niedość jasne, więc unaocznimy sobie rzecz na przykładzie. Gdy w człowieku wzniosą się burzą namiętności, a serce jego wzdęte będzie falą uczuć olbrzymich — otóż, jeżeli wśród téj burzy i boleści wewnętrznych, człowiek zdoła zakłnąć własne serce swoje, co pęka z boleści, jeżeli zdoła przytłumić namiętności, i wykonać wbrew uczuciom swoim powinności, które mu idea wiekuista nakazuje — wtedy taki człowiek będzie wzniosłości wyrazem. Ta idea, przemagająca w duchu jego, będzie owym czynnikiem pierwszym wyobrażającym nieskończoność, wznoszącym się nad namiętności i uczucia, które przeto tutaj mają znaczenie owego drugiego czynnika. Uważ zatem, że te uczucia i namiętności winny być ogromne, bo tym sposobem jedynie moc duchowa, zdolająca je pokonać, wyswieca się w całej potędze majestatu pełnej. Atoli z drugiej strony też sama moc, działająca w imieniu nieskończoności w sercu człowieka, ta idea wznosząca się nad głosy serca, nad uczucia, sama jest tylko jedną z wielu idei, z wielu prawd szczegółowych rządzących światem. Człowiek, choćby najzacniejszego, ogromnego oddechu, nie zdoła działać w imieniu najwyższej prawdy, która jest prawdą wszystkich prawd, która je wszystkie sobą obejmuje; człowiek śmiertelny, jako duch stworzony, staje się wyobrażnikiem tylko jednej szczegółowej idei i tę przeprowadza w życiu i w świecie; ta prawda, którą on wyznaje, z osobna wzięta, nie jest jeszcze prawdą bezwzględną, i ona w sztuce saméj, która żąda z istoty swéj uzmysłowienia, uosobienia téj prawdy w człowieku, sama występuje jako ograniczona; przecież, gdy ma być nieskończoności wyrazem, dla tego to jej ograniczenie jest osłonięte, zakryte.

Jak atoli w tym naszym powyższym przykładzie mieliśmy głównie na oku wzniosłość, objawiającą się w postępowaniu człowieka, tak podobnie przypisać możemy przedmiotom bezdusznym wzniosłość, a to wtedy gdy one w duszy naszej odpowiednie budzą uczucia. Tak

widok morza jest wzniosły; fale dźwigają się i przepadają z kolei na przestrzeni morza, a przestrzeń morza rozkłada się w nieskończoność, bo jej granice zakryte więc osłonięte, a fale mierzą tę nieskończoność oceanów; ale, choć ogromne i olbrzymie, przecież jej zmierzyć nie zdołają; one nieprzemierzonym, niedowidzianym rozłogiem topieli oceanów. Albo spojrzysz na wiekuiłą przestrzeń niebiańską; toczą się słońca i planety i księżyce, a pochodem odwiecznym kół, wirują, ruszają się systematy słoneczne, i srebrzą się mleczne drogi; ale ani planety, ani księżyce, ani systematy słoneczne, ani mleczne drogi, nie zdołają zmierzyć Bożego państwa, bo za nimi znów nowe zjawiają się systematy, nowe słońca, nowe mleczne drogi, i tak w nieskończoność.

Powiadasz, że ten tum obejmuje cię wzniosłością i że w nim powiewa nieskończoność tchem swoim? Gdy mu się bliżej przypatrzysz, postrzeżesz tłumy nabożnych i ołtarze, i piętrzące się w nim kolumny, łuki, gzymse, co, choć wielkie i potężne, giną w obec ogromu olbrzymiego całości budowania i wysokości sklepień. Ozdoby, dziergania wieży, choć same w sobie potężnych wymiarów, maleją i nikną w obec wysokości zawrotnej, podobłocznej, której sięga szczytem swojego krzyża.

Wystarczy może tych przykładów wzniosłości, zwracam tylko uwagę, że ona zdolna zamienić się na pokrewne sobie formy estetyczne. Tak np. jeżeli człowiek całą duszą, całym sercem objął jedną z idei, jedną ze szczegółowych prawd, i takową, z całym poświęceniem siebie, za nic sobie waząc wszystko inne, chce przeprowadzić w życiu, a tak walczy z losem, walczy z ideą nieskończoną, mierzy się z prawdą wszelkich prawd i ginie pod brzemieniem jej wiekuiłej potęgi; w takim razie ten człowiek stanie się figurą tragiczną, a los jego i upadek będzie tragicznością, która jest znowu nową formą piękności. Przecież o tej formie, jak i o konieczności, mówić będziemy często jeszcze na innych miejscach.

Zgodzisz się może również, że gdy ta nieskończoność, ta idea przeważna i wzniosła, ubiera się, jakby w szaty, w wielkie zjawiska natury, wtedy rodzi się to, co zwykle estetycznym przepychem zowiemy; taki przepych spotykamy często bardzo w świętych pieśniach hebrajskich, przedstawiających Boga „którego potęga zbliża się na skrzydłach wichrowych“, który wodzi wóz niebiański z gwiazdami jego „a skinał na świtania i okazał kędy wschodzić mają zorza?“ W tych obrazach pieśni świętych widzimy przepych, ale pełen najwyższej wzniosłości; bo ogrom stworzenia ma w nich to jedynie znaczenie, aby okazać nieskończone wywyższenie Boże nad wszelkie wielkości natury; gwiazdy i świtania, skon i życie są tu jedynie haftem na rąbku szaty Bożej. Tutaj obok przepychu najwyższego, znajdziesz najwyraźniej wszystkie te cechy, którem powyżej oznaaczyłem jako znamiona wzniosłości. Bo z jednej strony rzeczy stworzone, doczesne, przybrały ogromne, nieskończone rozmiary, a z dru-

giej strony, wznosząca się nad te rozmiary nieskończoność przybiera formy zmysłowe, fizyczne, bo uzmysłowionej idei Bożej, odzianej nawet „w szaty, kładącej stopy na gwiazdach, wodzącej wóz oriona, skinieniem rozkazującej świtanii“.

Jeżeli do potęgi ogromnej, nieskończonej, łączy się spokój wewnętrzny, beznamietny, wtedy występuje na jaw Majestat. Jeżeli zaś ta potęga spokojna w sobie uznaje wyższą nieskończoną nad sobą potęgę, wtedy staje się uroczystą. Gdy bohater zsiwiał, czując zbliżenie się śmierci, modląc się oddaje cześć Panu na wysokościach, wtedy zdradza się uroczystość. Jeżeli ów pierwiastek nieskończoności, objawi się w sztuce wyrzeczeniem prawdy głębokiej, bez wiedzy własnej, wtedy zdradza się piękność prostoty pełna — jeżeli zaś odwrotnie, człowiek postępuje wedle tej prawdy z całą pełną wiedzą, że wykonywa zakon wiekuisty, jeżeli przytém wypełnienie tej idei nie jest dla niego trudem, z którymby mu walczyć przychodziło, ale jest właśnie dogodzeniem zacnej istocie ducha i harmonią z własną naturą swoją, wtedy pojawia się piękność szlachetności pełna.

Tak widzisz, iżbyśmy mogli prawie z jednego i tego samego stanowiska określić bliżej znaczenie i innych tym podobnych pojęć estetycznych, — dla naszego dość, żeśmy je choć z lekka wspomnieli. Przecież już widać, iż w jakimkolwiek bądź kształcie wystąpi z za obłocznej opony piękność, zawsze ona będzie córą niebiańskiej ojczyzny, czyli zaświeci jako bogini piękności z koroną różaną na skroniach, czyli jako Niobe, co skamieniała w posąg cudny macierzyńską boleścią, czyli jako Jowisz Phidiasa, co skinieniem wstrząsa nieba i ziemi posadami, czyli w postaci Herkulesa, idącego przez świat walcząc i łamiąc się z trudem, by wybawił świat, by uwolnił Prometeusza, co uniośł z nieba płomień światłodawczy; zawsze i zawsze piękność sztuki przebudzi śpiący Olimp w sercu człowieka. Mniej serce, oczy, duszę otwarte dla piękności, ona wstąpi radośniej do piersi twoich i będzie ci uroczysto, świateczno w duszy i wśród niebiańskiego wesela, wszystkie ducha twojego tony się odezwą i zestroją się z sobą i zagrają jakby hymnem i psalmem, i przestanie ci w duszy płakać i kwilić, a zapomnisz bóleści, przebaczysz krzywdy i urazy, świat cały i ludzi wszystkich obejmiesz z miłością, przeszłe i przyszłe wieki będą ci braćmi we wiekuistości. Odetchniesz szeroko, wesoło, swobodnie, jakbyś był po uniknięciu wielkiego nieszczęścia, od którego właśnie Boża ręka cię zachowała; odetchniesz wolno, swobodnie, jakbyś sprawił coś wielce zacnego, jakbyś uratował nieprzyjaciela swojego od biedy i zaguby — uczujesz się mocny na duszy, spotęgowany w sobie, jakby ci Anioł Pański podał wzmożnienia puhar.

LIST ÓSMY.

Sztuka. — Wiara. — Filozofia.

Stosunek sztuki do religii — do filozofii. — Zwyczajne zdanie o filozofii. — Uwłączanie rozumowi jest bluźnierstwem. — Zapatrywanie się mylnie na filozofię. — Jaroński i inni. — Rzut oka na treść listów poprzednich. — Badanie początku sztuki jest równie mylną jak niepotrzebną pracą.

Dotychczas zatrzymywałem cię w przysionku sztuki pięknej, rozprawiając dopiero w ogólności nad jej naturą; wnet zaiste roztworzy się nam wnętrze tej świątnicy, co, jakby stara wspaniałości pełna katedra, postawiona jest wedle pomysłu wiekuistego budownika, a dźwigniona pracą i sileniem się wszystkich wieków. Każdy naród, mający jakąś wartość swoją, przyczynił się do tej świętej budowy pracą żywota swojego; dawał jakby testamentem co miał najdroższego ku jej czci a ozdobie; o każdym też tutaj świadczy kamień grobowy, wspominając z poczciwością o imieniu i obliczu zmarłego. Ludy jedynie bez wagi, ślepego oka, nie liczące w grze dziejów świata, przeżyły czas swój bez śladu, przemknęły się milczkiem po ziemi; ich stopy, wyciśnięte jakby na lotnym piasku pustyni, zawiane są oddawna tchem czasów, pomarły one w barbarzyństwie, anioł piękności nie błogosławił im na ich samotnej i ciemnej pielgrznce; świątelnia sztuki milczy też o głuchym ich życiu. A one zaś wielkie mistrze: Michał Anioł i Dante, Praxyteles i Petrarka, Shakspeare i Hayden, lub Stwosch, Mozart i Sanzio, Horacyusz i Göthe, Cerwantes i Molière, goreją jakby jasne świece na wielkim ołtarzu piękności, a pokolenia późne stroją je w kwiaty swój czci i uwielbienia, a przy ich płomieniu nie jeden już zapalił się geniusz, tysiące rozwidniało serce. Tutaj też po wszystkie czasy, narody przychodziły odświeżyć siły do uiszczenia się z powołania, jakie każdemu z nich Bóg przeznaczył, i wzmocnić się duchem i ufnością ku sobie. Sztuki piękne podnosiły zawsze człowieka i nadawały mu zacość. Zaiste — spojrzysz wstecz na dzieje ludzkie, a obaczysz, iż zawsze w epokach czarnych i smętnych, pełnych biedy i krwawej roboty, gdy niebo szare, bezbarwne, zaćmiło się nad światem, a w historii jakby serce zamarło; gdy człowiek rozpaczając upadał pod brzemieniem własnego żywota; wtedy, gdy wszystkie inne pociechy, nadzieje jego w koło zasnęły, gdy sam z sobą w głuchej nocy pozostał, — Piękność w postaci jasności Anioła podawała mu kielich wzmocnienia. Ród człowieczy, patrząc na dzieło piękności, przypominał w niem sobie potęgę swoją nieumierającą nigdy, i niczem niezatartą zacość swój natury; obojętniej patrzeć mógł na pohańbienia swego szaty, a skronie jego uwienńczył obłok złocisty, z nieba spłyniony.

Sztuki piękne w historyi zawsze się znalazły w parze z religią; i niedziw, bo wiara jest pierwszą nieskończonością księią; dla tego wiara i sztuka w ciągłym są związku z sobą. Z téj przyczyny zechciemy zrozumieć stosunek sztuki do religii. Obie z nieskończoności człowieka płyną, obie nam nieskończoność przed duszę stawiają, ale każda w innej formie, każda w swoim sposobie. Nieskończoność, rodząca się ze sztuki pięknej, gaśnie obok onéj, która świeci w majestacie wiary. Bo gdy w sztuce nieskończoność istoty naszej wyjawia się we formie zmysłowej, a zatem we formie zewnętrznej, odwrotnie — religia porzuca fizyczność i cały świat zewnętrzny, a zwraca się do wewnętrznych głębin człowieka, uderza w bezcielesną jego istotę i w najskrytszych duszy tajnikach zapala nieskończoności ogień. Ale ona nie tylko o własnej nieskończoności człowieka przemawia, lecz za oponą najświętszej świątnicy okazuje inną nieskończoność, która nie tylko nie ma końca, ale która i początku nie zaznała nigdy; bo ducha człowieczego stawia przed Panem, „który obłócił się w możność, utwierdził był w duszy rzeźbiarza, by się nie poruszył, odział się chmurą i ciemnością, którego stolicy gruntem jest sprawiedliwość i sąd, którego błyskawice oświecają światów przestrzenie, a na ich widok ziemia drga w sobie, albowiem przed oczyma Pana tysiąc lat są jako dzień wczorajszy, który przeminał, i jako straż nocna, a porywa je Pan powodzią jako sen i jako trawę, która z poranku rośnie“. (Psalm.)

Lubo i zaród sztuki w duchu się znajduje, i lubo pierwój, nim dzieło piękności w świecie zewnętrznym stanie, winno się zrodzić w wewnętrznym człowieku pracą ducha jego, przecież ta praca ma za cel dzieło fizyczne. Posąg wprzód był w duszy rzeźbiarza, nim on myśl swoją wcielił w marmur — przecież ten marmur, to zrodzenie się duchowe miało za cel posąg, który w świecie zewnętrznym widzialny jest dla zmysłów naszych. Aby sztuka piękna była zupełną, powinna wystąpić z duszy mistrza i okazać się na jawie w dziele jego, bo inaczej nie miałyby rzeczywistości. Odwrotnie, rzeczywistość wiary, jej prawda stoi na duchowości wewnętrznej człowieka; ona mierzy w ducha jego i tu ma ostatni cel swój. W sztuce świat wewnętrzny jest środkiem, wyjawienie się zaś zewnętrzne jej celem i przeznaczeniem. Nawzajem w religii, świat zewnętrzny widzialny jest jedynie widomym znakiem nadziemskiej łaski dla naszego poświęcenia wewnętrznego; jej przeznaczeniem jest duch człowieka, „bo duch ci jest Bóg, a ci, którzy Go chwalą, powinni go chwalić w duchu i w prawdzie“. (S. Jan, IV. 24.)

Te są główne podwaliny stosunku religii do sztuki, a posłużą one nam na przyszłość za podstawę do rozróżnienia sztuki klassycznej, to jest greckiej, od sztuki chrześcijańskiej. Tutaj tyle jedynie powiem, iż skoro, jak mówiłem, w sztuce duch objawia nieskończoność swoją, wcielając się w zewnętrzne zmysłowe formy, a w religii zaś duch z zewnętrznego świata cofa się w siebie i w sobie obchodzi na-

bożeństwo i uroczystość nieskończonej swój istoty; więc też świat zewnętrzny, zmysłowy sztuki nie potrafi wydać całkowicie onej świętości, spływającej z religii w serce człowieka; prawdy wiary nie zdolają się pomieścić w szczupłe obręby, jakich im sztuka dostarczyć może, bo pojęcie chrześcijańskie Boga jest zupełnie duchowe; formy tedy sztuki, jako zmysłowe i zewnętrzne, nie zdolają sobą zamknąć pojęcia Bóstwa, niemającego końca ani początku. Dla tego przyznasz, iż obrazy religijne nie wszystkie podają jedną trudność do zwalczania; im więcej w nich pierwiastek Boży przeważa, tém i zadanie trudniejsze. Bóg Ojciec przedwieczny jest przedmiotem doscigłym ledwie przez najwyższy geniusz artystyczny, bo jest Bogiem wiekiustym, nadziemskim; tymczasem Chrystus Pan, Bóg-Człowiek, Bóg, co przybrał na się postać ludzką, zmysłową, zbliża się do świata materialnego i do świata sztuki; a gdy znów dwojaka jest w nim natura, bo Boska i człowiecza, więc też te chwile jego żywota, w których w nim natura ludzka przeważa, są łatwiejsze do uchwycenia dla artysty, aniżeli chwile, gdy Chrystus Pan jako Bóg występuje. Tak łatwiejszym jest obraz, wystawiający Chrystusa w latach jego dziecięcych, lub w chwilach jego męki, upadającego pod krzyżem, albo w rękach naigrawającego się żołnierstwa, niż w chwili zmartwychwstania, lub sądu ostatecznego, bo tu Jego Boża Natura zjawia się w całym swym majestacie. Jeżeli jeden tylko *Hayden* harmonią tonów odmalował *Stworzenie*, *Stabat Mater* znalazło dotychczas już trzech wielkich mistrzów.

Gdy zaś obrazy, rzeźby święte, są jedynie słabem i cichem echem tej żywej wszechmocnej potęgi, jaką religia nas przejmuje, jeżeli ich zewnętrzne formy sprostać nie zdolają prawdzie, która nam jakby rosa niebiańska z góry przyszła, więc też dla pobożności religijnej wyższa lub mniejsza piękność estetyczna obrazu czy rzeźby mniej ma wagi, bo już tutaj rzecz nie tak na tém stoi, czém dzieło jest, jak raczej na tém, co ono wystawia. Nieraz, wracając z przechadzki wieczornej, zatrzymywałeś się przed samym wstępem do miasta, patrząc jakby po przez ramy przez ostrołuką bramę głównej baszty Floryańskiej na widok pełny poezji i godny pędzla wielkiego artysty. Ulica Floryańska strzałą bieży długim szeregiem swych domów, i ginie w szarém oddaleniu wieczora; w jej końcu dźwiga się w olbrzyma kościół Panny Maryi, niby widmo starych wieków, co dumając nad miastem rysuje okazałe kontury na zamroczoném niebie, a na koronie jej wieży pali się jeszcze iskrami ostatnie spojrzenie konającego słońca, które już dla miasta zapadło. Ale gdy cienie nadchodzącej nocy rozwlokły się już po ziemi, a księżyc z tą wiecznie niezmienną, obojętną twarzą patrzy na świat, zalévając niebo i ziemię młecznym blaskiem, co dziwnie się miesza z żółtém światłem skromnych lampek i świeczek, które lud teraz zapala w ostrój branie S-go Floryana przed wizerunkiem Matki Przenajświętszej; lud się modli do Boga-Rodzicy, a co w duszy zakipi, brzmi w pieśni

pełnej rzewności i szczerzej prostoty, a piersi napelnia serca mądrością. A zaiste, mniej temu ludowi zależy na wyższej lub mniejszej piękności onego zewnętrznego wizerunku Najświętszej Panny, obojętna mu też i piękność poetyczna pieśni jego, i wartość muzykalna melodyi, i głosów harmonia, bo on w prostocie pełnej pobożności wizerunek Najświętszej Panny widzi w tajnicach duszy swojej, widzi go wewnątrz siebie, a serce śpiewa mu psalmy i rozplywa nadziemską muzyką; bo nad tém cichém pobożném zgromadzeniem Duch pocieszyciel rozpiął skrzydła swoje. Tak więc w duchu, świętością religii przejętym, zawsze uczucia zastępują dzieła sztuki; serce samo buduje się w przepych świątnicy, stroi się tęsknotą jakby rzeźbą i malowaniem, i płacze tonami muzyki, którą z nieba mu płynie. Jeżeli nieskończoność objawia się w sztuce postaciami zewnętrznymi, a w religii nabożeństwem ducha, więc też nieskończoność we wierze objawiona o tyle jest wyższa, świętsza, od nieskończoności wyrażonej w dziełach sztuki, o ile świat wewnętrzny wzniesiony jest nad zewnętrzny, materialny. Na wstępie do Włoch, w Bononii, wita cię obraz Rafaela; widzisz Świętą Cecylię w rękach trzymającą organy, które smutnie już się rozstępują, u stóp jej na ziemi porzucone narzędzia muzyczne w części złamane, ich harmonie ziemskie już oniemiały, umarły, bo na obłokach widać wieniec anielskich chórów, co śpiewają chwałę Pału na wysokości; Święta dziewica obliczem ku niebu zwrócona tonie w oceanie tych niebiańskich hymnów, zapominając o muzyce doczesnego świata. To jest stosunek sztuki do wiary!

Jest atoli jeszcze jedna, trzecia i ostatnia droga, którą nieskończoność staje przed duchem człowieka, droga będąca twardym dobrem długiej pracy wieków i trudem rozumu jego; jestto droga mądrości ludzkiej — *filozofia*.

Nie radbym tu wcale występować w szranki, broniąc niepotrzebnie rozumu powagi, bo już teraz świat cały w rozum uwierzył i poznał potęgę jego, a każdy z nas jeszcze dzieckiem będąc uczył się na pamięć zacnego Kopczyńskiego, i odpowiadał głosem rozlegającym się po klasie: „*Różnimy się ludzie od zwierząt rozumem i mową: przez rozum poznajemy rzeczy i o nich rozmyślamy, przez mowę wyjawiamy drugim myśli nasze*“; — gdy zaś mimo tego po książkach i pismach czasowych pełno jest jakichś zdań podających wartość rozumu pod wątpliwość jeszcze, więc też nie weźmiesz mi za złe, iż choć kilku wyrazami dotknę się całej tej rzeczy.

Nikt nie zaprzeczy, iż najwyższym, najświętszym darem nieba jest rozum; bo rozumem człowiek wywyższony został nad wszystkie jestestwa stworzone. Jedynie przez rozum i myślenie człowiek zdolny jest do przyjęcia świętych prawd wiary, bo ani zacność, ani moralność, ani cnota nie miałyby miejsca, gdyby człowiek nie był istotą myślącą; ani by on znał, ani dopełniał powinności swoich, gdyby nie był obdarzony rozumem. Jeżeli tedy ktoś uwłacza rozumowi, toć

zaiste w tém zachodzić musi nieporozumienie jakoweś, któremu bezwątpienia nie tak filozofia, jak panowie wrzkomu filozofowie dali w części początek, zwłaszcza filozofowie wieku zeszłego. Pokazała się wtedy ta niby-filozofia w tak obrzydliwym i cynicznym kształcie, i tak wierutna, wszeteczna, iż tchem swym zatrwała i duszę i zdrowie wieku całego. Nie dziw tedy, iż każdy człek pocziwy i prawy stronił od téj wrzkoméj mądrości, nadzianej dowcipami Mefistofelesa, zawracającemi snadno wszystkie słabe głowy i wciskającemi się w nadgniłe serca. Może jednak i czas dzisiejszy nie jest zupełnie bez winy. Bo gdy np. u sąsiadów naszych filozofowie hałaśny prowadzą bój o systemata swoje, ich czeladź cechowa zakasawszy rękawy, pod katedrami swych nauczycieli staje do boksów, obrzucając się na dobitkę błotem uliczném, i znieważając grób zmarłego przeciwnika. W pismach nienaukowych, w pismach politycznych nawet, roztrząsają pytania dotyczące się najwyższych prawd człowieka, bo wieczności, Boga. Patrząc się na tę prostytutkę rzeczy drogich i pełnych dla człowieka wagi, podobne oburzenie każdego przenika, jak gdyby po długiej niebytności w mieście rodzinném obaczył nagle wizerunek ojca i matki swojej, sponiewierane na tandecie żydowskiej. Z postępowaniem tém łączy się osobliwa pycha i pomiatanie prawdami od wieków uświęconemi, a zbudowanemi iście na opoce przedwiecznej. Ale pycha ludzka tu wcale nie na swoim miejscu, bo choć filozofia mocą rozumu dobija się prawdy, niechaj atoli jój zwolennicy raczą mieć na pamięci, że przecie ten rozum tak jest promieniem z góry pochodzącym i tak wypłynął z łaski przedwiecznej, jak i prawdy religią objawione, i że wypadek ostateczny rozumu, właśnie dla tego spólnego pochodzenia jego z wiarą, nie może być od niej różny. Niechaj zechcą ci panowie zważyć, iż łatwiej też już było w świecie chrześcijańskim dojść drogą rozumowania najwyższych prawd, skoro duch ludzki już był pierwój zkądinąd oświecony; bo nim filozofia trafiła do rezultatów swoich, już one dawno w sercu każdego żyły, we formie uczuć wiary i religii; tak jak ludzie dawno patrzyli swojemi oczyma, nim nauką doszli teorii optycznej wiedzenia, i wprzód umieli chodzić i stać, nim pojęli mechanikę ciała swojego. Rozumiem tedy, iż nadużycie i zła wiara filozofujących przyczyniła się do krzywego i niesłusznego mniemania o samej filozofii. Przewinienie zaś jednej strony nie nadaje bynajmniej prawa drugiej, by i ona dopuściła się niesprawiedliwości, bo targnienie się jój na powagę rozumu jest także bluźnierstwem i bezbożnością, tylko bluźnierstwem i bezbożnością innego rodzaju.

Najszlachetniejszy popęd człowieka, chęć wiadomości, nauczanie się, pragnienie rozszerzania granic ducha swojego, ma źródło swoje w rozumie. Co w rzeczach ludzkich jest, a czego przecie nie rozumiemy, o tém wiemy — ale rozumieć, jest to umieć, mieć u siebie. Cośmy zrozumieli, toć jest naszą własnością duchową. Cała historia ludzka przez lat tysiące właśnie pracuje tylko nad tém, aby zro-

znać zjawiska natury, towarzystwa, zrozumieć własną istotę człowieka i t. d. Pragniemy zrozumieć mowę zjawisk, przetłumaczyć je sobie na język naszego rozumu. Wiemy bowiem, iż wszystko, co jest, powinno przystać do naszego rozumu, nadać się do niego. A choć nie tylko w świecie umysłowym, ale w naturze jest wiele rzeczy, których my sobie wytłumaczyć nie możemy, toć wiemy, iż tych rzeczy nie dla tego nie rozumiemy, jakoby były przeciwne rozumowi, ale dla tego, iż nie mamy wiele jeszcze faktów, to jest wiele ogniw potrzebnych do rozumowania, które, gdyby nam były wiadome, bez wątpienia posłużyłyby nam do pojmowania tego, co było zagadką. Słowem, szukamy wszędzie i we wszystkiem prawideł rozumu, bo w nas jest wrodzony instynkt, iż wszystko się odbywa rozumnie, i że wszystko do naszego rozumu przystać powinno. Ten instynkt, od Boga wlany w ducha naszego, łatwo też pojęty być może; bo źródłem wszystkiego jest Bóg, Najwyższy Wiekuisty Rozum. On, stwarzając świat i wszystko co na nim jest, stworzył rozumnie, tak równie i nas stwarzając wlał w nas myśl rozumną. Otóż więc rozum, będący ustawą świata, i ten nasz rozum, który żyje w myśleniu naszym, o ile ten ostatni nie jest źle użyty, nie mogą być różne od siebie, bo mają to samo pochodzenie. Dla tego sarkanie na rozum jest istotnie, jakem powiedział, bluźnierstwem i bezbożnością. Rozum więc z nieskończoności człowieka pochodzi. A teraz wyjaśnia ci się już i w zupełności usprawiedliwia się zasada wyrzeczona w liście poprzedzającym, iż człowiek party jest instynktem, by nieskończoność, która w nim żyje, znalazł i zewnątrz siebie upatrzył, by wszędzie wizerunek własnej nieskończoności obaczył, i że tedy co tylko jest prawdą w duchu naszym, winno się znaleźć i na zewnątrz ducha naszego. Ta tęsknota, ten instynkt, ta zgoda wewnętrzna prawd z ustawami a światem zewnętrznym wypływa z tego, iż wszechnica świata i duch człowieczy rządzi się prawami najwyższymi od Boga nadanymi. Człowiek dochodzi rozumu Boskiego wiekuistego, żyjącego na dnie każdej rzeczy, obiera je z łupiny zmysłowej lub ze skorupy, w którą je przyodziały nasze uczucia, bierze rzecz nie za to, za co się dają, czém się zdają, ale za to, czém one w istocie swojej są. Widzi zatem ich wewnętrzne połączenie, ich związek, i spostrzega myśl Bożą, na którą, mówiąc językiem Indów, wszechrzeczy są nawleczone jak perły na nici; widzi połączenie rzeczy fizycznych i duchowych, a co uczuciom naszym i zmysłom zdaje się być rozosobnione, okazuje się teraz jako część jednej ogromnej całości; a umiejętność, mająca na celu wypatrzenie we wszech rzeczach onego nieskończonego pierwiastku, jest — *filozofia*. Tak tedy i droga filozofii, droga myślenia, prowadzi człowieka do poznania nieskończoności.

A jeżeli, jakśmy wyżej powiedzieli (*List VII*), ani świat fizyczny, ani moralny nie wystarczy, by był wizerunkiem nieskończonej naszej istoty, jeżeli wszystkie szczegółowe nauki i umysłowości, a nawet historia okazuje nam tylko części ogromnej całości, którą

jest nieskończoność, tedy filozofia, łącząc te wszystkie części w jedność, okazuje nam wszechrzeczy wiekuiste powiązane z sobą, pokazuje nam jakby w odbiciu nieskończoną istotę własnego ducha naszego.

Jeżeli więc w sztuce duch człowieka wlewa się w dzieła piękności jakby w godne siebie naczynie, uduchownia je sobą i tworzy wizerunek swój własnej istoty nieskończonej, tedy we filozofii duch dochodzi nieskończoności myśleniem. W religii zaś samą łaską Bożą, bez zasługi a pracy naszej, nieskończoność zstępuje z nieba w świętej objawienia postaci, i mieszka wiarą w nieskażonem sercu człowieka, jako w przybytku i arce swojej; „bo Zbawiciel tchnął na wiernych swoich, i rzekł: weźmijcie Ducha Świętego“ (Ś-ty Jan, XX, 22).

Gdy w sztukach pięknych nieskończoność okazuje się w postaci dzieła sztuki, to jest cielesnym sposobem, we filozofii ta nieskończoność objawia się w postaci i we formie nieskończonej myśli Bożej, ukrytej na wszechrzeczy dnie; a do téj myśli Bożej prowadzi nas praca ducha naszego, — myślenie. Tak do celu najwyższego wiedzie środek najzacniejszy, a oba z jednego źródła płyną.

Chciéj mi wybaczyć, że się tak o filozofii rozpisuję; oznaczywszy atoli stosunek sztuki do religii, radbym także wykazać stosunek sztuki do filozofii, a do tego przedewszystkiém potrzeba, byśmy się porozumieli jasno względem znaczenia prawdziwego téj umiejętności. Nadto filozofia stała się właśnie teraz przedmiotem powszechnej uwagi w literaturze naszej, i więcej niż kiedykolwiek publiczność u nas zajmuje. Niektóre nawet damy nasze, łącząc muzy z gracyami, porzucają ciepłe kwieciste doliny rzeczywistego ich życia, i spinają się na szczyty szorstkie, samotne, zawrotne, zimnej abstrakcyi. Prawda, iż kto tam stanie, bliżej jest nieba, dalej ziemi, i widzi świat, naturę i wszystkie rzeczy ludzkie rozłożone jakby na otwartej dłoni Bożej! Jest czego podejmować się tych prac jałowych. Nasza publiczność czytająca istic spoważniała, obrzydziła sobie słodkie pianki literackie, i już nie na żarty się na życie patrzy, a nawet coraz to więcej pozbywa się uprzedzeń spróchniałych o filozofii. Atoli tu i ówdzie pozostały nam z dawnych lat niektóre tradycyjne a często sprzeczne z sobą mniemania o filozofii, które jakby zwiędniały bukiet z prababki wesela na nas spadły. Bo tu znajdziesz jeszcze ludzi, którzy pod szatą białą Pytagoresa i w trzewiku Kanta widzą krogulcze pazurki, którym każda książka filozoficzna siarką trąci, i słysząc o filozofii już palcami sięgają do wody święconej, bo wedle ich zdania, filozofia dla porządnego człowieka jest tém, czém dla wilka, koń zatruty; jak się zdaje, to na swoją zgubę i koniec mizerny. Ówdzie znów jakieś Francuzy z Kleparza, których dusze spudrowane, chodzą jeszcze w jedwabnych w kwiataki frakach, i ciągle marzą o onej filozofii Rokoko, więc z lamusu przeszłości, z pośród zapomnianych rupieci literackich wyciągają perukę Woltera i w najlepsze paradują sobie z nią po świecie. Są tacy znów,

u których zdania Śniadeckiego stereotypem stwardniały; oni całą filozofię uważają za niepotrzebny wymysł niemiecki, utkany w pajęczynę misterną z piany piwnej i dymów fajczanych. Lubo ile mi wiadomo, ani Plato ani Arystoteles nie miał takich materyałów pod ręką; a mają przecież ich niby za filozofów. Ludzie, którzy się nigdy o filozofię nie troszczyli, wprost i bez ceremonii o nią sądzą, dając o nią wyroki stanowcze. Wedle ich zdania, nie potrzeba się wcale obeznac z umiejętnością tą, by z góry już wiedzieć, jak się rzeczy z nią mają i czego ona warta. Gdy mowa o matematyce, geologii, astronomii, prawie, chemii, lub o jakiegokolwiek bądź umiejętności lub nauce, żaden się z tych panów nie odezwie, jeżeli nie zapoznał się z nią pierwój; ale o filozofii radzić, o niej szeroko rozprawiać i oceniać jej wartość, ba! to każdy potrafi, choćby bez żadnego poprzedzającego przygotowania. Zdrowy rozsądek i poczciwość serca wystarcza, jak powiadają, do sądzenia o filozofii; aleć przy najzdrowszym rozsądku i największej poczciwości nikt skiby nie zaorze, nikt na koń nie wsiądzie, jeżeli nie ma wprawy, a témci mniej filozofii znać nie będzie bez cichej pracy i sumiennej usilności. Onym panom się zaiste zdaje, iż każdej nauki, iż każdego rzemiosła nawet uczyć się potrzeba, filozofować tylko i trawić można bez żadnej poprzedniej nauki. Każdy człowiek wedle mniemania ich filozofem się rodzi. Żaden z nich nie ma pretensyi zrozumienia książki matematycznej, prawnej, geologicznej i t. d. jeżeli się tych umiejętności wpród nie uczył, ale każdy ma pretensyę zrozumienia i osądzenia książki filozoficznej; a jeżeli jej nie rozumie, to nie jego wina, ale książka niedorzeczna, a autor musi mieć jakieś zajaczki.

Zdanie ich niby ztąd się bierze, iż oni nie wierząc, czyli raczej nie wiedząc, iż myślenie filozoficzne różni się od tak zwyczajnego codziennego myślenia, powiadają sobie: „iż skoro filozofia ma być podług wyznania samych filozofów umiejętnością rozumu i myślenia, zatem dość jest mieć rozum, dość myśleć, aby sobie filozofować“; przepraszam, bo można mieć nogi bardzo zdrowe i buty skrzypiące z ostrogami i z żółtymi kwastami, a nie umieć węgierskiego zatańcować.

Inni radziby filozofować, niechajby tylko filozofia nie była tak trudna; radziby mieć inną, której można nabyć tanim kosztem, bez wielkich zachodów i dla wszystkich przystępną, do którejby wszyscy siadać mogli jak do omnibusu jakiego, puszczając się w wycieczkę za małe pieniądze to w tę, to w ową stronę krainy mądrości. Niechaj atoli zważą, iż jeśli każda nauka ma swoje trudności, témci więcej filozofia nie może być umiejętnością łatwą, bo przedmiotem jej nie są rzeczy dotykalne, ale myślenie samo, a myślenie abstrakcyjne. Nikt nie zaprzeczy, iż matematyka dla tego jest uważana za umiejętność trudną, bo jest abstrakcyjną, a przecież jej liczby i rozmiary są mniej abstrakcyjne niż pojęcia filozoficzne. Z tém zdaniem w bliżkiem sąsiedztwie mieszka drugie jemu spokrewnione, jestto mniemanie

tych, co uważają, że nam potrzeba zupełnie innej filozofii swego chowu i na swoją potrzebę. Na tę szczęśliwą myśl wpadł już przed laty poczciwy Jaroński i napisał książkę: „Jakię filozofii Polacy potrzebują“ (Kraków 1810, in 4-to). I zaiste, co by to była za ładna rzecz, gdyby każdy naród miał swoją własną filozofię, jak każda dobra gospodyni ma swoją apteczkę domową. Takich zdań nie brakło jeszcze; znajdziesz ich pełno, często gęsto podnoszą głosy z serdeczném życzeniem, aby u nas każda prowincya nawet i każde miasto miało swoją filozofię, własnych swoich filozofów, tak jak to niby każdy domek na przedmieściu ma swoje grządki, a na tych grządkach własne kapuściane główki. Ale zkądże to zdanie tak osobliwe się bierze? Właśnie jak myślę z tego, iż pospolicie utrzymuje się mniemanie, jakoby filozofia była owocem zwyczajnego rozmyślania, dumania i t. d., że zatem ona podobnie jak każde rozmyślanie i dumanie zostaje pod wpływem uczuć, chęci, dążności i tych wszystkich okoliczności stanowiących piętno jakiego narodu, a więc że filozofia także koniecznie musi mieć piętno narodowe — jak naprzykład poezya i cały orszak sztuki pięknej. Uważmy jednak, że skoro filozofia więcej niż inna jakabądź umiejętność jest czysto rozumowa, i mniej jak którakolwiek podlega wpływom uczuć, temperamentu i całej potężnej miejscowości, więc téż ona mniej niż inne może mieć piętno narodu.

Zaiste wtedy tylko będziemy się mogli spodziewać osobnej dla każdego narodu filozofii, gdy każdy naród wymyśli sobie osobną dla siebie matematykę, fizykę, chemię i t. d. Powiadają: iż człowiek za pomocą samego rozumu nie zdoła dobić się żadnych prawd bezwzględnych, to jest niezależnych od żadnego miejsca i czasu, będących zawsze i wszędzie prawdą. Więc jeżeli jedni powiadają, że dwa razy dwa = cztery, to u innych dwa razy dwa = pięć; jeżeli się dla innych ludzi ziemia obraca koło słońca, toć słońce, księżyc i gwiazdy, obracają się koło niego jako około środka swojego; — a co jedni ludzie za pomocą rozumowego przekonania nazywają zaciemnieniem, pocziwem, szlachetnym, to u innych jest niedorzeczne, złe — i nawzajem. Wcale tedy niepotrzebna jest taktyka onych, którzy, chcąc zaprzeczyć wartości rozumowi, zaczynają od oddania czci prawdom z wiary płynącym. Bo nie wypada nam mieszać prawd objawionych z zasadami rozumowemi. Wszyscy przekonani jesteśmy, iż żadna jakakolwiekby nauka nie ma zasady pod sobą, jeżeli nie stoi na fundamentach religii. Bo wszystkie nauki, w gruncie swoim pojęte, okazują nam jedynie dobroć, wszechmocność i wszechbytność Boga w różnych kształtach i postaciach jego; dla tego téż wiadomości i uczoność, nieosadzone na wierze objawionej, są tylko zlepkami rapsodycznemi nie mającemi wspólnego tła, którym jest Bóg. O tém wszyscy wiemy; wiemy także i o tém, iż wiadomości i nauki jeszcze się różnią od rozumu; bo gdy obaczysz człowieka nie gruntującego rozumu swojego na Bogu, o takim możesz być z góry przekonany,

iz i rozum ten jego szwankuje. O tem wszyscy wiemy; lecz widzmy również, że potęga myślenia nie jest darmo dana człowiekowi od Boga; winien tedy zacie użyć tego daru, którym Ojciec niebiański uposażył ludzkość, wyprawiając ją w życie doczesne i świat. A jeżeli nikt nie zaprzecza, że w żadnym kierunku życia, że w żadnych sprawach nie obejdzie się bez namysłu i myślenia, więc widzmy, że też winna istnieć umiejętność, która ma właśnie samo myślenie za przedmiot swój i że taką umiejętnością jest filozofia.

Może filozofia dla tego nie ma kredytu i coraz to inne filozofie nastają, że zawsze system powyższy stawia się i buduje na gruzach poprzedzających. Przecież właśnie ten ruch jest dowodem życia tej umiejętności i jej chwałą. Te odmiany nie są migotaniem się fantastycznem bez celu, ale są postępem, wzrostem i szczyblem dalszym do udoskonalenia. Co się nie odmienia, co trwa ciągle w jednym, jest martwem i umarłem. Wszystkie umiejętności mają w sobie zaród życia, w których jakby krew płynie, przeobrażać się ciągle winny, i w tem podobne są do historii rodu человеческого. I tu ciągle odmiana, tu ciągle walka, bo wieczny bój na myśli i krew, a walka i bój ten pełen zgrozy i okropności. Zaiste, w historii lata nie mlékiem i miodem płyną; ona nie jest sielanką. Pierwszy syn pierwszego człowieka był mordercą, zabił brata. Każda odmiana, każdy krok, który czyni historia w swęj drodze po przez stulecia, opłacany bywa niesłychaną boleścią i zgruchotaniem milionów ludzi; a przeziłość iście w dziejach świata tchnie na nas jakby wielki grób, w którym pochowane zabite pokolenia bez końca, kości ludów pomarłych wśród mąk strasznego skonu.

Iście historia ludzka jest krwią i łzami pisana; a czyliż owi sędziowie filozofii i w historią nie wierzą, i nie wierzą w postęp rodu człowieka? a czyliż również dla tego, iż się ona ciągle odmienia, że w niej niema nic stałego, historia ma być jedynie igraszką i zbiorem krwawych anekdot? czyliż oni rozumieją, że ród człowieczy stworzony jest na pomiotłę lada zachcenia ślepego losu i na drwiny bezmózgłego przypadku? Zaiste, — wartożby było, aby historia taką żyła na świecie i ród ludzki istniał! Więc gdy w każdym człowieku instynktu głos przemawia, a potwierdzony religią, że jest Ojciec na niebie, będący mu tarczą ode złego, do którego mu się modlić wolno, przed którym wyplakać się może, i że biędy, jakie go w tutejszém życiu spotykają, są nawiedzeniem nieba, uświęcającym go do przyszłego nieskończonego szczęścia; a jeżeli wierzymy, że historia naturalna, ta historia bydlat, krzewów i kamieni, spoczywa na podwalinie najwyższego rozumu i wiekuistych jego praw, czyliż tak trudno im uwierzyć, że ten krwawy trud ludzkiego rodu nie jest daremny, że opatrne oko Boże świeci nad historią i drogami jej, i że owe wielkie przemiany i przeobrażenia umysłowego świata są jedynie okupieniem wyższej doskonałości, uwolnieniem ducha z zuzelic, i stopniami do tronu własnej jego godności? Kto ma sam zacność w so-

bie, ten isticie i szanuje zacność czlowieczego rodu, i wierzy w udoskonalenie jego ciagle, wierzy wiec w jego postep bez konca. Kto zas zycie swoje trawi jako slepy slimak w ciemnosci blota morskiego, ten nie doslyszy wolania burzy grzniacej, jak Bog od czasu do czasu zatrzesie swiatem; a gdy rozkolysana fala dziejow ludzkich wyrzuci na brzeg slimaka, on sie dziwi, ze jest jakies slonce i jakis dzien na swiecie.

Tak jak historia, jak kazda wyzsza umiejetnosc, filozofia jest dzielem umyslowej potegi a nie dowolnej fantazyi czlowieczej. Bo nie tylko w lomocie i rodzeniu sie państw, w padaniu sie fundamentow ich, lub na pobojowisku wojen, duch zyjacy i rosnacy w historii znac o sobie daje, ale on pulsem bije i w cichej robocie umiejetnosci i w tajemniczzej pracy rozumu. Gdyby ci, ktorzy tak na filozofie powstaja z powodu, iz ciagle nowe filozofie sie rodza, rozpatrzyli sie nieco w umiejetnosci tej, o ktorej tak skorze sadza, juzby byli obaczyli, iz co innego sa filozofie, a co innego filozofia. Wszystkie filozofie razem wziete stanowia dopiero filozofie, bedaca prawda i gruntem wszystkich systematow pojedynczych; maja sie one do niej, jako czesci do swojej calosci. A jako w zyciu czlowieka zadna godzina i dzien, jako w zyciu ludow ani rok ani stulecie nie jest straconem, ale gra w swej przyszlosci jako pierwiastek zycia, tak i przeszle filozofie zawsze znajduja sie w tej, ktora jest ostatnia; i co w nich bylo wyplywem czasu, wieku, lub pietnem jakiego narodu, albo co bylo marzeniem pojedynczego czlowieka, odwiane jest z nich jako plewy, a co w nich jest prawda ogolna, zostalo. Badz pewien, ze gdy dwa systemata przeciwnie sobie wystepuja z soba do walki, ten proces rozstrzyga pozniejszy trzeci i przyznaje, komu sie nalezy slusznosc, albo laczy oba w jedno, okazujac, iz oba mialy slusznosc, ale sie zapatrywaly na rzeczy z dwuch stron przeciwnych. Dla tego zawsze system ten, ktory jest wlasnie ostatnim, zawiera w sobie wszystkie poprzedzajace. Historia filozofow jest ksiega i systematem filozofii, w ktorych oddzialami sa wieki i narody, w ktorej Confucius i Thales napisali pierwsze stronnice, a Kant i Schelling ostatnie.

A jezeli isticie tak sie rzeczy maja, jakiemze prawem sie dzieje, ze tak czesto spotykamy w swiecie ludzi, tak malo sobie wazacych prace, mysli i rozum wiekow, iz mniemac moga, ze to jest wierutna bajka, czemu sie poswiecal lub za co zycie dawal duch, jak Sokrates, Plato, Arystoteles, Leibnitz lub Newton? I jakiem czolem mozna lekką mowa lub hajdamackim obyczajem poniewierac trudem ludzi poteznego umyslu i wielkiego serca, co, zrzekajac sie samochcac rozkoszy zycia, porzucali chetnie wszystko, co swiat ma powabnego, zamykali sie sam na sam z Bogiem i z trudem swoim, by myslec i pracowac za innych; a tak obierajac sobie dobrowolnie niedostatek fizyczny i niosac sily ciala i czerstwość wieku, i ochote rozkoszy, milosci prawdy w ofercie, zycie swoje kroplami jej poswiecali, gdy

tymczasem tak łatwo znaleźć ludzi, którzy sami o sobie tylko myśląc, siebie tylko kochając, gonią za zyskiem pieniężnym, lub za płochemi życia uciechami.

I u nas, lubo coraz rzadziej, znajdziesz niekiedy zdania o rzeczach, o najważniejszej w życiu treści z ust i od pióra ludzi, o którychbyś rzekł, że się upili za króla Sasa i dotychczas się nie wytrzeźwili, i takie to ich zdanie o filozofii. Filozofia zdaje im się być karczmą żydowską, do której lada kto wpadnie, burdę robi, okna powybijają, zelży arendarza i wyjeżdża drugą bramą.

Teraz, gdy ci już oznaczył i istotę sztuki pięknej i stosunek jej do filozofii i religii, proszę cię, chciej się na chwilę zatrzymać myślą na tej drodze, i rzucić oczyma wstecz na treść wszystkich listów poprzednich. Myślę, że usprawiedliwisz wszystko, com w nich powiedział. Zwracam zatem tylko uwagę na niektóre najgłówniejsze rzeczy, będące podstawą wywodu naszego. I tak: w drugim liście rzekłem, iż obudzone upodobania w sztukach pięknych uważam za oznakę uduchownienia się czasu; boć gdy się zrodzi upodobanie dla sztuk pięknych, już duch technie na materję i życie zmysłowe i uszlachetnia je sobą, wprowadzając pierwiastek wiekuisty w przemijające chęci ludzkie. Również tam znajdziesz wyrażenie, iż istotą sztuki jest prawda we formach zmysłowych, bo prawda i nieskończoność jedno znaczą; — co skończone ma swój początek w czémś inném; bytność jego zależy tedy od czegoś innego, może być lub nie, o prawdzie zaś nie można powiedzieć, iż może być lub nie, bo jej bytność jest konieczną. Nadto, co jest skończone ma koniec swój, nie istnieje tedy dla siebie, ale dla czego innego, które się z niego rodzi, a zatem też co skończone nie może być prawdą, bo prawda sama w sobie stoi, i sama sobie jest celem. Nieskończoność, ta prawda żyjąca w sztukach, jest nieśmiertelny duch człowieka, duch od Boga wiany, który w nim żyje, będący ze wszechrzeczy stworzonych sam jeden prawdą. Jeżeli zaś sztuki mają źródło w nieskończoności człowieka, i objawiają mu istotę jego nieśmiertelną, więc płyną wprost z istoty jego, są tedy czémś dla niego koniecznym, są bo są, i być muszą celem siebie samych, i krom siebie nie mają celu (*List II*). Już bez dalszego wywodu zgodzisz się teraz na to, iż piękność składa się z dwóch pierwiastków, z dwóch stron do siebie należących: bo z formy zmysłowej i z ducha, czyli nieskończoności, objawiającej się w materialnej formie sztuki. Istota takowa sztuki jest zawsze jedna, zawsze też sama i nie zmienia się nigdy. Ale gdy każdy naród i wiek o tyle tylko nieskończoność wyjawić może, o ile ją pojmuje, i wyjawia ją tak, jak ją pojmuje, i w tych formach, na jakie go stać, więc też formy piękności bywają rozmaite, i co do narodu i co do wieku, a ta różnaitość stanowi *Historję sztuki*. Jest tedy jeden pierwiastek w sztuce wieczny, zawsze jeden i ten sam, a drugim jest ta forma przemieniona i przeobrażająca się ciągle. Przecież ta forma

powinna być zawsze godną onej niezmiennej swęj istoty, zatém nie każda forma może być stosowną dla wyrażenia piękności.

Umiejętność, teorya, lubo sama jedna nikogo mistrzem nie utworzy, wyjaśnia nam istotę sztuki i rozwija rozmaite wyjawienie się jęj w czasie i u różnych ludów.

Widzieliśmy wyżej, iż sposób wyjawienia się nieskończoności przez sztuki gaśnie i ginie obok nieskończoności, którą nas objawiona religia oświeca; więc téż nie dziw, iż od chwili, gdy wiara zajaśniała nad światem, sztuki straciły wagę swoją. Grecy byli właśnie ludem najwięcej uduchownionym w czasach przedchrześcijańskich; gdy atoli jeszcze na nich nie spadł promień religii zbawienia, pojmowali Bóstwo jedynie sposobem zmysłowym; te formy zmysłowe uduchownili, połączyli ducha i materją, i tak stworzyli piękność. Piękność była dla nich bóstwem. Bogowie zapełniający Olimp mieli naturę ludzką z całą krewkością jęj; gdy atoli ona miała być nieskończonością zarazem, więc duch uroku piękności nadziemskich wylał się na ich formy, a estetyczność odziała ich szatą pełną poezyi. Ale gdy na Golgocie wielka tajemnica się spełniła, Panteon stanął w płomieniach, bogi jego marmurowe, będące tylko pięknością samą, spadły z podnóżów swoich, ko już nieskończoność nie w postaci zmysłowej rozosobnionych bogów, ale w przybytkach wewnętrznych ducha znać o sobie dawała; sztuka nie wystarczała téj prawdzie, której się człowiek dorobił. Duch ludzki wyrósł ze sztuki, przerósł ją, a na miejsce ubóstwiania piękności nastąpił sąd o nią — a ten sąd stworzył teorię sztuki, której powołanie dopiero co skreśliłem (*List II*).

Jeżelim powyżej (*List IV*) dowodami zkądinąd wziętemi dowiodł, iż sztuka nie jest naśladowaniem natury, teraz prawda ta wypłynie nam już ze samej istoty sztuki. Bo gdy sztuka jest wyrażeniem nieskończoności ducha, a gdy nieskończoność ta nie wyraża się w jestestwach natury, więc się téż nie wyrazi w ich kopiach przez sztukę utworzonych. Ze stosunku sztuki do religii i filozofii, wyłożonego w liście niniejszym, przyznasz mi, iż miałem słusność, gdy nazwałem sztukę piękną pierwszą nauczycielką ludów (*List II*); bo gdy człowiek najprzód jest zmysłowym, nim duchowym się staje, więc téż łatwiej mu ujrzyć nieskończoność we formach zmysłowych sztuki, niż we formie duchowej wiary jak w religii, lub we formie duchowej myślenia jak we filozofii.

Jeżeli tedy jest pewną i niezaprzeczoną prawdą, iż sztuki piękne są koniecznym wpływem nieskończonej istoty człowieczej, więc téż już widzisz całą płytkość i zbyteczność onych zachodów, pragnących koniecznie zgadnąć, jakim sposobem sztuki były wynalezione. Powiadają np. postać luba kochanki rysowała się cieniem po ziemi, oblubieniec obwiodł go krechę i malarstwo się zjawiło. Tam na skorpupie żółwia naciągnięte struny miały zrodzić lutnię, ówdzie znów ludzie zaczęli mieszkać w jamach wygrzebanych w górach, później

na dwóch żerdziach widlowatych zaczęli trzecią, a tak niby wynaleźli architekturę.

Tak wielu buduje fantastyczne domysły, serdecznie żalując, iż sposobność minęła podpatrzenia sztuki w zarodzie jej pierwotnym, w chwilach, gdy puszczała blade kielki swęj przyszłej okazałości. Lecz na Wschodzie i w Helladzie czas ten zapadł niepowrotnie we ęcie odległej przeszłości. Europa nowożytna, dziś tak harda swoją mądrością i bogactwem, zasiadłszy na świata całego stolicy, zapomniała on czas twardy swojego dorobku, i z góry już się patrzy na chwile, gdy jeszcze okryta czarną puszcza, ze zwierzem i własnem barbarzyństwem o życie walczyła, gdy każdy, sam sobie artystą będąc, zastępował bóstwa posąg źle struganym pniakiem; ku ozdobie swojej twarz i piersi malował różnobarwnemi krechami, i chodził do bobra uczyć się architektury. Ameryka jedna bliżej była dziecięctwa swojego, gdy do niej Europa zawinęła; mądrze badana byłaby może dziwne rzeczy o sobie wypowiedziała, a kto wie, może nawet w jakiej rozochoconej i rzewnej chwili byłaby zanuciła dawną piosenkę kołobki swojej. Ale Europa za pierwszym się z nią poznamieniem, rabując złoto jej, wycinała żelazem, jak teraz dobijając morduje ją wódką swoją. Życie tych ludów-bohaterów świetniej jeszcze może płynęło, niż onym pod Troją mężom, lecz skoła jak długa Epopea, która nie znalazła Homera, której nikt nie dosłyszał, nad którą nikt nie zapłakał. Ludy te, umierając w głuchych lasach swęj ojczyzny, jednemu Bogu przekazały księgi żywota, pieśni i cierpien swoich, i złożyły je nad gwiazdami u podnóża tronu jego. Garstka pozostała tych ludów wlece dziś to spodłone życie, goniąc za zwierzem jako za monetą, dającą im w zamian trunek, jedyny dar, jaki im cywilizacya europejska w upominku przyniosła; u nich już i własnego imienia się nie dopytasz. Tam w głębokim zachodzie, na zatyłkach Ameryki, ukrywają się wprawdzie szczątki dawnęj świetności, ród staręj daty, ale i te rozsypańcy przemina ustami niememi i znikną, nim się Europa do nich przebierze. Mamy się przecież czem pocieszyć i wynagrodzić straty, bo stary planeta nasz, jakby zbiór różnych osobliwości, przechowuje nam wszystkiego po kawałku; znajdziesz na nim zawsze każdy stopień cywilizacyi, każdy gatunek biędzy i nędzy ludzkiej w jednym najmnij egzemplarzu. Chcąc chwycić naturę na gorącym uczynku i obaczyć jak sobie ludzie wynajdują sztuki piękne, estetycy nie mają czego koniecznie udawać się do Azji, co w zgrzybiałości swojej już zdzienniała i przebajała żywot swój, ani do czerwonych Amerykanów, ani potrzeba im gawędzić z Tacylem lub Cezarem o młodej barbarzyńskiej Europie i jej sztukach. Mamy tuż niedaleko, bo pod okiem Egiptu, naród będący jeszcze zupełnie w rękach natury, a nadający nam się dziwnie dobrze na przykład; bo gdy rozprawiać o wynalazku sztuk pięknych najczęściej o architekturze i początkach jej wspominają, naród ten od lat tysiąców zachował tę biedną pierwiastkową architekturę swoją.

A godzi się tu byśmy się całemu teatrowi żywota jego przypatrzyli.

Jakoż pożegnawszy ostatnie śnieżne turnie Abisynii, onęj Szwajcaryi afrykańskiej, usłyszawszy, i po raz już ostatni, śpiewy jęj rześkich górali, gdy wędrowiec spuszcza się stokiem zachodnio-północnym ku poniżom zapadłej Afryki, widzi pod sobą rozwleczone niezmierzone borów szmąty; ku nim przewalają się wody abisyńskich Alp i w nich przepadają; ale skwarne bory wyziewają je na powrót wilgotną strzeżągą, co mglistą płachtą wiecznie nad knieją zawieszona, jakby tajemnicą pokrywa ten świat, którego przebyć nikt jeszcze się nie ważył. Jestto kraj, czyli raczej bezmierna puszcza Kolla. Załedwie zstąpisz do onęj kniei, a już jęj pomroka nocna, niby ciężkie marzenie, otacza cię strachami w koło. Ciżba pogmatwana drzew ogromnych i krzaków zasłoniła niebo i ziemię; tu promyk słońca nie zabłądzi. Zielska, ciernie i trzciny olbrzymie pchają się od ziemi, chwytając i dławiąc się nawzajem. Strop lasu, uwity w gęste sklepienie, jakby wiekiem ciężkiem przywala naturę, a powietrze, jak w szklarni gęste, duszne, gorące, zatyka dech i niby kamieniem ciąży na duszy. Wśród cieniów głębokich kałuże i bagna zepsutęj wody, najeżone plugawem zaroślem, odziane zielonym kozuchem, dyszą jadowitą parą, zgniłą gorączką, zarazą i febrą. Często na tych wodach coś pluśnie, strzeli; są to igraszki kąpiących się krokodyłów, lub wąż ogromny, co dęba staje i na zwiady modremi oczkami świat w koło przegląda. Tam znów jaszczurka sążnista muśnie po wodzie, lub kłęby skorpionów się zagmerzą, gdy tymczasem po drzewach swawolą hordy małp złośliwych, i swarzą się roje nieprzeliczone leśnego ptastwa. Przez gęstwinię sunie się to jelen, to dzik, to szakal zaświeci krwawem okiem w ciemnych krzewach, to znów usłyszysz jakieś szlochy, niby kwilenie płaczącego dziecka, jestto zgłodniała hyena, trupów chciwa; ale w dali gdzieś lew zagrzmiał, wołając na lwicę — i wszystko ucichło. Niekiedy znagła słyszeć trzaski i łomot roztrąconych i łamanych konarów wywracających się drzew; stado słoniów lub rozhukanych nosorożców toruje sobie gościniec przez puszcę. Indziej znów hurma dzikich bawołów rozjuszonych cwałem na oslep rzuca się gęstwiną, a za niemi suwa w pogoń wściekły ród lampartów, lub skoczna tygrysów zgraja. Ze strachem pierzchają szakale i hyeny, oniemiały małpy i ptaki, bo w głębi kniei już słychać niby grzmot głuchy, wycie i ryk i charkanie; — złowrogie drapieżcy dopędzili łupu swojego, a bój i mord się rozpoczął. A zdala szarzą się kłęby dymów, rozegrał się wichur, w puszczy gore; trzciny, drzewa i zarośle objęte ogniem, płomień syczy, wiję się po ziemi węzłem, lub słupcem stawa. Słyhać i głos niby ludzki. Niebawem zoczysz jakby mrowisko krzątających się Szangallów, płaskonosych Negrów o zapuchłych wargach, o kędzierzawych szorstkich włosach; oni gotują sobie plac na budowle swoje, wypalając w koło zarośla i trzciny. Zwinnością małpią zawieszają się na drzewach, przechy-

lają ich konary, wiążą je z sobą, splatają, i w chwili złożą strzechę potężną i nieprzebytą; tu i ówdzie podpięrają ją ściętym drzewem młodem, niby kolumną, i na nich rozwieszają, jakby pokrowce i makaty, skóry zabitych zwierząt, a tak strop i ściany domu gotowe; w każdym rogu ich mieszka. Wnet tak całe miasto staje. Toć jest ich architektura letnia. Dzień i noc bije płomieniem ognia na ostrach zwierzowi dzikiemu. Rybołówczy i myśliwy ród nie zna rolnictwa, ani pasterstwa nawet. Gdy zaś deszcze zwrotnikowe na puszcze spadną, gdy niemi wzdęte potoki z gór Abisyńskich las zaleją, gdy całe puszcze zamieniają się na bagno niezmierne, Szangalle opuszczają to miasto swoje i chronią się do samotnych gór, kędy sterczą strome ściany skał niedosiętych. Tu inny budownictwa rodzaj. — Bo z dołu na ledwie okiem dosięgłych wysoczyznach nieprzeliczone rzędy jam, jakby ulice wykute z wielkim mazołem w skałach piaskowca. Te jaskinie, wedle większej lub mniejszej liczby członków rodziny, są szczuplejsze lub obszerniejsze. Do tych mieszkań ciągną Szangallowie na zimę, jakby do stolicy swojej; tam żywią się tem, co przez lato zebrali: jedzą ryby, jaszczurki suszone, mięso z krokodylów i strusiów, i koni rzecznych, dla tego też nazywają się Hylo-elephanto-struthio-phagi, a to od najdawniejszych czasów, albo też od onych jaskiń swoich Troglodytami; tak ich nazywali starożytni, tak nowocześni. Gdy pora deszczowa przeminie, znów wracają do puszczy, znów po staremu wypalają trzcinę i zielsko, i zabierają się do budowania letniego swojego. Ta jednak letnia pora jest dla nich pełna trwogi i niepokoju; właśnie wtedy schodzą pogranicznicy im Abisyńczykowie z gór, wydając im wojnę na zabój; bo oni królom swym podatek ludźmi płacą; polują tedy na Szangallow, a ci bronią tych biednych chat swoich i dzieci i żon, jak zwierz broni strzelcom legowisko swoje i młode. Zaboje krwawe szerzą się po puszczy; kogo nie warto jeńcem w niewolę uprowadzić, bywa mordowany, czy to dziecko, czy kobieta, czy starzec. — Czasem Szangalla, cichaczem podszedłszy wojska abisyńskie, do nogi wycina wrogów kąpiąc się we krwi ich; a częściej zaraza okropna, typhus, wystąpiwszy z onych bagien, czepia się najeźdców, dławi ich i zabija w powrocie, a niekiedy odprowadza do samych chat góralskich i w nich rzuca śmierć i rozpacz. Odwróćmy się od tych obrazów pełnych ohydy, będących niby paszkwilem na naturę ludzką, i ogarniających myśl jakby czarnym złowrogim snem. Przecież jestto wiernym wizerunkiem człowieka drżemiącego w objęciu natury. Wielkie jednak światło rzuca ten stan pełen nieszczęścia na przedmiot nasz. Chcielibyśmy baczyć, iż ci Szangallowie od dwóch tysięcy lat żyją w onej Kolli lesistej — od dwóch tysięcy lat toczą się te tak krwawe, tak łzawe żywota ich koleje — i od tyluż lat taką mają architekturę; ona nie zmieniła się na jotę. Położenie ich i żywot zaiste nie nadają się, by były sztuk pięknych kolébką, ani też te ich chaty z gałęzi i skór, ani ich jaskinie i jamy nie są zarodem archi-

tektury; bo gdyby nim były, byłyby się przecież przeobraziły w długim ciągu dwudziestu wieków; bo gdzie się sztuki piękne zjawily, tam duch ożył, tam i on postępuje, rośnie z siebie i przeobraża się ciągle — a nie tkwi w miejscu.

Budowanie więc dla ochrony z prostej potrzeby fizycznej jest tylko rzeczą rzemiosła, techniczności, nie zaś sztuk pięknych, jest tekturą a nie architekturą, a zatem też w niem nie znajdziemy piękności zarodu. Architektura jako sztuka wtedy się dopiero zaczyna, gdy człowiek, krom użytku budowli, rad nią wyrażać jakąś myśl, nadać jej formę, przemawiającą o duchu jego. Dla tego budowla, dziełem sztuki będąc, zawsze składa się z dwóch stron: jedna jest techniczna, mająca na celu jej dogodność, moc, ochronę i t. d., a druga stanowi artystyczność dzieła. Sztuka używa onej techniczności za kanwę, na której rozsnuwa myśl swoją. Gdyby jamne Szangalle zdobili czémś owe nory swoje, gdyby im nadawali jakiś kształt, nie koniecznie wypływający ze samej potrzeby materyalnej, lecz z upodobania, z fantazyi, jużby tém wyrażały jakąś wewnętrzną potrzebę duchową, obok potrzeby ciała swojego, i wtedy też moglibyśmy słusznie powiedzieć, iż one jamy, jaskinie, są zarodem, choć słabym, sztuki. Budowanie jakiegokolwiek, mające li potrzebę fizyczną na celu, nie jest architekturą, ani początkiem jej, jak pociąganie kołorem drzwi, okien lub bryczek, nie jest malarstwem. Mała dziewczynka, przymierzająca przed zwierciadłem, to tak, to owak, chusteczkę swoją, lub wienieczącą się kwiatami — albo parobek krakowski, przypinający pawie piórko do czapki, bliżej są sztuki pięknej, niż one budowania urosłe ze samej potrzeby cielesnej.

Śledzenie tym trybem początku sztuki jest zupełnie zbyteczną pracą, i najczęściej pochodzi z mniemania, iż sztuki zostały wynalezione tak, jak to wynaleziono proch, sztukę drukarską i koleje żelazne; — ale bez prochu, sztuki drukarskiej i kolei żelaznych ród ludzki obstałby się wcale; jakoż długi czas żył nie znając tych tak wielkiej wagi wynalazków. Bez sztuki jednak ród człowieczy nie byłby sobą samym, bo one są wypływem jego wewnętrznej koniecznej istoty. Sztuki pięknej, tak jak i miłości i mowy, nikt nie wynalazł. Ludzie się kochali, nie czekając, póki im psychologowie z katedr wyłożyli definicyę miłości. A pamiętam, iż bawiąc w Berlinie, spotykałem się często z młodym cudzoziemcem, który tam także na nauki przyjechał; miał jednak nie mało trudności z językiem niemieckim; nie mógł sobie zwłaszcza dać rady z artykułami, i ciągle na nie narzekał; w końcu nalegał na mnie pytaniem, czyli ja przypadkiem nie wiem jak się zwał ów Niemiec, co jakby na jego biędzie *der, die, das* wymyślił, a mówił doprawdy. Factum historyczne. Nie jest dowcipniejszy, kto mówi o wynalezieniu sztuki.

Czas atoli bym ten list ukończył. Pomówiwszy tedy w liście przeszłym o istocie sztuki, a w niniejszym o jej stosunku do religii i filozofii, tudzież dotknąwszy, o ile słusznie o początku sztuk mówić

można, pozwolisz mi bym w liście przysłym kilka słów powiedział o stosunku sztuki do rzeczywistości i wyłożył istotę ideału.

Obaczysz jak teraz, opierając się na istocie sztuki wyłożonej w liście przeszłym, a wstępując w coraz ściślejsze szczegóły, znajdziemy potwierdzenie sposobu pojmowania rzeczy, wyłożonego w ogólności w listach dawniejszych; a będę też mógł, założywszy sobie fundamenta ogólnego rozumowania, pisać już zwięźlej, krócej i treściwiej, gdyż bez wątpienia już z łatwością mnie zrozumiesz.

LIST PIĘTY.

O Ideale.

Stosunek rzeczywistości do sztuki. — Przedmioty rzeczywistego świata nie mogą być żywcem przeniesione w świat sztuki. — Istota ideału. — Stosunek ideału do natury fizycznej. — Zkąd pochodzi szpetność pozorna niektórych jestestw natury. — Jestestwa pojedyncze, żyjące. — Okolica i pejzaże. — Pomniki historyczne.

Szata i draperya. — Figury dramatyczne. — Obrazy hollenderskiej szkoły. — Adryan Brauwer i Jan Steen. — Stachowicz. — Paweł Kock. — Kraszewski. — Boz. — W wyższej sferze ideału rzeczywistość mniej jeszcze wystarczyć może. — Słowa Rafaela. — Zdanie Cyncerona o Phidiasie. — Boleść bez granic nie ma miejsca w ideale. — Oedipus w Kolonos Sofoklesa. — Romeo. — Dwa obrazy Girodet'a — zastosowanie rzeczy, tej do komiczności. — Don Quixote. — Damy i Huzary, Poeta i Odludki Fredry. — Trzy sfery ideału.

Czyli znasz widok z Wawelu ku stronie Bielan naszych? Czyli wpatrywałeś się kiedy w ten obraz, pelen bogactwa i czarodziejskich uroków? Natura tu zaiste, w swych szatach niedzielnych, przybrała się w co miała najstrojniejszego, a tak ję też dobrze i ładnie w tych sukniach, świetnie wyszywanych i lśniących świeżością i barwą, iż kto ją raz obaczy, już ona mu się na wieki w sercu zapisze. Tu z nieba spadły wszystkie natury piękności i otoczyły siwy Kraków gęstym wiankiem nigdy niezwiędłych kwiatów. Tu dziwnie się splatają powaby różnaitości pełne, bo przy sobie znajdziesz i zuchwałe butne góry, czarnym borem poważne, i wzgórza łagodne urosłe w kształty pulchne i miękkie, i wyteżone rozłogiem niezmiernym błonia majowe, i gołe ściany skalne, dąbrowy bukietami po równiach porozrzucane, kraj rozwinięty kobiercem haftowanym w warcabnicę zbożnych łąnów. Rusza się i migocze rozbiegły ród topoli srebrnych, powiewnych wierzb, sosien dumających i męzkiego hartu dębów. — Osiadły też tu ciżba, wioski i pałace, klasztory i dworki, strzechy i wieże, a radując się pełnem sercem, oddychają tym cudnym Bożym światem. Natura tak pełną garścią obsypała tę Obiecana Ziemie darami swojemi, iżbyś mógł trzy, sześć, nie wiem ile osobnych obra-

zów z widoku tego wykróić, a każdy byłby inny, a każdy cudnego wdzięku; byłoby nas stać nie jedną jałową stolicę ubrać, ozdobić, a jeszczebyśmy nie zubożeli wcale. Tu drzewa i ptaki, potoki i zwierzęta, góry, ludzie i dzwony śpiewają weselem; ale już primadonną tej wielkiej opery Natury jest Wisła, co od lat tysięcy falami swojemi nuci nam tę samą, jej niesprzykrzoną nigdy, a nam zawsze drogą pieśń swoją. Ona też jest królową obrazu; długim, posuwistym taniem zwija się poważnie, uroczysto, a ucałowawszy Wawelu stopy, narzeczona Bałtyku, pośpiesza w objęciu kochanka. W dali, kędy już niebo schyla się ku ziemi, srebrzą się niby obłoczne twierdze, Tatrów grody, stojące na straży u chmurnych wrót, i wedle łaski swęj wypuszczają na nas to pogody i sloty, to burze i powódź, susze i grady; atoli zdradza je własne ich dziecko; bo gdy nam jakie biedy gotują, już zeskakuje w równie z kosą i kozą suchy i chybki góral, i wszystko na te Tatry swoje wygada, i wróży, i przestrzega, i straszy — a rzadko mu się zmyśli.

Otóż wczoraj, właśnie pod sam wieczór, znów zaszedłem przechadzką na ulubione miejsce moje; tą razą zupełnie było głuche, samotne. — Bo też dzień cały był pochmurny, posepny, i od rana już płakał dęszczykiem gęstym, drobnym. Obraz cały, zwyczajnie tak przejrzysty, jasny, teraz zachmurzony, tęskny, szary. I niebo, jakieś nierade, rozwlekło po sobie jednostajną siwą płachtę. Wisła dziś smutna płynęła od niechcenia, a ziemia, w nudach swych oddychając mokrą parą, wiązała ją w kłęby, w potworne straszdyła, co goniąc się po równinie błoni i polnych obszarów niekiedy przebiegały Wisłę i mieszały się z ciężkim, brudnym węglanym dymem ognisk palących się na galarach. Cała natura, ziemia i niebo zakopcone. Co bliższe, było jednostajne, jakieś zaspane i krzywe jakby chore dziecię; co dalsze, zachuchane, a odległość ostatnia złęwa się w niepewnych zarysach. Cały ten obraz, tak cudny, oślepl. Widok, zwyczajnie tak szeroki, rozłożył się, podzielił się mgłą na drobne części, z których każda zosobna siebie tylko widząc, w sobie się kurczyła, na sobie przestawała samolubnie, i wołała być ułamkiem biednym, niż częścią wielkiej całości. Dwie osiki pode mną potrząsając obwisłym liściem, ciągle czegoś kiwając głowami ku sobie, szumiały i gaworzyły z sobą niby dwie kwaśne kumy o kłopotach domowych — a tam ku biskupiemu pałacowi, ona cała linia topoli, niby jakieś wojsko zaczerowane stoi jednostajnie sprzykrzone i ckiwe. Niekiedy, gdy zkądciś powiew cwałem przyleciał i szepnął coś pierwszój, ta szumiąc obruszyła się i pochyliła ku drugiej i szepnęła, a ta następnej, a tak dalej i dalej w okamgnieniu cały ich szereg jakby podziwieniem zadygotał, zaszumiął, kropnął, pochylił się, szepnął i zamruczał, i znów umilkł, i znów wyprostowany nudził się i ziewał; byłyby się pewnie wszystkie te topoleabrały i poszły, gdyby miały jako i gdzie.

Nie daleko ode mnie stały trzy zaszargane wrony; strój ich szary, sponiewierany, zmietoszony; ogonami zwrócone do siebie, dając się

milczały w najgorszym humorze. Nakoniec zegar z wieży zamkowej srebrnym głosem zadrżał w sobie tęsknie, przeciągło, wywołał ko-nającą godzinę. Zerwały się skrzydlate tony niby duchy umarłego czasu, i rozleciały się po mokrém powietrzu na wsze strony; lecz ocieźiałem i zamoczoném piórem jedne spadły i utonęły w wilgotnym grobie Wisły, inne zapewne musiały dolecieć nad miasto i przebudzić drżemiące tam zegary i dzwony; bo przecież po chwili wieża ratuszna ocknęła się, ziewła, odstękała godziny swoje, a głos jój tak płaczliwy, przewlekły i chrapiący, iż znać, że jój w dwójnasób ckliwo przy tym słotnym czasie, bez onego ratusza swego, wiernego małżonka, a towarzysza z dawnych lat, co go zabił wandalizm czasów naszych, a ciągle téż ona, do dziś dnia wiernie strzeże tych z niego kamieni, co jakby kości jego złożone są u stóp jój. Wtém dzwonnica maryacka, kompana jój z przeszłego żywota, jakby głosem świątnicy przemówiła potężnym dzwonem pocieszając wdowę; raz jeszcze odpowiedziała szlochami ratuszowa, raz jeszcze maryacka — i znów wszystko ucichło. Od dziecka nasłuchiłem się dniem i nocą tych wież rozmowy, nigdy atoli ich wyrazy nie zdawały mi się tak ję-kliwe, rzewne i tęskne, jak właśnie w téj chwili.

Gdy wszystko około mnie tak było zaspane, dásające się, oso-wiale i krzywe, nie dziw, iż mnie samemu ciężko coś a ckliwo na duszę padło, rad byłem wrócić do domu. Zstępowałem zwolna z góry, w ziemię się patrząc; podobno myślałem, coby ci w tym liście napisać i jakby wedle przyrzeczenia mojego najwyraźniej wyłożyć stosunek sztuki do rzeczywistości, gdy nagły blask uderzył oczy moje. Spojrzałem około siebie, a tu mury zamkowe, kopuły kościo-łów i domy miejskie oblane rumianą luną. Coś osobliwego się świę-ciło, spojrzałem nad siebie, a niebo gore! Wróciłem co tchu na miejsce moje ulubione. Gdybyś to był ze mną był i widział, co się teraz działo! Jeżeli mały chłopczyzna coś zbroi, a matka w udanym gniewie nie przymili się do niego zwykłym uśmiechem, dziecię smutne i ciche; lecz gdy wieczorem chłopczyzna do pacierza i snu się za-biera, a matka żegnając ulubieńca przytuli do serca, pobłogosławi i ucałuje, dziecię zapłonie radością na twarzy i w sercu uszczęśli-wione usypia, marząc o aniołkach, o kwiatkach i raju; tak słońce cały dzień zachmurzone, niewidzialne, teraz przed nocą, gdy ziemia do snu i pacierza się miała, spojrzało na ziemię i, odziane wszystkim majestatem, tonęło zwolna z nieba zstępując jakby jaki świat w pło-mieniach. Opłynęły je wielkiem półkolém obłoków drobnych głowy, jaśniejące żarem rozpalonego złota, niebiańskiej stolicy dworzanie. Nad niemi piętrami kipiały fantastyczne budowania, jakby twierdze, pałace i miasta nadpowietrzne, zajęte ponurym ogniem i pałace się wszystkimi tęczy barwami; a z dala ciekawie przyplływały, niby okręta z wzdętym żaglem lub niezmierne orły śnieżne, olbrzymie obłoki ze złotym rąbkiem, a z drugiej strony zalane głębokim cie-niem miedzianym, ciągnąc za sobą długie, wązkie, chmur smugi. Tu

i owdzie, poprzez rozstapione obłoki, na najwyższym nieba stropie zatlily się już bladym światłem gwiazdy.

Gdy tak niebo, całym przepychem swoim strojne, obchodziło uroczyste nabożeństwo wieczora, ziemia, wtorując jój chórem, zaświeciła weselem swych błon, lasów, gór i wodnych zwierciadel. W naturę wstąpił odmłodnionego żywota dech; przebudzone jój barwy roz tuliły oczy, patrząc się jasnym, czystym spojrzeniem; postacie wszystkie wyskoczyły z zamglonej opony, rysując wyrazisto, ostro i śmiało kontury swoje; znikła mgła, co je rozdzielała na samolubne części; cały obraz przejrzał i jedną wielką złożył całość. A poświata wszystka czarodziejskiem stopniowaniem rozplywa się po przestrzeni beżmiernj; światło odegrywało tu całą gammę swych tonów, bo zaczynając w najbliższych miejscach uderzało z razu w silne światła i niskie a potężne cienie, a oddalając się przechodziło w tony wyższe gasnąc zwolna, a ostatnie tło obrazu obléwało drżącym łagodnym promieniem. Wpatrując się teraz w Wisłę świetną, żarzącą się nieba ogniami, rzekłbyś, że ona jest szeroką ziemi szczeliną, że ziemia na wylot pękła, żeś ją wskroś przejrzał i w zawrotnj głębi przeciwnożne niebo w ogniu obaczył. Cała natura zadrgała życiem; odetchnęły radośnie zwierzęta, ptastwo, ludzie i rośliny.

Stałem zadumany, porównywając czarodziejstwo tój natury z tém, czém ona była przed kilku chwilami. Co za różnica! te dwa obrazy miały się do siebie, jak doczesność do wieczności, jak biedny nasz żywot do rajskich rozkoszy, jak uboga mowa ludzi do śpiewów anielskich, — jak chłodna proza do poezyi cudów, jak *rzeczywistość do sztuki!*

Zaiste — tém słońcem, co spojrzeniem swém budzi żywota potęgą świat, co wyléwa czarodziejstwa urok na ziemskie padoly, a płosząc mgły doczesne, rozszerza ciasne rzeczywistości szranki, okazując nam wszechświatów cuda w ogromie majestatu swojego; — tém słońcem, co spojrzeniem swoim ziemię na niebo przemienia, jest sztuki piękność i mistrza wszechmocne tchnienie. Nie darmo to na Hellenów Olimpie Phoebus, sztuki pięknej bóg, prowadził słońca wóz jasnym, wiekuistym po niebie gościńcem.

Rzeczywistość traci ziemską i ułomną swoją istotę, gdy na nią spłynie niebiańska łuna sztuki. Ale do rzeczywistości należy także natura, czyli ten świat wszechstworzeń, który nas otacza, jak i te całe dzieje, co biją falą codziennych wydarzeń, owe stosunki społeczne i moralne, nieodstępne towarzysze człowieka na drodze doczesnego życia. Człowiek samém urodzeniem swoim oddany jest rzeczywistości potędze, co go ciśnie, jakby czynieniem, władzą swoją. Lecz gdy sztuka zaświeci jasnym okiem, oczynienie owo znika, a ducha swoboda się zbudzi i wzmoże się uznaniem własnej zacności.

Stosunek rzeczywistości do sztuki wypływa sam przez się z całego powyższego wywodu naszego. Bo już w jedném miejscu starałem się okazać, iż sztuka, będąc wolną ducha córą, nie jest natury

naśladowaniem (*List IV*), później zaś (*List VII*) wyświeciłem, iż jak natura, tak też wszystkie stosunki towarzyskie, prawa, moralności, obyczajów i t. p. nie mogą być nieskończoności ducha wizerunkiem, i że nie mogą tedy być żywcem w sztukę przeniesione. Z tego już widzimy, iż rzeczywistość pod żadnym względem nie może być dla sztuki pięknej wzorem. Wypada nam więc oznaczyć jedynie jeszcze w bliższych szczegółach mienie się sztuki do rzeczywistości.

Jeżeli duch ma oglądać, jak w zwierciadle, nieskończoność istoty swojej w dziele sztuki, w postaci zmysłowej, więc też postać ta, choć z rzeczywistości pożyczona, winna być uwolnioną od skazy doczesności wszelkiej, i z pyłu ułomności ziemskiej, winna być przejrzana ducha poświęcą; bo rzeczywistość, postawiona na wysokościach obłocznych sztuki, już nie istnieje dla siebie ale dla ducha, jest tylko dla niego środkiem, aby on się zmysłowo wyjawiał; ona jest dla ducha świecznikiem i lampą, w której wiekuistość jego goreje. Prawda ta jest pełna wagi, dla tego chcielibyśmy dokładniej ją zrozumieć, bo z niej wypłyne, jakby ze źródła swojego, cały wątek następnej osnowy naszej.

Uważ dobrze, co się dzieje z przedmiotem rzeczywistego świata, gdy go do sztuki przeniesiemy. Wszak każdy przedmiot takowy, rzeczywisty, — czyli to on będzie jestestwem natury, jako np. postać człowieka, zwierzęcia, okolica i t. p. czyli to będzie przedmiot wzięty ze stosunków społecznych i obyczajowych, a przeniesiony w obraz, lub tragedję, komedję, powieść i t. d., zawsze on będzie częścią rzeczywistości, z którą jest ściśle połączony, jest jakby tylko jedną nicią wplecioną w całą tkanicę natury i społeczeństwa. — Tysiące stosunków i węzłów łączą go z ogółem, z tą rzeczywistością, do której należy, i dla tego też on na sobie nosi cechę swęj istoty ułomkowej; znać po nim, iż on sam nie jest całością, ale jedynie częścią jakiejś całości, i ta to cecha jest piętnem doczesności jego. Taka jest istota przedmiotu w rzeczywistym świecie. Jeżeli zaś ten przedmiot przeniesiony będzie w świat sztuki, wtedy się też wskrósze przeobrazić winien; bo skoro on, jakem powiedział, nie istnieje już wtedy dla siebie, ale istnieje dla objawienia się ducha, więc ta jedynie strona jego istoty będzie miała znaczenie, co temu objawieniu się ducha służy, wszystko zaś inne, jako już nie mające wartości, z niego spada i ulatuje. Znikają tedy z przedmiotu wszystkie przypadkowe znamiona, wszystkie drobne i bezważne cechy, będące skutkiem związku jego z rzeczywistością, a gdy jego przeznaczeniem jest, by nie rzeczywistości tej służył, ale ducha był wyrazem, więc też zrywa te wszystkie nitki, łączące go ze światem rzeczywistym, odłącza się przedmiot od niego, staje się niezawisłym — nosabnia się, zakończy w sobie. A lubo zachowuje istotę swoją indywidualną, przecież przestaje być częścią i ułomkiem rzeczywistości, i sam przeobraża się na całość duchową, na jedność zupełną. Przedmiot tak przeobrażony, postać tak uświęcona jest *ideałem*.

Ideał tedy, wyobraźnikiem ducha będąc, tyle zaiste tylko w sobie zawierać winien, ile potrzeba do objawienia ducha; winien być tak całością, jednością osobną, jak duchem, który o sobie w nim znać daje. W ideale właśnie jest pogodzenie rzeczywistości i ducha; te dwa bieguny spotykają się z sobą na pół drogi i zlewają się w jedno, oba się równoważą.

Rzeczywistość zmysłowa nie przechodzi bynajmniej żywcem w świat piękności, bo w takim razie dzieło sztuki nie byłoby całością, jaką jest duch, ale jedynie ułamkiem biędnym, niedostatecznym, jakim jest każdy przedmiot rzeczywisty, a sztuka byłaby wprost kopiowaniem szczerzej rzeczywistości, co być nie może, jako już wyżej rzekłem.

Znać tedy, że ta rzeczywistość, mając się stać ideałem, winna być przerobioną, przetopioną przez ducha.

Z drugiej strony pierwiastek duchowy winien naprawdę przybrać na się ciało zmysłowe; bo zważ, że bez tego ciała sprawa ducha naszego byłaby li myśleniem, byłaby mową prozaiczną, bo w takiej mowie duch objawia się bez ciała, bez szaty.

I dla tegoż to ciało, które ma być objawem ducha w ideale, nie może być czémś tak ogólném jak myśl, jak mowa prozaiczna. Zważ, kiedy mówimy: człowiek, drzewo, dąb i t. d., toć zaiste nie mówimy o żadnym człowieku w szczególności, o żadnym drzewie w szczególności, ale mówimy ogólnie, więc wyrażamy rodzaj człowieka, dębu i t. d., ale rodzaj to jest ogólnik, jest abstrakcją, jest myślą. W rzeczywistości zaś nie widzisz (zmysłowo) nigdzie rodzaju, lecz widzisz jedynie szczegółowe, pojedyncze jestestwa, które do tego rodzaju należą, a rodzaj istnieje w głowie naszej; istnieje on wprawdzie i w świecie, ale nie dla zmysłów naszych, bo go trzeba dopiero dochodzić *myślą*. Wynika ztąd, że jeżeli w sztuce zechcemy wyrazić tylko takie ogólne, rozsądkowe myśli, już sztuka takowa nie będzie sztuką prawdziwą, lecz będzie abstrakcją, będzie dopiero symbolem, godłem, hieroglifem; jak na przykład dwoje skrzydeł oznaczają modlitwę, wąż skręcony w pierścień oznacza wieczność, trójkąt tróję, krzyż mękę Chrystusa Pana, łódź Kościół, jabłoń grzech pierworodny, i inne podobne znaki, które atoli przez zgodność ogólną wyrażają zwykle jakieś myśli i uczucia. Aleśmy już przy innej sposobności tracili w tę samą ośnowę, mówiąc o sztuce w ogólności (*List V*). Widzisz tedy, że gdy uzmysłowienie myśli, wyrozumowanych pojęć, nie jest już sztuką, więc w sztuce prawdziwej, w ideale prawdziwym, to jest warunkiem aby nie wyrażać pojęcia ogólnego rodzaju, ale pojedyncze, jedno pewne jestestwo, tak aby się zdawało jakoby ono było postacią z rzeczywistego świata wziętą, aby się zdawało, że dzieło sztuki jest niby wizerunkiem rzeczywistego jestestwa. Mówię *niby*, bo powinien być pozór, jakoby w ideale występowała rzeczywistość, ale ta rzeczywistość nie powinna być, że tak powiem, rzeczywistą; ta rzeczywistość winna być złudzeniem, to jest pozorem;

ona będzie owiana tchem innych światów; ona chociaż będzie indywidualną, żywą, będzie przecież odziana najwyższym nadświatnym urokiem. Tak tedy ideałowi właśnie chodzi nie o ogólną naturę ludzką, lecz o to, aby ta postać w rzeźbie, lub obrazie, albo poezji, oznaczała pewnego jakiego człowieka, lub jakieś pewne bóstwo, mające swój właściwy charakter, swoje własne piętno i indywidualność, różniące go od wszystkich innych, i aby się ten człowiek uwidomił, stał się cielesnie obecny czyli to w posagu, czyli malowany będzie pędzlem i farbami, czyli wyrazami jak w poezji.

¶ Tak tedy z jednej strony w ideale rzeczywistość przechodzi w świat duchowy, uniesiona jest do nieba piękności, a z drugiej strony duch zastępuje rzeczywistość, *niby* pożyczając od niej szat swoich. Ideał, jak widzisz, pozostaje przeto w środku między czystą duchowością a szczerą rzeczywistością, łączy te dwie sprzeczności w jedną. Chciéj dobrze zatrzymać w pamięci tę zasadę naszą; co tu jeszcze o ideale powiem, będzie jedynie jéj dalszym wątkiem i wyjaśnieniem tego pojmowania naszego rzeczy.

Patrz na posąg marmurowy, co z podnóża swojego, jakby naddziemskich światów zesłaniec, na nas się patrzy; wszak to niby postać rzeczywistego człowieka, rzekniesz może nawet, iż w naturze znajdziemy wiele kształtów ludzi podobnej prawie piękności i powabu. Wszelako posąg ten w swym uroku jest innéj urody niż koło ludzi stworzonych, bo jest wolnym od przypadłości wszelkich, obojętnych dla niebiańskiej piękności jego, a będących skutkiem ich natury cielesnej i doczesności przemijającej, której ulegają ludzie w padolach rzeczywistego życia zrodzeni. On od głowy do stóp jest duchem — uzmysłowionym, żywym; a gdy w rzeczywistych ludziach, choćby najwyższej urody, duch jedynie w obliczu się wyraża i w oczach ma stolicę swoją, w posagu tym duch wszędzie jest obecny, z każdej części patrzy tysiącami oczu, rozlany po całej postaci, drga i w kędziorach włosów i w rzemyku sandałów, a co doczesne, nieznane, spadło z téj postaci, niby głuche zwłoki, a co wiekuiste, wystąpiło na jaw, — więc téż i ta postać wywinęła się z objęcia znikomej doczesności, odosobniła się, zerwała związki z rzeczywistością, cała jakby ochrzczone w oceanie ducha. Podobnie gdy postać droga z dawnych czasów, przed wielu laty zmarła, w senném marzeniu staje nocném nawiedzeniem z innego świata przed duszą naszą, choćby zarysy drogiego oblicza i postaci żywo wskrzeszone, tak prawdy pełne, iż żadne przypomnienie na jawie wyrównać jéj nie zdoła, przecież wskrós przejęta jest przeobrażającą odmianą, bo z niéj znikły cisnące żywota biédy, i troska ziemską, co tłumi i więzi ducha swobodę, a przez całe zjawienie goreje i świeci zorza wyższego świata i nieznanym dawniej nieśmiertelności uśmiech. Postać stała się nieskazitelnym duchem, nie należącym więcéj do doczesnego świata, duch atoli zjawił się w postaci oznaczonej i pewnej drogiéj nam osoby. Przybrał na siebie ciało rzeczywistości uduchowionej.

Otóż dwa te konieczne pierwiastki, bo wzniesienie nad doczesność, to jest zerwanie stosunków z rzeczywistością, a zachowanie przecież indywidualności pewnej, oznaczonej osoby, są dwiema koniecznymi stronami ideału. Powiedziałbym, iż w ideale przedmiot rzeczywistości wprzód musi tracić ułomność doczesną, zerwać z rzeczywistością, umrzeć ziemską śmiercią, przejść niby przez czyszciec. duszy mistrza, zmartwychwstać bez skazy w piękności świecie, a tak odrodzić się ideałem (*obacz str. 34*).

Nie dziw tedy, iż wizerunki, portrety osób rzeczywistych, malowane nawet ręką celujących mistrzów, wydają się pospolicie jakby zbyt pochlebne, wszakże, jeżeli dzieło takowe jest godnym sztuki tworem, więc już mistrz nie pochlebiał wprost naturze. Bo upięknienie takowe nie wypłynęło z udania kłamliwej urody na obrazie, której w rzeczywistości nie było, ani z poprawienia spaczonych rysów twarzy, lecz raczej ztąd, iż mistrz przepuścił wszystkim onym drobnym szczegółom (np. włoskom, plamkom, marszczkom drobnym, piegom), będącym nieodstępnym znamieniem natury, a uchwycił właśnie tę stronę fizyognomii, którą duch o sobie świadectwo daje, że ujął jedynie stronę duchową oblicza i niemą jego mowę. Tak więc, gdy wizerunek stracił oznaki przypadkowe i szczegółowe z doczesności człowieka pochodzące, już też zerwał stosunki z rzeczywistością, a duch, uwolniony od pyłu tego fizycznego świata, zajaśniał wiekuistą istotą swoją, wypiękniał w sobie i rozgorzał niezwykłym urokiem. A przecież ten wizerunek zachował podobieństwo całe swojego żywego wzoru.

Prawda że właśnie to zaślubienie niżyn rzeczywistych, doczesnych, ze światem nadziemskim, duchowym, niebiańskim, które się odbywa w ideale, zdaje się nam być zrazu sprzecznością; zważ atoli, że sztuka jest właśnie zestrojeniem wszelkich sprzeczności, pogodzeniem wszelkiej dysharmonii. Sprzeczność, dysharmonia, jest udziałem rzeczy ułomkowych, doczesnych i biednych; ale w sztuce żyje duch, więc żyje wiekuistość unosząca się nad ułomność i niedostatki wszelkie. Prawda że zestrojenie sprzeczności w ideale nie jest sprawą lada człowieka, lada chwili; aby dokazać tego najwyższego pogodzenia trzeba *fantazyi artystycznej*. Fantazyja artystyczna w chwili wieszczego natchnienia zradza z siebie ideał, zradza z siebie formy rzeczywiste a przecież niebiańskie. W tych świętych chwilach twórczych duch z innych światów, niby gość nadniebny, zamieszkuje w duchu mistrza, prze go i niewoli do zrodzenia ideału piękności. Są to chwile boleści i najwyższej rozkoszy. Atoli o fantazyi artystycznej mówić będziemy na inném miejscu obszerniej; myślę tej osnowie poświęcić ze dwa listy osobne. Teraz przypatrzmy się jeszcze z innej strony istocie ideału.

Chciemy najprzód zważyć bliżej stosunek, którym się ma ideał określony powyżej do natury fizycznej. Natura nie żyje życiem estetycznej piękności, lecz życiem piękności wszechmocnej wiekuistego

roзумu. Nie tak przemawia tedy do wyobraźni naszej, jak raczej do myśli, do rozumu, a mądrość, świecąca na dnie zjawisk przyrody, jest treścią samą umiejętności, dla sztuki zaś nie jest dościgłą. Bo sztuka, wstępując w królestwo natury, przyswajając sobie jedynie może stronę powierzchowną jestestw przyrodzonych, nie zdoła jednak przeniknąć do rdzeni myśli stwórczej, której owa powierzchowność jest jedynie łupiną. Postawa pełna wielmożności lwa, lśniąca grzywa i sierć jego, złotopióry strój mieniającego się barwą ptactwa, rozłożysta potęga hardego dębu, jest wprawdzie sztuki dzielnicą, atoli sztuka nie zdoła się zapuścić w wewnętrzną budowę lwa, ptaka, dębu, w ten tajemniczy świat ich składu, w zegar ich wewnętrznych organów. Sala anatomiczna nie może być pracownią dla sztuki pięknej. A przecież fizjologia roślin i zwierząt jest dopiero najpotężniejszą stroną jestestw żyjących, i, językiem nauki i rozumu zimnego mówiąc, jest prawdziwą natury pięknoscią, a dla sztuki zaś nie jest przedmiotem.

Podobnie też w kole stworzeń napotykamy mnóstwo jestestw, których nawet i powierzchowność jest obrzydliwa, szpetna. Cóż brzydszego jak wiele gadów, owadów, nieschludnych ryb i robactw ohydnych, a przecież ta ich szpetność istnieje tylko w wyobraźni naszej, i znika skoro na nie patrzeć się będziemy oczyma umiejętności. Bo zkadże się rodzi w nas uczucie o brzydocie tych jestestw, jeżeli nie z tego, iż je pospolicie bierzemy bez związku z całym ogromem natury, do którego one istotnie należą, i z tego, że je uważamy z osobna. Doznajemy tedy wstępu nie znajdując harmonii w ich postaci, ani proporcjonalności powierzchownej członków, do których nawykli jesteśmy; widzimy w nich bezecne i niezwykle potwory, i bezwiadomie porównujemy je z kształtem innych jestestw. Przecież takie zapatrywanie się jest błędne, bo te jestestwa wszystkie są jedynie przejściem z jednego ognia stworzeń w drugie, są naprożnikiem dwóch rodzajów jestestw całkowicie różnych, a dla tego, nie będąc zupełnie ani jednym, ani drugim, czyli raczej będąc zarazem i jednym i drugim rodzajem, stają się potworami w zwyczajnym zapatrywaniu się na rzeczy. Tak np. grzyby są przejściem między martwym państwem natury nieorganicznej a roślinami, polipy są ogniwem pośrednim roślin i zwierząt, a znów między robactwem i rybami w środku stoją kształty niesforne ślimaków i mięczaków, a między rybami znów i gadami ogniwem łączącym są ryby chrząstkowe i t. d.

Jeżeli zaś wedle tego, cośmy wyżej powiedzieli, każdy choć najdoskonalszy przedmiot natury jest ułamkiem całości przyrodzenia, a zatem nie może być pięknym w znaczeniu estetycznym, jakże dopiero mają uchodzić w oczach naszych za piękne twory natury, które już w porównaniu z samymi jestestwami są ułomkami — są to ułamki ułamków. Atoli szpetność ta znika nie tylko gdy się przypatrzymy pełnemu mądrości ich składowi, lecz nawet skoro je uważać bę-

dziemy we związku całém natury państwem. Gdy ludzie zuchwałą i niebaczną ręką zgruchotali wielki wszechmocności obraz, złożony jak w mozaikę ze szczegółowych jestestw natury, cóż dziwnego, iż przypatrując się z osobna tym okrucinom różnobarwnym i kawałkom stłuczonym bez znaczenia, nikt nie zdoła odgadnąć oblicza przedwiecznej mądrości, której ten obraz jest wizerunkiem. Cześć tedy niechaj będzie wiekowi naszemu, że go stać było na ludzi, którzy potęgą umysłu znów złożyli tę potrzaskaną starą mozaikę, a wyuczywszy się z jednej kostki całe zwierzę odgadywać, jeli się uporządkowania ogromu natury żyjącej, rozkładając ją po różnych szczeblach wedle ich różnej w porównaniu doskonałości. Bo umiejętność tegożczesna doszedłszy, iż zjawienie się serca, nerwów, mięśni, oddechu, oczu, słuchu, krążenia soków i podobnych organów i czynności, stanowi wzmagającą się doskonałość u zwierząt, uważała że jedne jestestwa żyjące nie mają wcale tych organów, lub tylko niektóre z nich, inne znów, mają je w zarodku, inne zupełnie zaś rozwinięte. Ułożyła je tedy w miarę ich stopniowego ukształcenia w łańcuch po sobie następujących ogniw. Tak zaczynając od onych żyłatek, będących pęcherzykiem, drgającym sercem obracającym się jakby planety wirami około siebie samych, przeszła do zoofitów, robaków, bezgłowych muszli, a dalej, coraz wyżej a wyżej się spinając, umiejętność stanęła na człowieku jako najwyższem dziele natury, zbierając w wszystkie stworzenia promienie jakby w spólnym ognisku a niosąc w sobie świat duchowy, wiekuisty. A tak wykazała wcieloną logikę najwyższą w wątku wszechstworzeń. Budując jestestwa jednego rodzaju na organizmie wszystkich poniższych, wykazała jak natura, z siebie się rozwijając, kształci się, rośnie z siebie. Ale tu i owdzie okazała się przerwa w ogniwach; trzeba było obok siebie postawić dwa rodzaje zwierząt tak różne udoskonaleniem od siebie, iż one nie mogły być dwoma stykającymi się ogniwami; wyjawiało się tedy jasno, iż brakowało ogniwa pośredniego. Z tryumfem jednak wiadomości i na chwałę rozumu ludzkiego spostrzeżono, iż czego naturze żywej brakowało, dostarczyła umarła, czego nie znaleziono w świecie z nami wspólnie żyjącym, znaleziono w onym świecie starym, który przedpotopowym nazwano. W głębokim łonie ziemi naszej, jakby w kruchcie siwej, dokopano się skamieniałości jestestw dziś już nie znanych, żyjących niegdyś, a będących właśnie ogniwami brakującymi w owym łańcuchu stworzeń dzisiejszych. Idea i myśl Boża się uzupełniła, a cała natura jedną więc stanowi całość, a każde jej jestestwo jest koniecznym szczeblem, jednym słowem w onym wielkim psalterzu natury. Jestestwa są mniej lub więcej doskonałe, wszystkie atoli są jedynie bledsze lub jaśniejsze gwiazdy; tlejące firmamentem roztoczonym po niższych lub wyższych stopniach Bożego tronu. Tu nie ma szpetności ani brzydoty.

Jest zaiste jeszcze druga przyczyna, dla której jestestwa natury nie mogą być żywcem ideałem. Powód bardzo prosty, bo jestestwa

te do państwa materji, do doczesności należą, a materya i doczesność paczy wszelkie formy duchowe. Patrz na dąb okryty strojem swym niepoliczonych liści, a każdy z tych liści jest inny a inny, nie ma dwóch do siebie podobnych, a przecież jedna tylko jest, ściśle mówiąc, forma liścia dębowego, jedna forma jest prawdziwa i wzorem jego. Ten atoli wzór pierwotny nie zdoła się wyrazić w swęj zupełności w rzeczywistym świecie, nie zdoła przemódz niesformności materji. Ten wzór jest zawsze jeden i ten sam, jest wieczny, bo jest myślą, a wszystkie liście rzeczywiste są inne a inne, bo są materyą, bo są doczesne, a tém samém podlegają w wzroście swoim tyśiącznym przypadkom i wpływom, które je paczą i psują. Bo myśl i materya, duch i rzeczywistość, są dwa przeciwne sobie bieguny, dwa wrogi. Patrz na bezmierne mnóstwo koni żyjących po świecie, wszystkie są od siebie różne, żaden nie jest doskonałością idealną, żaden nie dosięga piękności idealnego konia, która tylko myślą być może, dla tego też one mają piękność względną, wedle tego czyli się więcej lub mniej zbliżają do onego wzoru idealnego, do onęj myśli pierwotnej, która dla nich wszystkich jest modłą. Piękność tego wzoru rozstrzeliła się na mnóstwo koni i podzieliła je nierówną miarą zalet i przymiotów. Zresztą zważ, iż w życiu nawet mnóstwo wpływów przypadkowych działa na formę koni rzeczywistych: klimat, choroby, karmienie niewłaściwe, i inne przypadłości, więc przyznasz, iż piękność pierwotnego wzoru ginie w rzeczywistości. Ale ideał rehabilituje ten wzór pierwotny, tę myśl, onę czystą formę, wciela ten wzór w dzieła swoje, odradza go. Koni, jakie Vernet lub Suchodolski maluje, nie ma na świecie. Przecież rehabilitacya nie zależy bynajmniej na kompilacyi, nie na tém, aby, chcąc np. konia malować, zbierać zalety, które się rozsypane znajdują w tłumie koni rzeczywistych, a tak złatać on wzór umysłowy; bo sztuka nie powinna się mieć biernie do rzeczywistości, ale czynnie. Ona jest twórczą, a ideał nie jest zlepkiem pobieranych piękności, ale jakby odlewem duchowym z jednéj sztuki. Mistrz winien do głębi ducha swojego sięgnąć, i ztamtąd wydobyć postać ideału swojego. Wzór w innym świecie poczęty jest mu ideałem i modłą, jak to jeszcze później obaczmy.

Jestestwa żyjące mają atoli przecież od Wszechmocności dodaną jakąś duszę, choć senną, mglistą i głuchą, dającą atoli o sobie znać w kształcie, ruchach i formach ciała, które już tém samém pod pewnym względem się uduchowia. Inaczej zaś rzecz się ma ze światem roślinnym, a co więcej z oném niemém i martwém państwem kamieni, gór, potoków i chmur, i z tym całym światem bezokich żywiołów, będących osnową pejzażów. Tu mistrz, jak niegdyś ów Pigmalion król-rzeźbiarz, winien w zimny marmurowy posąg wlać życie, objąć je ramionami ducha swojego, rozgrzać je ciepłem serca i tchem miłości swojej. I w téj duchowości spoczywa cała tajemnica poezji krajobrazów, czy to w pieśni objętych, czyli w malowanym obrazie, a tak dopiero z rzeczywistości martwéj utworzy się ideał

duchowy. Bo czémże jest w rzeczywistości okolica, choćby pełna najwyższych uroków? Oto jedynie drobniczną, nie znaczącą częścią powierzchni kuli, z której idą jej góry, potoki, doliny, obłoki, wiatrów powiewy, zostaje w ścisłym powiązaniu z krajem sąsiednim swoim; a przytém narażona jest na skutek całego gospodarstwa ogólnej natury. Wody, powietrze i ląd, ciągle na siebie działające i oddziaływające, stanowią ową troistą potęgę co rządzi kraju naturą, a łącząc się z położeniem geograficzném stwarzają klimat, malują barwę właściwą strop niebieski i wywołują roślin fizyognomię. A co te potęgi sejmujące między sobą uradzą, co w swęj wywarzą pracy, już spada urokiem na okolicę, co poddana wszechmocnemu ich prawu, ulega jej biędna, skrepowana, oddana na oślepie ich lasce. Jakiego kształtu w niej czernią się góry, jakieś formy i głosu są jej srebrne rzeki, jakie do niej zaglądają obłoki, lub w jaki strój roślinny się ona odziewa, słowem, jak się tu siły natury zbiegły, toć zależy od przypadku, od tego, jaką właśnie częścią całości jest ta okolica. Tysiące przejdzie tedy wędrowców, a ta natura zamkniętymi ustami milczć będzie, i głucha nie zawtóruje uczuciom, nie odezwie się. Gdy zaś w jej kole stanie człek z talizmanem w oczach i z poezją w sercu, wtedy natura pozna pomazańca piękności i jakby ze snu magnetycznego do kochanka przemówi; góry, lasy, skały, jeziora, drzewa i obłoki, rozebrawszy pieśń na głosy, zaśpiewają mu chórem rzewną melodyą, wspólną orkiestrą, wspólnemi akkordy. Cały kraj w około zaludni się duchami; poszepty i gawory leśne, pomruki potoków złożą się w jasną mowę, powiedzą o głębokich tajemnicach życia natury; roztworzą mu duszę swoją, wypowiedzą cierpienia, miłości swoje, i te swe dzieje pełne dziwów i uroku. A mistrz chwyta te mowy i tęskność okolicy,łoży je w rymy, wyleje muzyką, lub wcieli w barwy pejzażu — słowem, uniesie je w świat ideału. Bo gdy w rzeczywistości okolica ta jest jedynie drobnym ulomkiem całej powierzchni kuli, w oczach fantazyi te góry, skały, potoki, drzewa, krzewy i niebo do siebie należą, składają jedną całość, jedną harmonię, są jednością osobną; wyłączają się tedy od ogółu natury, zrywają swój związek z resztą świata, i stają się od niego niezawisłe, odosobniają się od rzeczywistości. A owa tajemnicza świętość okolicy pokryje się własną barwą i rumieńcem, gdy w niej jakby czarem zaklęte przemieszkiwać będzie wspomnienie historyczne z dawnych lat, gdy w niej stał domek, co obtulał kolóbkę człowieka jasnej chwały, lub gdy imię ze starych czasów pokrywa się mogiłą, drżąc pod ziemią, gdy ją zalegną pobożowisk lub okopów reszty, albo gdy jaka stara świątelnica lub rozwalony gród wpłata swoje wspomnienia pełne grozy w głosy natury. Przez okna rozpadłe i szczeliny rozstapione, widma i duchy naddziadowych lat patrzyą w okolicę i spojrzaniem rzucają na nią urok. Bo co wiek zapracuje, to przekazuje swym następcom, a najszlachetniejszy pierwiastek jego żywota wykwita w dziełach sztuki.

Jak matka konająca zostawia z błogosławieństwem dzieciom pierścien z wizerunkiem Najświętszej Panny, by je strzegł od złego, tak przeszłość, w grobie zapadła, puściła po sobie zostawia budowania swoje, stare kościoły i groby; są to klejnoty rodzinne każdego narodu, co, idąc od pokolenia do pokolenia, stroi one czią, boleścią i tęsknotą swoją. A gdy tej świętej puściźnie ludzie we czci nie mają i płochą duszą jej odbiegają, natura bierze je w opiekę, niby opuszczone sieroty, i przyjmuje w objęcie nieskończonej swęj miłości, przeobrażając je na własne dzieci; — nadaje im kształt swych skał, ekliwość ostrych linii, dzierzgając po swojemu ściany w fantastyczne formy, odziewając je suknią swych bluszczów i mchów, a wieńczy wieżchołek starych murów drzewem, jakby kwiatem wplecionym we włosy zmarłej dziewczycy. Wtedy rozwaliny wychodzą z własności ludzi, stają się natury dziedziną, jak te jej skały, te góry, obłoki i strumienie, a kto się ich teraz jeszcze dotknie świętokradzką ręką, grzeszy przeszłości zarazem i przyszłości, i staje się swych współczesnych hańbą. Gdy lord Elgin rabował rozwaliny Partenonu w Atenach (*), Minerwa-Athene, bóstwo opiekuńcze znieważonej świątnicy, wywołana lutnią Byrona, rzuciła klątwę na łupieżcę. U nas dość spojrzeć na klasztory gotyckie potynkowane, na obielone stare świątnice, na znieważone grody niedowcipnemi pomysłami dzisiejszych dziedziów, aby przewidzieć, iż gdyby się jaki Byron zjawił, przekleństwo nie na jedną by winną głowę spadło.

Tak, aby pojąć naturę, aby posłyszec jej westchnienia, trzeba ją widzieć i słyszeć oczyma i słuchem duszy; wtedy dopiero rzeczywistość przybierze na się duchowość ideału, odosobni się od codziennego życia, stanie się całością w sobie.

Teraz atoli chciemy postąpić szczeblem wyżej, i obaczymy, jak się stosuje pojmowanie nasze ideału do wyższych przedmiotów rzeczywistości, do świata umysłowego. Pójdźmy sobie od niższych do coraz wyższych stopni.

O ile oblicze i postać człowieka zmienia się, przechodząc z rzeczywistości w ideał, powiedzieliśmy wyżej. Ale jeżeli już, jakem rzekł, ciało samo i postawa jego jest ducha wyrazem, więc też szaty pokrywające postać winny znów wyrażać postawę i uduchowienie jej. Gdy bowiem bezduchowa natura pejzażu zalana jest zorzą wyższego świata, więc też nieżywa istota szat samych ma być przeświecona duchem, gorejącym w postaci człowieczej. Aby zaś postawa i ciało

(*) Lord *Elgin*, będąc między 1801 i 1803 r. posłem angielskim w Konstantynopolu, zebrał i nabył za sumę 70,000 funtów szterlingów najznakomitsze zabytki sztuki rzeźbiarskiej z Partenonu ateńskiego. W r. 1816 sprzedał takowe za połowę ceny rządowi angielskiemu, który pomieścił je w muzeum brytańskim, gdzie po dzień dzisiejszy pod nazwą *Elgin-Marbles* budzą podziw miłośników sztuki. (St.)

mogło się wyrażać w szatach, wypada, aby one nie miały własnej formy, ale były zawisłemi od formy ciała, co tylko dwojakim sposobem dźiać się może: albo, aby suknie były opięte, to jest miały formy ciała samego, jak to np. suknie średniowiekowe zachodniej Europy — albo téż, aby szaty nie miały żadnej formy i były płaszczyną bezkształtną, jak to osobliwie widzimy w stroju rzeźb greckich. Tu szaty spadają, własnym ciężarem bijąc fałdzistą draperyą, i stosując się do każdego poruszenia ciała. Tegoczesne suknie nasze, zwłaszcza męskie, środek trzymające między strojem przylegającym a draperyą antyku, są dla sztuki najniesforniejszemi, bo mają niby formę swoją a przecież różną od formy ciała, więc ani wyrażają kształtu ciała, ani się układają w draperye. Przypatrz się np. rękawowi naszemu; — stosuje się on niby do ramienia i ręki, a gdy się przecież zarazem i fałduje, więc téż ręka w nim przybiera kształt napuchłego potwora; — rękaw taki nie jest ani naturą, ani draperyą. A posągi przebrane w dzisiejsze nasze surduty z klapami i całym przyrządem, fraki i t. p. są śmiesznością, dowodzą braku uczucia estetycznego. Do malarstwa, tworzącego swe dzieła na płaszczyźnie, podobne formy więcej się nadają, w rzeźbie zaś są nieznosne. Przecież nawet i na obrazach te suknie, mianowicie nowożytnie, ulegające wszelkim wymysłom kapryśnym mody, choćby malowane były przed niedawnemi laty, wypaczają wizerunki osób w osobliwe dziwaki.

Jeżeli atoli już suknie same, ono materyalne otoczenie osoby, winny być idealizowane, cóż rzec o całym zmysłowem zjawieniu się figur, czyli to w sztukach, w malarstwie lub rzeźbie, czyli w poezyi. A jak oddanie pędzlem wszystkich szczegółów figury, np. każdej zmarszczki, włoska i t. d. jest chybieniem celu sztuki, a nawet nigdy osiągnięte być nie może, tak téż w poezyi opisanie wyrazami wszystkich drobnostkowych szczegółów żadnego nie ma znaczenia; bo w sztuce to jedynie miejsce mieć może, co służy do wyjawienia ducha; te zaś drobnostki o tyle mogą wchodzić do sztuki, o ile są środkiem pomocniczym do oddania wewnętrznej muzyki duchowej. Tak np. figury, odmalowane mistrzowską ręką Walter-Skotta, unaocniają nam ducha ich; a zarzuty, czynione mu iż zanadto tonie w tych drobnostkach, o tyle tylko słuszne być mogą, o ile te szczegóły stają się zupełnie obojętne i nie służą więcej do uwidomienia nam duchowej strony człowieka. Góral szkocki Walter-Skotta staje przed duszą czytelnika niby żywy; jest to człowiek, którego dusza i ciało, kraj i suknie, z jednej sztuki odlane i do siebie należą. Podobną drobną-rzeczywistością, odbywającą się powszednią koleją, są codzienne sprawy człowieka: spanie, jedzenie, picie, ubieranie się. Patrząc na dramat, żądamy czynów i postępowania do wątku dramatu należącego, ale nie pragniemy bynajmniej, by figury dramatyczne oddawały się przytém sprawom powszednim, wszystkim ludziom wspólnym. A jak do teatru nikt nie chodź, by np. w scenie wiejskiej widział wystawione nawozy przed chatą i kałużkę z kaczkami, tak téż nie pragnie

tam widzieć rzeczywistości naśladowanej w rubasznych obyczajach, brudnej odzieży, plugawych piosnkach, ułożeniu i gięstach godnych kordegardy, choćby to wszystko było jak najnaturalniej udawane. Nawzajem, również jest przewinieniem pojmowanie odwrotne; jeżeli np. wieśniacy na scenie mówić i ruszać się będą, jak dworzanie Ludwika XV. Powinno być uduchowienie ideału, zarówno jednak ma prawo indywidualność i prawda.

Jeżeli zaś poezya lub obraz wprowadza codzienne czynności ludzi, toć iście nie dla tego, iż one są rzeczywiste, lecz dla tego właśnie, iż nadać mogą barwę i charakter figurom, oraz wyświecić indywidualność ich ducha. A co nie służy ku temu celowi jest w sztuce płaskiem, jałowem i niskiem. Słyszę w myśli, iż pomijając obrazy obyczajowe wyższego rodzaju, przypominasz mi w tej chwili onych Hollendrów, co to będąc arcymistrzami swęj sztuki, wprowadzają nas w najniższe, ba, w najplugawsze sceny plugawego życia. — Ta sztuka tutaj zrzuciła pychę z serca, i awanturuje się po szynkowniach, kordegardach, karczmach, wśród dymu fajek gipsowych, wyziewów piwnych, hucznych opileców, rubasznych śpiewów, bijatyk, kart, dzbanów, kijów, krzyków, a przecież te obrazki jasnej sławy są klejnotami nieoszacowanymi każdej galeryi.

Patrząc się na te bamboccyady pełne fantazyi ochoczej i kipiącej swawolą mistrza, przyznaję ci z serca, iż nie zasługują na to, by przejść około nich pogardliwie i z góry się patrzeć zadzierając nosa. Albowiem pod ową swawolą a gburowatością wierutną ukrywa się inny duch prawdziwego geniuszu. Rzekłbyś, że to najniższa rzeczywistość, — jednak przekonamy się, iż właśnie ich istotą jest oderwanie się od rzeczywistości i wzniesienie nad świat doczesny; zobaczysz, iż te ich obrazy i figury, przy całém zachowaniu prawdy i indywidualności, pomimo że są ścisłą rzeczywistością a nie kłamiwym wymysłem fantazyi, są jednak istotnie ideałem. Bo też trzeba zrozumieć i lud ten, i ochotę jego i mistrza, co zawtórował pędzlem życiu temu. Ba, nie jest to rzeczywistość goła, lecz poezya, śpiew radośny, śpiew, co z serc wykipia; jest to tryumf z odniesionych zwycięstw. Bo widzisz, ten ich kraj, co tak świeci schludnemi domkami ze szlifowanych cegieł, lśniących mosiądzów i jasnych szyb, i miasta ich, co tak rzeško pracują, handlują i myją się, zamiatają i płuczą od rana do wieczora, i sieć onej kanałów rozciągnioną po ich ziemi całej, i te majowe łąki, i lasy i gościńce; otóż to wszystko stworzyli ci sami Hollendrzy, i syny ich, one proste gbury, co tak na obrazku hałasują, biją się, i piją i wrzeszczą. Oni kraj swój wydarli morzu, bo fale szturmujące ich ziemię złamały się o twierdze hollenderskiej tamy; pędz po pędzi ci ludzie zdobywali na oceanie ojczyznę swoją, i wzięli nad nim górę, i już się go nie boją i są panami jego. Gdzie było morze, tam stoją te karczmy ich, więc mają prawo do hulatyki w tych szynkowniach swoich. Aleć zaiste i ta wojna z Hiszpanią, tak szczęśliwie skończona, dała powód do radości tej.

Więc się téż ochotniej radują i swawolą; a któż im tedy za złe weźmie, że niekiedy i miarę przebiorą i skrewią dobremu smakowi.

A i te mistrze, co te obrazki malowali, otóż i oni tak czuli, tak się radowali i śpiewali. Masz np. *Adryana Brouwer* (ur. 1608 † 1641 roku), którego obrazy, będąc w Dreźnie, spotkać po kilka razy mogłeś. Otóż on, młodym chłopcem będąc, zaczął karierę swoją od tego, iż uciekł swojemu mistrzowi i przystał w służbę do szynkarza w Amsterdamie; a wołał koleżeństwo z hulakami i opilcami, niż ofiarowany sobie dom świetnego Rubensa; więc pił, fajkę palił, malował, grał, bił się i hulał, i znów malował, a malował w karczmie i karczmę; a znać, gdy spojrzysz na jego obrazy, iż ta grubijaska opila hołota jest jego przyjacielem od serca, że ona jest sobie z nim brat za brat. Ale w końcu zachorował z rozpusty i umarł w 32-gim roku życia w szpitalu w Antwerpii, gdzie został pogrzebiony na cmentarzu zmarłych na dżumę. Rubens poszedł na grób niewdzięcznego ale drogiego ucznia, zapłakał rzewnie nad tym grobem, i biedną trumnę jego z ziemi dostawszy sprawił mu pogrzeb uczciwy i pochował w klasztorze OO. Karmelitów.

Krótszą drogę obrał sobie *Jan Steen* (ur. 1626 † 1679), bo nie potrzebował kojarzyć się z karczmarzami, gdyż sam został szynkarzem; — ale nie ubliżaj mu, nie dla zysku pieniężnego on to uczynił, boby się to sprzeciwiało geniuszowi prawdziwego artysty, tylko tak sobie ze smaku obrał to powołanie. Lubił wesołe towarzystwo, kompanię ochotną, więc z nią pił, częstował się, a wypijał sam więcej niż goście; więc zysku nie szukał. A gdy zabrakło i w beczkach wina, i w mieszkach gotówki, wnet sobie poradził: bo namalował co telu kilka obrazów, sprzedał i znów hulał sobie. A podobno tak prze-hulał życie swoje całe, i tak z kuflem je wychylił.

Z grobu atoli tych hulaczy — wyrosły nieśmiertelne kwiaty: ich sława i imię. Przecież tak ten jak i tamten drwili sobie z rzeczywistości i z siebie; byli to poeci i filozofowie, ale poeci i filozofowie osobnego rodzaju. Dla nich życie i rzeczywistość były Ostatnim Wtorkiem, maskaradą huczną, combrem tłustoczwartkowym, na to dobre, by je przehasać, z dymem lulek puścić i przepić. A że oni właśnie chwycili to życie karczemne z taką wysoką ironią, z taką kipiącą fantazją, że oni ten niski świat tak genialnie pojęli, że uchwycili poetyczność wśród onych pijackich dymów fajczanych, wśród téj hołoty, toć dowodzi, że oni byli wyżsi od tego świata, który malowali, że górowali nad nim geniuszem swoim, i to właśnie ich czyni artystami, i to właśnie czyni te obrazki prawdziwymi dziełami sztuki. Patrz na te twarze, na te postacie na ich obrazkach; one zerwały z rzeczywistością, wesołość ich tak jest serdeczna, iż niby po za tą karczmą utonął cały świat z kłopotami swojemi. Wszystkie ziemskie wielkości i co tam się święci, wszystko za izbą tą brudną przepadło; kufel i bójka, to dla nich perpendykuł świata, a fajka

i śmiechy, to wszechrzeczy grunt. Dla tego też oni tak huczni, tak weseli, tak niezawisli, żebyś rzekł, iż to bogowie światowładni Olimpu, zebrani w szynku na piwie. A największe zło, które te bogi sprawują i na co się narażają, są kułaki i guzy; a cóż to u nich złego? to frachy i rozkosze! Wszak i Homerowi bogowie mięszają się do bitew ludzkich, nawet ciskają na się kamieniami, a choć trochę zajęczą, toć znów w zgodzie zbierają się w pałacu złotym Jowisza, piją sobie na zgodę nektar i jedzą ambrozyę.

Otóż te prostaki hollenderskie nieokrzesane, pełne grubasnych dowiepów, przyémione wódką i piwem, stosowniejszym są przedmiotem dla sztuki i bliższym ideału, niż te wierutne a eleganckie urwisze, z gruntu serca przegnile lotry, błyszczące świetnością w roman-sach francuzkich.

W Monachium, w pinakotece masz podobnie owych sławnych uliczników hiszpańskich *Murilla*, słusznie bardzo stawianych w tym względzie za przykład. Na jednym obrazie dwóch gra w kości, trzeci bawi się z pieskiem; na drugim dwóch się zebralo, jeden zajada smacznie winne grona, drugi melon; a taka na tych twarzach wesołość, takie zadowolenie z siebie i świata, żebyś rzekł, iż oni tego całego świata króle, albo najmniej jakie sultany, istoty z jednéj sztuki, całe, niezależne od nikogo; nie ich nie obchodzi; a kłopot, a bogactwa, i świetność i dostojności, to bajką u nich. Żadna troska nie łączy ich z rzeczywistością, a dusze ich pełne swobody, radości, występują rumieńcem na lica; a po przez lachmany świeci wartka życia rozkosz i poetyczne poniewieranie światem realnym. A *Stachowicz*? (*) tu już nie mówmy o fizygnomii, bo téj nie ma w obrazach Stachowicza. Kilka krósek, na przypadek i śmiech rzuconych, stanowi jego twarze; patrz zaś na kontury i zarysy jego figur, tu życie, tu prawda. Widzisz to krakowskie wesele, słyszysz głos cymbalów i dudy, i skrzypka, co sobie rżnie od ucha, i krzesanie podków, i brzęk kólek u pasa; słyszysz, jak pan młody i drużby krzykają, a tak też tym parobkom i dziewczętom do serca, iż widać, że wierzą, iż nie ma jak oni na całej kuli ziemskiej, że oni nie tam łada *jacy tacy*, lecz istotnie *chłopcy Krakowiaczy*, że to są ludzie do wszystkiego; zapomnieli i te znoje swoje i te troski, a z głębi duszy swéj wykrzykują i bawią się; i oni z rzeczywistego kola świata wyniesieni w świat poezyi, w świat ideału. Ale bo też potrzeba było znać Stachowicza. My, będąc dziećmi, widywaliśmy go jeszcze, jak sobie chodził w su-téj sukmanie, z rogatą kipiastą w tył się mającą czapką, i z wysoką trzcina w rękę; a dopieroż gdy na procesyi niosąc baldakim w całym swym blasku występował, patrząc się na ten świat tak jasnym, tak miłującym okiem, że znać, iż nim się radością poił. A śmigał też pędzlem hożym i nagłym, a wszędzie też z równą ochotą, z równą

(*) Zob. wyżej str. 19.

pilnością malował; czyli to przyszło Woroniczowi ustroić ściany biskupiej stolicy, czyli salę Jagiellonów, czyli też na przedmieściu ubrać zewnętrzną ścianę karczmy figurami, choć wiedział, że wnet słoty i śniegi tę pracę jego spłókać miały; bo nie znał swęj wagi, ani swęj wartości; co mu w sercu zagrało, to i wymalował. Nie znał Rzymu ni Dreżna, Bóg sam był jego mistrzem i nauczył jak pędzlem kreslić duszy obrazy, tak jak nauczył Drużbackę wiersze składać. Za to też żadne słoty, żadne dėsccze nie spłókają pocziwego imienia Stachowicza ze serca i pamięci ludzi. I w albumie *Picarskiego* wiele pięknych rzeczy pod tym względem obaczysz. A co do poezyi, któż nie zabawił się temi obrazami prawdziwie flamandzkiej szkoły, jak je skreśla w romansach swych np. Dickens, którego pióro i figury tak jędrne i pożywne, jak ta ojczysta jego kuchnia angielska; albo Kock lub Kraszewski w pierwszej epoce autorstwa swego. Prawda że i w Kocku, i w początkowych powieściach Kraszewskiego, znajdujemy obrazki „wielce“ flamandzkie, toć przecież nie ma czego z pedantką moralizować nad niemi, bo lekkość pióra, żart, dowcip, humor, którym ci autorowie traktują przedmioty lekkoduche, paraliżują wszelki lekkoduchy ich wpływ. A byle czytelnik rozsiał się nad temi ich obrazkami, już wtedy komiczność w duszy jego przeważy i zobojętni wrażenia, któreby te płóche scenki mogły sprawić na umysłach młodszych czytelników. Wierzaj, że wiele zależy od sposobu wystawienia rzeczy i że ułomność ludzka, szczerze bez ogródkki lecz ze śmiechem zrysowana, przejdzie bez śladu po niezsputych umysłach, gdy nawet dwójsnacznosc okazana przez magiczną opone, oświecona całym bengalskim ogniem fantazyi, omami, odurzy i wzbudzi żyjące w sercu młodem demony. Lecz nawróćmy do naszego przedmiotu.

Otóż i w malarzach hollenderskich i w Murillu i w Stachowiczu, w całej sztuce tu należącej natura jest żywcem schwyтана; jednak nie ta natura powszednia, mdła, codzienna, ułomkowa, lecz ujęta w swęj poetycznosci stanowi istotę tych dzieł. Niezawisłość tych figur od rzeczywiścoci świata tworzy z nich istoty osobne, całkowite; nie są to zatém ułomki życia, lecz całosci. — I tém właśnie te figury różnią się od rzeczywistych, pijących Hollendrów, uliczników i parobków krakowskich, iż patrząc się na tych w rzeczywistym świecie, znać jak im życie cięży, że tam dolegliwosci ziemskie z oczu im patrzą, że tam na nich pozostało mnóstwo ułomności znamion, że życie ich jest powiązane i skępowane niezliczonym tłumem stosunków, co jednoczą ich ze światem rzeczywistym, którego oni są okruciami tylko. Przecież i my wszyscy biędni rzeczywisci ludzie na chwile zapominaemy o naszych troskach, o tych jukach, z któremi się przez życie wlecemy, — atoli to jest wrzkoma swoboda, bo w tych chwilach niby szczęśliwych podobni jesteśmy do ptaka, którego rzeczywiscosc na długiej trzyma nitce, a tej iscie nigdy się nie wymkniemy. Mimo jednak tej strony poetycznej w owych wspomnianych obrazach,

są one żywą prawdą; nie są to bezuzdnej fantazyi dzieła, lecz istotnie żywe Hollendry, najrzetelniejsze uliczniki, istne Krakowiaki z całą indywidualnością i prawdą.

Widzisz więc w całym wątku listu tego, dotychczas przebieżonym, potwierdzenie pojmowania naszego o ideale. Powiedzieliśmy, iż ideał jest pogodzeniem ducha i rzeczywistości, iż on zrywa stosunki z doczesnością, że jest całością duchową w sobie, a przecież nie może być wymysłem samowolnym fantazyi, lecz zachować winien prawdę, indywidualność. Są to dwa główne pierwiastki ideału, dwa jego konieczne warunki. A widziałeś zastosowanie ich, gdyśmy wspominali powyżej o portretach, jestestwach żyjących, okolicach, górach szkockich, wystawie scenicznej, mistrzach niderlandzkich, Murillu i Stachowiczu; a dalszy ciąg listu tego jeszcze więcej nam tę istotę ideału umaocni.

Jeżeli już w tej sztuce obyczajowej, co w izbie czeladnej u piękności przesiaduje, rzeczywistość dla ideału nie wystarcza, témci mniej we wznioślejszych sferach sztuki. Jakoż opuszczając już obrazy i powieści obyczajowe wyższego rodzaju, zwracam uwagę na obrazy stariej szkoły niemieckiej i niderlandzkiej, na one arcydzieła, jakie nam zostawili upominkiem obaj *van Eyki, van der Goes, Massys, Schoreel, Dürer, Holbein* i tylu innych — i jakie znaleźć można w zakrystyi naszego kościoła Maryackiego. Otóż ze słuszością zaiste tym starym Niemcom i Niderlandczykom zarzucają zbytne trzymanie się rzeczywistości. Za pierwszym rzutem oka na to koło apostołów i mężów świętych przez nich malowanych, znać, iż to żywe portrety; twarze ich jawnie niemieckie i wprost z życia wzięte, i w obraz postawione; ale również znać, iż to jakiś świat wyższy tchnął na te oblicza i zdmuchnął z nich prochy doczesne. A ten wyższy ich świat poznasz, gdy porównasz tych apostołów i świętych z fundatorem obrazu, z człekiem świeckim, umieszczonym także niekiedy obok nich na obrazie. Choć on klęczy i ręce pobożnie składa, i na twarzy pełen bogobojności, serdecznego nabożeństwa i ducha chrześcijańskiego, toć przecież znać, iż to jest człowiek, co się z życiem ziemskim zmierzył, a potykał się z niejednym trudem.

Bo któż zaprzeczy, iż wiele np. twarzy w rzeczywistości, albo prawie wszystkie, zdolają wyrazić skromność, bogobojność, skrucę; mogłyby się tedy nadać do obrazu religijnego; — ale cóż z tego wszystkiego, kiedy oprócz tej skromności, skrucy, bogobojności, te twarze wyrażają wiele innych jeszcze uczuć, pochodzących z ich rzeczywistego życia, z pasowania się ze światem — nie mogą być tedy żywcem przeniesione w ideał; bo w nim to jedynie być powinno, co jest ducha wyrażeniem; co nadto, jest niepotrzebne, a zatem psujące całość. Trzeba tedy wynieść te figury z rzeczywistości, przerwywać ich stosunki ze światem rzeczywistym, uczynić je niezawisłymi od niego.

Co tu o obrazie i rzeźbie mówimy, stosuje się i do poezyi. Znaj-

dziesz w historii ludzi, zdolnych być bohaterami w eposie lub tragedyi, a w życiu zwyczajnem spotykasz ludzi, mogących być wybornie przedmiotem romansu lub komedyi; ale rzecz jasna, że przenosić ich w sztukę zupełnie nie można w tej formie właśnie, jak ci się w rzeczywistości podobają. W sztuce wyświecisz ich charakter poetyczny, podniesiesz ich do potęgi, a obierzesz ze wszystkich czczych drobnostek, rozpalisz ich barwę właściwą, czyniącą ich dla sztuki osnową. Anibym się ważył przeczyć, iż wiele jest dam, nawet z tych, które mamy szczęście znać, mogących być z piękności swojej śmiało przeniesionemi w obraz, służyć za modłę jakiej Minerwy, Junony, Wenus; ale cóż, gdy na twarzy tych rzeczywistych dam wiele jest jeszcze wyrazu, nie mającego najmniejszej styczności z błogim Olimpem. Cóż dopiero mówić o sztuce chrześcijańskiej, gdy przyjdzie stworzyć figury świętych postaci? Czyliż w obrazie np. Najświętszej Panny, tylko o samą piękność cielesną chodzi? a nie raczej o ducha, który oblicze Matki-dziewicy prześwieca, co gore najczystsza miłością macierzyńską ku dziecięciu swemu, tudzież przejęta jest grozą uszanowania dla Boga swojego; a uczucie niegodnej służebnicy i szczęśliwość niebiańska Boga-Rodzicielki waży się w tém obliczu nadziemiściem. Ta ducha niepokalanego wysokość jest wzniesiona ponad gwiazdy i serce człowieka i nie może się wyjawiać na twarzy niewiasty rzeczywistej, choćby najwyższych uroków, bo w tej, oprócz piękności, świeckie i światowe stosunki, cierpienia i rozkosze, żale i nadzieje ziemskie ciężkiem przeleciały skrzydłem.

Widzisz tedy, iż ideał mistrza nie przebywa w tém pstrém a zmienném kole zewnętrznego świata, on go z głębi swojej fantazyi dobyć powinien. Czuł tę prawdę ów kochanek a namaszczeniec najwyższej piękności, Rafael, co w liście do hr. Castiglione przy sposobności Galatei swęj tak się wyraża: „Io mi servo di certa idea che mi viene al mente“. — Zaprawdę, ta to idea jego niebiańska, w tajnikach jego istoty świecąc, zjawiała mu się przed oczyma duszy w postaci Boga-Rodzicy, odzianej całym cudem niebiańskiego uroku, w postaci lekkiej, powietrznej, zrodzonej z woni rajszych kwiatów i westchnień aniołów; a tak stworzone są Madonny jego. Uważ, iż po wszystkie wieki ideał wypływa z toni ducha mistrza, bo zrodzony jest z głębi jego fantazyi; tak było i w świecie pogańskim, w sztuce greckiej; patrz na on złoty piękności wiek Hellady, gdy Peryklesa, jakby gwiazdy jasne, otaczał wieniec wielkich ludzi. Jedną z tych gwiazd był Phidias, którego duch, na olbrzymią miarę stworzony, ogarniał sobą cały piękności świat. Cycero, ów Rzymianin, co pochylony nieszczęściem kraju swojego, w szarej godzinie życia i ojezyny, lubił marzyć o Grecyi i tęsknie obzierać się na lata tam spędzone w młodości swęj, temi słowami wyraża się o ideale i Phidiasu: „Już ja tego nie jestem zdania, iż w żadnym rodzaju nie ma nic tak pięknego, nad coby nie można pomyśleć wyższej jeszcze piękności, której tamto jest tylko niby odbiciem i wizerunkiem. Ale tej wyższej pię-

ności, ani oczami, ani słuchem, ani żadnym zmysłem dostrzedz nie podobna; zdołamy ją tylko pojąć myślą i duszą. Tak lubo zaiste nie doskonalszego widzieć nie można, jak posagi Phidiasa i obrazy wyżej przezemnie wspomniane, ale przecież w duszy jeszcze piękniejsze wyobrazić sobie można. Ani też Phidias, gdy tworzył Jowisza lub Minervę, nie zapatrywał się na nikogo, biorąc sobie go za wzór do naśladowania; lecz w duszy jego tkwiła najwyższej piękności modła jakowaś, w którą się wpatrując, w której tonąc mistrz, ku niej kierował rękę i sztukę swoją* (*). Wyznaj, iż ustęp ten jest arcyważny, i dla tego ci go w całości przytoczyłem. Widzimy wyraźnie, iż owa „certa idea che mi viene al mente“ Rafaela, i ta Cyseronowa czyli Phidiasowa „mente insidens species pulchritudinis quaedam“, są zupełnie jedno i to samo, są ideałem. Przypominam ci tutaj owo wzniosłe stanowisko Platona, pojmującego ideał jak przypomnienie duszy z olimpijskiego żywota (*ob. List VI*). A Phidias, Rafael i Plato są zaiste powagą w państwie sztuki. Widzisz tedy, iż ideał nie jest zbiorem piękności porozrzucanej po wielkiej liczbie postaci rzeczywistych, ale że w całości z ducha wyrasta, że jest zrodzeniem fantazyi natchnionej, że jest w zachwyceniu jęj poczętym.

Lecz jeżeli istotnie ideał jest rzeczywistością uprowadzoną przez fantazyę mistrza w nadziemskie ducha krainy, jeżeli istic z téj rzeczywistości spadają okowy ciężkie rzeczy tutecznych, jeżeli ustaje i rozrywa się wszelkie pokrewieństwo z doczesnością, jeżeli ideał się staje osobną niezawisłą całością; więc niedziw, iż też do tych wysokości nie dochodzą westchnienia ziemskie, że tam nie zagości rozpacz bez nadziei, ani boleść bezdenna. Dzieła sztuki, mówi Schiller, ideały, są to cienie i duchy tamtego świata, mieszkańce niecierpieliwe pól elizejskich. Więc już rozumiesz, iż wszelkie boleści rozdzielające serce, wszelka rozpacz i wszelkie cierpienia bez granic, nie mają miejsca w sztuce. Ideał ma swoje cierpienia, i boleści i lzy, bo jest z rzeczywistości wzięty, ale one łagodzone są ducha poświęcą; a duch jest nieskończony, a duch jest nieśmiertelny, więc też i cierpienia i boleści zniweczyć go nie mogą. W życiu rzeczywistém człek upada pod brzemieniem swych nieszczęść, wije się w prochu poniżenia swego, sęp boleści wbija w duszę rany nieskończonego żalu, serce pęka, i śmierć pełna rozpaczyny kończy niekiedy żywot nasz. Lecz w ideale po przez lzy i cierpienia świeci nieśmiertelna ducha szczęśliwość. Bo

(*) Sed ego sic statuo, nihil esse in ullo genere tam pulchrum, quo non pulchrius it sit, unde illud, ut ex ore aliquo, quasi imago, exprimatur, quod neque oculis, neque auribus, necque ullo sensu percipi potest: cogitatione tantum et mente complectimur. Itaque et Phidiae simulacris, quibus nihil in illo genere perfectius videmus, et his picturis, quas nominavi, cogitare tamen possumus pulchriora. Nec vero ille artifex, cum faceret Jovis formam aut Minervae, contemplabatur aliquem, e quo similitudinem duceret: sed ipsius in mente insidebat species pulchritudinis eximia quaedam, quam intuens, in eaque defixus, ad illius similitudinem artem et manum dirigebat. (Cic. Orator.)

ideał jest rzeczywistością i duchem zarazem; w nim styka się do-
czesność i świat tameczny, znikomość i wiekiistość; on nie podlega
tedy boleści i nieszczęściu bez granic.

Jak muzyka nie wyraża boleści krzykami, jękami szorstkimi
i przeraźliwym rażącym dźwiękiem, ale boleść ciężka, twarda, to-
pniejac tonami pełnemi ciepłej harmonii, rozplywa się rzeką melodyi
tęsknej, rzewnej; podobnie harmonia i piękność ideału uświęca boleść
w innych sztukach wyrażoną, jako w malarstwie, rzeźbie i poezji;
jest to wielko-środkowe kwilenie się płaczących aniołów nad śmiercią
Syna Bożego w kaplicy sykstyńskiej w Rzymie, gdy z każdym psal-
mem jedna z trzynastu świec na ołtarzu gasnie, niby gasnące gwia-
zdy w przebitym sercu Matki Bolesnej. Spójrzysz na rzeźby greckie,
a wszędzie znajdziesz, iż rozpacz, skon i całe okropności, rozdziera-
jące dusze rzeczywistych ludzi, w ideale miejsca nie mają. Nawet
bardzo wątpliwą jest rzeczą, czyli usta otwarte samego Laokooną
otoczonego węzami znaczą krzyk mniej szlachetnej rozpacz. A w tra-
gediach onych starych wieszczów greckich masz tego cudnej pię-
kności przykłady; we wszystkich powiewa duch pociechy, a nie-
śmiertelny wieniec spuszcza się z obłoków, na skronie umierających
bohaterów. Rozumiem, że nie tak nie maluje pojmowania Greków
w tej mierze, jak *Oedipus w Kolonos* Sofoklesa. Oedipus bez wia-
domości obciążył się podwójnym grzechem, bo kazirodztwa i ojco-
bójstwa zbrodnią. Gdy prawda ta w całej okropności swojej stanęła
przed duszą jego, gdy wejrzał w całą otchłań nieszczęścia, gdy od
srogich synów z tronu wyzuty, własną ręką dotknął się oczu swoich,
wydarłszy je z ich stolicy, wypuścił z duszy jasny wzrok z dróży, i sa-
mowolnej ślepoty się poświęciwszy, wiekiem i okropnością zsiwiał
starzec, o kiju idzie w świat daleki, obcy, szukać przytulku. Po-
czątek naszej tragedji zaczyna się właśnie od chwili, gdy Oedipus,
na córce swój Antygonie wsparty, doszedł świętego gaju poświęco-
nego Eumenidom, onym boginiom pełnym zgrozy. Wątek jej zu-
pełnie prosty, ale najwyższej piękności. W cieniach nocnych gaju
tego jest wstęp do podziemnego państwa, kędy już nie ma boleści,
a oddech tamtego świata chłodzi cierpienia. Tu czekają go bogo-
wie, by się z nimi i z sobą pojednał, i uprowadzają ze skwaru docze-
snego żywota w państwo nieznające łez. A gdy córki rozpaczają,
iż w samotności na świecie zostać muszą, pociesza je chór, mówiąc:
„Gdy łaską rozwiązały się kończyny żywota jego, uciszcie więc bo-
leści głos. Wszak każdy tak snadnie w nieszczęście wpada!” —
A Tezeus później dodaje: „Utulcie wołanie żalu! ani dzieci ubole-
wajcie nad ojcem, bo łaskawość świętą obtuliła go ziemią, a bezbo-
żnością byłyby skargi i płacze“. Iście, śmierć bez cierpień i boleści,
gdy człek pod skrzydłem bóstwa w inny świat się przenosi, jest naj-
wyższym szczęściem, które człowieka na tej ziemi spotkać może.

Tak w starożytniej literaturze, zwłaszcza w Sofoklesie, znajdziesz
nieprzebrane skarby tej wysokiej poezji. A radbym też kiedy mieć

sposobność porównania w tych listach moich Sofoklesa, największego wieszczą świata dawnego, z Shakspearem, największym poetą literatury chrześcijańskiej. Tu atoli, nie zbaczając z osnowy mojej, przypominam, jak Shakspeare, mając w tętnie i we krwi uczucie najwznioślejsze ideału, duchem swoim, jakby instynktem, odgadł i zrozumiał ducha przeczystej piękności, rzucającej kwiaty czarodziejskie na cierpienia okropności pełne. Tak w *Romeo i Julia*, w końcu, gdy już — już cała czynność śpieszy do rozwiązania swojego, Romeo widząc Juliettę swoją w grobowcu martwą i bez życia — powiada: „Bo tu spoczywa Julia, a piękność jej napelnia ten nocny śmierci przybytek jasnością promienną. Czyliż ludzie, stanawszy nad śmierci progiem, raz jeszcze rozweselą się radością? Świadkowie umierających powiadają, że to jest niby ostatnia błyskawica w śmierci obliczu. Och, jabym wesele to moje nazwał błyskawicą taką! żono moja! Śmierć, co wyssała słodczyne tchu twojego, nie wywarła swęj potęgi na cuda uroków twych. Ona nie odniosła jeszcze na tobie zwycięztwa; oznaki piękności purpurem powiewają jeszcze na ustach i na licach twoich. Tu nie posunęła się skonu chorągiew błada... Tutaj ja zostanę i już nie opuszczę tych ciemności pałaców, tu złożę ciężkie zwłók brzemię, i strącę jarzmo nienawistnych gwiazd z ciała znękanego światem. Wy oczy, spojrzycie ostatniem spojrzeniem! wy ramiona, weźcie uściskienie ostatnie! i wy usta, oddechu wrota, ucałowania waszego pieczęcią potwierdźcie wieczny zapis lichwiącej śmierci!“ A w końcu dwaj ojcowie wrogich sobie rodzin, Capuletów i Monteków, nad ciałem dzieci podają sobie ręce; ich nienawiść spaliła rozpacz. *Capulet*: „Bracie, podaj mi rękę bratnią“ i t. d.

A w *Hamlecie*, gdy Hamlet umiera, Horatio powiada: „Teraz pęka szlachetne serce — dobra noc królewiczu drogi!“ W tych kilku a prostych wyrazach zebrana jest cała treść życia i skonu. Tak, gdy opona zapadnie na ostatnią scenę tragedyi, każdy rzeknie: *wykonano się*, i położy kwiat na trumnie ofiary doczesności.

Przypatrzmy się wszystkim wielkim mistrzom, a wszędzie obaczym boleść uszlachetnioną, uzacnioną; bo chmury, słoty i pioruny ciągną nad dolinami ziemskiego żywota; do jasnych zaś szczytów ideału nie dochodzą ani słoty, ani chmury czarne, ani gromy piorunów, a ze suchego drewna krzyża cierpień doczesnych wyrastają wonne niebios uciechy. Ale poezya, już dla samej istoty swojej, może rozedrzeć tajnice uciech naszych, bo je znów następnie ukoić i ułagodzić zdoła, bo płynąc rzeką swych harmonij unosi nas, to przez czarne i pełne zgrozy przepaści skalne; to znów wyprowadza w promieniste szerokie doliny, lub przypyływa w cienie gajów świętych, gdzie rozbolale serce nasze, jakby Edyp, jedna się z Bóstwa majestatem, co przebywa w toniach serca naszego. Rzeźba jednak i malarstwo, mogące jedną tylko chwilę uchwycić i tę już na zawsze w dzieło wcielić, trudniejsze mają powołanie. Żołdactwo i siepacze, otaczający Chrystusa Pana, we formie jak ich widzimy na dawnych

obrazach niemieckich, są jakby dźwięki przeraźliwe fałszywej struny, wdzierające się w harmonię ideału. Najwyższy geniusz tu jedynie poradzić przedmiotowi tego rodzaju zdoła.

W tej chwili przypominam sobie dwa obrazy jednego i tego samego mistrza; oba są arcydziełami *Girodet* (*), oba po dziś dzień jeszcze zbierają w Paryżu tłumy czcicieli około siebie, oba nam się za przykład nadadzą. Jeden wystawia scenę z potopu, drugi scenę z Atali. W pierwszym wody załwały świat; na przodzie trup, kołysany igrą rozhukanych bałwanów; — samotna stroma skała sterczy wśród oceanu — na niej wyrasta drzewo. Mąż w sile wieku, dźwigając na barkach swoich ojca, zdrętwiałego starca, jedną ręką trzyma się onego drzewa, drugą podaje młodej i pięknej małżonce, przytulającej niemowlę do piersi swoich. Lecz syn starszy, chwyciwszy z przestachu włosy matki, przechyla ją wstecz; — ona traci równowagę; małżonek z wyrazem okropności, nateżając ostatnich sił, zatrzymuje przepadającą żonę; wtem drzewo ciężarem nagięte łamie się, — i cała ta grupa osób już, już spada w otchłań przewalających się fali. Jest to scena wstrząsająca sercem do dna, i, mimo mistrzostwa swojego, rani duszę dźwiękiem przeraźliwym i pełnym okropności. Wręcz przeciwne wrażenie sprawia drugi obraz *Girodet*, wystawiający obraz Atali. Widz postawiony niby w jaskini ciemnej, obliczem do jej wchodu obrócony; na przednim tle, pod jaskini sklepieniem, wykopany grób. Chaktas i pustelnik, spuszczały ciało dziewicy w łono ziemi. Młodzieniec, roztopiony cichym wewnętrzny płaczem, przytula twarz swoją do kolan umarłej kochanki, a starzec w niemiej boleści cofnął w głębie duszy serca smutek. A w dali, na jasności lasem obrosłego pagórza, świeci krzyż, — koniec boleści wszelkiej.

Znasz zapewne „zasnięcie Najświętszej Panny“, tak pełne słodczy arcydzieło Schoreela; tu we figurach naokoło stojących nie ma rozpacz; albo się wpatruj pilnie w ołtarz wielki Maryackiego kościoła i podziwiał tę świętość i błogość figur otaczających Boga-Rodzicę, co, chyląc się ku ziemi, snem znękana i tonąc w marzeniu anielskim, porzuca życie doczesne. Radbym iście mieć jeszcze sposobność pomówienia z tobą szeroko o tém niedościgłym dziele sztuki.

Sztuka oddycha na wysokościach, kędy nie dochodzi okropność ziemskiego żywota; tu nie dosłyszysz krzyku rozpacz bez końca. W komedii nawet, kędy przecież jedynie o żarty chodzi, rzecz nie powinna się rozwiązywać sponiewieraniem zupełnym figur. Tu komiczność, a wcale nie obracanie w śmieszność, nie szyderstwo, drwiące sobie kosztem drugich, miejsce mieć może; bo komiczność, lubo wykazuje obłęd ludzi, przecież unika zniweczenia zupełnego figur swoich. Potrzeba, żeby figury komedii, choć się przekonają o swej

(*) Anne-Louis *Girodet*, uczeń Dawida, ur. 1767, † 1824 r. Obrazy, o których mowa, znajdują się w galleryi Louvru. (St.)

pomyłce, ostać się jeszcze w sobie mogły, żeby zdołały przenieść na siebie i przetrwać przeciwny im obrót rzeczy. Ztąd wynika, iż ludzie z gruntu źli i ladaco nie mogą być nawet i w komedję wprowadzeni. Komiczność bynajmniej nie na tém stoi, by zgłębić, zetrzeć złośliwość i brudy moralne, lecz raczej na tém, by wykryć sprzeczność w jakiej się niekiedy stawia indywidualność człowieka z prawdą ogólną lub rzeczywistością. Najwyższym przykładem komiczności jest *Don Quixote*; tu ciągle występują te sprzeczności, wszelako, wśród zawrotów umysłu i mgły obłąkania, strzela błyskawicą światło szlachetnej i szlachetnej duszy. A dopiero ów nieporównany *Sancho*, co jakby odwrotnym biegunem pana swojego i wręcz jemu przeciwny będąc, jest najgenialniejszym dopełnieniem, bo stroną odwrotną jego.

Nie tu miejsce, bym rozbierał istotę komedyi i komiczności; podam tylko dwa przykłady z naszego Fredry. Któż nie podziwiał arcydzieła jego *Damy i Huzary*? Otóż pan Major, pan Rotmistrz i Grzegorz, wygadują najprzód na małżeństwo i kobiety, pod niebiosy wynosząc stan wolny i rozkosze jego; niebawem zjazd panny Zofii, panny Anieli i Fruzi, mięsza szyki Huzarom. Każdy z tych panów staje w sprzeczności ze sobą samym i widzi śmieszność swoją i błąd, iż nastawał na małżeństwo jako prawdę ogólną, bo huzary kochają się, chcą się żenić, i w tém druga pomyłka: bo w ich znów wieku małżeństwo staje się niedorzecznością. Komiczny zbieg okoliczności, wyrazy starego Remby, stawiają ich w końcu powtórnie w położeniu komicznem względem siebie samych; jakoż poznają znów sprzeczność między postanowieniem swoim a rozsądkiem. Wracają więc do rozumu, widzą pomyłkę swoją i pobłądzenie; ale choć ich prawda zwyciężyła, nie zabolala ich do żywego; znoszą ją wesoło i z lekkim sercem żartują sami z siebie. Tak gdy pełni radości cieszą się z sobą i śmieją, a pani Orgonowa wchodząc pyta się: „Cóż tu za wiwaty?“ Rotmistrz wesoło odpowiada: „Obchodzimy powrót rozumu!“ A zacny major kończy rzecz całą zarysem, pełnym szlachetności. Przeciwnie w komedyi *Odludki i Poeta* rzecz inaczej ułożona, bo rozwija się na tém, iż Czesław z twarzą zmartwychwstałego staje się dobroczyńcą młodych kochanków, a Astolf, drugi odludek, smętniejszy jeszcze, powiada:

„Sam, sam jestem na świecie, postrzegam w tej dobie,
Ten równie nieszczęśliwy pociechę otrzyma.
Dla mnie tylko natura i uśmiechu nie ma.
..... Koni! bo sobie w łeb strzele!“ (odchodzi).

W tém wszystkiem przeto nie ma nic komicznego, jak mi sam przyznasz; ten Astolf to człowiek moralnie zabity, wskroś zniweczony. Mniejsza atoli już o odludku. Im więcej wpatrzysz się i wyczytasz w dzieła Fredry, tém coraz nowych dostrzeżesz skarbów prawdziwej komiczności; i zaiste nie wiedzieć co w nim więcej po-

dziwiać: czyli tę jego głęboką znajomość świata, życia i serca ludzkiego, czyli też mistrzowskie użycie tych nabytków i prawdziwie artystyczne ich powiązanie. Myslę że i najbogatsza z literatur europejskich jeszcze mogłaby się poszczycić pisarzem, jakim jest Fredro.

Otóż rzuciłem ci główne zarysy istoty ideału w ogólności uważanego. Ale ta istota jego winna być zastosowana do oznaczonego dzieła; wymaga tedy określenia w szczegółach.

Zrada się zatem tutaj przedewszystkiém pytanie, w jakich różnych sferach mistrz może znaleźć ideał swój? Jak stwórcza siła wiekuistego Ojca objawia się w błyskawicznych pomysłach wielkiego człowieka, i w drganiu proszku zawieszonego na słonecznym promieniu, tak twórczy duch mistrza uobecnia się równie na najwznioślejszych ducha jaśniach, jak na zapadłych poniżach natury; wszędzie zdobywa sobie swój przedmiot i wszędzie zatyka sztandary zwycięstwa i podbojów swoich. A ztąd powstają różne sztuki stopnie.

W świecie dawnym nie ma jeszcze wyraźnego stopniowania między sztuką, bo tu rzeczy Boskie i ludzkie zwinęte z sobą drzemią, a świat wiekuisty i doczesny jest nierozdzierzgniony z pierwotnej swój jedności; człowiek przez sen swych zmysłów marzy, a Bóstwo z łona ziemi przemawia wyroczni ustami; Olimp wesolą drużyną swych bogów otacza młodzieńczą myśl świata. Tu człowiek nie doszedł jeszcze do rozróżnienia rzeczy niebieskich od ziemskich, nie doszedł do wyraźnego poznania różnicy między sztuką religijną a światową; ta różnica zrodziła się dopiero, gdy umierający Bóg spojrzal z wysokości krzyża na świat. Świat poruszył się w swych posadach, a z objęcia sennego zmysłów wywinęła się swoboda ducha i sztuka religijna. Bo jak na powiewy wchodzącego ciepła i światła, zadygocą drzewa i gałęzie i wszystkie liście boru, tak myślą o Bogu zadygocą i drgają serca wszystkich ludzi, wszystkich narodów i wieków. Bóg słyzy i rozumie to serc drganie, i mowę wieków i wszech ludów westchnienia, a świat modli się Bogu najzacniejszemi swój sztuki dziełami, bo sztuką religijną, uzmysławiającą świętość. Ale Bóg-Ojciec, Bóg przedwieczny i bezcielesny, króluje na wysokościach niedościgłych dla sztuki, a ideał poczęty w duchu człowieczym, choć nieśmiertelném skrzydłem wzgóre się ma, przyciśniony atoli postacią zmysłową ziemską daremnie pracuje, by się wzniosł do Bożej stolicy na najwyższém niebie. Lecz Bóg-Syn, Bóg wcielony, Zbawiciel, zstąpił ze szczytów wieczności, przybrał ciało, a ideał sztuki stworzył wizerunek Boga-Człowieka. Na miejsce bogów, co rozplynęły się obłokiem, zajaśniała wśród ludzi postać Królowej niebiańskiej, i koło mężów, niewiast duchem Bożym natchnionych, i postacie świętych, apostołów, uczniów, męczenników Pańskich; a na miejscu oniemiałej już wyroczni zabrzmiały jasne proroków usta i rzewnością zapłakały hymny i psalmy święte.

Chcesz-li wiedzieć i czuć, czém jest sztuki świętej, religijnej majestat? — wstąp do przybytku katedr naszych katolickich, ale wstąp z sercem pełnem wiary. Tu w jedno ognisko zebrane, na cò tylko sztuka najwyższa zdobyć się może. Jak niemowlę przejmnie się dreszczem radości, gdy głos matki usłyszy, tak dusza zadrzy tęsknotą wiekności, gdy ją tutaj owieją tchy innych światów. Tu słupce i kolumny śmiałym strzałem ulatują ku niebu, niby modlitw kamiennych oniemiałe nabożeństwa, a rozwijając się u szczytów jakby gałęzie palm pokoju, łączą się z sobą sklepienia łukami; a w przestrzeniach tych wysokich, rozległych, niby szept liści gaju, unoszą się uskrzydłone westchnienia i ciche płacze ludu. Przez wyniosłe okna i malowane szyby, grą tysiącznych promieni wpływa światło niebios rozlewające się oceanem po świątnicy, i bije falami wszystkich tonów jasności i cieniów i szarą pomroką wieczora, a łamię się, świeci i cieniuje po gankach wysoko zawieszonych, dzierganych, fantastycznych kamiennych gzymsach... Jest tu wizerunek rozmaitości i ładu, poetycznej fantazyi i harmonii. Pokój pański zstąpił w ten przybytek i w serce ludu korzącego się Bogu. Rzekłbyś, żeś stanął w przysionku wieczności; uciechy, boleści i nadzieje doczesne, wszystko w duszy umilkło. A ważenie się uczuć naszych, co wiecznie się w nas kołysze, teraz się przechyla; szala rzeczy ziemskich tonie w zapomnieniu, a szala rzeczy niebiańskich wznosi się wiekności nadzieją. — Słuchaj: jęknął grzmiący organów głos; chor zabrzmiał hymnem i psalmem na chwałę Panu na wysokościach, a Pan przybywa na wichrów i piorunów wozie; toczy się muzyka i śpiew, jakby bałwany rozkołysanej powodzi świata, a napelnia przestrzenie wszystkie, odbijając się o sklepienia, łuki i słupce wzniosłe. Świątница pełna głosów, — to wzdychają, sączą się, kwilą pieśnią tęskną, to znów rosną, wzdymają się i kołyszą burzą i gromem. A w tych głosach słyszysz modły, prośby natury całej i miriadów ludzi, i tych co byli, i są, i co będą. Tu czas stracił panowanie, tu wieczność osadziła stolicę swoją. Z pod ostrołukich sklepień głowy słupców zadumane patrzą się na klęczący lud. Na wysokości ołtarza rozpięty Chrystus Pan, obliczem pełnem miłosierdzia rozgrzewa nadzieją i miłością duszę, roztopia najtwardszych serc mrozy strumieniem łez; z nisz i ze ścian świętych jaśnieją malowane obrazy i wymowne postaci niemych posągów, co marmurowemi ustami przemawiają o tajemnicach wiary, o głębinach niezbadanych ducha człowieka i przeznaczenia świata. Tu na tej ziemi żyjesz a widzisz postaci niebiańskie, zaglądasz w życie nieśmiertelne, widzisz je cielesnymi oczyma swojemi i słyszysz słuchem twojego ciała.

Zaiste, tać jest wszechmocna potęga sztuki religijnej, bo ona jest szczytém sztuki wszelkiej. Gdy bowiem w sztuce wyraża się nieskończoność i bezwzględna prawda pod postacią zmysłową, więc też sztuka religijna, uzmysławiając najwyższą nieskończoność, to jest Boga samego, staje się zarazem najwyższym sztuki szczyblem. Ideal

tu jest w najwznioslejszej swojej sferze. Lecz sztuka religijna, jedynie na gruncie wiary serdecznej urosć i rozkwitnąć może; gdzie tej nie ma, nie ma też sztuki religijnej. Protestantyzm zrodzić jedynie sztukę historyczną zdoła; a gdy we Francyi lampa wiary się wywróciła, sztuka zajęła się ubóstwianiem, apoteozą człowieka wieku: piastą jej stał się Napoleon.

Jak słońce jasność swoją nie po samém tylko niebie rozlewa, i na niem zapala gwiazdy niby świece w przybytku Bożym, lecz i na ziemię spływając, gore na szczytach alpejskich, a ztamtąd tonąc w zapadliny ziemskie, zaziera ciasnym okienkiem pod niską strzechę człowieka; tak i ideał zstępuje na ziemię i stwarza sztukę światową. Czem są w sztuce religijnej meze święte, duchem Bożym natchnione, tém w sztuce ziemskiej są wielcy ludzie, wielkie figury historyczne, mające już jasną wiedzę tego, co w reszcie świata spoczywa jeszcze bezwiadomie na dnie serc wszystkich, jakby ziarno przyszłej historii. Takie figury w dziejach świata wyobrażają w swój osobie narody całe i całe wieki; a co w innych ludziach jest dopiero boleścią, nadzieją mglistą, uczuciem, mdłym instynktem, u nich staje się myślą, potęgą zgadującą czasy, co idą, pojmującą pulsa wieku i będącą wyrocznią świata, tudzież wolą silną, działającą. Albo też ideał chwytą ludzi wielkich charakterów, w których potęgą się wzmogła jedna z ciężkiej wagi prawd, jako: chęć sławy, przywiązanie rodzicielskie, synowskie, cześć dla prawdy i słuszności, miłość, przyjaźń, i tym podobne prawdy poruszające serce człowiecze, a którym się owe wielkie charaktery poświęcają i życie za nie dają. Tak psalmy, hymny kościelne, obrazy i rzeźby święte, zamieniają się na dzieła sztuki światowej, na ody wzniosłe, na epopeje, tragedye, na posągi i popiersia czczące pamięć ludzi jasnej chwały. Tu należy także malarstwo historyczne, będące apoteozą wielkich mężów i wielkich czynów. Podobnie muzyka kościelna, święte oratoria, w sztuce światowej staje się arcydziełem muzyki scenicznej i opery, lub pieśnią poruszającą państwa całe i ludy, (jak *Rule Britannia*, — *God save the king*). A architektura katedr i świątnic zamienia się tutaj na budownictwo świeckie, dźwigające grody, pałace rządowe, gmachy publiczne, teatry, galerie, biblioteki, akademie, które kraj cały na chwałę swoją stawia. Te są zjawienia ideału w sztuce światowej. Lecz sztuka ta ma jeszcze inne poniższe szczeble, bo nawiedza poziomą sferę życia codziennego i prywatnego, w którym architektura stawia skromne dworki, domki sielskie, szalasze tatrzańskie, dzwoniące altanki chińskie, mosty ogrodowe, domy schludne po miastach. A malarstwo stwarza obrazy obyczajowe, bamboccyady niderlandzkie. Poezya zaś tej sfery staje przed nami w kształcie romansu, powieści, komedyi. Rzeźba stawia nagrobki, pomniki przyjaźni i t. d.; a muzyka zawtórzuje wesołym pieśniom i przygrywa tańcom hożym.

LIST DZIESIĄTY.

Świat właściwy dla ideału, Sytuacya, Kollizya, Działanie,
Pathos — Charakter.

Stan społeczny stosowny do ideału. — Dzieje Polski. — Murdelion Kaczkowskiego. — Świat sielankowy. — Wiesław Brodzińskiego i starzy sielankarze polscy. — B. Zaleski, W. Pol. — Cząsy bohaterskie Grecyi. — Wieki romantyczne. — Cooper. — Walter-Skott. — Romanse morskie, powieści ukraińskie.

Działanie idealów. — Sytuacya. — Panteony chrześcijańskie. — Indyje i Egipt. — Figury ze sytuacją spokojną. — Przykłady z rzeźby klassycznej i nowoczesnej. — Małgorzata we Fauscie. — Julia Shakspeara. — Kollizya. — Powody które wywołują kollizye. — Powody przyrodzone. — Iphigenia, Hiob, Prometheus, Quasimodo. — Rebeka Walter-Skotta, Ofelia. — Kollizya wywołana czynem. — Potęgi porywające człowieka do działania — przykład na tragedyi: Romeo i Julia Shakspeara.

Złe. — Powody działania w sztuce. — Pathos. — Miłość. — Charakter. — Achilles. — Romeo. — Wallenrod. — Mohort Pola, Ks. Radziwiłł Rzewuskiego i Chodźki. — Kraszewski i Korzeniowski.

Pożegnanie czytelnika.

Pewnego razu, właśnie pod chwilę wieczorną, około kopalni Falunu w Szwecyi powstał znienacka ruch nadzwyczajny. Kobiety, dzieci, górnicy, starcy, ożyli jakimś pośpiechem, zbiegając się ze wsząd hałaśną ciżbą i rozprawiając z sobą — a wszyscy zbierali się w jedno miejsce, jakby wspólne ognisko swęj ciekawości i trwogi. Niesłychane jakieś dziwo przydarzyć się musiało! Bo zaledwie te głośnie tłumy stanęły kołem, a już każdy, cofnawszy głos w siebie, umilkł zgrozą i podziwieniem, i niemy wpatrywał się w osobliwe zjawienie. Wśród koła osłupiałych cichych widzów, spoczywał leżąc na murawie młodzieniec, niby głębokim snem uspiiony; odziany był obcym strojem, nieznanęj twarzy. Nikt nie znał tych rysów jego i tej młodocianej postaci; odzież i bielizna świeża, nowa — a ciało było miękkie w dotykaniu. Znalezione go na dnie trzysta stóp głębokiego szybu, gdzie wody siarkowo-metaliczne przesiały ciało jego i ochroniły od zepsucia. Z ciemnicy podziemnej wyniesiony na jaśnią dnia, zadziwiał zjawieniem swojem; późne, jemu obce, pokolenie nie zasłyszało nawet podaniem o tém nieszczęściu biednego górnika. On, co do imienia nawet wygasł w pamięci ludzi i umarł nawet w ich mowie; teraz leżał niepoznany, zimny, martwy, niezrozumiany wśród cudzego mu świata; postać jego w żadnem sercu nie zbudziła już wtórujących dźwięków, w żadnej duszy nie odezwał się współczucia głos. Sam jeden, spokojny i niemy wśród żywej społeczności ludzi, co teraz głuchym i przytłumionym szmerem obstała go ciekawą

gromadą. On był zaiste towarzyszem młodości ich dziadów. — Ale gdy już cichym szeptem nawzajem się pytają, ktoby mógł być ten młodzieniec, kiedy daremnie badają wspomnień starców zgrzybiałych — patrz, jakaś matunia na kulach, złamana wiekiem, okryta bielą późnej siwizny, chwiejąc się, drżąc, przydzwiga się wiedziona natchnieniem niewypowiedzianego przeczucia. Z lękiem w sercu, z nadzieją i boleścią w oczach, już przecisnęła się przez widzów grono — topi wzrok przygasły i duszę w bladym obliczu martwego młodzieńca. Znagła te jej omdlałe oczy zatliły się błyskawicznym ogniem, z najgłębszego duszy dna wystrzelili rumieniec na twarz, i z jękiem, w który się cała jej przeszłość wcieliła, rzuca się na umarłego młodzieńca, pokrywa zimną twarz jego gorącym pocałowaniem i rzewnymi łzami bolesnej radości. — To jest narzeczony jej! to jej kochanek! — On przed pół stuleciem był jej zaślubiony, i właśnie przed samymi godami weselnymi zginął gdzieś z powierzchni ziemi. Nikt wtedy nie przeczuwał, iż młody górnik, samotnie spuszczaając się w otchłanie kopalni, zapadł się w jej głębiach. Cały świat go zapomniał, atoli pamięć jego gorzała jasnym płomieniem w sercu kochanki; — ona przez pół wieku dochowała mu wierność i miłość rzewną. Tak nadzwyczajna ta para kochanków, znów po latach pięćdziesięciu obchodziła złote wesele swoje. On młody i piękny, jakby w poraniu żywota swojego — lecz zimny, martwy, bez uczucia i niemy; — ona zgrzybiała, nachylona ku ziemi, lecz z ciepłym i bijącym sercem, pełna życia, pełna jeszcze gorącej miłości i tkliwego kochania.

Podobnie, drogi przyjacielu mój, jak ten górnik biedny, tak postać idealna będzie niezrozumiałą, martwą, umarłą, gdy się znajdzie w obcym i niestosownym dla siebie świecie. Ideał, poczęty w tajemnicach fantazy mistrza, i z tych świętych głębin wyniesiony w cudzy świat, w cudzy wiek i społeczność obcą, wzbudzi jedynie nieme podziwienie, będzie gościem z innego świata; nikt go nie pojmie, nikt go po imieniu nazwać nie zdoła, nie wzbudzi w nikim współczucia, żadnego serca dźwięk nie połączy go z tym światem obcym; będzie dla wszystkich umarłym, głuchym i niemym. Jednak dusza mistrza go pozna — on dla niej nie będzie obcym; ona sama wśród ludzi dochowa oblubienca zarysy i uświęci kochanie swoje uściśnieniem gorącym, bo on jej zaślubiony z dawnych lat; ona dochowała mu wierność i miłość rzewną, i wśród obcego świata odprawi z nim złote wesele swoje (*).

Zważ — czyliż dość, aby figura poetyczna, aby ideał wystąpił z ducha mistrza pełen piękności? Czyliż nie powinien mieć jeszcze za tło swoje, za grunt żywotny, świat dla siebie stosowny, świat

(*) Zdarzenie to już często wierszem i prozą opowiedziane zostało. Fr. Hoffman na jej tle rozwinął jedną z najpiękniejszych powieści swoich. Leonhard w tomie III swej Geologii przytacza napis grobowy tego górnika. Ja poszedłem za Schubertem.

idealny? A czyliż każdy wiek, każdy kraj i społeczność każda jest stosownym otoczeniem i ramą dla ideału? Rozwiązanie pytania tego bez trudności nam się wyświeci, skoro przypomnimy sobie z listu zeszłego istotę ideału. Wszak powiedzieliśmy tam sobie, iż do ideału głównie należy, aby był całością w sobie zupełną i odosobnioną, aby zatem nie był wiązany stosunkami do rzeczywistości, aby nitki zewnętrznego świata nie kępowały swobody jego duchowej. Winien tedy być w takim osadzony świecie, w takim stanie towarzystwa, któryby nie wiązał stosunkami osobistej swobody człowieka, któryby nie kępował zupełnego rozwinięcia indywidualności pojedynczych. — Potrzeba tedy dla ideału taką wynaléźć rzeczywistość otaczającą go w koło, aby był zupełnie niezawisłym, aby cokolwiek czyni, czynił przez siebie, bez wpływu obcego, a nawzajem, żeby na siebie samego brał skutki swojego postępowania i odpowiedzialność za czyny swoje. Bo gdyby działał nie wedle siebie, ale wedle obcego natchnienia i okoliczności, jużby te czyny jego i skutki ich w części tylko od niego zależały, a on sam byłby tedy jedynie czéms częstkowém, czéms ułomkowém, a nie jedną całością w sobie skończoną. — Widzisz tedy, iż ten świat będzie tylko poetycznym i stosownym otoczeniem dla ideału, w którym człowiek może ruszać się, żyć, działać i walczyć; i gdy wypadnie, legnąć nawet wedle woli a przekonania swojego. Atoli nie każdy naród ani wiek jest objawieniem takowego stanu.

Oto — weź na przykład dzisiejszy prozaiczny stan Europy cywilizowanej. Czyliż nawet pomyśleć można, aby mistrz, stwarzając figurę pełną poezyi, a pełną poezyi w myślach, uczuciach i czynach, mógł ją postawić w stanie społecznym, w jakim żyją kraje oświeconej Europy? Czyliż nawet przypuścić można, aby tutaj ktoś mógł postępować zupełnie wedle własnego natchnienia swojego, nie obzierając się w koło siebie i nie mając względu na żadne stosunki z rzeczami i ludźmi, i sam w czynach swych być całością w sobie zamkniętą i odosobnioną od rzeczywistości, w której żyje? — Jest to zgoła niepodobieństwem. Bo zważ, im kraj na silniejszych dźwigniony podwalinach, im ukształcenie ogólne jaśniejszym dniem załalo umysły wszystkie — tém téż silniej ustalony ogólny porządek rzeczy, tém téż liczniejsze i mocniejsze są węzły łączące ogół i wszystkie indywidua z sobą — cały organizm kraju składa ściśłą całość. Tu nie tylko prawa, ustawy, przepisy, prawa rządowe, lecz również wielką, a może większą powagę jeszcze mają obyczaj, zwyczaj, zdanie ogólne, formy towarzyskie, a nawet moda. Tu wszystko, tak najważniejsze życia sprawy, jak rzeczy najdrobniejsze wzięte są w karby, w rubryki wiążące wszystkich nieprzebitą siecią. Tu zacząwszy od najwyższego szczytu towarzyskiego aż do najbiedniejszej chatki, nikt z tych karbów, z tych ustaw, praw, obyczajów, opinii publicznej wyłamać się nie może; każdemu ściśle przepisana droga i sposób postępowania; nie on rzecz prowadzi, ale rzecz jego. Gdyby

kto sam chciał pójść własnym torem, a nie pytając się o wyobrażenia przez wszystkich innych przyjęte, zechciał wedle własnego osobistego przekonania postępować, zderzyłby się ze wszystkimi, wystąpiłby w otwartą walkę, w którejby bez zwłoki uległ ze stratą swoją. Wszak formy towarzyskie choćby drobiazgowe, strój nawet, są tak twardo krępującą normą, iż też nikt nie waży się puścić własną fantazyą, a cóż dopiero rzecz o ważnych życia sprawach; tu wszystko stereotypem się stało, bo nie ludzie, ale prawa, ale przepisy rządzą. Tu wszyscy nawzajem tak ściśle z sobą połączeni, iż nikt ruszyć sobą nie może bez ruszania razem wielkiej liczby innych ludzi.

Jakoż w świecie takowym, zwłaszcza w jego życiu towarzyskiem, wszechwładnej potęgi są zewnętrzne formy; formy te nawet równie potrzebne jak wewnętrzna treść, a formy żądają raczej czém nie być, niżeli czém być. Stan taki jest stanem prozy i wbrew przeciwny wszelkiej poezyi, bo węzły rzeczywistości i stosunki z otaczającym światem tak każdego wiążą i krępują, iż ani pomyśleć można, by się z tego świata wyosobnił, i stał się całością w sobie zupełną i ukończoną. Jest to stan rozumowy, bo nie samowolność pojedynczych myśli, ale prawo, ale przekonanie wszystkich ma wagę i znaczenie, i dla tego ma wyższość nad wszelkim stanem poetycznym, który jest stanem walki wszystkich ze wszystkimi. Uważ, jak w stanie podobnym rozumowym i prozaicznym, jak dzisiejszy stan nasz, małe jest kółko, w którym ludzie pojedynczo wedle woli swojej działać i postępować mogą; jestto bowiem kółko samych spraw li osobiście nas dotykających, do niego też więc należy miłość, przyjaźń, powaga rodzicielska, przywiązanie małżonków, dzieci, stosunki majątkowe i t. p. Tu mieści się cała ta ona wojna i walka na szpilki tak drobiazgowa, choć niekiedy tak bolesna. Patrz, ów się kłopotci, iż ma syna ladaco, ten ci się zawiódł na kupnie, tamten się zakochał i szczęśliw jak w niebie, że stanął u celu swych życzeń, tu matka biedzi się z dorosłą córką, ów nie może się ograć wierzyicielom, na tego spadła bogata successya, tamten znów trapi się, że go awans ominął, lub że mu się zaloty nie poszczęściły, ten tłum się z ludźmi, ów rozwodzi się z żoną; wszystkie zaś tym podobne sprawy mogą być jedynie treścią dla powieści, romansu, komedyi, obrazu obyczajowego; ale epopei, ale tragedyi lub obrazu historycznego nikt z tej treści nie złoży, i właśnie też dla tego sama komedya, powieść, romans, życie i mieścić się może w tym świecie powszedniego życia. Czuł to dobrze Schiller, bo gdy zapragnął w życie towarzystwa już uorganizowanego wprowadzić figurę poetyczną, stworzył tę olbrzymią postać Karola Mohr, i uczynił go zbrojcą. Utwór kolosalny — lecz złamany w sobie na dwoje: bo bierze na się obronę tego, co wielkie jest na świecie i szlachetne, a sam jest złoczyńcą i zbrodniarzem — olbrzym, zakrawający na karykaturę. — Ani też nikt nie zaprzeczy, iż kalabryjskie bandyty i opryszkowie nasze karpackie, nie

uznające ustaw i praw, i wodzące ze społecznością wojnę, są to zaiste figury pełne poezyi.

Nie ma tedy wątpliwości, iż stan, w którym społeczność ludzka wyrobiła z siebie niezachwiany porządek i ład, w którym wola ogólna i sposób pojmowania wszystkich jest niby ich atmosferą, którą oni oddychają, taki, mówię, skład społeczności nie jest dla poezyi stosownym. Dla tego mistrz, choć sam będzie członkiem społeczności takowej, sięgnie duszą po za tęj szczupłej rzeczywistości szranki, inne stworzy kraje, inne dla siebie światy; a myśli jego i uczucia i ideały, te dzieci genjuszu, choć zrodzone w zimnym świecie prozy, rozłupają skrzydła swoje, i niby ptaków wędrownych stado, ulecają przed mrozami rzeczywistości ziemnej, dążą po przez te jej góry, skały, równiny, do krainy poezyi, do swęj ziemi obiecanej, której nie zaznały nigdy, w której zima nie zapada, kędy chłody rozsądkowe nie zawieją, kędy wiecznie się uśmiecha do duszy wiosna, a przewodzi im do rajszych krain mistrza wszechmocne tchnienie.

Jeżeli tedy jasno nam się wykrywa, jaki to stan świata nie jest stosownym tłem dla ideałów, tęp samym się już wykazuje, jaki jest istotnie właściwy stan dla nich. Rzecz jawna, iż takowym stanem może być tylko ten, w którym społeczność ludzka niezwiązana i nieustalona ścisłym organizmem, w którym stosunki wzajemne ludzi nie są złożone szczelnie z sobą, a zatęp stan taki, który albo *jeszcze* nie uorganizował się mocno w sobie, albo taki, który się *już* zdeorganizował, który się rozstępował już ze spojów swoich i rozlatuje na części. Tak tutaj, jako i tam, ludzie wyżsi od tłumów, poziomych świecą niby Tatrów głowy po nad ciemne doliny; na nich to najpierw zapala się zorza nadchodzącego świtu, na nich najpóźniej gaśnie dzień jasny, i gdy głębie pokryte już mgły namiotem, ich czoła jaśnieją jeszcze purpurą zapadającej przeszłości. Bliżej gwiazd, sąsiadują z niebem, ale bliżej tęp gromów niebiańskich; a gdy ziemia zadrży w swych posadach, one harde szczyty runą w sobie i przepadną, ogromem swym napelniając otchłanie. Patrz na ostatnie chwile skonanania Grecyi lub Rzymu, na owo krwawe pasowanie się, co wyprzedzało upadek Syonu, a masz przykład jawny, jak ciężkie są wagi ludzkie pojedynczy w czasach, gdy się cała przeszłość zapada i w sobie się roztrąca. Takim tęp stanem rozpadania się społeczności była Francya podczas wywrotów towarzyskich, przy końcu stulecia zeszłego. Dawne stosunki się rozwiązały, a indywidualności oddane własnej sile swojej, na sobie oparte, i swoje i obce dźwigały losy i mogłyby być treścią stosowną dla tragedyi lub historycznego obrazu. Podobnie tęp dzieje Polski, poczynając od śmierci ostatniego z Jagiellonów, z tęp samej przyczyny są czasem i wiekiem obfitym w poezję i we figury idealne. Rozumie się samo przez się, że w epokach przejścia, gdy stan dawny społeczeństwa się rozkłada a nowe zapatrywanie się na rzeczy jeszcze nie nastąpiło, wtedy ze samej istoty rzeczy wypływa, że zwyczajne charaktery czyli raczej figury bez

charakteru, jeszcze bardziej spłowięją i tracą wydatność indywidualną konturów swoich; a ludzie o wyższej, mocniejszej potędze duchowej, nie mając właściwego pola dla siebie, skrecają się w sobie i spaczają się we figury dziwaczne. Taki świat widzimy malowany z talentem znamienitym bardzo w Murdelionie Kaczkowskiego; świat bezbarwny otacza w koło główną figurę spaczoną, będącą koniecznym wpływem czasu swojego. W samym Murdelionie złamały się dwa światy, więc i on jest figurą złamaną w sobie.

Podobnych przykładów rozstrajającej się społeczności mógłbym ci wiele przytoczyć z historyi, przecież stanem równie poetycznym, a może więcej mającym uroku, jest stan społeczności, który się dopiero rodzi, który nie oparł się jeszcze na silnych posadach swoich, w którym cała przyszłość dopiero ziarnem zwinięta. Czyliż tedy dziwno, iż właśnie w chwilach przekipiałej cywilizacji, w epoce wbrew przeciwnej wszelkiemu rozwinięciu się osobistemu, gdy oprócz koniecznych i potrzebnych ustaw, będących warunkiem każdego towarzystwa, wtłoczono na się ciężkie i niewolnicze jarzmo konwencji, ciężar krepujących uprzedzeń, śmiesznych wymagań, gdy ciało i umysł chodziły w szatach obcisłych, dusznych, gdy kał plugawy zepsucia znieważał zacność ludzi i zdrowy rozsądek, cóż dziwnego, mówię, iż w takim czasie umysł, obrzydliwszy sobie rzeczywistość i tknięty niewypowiedzianą tęsknotą, marzył snem dziecięcia o życiu bez zbytków, bez pragnień i pełnem prostoty, bez zawisłości od tysiąca obmierzłych więzów, ściskających niezawisłość osobistą, słowem, iż zamarzył o życiu pasterskiem niby o raju lśniącym wszystkimi barwami wyobraźni, iż że tak zrodziły się sielanki? Świat pasterski, świat sielankowy zdawał się być gruntem osobliwie nadającym się dla ideałów sztuki. Lecz stan ten niewinności i prostoty est zarazem ziemią jałową i głuchą; tu nie wyrośnie silna i potężna poezja, tu nie wzniosą się czyny ogromne, zajmujące umysł i serce swą potęgą, bo w życiu pasterskiem o zbyt małe rzeczy chodzi. Wszystkie chęci i trudy serca ograniczają się tutaj kilku owieczkami, kózką, a walką na fujarki i piosnki. Największem nieszczęściem jest stracona krowka i nieczułość lub niewierność jakiejś pasterki, a gdy się pasterz bardzo zatnie, to grożąc zaśpiewa: „Niechaj ten napis niesie wyniosła mogiła: Phyllis sroga Dafnisa zabiła“. A na tój groźbie się też wszystko kończy.

Małe pokolenia zwykły płakać, czytając Gesnerową (*). *Smierć Abli*, i zaiste dobrze jest, że nad tём płaczą; mimo tego przecież trzeba przyznać, iż rzecz ta cała, jak wszystkie sielanki tego rodzaju, jest zupełnie bladą, mdłą i bez koloru. Budowanie chatki, ptaszek umarły, kwiat skonały, i tym podobne drobnostki, za zbyt małej są wagi, by się niemi zajmować; a po zabójstwie samém płaczliwy Adam

(*) Salomon Gessner, znany poeta szwajcarski, ur. 1730, † 1787 r. (St.)

i sentymentalna Ewa, tak są słodkawe, tak mdłe, iż budzą clikiwość a nie podziwienie, bo to są ludzie bez czynu. Inaczej, lubo nie o wiele doskonałej, postąpił sobie znów *Voss*, wprowadzając sielankę w życie już ucywilizowanych Niemiec. Jakoż te obrazy sielskie jego są wbrew w sprzeczności z sobą, bo jego bohaterzy sielanek chodzą sobie w szlafrokach w wielkie kwiaty, palą fajki, piją kawę, i dla scen sielskich wyjeżdżają sobie fiakrem na dzień jeden na wieś. Kto zaś kawę pije, fajkę pali, w szlafroku chodzi i fiakrem jeździ, winien już tém samém koniecznie żyć w społeczności silnie uorganizowanej, mogącej dostarczać tych przedmiotów mocą rozwiniętego już i rześkiego przemysłu; a tu przecież cały cel sielanki na tém właśnie zależy, aby wystawić świat nieuorganizowany jeszcze, społeczność pierwotną, w której człowiek szczegółowy jest zupełnie niezawisły i sam na sobie się opiera. Poezycy tego rodzaju mają sprzeczność w samym zarodzie swoim, a figury ich niby sielskie są tak czcze, tak beztreściwe, jak one Dafnisy, Tyrsysy, Damony i Phyllidy sielanek zwyczajnych.

Dla tego cześć niechaj będzie *Kazimierzowi Brodzińskiemu*! bo jeżeli słusznie estetycy niemieccy wielbią powieść *Herrman und Dorothea* z tego, iż *Gothe*, kreśląc ją na tle ważnych wypadków, wstrząsających całą Europą, bo na tle rewolucyi francuzkiej, podniósł tém samém znaczenie wątku całego tej powieści, my również prawo mamy wielbić Brodzińskiego, iż za dno obrazu rozwiniętego w *Wiesławie* wybrał wielkie wypadki świata, bo wojnę, co rozwinęła sztandary swoje po całym świecie współczesnym. A tak na całej tej jego powieści tak skromnej, rzewnej i prostoty pełnej, rozlana jest łuna wielkiego zdarzenia, co świeciła nad światem i historią jego. Brodziński w jednym liście nazwał się tylko skromnym dzwonkiem wiejskiego kościołka, mającym tę jedyną zasługę, iż najwcześniej, z pierwszym świtem, przebudził literaturę do porannego nabożeństwa, a który zamilkł, gdy olbrzymie dzwony stolicy odezwały się potężnym głosem, rozlegającej się po kraju całym poezyi. Tak Brodziński o sobie mówi, ale te pieśni jego i ta uczciwa o nim pamięć nie zamilknie, a będzie śpiewać i dzwonić w duszy ludzi, póki zamiętność będzie we czci na świecie. On to był rejem w nowej epoce literatury, a tak znacznie ję zaprzodkował.

A warto też tu z miłością wspomnieć o starych sielankarzach naszych z XVI i XVII wieku, i od serca im się pokłonić. Ich poezycy po większej części są jedynie sielankami z imienia, bo wyższa treść i głębsze znaczenie na dnie ich się ukrywa; czyli rozciągają krwawe ustępy ze społecznych dziejów, czyli rozwijają jakąś satyrę łzami pisaną o biedzie społeczeńskiej, czyli się innego dotkną przedmiotu, zawsze znając, iż tam podłoga jest pełna grozy uważanie rzeczy i pojmowanie wyższe niż zwykle w sielankach bywa. Tutaj możeby było miejsce dla rozprawy bliższej o romansach pasterskich, któremi między innemi celował *Cervantes*. Nie trudnoby nam było wykazać, z kąd im się bierze ten dźwięk tak pełen uroku; przecież miliej jeszcze

zaiste przyjmiesz, gdy zwrócę uwagę twoją na ów cudny obrazek B. Zaleskiego, w którym maluje nam rodzinę Przenajświętszą; jest to sielanka święta, owiana tchem świeżym, uroczym, jakby wiosenny pacierz natury, a szczegóły wszystkie z taką miłością obrobione, żebyś rzekł, że to dyamenty świecą sprawne w złoto, gdybyś ich nie wolał porównać do rosy, co z nieba zrodzona spuściła się na kwiaty, błyszcząc światłością niebiańską, promieniejąc tęczą barwami. Tak też i W. Pol całym urokiem wysokiego talentu skreślił owe poematiki małe, co to niby sielanki tak są proste i naiwne i znów tak są rzewne jak pacierz dziecięcia; są to sielanki podobne do onych obrazów mistrzów włoskich, przedstawiających to Najświętszą Pannę z dzieciątkiem Świętym, to rodzinę Świętą. Wśród cudnie pięknej natury, widzisz Pana Jezusa i S-go Jana bawiących się sobie to kwiatkiem, to ptaszkiem, to igrają z sobą; a w tych igrach i kwiatkach taka lubość, taki wdzięk niewinności rozlany po tych malowaniach, żebyś rzekł, że one snem wdzięcznym aniola uśpionego w rajskich ogrodach, gdyby znów z oczu Matki Przenajświętszej nie patrzyło przecucie o przeznaczeniu jęj dziecięcia, gdyby z oczu samych pacholątek nie promieniła wiekiistość.

A zaprawdę, stan społeczeństwa sielankowy, lubo zostawuje pojedynczym ludziom całą niezawisłość w działaniu, lubo nie mätwa stosunkami wolnego ich ruchu, przecież ta niezawisłość, ani ten ruch wolny nie prowadzi do rezultatów ważnych, ztąd też poezya taka jest zupełnie cikliwa i mdła. Malarstwo tu snadniej sobie poradzić zdoła, gdyż te figury pasterskie mogą mieć znaczenie obrazu obyczajowego, a nawet owce, kózki i inne zwierzęta, należące do ich dworu, mogą być przedmiotem mistrzowskiego pędzla, a nadewszystko urok otaczającej w koło natury zmienić może rzecz całą na pejzaż wielkiej wagi i wysokiej wartości; przecież one wartości obrazów historycznych nie osiągną nigdy.

Nie samo atoli życie pasterskie jest stanem niezawisłości osobistej indywiduów, znajdziesz ich wiele jeszcze, byle się historyi i geografii poradzić. Owoż, ten stan Grecyi dawniej, one czasy jęj na poły mitologiczne, zwyczajnie bohaterskimi zwane, a którebym nazwał epoką romantyczną świata klassycznego, są to czasy bohaterów Homerowych tak cudnemi barwami skreślone w Iliadzie i Odyssei. Tu znajdziesz ludzi całkowitych z jednego odlewu, od nikogo niezawisłych; królowie nawet w rzeczach potocznych sami sobie wystarczają, własnorecznie biją i sprawiają sobie woły i piekają; każdy sam sobie przyrządzić zdoła, co mu do życia potrzebne; lecz ten żywot nie na samych tych błahych sprawach im schodzi, bo to nie są głuche łupiny i słodkawe Tyrsyse; są to ludzie czynów wielkich, męże z pełnem sercem a przeważną głową, niosące jakby na barkach swoich świat, do którego należą, a co który zdziała, zdziała sam przez siebie, nie oglądając się na nikogo wcale. Biorą też całe brzemie odpowiedzialności za czyny swoje na siebie, stawia-

iąc życie swoje na szanę. Żadne też względy ich nie wiążą. Ich stosunek np. do Agamemnona, onego króla królów, pochodzi z ich własnej woli; słuchają go, póki takie ich upodobanie, a gdy im się to nie zdaje, idą za własnym popędem. Atoli czas ten nie tylko jest treścią Homerowych Epopei, jest on też przedmiotem tragedyi greckiej. Tak Aeschylus jak Sophocles i Eurypides w tym czasie heroicznym osadzali tragedye swoje; jedna tylko tragedia *Persowie* Aeschylusa odbywa się w okresie późniejszym, bo w czasie wyprawy Xerksa na Greków; ale za to odbywa się w Persyi, w kraju barbarzyńskim, dalekim od współcześnie wzrastającej cywilizacyi greckiej.

Oto i świat chrześcijański ma wieki swoje idealne a pełne poetyczności; są to wieki bohaterskie nowoczesnej Europy, epoki romantyczności, słowem, wieki średnie — rycerskie. Okres ten pełen cudów uludy, trwał blisko lat tysiąc, a poetyczność jego spoczywała w samej istocie jego. Feudalizm podzielił kraje na drobne dzielnice, a każda dzielnica była całością dla siebie; a kto ją posiadał, był na niej udziałnym, niby królem u siebie, bo lekkim tylko ogniem wierności i honoru połączony z lennodawcą swoim; i o tyle mu obojętne, w pewnych razach mógł nawet *guerroyer le roi*. Przy tej nieuległości samego składu państwa, rozwija się najwyższa niezawisłość indywiduów. Rycerz, byleby miał zbroję i konia, jest panem siebie, rzuca się w świat daleki, niczyj nie potrzebując pomocy, sam sobie wystarcza; nocował, gdzie go noc zapadła, a w najgorszym razie upolował w borze królika, sprawił, i posypawszy solą zjadł na surowo; a tak posiliwszy się tą *nourriture des héros*, ruszył dalej na obronę sierot, wdów skrzywdzonych, i badał, czyli nie ma gdzie jakiej cierpiącej niewinności, potrzebującej walecznego jego ramienia, a przy podanej sposobności kruszył kopią za niezdrownaną piękność damy serca swojego; niczem nie był wiązany, w sobie samym czerpał całą siłę swoją. Dziś takich rycerzy błędnych, chwała Bogu, nam już nie potrzeba, nie mieliby się czego fatygować ku obronie uciśnionej niewinności; dziś jedynym błędnym rycerzem jest — żandarm.

Wpatrując się w ten obraz tak bogaty w tych rycerzy i turnieje, pustelniki, i piękne damy, w te wojny krzyżowe, pielgrzymki do ziemi świętej, w te zamki i mosty zwodzone, w tę galanterię i meztwo, w tę wierność i miłość honoru, i w tę wiarę rzewną, widzisz, iż tak wszystko gra, promieni się, migocze, błyszczy barwami, żebyś rzekł, iż duch młodzieńczy świata we śnie jeszcze, drżemie uśpiony na łące pełnej kwiatów, któremi dech poranny powiewa, a młoda Europa marzy o miłości, sławie, bitwach i Bogu. A tak świat ten piękny drzemał, i marzył i śnił, póki go nie zbudził huk broni palnej i silniejszy jeszcze głos myśli wcielonej w drukowane księgi. Gdy bowiem proch i druk, dwojaka broń, bo materialna jedna, duchowa druga, wystąpiły na jaw, już ród ludzki nagle podrośł, w okamgnieniu spowaźniał i spojrzał się w koło siebie

i w siebie okiem pełnem grozy, przestał być młodzieńcem i poznał, że na niego inne czekają szranki, inne nagrody, że mu wypadnie nie kopią ale duchem na ostre pogonić. Atoli jak oczy umierającego przed samem skonaniem niby gasnąc raz jeszcze migną jasnością, tak też nim ten czas średniowiekowy skończył się, nim go historia pochowała w wieczności grobie, raz jeszcze zaświecił potęgą, raz jeszcze w oku swém zebrał błyskawice całej swój istoty; temi oczami konającego średniowiekowego świata były sztuki piękne.

Patrz, on czas zapadający się w dziejach spojrział na nas duchem Leonarda, Dürera, Ariosta, Michała Anioła, Raphaela, Correggia, Camoensa, Tassa, Cervantesa, Shakspeara. Cały ten wieniec gwiazd jaśniał prawie w jednym czasie; wielu z tych mężów znało się nawzajem z sobą, i nawzajem mieli się we czci i uszanowaniu. W nich, jakby w ognisku, zebrały się promienie całego romantycznego świata; stanęli oni na progu dwóch epok dziejowych, a obok nich męże, jak Kopernik, Baco, Galileus i Kolumb, co należąc już całą duszą do historii nowoczesnej, roztworzyli szeroko wrota dla nadchodzącego nowego porządku rzeczy, który miał zająć stolicę świata moralnego po zgasłym wieku średnim.

Lecz nie tylko przeszłość nastęrcza nam ziemię zdolną do rozwinięcia całego kwiatu ideałów poetycznych, ale przestrzeń kuli naszej tak przeliczne, tak wielobarwne roztacza nam światy i stosunki, iż zawsze znajdziesz stan, kędy indywidualność pojedyncza ludzi rozwinać się może w swój sile, i być panem własnego losu, i na siebie tylko liczyć, i na sobie tylko polegać, a tak stać się treścią dla ideałów. Widzisz, jak tam Cooper prowadzi czytelników swoich do dzikiej i bezludnej puszczy Ameryki północnej, kędy osadnik w walkach ciągłych ze zwierzem, żywiołami i dziczą miejscową, sam sobie wszystko winien, sam wśród rodziny jest jej ojcem, sędzią, wodzem, kapłanem, zdając sprawę tylko sobie samemu i Bogu. Patrz, jak Walter-Skott stawia cię nad zwierciadłem jezior górskich, wśród Klanów szkockich, związanych li tylko stosunkiem dalekiego pokrewieństwa, a naczelnik Klanów jest ich ojcem, panem niezawistym. Indziej znów obaczysz powieść morską, kołyszącą się w okręcie na falach oceanu; ta cała załoga trzymana wprawdzie pod ścisłym ładem karności, lecz ona, odsadzona daleko od reszty świata, jest jedynie wielogłowym bohaterem; w chwili atoli niebezpieczeństwa każdy w szczególności okazuje, czém jest, co wart, rozprzega się całość, rozpryskując się na indywidualności szczegółowe, grające o życie. Czyliż też dziwno, iż na kurlanach ukraińskich jak kwiaty wyrastają powieści? Rozłóg stepowy, niby morze suche, bije bałwanem zielonym kwiecistym swych traw, a wolny jak sokół puszcza się tym stepem kozak. Tu nie go nie ciśnię; gwiazdy i słońce wskazują mu drogę, a ze stepem, i trawą, i kwiatami i rosą oddycha te szerokie i otwarte Boże powiewy. Sicz sama jest ledwie słabym zarodem towarzyskich związków; mieszkaniem jej jest u niej gościem,

sam na sobie polega i w siebie samego tylko wierzy. Grabowski między innemi wybrał sobie tamte strony w powieściach swoich, a w Stanicy Hulajpolskiej umieścił nawet scenę, zwyczajnym sobie taktem, na granicy polskiej, rossyjskiej, tureckiej, kędy tylko słabym odgłosem dochodzi potęga praw i przepisów towarzyskich, dając tedy jak największą swobodę do bujania swym figurom.

Pocóż nam jednak jeszcze więcej wyliczać tych przykładów? Czyliż cała dzisiejsza Arabia, albo cały Wschód nie jest żywą poezją? Czyliż tylko w Ameryce północnej znajdziesz świat, jaki nam maluje Cooper? czyliż go nie spotykamy wszędzie, kędy tylko Europa zetknęła się ze światem pierwotnym, kędy ona postanowiła pierwsze swoje placówki i wydźwignęła swęj oświaty samotne strażnice? Czyliż tu nie znajdziesz podścielisk dla wszystkich rodzajów poezyi?

Kończąc tedy już tę ośnowę, tyle jeszcze powiem, że choć rzecz cała o świecie stosownym dla ideału najbliższej poezyi obchodzi, przecieź nieobojętny on jest dla rzeźby i malarstwa, a nawet dla muzyki; jeżeli muzyka ma być tłumaczem wewnętrznych uczuć duszy, jeżeli najgłębsza treść człowieka ma się wcielić w harmonię, już też przynasz, iż piersi człowieka nie powinny być przytłumione światem zewnętrznym i sprawami jego; z całych piersi, z wolnych dopiero tylko piersi wypada jedynie swobodny śpiewu potok. Dla tego też słusznie w operach scena odbywa się po większej części w świecie rycerskim, albo na Wschodzie, albo w sferze czarodziejstwa i uroków nadziemskich, albo w jakimkolwiek bądź położeniu, nie ściskającym działania figur. Dla tego rzadko widzimy wielkie opery, którychby sceną odbywała się w świecie już uorganizowanym, bo takowy nadaje się nierównie lepiej do małych operetek i wodewillów.

Jeżeli atoli już mistrz zrodzi z siebie ideał, jeżeli mu znajdzie tło właściwe, już też ideał ten winien czynem na jaw wystąpić; bo czynem, bo działaniem tylko, tak człowiek rzeczywisty, jak ideał sztuki, o wewnętrznej swęj treści świadectwo daje. Wszak i ideału istotą jest, by działał; wszak tylko dla tego jedynie trzeba mu dobrać świat stosowny, by na nim mógł samego siebie rozwinąć czynem i dziełem. Treść człowieka, zwinięta w głębi duszy, ocknie się tylko, gdy ten świat zewnętrzny uderzy go w samo serce, ugodzi w same duszy tajniki; wtedy człowiek zerwie się uczuciem, błysnie wolą, i uderzy czynem niby gromem. Widzisz to narzędzie muzyczne, jak nieme, głuche; w niem śpi i marzy niemowłociem harmonia, śpią milczące struny; lecz gdy mistrz, co świadom serca tajników i cudów harmonii, dotknie tych strun, wtedy całe chóry aniołów się zbudzą, napełnią świat niebiańską mową, rzekłbyś, że harmonia nowe zapaliła gwiazdy na niebie, z pączków dziwnej nowej cudności wywołała kwiaty, że piętrząc obłoki na obłokach, złociste powiewne schody do

nieba buduje — rozumiesz, że słyszysz mowę ogromnej rzeki, co z pod Bożego wypływa tronu i zapada w wieczności łono. Tak i struny duchowe w ideale milczą, póki na nich nie zagra ręka mistrza. Nim zaś usłyszymy te tony jego, nim przebudzenie ideału i walkę jego obaczmy, wprzód jeszcze go uważać nam potrzeba w różnych jego postaciach, wyprzedzając tę walkę jego.

Postać idealna, figura poetyczna, postawiona jest tedy wśród świata, który ją otacza; stosunek, w jakim się ona do niego ma, jest jej *sytuacją*; zachowuje tę nazwę, choć nie swojska, otarła się bowiem w języku estetycznym Europy. Owóż ta sytuacja nie zawsze jest walką ze światem, a czasem ideał żadnej jeszcze nie ma sytuacji, bo w żadnym nie zostaje stosunku do świata, lecz zamknięty jest w sobie, w sobie tylko utopiony; świat zewnętrzny nie wywołał jeszcze czynności jego. Jeżeli poezya taki stan, taką sytuację kreśli, toć ona jest tylko epoką przechodnią, stopniem przygotowawczym. Malarstwo jednak i rzeźba, mogące schwycić jedną chwilę tylko ideału swojego, lubią mu nadawać postać nie mającą jeszcze żadnej sytuacji, nie będącej w żadnym jeszcze stosunku ze światem zewnętrznym. Rzeźba zwłaszcza kocha się w przedmiotach tej treści, nadając im cały piękności urok. Tu z pod dłuta, z łona jasnego marmuru zradza się postać śpiącego Amora, tam Jowisza głowa lub innych niebian oblicza spozierają na świat czołem i okiem pełnym spokojnego majestatu. Tam koło Cezarów, co niby bogowie spojrzeniem mierzą świat, — lub święci się Wenus medycejska, lub kapitołińska, ufna w swą potęgę, Pallas welletryjska, Herkules farnezyjski, Bachus indyjski, Eskulapius, Ganimed, lub inne posągi będące arcydziełem starożytności. A w nowej sztuce widzisz Napoleona, co założywszy ręce z kolumny Vendôme duma nad światem, lub Mojżesza i Bachusa, dzieła nieśmiertelnego Buonarottiego. A i w sztuce religijnej mamy całe morze przykładów tu należących.

Oto, wstąp do katedr naszych, gdzie cię otoczy mnóstwo nagrobków, pełnych poważnego uroku. Bo gdy kraj powierza kamienną historję swoją i sztuki swój pomniki Boskiej pajzy i skrzydłu opiekunczemu religii, stwarza chrześcijańskie panteony wielkich ludzi. Któż sobie nie przypomina z lubością kaplicy w Westminsterze londyńskim, nazwaną kaplicą poetów, kędy i Shakspeare w obliczu wieczności duma nad nieśmiertelnością swych dzieł i nad tém, co tu w głębi ziemskiej porusza ducha ludzkiego, i co tam w górze ponad gwiazdami jest stałą, wieczną i nieśmiertelną prawdą. Pomijając już inne tummy, dotknę tylko tu naszą katedrę krakowską; — one Piasty i Jagiellony i król Stefan, co legli marmurem na tych grobach, spokojni w sobie, bo rzecz skończyli ze światem zewnętrznym, skwitowali się z historją; znać, że spoczęli wieczorem po robocie żywota swojego, oddech przeszłości i powiew wiary stoi im na straży. Ich już nie dotyka sytuacja!

W malarstwie znajdziesz osobliwie ten stan bez sytuacji w pierw-

szych okresach sztuki chrześcijańskiej, — zwłaszcza w tym, kilkakrotnie już przezemnie wspomnianym, stylu bizantyńskim, który podziśdzeń w cerkwiach greckich widzimy. Spójrzij w oblicze tych świętych, co ciemną twarzą, pełną grozy, otoczoną tłem złocistém, patrząc w świat, nie doczesność lecz pozaświatne państwo widzą i w niém toną. Jakoż i w sztuce świętej późniejszej i najnowszej często bardzo spotykamy obrazy, w których figury nie mają sytuacji, np. Pan Jezus pacholę, Madonna syxtyńska, oblicze Chrystusa przez Holbeina, Annibala Carracego, i wiele tym podobnych arcydzieł.

Atoli tak grecki jako i chrześcijański świat nie przestał na sztuce i ideałach, nie mających sytuacji, bo dotknął się poznania owocu dobrego i złego, opuścił swój niewinności raj, wstępując w walkę z życiem, a tak rozwiniawszy się sam z siebie, rozwinął także i ideały swoje, nadając im czynność i ruch. Jednak są ludy w dziejach świata, których umysł wiecznie w zarodzie spoczywał, a cała też ich sztuka niemal wystawia ideały bez sytuacji; bo duch ich jeszcze samego siebie nie uznał, ani położył pięt na swojej potęgi na świecie. Patrz na dzieje starych Indów, na ich myśl pierwotną, co jest sercem ich historii, i na ich sztukę, będącą odbiciem wierném téj ich myśli. Oto masz tę myśl główną Indów, tę myśl ich żywotną zamkniętą w wierze o Wisznu. Wisznu, Bóg Stwórca, drzémie snem złożony na głębokim tronie oceanu, spoczywając na samém dnie morskiem, lub na węzu wieczności, a z niego wyrasta długa, bardzo długa lodyga, sięgająca aż na sam wierzch wody; na téj lodydze roztula się kwiat *lotos*, co pływa i unosi się na falach oceanu; póki ten kwiat był pączkiem, póty był światem przed stworzeniem — rozkwitniony, jest światem po stworzeniu; a cztery rozpięte liście jego, są to cztery części świata, niby półwyspy otoczone falą wiecznych wód, a pręciki i miodniki tego kwiatu, są najwyższych gór przycoła; z nich płyną główne rzeki Ziemi. Liście oderwane od kwiatu, płynące samopas około niego, stanowią wyspy oceanu. Z tego pojmowania rzeczy już poznać można ducha Indów. Nie roztaczam ci przeto już tutaj dalej obrazu jego; bo już z tego, co powiedziałem, widzisz jak ściśle jest pomieszanie boskich i ludzkich rzeczy; tu zraza się doczesność i wiekiistość, świat duchowy z fizycznym, bóstwo i świat w ścisłej z sobą są jedności; bóstwo wciela się w materią, a materya wyzwolona z swych więzów staje się duchem, bóstwem. Tu wiecznie trwa przeradzanie się jestestw w siebie; co było, odradza się w to, co będzie; koniec jest początkiem. Cały świat, tak duchowy jak i cielesny, bóstwo i stworzenie, są tutaj dziejami wiecznego przejścia i przeradzania się rzeczy zmysłowych i duchowych; świat, ze wszystkiém co jest, płynie party bez końca przez przeobrażenia wieczne. Wszechbytność jest wędrownikiem, co idzie drogą przez tysiące, miliony lat, przywdziewając na się różne kształty, to duchów, to rzeczy materialnych; a gdy całą drogę odprawi, poczyną znów od początku, a tak wiecznie i wiecznie koniec jest i początkiem,

cała droga jest kołem. To nierozdzierżnienie, ta jedność echem przechodzi w całe życie Indów, w ich sztuki, w ich ideały.

Nie tu jeszcze miejsce, bym się zanurzał w ten świat czarów, i w puszcze indyjskie, będące siedliskiem i teatrem ich epopei, i badał Ramajanę i Mahabaratę, te dwie olbrzymie ich pieśni; słowem tu w tej poezji człowiek i bóstwo, zwierzę i niebo, gwiazdy i drzewa w ścisłym są z sobą związku. Bohaterem w tych pieśniach jest pokutnik; on umartwieniem siebie dokazuje dziwów, pokutą może podnieść się nad siebie samego, zostać Brahmanem; a pokutując przez lat tysiąc, z kolei dostępuje światowładnej mądrości, później wstrząsa potęgą świata, wzdyma fale rozhukane morza, gasi słońca jasność, rzuca lęk na same bóstwa, słowem włada światem jak własną osobą swoją; bo ta moc człowieka nad wszechnicą światów zmysłowych i umysłowych jedynie, ztąd pochodzić może, iż on z niemi jedną składa całość i ściśle z nią jest złączony. Byleby więc umartwieniem ciała zrzucił z siebie część materyalną istoty swojej, byleby ją starł i zniweczył, wtedy znów wraca do stoku pierwotnego wszechbytności; odłączenie jego od istności ogólnej, sprawione ciałem jego, ginie, a duch niby kropla wlewa się w ocean wszechduchowy. Tu nie ma więc silnie odznaczonej granicy między ideałem a światem jego zewnętrznym, nie ma tedy i *sytuacji*, a przynajmniej nie ma jej w zwyczajnem rozumieniu rzeczy.

A budowania i rzeźby indyjskie? W nich wyraźniej jeszcze niż w poezji pokazuje się ten brak sytuacji; owa zaś jedność człowieka z naturą i bóstwem w całej swój sile występuje. Budowania ich, świątnice, grody postawione bogom, podobne do miast i pałaców, nie dźwigają się na jawie, na jasnym słońcu, bo wykute w głębiach skalnych, w ciemnicach podziemnych, a budowania te olbrzymie bez końca ciągną się długimi ulicami obok siebie, nad sobą, piętrzą się w kręzgańki, pałace sparte na całym lesie słupów i kolumn dziwnie rzeźbionych. Tu wieki całe i miliony ludzi złożyły świadectwo swych trudów, twardej pracy; tu pokolenia całe znoili się robotą i tu zaiste razem z bogami swojemi mieszkaly. A to wszystko ukryte w łonie ziemi; bo duch człowieczy z tą matką-ziemią jest w jedności jeszcze i nie wychylił się z jej objęcia. Ich rzeźby i posagi, bóstwa, potwory, w których wzrosło mnóstwo głów, rąk, nóg, postaci ludzkie i zwierzęce, a całość wiąże się i gmatwa w głąb, w nierozdzierżniony motek. Te rzeźby wyrażają wszechrzeczy jedność mglistą zlaną w sobie; tu nie ma sytuacji.

Ten duch Indów, który, jakby ziarno cichemu łonu ziemi powierzone, spoczywał jeszcze w ciemnościach swój architektury pod ziemią, w Egipcie zateśknął niby ku światłu jasnemu, wyrósł kielkiem na powierzchni ziemi, dźwignął się na niej onem budowaniem nadnilowém; architektura Egiptu nie stawia się już pod ziemią ale na ziemi. A dziwne też jest to budowanie, a dziwniejszy jeszcze ten lud, co pielgrzymką przeszedł tym krajem pełnym tajemnic. Tylko

jedna tutaj myśl pokryła nocnym skrzydłem swém i lud ten i kraj: jest to myśl o śmierci; krom niej nic nie ma wagi, a człek w swém dumaniu tonie w otchłani zamroczonej własnej istoty swój, niby w bezdennym grobie. A historia jego jest długą, przeciągłą, jednostajną; wiecznie a wiecznie wybija ona tu jeden i ten sam akkord, a ten ton jednostajny i pełen grozy jest jakby wcielony, jakby skamieniały w te dwoiste szeregi sfinksów, — co w jednostajnych ustępach parami naprzeciw sobie ustawione, zawsze jedne i też same, jakby monotonnym dźwiękiem, prowadzą długą drogą do świątyni, niby do wieczności przybytku. Tu wszystko pokryte śmiercią oponą, a napis na świątynicy Izdy w Sais, wiecznie przemawia do przepływających stuleciów: „Ja byłem — jestem — będę, nikt nie podniesie opony mojej, ale Słońce jest moim synem“. Śmierć jest tutaj osią świata i bytności wszelkiej; — domy doczesne są skromne, biedne, od niechcenia budowane, bo życie ziemskie jest tylko jednym noclegiem, przemianą gospodą niezasługującą na uwagę; groby zaś, te śmierci mieszkania, są olbrzymie, stawiane dla wieczności i przetrwały lat tysiące.

W Egipcie starym nie szukaj poezji żywej, ona obróciła się w granitów hart. Hymnu wzniosłego płomień strzelił obeliskiem ku niebu, modlitwa zbudowała się w piramidę, obtulającą sobą królów grobowce, a dramat zagrał mową onych budowli tebańskich i lasem ich słupów monolitowych, zdziwiających historię; a pieśń tęskni i płacze w tych świątyniach, co od katarakt do Memphis nieprzerwanym szeregiem dumają nad Nilem, toczącym po przez głuche pustynie te fale swoje, niby stulecia uciekające do wieczności łona. Ich epopeją są groby tebańskie wykute w skałach Nubijskiego pasma, owe katakumby i podziemne miasta, co powikłane labiryntem nieskończonych pieczar są śmierci stolicą. Gdy odwiedzisz dziś to ciemne państwo wiecznego milczenia, gdzie jedynym życiem są roje nietoperzów i sów, oblatujących pochodnie wędrowca piskliwym krzykiem i ocieżałem skrzydłem — roztworzą się ci zewsząd ulice umarłych; bo od samego dna podłogi, aż do wysokich sklepień ułożone są warstwami trumny, piętrzące się na sobie, a bez końca ciągną się tych trumien ściany; a tak wszędzie i wszędzie towarzyszą ci tysiącami świadkowie śmierci. Stulecia wszystkie starego Egiptu złożyły tutaj zwłoki swoje; tu i owdzie tylko swawolną ręką Arabów poderwane spodnie warstwy trumien zwały na ziemię całą ich budowę; cała ściana runęła, rozścielając mumje po podłodze pieczar; gdzie stąpisz, noga zapadnie, przebijając się jakby przez próchno, przez stosy ciał, z których kurzawa i mial gruby, ciężki, wznosi się ciemnym kłębem, zatykając tchły i mrocząc światło pochodni. To jest epopeja i życie Egiptu, epopeja śmierci! W tej epopei umarli są bohaterami, a życie całe skurczyło się w brunatną mumię omalowaną hieroglifem, a duch skamieniał w Memnona; tu życie, śmierć, niebo i ziemia, człowiek i bóstwo okryło się zagadką. Życie doczesne jest czechem, martwym

snem, z niem nie ma o co walczyć, a bój i pasowanie się z doczesnością jest tu bez wagi. Tu nie ma tedy i sytuacji artystycznej — tu człowiek się rodzi by umarł. Patrz! na wstępie do średniego Egiptu, jakby na straży, zasiadły dwa posągi Memnonów; zarysy ich ciemne czarnym wizerunkiem odrzynają się na wiecznie jasnych nieba błękitach; samotne, nieme, milczące. Wtedy tylko, gdy ze świtem pierwszym słońce na nie spojrzy, one zabrzmią dźwiękiem, niby językiem długim; jestto głos rodzącego się i umierającego Egiptu; ten jęk jest całą mową jego historyi. A te Memnony i sfinksy, i te bóstwa wszystkie, co pilnują wstępu do tajemnic świątyni, lub zdobią ich ściany, są suche, jałowe; nogi, ręce przyciśnione do siebie, twarde, jakby duch ściśniony powiciem. Najdobitniejszym są one tedy przykładem braku stosunku do świata, braku sytuacji. Atoli oblicze i wzrok tych bóstw, Memnonów i sfinksów, patrzy w otchłań wiekuistą nieba, utopiony w gwiazdach; one pomijają ten świat i tę treść jego biedną, zapominają o rzeczywistości nie istniejącej dla nich.

Podobnej formy, choć barbarzyńskiej, są stare słowiańskie i germańskie bożyszcza, tudzież początek rzeźby i sztuk u wszystkich narodów, jak to widzimy między innemi np. u Greków i Etrusków w pierwotnych ich czasach. Przecież — to ziarno duchowe sztuki, co się w Indyach kryło pod ziemią, tuląc się do Natury, a w Egipcie wykluło się bladym kielkiem ku słońcu, w Grecyi dopiero jaśnieje bogatym kwiatem. Tu duch i sztuka usamowolniona, tu zaczyna się sytuacja; bo człowiek, uznawszy siebie, uznał też stosunek swój do świata, i tu ideał zjawia się oswobodzony w sobie, wyzwolony; to związanie rąk i nóg i sztywność ciała, właściwe Egipcjowi, ginie; duch się wzmacnia, ciało nabiera swobody i wolności — słowem, ideały nabierają sytuacji.

Sytuacja zaś nie staje się odrazu walką, jest dopiero przejściem do niej, jest to sytuacja pełna jeszcze spokojności w sobie; figury już nie dumają więcej, nie zapadają się już duchem w otchłaniach własnej istoty, ale są oswobodzone i wolne; i zatrudniają się sobą. Stopień ten jest osobliwie dla rzeźby stosowny. Posągi, w swój cichy i milczącej wielkości, spoglądają jakby z Olimpu w ten świat nasz śmiertelny.

Dokładniej atoli niż tłómaczenie wszelkie wyjaśniają ten rodzaj sytuacji przykłady z dzieł sztuki głośniejszej i powszechniejszej sławy. Zrozumiesz jednak, iż jak wszędzie, tak i tutaj zastosowanie ogólnych pojęć do przykładów ma swoje trudności; bo gdy teoria rozdziela rzeczy dobitną granicą na klasy, stopnie, i tym podobne odcienia, w rzeczywistości tego silnego odgraniczenia nie znajdziesz, bo często spotkasz się z przedmiotami, stojącemi właśnie na granicy dwóch różnych dzielnic, przechylając się to w jedną to w drugą stronę; tak też wiele jest dzieł sztuki, gdzie trudno by przyszło orzec stanowczo, czyli stan ideałów jest już stanem bez sytuacji, czyli też jest już po-

czątkiem tej sytuacji spokojnej w sobie, będącej cichym ducha żywotem, a którego czynność nie wypływa jeszcze z rozdwojenia ich ze światem, lecz raczej z własnej jego natury. Duch ideałów tu należących jest kryształową wodą źródła, co cichym ponikiem, począwszy się w sercu szczytów alpejskich, sączy się samotnie wśród kwiatów niedostępnej polany; natura tylko słyszy cichą jego mowę, a niebo samo strzeże jego biegu; a płynie milcząc i w pokoju, nim się straci urwistym spadkiem w głębie doliny, nim wzmógłszy się potęgą swej wody, grzmiać i pieniać się, znajdzie się w padolach burzliwego żywota.

Starożytność zostawiła nam najcudniejsze wzory tej sytuacji: Diana myśliwa zdobiąca bytnością swoją Paryż, Apollo lutnista, Amor i Psyche, Amor z łukiem, Apollin i Faun, obaj mieszkańcy trybuny florenckiej, młodzieniec wydobywający drzazgę ze skałczonej nogi, Faun grający na fujarce, i wiele tym podobnych dziwów świata greckiego; a obok nich śmiało postawić możesz wiele arcydzieł Canovy i Thorwaldsena; wspomnę tylko o ich grupie trzech gracyj. Cicha wielkość ducha, wyrażająca się tą sytuacją w rzeźbie, jest najwyższym urokiem; rzekłbyś, iż duch tych figur śpiewa w głębi swojej pieśń nieśmiertelną, nie dochodzącą zewnętrznego świata — sam sobie jest wieszczem, sam słuchaczem. Gdy w posągach tu należących nie ma tego nadziemskiego duszy spokoju, gdy w tej sytuacji figury okazują ruchy gwałtowne, nagłe, szamotające się, wtedy graniczą prawie z karykaturą. Tak np. patrząc na onych kolosalnych marszałków, których niedawno jeszcze można było widzieć na moście Ludwika XV w giestykulacji naglej, w postaci szumnej i nadętej, powiedziałbyś, iż to truppa złych komedyantów, co nagle skamieniała. Turki, dźwigające w kościele zamkowym trumnę króla Jana i Michała, lub te anioły, dmące wzdętą twarzą w trąbę sławy, są jawnymi świadkami upadku uczucia piękności, który tak u nas jako i w całej Europie się pojawił. W sztuce świętej tu należy np. Pan Jezus, dzieckiem będąc, pieszczący się krzyżem albo bawiący się to kwiatem, to ptaszkiem lub owocami — albo igrający ze Ś-ym Janem; — Święta familia oblana spokojnością niebiańską, Chrystus zmartwychwstały, Najświętsza Panna wpatrująca się obliczem pełnem miłości i czci Bożej w postać śpiącego Zbawiciela. Podobne przedmioty są niewyczerpane, i byłoby daremną pracą chcieć wyliczyć choćby najdrobniejszą ich cząstkę. A lubo sytuacja ta osobliwie sprzyja rzeźbie i malarstwu, jednakże i w poezyi okazuje się często pełną cudownego uroku. Taką np. znajdujesz w niektórych miejscach Fausta Goethego. Faust, wszedłszy z Mefistofeilesem cichaczem do komnaty Małgorzaty w nieobecności jej, w zachwyceniu powiada:

Tu powiewa skromnej zaciszy tchnienie,
I rządu i spokojnej szczęśliwości uczucie!

Wśród ubóstwa tego jakież bogactw skarby!
W tém więzieniu jakież niebiańskie wesele!

(*Podnosząc zasłone łóżka.*)

Porywa mnie dziwny rozkoszy dreszcz!
Tu stojąc dawałbym godzinami życie moje!
O naturo! Tu lekkim marzeniem sennych obrazów
Wypiaśtowałaś poczętego w duszy anioła!
Tu spoczywało lube to dziecię,
Pieścąc w piersiach tkliwych ciepłego życia pączki!
Tutaj pod świętym, czystym oddechem
Roztuliła się jasnych Niebios postać!

Tak i Julia, nim poznała Romea, jest aniołem, spokojności pełna, potulna bez granic woli matki swój, rzuca się cała w objęcie jej. Gdy jej matka odkrywa zamiśl rodziców, by ją zaślubić Parysowi, i prosi, by mu się przypatrzyła na balu, Julia odpowiada, że się będzie przypatrywała, ale że o tyle tylko o nim sądzić będzie, o ile matka jej na to zezwoli. Poezya liryczna, przemawiająca o wnętrzu duszy, wylewająca z gorących piersi dzieje tajemnicze uczuć naszych i myśli, najczęściej objawia nam ten stan sytuacji, — tej sytuacji bez walki. Hymny i psalmy zwłaszcza tutaj należą.

Przecież spokojność ta duchowa ulatuje z serca ludzkiego, gdy człowiek, słuchając jedynie własnego natchnienia, zderzy się ze światem i potraci ludzi odmiennych uczuć i woli. Wtedy zradza się kollizya, wdzierająca się w cichą istotę człowieka, a kollizya prowadzi do czynów i walki. W różnych też postaciach i różnych kształtach snują się około nas przyczyny wywołujące kollizyę. Najprzód człowiek, ciałem swoim do natury fizycznej należąc, narażony jest na jej działanie. Prawda, że z naturą samą niepodobna jest walka, lecz katastrofy natury mogą się stać przyczyną kollizji z ludźmi. Tak piękne nam przykłady starożytność nastrecza. Grecy np. wybierają się pod Troję, ale w Aulidzie brak sprzyjających powiewów wiatrowych zatrzymuje drogę ich floty. Wróżby badane orzekają, iż natura nie będzie sprzyjała ich podróży, póki Iphigenia, córka Agamemnona, nie zostanie poświęconą na ofiarę Dianie. Tak Agamemnon i Iphigenia postawieni są w kollizji z dobrem i wolą całej floty greckiej. A przyczyny pierwsze tej kollizji są potęgi natury fizyczne, brak pomyślnego wiatru. Podobnie dzuma, powódź, głód, pożar i inne podobne wypadki przyrodzone, stają się przyczyną zderzenia się z ludźmi. Wszelako klęski, pochodzące od potęg natury, straciły już wagę swoją; gdy religia zaświeciła luną Bożą, stały się one nawiedzeniem Opatrzności, wpływając pociechą w serce ludzi. Duch ten i wiara rumianém światłem otaczają postać Hioba i historję jego, tak cudownie skreśloną w Piśmie Świętém. „Ogień Boży spadł z nieba, i dobytek jego i majątność w niwecz obrócił; wiatr przypadł z pustyni, uderzył we cztery węgly domu, a dom upadł i zgru-

chotał dzieci jego; a Hiob powstał, rozdarł płaszcz swój, i upadłszy na ziemię uczynił Panu pokłon. Niebawem choroby zaraziły ciało Hiobowe od stóp aż do wierzchu głowy jego; a tak stał się pośmiewiskiem i poniewierką ludzi najlichszych. Odstąpiły go dawne przyjaciół, a nawet żona jego, i zwróciły przeciw niemu mowę swoją, dotykając cierpkimi wyrzutami, i złorzeczyły mu gromiąc, że to grzechy jego ściągnęły gniew Boży. Lecz Hiob korzy się Panu, wyznawa winę swoją, w końcu też Bóg przyjął oblicze Hiobowe i błogosławił ostatnim czasem jego więcej niż początkom. A Hiob żył długo i oglądał syny swe, i syny synów swoich, i umarł będąc starym i dni sytym.

Inaczej, i wbrew przeciwnie, rzecz się ma w świecie klassycznym pogańskim; tu inny stosunek jest człowieka do bogów swoich a wyraża siebie w swęj całości w Promethensie Aeschylusa. On tajemnie uniósł zazdrościwym bogom ognia płomienie, co zradzają sztuki, umiejętności i wiedzę, najwyższe człowieka dobro. A Pan Olimpu w zemście swęj i zawiści uderza okropnością swęj kary. Promethus, choć do skały przykuty, harde stawia czoło Jowiszowi, zuchwale wyzywając zemstę króla bogów, sromotą okrywa Hermesa wysłańca jego; a gdy już chwila ostatnia, pełna okropności, nad głową jego się zbiera, Prometheus pełen pogardy, woła:

„Niechaj spada płomieni zar,
I śniegów uskrzydłonych mrozy!
Niech gromów, światem wstrząsających, potęga
Wszystkie jestestwa pomiesza zametem!
Ja nie ukorzę męj głowy! — (w. 902.)

A tak w ostatnięj chwili, gdy cała natura się szaleństwem rozrożyła, gdy zbuntowane żywioły wirem pełnym grozy oblatują go kołem, gdy ziemia drząc w swych posadach pęka, a tartarus, rozciągając się, chłonie go w swe przepaści, on trwa w potędze niezłamanęj woli, i tak przepada do piekieł. Zaczny sposób znoszenia krzywd natury!

Jest zaś inny rodzaj kollizyi, również z natury pochodzący, lecz nie z natury zewnętrznęj otaczającej człowieka, jak raczēj z wpływu, jaki z urodzeniem samém na człowieka wywiera. Zważ np. obraz mistrzowski, jaki nam skreślił *Victor Hugo* w *Notre-Dame de Paris*, obraz owego *Quasimodo*. Natura zrobiła go ohydny potworem i prawie bezrozumnym zwierzem, a tak rozdzieliła go przepaścią nieprzebytą od *Esmeraldy*, przedmiotu miłości jego. W kollizyi tego rodzaju postawiona jest *Rebeka* w *Ivanhoe* *Waltera Skotta*; ona, żydówką będąc, kocha się w rycerzu chrześciańskim. Także miłością bez nadziei jest uczucie *Ophelii* ku *Hamletowi*: ona dziewczica skromnēj przyszłości, on następcą tronu; ta różnica urodzenia, mocą ustaw państwa, staje się powodem kollizyi. Lecz godniejsza dla sztuki i człowieka jest kollizya, pochodząca nie tak od ślepego władztwa

przyrody, jak z własnego czynu człowieka, to jest gdy człowiek własnym i od niego zależącym postępkami stawia się w rozdwojeniu ze światem, gdy tu nie miesza się ślepy traf i przypadek, ale jasna wola i jawny czyn człowieka. Czémże atoli są te czyny? jakież to są te potęgi, co prą człowieka, by działaniem się zjawił? To jest jeszcze jedno z zapytań ciężkiej wagi, które teraz mi rozwiązać wypada. Chociaż rozbiór mój następny prawie do wszystkich sztuk się nadaje, przecież najbliższe ma zastosowanie w poezyi. Miej tu zwłaszcza tragedję na pamięci; bo jak poezya jest najwyższym szczeblem sztuki, tak znów tragedia jest najwyższym rodzajem poezyi; w tragedyi tedy, w ognisku sztuki, teoria znajduje zupełne i całkowite miejsce swoje.

Słońce, duch opatrny natury, stanęło w ognisku zmysłowego świata i ociepla go i oświeca swym promieniem, i trzyma swą siłą na wodzy, by się nie zapadł w przestworzach bez końca; a koło niego toczą się gwiazdy tłumy i ogrzewają się przy tém świetle jego. A promień słońca jest przejrzysty, wiecznie jeden, wiecznie ten sam; gdy atoli spłynie na tę naszą ziemską doczesność, wtędy to traci swoją wiekiustą białość jasną i rozbija się w kolory powlekające rzeczy materialne. Jakoż jestestwa ziemskie mają tylko barwy, a nie stać ich na jasność białą promieni słonecznych, bo barwy nawet świata materialnego nie są w swęj czystości, lecz przyćmione doczesnością. Wszak w całym państwie rzeczy materialnych, które widzimy na kuli ziemskiej, żadna nie ma barwy w swęj czystości pierwotnej, wszystko jest skalane, jakby kurzawą rzeczy ziemskich; i rumieniec róży, i zieloność dąbrowy i błękit niebios, noszą na sobie cechę pokalania materialnego. Gdy zaś jeden z tych jasnych białych promieni wcisnie się w pokój ciemny szczeliną okienicy, niby słowo Boże w doliny ziemskiego żywota, i gdy go uchwycisz słupcem przejrzystym pryzmatu kryształowego, owa jasność biała rozszczepi się na płomyki różnobarwne, i płatami najświetniejszej barwy zaświeci na ciemnej ścianie pokoju, a każdy płomyk zapali się barwą czystą, jasną, przejrzystą, jakiej natura materialna zaznać nie zdoła. Lecz gdy znów nadstawisz tym różnobarwnym promieniom szkło wypukłe, soczewkę, zbiorą się te wszystkie promienie w jedność, zleją się z sobą, i znów złożą promień biały, znów wróci się jasność wiekiusta, co nie zmienia się nigdy i trwa po wszystkie wieki, która sama jest matką jedną i powszechną wszelkiej przemijającej barwy.

Tak, drogi przyjacielu mój, jest jedna prawda ogólna, powszechna; będąca okiem świata, ciągle jedna, wiecznie ta sama; jest to mądrość przedwieczna, co ociepla, oświeca i trzyma świat po przez stulecia i lat tysiące, co, jak planety, wirem ją obiegają, i biorą z niej życie i światło i ciepło swoje. Lecz promień jęj jasnej białości nie zjawia się w swęj czystości w sercach ludzi. W każdym człowieku, miasto onego jasnego promienia wiekiustej mądrości, świeci tylko jedno przeważające uczucie, mające swą własną barwę, swoją cechę

osobną, różniącą go od innych. Przyjaźń, miłość, honor, przywiązanie rodzeństwa, rodziców, chęć sławy, odwaga, przywiązanie do kraju i t. p. uczucia, są to owe cechy nadające piętno ludziom, gdy jedna z nich wyłącznie w człowieku górę bierze. Uczucie to przeważające w człowieku jest zaiste prawdą, lecz tylko prawdą szczegółową, ztąd więc w tém niedostateczną i błędną, że jest prawdą przeważającą, że samo jedno siebie za prawdę uważa, że nie przyznaje innym prawdom szczegółowym tej samej wagi, tej samej wartości, że tém samém grzeszy *onęj prawdzie ogólnej, powszechnej i wiekuistej*, świecącej ożywcem ciepłem, wieczną jasnością przeczystą, która jest źródłem wszelkiej barwy duchowej i ogólnym początkiem wszelkiej szczegółowej prawdy, która je wszystkie zarówno w sobie zawiera. Przecież i te szczegółowe prawdy pojedyncze, rozdzielone w rzeczywistości po sercach i umysłach ludzi nie świecą w nich czystą, niezmaconą barwą, bo są przyćmione pyłem rzeczywistości i zamroczone doczesności tchem (*ob. List IX*). Gdy atoli ten promień biały, jasny wiekuistej prawdy uchwycisz kryształowym pryzmatem sztuki, już on rozszczepi się na różnobarwne promienie szczegółowych ideałów, figur poetycznych, z których każda świecić będzie jedną osobną prawdą, niby jedną barwą tęczy, a prawdy te już okazały się w swęj czystości, uwolnione od pyłów ziemskich; proch i éma rzeczywistości z nich spadnie, bo będą wzniesione nad świat doczesny, powszedni. Tak w sztuce, zwłaszcza w tragedyi, prawda jedna wiekuista rozpromienia się na koło ideałów. Jednak mistrz, sztuka, ma za powołanie swoje uzmysłowienie nieskończoności tej prawdy wiekuistej, która zawsze jest jedna, zawsze ta sama (*ob. list VII*). Nie może tedy sztuka piękna poprzestać na prawdach szczegółowych, wyjawiających się w figurach pojedynczych, lecz winna okazać potęgę wiecznie trwałej *prawdy nieskończoności*, i napowrót wrócić jęj światłość jasną, białą, bezbarwną, winna ją rehabilitować, winna znów zebrać te promienie różnobarwne swych figur w jedno ognisko, zlać je razem. Tak figury tragiczne, z których każda jest tylko wyobraźnikiem jednej prawdy szczegółowej, ją tylko uznając, stają w kolidy, występują czynem i walką przeciw sobie, i grzeszą prawdzie, która jest prawdą wszystkich prawd. Dla tego téż te figury tragiczne giną i ginąć muszą; śmierć ich jest zgubieniem prawd szczegółowych, zlanie ich niby różnobarwnych promieni w jeden biały, wiecznie jasny promień, jest zadość uczynieniem *onęj* prawdzie wiekuistej i jęj krwawą rehabilitacją. Do téj wiecznej prawdy wszystkie prawdy wracają, tak jak z nięj wypływają — ona nie ginie nigdy. Tak się dzieje w sztuce, tak w tragedyi świata. Tak pojmowali teorię kolidy tragicznej wielcy mistrze. Pozwolisz, abym to, powyżej roztoczone, pojmowanie wyjaśnił stosując je do jednego z arcydzieł sztuki.

Zgadujesz już, iż wybiorę najwyższego mistrza wszystkich wieków chrześcijańskich — Shakspeara. Z jego tragedyj najstosowniej

nadaje się na wzór *Romeo i Julia*, bo już i nie pierwszy raz o niej wspominam, a nadaje się tém więcej, iż to dzieło jego najgłębiej rozebrane zostało przez estetyków, na których już opierać nam się godzi. Nie mogę się wdawać tutaj jeszcze w sam rozkład czynności, w organizm jego wewnętrzny, bo nie tutaj miejsce, bym ozna- czył istotę tragedyi; ograniczę się tylko skreśleniem barwy i cechy figur, z których każda jest umysłowieniem innej prawdy szczegó- łowej, i dla tego każda staje w kolidzji ze wszystkimi. Piastą całej tragedyi jest *miłość*; ona tu posiada wszechwładną potęgę, ale wy- raża się w całej swój sile wszechmocną w *Romeo i Julii*. Choć ona w duszy gorącej i gwałtownej Romea innym świeci promieniem niż w sercu dziewiczym jego kochanki, przecież tak jego jak i ją zarówno niewstrzymaną przewagą prze i porywa do zguby; bo oni oboje wie- rzą tylko w *miłość*, w prawo własnego serca, ją tylko uznają za prawdę, a wszystko inne lekce sobie ważą.

Imna prawda szczegółowa wciela się w ich rodziców, będących głowami dwóch zawistnych sobie domów *Capulettów* i *Monteków*; ci wierzą jedynie w *prawo rodziny*, unoszą się prywatą i nie dbają o ca- łość ojczyzny swój upadającej pod brzemieniem niezgody wewnę- trznej; a w tej waśni wrogich rodzin przepada bez nadziei *miłość* dwojga kochanków. Kierowany jedynie widokiem podniesienia świe- tności domu swojego i znaczenia rodziny, *Capulet*, ojciec Julii, prze- znacza ją Parysowi, nie pytając się zgoda w tym wyborze serca swjej córki. Sam zaś *Parys*, młody młodzieniec, wysoko siebie ważący, kocha się w Julii, nie pyta jednak czyli uczucia jego znalazły odgłos w jej duszy. Nie o jej przywiązanie się stara, ale wprost do *rodzi- ców* się udaje, w ich tylko władzę wierząc, i w tém się myli. Dla tego słusznie uważają za mistrzostwo Shakspeara, iż Parys ginie z ręki *Romeo*, bo ten zaiste rzetelniejszy do niej ma prawo. *Tybalt*, z domu *Capulettów*, jest wcieloną *odwagą i ślepą nienawiścią*, kocha bój dla boju samego.

Merkucyo, przyjaciel *Romea*, filozof, zważający wszystkie rzeczy ziemskie z ich strony *żartobliwej, mało znaczącej*, drwi sobie ze świata, ludzi i życia, satyrycznie na świat się patrząc. To stanowisko, jak z jednej strony jest prawdą i dowodzi, że *Merkucyo* uniósł się nad doczesność, tak z drugiej strony jest mylne; życie ma swoją stronę wielkiej wagi i pełną zgrozy. *Benwolio* i ojciec *Lorenzo* są pierwiast- kami zgody i rozumu zimnego, ale słowa ich i starania giną wśród huk rozigranych fali namiętności; bo tam, gdzie serce jest rozko- lysane burzą rozumu, na mowy nie wystarcza.

Jakby na dopełnienie całości Shakspeare stworzył figurę, jaką jest *mamka Julii*, zapatrująca się na *miłość* jedynie ze stanowiska *wyłącznie zmysłowego*. Z początku jej słowa nie są zrozumiane przez serce Julii, dziewicy pełnej niebiańskiej czystości, lecz gdy odgadła sposób widzenia swjej stariej przyjaciółki, już jej nie ufa, odwraca się precz od niej z uczuciem obrzydzenia. Podobnie *służba* wchodząca

do gry, *muzykanci*, nie dzielą nieszczęścia, co gromem na cały dom spada i t. p. są pełni grubych dowcipów, ironią cierpką życia, i służą w rękach naszego wielkiego mistrza za tło, na którym silniej jeszcze koloryt całej sprawy się maluje. Weronia znów, będąca sceną tych dziejów tragicznych, właśnie wystawia nam ten świat uznany przez nas powyżej jako tło właściwe dla figur poetycznych, to jest ów brak ścisłych stosunków towarzyskich, pozwalający swobodne działanie indywidualności. Stan ten wąskiego porządku publicznego i *dobra ogółu, wstrząsanego rozterkami domów przemożnych*, wyobrażone są w osobie księcia Werony. Jest on jedną z najważniejszych figur naszej tragedyi. To groźba, to ustawami, to środkami łagodzącemi radby ukoić waśnie, dotykające boleśnie dobro publiczne. Wszakże usiłowania jego są daremne, nie zdolają uśmierzyć rozigranych niechęci i dumy prywatnej.

Spojrząwszy na te wszystkie figury, na te ideały, które wchodzą do tej tragedyi, wyznasz zaiste, iż *miłość, związki rodzinne, powaga rodziców, mężstwo, uważanie rzeczy ze stanowiska filozoficznego, zdrowy rozsądek i rozum, zmysłowość, rząd publiczny*, są prawdami pełnemi wagi, lecz każda z nich jest tylko prawdą szczegółową, prawdą pojedynczą, i póty tylko ma znaczenie, póki obok niej inne prawdy szczegółowe ostać się mogą, bo one wszystkie są tylko rozpojedynczonemi promieniami tej wielkiej a wiekuistej prawdy, która je wszystkie w sobie zawiera. Jeżeli atoli one staną w kolizyi, a walkę i bój z sobą prowadzą, nie uznając siebie nawzajem, wtedy też one w tej walce giną i przepadają, jako to widzimy w naszej tragedyi. Romeo, Julia, Parys, Tybalt, Merkucyo, giną, a katastrofa krwawa tak wstrząsa sercem pozostałych, iż się godzą i jedną zrzekając się swęj pomyłki; a tak panowanie prawdy wiekuistej, której wszyscy ubliżyli, przywrócone, i znów opatrzenie świeci nad światem. Wszyscy dotknięci nieszczęściem podają sobie ręce, a ostatnie słowa pełne prawdy najwyższej wyrzeka książę, ów wcielony porządek społeczny. — Nie mówmy, iż w tej tragedyi ślepy traf sprowadził smutną katastrofę i krwawe rozwiązanie, bo w tragedyi i historyi nie ma trafu; co się stać winno, koniecznie się staje; przypadek ma tylko pozorną władzę, jest on tylko widomą przyczyną, lecz w głębi, na dnie wszechrzeczy, mieszkają potęgi co niecofnione piszą wyroki.

Kolizya i czynność pełna tragiczności wyraża się potężnie w malarstwie i rzeźbie. Ktokolwiek zna np. Niobę i dzieci jej, Porwanie Sabine, Dwóch Szermierzy, Laokoona; ktokolwiek zwłaszcza przypatrzył się sali Aegenitów w Glyptotece monacheńskiej, przyzna mi, iż to są wcielone myśli i ideały tragiczków greckich i uczuje, iż wśród tych ożywionych marmurów wypadałoby czytać Sophoklesa, by się z nim duchem połączyć.

Jeżeli tedy już zaiste się zgodzisz na takowe zapatrywanie się na rzeczy, jeżeli przyznasz, iż figury poetyczne i ideały są wcieleniami prawdami, lecz prawdami szczegółowemi, i takowe prawdy mają za treść swoją, więc też wątpić już nie będziesz, iż *złe* samo przez się, *złe* istniejące dla siebie samego, miejsca mieć nie może w sztukach pięknych. Bo co innego jest, jeżeli figura idealna, porwana przekonaniem wewnętrznem, popełnia zbrodnię, gruchocząc i łamiąc wszelkie zawady, a co innego wykonywać zbrodnię dla zbrodni samej.

Te ideały są więc, jakem powiedział, jedynie pojedynczemi promieniami jednej wiekustej jasności, z której pochodzą i do której znów wracają, lecz *złe* samo przez się nie pochodzi zaiste od tej prawdy nieskończonej, i dla tego też do niej wrócić nie zdoła. Czyliż z pomieszania cieniów, a cieniów nieczystych, utworzy się jasność? Czyli z dźwięków samych przez się fałszywych złoży się harmonia akkordu? Nie zaprzeczysz iż z tego, cośmy powiedzieli, ideały winny wyrażać jakąś prawdę, a zatem jakiś pierwiastek twierdzący, jakąś bytność uznaną w świecie duchowym. A czémże jest *złe*, jeżeli nie brakiem czegoś? jest ono czémś głuchem i pustem w sobie; każda zbrodnia ma za nicę swoją cnotę jej odwrotną. Co jest niczem, co jest czczem i pustem, nigdy nie stworzy dzieła w świecie umysłowym. Co jest czeze, nie może być poetycznem, jestto najjałowsza proza. Jakaż piękność wzrośnie i złoży się z tego, co jest w sobie już ohydne, szpetne i obrzydliwe? Już nawet sam sposób mówienia oddawna tu orzekł, nazywając czyhy niemoralne, *złe*, czynami szpetnemi, a nawzajem postępowanie szlachetne, *zadne*, pocziwe, uważane bywa za jednoznaczące z czynami pięknymi. Jakież tedy stworzyć dzieło piękności z figur i osnowy szpetnej i obrzydliwej?

Już ze samego stanowiska, rozwiniętego w tych listach, zwłaszcza z tego, com wyrzekł w liście szóstym, wiesz, że ja bynajmniej nie uważam, jakoby moralność miała być celem sztuki pięknej; bo jak z jednej strony sztuka, uzmysławiając nieskończoność istoty człowieka, już tém samém uszlachetnia i uzacnia człowieka, tak z drugiej zgadzasz się, iż ona tego uszlachetnienia nie ma za cel swój główny; ona, jakem powiedział, jest bo jest, bo wypływa koniecznie z istoty człowieka. A w końcu zważ, iż moralność a estetyczność inną piędzią mierzą. Słusznie mówi Schiller, iż czyny człowieka nie zawsze są w tym stopniu niemoralne, w jakim są nieestetyczne. Cóż bardziej nie estetycznem, jak kradzież, kłamstwo, oszustwo, a przecież to wszystko w oczach moralności mniejszem jest przewinieniem jak morderstwo. I zabójstwo i zbrodnia pod pewnemi warunkami mogą być, i bywają bardzo często, wprowadzone w sztuki piękne, ale nikczemność, podłość jest wręcz wszelkiej sztuce przeciwna. Dla tego zrozumiesz, iż nam trudno przystać na wiele figur, które Krąszewski w powieściach swoich skreślił — nie wspominam już o autorach innych literatur.

Zarzucisz mi może, iż wielkie imiona jako Dante, Milton, Byron, Goethe wprowadzają szatana w poezye swoje, a szatan jest przecież wyobraźnikiem *złego* samego przez się, istniejącego samo dla siebie. Prawda, ale też u tych mistrzów szatan ma inne wcale znaczenie, jest on ową wewnętrzną pochopnością człowieka do złego, gnieźdzącą się na dnie serca, miotającą niém i porywającą do zguby. Sam Mefistofeles wyraźnie to potwierdza, bo gdy Faust porzuca umiejętność, nauki, wiadomości, będące dla człowieka właściwém polem nabywania wiedzy, a party nienasyconém i pełném pychy pragnieniem wzniesienia się nad tę sferę, przeznaczoną dla człowieka, ze szatanem zawiera pakta, Mefistofeles rozbiesiwszy się w sobie powiada o nim: „Pogardzaj sobie umiejętnością i sztuką, najwyższemi nieba darami i najszlachetniejszą człowieka potęgą, — niechaj cię usidli kłamstwa duch czarem swych błyskotek i mamidel — a przepadniesz i diabła będziesz własnością, choćbyś mu się nawet i nie zapisał na własność“.

Lecz wracam już do wątku osnowy mojej. Powiedzieliśmy wyżej, iż każda tedy figura idealna jest wyobraźnikiem jednej prawdy, która w niej przemieszkuje, całą jej istotę stanowi i do działania unosi. Rodzi się tedy pytanie, w jakichże kształtach te prawdy i te pobudzające potęgi zjawiają się człowiekowi? Pod jakąż one formą działają na umysł ludzki? — W głębiach zaiste własnych piersi naszych zdradzają się te potęgi, co są władcami losu i żywota naszego; ani zaś zgadniesz, czyli to anioł — niemowlę drzemiące na różach, czyli hydra lęgnąca nieszczęścia, śmierć, zbrodnię i zgubę. Nim atoli człowiek zbadał te tajnie własnej swjej istoty, zanim poznał, iż to w nim samym rodzą się potęgi, co go niewstrzymaną siłą osadzają na szczytach chwały lub wtracają w otchłań ciemną, cóż dziwnego, iż mniemał, jakoby jestestwa nadprzyrodzone wiodły i parły nas do czynów, że bogowie schodzą z wysokiego Olimpu, nagląc człowieka do działań, którychby bez ich rozkazania nikt nie był dopełnił. W świecie chrześcijańskim bogów Olimpu zastąpiły czarownice, gnomy, rusalki, strachy, upiory i tém podobna gawiedź. Atoli w nowej i najnowszej literaturze widzimy tego przykłady. Lecz łatwo poznać, iż wprowadzanie tych jestestw do sztuk, jako potęg działających, nie ma wiele wartości, jeśli te jestestwa nadprzyrodzone, pobudzające do czynu, będą jestestwami zupełnie obcemi dla ducha człowieka, jeśli zostaną zupełnie zewnętrznemi dla niego potęgami, na które on wpływać nie może i które wcale od niego nie zależą; bo już wtedy czyn jego nie jego będzie dziełem, lecz całkowicie, lub przynajmniej w części do onych jestestw należeć będzie; człowiek stanie się tylko ułomkiem, niezdatnym do ideału. W epopei te zjawienia snadniej jeszcze miejsce znaleźć mogą, bo w niej wystawienie jest właśnie zewnętrzném, plastyczném; jest zaś wcale niewłaściwém w tragedyi, bo tu chodzi o to, abyśmy wejrzeli w tajnie ducha bohatera, w jego wnętrze, i z niego zrozumieli postępowanie i czynności

jego. Rzecz zupełnie inaczej się ma, jeżeli te bogi, te zjawiska, które nam mistrz jako osobne figury maluje, są istotnie niczem więcej, jak potęgi i te prawdy szczegółowe żyjące we własnem sercu człowieka. Każdy zrozumie figurę jaką jest np. Mars, Apollo, Wenus, Amor, Minerva; wszak to są jedynie pierwiastki własnej duszy naszej, jak to widzimy w Homerze i w wielkich mistrzach starego świata. Bo człowiek bogami zrodzonymi we własnych piersiach napełniał Olimp i stwarzał sobie niebo na jakie go stać było. Niebo i mieszkańcy jego były zwierciadłem własnej duszy człowieka. Tak i w literaturze chrześcijańskiej czarownice są wcielonym głosem serca Makbeta, a cień ojca występuje isticie, jakby z grobu, z posępną myślą Hamleta. Tak Wallenstein, pragnąc czeskiej korony, widzi w gwiazdach i astrologicznych figurach przeznaczoną mu purpurę.

Ktoś powiedział, iż są chwile święte, co ciszą głęboką uroczystą pokrywają naturę i serce człowieka; gdy drzewa, skały, kwiaty, wody, liście milczą nieporuszone, gdy muszka nie zaszeleści, łąka nie przemówi, obłoki nawet złote zatrzymują się w swym polocie, wtedy, niby dzieci marzeń i ułud, z własnych piersi unoszą się gromadami geniusze, rusalki, świętziarki, co napełniają naturę całą, ziemię i niebo. Lecz myślę, iż silniej jeszcze zdradzają się te jestestwa duszy naszej w godzinach wieczornych późnej jesieni, gdy lasy zaluczają niby sejmem duchów natury, gdy drzewa, gdy gałęzie z sobą się swarzają, gdy wicher na niewidomych skrzydłach szaleje po żyjącej naturze, pędząc przed sobą słupce liści zdartych, zakręcając je wirami, gdy, wpadłszy do mieszkań ludzi, jęczy, stęka, skarży się i kwili jakby upiórów czereda, gdy mgły gmatwają się w utwory dziwaczne, w olbrzymy płasające po równinach, a księżyc, jakby gnany przestachem po przez niebo rozdartych obłoków, to chowa się za chmur szmaty, to niekiedy przez szczeliny, jakby przez okna, na nas spoziera, i znów się kryje; ba, wtedy sama się powiesić złoży, i byle mieć trochę wyobraźni, świat napełni się w koło jestestwami dzikiej fantastyczności i uniesie nas do innych nadrzeczywistych krain. Chwil takowych doświadczał każdy młodzieniec z duszą świeżą i ciepłą; doświadczała ich też literatura cała, póki i ona była młodszą, świeżą i ciepłą. Dość ci wspomnieć o XI i XII wieku, gdy świat, jakby ogrody na wiosnę kwiatami, ustroił się w romanse i powieści cudotworne; a one czasy złote, gdy z duszy Ariosta zrodził się Orlando szalony, a z myśli potężnej Shakspeara wyskoczyły dzieła przedziwnych uroków i barwy, jak: *Burza* i *Sen nocy letniej*!

Zawsze atoli te zjawienia i postaci nadprzyrodzone nabierają dopiero wartości prawdziwej i głębokiego znaczenia, jeżeli one wyrażają te uczucia, co w nas żyją i bez ustanku pracują, bo wtedy jedynie człowiek jest czynny przez się samego i działa przez siebie. Wszelkie zaś powieści fantastyczne, nie mające tej głównej cechy, muszą być, mimo talentu autora, mimo imaginacyi, zawsze czémś czczem, powierzchowném i prozaiczném; bo cóż już może być więcej

prozaiczne, jak posłuszeństwo potęgom przyrodzonym i widziadłom, które lada gdzie, lada komu, lada kiedy, wedle upodobania autora, zjawiają się i przynoszą rozkazy dla bohatera powieści, które znów tenże ślepo wykonywa. On sam jest jedynie ciemnym i bezwolnym narzędziem tych widziadeł, czyli raczej autora samego. Nic łatwiejszego jak pisanie podobnych powieści, byleby samopas pusić imaginacyą, byleby ją rozpoić obrazami rozuzdanej fantazyi.

Jest atoli jeszcze inna postać działająca na człowieka i wiedząca go do czynu; jest to potęga patetyczna, jest to ono *pathos* greckie. Nazwa ta również już przeszła w język estetyczny u innych ludów, dla tego ją też i my zachowujemy. *Pathos* znaczy co do słowa *cierpienie*; w języku estetyki zaś nie wyraża zupełnie toż samo co *namietność*, bo przez *namietność* rozumiemy uczucie mniej lub więcej szlachetne albo niskie i naganne, ale *pathos* wyraża porwanie serca uczuciem znajdującem także odgłos we wszystkich sercach. Są to one prawdy szczegółowe, nie zjawiające się atoli już w kształtach figur i widm, lecz wprost jako drganie wewnętrzne duszy i głos potężny, panujący w sercu i ogarniający całą istotę naszą, jak np. miłość, przyjaźń, przywiązanie rodzicielskie, honor, chęć sławy i inne tym podobne prawdy, których przykłady dopiero co widzieliśmy, rozbiegając figury w tragedyi: *Romeo i Julia*.

Jedna z najpotężniejszych potęg grających w sztuce świata chrześcijańskiego i w całym życiu jego jest miłość. Ona nie była znaną w świecie klasycznym; Grecy i Rzymianie pojmowali ją z jednej tylko strony, bo li ze strony zmysłowości, ztąd też zacność kobiety była w poniewierce i nie uznana w swém znaczeniu głębokiem. Gdy atoli słowo zbawienia wstrząsało myślą ludzi, gdy wiara duchowa osiadła na stolicy nieba i ziemi, gdy człowiek silnie i niewątpliwie pojął życie w innym świecie, pojął też życie w innej od siebie istocie, a miłość zrodziła się wśród ludzi. Miłość jest najpiękniejszym kwiatem, który rozwinął się na ziemi, gdy na nią spojrzano słońce wiary. Cześć dla kobiety była głównym pierwiastkiem cywilizacyi Europy i wyprowadziła ją z grubej nocy barbarzyństwa; bo rycerskie uwielbienie, łagodzące dzikość, surowiznę uczuć, i hamujące rozkielznane namietności, uczyniła człowieka sposobnym do zrozumienia najwyższych prawd, na których oparta zacność rodu ludzkiego i szczęśliwość świata. Stan poniżenia niewiast jest najtrafniejszym dowodem barbarzyństwa narodu, bo dowodzi przewagi siły fizycznej, onej przewagi najwięcej hańbiącej, bo równającej nas ze zwierzem. Tej niewoli nie można przypisywać przewadze umysłu u mężczyzn, bo tej przewagi nie ma. Bóg zarówno podzielił między dzieci swoje przymioty duszy, obie płci zarówno kochając; tu o wyższości jednej płci nad drugą mówić nam nie można, obie są sobie pod względem umysłowości zupełnie równe, choć zupełnie sobie odwrotne, zupełnie odmienne; bo też ich powołanie również jest odwrotne i zupełnie różne. Mąż w swoim, kobieta w swoim zakresie dział-

lając, zarówno są ważnym pierwiastkiem świata; a jak kobieta nie zdoła działać w zakresie dla mężów przeznaczonym, tak zaiste mąż nie wydola z całym swym rozumem zastąpić umysłowe działanie kobiety; i pod względem cielesnym i umysłowym są wzajemnem dopełnieniem siebie i najściślejszymi siebie połowami. Jeżeli tedy nie umysłowej lecz fizycznej przemocy trzeba przypisać stan poniżenia kobiet u ludów dzikich, z tej też przyczyny kobiety odprawiają tam najcięższe roboty, gdy mężowie łowią, polują lub śpią. Czyliż dziwnie się z dzikości i z otchłani nieszczęść publicznych i domowych, póki tam płci obie nie będą z prawa porównane z sobą, póki tam wielożenstwo nie upadnie. Co większa, gdy i u nas w obcowaniu towarzyskiem zdarzy ci się zobaczyć człowieka, co znieważa w czynach i lekkich słowach względy należące się kobietom już pewnym być możesz, iż to z gruntu barbarzyńiec; jakoż, gdy mu się lepiej przypatrzysz, wnet spostrzeżesz, że pod tą swoją, choćby najlepiej ogładzoną i wymuskaną łupiną, kryje serce puste, ciasną głowę i strupiałą duszę.

Jakoż widzę, że uniosłem się po za przedmiot, nawracam tedy do dalszego wątku. Uważmy, że pathos, ta potęga gorejąca w człowieku, będąca główną sprężyną działania jego, winna, jakem powiedział, być tej natury, aby znalazła odbicie i współczucie w sercach wszystkich. I tak zaiste zawsze się dziać będzie, jeżeli istotnie w sztukę te prawdy szczegółowe, wyżej już obszerniej rozebrane, wprowadzone będą; bo one są właśnie takowe, iż obudzą, wtórujące dźwięki w sercach wszystkich widzów i słuchaczy. Czyliż prawdy, wyobrażone przez figury w tragedji *Romeo i Julia*, nie są z tego rodzaju, iż je wszyscy dzielić będziemy, iż w nich samych siebie ujrzymy?

Z tego tedy już jasno wypływa, iż patetyczność nie powinna wpływać z uczuć, do którychby pewnego już przygotowania naukowego, pewnego ukształcenia rozumowego potrzeba było. Jakoż odkrycie nowe i ważne w chemii, matematyce, w historyi naturalnej, zoologii i t. p. umiejętnościach, może nas wprawić w zachwycenie, można nawet dla niego życie swoje ważyć, lecz nie odbije się w sercach wszystkich ludzi, i zrozumiane tylko będzie przez ludzi z pewnem ukształceniem; nie będzie tedy patetycznem, nie może być tedy wprowadzone do sztuki; bo sztuka jest przemową ducha do duchów wszystkich, jest własnością wszystkich jestestw czujących i myślących, bez względu na ich naukowość. Mniej jeszcze patetycznemi bywają ochoty czeze, skłonności i bezwzględne i śmieszne; one nawet w komedji są niestosowne; bo co w sztuce żyje i w ideale się święci, powinno być godne aby też przez innych zrozumianem być mogło. Zachcenia atoli czeze i dziecinne do nikogo nie przemówią.

Tak tedy pathos jest pierwiastkiem, działającym w ideale, we

figurze poetycznej; zważ jednak, iż ta poetyczność, ta prawda szczegółowa, która w nim gore, wcielić się winna we formę rzeczywistego człowieka. Mistrz, chcąc wprowadzić tę pateczność w sztukę, winien sobie stworzyć człowieka, któryby ją sercem i czynami wyznawał, winien wynaleźć w duszy swojej figurę właściwą do wyrażenia tego pathos, słowem, winien stworzyć *charakter*. W charakterze figury idealnej masz tedy dwie strony: najprzód owo ogólne pathos, drugi raz prawdziwego człowieka, nadającego temu pathos pewną barwę i cechę. Wszak nie ma patetyczności powszechniejszej jak miłość, ona sama przez się wzięta w ogólności jest zawsze jedna i ta sama, a przecież nabiera różnej cechy, różnej barwy, wedle charakteru ludzi; miliardy ludzi już się kochało, a każdy kochał innym sposobem, każdy po swojemu, w każdym ona inaczej się objawiała, wedle charakteru a osobistego piętna jego. Tak istota Najświętszej Panny przez wielkich mistrzów jednako pojmowana była, a przecież jaka różnica jest w obrazach wielkich mistrzów! Wszak Madonny Rafaela, choć jeden w nich żyje duch świętości najczystszej, są różne a różne. Przypominasz sobie np. te głowy, które niekiedy dzieciom do przerysowania dają: jedna ma znaczyć rozpacz, druga gniew, tamta trwogę i t. d. — te głowy zwyczajnie nie mają charakteru, bo nie są wzięte z rzeczywistych ludzi rozpaczających, gniewających lub trwożących się, lecz są zupełnie abstrakcyjne. We *Flecie czar-noksiężkim* występuje *Noc*, figura sama przez się zupełnie abstrakcyjna, a zatem zupełnie bez charakteru; trzeba było na to Mozarta, aby pokryć muzyką tę czczość figury samej. Widzimy też jak twardo się pasuje Klopstock w *Messyadzie*, wprowadzając aniołów, bo anioły są czystymi duchami, a jako takie do siebie podobne, nie mogą mieć tedy same przez się barwy i piętna charakterystycznego, różniącego ich od siebie.

Jeżeli zaś patetyczność żyjąca w człowieku powinna mieć na sobie charakter pewnej barwy, więc też tę cechę właściwą okazać wypadnie; co tylko wtedy się stać będzie mogło, jeżeli okażemy charakter ten w różnym położeniu, w różnym stanowisku, w różnych stosunkach do rzeczy i ludzi. Nie sama tylko ta patetyczność winna na jaw wystąpić, lecz bogactwo, mnóstwo uczuć i myśli, okazujące jakim ten człowiek jest, i jakie jego zachowanie w różnych życia przygodach. — Patrz, Achilles w *Iliadzie*, ów bohater twardego męstwa i zapamiętałego gniewu, wleczący zabitego Hektora około murów Troi, ma duszę bogatą i szlachetności pełną; pokazuje nam go Homer to jako tklivego przyjaciela, to znów w chwili gdy ojciec Hektora, stary Pryamus, błaga o ciało zabitego syna, i kłękając przed Achillesem zaklina młodzieńca na własnego ojca, i woła płacząc, że tę rękę całuje, co mu zabiła syna, a rycerz grecki rozrzewniony ze łzami podnosi starca ze ziemi. Albo, aby nie szukać innych przykładów, masz Romea; wszak on, oprócz miłości dla Julii, ma nieprzebraną treść w duszy; bo *jest* odważny i przywiązany do przy-

jaciół, i czy w chwili gdy jest tknięty ciężką obrazą przez Tybaltą, czyli zraniony słowami Parysa, czyli zachowując się ze czcią dla ojca Lorenzo, czyli też konając, w każdym położeniu wyjawia charakter swój i nadaje barwę całej swój figurze; a we wszystkich tych stosunkach, tak rozmaitych, zawsze to jest jeden i ten sam człowiek pełen szlachetności. Rzekłbyś, że charaktery takowe zyskują we wielkich katastrofach żywota swojego; burza, co miota falami ich duszy i do dna je porusza, wymiata z głębi jej skarby ukryte i perły drogic.

Takie ideały są charakterami w całym znaczeniu, w nich nie jedno uczucie świeci samotnym płomieniem, ich istota spogląda na nas całym niebem gorejących gwiazd. — Charakterem w największym znaczeniu jest Mohort, jakim go stworzył Pol; Mohort zawsze jeden a ten sam, czyli na dworcu królewskim, czyli na kresach ukraińskich odsadzonych od świata, czyli nakoniec z szablą w ręku, czyli w klasztorze, czyli wtedy, gdy prawi o niegdyś młodej miłości swojej — on zawsze jeden i ten sam. Różne życia koleje, ciemne i jasne losy jego wygrywają jedynie, jakby na strunach, różne tony na sercu jego, ale te tony wszystkie, te akkordy i pieśni zestrojone wszystkie do jednego kontra-punktu. Albo wspomnij na postać księcia Radziwiłła, skreśloną ręką mistrzowską Rzewuskiego, lub Chodźki — ona zaiste ze spiżu ulana, z jednej sztuki odlana. I Rzewuski i Chodźko przedstawili nam te figury tak plastycznie, jak posąg marmurowy greckiego mistrza, lecz w tym posągu żyją głębie uczuć, serdeczność gorąca, rodzima i niesfałszowana żadnym obcym tchem; możesz się ugrzać ciepłem tej postaci, odżyć jej życiem; jeżeliś omdlał na sercu, a krew w duszy twojej skrzepla, odmłodniejesz tą postacią. Jest to charakter, na który już nie stać świat obecny. Ta plastyczność klasyczna, obok treści bogatej wewnętrznej, prawdziwie romantycznej, jest właśnie zestrojeniem romantycznego i klasycznego świata, jest tedy właśnie cechą najwyższą nowożytną sztuki, przebywającą w charakterze, jakim jest Mohort, jakim Radziwiłł Chodźki i Rzewuskiego, jaki znajdziesz także często w powieściach Kraszewskiego i Korzeniowskiego.

Zebrawszy w krótkości cośmy wyżej rzekli, widzimy, iż jeśli charakter winien być bogaty w sobie, tak również we wszystkich stosunkach życia, w których nam go mistrz rozwija, powinien być jednym i tym samym. Charakter winien być *jednością*, choć rozmaitości pełną; co działa z siebie i jawnie; żadne potęgi ciemne, zagadkowe, nie powinny wpływać na niego, winien być w sobie jasny i przejrzysty, a bez długiego wahania się w czynach, bo wszelka niepewność dowodzi tylko rozdwojenia wewnętrznego i braku jedności duchowej.

Tak tedy skończyłem treść przeznaczoną na tę pierwszą wiązkę listów moich; widzę, że mi przedmiot pod ręką urosł i żem skreślił prawie wszystkie, choć najogólniejsze zasady *Filozofii sztuki*.

Pragnąc dopełnić przyrzeczenia mojego, starałem się o formę mniej ścisłą, mniej surową, jakby może wymagała treść, będąca tak ważną gałęzią *filozofii samój*. Wybaczysz mi tedy, iż niekiedy wśród całego wątku wprowadzałem cię na ustronia, nie będące wprawdzie wprost w stosunku z *Estetyką*, leżące atoli zawsze jakby na granicy jej osnowy, a udzielające i nowego widoku i chłodu wśród drogi naszej. W tym też celu przywodziłem ci dość liczne przykłady, wiedząc, iż za ich pomocą snadniej się porozumiemy. Jeżeli tedy w polocie dotykał to tej, to owęj epoki historii sztuki, i jeżeli wspominał przy sposobności o różnych jej rodzajach, jako o rzeźbie, architekturze, malarstwie, muzyce, a nawet o różnych gałęziach poezji, np. o tragedji, lirze, komedji, sielance, powieści, czyniłem to jedynie, aby przykładami wyjaśnić teoretyczne pojęcia sztuki, w ogólności uważanej, a nie miałem bynajmniej myśli, ani rozebrać ze ścisłością szczegółów wszystkich, ani ci podać systematycznej całości; pragnąłem głównie dotknąć w tych listach, choć powierzchownie, najważniejszych przedmiotów, należących do estetyki, wedle dziś przyjętych wyobrażeń w tej umiejętności, aby się tém łatwiej porozumieć z tobą względem ogólnego zapatrywania się na tę umiejętność.

Jakoż wypadaloby mi jeszcze wiele podobnych listów napisać, zwłaszcza radbym w drugim ich szeregu pomówić o fantazyi; boć to ona jest potęgą twórczą, rodzącą dzieła sztuki. Wspomniałem wprawdzie już dotychczas o tej potędze duchowej, lecz jedynie przygodnie, pobieżnie; teraz wypadnie nam o nią pomówić ściślej i obszerniej, a rozbiór jej bliższy, jak myślę, rzuci nam jeszcze silniejsze światło w dziedzinę tajemniczą piękności.

Zrozumiesz, że wyobrażenie choćby powierzchowne o fantazyi już nam wskaże, że tej sile z wielorakich stron przypatrzeć się należy. Lecz zaiste dwa są najgłówniejsze względy, które się nam nasuwają, gdy mamy rozebrać istotę fantazyi. Bo najprzód możemy mieć na baczności fantazyę pojedynczego człowieka, powtórę fantazyę różnego ludu i różnego wieku. Pod względem pierwszym wypadnie nam bliżej rozebrać tę potęgę wszechmożną, niewolącą mistrza do stwarzania dzieł piękności; — pod względem drugim przyjdzie wyświecić, jak to ona, różną będąc w różnych ludach i w różnych stuleciach, wykwita przeróżną sztuką, dając świadectwo o różnym usposobieniu ludów w historii świata. Otóż widzisz, rozwój istoty fantazyi pod tym dwojakim względem będzie osnową następującego szeregu listów. Tym trybem będziemy mieli sposobność okazania, jak ogólne te zasady teoretyczne, choć zawsze jedne, zawsze te same, przyodziewają się w ciągu dziejów szatami różnych wie-

ków i ludów i jakim sposobem one się stosują do każdego z osobna rodzaju sztuki.

Spodziewam się, że może zamiaru tego dokonać zdołam, lecz tu wszystko głównie od tego zależy, czyli to, com już skreślił, do smaku ci przypadło, i czyli, czytając te listy, choć w częstce doznałeś tego zadowolenia, które ja czułem pisząc je do ciebie. Przejrzyj niedostatkom, które bezwątpienia często w tej mojej pracy spostrzeżesz, a wierząc, że ci z całego serca wdzięczny jestem, żeś tak cierpliwie zechciał doczytać się końca i raczył tak życzliwie pójść za wątkiem osnowy całej — *Vale et fave!*

LIST JEDENASTY.

Fantazya i bliższy jej rozbiór.

Wstęp. — Wspomnienia przeszłości nie są samém przypomnieniem. — Fantazya posagiem ducha ludzkiego. — Fantazya, mądrość, cnota. — Fantazya i rzeczywistość. — Fantazya, jako czynność duchowa, wszystkim ludziom wspólna. — Fantazya strojąca rzeczywistość, ale takowa fantazya nie jest jeszcze fantazyą artystyczną. — Warunki, aby być mistrzem i powołanie mistrza. — Walka mistrza z trudnością techniczną. — Henryk Stattler. — Jeżeli treść dzieła będzie pierwój w myśli poczęta niż forma, wtedy nie zrodzi się dzieło sztuki. — Rzeczywistość, mogąca być treścią dla sztuki. — Allegorya nie jest dziełem prawdziwej fantazyi. — Chwila natchnienia jest chwilą rodzenia ideału. — Zdanie Platona.

(Dwanaście lat później.)

Młodości porannój wspomnienie, to zielnik stary, bo w nióm wszystko przechowane z dawnych lat; — co serce niegdys ukochało, co szczęśna podała chwila, lub przygoda ciemna w tęsknej zrodziła godzinie, toć spoczywa wszystko oznaczone w duszy głębi to listkiem róży, to gałązką cyprysową, to ułamkiem wawrzynu lub fijołkiem cichym. A zmarły róże jak miłości młode, zbladły zawczesne tryumfy młodzieńcze jak wawrzynu listki; a uczucia wonne duszy żółkły jak fijołek biedny i umilkły w piersiach pogrzebione żywcem; dochowały się same jedne pamiątki cyprysowe — owe niezabudki młodych łez.

Młodości lata — one rajske ogrody strojne kwiatów rojem, pojone niebios rosą, — one dziś głuchym, rozłożystym cmentarzem; wśród jesiennój szarugi życia, na grobie czarodziejskiej uludy, wśród mroźnego świata tchu, stanęła posagiem troska błada. One radości kwiaty wszystkie oddały niby dusze swoje; — a te ich dusze umiosły się w górę i dziś przyswiecają nam gwiazd ogrodem; więc też człowiek, w tęsknocie swojej, tak chętnie okiem w gwiazdach tonie i po-

wierza im serca boleści i łamania swoje; a gwiazdy, cichą stopką po niebie chodząc, słuchają tych żalów jego, w serce chore pociechą świecą i płonącą dróżką swoją na niebios przestrzeni wodzą pielgrzyma po zamroczonej ścieżce ziemskiego żywota.

Świecą w chore serce gwiazdki niebiańskie, rozjaśniając ciemne ducha tęsknice! Więc — patrz! w miejsce zmarłych miłości róż, laurów zawodnych, a wonnych ogrodów marzeń, zapłoną w sercu firmamentem światła, których nie przyćmią nigdy ziemskie burze, ani przygaszą wichry jesienne żywota. Poznasz, że jedynie co doczesne umarło — co zacne, wieknieste, uniosłeś z sobą po wszystkich twój wiek.

Tak, komu zacnego ojca uśmiech był jutrznią ducha a nieskaziona cnota wzorem, kto jego błogosławną modlitwę wziął posagiem w świat; z kim za dziecięcych lat matka, miłości pełna, prawila o kochaniu ludzi, o bojaźni Bożej, o zmarłych braciszkach, co dziś już aniołkami proszą za pacholątkiem, pozostałem na ziemi, by było dobre i pobożne; kogo wypiaستowały zachość i święty obyczaj domowy — ten zaiste nie będzie samotnym na świecie, bo nieśmiertelna jest puszczona miłości rodzinnej i cnoty ojcowskiego domu. Choć mu nie jedno w sercu zgaśnie, choć mu życie zbiednieje, a niejedno uczucie lodem zajdzie, nie będzie samotnym na świecie. W chwilach szarych, ekliwych, cofnie się w siebie, zamknie się w sercu własnym, jakby w przenaświętszej świątnicy istoty swojej; w cichocie uroczystej, sam na sam z Bogiem będąc, tajemniczniej treści ducha swojego da posłuchanie, — i pojawi mu się postać ojca, co napoi pociechą i posili otuchą w sobie; — i stanie przed nim matka i pochwali i przytuli i scałuje boleści trud ze znękanego czoła. A te postacie ich, wolne i swobodne od ziemskiej niemocy, odziane będą nieskończonym niebiańskim wdziękiem, i wstaną z martwych najdroższe młodości kwiaty, a wszystkie jej radośnie obrazy wypłyną z przepaścistych duszy głębin; zbudują się znowu stare, ściany ojcowskiego domu, i znowu zahuczą ochotą wesołą towarzysze z chłopięcych lat; a roztoczą się barwą tęczową malowane wizerunki gajów, łąk, potoków, onych świadków dawnych młodzieńczych marzeń. A te wszystkie obrazy, te wszystkie postacie, ochuchane czarodziejskim urokiem, zabrznią światłem i cieniem, barwą i harmonią, jakby z innego świata wysłanniki. Wszak w chwilach takowych i to nawet życie rzeczywiste, obecne nam, co tak ubogie, tak puste, co nie dostało przyrzeczeniom szczęścia, co nie dotrzymało słowa młodości nadziejom, i to nawet życie zrzuci z siebie żebracze szaty i uśmiechem, jakby czarnoksiężniczka w bajce, okaże ci w głębokim podziemnym szybie górskim gorejące skarby i klejnoty błyszczące, których się dobierzesz, bylebyś je w imię Boże zaklął miłością i zaczął a niestrudzoną nigdy pracą. I tak pogodzisz się ze światem.

Lecz powiedz, zkąd tym dawno zmarłym postaciom ten wdzięk nadziemski i ta uroda jakby od aniołów pożyczona? zkąd im ta wie-

czna młodość, co nigdy nie starzeje choć się zjawia w najgłębszej życia twojego jesieni? z kąd tym obrazom ta czarodziejska barwa, co nie spłowiła, nie przygasła, choć one tak długie lata przeleżały w otchłani pamięci twojej? Wszak gdy wzrokiem serca obaczysz twojej matki wizerunek święty i to jej ostatnie pożegnalne spojrzenie, co utonęło na zawsze wiekuistości promieniem w duszy twojej, już i sam sobie widzieć będziesz w ówczesnej młodocianej, prawie pacholęcej postaci; tak to dawno, tak bardzo dawno od owiej boleści pełnej a uroczystej chwili. Wszak i grono szkolnych towarzyszy od tak wielu lat przebrzmiało gdzieś echem po świecie; — ten spoczął w małej jeszcze trumience, tamten znów wysoko podrzucił świecisty los; ów przepadł gdzieś w młaku; owemu znowu dawno na skon „zadzwończyły konie kopytami a wojacy ostrogami — a wypila oczy wrona z dalekich stron.“ (Stara pieśń.)

Pytasz z kąd te dziwy? — Pytaj się własnych piersi twoich; wszak to ty sam te obrazy odziałeś pięknością, ty sam w nie tchnąłeś anielskie wdzięki, poczęte we własnym duchu twoim. Tyś własnymi oczarowany czary. Ot patrz, w cichej istocie duszy naszej składa zewnętrzny świat wizerunki swoje, wmykają się w nią tłumne postacie, zrodzone w rzeczywistości ziemskiej; więc też nie dziw, że te postacie a obrazy tak są niby prozaiczne, powszednie, bez barwy, blasku i dźwięku; one tam gdzieś na dnie ciemnej otchłani duszy leżą zapomniane, przyprószone. Gdy atoli życie uderzy w nas brzemieniem swoim, gdy urazi dawne, bolejące jeszcze rany, lub gdy dźwięki radośnie świata rozbudzą dawne, oniemiałe w sercu wesela, — wtedy odpowiednie im wizerunki zadygocą w sobie, wtedy duch nawróci ku sobie i wstępuje w głębie swojego wnętrza, wtedy on zajaśnieje płomieniem jakby z nieba spadłym, a owe wizerunki i postacie zapomniane, przyćmione, jakby na kryształowych szklach malowane figury latarni magicznej, przepromienione teraz poświatą czarodziejską ducha twojego, zjawiają się zewnątrz ciebie i przesuwają się będą po przed oczy istoty twojej wiekuistej; będziesz je widział pływające we falach nieskończonej, niebiańskiej piękności. Tak jest, to twoja własna sprawa; te uroki, jakby z nad gwiazd zrodzone, to duch twój własny, który się z nich do siebie samego uśmiecha niebiańskim obliczem; on to we własnych zrodzeniach swoich tak się rozmyślał rzewnie i siebie w nich uwielbił i do nich serdecznie się zamodlił. Nie pytaj przeto już, z kąd przyszła tym postaciom owa piękność nadświatna, z kąd one tak anielskie, tak przeczystego uroku — oto, w duszy twojej rzewnie i uroczysto. Te przeto wszystkie obrazy są jedynie naczyniem ducha twojego, jego szatą widomą, mową niebian, przetłómaczoną na język ziemski.

Przecież potęga duchowa, która dokonywa tych cudów, która zdoła nadać nieskończoności ciało, nie jest samém tylko przypominaniem, nie jest ona jałową wyobraźnią, umiejącą jedynie cucić kopie wierne, dagerotypy niewolnicze, choć zwierzałe, przedmiotów

zewewnętrznych; tą potęgą, odziewającą wiekuistość we formy doczesne, jest — *fantazyja*.

Widzisz przeto, że fantazyja będzie w człowieku ogniskiem piękności wszelkiej. Jeżeli tedy powyżej rozprawiałem z tobą raczej o sztuce samej przez się, teraz rozsnuć ją jeszcze wypada ze stanowiska mistrza, zbadać bliżej tajemnice zrodzenia się jej w duchu człowieka. Jak atoli tam rzecz sama często niewoliła nas do mówienia o mistrzu, tak niechaj ci nie będzie dziwno, że teraz znowu tu i owdzie znajdziesz dotknięte prawdy, roztoczone już w poprzednich listach. Co tedy sobie jeszcze teraz powiemy, będzie w części istotnie nowym przedmiotem, a w części rozwojem bliższym dawniejszej treści lub nowém jej powiązaniem. A nie pomału nas też wszystkich obchodzi rzecz o fantazyi, bo przecież każdy z nas wziął ją choć w pewnej mierze udziałem.

Wszak z tego, cośmy sobie już dziś rzekli, zgodzisz się, że fantazyja nie jest jedynie ową drwiącą czarodziejską królową, panującą w państwie zaklętym złocistych ułud sennych, która pieszcząc się a igrając z biednym ziemskim synem, jakby z dziećciem płaczącym, podaje mu zrazu zabawki błyskotne, świecidelka i fraszki figlarne, a później upaja gusłami, usypia w brylantowych pałacach, a kołysząc śpiącego w wonnym kielichu kwiatów, otacza chórem rusałek cudownych, co, urzekając uśmiechem miłośnym, śpiewają mu pieśni o szczęściu niewypowiedzianem i muzyki falami unoszą po nad padół trósk i kłopotów, aby po krótkim oczynieniu obudzić niebożę wśród pustek jałowych zwyczajnego życia, wśród bied i zawodów. Nie zaiste, fantazyja ma inne, wyższe jeszcze znaczenie.

Patrz, w Sykstyńskiej kaplicy Rzymu, w tej kaplicy wiary i piękności cudów, choć kopciem znieważone, płoną w nigdy niewygasłym majestacie myśli Michała Anioła. Rzekłbyś, że tytaniczny geniusz jego zbuntował się i zgruchotał ciasne szranki ludzkiej siły, że powstał w groźnym zuchwalstwie swojej potęgi, że nie barwą, nie pędzlem, ale grómem wywołał te dzieła swoje na podziw wszystkim pokoleniom a na chwałę ludzkiego imienia. Gdy na ścianie ów *sąd ostateczny*, mroźnem ścina pulsa duszy twojej i zagląda strachem w głębinę serca, gdy z niego grzmi wołanie onej pieśni straszliwej:

Quantus tremor est futurus,
Quando iudex est venturus,
Cuncta stricte discussurus!

Powyżej pełnego zgrozy sądu tego, na wysokim stropie, roztoczone są obrazy Księgi rodzaju, a występuje tam jeden z nich co każdemu, który go raz obaczył, zostanie w duszy na życie całe. — Już jakby uczyniony był „rozdział między światłością a ciemnością“ już stał się zaranek natury, i, jak orlęta młode, już wykluczyły się z zamętu materji światy a brzmiała weselem harmonia sfer; ziemia nowo zrodzona drgała z radości, że była zrodzoną, i ustroiła się świątecznie

w płaszczy swoich puszczy, kwiatów, łąk, woni i barw, i śpiewała uwielbienie Ojcu a wtórowały jej piorunne mórz organy; a wszelkie żyjące odetchnęło już życiem młodem i cieszyło się, że było wezwane na natury gody. Wśród powszechnej radości atoli sam jeden człowiek omdlały głuchą niemocą legł na jałowej skale, najuboższy ze wszystkich jestestw stworzonych. Wtém od ostatnich biegunów wszech światów zagrzniały wichry Boże, zatrzęsły się wiekiuste przestrzenie, ich nieskończoność znikła, tuż przed Adamem unosi się Bóg; — Pan'owiany szatą wszechmocności, pod jej rąbek tuli się aniołów grono — wysłańcy opatrnej miłości jego; — Adam w niedoli dźwiga ocieżała błagalną rękę ku Ojcu. Pan dotyka się jej palcem; gromem błyskawicznym zadygotał duch człowieka — iskra wiekiustości wstąpiła w praojca ludzkiego rodu.

Tę to chwilę ujął nieśmiertelny mistrz a dzieło jego świadczy, iż w nim samym buchnęła spotęgowanym płomieniem owa iskra Boża. Ten płomień, dany z nieba ludzkiemu rodowi posagiem, przechodzi już z pokolenia na pokolenie i przepływa świata dzieje.

Gore w człowieku iskra nieskończonej prawdy. Ztąd dana mu wiedzy potęga, by poznał prawdę we wszechistnieniu; dana mu wola, by żył wedle ustawy wiekiustej; dana mu jest moc, by tworzył istnienie wedle wiekiustej prawdy. Niechaj tedy człowiek, ile sił swoich, iści tę wiekiustość; niechaj duchem swoim ogarnia świat i w nim się przegląda.

W Bogu wiedza, wola, moc są nieskończone; są więc w jedności; w Bogu wiedza jest wola, wola jest mocą. Lecz w duchu stworzonym wiedza a wola, wola a moc różne od siebie są. Ztąd ów wiekiusty płomień rozszczepia się w człowieku na trzy różnobarwne promienie, lubo wszystkie trzy pochodzą od jednego światłości stoku. Tak w człowieku po wszystkie wieki prze i robi pragnienie dosłużenia się ciężkim trudem wyższej a wyższej mądrości; w nim pracuje nieukojoną tęsknotą nastrojenia woli swojej do harmonii nieskończoności, która wszechświatami władnie. Ztąd to łamanie się i pasowanie jego z sobą, by nie był dźwiękiem fałszywym w hymnie wszechduchów stworzonych, by nie był pysznym aniołem, odstępca od Bożego zakonu, aby się uczynił jego wyrazem, jego żywem słowem, dorabiając się coraz wyższej a wyższej zacności. Nakoniec człowiek dokonywa zadania swego, stwarzając znikomą ręką uwidomioną postać wiekiustości przebywającej w sercu jego; a tak w dziele własnem oczyma, uszami swojego ciała widzi i słyszy nieskończoność. Tej twórczości sprawą, dziełem, jest piękność a jej poczęciem w mistrzu jest — fantazya.

Ztąd mądrość, zacność, piękność, tak różne od siebie obliczem, są jednej niebiańskiej matki córą (*).

(*) Poznanie, wola i pierwiastek bezwzględny, tkwiący w duchu człowieka. Wykład systematyczny Filozofii. Filozofia ducha, § 344.

Bóg stwarza nie dla siebie ale z miłości dla jestestw stworzonych; człowiek tworzy, bo nie może nie tworzyć, twórczość jest mu dana; on tworząc wykonywa zakon, który był przed nim; on tworzy nie dla ubocznego celu jakiegoś, ale dla tego, że jest człowiekiem, by nieskończoność własną ujrzał w dziele swoim. Fantazya przeto nie jest przypominaniem żywcem przedmiotów rzeczywistych i mar-ném ich naśladowaniem; ona nie jest wyrobnicą płochą błyskotek; ona z nieskończoności człowieka ma swoje pochodzenie i dla tego właśnie świeci iskrą Bożą we wszystkich ludziach i po wszystkie wieki. Przeto też ten Boży pierwiastek żarem płonie w potęgę a uroku cudownym fantazyi.

Fantazya, jakby stulona w pączku, spi i marzy w sercu; gdy zaś na nią przyjdzie godzina, już rozsadzi pączek korny, urośnie, wzniesie się majestatem wszechwładnym. Ona rozpina loty swoje od bieguna do bieguna, mierzy niebiańskie przestrzenie, nie mające granic, mija gwiazdy, wywołuje z kostnicy historii zapadłe dawno ludy, podsluchuje oddech przyszłych stuleciów, kroczących przez dzieje świata, i słyszy radości robaczka, kłującego się na listku. Fantazya, ta pani natury, jest mistrza służebnicą.

Zrazu czarnoksiężka fantazyi moc, stroi wdziękiem ową rzeczywistość powszedniego żywota; ona to magiczném światłem ochuchala nam wspomnienia z dawnych lat; ona to z promieni i barw, z woni i muzyki utkała im szaty niebiańskie; — wszak to ona, co, rozkochana w rzeczach stworzonych, codziennie nam zakrywa ich biedotki i ułomności ziemskie a wymyśla im powaby i uroki. Fantazya patrzy na dzieła natury sercem matki, co nie spostrzega tego, czém jęj dziecię istic jest, ale widzi jedynie to, czego dusza jęj gorącym pragnieniem wymodlić rada. Bo natura jest państwem ułomności i niedostatków; tu wszystko, co jest, zostaje w zależności od innych również tak zawisłych jestestw; tu żadne jestestwo nie stoi o sobie, ale ma warunki bytu i rozwoju swojego zewnątrz siebie. O ile więc każde zdoła być odpowiedniém wyrażeniem myśli, więc ciałem idei swojej, toć zawisło od zewnętrznych wypadków; piękność jest w naturze tylko przypadkiem szczęśliwym, ślepym trafem, i dla tego piękność najwyższa nie jest zjawieniem ze świata rzeczy przyrodzonych.

Tu przypadkowość, to jęstwo zawisłości, cięży pierworodną klątwą na jestestwach natury, bo daje się we znaki ich ułomnościom a w końcu nasyła im śmierć. Przyłóż ucho duszy twojej do tajemniczego państwa przyrody a usłyszysz gwary zrodzenia i skonu; bój wrogich mocy, i pasowanie się nienawiści, i miłosne tęsknoty, jęki rozpacz i gwałtów tryumfy. W tej walce nie jedno zamrze jeszcze w zawiązku, inne przepada śmiercią zanim się wzmoże i rozkwitnie w sobie; a te biedne doczesności dzieci, które przebędą ten trud twardy i przeżyją tę ciężką walkę o byt swój, wychodzą z niej spazzone, zwichnięte, pełne śladów doznanych krzywd. Te więc fan-

tazya bierze w objęciu serdecznej miłości, tuli je do siebie, by je wyleczyć, odchowac, by oddechować w nich tę piękność, którą miały w odwiecznej idei, zanim idea ta spadła w sidła materialnego świata; fantazya je pieści i mili, by je uczynić na podobieństwo modły świecąc w duchu naszym.

Widzisz one róże — owa ostatnia, owa sama jedna przeżyła w ogrodzie swoje siostry starsze; ona nie roztuliła jeszcze namiotku wonnych liści swoich, a już umiera bo ją skrzywdziły słotne jesieni chłody, bo ją przycisnęła chwast i nie dał napoić się rosą i niebios promieniem; a serce jęj, co miało być gniazdkiem geniuszków miłości, toczy robak. Fantazya, litując się niebogięj, odrodziła ją w przepyszną panią kwiatów i godło gorących uczuć kochanków, uczciła ją pieśnią i przypięła do piersi młodej dziewczyny by na jęj sercu skonała — i znajdzie się muzyk co jęj w skonaniu wdzięczną przyspiewa melodyą (Flotow, Marta). Patrz na tę niewiastę — i ona była różą w ogrodzie piękności ziemskich; na tych zgasyłych dziś ustach igrały niegdyś miłości uśmiechy; z tych zeszlonych oczu, przed laty, jakby gwiazdami swojemi, poglądało niebo; ona dziś pozostała samotna wśród chwastów i cierni życia; niedostatek, troska, szarugi świata, znieważyły jęj postać uroczą i sponiewierały tę szlachetność rysów — a może i robak własnej winy gnieździ się w sercu. Lecz fantazya po przez ślady krzywd i obelg wzrokiem ducha dowodzi w niej natury arcydzieła, i ploszy wady i wywołuje do życia dawno umarłe uroki i zgasyłe na zawsze wdzięki. — Tak fantazya, sama się radując swoim dziełem, zapomina o sromie i przebacza winy!

Stań na mogile, przez stare wieki usypanej; natura, nie znękana nigdy robotnica, roztoczy do koła u stóp twoich widoki haftowane cudem barw. Wysylasz jak sokoły myśli twoje w świat szeroki — w świat daleki; rozpuszczasz je po błoniach w kwiaty szytych, po górach hardych, po skałach, po obłokach, po dolinach; puszczasz je na zwiady w tajne lasów mroki i przejrzyste rzek pałace; a zewsząd, zdala i zbliż, wracają do ciebie uskrzydłone myśli twoje, niosąc pragnienia i chęci, którym nie podoła nawet ten rajski świata obraz. Tak radbyś, aby to niebo, co dziś jakoś nie swoje, spojrzało na ziemię jasności powodzia i rozbudziło wszystkie dźwięki farb i cieniów i światel; żal ci, że ów pagór, tak ubogi a jałowy, nie ubrany wiankiem dębów starych; temu potokowi życzysz wód bujniejszych, zuchwalszych; i znów uważasz u siebie jakby to onym skałom pięknie było w szacie odwiecznych bluszczów; i znów w myśli wycinasz sobie bory i otwierasz w nich okno, by owo dumające zamczysko stare, co, choć zapomniane dawno od ludzi, choć w rozsypaniu, tak jest harde i wspaniałe, mogło swobodnie patrzeć na mogilę, a w nocnej ciszy posyłać jęj westchnienia swoje.

Otóż, co jeno obaczysz w rzeczywistości doczesnej, już fantazya ubierasz, krasisz i w duszy poprawiasz, bo duch tęskni w tobie, by

siebie ujrzał choć w ułomnych rzeczach, a tak rozszerzył w nieskończoności istotę swoją. Fantazya jest podobna miłości. Samolubstwo odwraca się od wszystkiego i patrzy samo w siebie, — dla tego też tak biedne, tak litości godne. Miłość zaś, nie tracąc siebie, przecież w drugim samą siebie widzi, a tak, nie tracąc na głębi swojej treści, zyskuje na jej obszarze. I dla tego też właśnie każdy z nas o tyle uboższy, o ile nienawidzi, a o tyle bogatszy, o ile kocha. Nienawiść odgarnicza się od świata ciasnotą serca swojego, przez co sama się czyni ograniczoną; miłość nie wie co granica; ona się rozlewa w nieskończoność, ona, tak jak i fantazya, jest córą nadobłocznych światów.

Strzeżmy tedy pilnie świętego ognia fantazyi, co gore w piersiach naszych; strzeżmy go od nawałnic namiętności grubych, od wichrów zmysłowej natury naszej; zachowajmy ten najdroższy żywota skarb w jak najpóźniejsze lata.

Jeśli atoli chcesz by fantazya, by ten pociechy zdroj wśród skwarów świata nie wysechł w tobie, jak wysycha strumień w piaskach spiekłej pustyni; jeśli chcesz by na zawsze bił krynica czystą, bogatą, co wyzdrowia, co ulecza niemoce duchowe i koi boleści rany, podsycaj go całą serca twojego potęgą. Miej oko i słuch rozwarty, świeży, na ten szeroki Boży świat, na te wszystkie pojawy, co w nim świecąc i grając przemykają się to orszakiem żałobnym, to weselną drużyną; uchwycić, obejmij siłą zmysłów młodą, ostrą, wszystkie kształty te, przeniknij je wskrós, nie przepuść choćby nawet drobnostce pozorniej; „patrz się na ten świat wesoło, bystro, rześko, jakżeś nań patrzył za chłopięcych lat“, (*) gdy ani cętka na skrzydełku motylém, ani świergot niedosłyszany na wysokim dębie, ani mrówka w trawce, ani szczerbka na szabli, ani wonny dech fijołka, nie usłyszysz sto-uchej, sto-okiej baczności, wiecznie nastrojonej, ciekawej a czujnej; a przedewszystkiém kochaj tę naturę, kochaj ten świat i ludzi, zrzuć z serca zbroję lodową; roztwórz szeroko, na oścież piersi twoje; niechaj ci świat cały i wszystko, czém cię chwila obdarzy, zagra na strunach duszy twojej; niechaj ci nic nie będzie obojętném, cudzém; bierz wszystko gorąco sobie do serca, a choć cię nie miną rany bolesne, toć znów znajdziesz miłość, co je ukoj, uzdrowi. Tehnij, całym żarem kochania twojego, uczucia swoje we wszystkie przedmioty; niechaj ci w nich własne twoje serce zapuka; i nie pożałujesz, bo im więcej im dasz, tém więcej od nich odbierzesz; co nieme, toć przemówi do ciebie własną mową twoją; co martwe, żyć będzie ciepłem życia twojego, będzie czuło i cieszyło się i smuciło po twojemu. Ty znajdziesz siebie w świecie całym jako w ulubienicy swój; dusza ci się rozszerzy jak kaplica Pańska cudów pełna, i cały się świat w niej pomieści; zamieszkają w niej wszystkie dziwy jego, ale rozpięknione, ale w świecących, uroczystej postaci.

(*) Vischer, Aesthetik. T. II. 1847. § 385.

Zaiste tak bogatym na duchu, tak szerokiego, głębokiego oddechu zdoła być każdy z nas; więc wynieśmy te skarby z pożaru płonących nadziei młodych, jako opiekuńcze bogi domowe, a nie będzie nam się cniło, choćby na pogorzelisku smętném wszystkich rojeń najdroższych i ulud młodości naszej. Ale biada temu, kto te bogactwa w sobie przemarnił, kto je przepuścił w jałowiznie chęci i pragnień swoich, żądzą skalanych; jego serce wysuszone i skurczone nie zazna już nigdy, czém życie się stroi, czém się goją blizny duszy; lichy syn lichego czasu sam nie wie jak ubogi, nie wie że jest opuszczonym sierotą na ziemi. Niechaj zwraca ochoty swoje za fetyszem wieku, lecz niechaj nie zasiada do rady, gdy mowa o godach nieśmiertelnych ducha.

Zważmy atoli czyli ta fantazyja, nam wszystkim wspólna, powszechna, jest już całą fantazyją, całą oną potęgą, daną człowiekowi przy zrodzeniach świata? Czyli to ukochanie przedmiotów doczesnych, to ich strojenie, milenie, piekszenie, wystarczy by duch w nich na prawdę siebie obaczył? Czyli ta fantazyja już zdolna utworzyć artystyczną piękność i czyli ona już nas czyni rzeczywiście mistrzem?

Może powiastka o upadłym aniele stanie nam za odpowiedź.

Świat młody kwitnął jeszcze pierwszą wiosną natury i liczył dopiero na dni życie swoje świeże; ziemia nie zaznała jeszcze ni boleści ni cierpienia; wina nie rozpięła jeszcze ciemnej opony między niebem a człowiekiem, a niebo to bliższe było ziemi niż później, gdy wśród ludzi powstała paląca rozpacz i zbrodnia ponura. Wtedy śmiertelni bez lęku wpatrywali się jeszcze w aniołów, co przelatując po nad doliną doczesnego żywota, wiekuistości spojrzaniem poglądali na ziemskie dzieci i pływali w promieniach Bożych jak igrają pyłki w jasnościach słońca.

Otóż, jeden z aniołów, niosąc od Pana posłannictwo, zbliżał się polotem ku ziemi i z wysokości swoich obaczył najcudowniejszą z cór przyrody całej. Z lekka się kołysząc na tęczowych skrzydłach, spuszczał się zwolna by się nasycić tém czarodziejskiem widziadłem, a światłopióre loty jego, drgając dreszczem rozkoszy, zaszumiały radością i sypały niby rosę jasnych iskier tłumy. Te ognie niebiańskie, ten szum skrzydeł przejęły trwogą dziewicę i spłoszyły w głębokie cienie gaju. Lecz obraz jęj piękności pozostał już na zawsze w myśli anioła. Ztąd, dniem unosił się niewidzialny nad swoim kochaniem i przyświecał dumaniom i tęsknotom dziewiczym, a nocą, gdy rozum w senném omdleniu tlił tylko przygasłą jasnością a mroczna poświata otuliła duszę kochanki, anioł stwarzał jęj czarodziejskie światy marzeń, które, zaledwie co poczęte, gasły w chwili, by się znów odrodzić w cudowniejsze kształty. To jęj z kolei zajaśniał promienną postacią od Pana użyczoną, odziany światłości szatą, to okrywał się ciemnym obłokiem; tak naprzemiany roztwierały się jęj niebiańskie rozkosze i rozplywały zawodną nadzieją. A widma nie-

biańskie, we śnie widziane, śpiewały i na jawie cudowną muzyką w duszy dziewicy, a rozebrała ją nieskończona, bezdenna tęsknica; aż czyniona nieznaną potęgą, której już podolać nie mogła, uchwycona mrozem i żarem rozkoszy wezwała rozpaczając na niebnego kochanka, by się jej na jawie okazał. Cherubin na stropie gwiazdistym składa promienisty wieniec od nieba mu dany, zwija promienne skrzydła wiekuistej chwały, a odziany urokiem najwyższym, który mogą przenieść oczy śmiertelne, staje przed ulubienicą.

W pożarach uściśnienia spłynęła miłość anioła i dziewicy, a jeden płomień palił w oczach obojga kochanków, a jeden płomień stopił dwa serca tak dalekie od siebie ojcowizną swoją. Upływały dni, upływały lata w morzu rozkoszy najwyższej, na którą się tylko miłość zdobyć może. A Cherubin, dumny swym kochaniem, bogactwa świata składał u stóp miłośnicy swojej i stroił ją w brylanty, co świecą, jakby źrenice w ciemnej nocy przepaści głębokich, i zdobił ją w perły, co uwięzione w skorupie, zakłète na dnie oceanów, kędy nie dochodzi słońca poświata; lekkim jakby myśl polotem przebywał lądy i wody i powietrze, by zdobić ziemskie kochanie swoje. Tak upływały dni, upływały lata w morzu najwyższej rozkoszy. Wśród atoli szczęścia i błogiego wesela, wśród rajskiej uciechy i zachwytu dusz, padały niekiedy na anioła, jakby zły sen, chwile ciemne żalości i cierpień i niewypowiedzianej tęsknoty. Owe stroje pożyczone od ładów, od wód, od słońca, nie mogły zastąpić u kochanki niebiańskiego rodu; wszystkie skarby natury nie zdołały zatulić znamion tutecznego pochodzenia. Anioła trwogą ziębiła myśl, że ulubienica jego jest tylko doczesności kwiatem, że on, wiekuisty syn, światowem kochaniem oddał się śmiertelnej dziewicy. W tych chwilach przyszłość zakrywała się jakby dymem czeluści piekielnych, obsłaniając mu niebiosy — otwartą ojczyznę jego.

Razu pewnego dziewica, jakby echem wspomnień, rozbudziła w sobie obrazy onych czarownych marzeń sennych, w których niegdyś jej Cherubin pojawił się w nieprzycmionej światłości niebiańskiej, w jaką się odziewa, gdy służy Panu na wysokościach Jego majestatu. Więc rzewną prośbą, więc z najgłębszych toni duszy błagała, by ziścił one sny cudów, by znowu z postaci jego płynęły światłości strumienie, jak płyną z kwiatów wonie rajskie, by tchnął na nią ducha swojego; by i ona stała się duchem jemu podobnym. A Cherubin, zdjęty miłością bez granic, uniósł się pragnieniem, by ją z sobą zrównał, by się z kochanką podzielił wiekuistością swoją i ją wyzwolił od skonu. Rozpromienił się tedy jaśnią, zaświecił gorejącą wiekuistością pięknoscią; tryskały światła niby słońca z postaci anielskiej, oblicze jego zapłonęło miłości i niebios urokiem, i tak otulił objęciem kochankę. Ale zaledwie dotknął się oślnionej, drżącej dziewicy, już żar ziemskich ogni ochłoniął ulubienicę ziemską. A ona wśród walki skonu ucałowała raz jeszcze czoło jego. Z wdzięków cudownych, z natury arcydzieła, pozostała jedynie garść

ciemnego prochu. Ucałowanie jęj ostatnie wypaliło na czole anioła piętno grzechu — bo on utonął w ziemskich urokach. On na wieki z nieba wygnańcem; zgasła na wieki jego piękność nieskończona — a wieniec promienny jego chwały pozostał na zawsze na stropie gwiazdzistym.

Rozumiem, iż może bez naciągania samowolnego mogę tę powiastkę zastosować do owego naszego pytania (*).

Otóż człowiek, rozkochany w piękności rzeczywistego świata, jęj się w zupełności oddając, daremnie ją stroi w skarby fantazyi, daremnie ją pieści miłością; on zawsze i zawsze będzie tym aniołem upadłym, który w przedmiocie doczesnym nigdy nie obaczy ducha swojego, nigdy się w nim nie przejrzy, nigdy go do siebie nie podniesie i z sobą nie zrówna. A będzie tęsknił w objęciu wdzięków tutecznych, on, wiekuistości syn; gdy zaś zapragnie tchnąć ducha swojego w te kwiaty śmiertelne, spali je tchem swoim; one umrą w jego objęciu, one nie wytrzymają tchu wieczności, a duch za zapomnienie siebie straci gwiazdzisty wieniec istoty swojej nieskończonej.

Zaiste, przedmioty materyalne, choćby najwyższego uroku, są przecież dziećmi z tego świata, są tylko względnie piękne, bą są oddane na łaskę bezokiego przypadku, który, jak wiemy, gospodarzy w świecie rzeczywistości. Niechaj tedy człowiek zdoła, stroi i umaja te ziemskie pojawy, niechaj w tém kochaniu swoim posiedzie niewyczerpane szczęśliwości zdroje; ale niechaj zarazem pomni, że te istoty, w rzeczywistości zrodzone, nie napoją, nie ukoją jego tęsknoty, której się cni i przykrzy bez kształtów wprost z ducha zrodzonych; bo w tych dopiero siebie zupełnie obaczyć zdoła. Przedmioty rzeczywiste, jakieśmy powiedzieli, są ułamkami tylko; one nawzajem trzymają się na uwiezi, a miłość serca najgorętsza nie wykupi, nie wybłaga ich z jęctwa tego; w nich przeto nie zdoła się zwierciadlić duch, bo on nie zna zawisłości tej.

Uważmy, iż to właśnie ta fantazyja, wspólna nam wszystkim, którą my już to wszędzie fantazyją *powszechną* zwać będziemy, jest tą mocą strojącą, miłą jestestwa z tego świata; ona przeto nie wystarczy, ona tedy nie jest jeszcze fantazyją w najwyższej potędze, nie jest jeszcze fantazyją *artystyczną* . Ona, choć tak bogatym skarbem w posagu nam danym na życie całe, choć bywa geniuszem pocieszającym w opuszczeniu i sieroctwie ziemskim, nie czyni nas jeszcze mistrzem, bo ona sama jest jeszcze ziemianką. Ta fantazyja *powszechna* , która się wszystkim, choć w nierównej mierze, udziałem dostała, daremnie śli się i roztacza skrzydła swoje; wszak te skrzy-

(*) W tej powiastce poszedłem za T. Moore'm; odważyłem się atoli dwa jego odrębne poemata złąć w jedną powieść, a tak nie tylko skróciłem, ale nadto ośmieliłem się popaczyć ich piękność, stosując rzecz do mojego celu i opowiadając ją po swojemu.

dla jęj są obciążone biedą i ułomnością; ona zaledwie wznosi się na turnie, na Alp szczyty, gorejące dopiero pierwszym pięknosci światem, ale niemocna, by się wzbila nad ziemię i aby uleciała w wysokości nadgwiezdne, kędy nie dochodzą żale tutecznego świata, kędy nie słyhać westchnień i walki i pasowania się doczesnego żywota; ona niemocna uderzyć w głębie idealnych światów, by ztamtąd sprowadzić niebiankę wśród ludzi. A choć duch odzieje te ziemskie przedmioty czarodziejską szatą, toć przecież one będą tylko przyswojone jego dzieci, nie staną się nigdy krwią, kością z krwi i kości jego. Uważ, iż ta fantazyja powszechna, już tém samem, że pięknosci umila, stroi przedmioty z rzeczywistości wzięte, już istic je odmienia, przetwarza, jest tedy już i twórczą; ale ta jęj twórczość nie jest jeszcze twórczością prawdziwą; jęj utwory nie będą jeszcze zupełnie wolne od niedostatków rzeczywistości i natury, bo ta fantazyja sama jest jakby dziełem rzeczywistości powszedniej, sama nie jest wolną od jęj niedostatków. Aby duchowa wiekuista istota przejrzała się w zmysłowych przedmiotach, niechaj wskróś będzie twórczą; stwarzanie strojów, zdobiących wdzięków niewystarczy; niechaj tedy postaci będą całe w duchu poczęte; a wtedy przyzna się do nich bogini pięknosci, a ty staniesz się świętym sztuki pomazańcem, uwiecznionym mistrza koroną. Ta fantazyja powszechna, jak obaczymy w listach następnych, wyjawi się jako fantazyja ludu, gminu; ona tedy dostarczy mistrzom wieszczowej osnowy, którą ich fantazyja artystyczna przetworzy na prawdziwe dzieła sztuki (*).

Jeżeli zaś ta fantazyja zwyczajna, *powszechna*, co przecież jest tak czarodziejską, tak lubą malowniczą złocistych marzeń naszych, tak bogatą w pociechy i radości, nie zdoła jednak jeszcze być fantazyją *artystyczną*; jeżeli ona nie zdoła jeszcze wybrańców swoich wyswięcić na kapłanów sztuki pięknej, cóż dopiero rzec o tej szarej czeladzi, która, mając się za natchnioną, woła: „est deus in nobis“ choć w niej i ta nawet zwyczajna powszechna fantazyja tleje zaledwie mdłą iskierką? Ów rozumie, że trocha brzęku i dźwięku w rymach, szczypta imaginacyi, lada koncepcik, trocha czulości a dużo zarozumienia, dają prawo do wieńca poety; ów znówu robi wiersze, cacka go tedy admiracją rodzina, a kółko przyjaciół z jego parafii raduje się wieszczem swojego chowu; a jeżeli sentymentalnością rymowaną zdobył sobie jakieś serduszko, i tak nie bardzo warowne, albo popi-sze bez składu i ładu niestworzone rzeczy, co mu przez głowę przejdą, nazywając to fantastycznością genialną, wtedy już mizdrzy się sam do siebie i jest pewien, że dojdzie Parnasu na wielką radość Homera i Sofoklesa, którzy tam już na niego u drzwi czekają. Ów znów drugi, że się podlił wierszami przelotnym, spaczonym wyobrażeniami,

(*) Obacz obszerniejszy wywód o fantazyi powszechnej i artystycznej w *Estetyce Vischera* § 379 i następne; jest to dzieło z którego często w tych listach korzystałem, a godne by było polecone czytelnikom młodym.

że sobie wylokail wziętość chwilową, radby ukryć pod laurem poety znieważone czoło. Tamten znów cieszy się, że wierszami swojemi poruszył serca zacne i pocziwe, że pieśń jego rozlegała się po świątnicy duchowej czytelników; ztąd wierzy, że jest wszechwładnym prorokiem, a nie chce baczyć, że te głębokie boleści, radości i bez niego rzewną muzyką już od dawna żyły i w tych żyjących ciepłych sercach, i żyły po grobach, a zapomina tego, że on tylko podszyl liche wiersze swoje pod tę nutę świętą, wspaniałą i uroczystą, a tak sztuczka zdobył upodobanie przechodnie publiczności swojej.

Przepuść mi jaskrawość tych uwag kilku, ale trudno być obojętnym, patrząc ile zdolności młodych u nas umiera na wierszowanie, które wcale inaczej mogłyby służyć społeczności. Wszak tych niewydarzeńców powiększej części podrzuca chętka dania sobie dyspensy od trudu nauki, lub innej jakiej uczciwej pracy w życiu, a zjeżdżania przeciw sobie imienia bez mocołu. Kto atoli tak opojony własną miłością a próżną pochwałą nie obliczył się z sobą, zmądrzeje po szkodziu i pozna, że życie młode przegrał w rymy; doczeka się tedy śmierci za życia i téj pociechy, że był na własnym pogrzebie. Jeżeli tedy kogo z młodych opadnie ochota do wierszowania i poezyi, niechajże ją uważa za ospe, za kur, odrę lub inną chorobę dziecięcą, którą trzeba odbyć za młodu jak pierwsze kochanie; ale umrzeć na te słabostki — nie uchodzi.

Zaiste fantazyja, o której mówiłem, nie stanowi jeszcze twórczości, mistrza, zaprzeczyć jednak trudno, iż ona i mieni się w każdym człowieku właściwą sobie barwą, i jest różną w ludziach wedle różnego stopnia swojej potęgi. Chętnie się też zgodzisz ze mną, iż w kim ta fantazyja wzmoże się całą głębią swoją, iż niekiedy zagrzmi wszystkim akordem swoich strun i uniesie ducha prawie na pogranicze artystycznej twórczości; zabraknie mu może jeszcze tylko jednego uderzenia jęj skrzydeł, by go przenieść w ojczyznę mistrzów piękności. Uważ nadto, iż nie ma mistrza bez téj fantazyi powszechnej, wszystkim nam wspólnej, że i on się nie obejdzie bez czynników a pierwiastków, które są jęj warunkiem. Mistrz nie byłby tém, czém jest, bez onęj bacznęj czujności na naturę i życie, bez onęj tkliwéj gorącej, przybierającej do serca tak głęboko i namiętnie wszystko, co tylko świat w koło porusza. Nigdy nie będzie z ciebie mistrz, jeżeli natura, ludzie, świat zatrzęsły się w koło serdeczną radością, a w sercu twojem nie ocknęło się Hosanna brzmiącém weselem. Nie będzie mistrzem, kogo do żywego nigdy nie przejęły piekące cierpienia, „kto nigdy nie przepłakał długich samotnych nocy“ (Göthe), i żarem boleści nie wytopił z siebie żuzelicy ziemskiej. Nie będziesz mistrzem bez wyobraźni potężnej, co silnym, ostrym konturem, żarzącym kolorytem, nie wznosi mu rzeczywistości obrazów. Te wszystkie moce będą równie i mistrzowi w służbę oddane, a będą atoli w nim kipiały i robiły daleko wyższém tętmem niż w nas powszednich ludziach.

Ale nie tutaj jeszcze koniec istoty mistrza.

Mistrz, na mocy potęgi danéj mu łaską, z otchłani duchowych na jaw zmysłowy wywołuje postaci, wiekuistości człowieka zwiastuny. Ciała ich, choć okiem doczesném widziane, choć uchem doczesném słyszane, nie są z tego świata. One, lubo stają na nizinach tutecznego żywota, wiodą ród swój z nadświatnej krainy; ułomność, skon, jęctwo materyi, tracą tutaj prawo swoje, a starta ich jest moc. Jeżeli ową powszechną fantazyę stać jedynie na to, aby otulić jestestwa zdobiącą szatą duchową, fantazyja mistrza ubiera wolne córy duchowe szatą doczesną, ciałem, by były widziane na ziemi. Tak przeto te szaty, te ciała, te powłoki ducha, same są czystém przezroczem, tchem duchowym, przez który świeci nieskończoność w jasnym majestacie swoim. Te ciała są tylko przyborem czasowym; rzekłbyś, że chwila jeszcze, a przybory te spadną i niebianka uleci oczom śmiertelnym.

Patrz, dziewica, preczysta w sercu i niewinności rajskiej, rozraduje się w duchu, gdy na nią przyjdzie nieznane jeszcze miłości przecucie — ona zapłonie rumieńcem; lecz te róże na licu dziewiczym nie są przecież wstydlivosti ziemskiej oznaką, bo one nie z ciała się rodzą, one są ducha wykwitem. Tak i ciało, w które mistrz ubiera treść swoją, nie jest ciałem zmysłowém, ale tylko duchem, widzialnym. Te postaci, to splot promieni, woni, uczuć, barw, tonów i światła. W nich niebo i ziemia obchodzą zrekowiny swoje. Tutaj doczesność ziemską zwlokła z siebie ciężkie śmiertelności ciało, a tak, przerodzona w niebiankę godną ulubieńca, rzuca się w objęcie jego. W tych dopiero postaciach doprawdy duch się przejrzy, w nich siebie znajdzie i powita równiennicę swoją.

I stanęły te postacie przed okiem ludzi, goście ze świata ideałów; uroczyście i świątecznie patrzą się na nas z podnóża swojego; a spojrzenie ich tak tkliwe, tak miłości pełne, iż przenika do dna duszy naszej; a radbyś je ująć uściśnieniem rzewności nieskończonej, ale braknie ci „śmiałej odwagi, bo jakby urzeczony tym cichym spokojnym majestatem ich, staniesz nieporuszony“ (Schiller). Umilkną też wrzawy światowe, oniemieją w koło gwary i hałasy jarmarczne powszedniego życia, i w koło umilkną zwady uczuć w piersiach ludzkich, a dawno w nich zapadłe wyrocznie ożyją i odezwą się proroctwem o wszystkim co wielkie, zacne i wiekuiste. I w koło ucichną wrzawy światowe i gwary i hałasy; w milczeniu uroczystém, głębokim, dosłyszysz w tych postaciach marmurowych oddech niebiańskiego żywota, dosłyszysz, jak w nich tętni sercem nieskończoność. Co się zrodziło w jednej chwili, staje się dziedzictwem, drogą puszczną, dla późnych pokoleń i następnych wieków.

Tak mistrz jest królem duchów a kapłanem, co ślubem miłości wiąże ducha i materyę. W jego dziele treść i forma, myśl i obraz, dusza i ciało w jedność są, nawzajem się przenikają i są stopione w jedną całość. Ta jedność dwóch światów nie jest zewnętrznym spojem. Obie strony nie są dobierane w czasie. One powstają

jednym uderzeniem ducha, jednym gromem, one razem się rodzą, razem żyją, razem umierają. Obie strony mają się jako potęgą dwóch odwrotnych biegunów elektrycznych; nie ma jednej bez drugiej; gdy się wzmogą, jednocześnie się wspólnym płomieniem. U mistrza treść jest już formą, a forma już jest treścią; on gdy myśli, obrazuje, a obrazowanie jest myśleniem jego. U mistrza ciało jest tylko uwidomieniem ducha, a duch istnąc uwidamia się ciałem. I to jest fantazyja twórcza, artystyczna; ta fantazyja jest mistrza żywotem. A pytasz z ką mu ta potęga? Ona mu łaską przyszła; jest to wielka jego wygrana, w chwili gdy się na świat rodził. On jest szczęśliwym niebios wybrańcem.

Są chwile, gdy świat wydaje się jako olbrzymi dom roboczy, w którym mówcze krzątający i prace i trudy ku temu wyłącznie się mają, aby każdy, o ile tam może, opatrzył jakoś codzienne potrzeby swoje, i, jeżeli się uda, aby wydarł jeszcze na losie jakieś osobne dogódki dla siebie. Rzekłbyś, że w takich czasach jest zaiste obawa, aby człowiek na prawdę nie ugrzązł w tym życiu dusznym i clikim, aby mu się samemu kiedyś może nie sprzykrzyły te zabiegi, i aby mu się nie zmierzły i to życie własne i ten świat stęchły i czezy. Jednak, wierząc mi, nie ma strachu! I najprozaiczniejszy człek, i w tak zaśniedziałym czasie, ma swoje marzenia, co choć we śnie odwiedzają biedaka. Śpiącego otacza ród swawolny gnomków i geniuszków i barwi mu życie sennie, i szepce i śpiewa mu tak dziwne powiastki, że choć go wstyd na jawie przyznać się do nich, i choć nawet jakoś niemi pogardza i płoszy je ważnymi sprawami giełdy, kursów, akcji, dywidendy i t. d., owe piosenki i rusalki i gnomki brzęczą mu przez sen i burczą mu na jawie, jakby muszki złociste, około uszu, i brzęczą w duszy. A zbierają się znowu natrętki na nocne odwiedziny i stroją niewczesne żarty i figle. Otoż, zważ, ci figlarze i próżniacy, gdy się bardzo zagęszczają, wyprzedzają rzeczy świetne i pełne grozy; wtedy one są zapowiedzią, iż nastaje czas, w którym światu mistrze się zrodzą, co zetrą pleśń ze życia i poruszą zastale serca i dusze ludzi.

Znasz te ciche, święte nocy, gdy natura obchodzi uroczyste nabożeństwa swoje; gdy księżyc poświęca drzącą marzę po dolinach i wzgórzach kwiatem i ziołem sztych i zagląda srebrnym spojrzeniem w tajne głębie boru, świeci krzyżem na domach Pańskich, mruga na szczytach grodów starych; gdy brylantem zapalając okienko pod strzechą niską, drży w rosy kropelce na liściu zawieszony. Doliny i góry, drzewa i jeziora, przybytki Boże i mieszkania ludzi, utulone tajemniczą fantazyją nocy, zasnęły i marzą, stając się jakby własnym widmem swoim, a tłumy skoczne iskiek srebrnych pływają w potoku; więc i on śni o kaplących się w nim rusalkach cudnych i przez sen coś mrucezy; przez sen też całują się rozkochane kwiaty. Lekkie, rozwiewne obłoki, co niewiedzieć z ką przyszły i dokąd uchodzą, gadają śpiącej ziemi bajeczki czarodziejskie, a ona zapo-

mina o troskach i znojach dziennych — i śpi. W tych nocach cichych sama natura jest artystą i chuchem poezji odziewa świat, by zacień przyjął posłannicę z piękności krainy, co, jakby kochania dreszcz, przelatuje śpiące życie. W tych nocach świętych Venus-Urania zstępuje na ziemię. Żaden z ludzi powszednich nie ujrzał nigdy przychodniej zwiastuny; nikt z nich nie dotrzymałby obliczu niebianki. O jej nawiedzinach szepce tylko wieść, co z pokolenia na pokolenia falami spływa, krzepiąc je wiarą i otuchą. A zwiastuna niebiańska z cicha i niewidzialna wstępuje do komnaty, kędy dopiero co gość młody, mający odbyć pielgrzymkę przez życie, płaczem i kwileniem powitał pierwszą chwilę ziemskich trudów. Matkę po pracach boleści ukolysały snem łzy rozkoszy i szczęścia uśmiechy. Posłannica ze swiąta Fantazyi stanęła nad kolebką niemowlęcia i położyła mu na czole jedną z swoich gwiazd; po tej gwiazdzie go pozna, gdy kiedyś ją złoży nieskalaną, nieprzyćmioną u stóp wiekuistego tronu dokonawszy zacień swego posłannictwa na Ziemi.

I gore gwiazda na dziecięcym czole, a gore wróżbą przyszłych cierpień i przyszłej chwały, a nikt z ludzi nie dostrzega tego nieskończoności znamienia; jedna tylko matka, czuwając nad kolebką długie tęskne noce, niekiedy obaczy jasność na skroniach dziecięcia swojego; bo miłość matki, to także gwiazda Boża; ta miłość także nieskończona i bez granic; a więc serce matki miewa chwilę, gdy błysnie jasnowiedzeniem i magią przeczucia. Dla tego gwiazda Boża w sercu matki poznała gwiazdę Bożą na dziecięcym czole.

Wyrośło dziecko w pacholę — huczy i szaleje radością z innemi po łączkach i krzewach. Lecz gdy się wyhasa, wyhuka, znów czegoś dumające i smętne; w głowie coś mu ciśnie i boli, a gdy samo jedno z daleka od zabaw hałaśnych chowa się w zacisze, wtedy nawiedzają je niekiedy jakieś śliczne i grzeczne chłopięta skrzydlate a tak miłe i cudne, jak te dzieci niebiańskie na obrazie w kaplicy; i podają mu złociste jabłuszka, i obrazki świeciste, i wianuszki pachnące, i z nim się bawią i prawią powiastki tak ciekawe i cudne, że już chłopczyna i na łączce, i w ogrodzie, i w szkole, i w domu myśli i marzy o tych ładnych i maluchnych przyjaciółach swoich. Nikomu też o nich nie powiada, choć nie wie gdzie mieszkają i z kąd przychodzą, a czasem nawet siadają mu na łóżeczku i coraz śliczniejsze opowiadają powiastki i pieszczą go i całują, póki nie uspią.

Chłopczyna wykwitnął młodzieńcem; on marzy o czarodziejskich latach dzieciństwa swojego, a tak mu czegoś ciężko na sercu, tak ciasno na tym świecie, że mu dusza zaszła tęsknotą; pragnie puścić się wędrownym obłokiem, co płynie po niebie i pożeglować gdzieś daleko. W piersiach mu duszno, parno, w nich roje słońce radeby na świat się rodzić; w duszy coś mu śpiewa, gra i płacze, coś się rusza jakoby ożyły w nich nuty do przyszłych tryumfów, do hymnów na przyszłe dzieje ludzkie; ale jemu tak ciężko i tęskno w sercu! Mózg młodego życia, nauk trudy, powołanie przyszłe, co olbrzymem

pełnym grozy staje się przed nim i napomina i przestrzega, nie zdołają spłoszyć jakichś postaci dziwnych, co choć nigdy niewidziane, przecież znane od dzieciństwa, to nurzą się w głębi duszy jego, to znów wyświecają się na jawie kształtem czarodziejskim. Mozoły, trudy, grozy żywota nie zdołają ostudzić kipiącego waru serca i zagłuszyć w niem tych rozmów cichych, a przecież tak głośnych a wymownych, co szepcą językiem nowym, przecież tak jasnym i rzewnym. On sam siebie nie poznaje; jakby oczyniony, urzeczony obcą mu siłą, przeczuwa, że już sam do siebie nie należy; on nie swój, a coś mu gada, że go obca posiadzie potęgą, której przemódz nie zdoła, której się nie obroni. On choć nie wie, co go czeka, oczekuje jednak sam stanowczej chwili, to z jakimś tajemniczym lękiem a trwogą, to znów z radością i przeczuciem tryumfu. „On dziwaczy“ mówią jedni, „to marzyciel“ mówią drudzy, a matka myśli o światłości widzianej niegdyś w kolebce, i biedzi się i troszczy, bo jej syn chory. Miotany jakby strachem i niepokojem miłości, stroni od gwaru ludzi, od zamieci i kurzawy codziennego życia; spina się po szczytach obłocznych turni co z wysokości podniebnych patrzą w gwiazdy, nie słyszą wrzawy kłopotnej i bitki o chleb powszedni. Tu bliżej Nieba radby odetchnąć — ot tak, całém, pełném sercem! Radby skąpać ducha w powodzie oddechów natury, w jej światłach i barwach przeźrystych. Pragnie zwierzyć się przyrodzie, wypowiedać się jej ze swojej tęsknoty bolesnej, ze swojej dumy zuchwałej i z lęków trwożliwych; on u natury spodziewa się utulenia niepokojów i ochłody dla serca trawionego żarem.

Turnia skalana samotna, wzniesiona nad świat; w koło cisza głęboka, natura się modli, powiew wieczności ucałował świat. W koło majaczą gorzkie tchy, roją się lotne mgły; a tchy i mgliste ziewy jakby westchnienia ziemskie spływają z farbami Nieba, co je maluje wieczorną purpurą, ogniem zachodu i błękitem nieskończonej przestrzeni; a te barwy natury splotły widziadło, co jest jakby powietrzném zjawiskiem, jakby niewieścią postacią. A postać po imieniu go wita i pozdrowia, jako piękności wybrańca. „Rzuć“ woła „rzuć, coś polubił ziemskiém kochaniem a pójdz za moim zakonem; sięj siejbą kwiatów nieśmiertelnych, co zacne i wielkie na świecie! Tobie dane władztwo nad sercami, tobie oddana natura w posługi, tobie roztworzą się przeszłości groby, zrozumiesz mowę ludów, co od lat tysięcy zasnęły w całunie historii; tobie dana wyrocznia przyszłych pokoleń, które dopiero zrodzić się mają; słuchać cię będą glazy, technij a ożyją. Posłuszne ci będą światłości i cienie, barwy i tony, rozwiązuje ci usta byś wieszczył światu. Co tajemnicą dla dumającej myśli, toć serce odgadnie, gdy w swych głębiach zadygoce od ciebie wezwanie. Lecz bądź prawdy kapłanem, bo co ty uczysz, będzie uczczoném, choćby od dawna było w zelzeniu. Za dotknięciem twojem w proch się rozsypią skłamane wieńce, a kłamstwo potępione przez ciebie nie zazna już pokoju; pokutować będzie przez wieki

w twoich marmurach, w pieśniach twoich, a złoczyńca niby upiór gñany będzie przez scenę dramatu twojego, sobie na karę, ludziom na ohydę i wstręt. Bo tobie oddane są wrękę szale, byś ważył i sądził."

Słońce spojrzało raz jeszcze na naturę i oblało potopem złotego rumieńca świat, — a świat zabrzmiał niby arfa eolska pod nieskończoności tchem. Z nizin mieszkań ludzkich słychać dzwon kościołka, wołający na nabożeństwo.

Zaiste, mistrz staje się mistrzem przez łaskę, jest to los szczęścia wygrany z urny ludzkich doli.

Zważ, dziw przejmuję ludzi, gdy w naczynku krystalicznej wody, pod potęgą li promieni i ciepła wystrzeli świat zielony. Zrazu widzisz jakąś bezkształtną powłokę, tkanę martwą, lecz gdy ją ujmiesz szkłem drobnowidza, państwo roślinne roztoczy się w cuda tysiąca nocy i jednej. Obaczysz zagnęła okolicę pełną wdzięków i rozkoszy; tu wiją się jakby na żarty krzewy i kwiaty misterne, tam powiewają śmigle drzewka o formach fantastycznych; ondzie ciągną ciemne bory, puszcze nieprzebyte, straszliwe, gdybyś ich nie mógł zatopić jedną wody kropelką; oto wglądasz w ojczyznę figlarną chichocących gnomków co tu hulają, niedojrzane okiem ludzkim. Zkąd się wziął, pytasz, ten światek, co sobie niby drwi z naszych ziemskich widoków? czyli posiewem jego chuch powietrzny, promień słoneczny i niebiańskie lazury? Patrz znów w przepaści najgłębsze nocnego nieba. Widzisz tam w onej bezdeni ciemnej, nie ludnej w gwiazdy, ów samotny, lekki, lotny dymek, co jakby dech natury bieli się marą? — tu związek przyszłych światów, powiada umiejętność; ten dech lekki zetnie się kiedyś w planetę, może nawet w słońce, może nawet w cały system ciał niebiańskich; to ziarno w tym ogrodzie bożym stanie się pączkiem, kwiatem pod ciepłem i światłem miłości nieskończonej. Tak, kędy rzucisz bacznością natrafisz na tajemnice zrodzeń; zewsząd na ciebie patrzą się sfinxowe zagadki i pytają o tworzenia święte misterye. Czyliż nas tedy mniej obchodzą te tajemnice rozwijających się światów w duchu mistrza, te misterye rodzenia się słońc, firmamentów całych w pierśiach śmiertelnego człowieka?

Zaiste, warto podpatrzeć te otchłanie, w których robi i pracuje duch, warto i podsłuchać boleści i tryumfów jego. Zanim atoli wstąpimy do tej przenajświętszej świątnicy piękności, zechciéj baczyć na prawdy już powyżej wspomniane. Wszak mistrz ma treść swoją wcielić w dzieła swoje, wszak ta treść duchowa i ciało, w które się ona przyodziwa, winny razem się zrodzić; treść a ciało powstają razem wywołane do istnienia błyskawicznym gromem ducha twojego.

Widzisz przeto już, że mistrz winien sam mieć treść w duchu bogatą i głęboką, aby również treść pełną ciężkiej wagi mógł przelać w dzieło piękności; — niechaj tedy duch jego będzie jednego odlewu, niechaj myśl jego będzie spotęgowaną całym zasobem wiedzy i uczuć, niechaj umie rozmówić się z duchami natury, niechaj cała

przyroda roztworzy mu serce swoje, niechaj on przejrzy wskrós sprawy codzienne ludzkie i dzieje świata. Naród płytki, człek płonny z biedną myślą a głuchém sercem, nieuk, nie będzie mistrzem; dzieła jego przeminą, jak one jednoroczne kwiaty, co wychuchawszy z siebie wonny dech, nie wytrzymają burz i zamieci zimowej w ludzkich dziejach i pójdą jakby liść suchy wiatrom na poniewierkę. Niechaj mistrz panuje obszernym dzielnicom w rzeczywistości, niechaj umie duchem zanurzyć się w prawdach wiekuistych, co nie konają nigdy; bo jeżeli się zakocha w jakiejs treści skłamanej, co jedynie żyła życiem przypadkowém, zmyśloném, w jednym rychło przemijającym ustępie czasu, — wtedy ta treść będzie jako kochanka, którą umarłą z grobu wywołał; on tchem ożywczym, najgorętszém uściśnieniem nie zdoła zbudzić jój serca pukania, on sam przy niej skrzepnie śmiertelnym mrozem.

Powtórę, mistrz winien przełać treść duchową w ciało, ale ciało to jest przecież własnością ślepych potęg natury; tém ciałem jest materya, owa dzika, ciężka, gruba osnowa zmysłowego świata, a mistrz ma ją przeistoczyć na szatę dla téj treści ducha, na owo przezrocze czyste, w którém promienić będzie nieskonieczoność wiekuistém światłem swojego majestatu; ta szata, to ciało materyalne ma być tym lekkim, lotnym przyborem, w którym się zjawia gość z nadgwiadnej dziedziny.

Tutaj, przeto, rozpoczyna się dla mistrza mocowanie się na zabój, walka o życie z materyą surową, nieużytą a zazdrośną i duchowi wrogą. Kto pragnie wygrywać pieśni z innego świata na sercach ludzkich, kto chce duchom władać i stać się ich panem, winien wprzód poddać w jęctwo swoje materyą i uczynić ją posłuszną skinieniom swoim i rozkazywać jój jako mistrz. Naucz się istoty tych potęg upornych, zawziętych. Umięj obchodzić się z marmurem, byś przemógł jego dumny hart; wiedz jako rozkazywać barwom, światłu i cieniom, przestrzeni i tonom, byś je miał na zawołanie jako czarnoksiężnik ma na zawołanie demony swoje. Naucz się własnego języka twojego, naucz się jego sumienia, jego serca, podpatrz jego tajemnice; poznaj się z czarami jego potęgi, co w nim żyją zakłętę; umięj z niego wskrzesić pioruny i burze, płacze i muzyki anielskie, jeżeli chcesz by ci mowa twoja zagrała i zaśpiewała pod piórem, jeżeli chcesz, by ci była talizmanem do potęg, do uczuć, co śpią nieznanie w topielach piersi naszych! Tak jest, naucz się języka twojego, naucz się jego sumienia; ale pamiętaj, że tu głowa, że tu rozum nie wystarczy; przyłóż serce do serca twojej mowy, bo tak jedynie uczujesz jój tętno tajemnicze, pokochaj ją z duszy jeżeli chcesz być od niej kochanym. Jeżeli ta mowa twoja nie będzie ci potulną, jeżeli nie będzie powolną twoim myślom i uczuciom, nadaremnie będziesz przysięgał, że ją znasz, że ją kochasz, — nikt ci nie uwierzy!

Słowem, zanim się pokusisz być mistrzem, umięj wprzód być technikiem, zanim urościsz sobie prawo do posłuszeństwa materyi i do

jéj służby, wprzód sam bądź jéj sługą, polecaj się jéj pilnością niezmordowaną, nie folguj sobie w pracy, zjednaj ją sobie wytrwałością niesprzykrzoną; bądź jéj poddańcem, byś się stał jéj władzcą; — bo zważ, ten świat zmysłowy ma przecież własne prawodawstwo, które uznaje, któremu hołduje a obojętny jest dla praw duchowych człowieka. Jeżeli tedy człowiek zechce, by materya stała się wyrażeniem jego duszy, winien opłacić jéj potulność krwawym trudem, sileniem się, wprawą, cierpliwością bez granic. Jeżeli materyą hardo pominiesz, ona się nad tobą mścić będzie za lekceważenie; tys nie uznal jéj potęgi, ona twojéj nie uzna, a wtedy daremne będą twoje zrodzenia duchowe; te piękności, wypiastowane w głębi piersi twoich, gdy wystąpią z tajników wewnętrznych, rozbijają się, zgruchocą o tę materyą, którąś poniewierał; ona cię odepchnie od siebie z urąganiem a wyśmiechem. Przyszły mistrz niechaj oswoi się z każdą wiadomością, z każdą wprawą i zręcznością mechaniczną, ze wszystkiém, co tylko ze sztuką jego w związku zostaje; niechaj nie ominie żadnego pośredniego szczebla w kształceniu swojém; niedouczenie się stworzy jedynie partactwo, a w najszcześniejszym razie wyda lubownictwo, amatorstwo, co nawet mimo świetnego talentu nie będzie przecież nigdy mistrzostwem (*). Człowiek w téj ziemskiej gospodzie swojej niczego nie dokona bez biedzenia się i mozołu. Po tym świecie naszym nie przeszedł jeszcze nikt, choćby najświetniejszy geniusz, któryby się chwały swojej dokupił bez znóju i silenia się a łamania z sobą, tudzież z osnową którą sobie podbił hartowną pracą. Ludzie widzą tylko sam świetny laur na skroniach mistrza wielkiego, którego postać olbrzymia wgląda w późne pokolenia jako strażnica przyświecająca im na wędrówce przez życie, a którego chwała idzie na cześć jego wieku i narodu; ale już dawno ktoś powiedział że mistrz ma laur ten tylko dla ludzi, dla świata, dla siebie zaś zachowuje tajną, niedostrzeżoną od ludzi, koronę z passiflory, wieniec skrycie przeżytych boleści i trudów. Zaiste ten smętny wieniec z kwiatów cierpień mistrz bierze z sobą do trumny; on go razem z ową gwiazdą, odebraną przy urodzeniu, złoży u stóp wiekuistości tronu, dokonawszy zanie posłannictwa swojego na ziemi.

Mistrz tedy przemóglszy ślepą, głuchoniemą materyą, już nią

(*) Przykładem i wzorem świetnym w téj mierze jest młodociany Krakowianin *Henryk Stattler*; on od wczesnego dzieciństwa łamał się z techniczną stroną swojej sztuki rzeźbiarskiej i pracą wieloletnią, wytrwałą przezwycięzał upór materyi; a dziś, gdy przemógł one wszystkie trudności, już rozwija swobodnie skrzydła swojego natchnienia, unosząc się do ideału piękności. Dziś, mężowie sławy szerokiej jak świat, bo Kornelius i Overbeck piszą o tym młodzieńcu dwudziesto-letnim, że dzieła jego, mogłyby być zaszczytem dojrzałego i ukończonego znakomitego artysty i wróżą mu najświetniejszą przyszłość. A tak *H. Stattler*, krom geniuszowi swojemu, zawdzięcza usilnej pracy swojej, że dzieła jego rosną jemu na chwałę a miastu rodzinnemu i krajowi całemu na chlubę wielką.

gospodarzy wedle woli swojej, a tak zdoła z niej uczynić formę, postać odpowiednią treści duchowej.

Lecz przypuśćmy że np. mistrz-rzeźbiarz umie już obchodzić się z marmurem, że już glaz potulny mięknieje kornie pod uderzeniem dłuta, jakaż postać, śpiąca jeszcze w bezkształtnym bałwanie opoki, ma z niego wyskoczyć na jawy? — czy Gracye, czyli Mojżesz Michała Anioła, czyli Boga-Rodzica? — Toć zależy, powiadasz, od treści, którą ma przelać w tę postać a formę. — To prawda! Zważ atoli, że jeżeli już będzie treść poczęta w tajnikach duszy, i jeżeli z tą treścią nie zrodziła się zarazem odpowiednia jej forma, postać czyli obraz, mający być wyrażeniem zewnętrznym, bo wcieleniem tej treści, już wtedy dzieło będzie spaczzone w zawiązku swoim. W razie takowym treść dzieła przyszłego, właśnie dla tego, iż zrodziła się bez ciała, jest myślą gołą, jest dziełem rozumu i refleksyi zimnej, a tém samém nie będzie bynajmniej wolnej fantazyi kwiatem, więc nie będzie dziełem artystycznym. Choć później dla treści takowej przybierzesz zewnętrzną formę, ciało, wyrażenie, przecież obie te strony, bo wewnętrzna i zewnętrzna, bo duch i ciało, bo treść i forma nigdy już nie spłyną w jedność doskonałą, a zespolenie ich nie będzie słubem, w którym niebo i ziemia spłynęły gorącą miłością; będzie to związek naciągany, będzie to skojarzenie dokonane mocą gwałtu i przymusu, a dzieło będzie skrecone i pożali się jękiem jakby struny zerwanej.

Przecież o tej jedności koniecznej wspomniałem powyżej; gdym rzekł, że treść a jej uobrazowanie, to jest forma, winny się począć jednym i tym samym gromem w głębinach duchowych, że u prawdziwego mistrza myśli są obrazem, a obrazowanie u niego jest myśleniem; ale o tém wszystkiém jeszcze później mówić będę, bo ta jedność obu stron stanowi właśnie istotę dzieła sztuki; nie zawadzi tedy wyłożyć ją najdokładniej.

Tutaj zaś wyraźnie już widać, iż gdy rodzenie się treści nie powinno się odbywać przed poczęciem formy i ciała dla tej treści, zatem też pierwsze potracenie twórczości mistrza nie powinno pójść od ducha jego, ale od zewnętrznego, rzeczywistego świata. Zjawiska tego świata same przez się już są formą, uwidomieniem pewnej myśli i treści w nich zamkniętej. Jeżeli tedy te zjawiska uderzą mistrza, a staną się zarodem dzieła sztuki, już go natchną; on je chwyci i w jednej chwili przeistoczy po swojemu, da im treść i formę, a dzieło piękności urodzi się światu. Ale o tém obszernie jeszcze pomówimy, tutaj rzucmy tylko wprzód okiem na ten rzeczywisty świat, o którym wspominalamy. Jakoż cała rzeczywistość otacza nas do koła oceanem, bijącym falą nieskończonych zjawisk. Zrazu potęgi natury tu odgrywają ten dziwny a magiczny dramat swój i występują na scenę całym orszakiem widziadeł to lubych i wdzięcznego uśmiechu, to straszliwych i groźnych; to przyroda piastuje człowieka jakby matka tkliwa, i karmi go i kołysze i pieści i bawi, to znów

nasyła na niego tytany wrogie, nieublagane, co głuche na jęki, na cierpienia, na płacze ludzkie, dławia i dręczą i męczą. A człowiek to zwija się boleścią za dotknięciem tych ślepookich demonów, to uśpiony rozkoszą w ich objęciu marzy i śni o szczęściu rajskiém, niezamąconém nigdy. Pogoń wzrokiem znów w świat duchowy — tu historia zasiadła wysoko nad ludzkim rodem, a na stolicy opocznej, wyniesionej po nad lat tysiące, nad państwa i ludy, w cichym majestacie patrzy się na przepływające pokolenia i zapisuje mocowanie się narodów i stuleciów i ich służby w sprawie uczłowieczenia człowieka; i znów domaga się liczby od bohaterów dziejowych naszego rodu, tych robotników swoich, i nie policza im na rzecz pańszczyzny, odrobionej wiekuistemu Panu, wszystkich, choćby najświetniejszych dzieł, które nie poszły na chwałę ich posłannictwa, a światu na zdrowie duchowe i moc. Tu się odbywają „sądy ostateczne“ nad światem.

Albo, gdy z tych wysokości zawrotnych spuścisz oko w nizkie padóły powszedniego życia, już, byleś miał oczy ku widzeniu a uszy ku słuchaniu, ockną się koło ciebie, wprawdzie nie światogłośnie, nie grzmiące przez stulecia, niemniej jednak zajmujące dramaty codziennej historii człowieka. Te tragedye, te komedye, choć odegrane w rodzinném zaciszu, przy ognisku domowém, staną się dla mistrza głęboką jak morze, nigdy nieprzebraną, wciąż się odradzającą ośnową, co rozrzewni i wzniesie radością, i znów rozkwili wszystkie uczucia duszy naszej. Wszak każda rodzina, każde serce ma swoją biografią, swój tajny żywot, co, będąc małym jej światem, poda też cały świat bogatej treści prawdziwemu mistrzowi. Któż zdoła zliczyć te głębokie i wysokie tony, te mrozy a upały, te tęsknoty i nadzieje, uciechy i smutki ponure, zgrozy i miłości, te uczucia, to mętne i skalane, to czyste i anielskie, te trwogi, radości, co w ciągu życia na przemiany miotają, piezczą, szarpia i usypiają to biedne serce człowieka, zanim nie spocznie na zawsze, jakby w kolebce, w cichym grobie swoim. Bądź wieszczem tych wewnętrznych a tajnych dziejów piersi naszych, a zaśpiewasz poematem ogromnym, cudownym; każdy jego ustęp będzie jako rozstopne rzewne adagio lub allegro hoże.

Nie ma co, podobno, wspominać ci o innych jeszcze ośnowach; natracę tu jeszcze tylko jedną, a zaiste najwyższą, bo wrażenia a uczucia religijne, co tak proste i naiwne, jak paciorek poranny z ust dziecięcia, a tak głębokie, jak najgłębsze mądrości słowo, tak łagodne i miękkie jak tchnienie wieczornego powiewu, co unosi fijołków woń, a tak potężne jak owe moce, co obracają wszechświatów bieguny i słońca i gwiazdy.

Słowem wszystko, co się w naturze, wszystko co się w duchu święci, co tylko porusza serce człowieka, rozkłada się nieprzeliczoną ciżbą przedmiotów przed obliczem artysty; a każdy z tych przedmiotów może potrafić fantazją do czynu, rozplomić w niej

stwarzania potęgę. Duch mistrza patrzy się na świat, jako na własną wewnętrzną treść, rozłożoną w przestrzeni, a rodzącą się w czasie. Świat ten jest jakby uwidomioną symboliką własnego wnętrza artysty. Jeżeli przeto z tych tłumów zjawisk, jeden przedmiot spotężnieje i uderzy fantazją mistrza, już zatrzęsie nią do dna; odgłos uderzenia rozlegnie się po przybytkach duchowych, jakby grzmotne wołania archanioła, i z głębokiego snu przebudzi uśpioną w nim treść, właśnie temu przedmiotowi odpowiednią. Lecz ziemski przedmiot ten zarazem uchwycony przez wiekiście potęgi ducha, zanurzony w jego tajemnicach świętych, zmiera śmiercią, a ogarniony żarem duchowych mocy, wypala z siebie co doczesne; tak przetopiony, przeistoczony fantazją, staje się promiennym ciałem owej treści razem z nim poczętą. Jest to przemienienie rzeczy skończonej na dzieło duchowe piękności, co teraz na podziw ludziom występuje w świat.

Takowe przeto są zrodzenia sztuki pięknej; o nich jeszcze poniżej obszernie wspomnimy. Chciéj tylko pamiętać, że istotnie pierwsze potrącenie idzie od zewnętrznego przedmiotu; pamiętaj, co stara wschodnia wieść niesie o „onej muszli biednej, niby śpiącej w ciemnych wód topielach“. Ona daleko od światłości barw niebiańskich, przykuta do skalnego oceanu dna; lecz gdy się szaleńcem rohuje mój przepaści, i z zewnątrz ziarnko piasku wpadnie do małuchnego przybytku jój, i podrażni ją z lekką, już ze snu rozbudzi się muszla śpiąca, i sili się biedna i mocuje z niem, aż je odzieje osnową kosztowną swojego żywota. Tak, co było tylko ziarnkiem piasku, występuje na świat z tajemnic wnętrza przemienione w perłę drogą — co w ciemnicy zrodzone, świeci teraz we wszech niebios barwy. Podobnie niechaj mistrz, wieszcz, osnowę bezkształtną, surową, którą mu narzuci świat, odzieje ducha promieniem, przemieni na perłę kosztowną, którą zaświecić ma w koronie piękności niepokalanéj. Jeżeli zaś odwrotnie dzieć się będzie, jeżeli do treści już w nas rozwiniętej zechcemy dobierać formy, jeżeli będziemy chodzili po świetle, by od rzeczywistości wyprosić, wykwestować jakieś ciało dla duszy, którą mamy już gotową, na podoręczu, — wtedy, jakieśmy rzekli, obie strony nigdy nie stopią się w jedną całość; nie stworzy się tutaj bynajmniej dzieło piękności, ale się skleci jakaś sztukowana łata-nina, robota saméj zimnej refleksyi, a choćby nawet dowcipu; jak to jawnie pokazują owe biedne poemata mękami wyciśnione ze samego mózgu, którym atoli nie przyświecał ani jeden promień natchnienia. W takowych razach treść owa, właśnie dla tego, iż nie ma ciała, będzie wprost myślą, abstrakcją, czémś ogólném, a wtłoczona przeto we formę, w obraz, uczyni z nich również abstrakcją, zabije ich życie, zetrze z nich wszelką indywidualność, zamieni je na ogólnik czyzy i głuchy w sobie. Dobitym przykładem jest tu allegorya, w której wyraźnie widać, że treść a forma, że dusza a ciało bynajmniej się nie trzymają siebie. To ciało, będąc ogólném, bez indywidualności, mogłoby wielce wygodnie obejść się bez téj treści, którą

mu narzucono, i stać się gospodą dla innej jakiejś osnowy, nie mającej gdzie się podziąć. Oto np. ta figura skrzydlata ma znaczyć niby los szczęścia, niby fortunę, ale onaby mogła równem prawem wyobrażać chwile ulotne, miłość, westchnienia, uciechę, sen, tony, sławę; bo to wszystko jakieś skrzydlate, płocze, ulotne. Wszak figury geometryczne właśnie dla swojej istoty ogólnej, abstrakcyjnej, beztreściwej, od wieków są sławne z cierpliwości swojej; to istne gospody przy gościńcu, kto tylko chciał w nich się mieścić. Koło, kwadrat, a mianowicie trójkąt, tak od ludów pradziadowych jak i z naszych czasów, mianowicie gdy o jakieś sekreta chodziło, były używane za godła, za symbole różnych a różnych znaczeń; a te biedne figury poddawały się różnym konceptom z bezprzykładną rezygnacją.

I na wzajem, ta treść rozumowa, którą samowolnie wcisnął w to ciało, mogłaby się zupełnie bez niego obejść, i siedzieć komorą w innej jakiejś formie; a im treść będzie ogólniejsza i mniej odczuwana, tem łatwiej jej przyjdzie znaleźć dla siebie lupinę, a jeżeli już stanie się czystą myślą, prawdziwie abstrakcyjną, wtedy może się zupełnie obejść bez obrazu i ciała. Wszak umiejętność w najściślejszym znaczeniu, właśnie w prostej, bezbarwnej, najprozaiczniejszej prozie znajduje najwłaściwsze wyrażenie swoje; boć umiejętność takowa ma tylko sprawę z myślami samemi. Tutaj fantazja zupełnie bez kredytu.

Jeżeli tedy w dzielnicy piękności wprzód w myśli wykończymy treść, duszę naszego dzieła, a potem dopiero ją odziejemy jakimś ciałem, już wtedy nie spodziewajmy się żadnych związków ścisłych obu stron, rozleć się lada kiedy. Treść owa może mieć ten sam przypadek, który się przytrafił duszy Hermotymusa. — Co to Hermotymus? — Ba, jest to stara historia, bo się wydarzyła, jakoś temu dwa tysiące sto lat z górą. Hermotymus był to filozof, ale wcale nieosobliwy. Przecież zebrało mu się na imię w historii, bo był nauczycielem wielkiego Anaxagoresa, który materyalistom swojego czasu wprost rzucił w oczy prawdę, że to nie materya, że to nie żadne atomy budują świat, ale że wszechrzeczami rządzi rozum wiekuisty, czego mu, mówiąc między nami, jeszcze nie jeden z dzisiejszych badaczy przyrody zapomnieć nie może. Otóż, co do tego Hermotymusa rzecz się tak ma. Ciało i dusza nie były u niego wcale zbyt silnie połączone. Dusza jego, jak czysta abstrakcja, mogła wedle zechcenia zwlec z siebie ciało, zostawić je jako kapotę w izbie, a sama puszczać się na przechadzki i bałamucić się po świecie jak się jej żywnie podobало. Nie odmawiał sobie też Hermotymus tej przyjemności, zwłaszcza w czasach gdy zachodziły jakieś nieporozumienia, między nim a piękniejszą połowicą jego istoty. Bo trzeba ci wiedzieć, że nasz filozof miał żonę, co mu właśnie było na zgubę. Jakoż posłuchaj. Pani Hermotymusowa od dawna krzywo się patrzyła na te absentowania się swojego małżonka. Więc pewnego

razu, gdy po nader żwawej sprzeczce domowej dusza Hermotymusowa, pragnąc dystrakcyi, wyprawiła się na jakiś dalszy spacer, jéjmość u siebie uchwaliła położyć koniec téj konduicie mężowskiej i wypłacać mu figla, co raz na zawsze popamiętał. Zatem, jak weźmie płakać, krzyczeć, desperować, aż na ten lament zbiegły się sąsiady, przyjacioły i kumoszki; nuż im pokazywać ciało martwe najukochańszego męża, mówiąc, że z nienacka umarł zostawiwszy wdowę w nieutuloném nieszczęściu. Skończyło się na tém, iż przyjacioły i sąsiady i kumoszki, życząc serdecznie popołgować biedaczce i usunąć z jéj oczu widok tak żałośny, czém prędzej zawinęły się około pogrzebu, i co tchu, wedle ówczesnego zwyczaju, spaliły ciało. Zgadnąć nie trudno wcale, jak się zafrasował biedny Hermotymus, gdy wróciwszy z owéj wycieczki zmiarkował despekt, jaki mu wyrządziła małżonka; w końcu jednak sobie wyperswadował, bo pomyślał, że sobie przecież gdzieś dobierze jakieś ciało, coby było jako tako prawie na niego, a nadto wiedział, iż w najgorszym razie, gdyby się uparł, mógłby i zupełnie obejść się bez ciała. — Więc... i t. d. i t. d.

Chciéj tylko zważyć jeszcze mimochodem, że gdy myśli abstrakcyjne znajdują najwłaściwszy sobie wyraz w prozie bez postaci bez przenośni żadnych, zatem téż znać, że myślenie filozoficzne, abstrakcyjne, myślące bez obrazów, przeszkadza fantazyi, niby myślącój w obrazach.

Baczmyż dalej, że lubo pierwsze potrącenie pochodzi od zewnętrznego przedmiotu, toć jednak dzieło piękności, wywołane tém potrąceniem z ducha artysty, będzie różne wedle różnego nastrojenia jęgo fantazyi. Ten sam przedmiot błysnie jednemu jakby zwierciadłem magiczném i pokaże mu postaci i metamorfozę obrazów, opowiadających dzieje życia ludzkiego, a tak poda osnowę do romansu; drugiemu tenże przedmiot znów wskrzesi chóry geniuszów, co w głębi duszy zaintonują cichą, niedosłyszaną od świata muzykę, a będą mu śpiewać i grać i nie dadzą pokoju, dopóki nie zaklnie tych tajemniczych śpiewaków i graików w nuty, w owe hieroglify tonów; ten sam przedmiot znowu w trzecim zapali barwą i światłem, niby dźwiękami ducha, figury i oblicza misterne, a będą świecić, mienić się i ruszać i wdychać i nawiedzać go we dnie i w nocy, a upominać się i żalić, aż ich nie ubierze w malowane ciała, z któremiby już było każdemu z nich do twarzy.

Prawda, że nie każdy przedmiot jest równéj potęgi, by wzniecił ochotę i twórczą siłę w mistrzu, zwłaszcza jeżeli nie jest samowolnie obrany, ale podjęty na polecenie i żądanie; i to téż prawda, że nie w każdej chwili mistrz jest równego nastrojenia, że niekiedy wyda się gnuśnym i bezczynnym; przecież wiemy, że właśnie mistrz prawdziwy tém okaże dzielność swoją, iż z każdego przedmiotu, byleby był stosownym dla rodzaju sztuki jęgo, stworzy dzieło, mające na sobie mistrzostwa znamię.

Pozwól zatrzymać się nieco jeszcze przy owęj tajemnicy zrodzeń dzieła piękności, dotkniętych właśnie już powyżej. Najprzód zważ przedmiot sam. On stanął w obec mistrza tak, jak go podała żywcem rzeczywistość; on tedy jeszcze siecią misterną, utkaną przez demonów natury, trzymany jest w jęctwie ziemskim; na nim ułomkowość i niedostatki tuteczne wycisnęły piętno swojego panowania. Wszak przedmiot ten ma treść, on też ma formę, postać, którą się ta treść wyjawia; ale tak treść ta, jak i ta forma jego nie odpowiadają warunkom piękności; a to właśnie dla tego, iż ta treść i ta forma należą jeszcze do rzeczywistego świata, który sam tak jest niedoskonałym i tak biednym w sobie. Dla tego jeżeli ma wystąpić na świat jako wyobraźnik nieskończonej treści duchowej, ludziom na podziw i cześć, winien wytopić z siebie zuzelice ziemskich niedostatków, winien przez śmierć swoją wyzwolić się z pod służby ślepopokich mocy przyrody, a skonaniem ziemskim odrodzić się wolnym piękności synem; tak dopiero przedmiot ten napelni się treścią nieskończoną, która się w duchu mistrza zrodzi, a zarazem odzieje się nową, świetlistą postacią.

Z drugiej strony staje mistrz; on sam w życiu codzienném również trzymany jest w jęctwie potęg doczesnych; tysiące niewidzialnych nitek wiąże go magicznym splotem ze światem tutecznym i z całą ułomną rzeczywistością. Ztąd też, jeżeli on ma przedmiot ów przepięć, przeistoczyć i nadać mu treść wiekiustą, niechaj w tych chwilach twórczych wprzód sam siebie przeistoczy i wytopi z duszy swojej ułomność i biedy powszednie; niechaj sam wprzód roznieci w sobie wiekiustości ognie, niechaj w nim zamrze, skona człowiek powszedni, doczesny; a gdy w tych chwilach uroczystych porzuci ten świat, z którym się spoufalił, w którym się zakochał, wtedy obejmie go powiew innych nadziemskich światów, i wstąpi w niego dech twórczy, i uświęci na piękności proroka. Gdy przeto wybije godzina rodzenia, gdy gość nadziemski ma nawiedzić głębinę duchowe mistrza, a potęgą obcą, a przecież swoją, posiąść całą istotę jego, już serce zadrży w sobie, jak gdyby mu ginąć przychodziło; trwogi mrowie przejmują duszę, jakby się jęć już na skonanie miało; lęki mrozą, gorączki palą. W gałęziach liści coś gada, w koło coś szepcze. To duch już kroczy. Zawiało jakoby technienie od gwiazd. Po jednej targają się nitki, co wiążą życie z doczesnością lubą, poufałą; otoczenie powszednie, ukochane, znikło; w koło kłębią się obłoki, wiją mgły; w koło wszystko utonęło; obłok promienny pokrył ów przedmiot; przedmiot zniknął — skonał. Mistrz traci siebie; on sam na sam z duchem pozostał; rozebrały go strachy i niewymowne rozkosze; bo w nim kona człek powszedni, codzienny; — przytomność siebie zgasała. Niby wichry wywrotne uderzyły skrzydłem; rzekłbyś, iż się zerwały w piersiach burze i łomoty, że grają organy oceanów, a gromy biją jakby fale potopu. Dusza mistrza roztworzyła się na oścież; on patrzy się w jęć bezdna; w duszy jasności świecą, w niej

gwarno, ludno — ożyła milionem życia. Ciągłą gromadnie postaci, płynie ciżba za ciżbą, garną się tłumy nieprzeliczone widziadeł. Kto to? — to widma, to cienie jestestw, co kiedyś, bardzo dawno istniały w świecie, z którymi niegdyś mistrz spotykał się w żywocie, w przeszłości; jestestwa te dawno przebrzmiały, umarły, ale ich wizerunki wemknęły się w duszę jego, ułożyły po grobach zapomnienia; tam zaczajone spoczęły pochowane. A dusza mistrza głęboka, szeroka rozłogiem jak morze; w jej głębinach niby cmentarz — grób przy grobie; ale teraz groby się ruszają, niby żyją, rozsypuje się, pęka na nich ziemia; ciągnie, kroczy tłum widziadeł, świat postaci; są to niby dusze zmarłych niegdyś jestestw, co teraz przerodzone świecą barwą, tonem, pięknoscią nadziemską; to nie są wierne wizerunki onych jestestw, niegdyś spotkanych, one są zrodzone twórczością ducha; to istne wiekuistości mieszkańce. Przesuwają się orszakiem te smętne, płacziwe, owe wesołe i radośne, tamte znów otulone ponurym majestatem. A szybciej, chylżej przelatują około oczu mistrza te tłumy innego świata; to mącą się z sobą i splatają, to znów się rozstępują i uciekają od siebie; a coraz śpieszniej, gwałtowniej pędzą i wirują zawrotnym kołowrotem to dzikie, chichotne zapusty, to znów pochody grobowe, a przyświeca im jakby pożarem jasna nieskończoności luna. Ale już szary ranek zaświtał w duszy, kur pierwszy raz zapiał, przytomność siebie bieje już wschodem na niebie myśli; mistrz, już na pół obecny sobie, błyskawicznym przegłędem przebiega te postaci; one stanęły, zatrzymały się na rozkazanie mistrza; on ujmuje je w szranki ładu; on czyni wybór z tłumu widziadeł mocą budzącego się rozumu; błędnieją nie wybrane, jeszcze czekają, jeszcze chwilka, ale już pełna przytomność myśli purpurą zarania zapaliła dzień gorejący w duchu; wszystko znikło, owe postaci wybrane same pozostały; inne wróciły do grobów swoich. Występuje na jaw obraz owego przedmiotu, co był niegdyś rzeczywistym, a ten obraz jego promieni pięknoscią, bo jego pierwiastkami są owe postaci wybrane z tłumu; — on się stał *idealem*.

Te chwile rodzenia są przeto stanem obłąkania, stanem zachwycenia, wieszczego szału; w nim mistrz traci siebie, unosząc się ponad świat doczesny, bo tu sprawa z wiekuistością, żyjącą w piersiach człowieka, a ideał, w tym stanie zrodzony, jest tej wiekuistości świadectwem a najwyższém naprężeniem i spotęgowaniem własnego jego ducha.

Przedmiot, wzięty żywcem z rzeczywistości, ma, jak wiemy, treść i formę niedoskonałą. Otóż w stanie zachwyty rodzi się nowa treść, bo czysto duchowa, a zarazem nowa, bo duchowa, forma i postać dla tej treści. W chwili owego wrzekomego obłąkania powstają w toniach duchowych, jak wiemy, tłumy postaci promieniejących pięknoscią; one, choć tak różne między sobą, są atoli wszystkie skutkiem potracenia, idącego od przedmiotu owego, a tém samém są z nim wszystkie w pewnym związku magicznym; przedmiot ten jest ich

niby wspólnym kontrapunktem. Przecież te postaci już się zrodziły jakby z duszą swoją, z nową treścią, a treścią duchową, nieskończoną, i toć właśnie jest przyczyną, iż one świecą tak nadziemskim wdziękiem. Widzieliśmy atoli równie, iż nie wszystkie te obrazy wchodziły do przyszłego dzieła sztuki, że mistrz następnie kombinuje je, rozłącza, wiąże, czyni wybór między niemi, a tak wybrane postaci będą właśnie najwyższej piękności obrazy i ciała, zawierające w sobie treść najwyższą.

Z tego wynika, iż stan natchnienia wieszczego rozdziela się niby na dwie epoki. W pierwszej panuje zachwycenie, bezprzytomność zupełna twórczości; są to chwile, w których nowe a ciągle nowe obrazy występują dzikim zamętem z głębin duszy; jest to stan niby bierny, a przecież tak ogromnej dzielności duchowej. Poczem rozpoczyna się druga epoka tego zachwyty wieszca, bo rozpoczynają się te chwile, w których duch jego wybiera a przebiera w tych postaciach, które mu się pojawiają w głębiach jego; ta czynność atoli właśnie jest dowodem, że przytomność wraca mistrzowi, że zaczyna być świadom siebie, bo odróżniając obrazy między sobą, odróżnia też siebie samego od tych przemykających się obrazów. Mówimy że przytomność, że świadomość wraca, a zatem, że teraz nastąpił stan duszy pośredni, z którym duch jest już na poły świadomy siebie, a na poły jeszcze bezprzytomny, bierny, bo poddający się jeszcze potędze twórczej, która w nim robi i tworzy. Bo zważ, gdyby duch w tych chwilach był w zupełności siebie świadom i rozumowo siebie przytomny, jużby nie miał tych widzeń, jużby nie widział tych obrazów i uroczych postaci; i na wzajem, gdyby jeszcze trwał w całej pełni swojej poetycki szal epoki pierwszej, toby duch nie był jeszcze zdolny czynić wyboru między obrazami. Widzisz tedy, iż ta chwila wyboru jest stanem przejścia, w której wraca przytomność; ów rozsądek waży się ze znikającym już z wolna zachwytem twórczym, w który obie strony duchowe są równe sobie co do potęgi. Ta druga epoka jest przeto dramatem, w którym duch sam jest widzem i sam autorem.

Lecz „obok tych wybrańców szczęśliwych manii jest inna, która także odstępkuje od powszedniego żywota, lecz już nie do kapitolium ludzkiej czci, ale do tarpejskiej skały prowadzi; tu nie potęga jasna, nie anioł w światłości odziany zstępuje z góry, by zamieszkał w duszy człowieka na miejsce powszedniego rozsądku; tu z nocnych, przepaścistych głębin lęgnie się demon zły, co okrywa skrzydłem ciemnym duszę i ćmi rozsądek i wzrok. Wtedy umiera w duchu człowiek z tego świata, czekając póki go nie zbudzi z martwych łaska Boża, lub ostateczne wołanie archanioła — jest to bezdenne nie-szczęście choroby umysłowej“ (*).

(*) Wykład systematyczny filozofii. Filozofia ducha. § 446.

Zachwyt bezprzytomny, obłąkanie mistrza jest najwyższem po-
łudniem fantazyi, jest potęgą rzetelną. Bez tego zachwytu nie ma
mistrza. Techniczność, wprawa, choć są koniecznym warunkiem
w sztuce, same jedne uczynią cię jedynie majstrem ale nie mistrzem,
a w najszcześniejszym razie świetnym wykonawcą obcych dzieł, może
jeszcze wirtuozem, który olśni współczesny świat, ale dla najbliż-
szych potomków zaledwie w tradycyi żyć będzie, — zamrze w za-
pomnieniu.

Chciej posłuchać jak Plato maluje zachwycenie; przyznasz iż to
jest iście sędzia właściwy; wszak on i tu bierze rzeczy po swojemu;
więc z całą głębią spekulacyjną wiąże natchnienie z nieskończo-
nością, z nieśmiertelną istotą ducha człowieka. „Wierzajcie, po-
wiada, wierzajcie, najzaczniejsze dobro płynie z zachwycenia szału.
Wszak Delfów prorokinie i kapłani Dodony, wróżąc w sprawach
publicznych, darzyły Helladę zbawieniem w twardych potrzebach.
A kto czcią i modlitwą zwracał ku bogom serce, ten widzeniem wie-
szczem przeziarał tajemnic opone i doznawał we wróżbie przeczucia
ratunku i przemożenia ciężkiej niemocy. Inne znów jest obłąkanie
i zachwyt nasłany od wielomocnych muz. Lecz zachwyt ten a szal
promieni jedynie w duszy niewinności nieskalanej i świętością uczczo-
nej; on w nią rozpala hymny święte, uroczyste, i wyzywa do
pieśni na chwałę pradziadowych lat, a tak, wsławiając stare wieki,
sieje dzielność późnych pokoleń. Kto zaś bez tego szału muz stanie
w świętym poezyi przybytku, zuchwale mniemając, iż samą sztuczno-
ścią może wieszczem zostać, tego śpiew omdleje, gdy obok niego
uderzy pieniem ów muz obłąkaniec... Bogowie nasyłają natchnienie
owe na uszczęśliwienie człowieka. Toć okazać zdołam, badając
Boską istotę, i istotę ludzkiej duszy, bo macie najprzód o tém wie-
dzieć, że dusza ludzka jest nieśmiertelna“ i t. d. (Phaedrus.)

LIST DWUNASTY.

Fantazyja i bliższy jej rozbiór.

(Ciąg dalszy).

Kompozycja. — Natchnienie i kompozycja i w innych dziełach duchowych człowieka.
— Ogólne zasady estetycznej kompozycji. — Kompozycja charakterów, przykłady
z Korzeniowskiego, Rzewuskiego, Kraszewskiego i Chodźki. — Dalsze uwagi nad
kompozycją. — Powód częstych wad w kompozycji i przykłady z malarstwa i mu-
zyki. — Improvizacja. — Deotyma.

Talent i geniusz. — Powołanie geniuszu. — Stosunek jego do świata. — Rozmaitość
fantazyi artystycznej. — Ztąd podział jej. — Treść listów następnych.

Rzekłem, że wypadkiem zachwycenia, natchnienia a zarazem
świadomego siebie rozumu jest ideał. Póki w duszy burzą kołyszają

się fale, obraz idealny na nich się łamie w tysiące jasnych promieni; gdy się rozkołysane fale ustoją, już na cichém krystaliczném zwierciadle naszego wnętrza unosi się obraz duchowy — ideał. Lecz o ideale rozprawiałem ci zaiste już do syta, bo dawniej wypowiedziałem czém on jest sam w sobie (VII); w liście zaś poprzednim (XI) przypatrzyliśmy się jak ideał rodzi się w duszy mistrza, a teraz zapytamy, cóż mistrz dalej poczyną z ideałem już w nim zrodzonym? Ideał ma się przeistoczyć na dzieło sztuki, owe widziadło promienne, duchowe ma się stać ciałem! Widzisz przeto, iż tutaj nowe metamorfozy, nowe przemienienia się zrodzą, zanim ten cichy olimp bogów, żyjący dopiero w piersiach mistrza, odzieje się materją, stanie wśród ludzi i przemówi ich językiem, zanim będzie przemożona ta otchłań głęboka, szeroka, rozdziałająca świat duchowy a doczesny.

Jeżeli przygasisz te wszystkie świece, co ci rozjaśniają żywot zewnętrzny i przygłuszysz gwary hałaśne a gadatliwe wrzawy jego; jeżeli przymrużysz ziemskie zmysły twoje, a cofnąwszy się w siebie nawrócisz duszy źrenice ku onemu idealnemu obrazowi, co płynie po przezroczach bezdennych ducha twojego, — zda ci się zrazu, iż ten obraz i wzór widzisz w każdym odcieniu, że on żywy, że tylko co nie przemówi do ciebie, że ci tylko kopiować ową modłę wewnętrzną, a dzieło już gotowe, od stóp do głów ukończone, w całym uroku a wdzięku niebiańskim wystąpi w obec świata a poruszy najgłębsze tony ludzkich serc. Lecz zabierz-no się do wykonania, a obaczysz, jak cię zawiodą otuchy twoje; poznasz, że ten obraz idealny nie wystarczy; on ci się zrysuje tylko ogólnym, bardzo ogólnym konturem, okaże się być widmem uroczém, rozpląnném, przejrzyśtém; a choć je rozświecisz poświatą księżycową twojej wyobraźni, nie dowidzisz w niem przecież szczegółów; one będą niepewne, niby zachuchane, zamglone i nie dostoją ci w pracy twojej, gdy je przyjdzie przetłumaczyć na świat materji. Ztąd nowe pole chwały a pracy dla mistrza. Choć i tu nie obejdzie się bez potęgi twórczej a siły natchnienia, toć jednak rozważa głęboka i baczność rozumowa będą teraz głównymi pomocnikami jego. Mistrz przeto zajmie się teraz uzupełnieniem niedostatków idealnego obrazu, silnie poprowadzi zarysy, a głównie zrodzi brakujące szczegóły i części i połączy je harmonijną jednością. To stwarzanie szczegółów i łączenie ich w jedną harmonię, to zradzanie i składanie części w jedną całość jest *kompozycją* (*).

Zwykle mówimy o kompozycji, gdy rozprawiamy o dziełach sztuki a zwłaszcza o muzyce; ale po prawdzie wszędzie, gdzie tylko chodzi o dzieło duchowe, winno się znaleźć natchnienie szczęśliwe i kompozycya, choć w dziedzinie umiejętności ideał i kompozycya mają inne znaczenie, niż w dziedzinie sztuk pięknych. Człowiek pasuje się i bie-

(*) Porównaj Estetykę Vischera, T. II, str. 299 i nast.

dzi, by przełamać zadanie przeznaczone mu na ziemi; ale prace jego i mozoły odbywają się zwykle w szarym mroku codziennego żywota i wloką się, jak ich tam stać, już raz na zawsze utartą koleją. Jak atoli się niekiedy zdarza, że w ciemnej izbie, wśród grubej nocy jakieś światło fosforyczne zajaśnieje na chwilę w oczach i niby błyskawicą rozświeci komnatę całą i wszystkie w koło przedmioty, tak też niekiedy szczęśliwym ludziom, w szczęśliwych chwilach, coś w duchu strzeli jasnością, łysnie nadziemskim światłem; wtedy zmienacka mignie się przed oczy prawda dawno śledzona, a rozwiązana jest nagle tajemnicza zagadka, o którą rozbijały się trudy myśli i nuże długiej twardej pracy. W tych jasnych chwilach natchnienia staje przed oczyma wzór, ideał, który, jakby gwiazdą przewodnią, zaprowadzi już do celu wieloletnich pragnień.

Przecież i tutaj ten wzór wewnętrzny, co zaświecił przed oczyma duszy w godzinie natchnienia, jest również tylko obrazem ogólnie skreślonym, niepewnym i rozpląnnym, i on wyzywa do trudu a pasowania, i wymaga, by wprzód jego części szczegółowe stworzyć i złożyć w jedną całość, zanim będzie gotów wystąpić w świat.

Patrz na tę maszynę, wymyśloną z taką bystrością misterną; ona jest tryumfem mechaniki, ona wyręcza tłumy pracowników, oddaje się w korne jęctwo ludzkiemu rodowi; a hucząc, sapiąc, dysząc, jako coś żywego służy celom duchowym i uczłowieczeniu człowieka. Jakoż główna myśl tej maszyny, ogólna jej modła stała od razu w chwili natchnienia przed duszą szczęśliwego wynalazcy; lecz on nie mało się napracował, nakombinował, zanim ją „skombinował“, zanim wymyślił wszystkie jej części i szczegóły, zanim te wszystkie kawałki żelaza, krótkie i długie, okrągłe i rogate, proste i krzywe, gładkie i zębate złożyły się w jedną całość i ożyły tchnieniem myśli, zanim ten potwór o siłach tytana, uparty i zuchwały, zażegnany mistrza słowem, poddał się w pokorze skinieniu jego.

Gruba noc nierozumu przyginała ludzki ród, ponury zabobon, próżnia czcza przysłuszała świat, nikt nie słyszał proroctwa, co wróżyło z dalekich zamorskich stron; a przylatywały na skrzydłach wichrowych z ostatniego zachodu jakieś dziwne głosy, a niewidome zwiastuny przypływały na obłokach żaglowych i na grzmotach łamiących się fal; wszak te fale oceanów, same przynosiły z kądciś brzegom stariej Europy jakieś gałązki dziwne, niewidziane jeszcze, jakby nadziei wróżby zielone, niby wieści bajeczne o krajach cudów. Nikt nie dosłyszał, żadne oko nie dopatrzyło się ducha przyszłości, co już chodził wśród ludzi, szukając, ktoby zrozumiał mowę jego. A był jeden wśród wszystkich mąż o szerokim sercu; on myślą głęboką zapadał w dumanie nad światem, co rozwinięty mappami przemawiał do niego wyrocznią cichą. I stanął przed nim ów duch proroctwa przyszłości w godzinie natchnienia, i dał mu posłuchanie Kolumb, i w tajemnej poufnej rozmowie wywiedziały się od ducha o tych nowych światach, co od bieguna do bieguna zbudowawszy twierdzą

swoich łądów, zaległy całe nice ziemskiej kuli. Ufając tedy wyrocznicy w sercu zamkniętej a Ojcu na niebie, puścił się na przestworza nieznanych oceanów, pytając gwiazdy Boże o drogę; lecz razem z nim wstąpiły na kruchy statek niewidome sterniki, aniołystroże historii ludzkiego rodu. Wiemy atoli, co przeniósł, co przecierpiał, ile przemógł Kolumb, zanim półświatem obdarował onego Ferdynanda smętnej pamięci, zanim dosłużył się onych kajdan, zanim już razem z tą nagrodą swoją mógł złożyć się spokojnie w grobie i zdrzémnać na chwilę, aż go „Bóg nie powołał do swojej chwały“ jako żywego a naocznego świadka mądrości wiekuistej.

Inny znów mąż, umiejętności mistrz, zamknął się sam na sam z duchem swoim; trawi go pragnienie, by zajrzał w serce świata, a poznał nieskończoną prawdę, co żyje a tętni we wątku wszech stworzonych rzeczy. W koło niego natura i państwo duchów odegrywa dramat; ale akторы tego dramatu, to zjawiska przepływne, znikome, to tylko hieroglify i symbole, to widome ciała, w które się przebierają myśli, idee, będące znów tylko pojedynczemi ogniwami jednej nieskończonej myśli Bożej. Mistrz ufa, że pragnienie wiedzy, że miłość prawdy, włożone w serce jego, nie są zawodną uludą, a choć tęskno i kliwo, choć mrozy powątpiewania o wiedzy człowieka przejęły serca ludzi, choć między niemi chodzi wieść, iż przepaść bezmierna rozwarła się między ludzkim badaniem a prawdą, że one myśli i idee zostały na wysokim niebie, otaczając chórem wszechmocności tron, i że w niziny rzeczywistości naszej spadły jedynie ich powłoki kłamliwe a puste łupiny, mistrz atoli ufa głosem wewnętrznym, ufa, że nie są kłamstwem zawodnym. Powiedz, dla czego ta drobna, maluczka igielka magnesowa, co zamknięta w ciasnym biednym domku swoim, przecież zawsze i wszędzie zwraca się do światów bieguna? powiedz, czego ję tak tęskno do tej piasty, około której wirem chodzi niebo całe? — Zaiste ta igielka mała zwraca się i tęskni do bieguna świata, bo choć tak drobna i biedna, spokrewniona jest przecież z oną niebios piastą; a im więcej ta igielka drobna wzmoże w sobie tę miłość tęskną, tém téż więcej zaiste ję udzielony jest pierwiastek, co ją wiąże ze światów biegunem i tém ona jemu podobniejszą się staje, tém silniejszy jest, choć niewidzialny, prąd co łączy obie te ostateczności. Bo miłość rodzi miłość!

Ztąd téż i człowiek tak tęskni do nieskończonych prawd, bo w najgłębszej głębi istoty jego tleje wiekuistości iskra; dla tego człowiek gore tak miłością ku Bogu, bo Bóg sam tchnął w niego dech własnej istoty swojej. Otóż widzisz, ten pierwiastek wiekuisty, od Boga dany, żyje w duchu człowieka, jak w świątyni swojej; więc gdy się obaczy w świecie rzeczy doczesnych, tęskno mu, jest jakby sierotą samotnym, wygnanym z ojcowizny swj. I dla tego téż niekiedy wśród wrzawy tutecznej coś w nas boli, coś płacze; otóż to, co boli, co tęskni a płacze w nas, toć jest ów pierwiastek niebiański; on téż rad śmierci, bo dla niego śmierć ciała jest powrotem przed

Ojca tron; nim zaś doprawdy ten powrót nastąpi, dusza gore żąda umiejętności, by tymczasem poznała Ojca choć w stworzeniach jego, aby choć w tych ułomkach onej kompozycyi wszechstworzenia odgadła ideał, który się niemi wyraża.

Tak tęskni w człowieku iskra wiekuistości od Boga mu dana, i tęskni ona i pragnie gorąco; tęsknota roznieca miłość, a miłość wzmaga tęsknotę, a potężnieje coraz miłości moc w duchu człowieka, potężnieje i wzmaga się prąd płynący w serce nasze od nieskończonej miłości, od nieskończonej mądrości, aż owa iskra, zrazu tylko w nas tlejąca, buchnie płomieniem, błysnie pochodnią, zaświeci mądrością, i tak staje przed oczyma nową umiejętność ideał, nowy system wiedzy ludzkiej. Lecz geniusz, ów szczęśliwy wynalazca, wprzód nałamię się ciężkiem pasowaniem z sobą, wyrzeknie się świata i uciech ziemskich, a życiem opłaci, zanim ten ideał rozwinie w szczegóły, zanim ujrzy wszystkie części i ułamki téj całości i powiąże je w system, w kompozycyą organiczną, zanim wszystkie myśli i idee szczegółowe, grające w dramacie natury i w państwie duchowém, nawlecze na nici jakby jaśniejące paciorki kosztowne, zanim wśród tych paciorków promiennych zabłysnie i krzyż rubinowy, zanim na tym różańcu mądrości duch stworzony zamodli się Panu.

Dość nam tych poważnych przykładów, wszak i w życiu powszedniem, zdawkowém, codzienném, widzimy, że pomysł tutaj jakby ideał, a kompozycya, niby wykonanie pomysłu są rozłączone od siebie całym światkiem trudów i znów drobniejszych pomysłów. Oto, czegoż ów młodzian tak naperzony zasiadł przy stole, jedną rękę wbil w gestwinę rozburzonej czupryny, a drugą podparty trzyma pióro pogryzione na strzępki? W koło stołu walają się papiery o złocistych brzegach zmięte, podarte. — Proszę mu nie przeszkadzać, biedaczysko „komponuje“ list do swojego ubóstwionego bóstwa. W oczach jego duszy rozkochanej ideał listu już zupełnie gotów i oświecony bengalskim ogniem sentymentów, a przecież co napisze, to przekreśli, poszarpie a rzuci o ziemię; — jeden list jakiś letni, nie dość strzelisty, a jednak potrzeba, aby każdy wyraz był wyostrzony na bruku samego Kupidyna; i druga epistola znów jakoś zanadto butna, wichrowata, pisana niby z czapką na bakier, a zbyt śmiałe gruchanie mogłoby spłoszyć turkawkę trwożną; w trzeciej znów afekta, uczucia, zakłęcia takie jakieś wymuszone, wymuskane, chodzą jakby w sztywnych krawatach a w ciasnych butach; czwarty list wprawdzie niczego, wyrażenia bardzo śliczne, ale cóż z tego, kiedy nie wiążą się z sobą, kiedy nie trzymają się siebie i rozbiegają się na wszystkie strony; piąty jest i t. d. i t. d.

Tam znów dama wieczorem siadła w salonie, zalanym jasnością tłumną światła, co snopami goreje po ścianach, po stropach; rząd pokojów ustrojony niby pałac czarnoksiężki, zdobny wdziękiem uroczym i smakiem oryginalnym, lśniącym, błyszczącym; a przecież ta

dama wśród tego raiku cywilizacyi jakaś znękana, znudzona, dziś wyprawia bal, co tylko się goście nie zjadą. I cóż z tego? Oto na początku jeszcze zimny natchnęła ją myśl śmiała, szczytna, przyćmienia swoim balem okolicy całej; fantazyja, co zawsze gotowa służyć damie, chwyciła za pędzel, a umaczawszy go w barwach, któremi maluje E. Sue zapomnianej pamięci bale swoje, w mgnieniu oka co tehu skreśliła widok przyszły pokojów, przeistoczony na ów pałac mitologicznego uroku. To zrobiła fantazyja, pokłoniła się i uleciała zostawivszy pani domu dokończenie zuchwałych pomysłów. Ale po có ci wyliczać one trudy, wątpliwości a prace, które tak znękały naszą piękność, po co nam wymieniać one kłopoty, zanim wszystkie szczegóły zostały utworzone; ile razy były spisane i przepinane draperye, rozdzielone światło, ustawiane i przestawiane kwiaty, drzewka, umieszczone zwierciadła i t. d. A cóż dopiero, gdy w końcu kolęj przyszła na arcydzieło smaku, bo na własną toaletę; nie sądzi, że to tak łatwo; tutaj artystyczna kompozycya w swoim kwiecie najwyższym, tutaj schodzą się wszelkie tony harmonijnym akordem; daremniebym chciał wyliczyć te wszystkie misterye sztucznej natury i naturalnej sztuczności, bo „są rzeczy pod księżycem, o których się ani śniło naszym filozofom“, powiedział królewicz Hamlet; i ja tak myślę, więc rzucam bliższe opisy i t. d.

Wreszcie przyznasz, iż ktokolwiek nie na żarty chodził około nauk, doświadcza, że ogólne, choćby trafne, wyobrażenie o jakimś przedmiocie bynajmniej nie wystarczy, jeżeli przyjdzie zabrać się do niego piórem. Wtedyto bowiem dopiero z podziwieniem a strachem spostrzegamy, ile szczegółów jeszcze nie jasnych, ile ich nam brakuje, jak wiele jeszcze nauczyć się wypada; a ileż dopiero ślęczenia, by to wszystko jako tako zwić w jedną całość ukończoną. Zaprawdę, pisanie własne jest jakby istną próbą ogniową naukowosci każdego, i dla tego też taką jedynie drogą dokupić się można prawa do sądzenia o pracy drugich. Ale o tém nie chcą wiedzieć owi panowie, co nie nauczyszy się niczego porządnie, niczego sami nie dokonawszy, a przestając na jakimś ogólném wyobrażeniu o rzeczy, uważają że nierównie wygodniej żyć obcym chlebem, więc sami mianują się krytykami, obryzgując cudze zasługi. Ale cóż na to robić? I literatura ma swoich pasożytków!

Otóż, kędy spojrzysz, wszędzie obaczysz że, co w duchu poczęte, z boleścią dopiero a trudem twardym na świat się rodzi; praca artystyczna około kompozycyi jest ogniem, łączącym ideał a rzeczywiste dzieło sztuki. Jakie zaś są prawidła kompozycyi, toć już dziś nie trudno wyłożyć; estetyka nam współczesna dostatecznie roztoczyła te prawidła; nie wymyślając przeto rzeczy nowych, będziemy z niej korzystali. Dla snadniejszego atoli porozumienia się z sobą, chcieliby choć z lekka rzucić okiem na dzieła „skomponowane“ wiekiustą mądrością; one są wzorem sztuki komponowania.

Zważ-no, jak to natura jest mistrzowską kompozytorką, ona

zaiste doskonale wyuczyla się generał-basu wszech jestestw. Wszak już Plato, co to wygaduje na poetów, a sam był natchnionym wieszczem mądrości, cudownie nam prawi o harmonii sfer. I zaiste nie lada też to koncertem popisują się na niebie one światy świecące, one gwiazdziste błyszczące muzykanty, co, chodząc w takt po przestrzeni niebiańskiej, niby po kopulastej świątnicy Bożej, wyspiewują sobie i wygrywają partyturę odwiecznego hymnu; oni rozebrali te różne głosy między siebie, a żaden z nich się nie zmyli, a żaden nie chybi, choćby na cząsteczkę nuty. Prawda, że niektóre z nich, zwłaszcza te malcy asteroidy, tak z cicha się odzywają i tak cienko śpiewają, że astronomia dopiero po jednym ich się dopatruje w orkiestrze niebiańskiej; ale przecież znów każdy z tych żaków jako dykantysta wielce jest potrzebny do całości harmonii, a każdy z nich o tém wie, przeto się też tak trzyma i pilnuje. Cała muzyka ma na oku swojego kapelmajstra słonecznego, co, stojąc w środku, obracając się w kółko, przyświeca im, wybija takt i dyryguje wszystkiemi. Nie dziw przeto, iż tak dzielnie nawzajem się spierając, nie dadzą się zbałamucić onym wędrownym grajkom-kometom, co jak wałęsające się muzykusy, bez prawnego zamieszkania, bez pasportu włóczą się po niebie, i radeby się przypytać do onej zacnej kapeli i zarzępolić po swojemu, ale słysząc tę harmonią cudowną, widzą, że nic nie poradzą, zatem czem prędzej się wynoszą, szukając gdzieindziej dla siebie karyery.

A własne ciało twoje nie jestże arcydziełkiem onej kompozytorki natury! Tutaj muzykantami misternego koncertu są organa, części i członki szczegółowe tak różne, rozmaite a nawet sobie odwrotne, a przecież tak ściśle z sobą połączone wspólnym akordem. Gdy jeden z tych organów wyjdzie z taktu, już rzuci cię biedaka na łóże lub przypawi o coś gorszego; wszystkie te organa składają jedność pełną harmonii. Wszak one nawzajem się uzupełniają, nawzajem się wywołują. Każdy z tych organów jest takim, jakim jest, dla tego iż całość jest właśnie taką a nie inną; każdy z nich ma się do każdego jak przyczyna do skutku, więc zarazem jak skutek do przyczyny; jest to spłot a system mistrzowski powodów i następstw. Dziś kto żyje powtarza za Cuvierem, iż z jednej kości choćby nieznanego zwierza wywróżyć można wszystkie inne, więc nawet całą budowę, ba! cały sposób życia a obyczaj tego mieszkańca zapadłego świata. Tém tedy jeszcze doskonalej ideał żywota isci się w kompozycji ludzkiego organizmu. Boć jak dzieło sztuki jest materyą, w której promieni się ducha nieskończoność, tak i cielesność ludzka, choć z materji zrodzona, jest przybytkiem wiekuistego ducha, który świeci i płonie nieskończonością. Chciej jeno nie zapomnieć o ułomności, będącej klątwą wszystkich jestestw natury, więc i cielesności naszej; chciej ją ująć z jej idealnej strony, a będzie dla nas wzorem kompozycji artystycznej.

Widzisz naprzód, że jedność a całość ideału winna się ziścić

w kompozycji; niechaj tedy treść, myśl główna, o którą chodzi, będzie tak wyrażona w dziele, jak się duch ludzki wyraża w cielesności swojej; niechaj przeto kompozycja nie zawiera ani więcej ani mniej w sobie, niż treść, którą ma urzeczywistnić, bo inaczej nie będzie ani całości ani jedności. Jeżeli w dziele już skomponowanem będzie mniej niż w treści, to nie będzie całości, uczujesz jakiś brak a niedostatek, jak gdyby w ciele organicznem, żywem brakowało jakiegoś organu; główna myśl nie będzie dostatecznie rozwiniętą. Nie dostaje np. w dramacie, w powieści, w obrazie malowanym i t. d. jakiejś figury, jakiejś sceny, ztąd całość taka jest biedna, chuda, ciemna, niezrozumiała. Takowy brak rzeczywiście pochodzi najczęściej z braku bogatej fantazyi, którą niestać by w całej pełni roztoczyła myśl swoją.

Lecz częściej jeszcze, a mianowicie między nami, znajdziesz wadę odwrotną; zdarza się bowiem gęsto, iż kompozycja zawiera w sobie więcej niż treść, a tak chybia jedności; to znów dzieje się różnym trybem. Jakoż naprzód spotykamy w kompozycji zbytek w tém znaczeniu, że do niej niekiedy przyplącze się jakiś ustęp, figura, scena, która jest wcale obcą dla treści, o której trudno wiedzieć zkad się wzięła; jest to organ obcy przypięty do obcego ciała. Tę wadzie ulegają najczęściej młodzi artyści i poeci, których bujność wyrównywa ich tkliwęj miłości ojcowskiej dla dzieci własnej fantazyi; przeto gdy je zrodzą, już niemi nacieszyć się nie mogą, a serce ich boli na-samą myśl pożegnania się z niemi. Jeżeli zaś w razach powyższych jakiś szczegół dla tego jest zbytecznym w kompozycji, iż nie zostaje w żadnym związku z jej całością, tak znowu w innych przypadkach zbytek pochodzi ztąd, iż albo jakiś szczegół należy wprowadzić do treści, lecz wybujał zanedo w porównaniu do innych części kompozycji, albo iż ta sama myśl wyrażona jest w kompozycji dwoma lub więcej szczegółami.

My, Krakowianie, zhardzieliśmy nie pomału od czasu, jak zacny Mieczysław Potocki udarował Akademią naszą Światowidem, co długie wieki przeżył w Zbruczu, zanim w poselstwie od zamglonej przeszłości stanął przed dwoma laty w starych jagiellońskich murach; otacza go i podziwienie i radość nasza, a przecież nikt nie powie, że mu pięknie z temi czterema twarzami, bo też on sam nie ma pretensyi do wdzięków artystycznych; jemu wcale o co innego chodzi! Zamknij się sam na sam, w cichocie samotnej, a kto wie, może roztworzą się kamienne usta jego, może i powiedzą o czém marzył pod wodą przez lat dziewięćset.

Widać atoli jak trudno uniknąć w kompozycji wyrażenia tej samej myśli dwoma lub więcej szczegółami, skoro tę wadę znajdujemy u arcy mistrzów, u geniuszów, które już będą we czci u ludzi, póki świat wielbić będzie co wielkie i piękne; a odwołuję się tu do dwóch przykładów, zwykle przytaczanych przez estetyków. Tak w Shakespearze nienawiść demoniczna niecnego Jago do Otella ugruntowana

jest na dwóch powodach, bo naprzód Jago mniema, iż mu Otello wyrządził krzywdę, mianując Cassia a nie jego poręcznikiem swoim, powtórze że sam w siebie wmawia, jakoby Otello uwodził mu żonę; ten to drugi powód jest niesłusznym, bo się nie zgadza ze zachością bohatera sztuki, co więcej jest zbyt szkodliwym, gdyż ów pierwszy powód zupełnie wystarcza. Podobnie zarzucają *Rafaelowi*, iż w Stanzach watykańskich dopuścił się podobnej pomyłki; na jednym bowiem z tych obrazów widać Atyllę, który na czele swojej tłuszczy nadciągnął pod mury świętej Romy; występuje naprzeciw niemu papież Leon S-ty, otoczony orszakiem arcykapłanów, i wymową natchnioną, przestrogią pełnami grozy skłania do odwrotu barbarzyńca; lecz po nad grupą tą unoszą się jeszcze postaci ŚŚ. Piotra i Pawła, a z mieczem w ręku grożą zuchwałemu najeźdźcy; ten uderzony cudem wpatruje się pełen strachu w niebiańskie widziadła; same nawet konie dziczy zżymają się i drżą. Tak tedy na tym obrazie albo namowa papieża, albo pojawienie się apostołów jest zbyt szkodliwym; a przecież to Rafael! w tém imieniu żyje cały świat piękności! Rafael! rzekłbyś, iż on sam jest piękności aniołem, który przelatując z nieba na niebo, odpoczął chwilę na ziemi, przybrawszy na się mistrza ciała! Rafaelowi wytykamy usterki! Czegóż sobie tedy tak do serca bierze najmłodsza bracia artystów, gdy krytyka, byle sprawiedliwa i z miłości udzielona, wykazuje im błędy?

Kompozycya wiąże rozmaitość szczegółów w jedność, w całość; tak znać, że wypada najprzód mieć gotowe te wszystkie szczegóły różne i części; trzeba je wprzód od siebie wyraźnie oddzielić, odróżnić, tak jak się oddzielają od siebie części i członki w organizmie naszego żywota. Ckliwym będzie np. twój malowany obraz, powieść, dramat, jeżeli figury w nim będą jednostajne, jeżeli na każdej z nich nie wybije się silnie piętno właściwej indywidualności, a tak niby tony a barwy różne wystąpią z sobą do gry. Zważ, iż kompozycya wcale nie wymaga konieczności wielkości figur. Wenus kapitolńska, Kopernik warszawski Thorwaldsena, kapitolński gladiator, tak są kompozycją jak grupa Laokoona lub Rafaelowska bitwa Konstantyna, albo Ostateczny sąd *Michała Anioła Buonarrotiego* (*).

Postać ludzka, figura pojedyncza, już sama z siebie, jakśmy rzekli, jest arcydziełem kompozycji przyrodzonej, tém więc przeto będzie najbogatszą a najcudniejszą osnową dla kompozycji artystycznej. Różne położenie rąk, przeważniejsze ciążenie całego ciała na jednym z boków, trzymanie głowy, kompozycya samego oblicza

(*) Godzi się też tu wspomnieć o pomniku ks. Sapieżanki, wykonanym przez młodego a tak wielce znakomitego artystę Henryka Stattlera. Postać młodej dziewczyny, śpiącej skłonem na tym grobie swoim, obłana jest najwyższym wdziękiem; patrząc się na ten jej spokój cichy, święty, żyjący mogą pozazdrościć tego śmiertelnego snu. Tutaj jedna tylko jest figura, a przecież kompozycya rozkwita w całym bogactwie swoim.

i wyrazu jego i t. p. słowem, te niewyczerpane przemiany postaci ludzkiej staną się dla mistrza odą, elegią skamieniałą, co, choć o marmurowych ustach, wyśpiewa mu całe dzieje nieba i ziemi, wszystko co w sercu ludzkim żyje, wszystkie grozy i smutki, rozkosze i zachwyty.

Lecz jeżeli już rzeźba dokazać zdoła tych cudów, ona, co chwyta jedną tylko chwilę duchowego żywota, jakież dopiero światy roz-
tworzą się dla poezji, roztaczającej swoje figury w czasie, rozwijającej charakter w następstwie ich żywota. Wszak charakter figury jest właśnie rozmaitością szczegółów, zestrojonych w jedność. Chcesz-li by charakter był bogatym? ustaw go tak wśród świata i ludzi, aby potęgi zewnętrzne, a między sobą tak różne, wygrywały na duszy jego, jakby na organach, wszystkie tony weselne i bolesne, posępne i radośne; niechaj cała ta tajemnicza treść jego z głębin swoich wystąpi na jaw, będąc wywołana z kolei zewnętrznymi przygodami. Okaż charakter w jasnych i ciemnych chwilach żywota, w trudnych i niespodziewanych wypadkach; niechaj wylatują z głębin piersi jego dotychczas w nim milczące i uspione mieszkające one, światliste anioły lub nocne demony.

Pamiętaj atoli, aby ta cała rozmaitość treści miała przecież wspólne piętno indywidualne, aby po uczuciach, po mowie, po czynach, choć tak różnych, było znać, iż są objawem jednego i tego samego człowieka, aby każdy, znający serce ludzkie, patrząc się na tę kompozycję twoją mógł zawołać: „tak jest, człowiek taki, w takim wypadku, właśnieby tak a nie inaczej postąpił!“ Jeżeli nie zdołasz utworzyć jedności takowej a wymyślisz swawolną rozmaitość bez wspólnego tła, wtedy nie będzie kompozycyi, a figura przez ciebie utworzona będzie bez charakteru.

Jeżeli zaś odwrotnie we figurze jakiej twojego romansu, dramatu, zachowasz wprawdzie tożsamość charakteru, ale nie zrodzisz rozmaitości jego osnowy, wtedy ta jego jedność nie będzie jednością rzetelną, ale jednostajnością cikliwą; braknie zatem i tutaj prawdziwej kompozycyi; charakter takowy będzie jałowy, ubogi, nie rozwinięty, abstrakcyjny. Dla czego np. nasze północne naczynia, gliniane tak nieładne, niby istne potworki? bo one są abstrakcją, są jednostajne, bez rozmaitości. Dla czego znowu te naczynia, które nam zapadła Pompeja zostawiła puścizną, choć także z gliny, są najczęściej tak pełne wdzięku i uroku? bo w nich jest kompozycja, w nich części są rozmaite a ściśle od siebie odgraniczone; tak podnoże, środek, szyja, cefka, kształtne ucha nawzajem się od siebie odznaczają, a przecież harmonijną stanowią jedność, — i one mają charakter! Bo téżto był dziwny ten świat-artysta, co tam śpi pod popiołami od blisko dwóch tysięcy lat! on czego się dotknął zamienił na dzieło piękności i smaku; on spał spokojnie przez długie wieki, a teraz wydobyliśmy go na dzień jasny, na własne upokorzenie nasze.

Jak ta rozmaitość szczegółów jednoczy się w jednej figurze, tak

wiele figur znów, rozmaitych między sobą, tworzy całość a spotęgowaną kompozycją. Bez przykładów dalszych się obejdzimy; łatwo zrozumiesz, ileby tu można rozprawiać o gruppach rzeźbionych, malowanych i t. d.; miej tylko na uwadze, iż ta różnaitość różnych figur może się wzmódz aż do odwrotności, do ostateczności; i tutaj nie brakłoby przykładów mistrzowskich, wspominam tylko o tych co nas bliżej obchodzą; biore więc z naszej literatury, a biore z kraju, co pod ręką np. te wręcz sobie przeciwne figury, jakimi są Józef a Henryk, Prezes a pani Włodzimierzowa w *Kollokacyi*, pan August a Marszałek w *Spekulancie Korzeniowskiego*. Zważno tych dwóch braci w *Listopadzie Rzewuskiego*; oni mają znaczenie głębokie, ale przecież nie są jałową allegoryą; to ludzie indywidualni ze krwi i kości; treść, znaczenie ich i forma pewnie zrodziły się w jednej chwili, a potracenie do ich stworzenia zaiste przyszło z zewnątrz. W „*Interesach familijnych*“ *Kraszewskiego*, ileż różnaitości i odwrotności w pokrewnych kasztelanica, a przecież, rzekłbym, mają jakieś wspólne familijne piętno; *Siekierzyński* znowu, to istny charakter: on różny w różnych życia przygodach, a przecież wszędzie to jeden i ten sam człowiek; on sam sobie dochowuje słowa, czyli go korci grzyb wyrosły w izbie, czyli obchodzi chrzciny synowskie, czyli się żegna ze swoimi na łożu śmierci. O *Radziwille*, jakim go kreśli z mistrzowska *Chodźko* i *Rzewuski*, mówiłem już na inném miejscu.

Te szczegóły atoli w kompozycyi jak są różne co do barwy i piętna, tak też są różne co do wagi a znaczenia swojego. Jedne są główne, istotne, bo są rzeczywiście wyrazem myśli panującej, istotnej treści dzieła sztuki; drugie nie mają tego znaczenia, są poboczne, atoli i bez nich się nie obejdzie. W obrazie historycznym nie obejdzie się np. bez otaczającej architektury lub przyrody, a przecież one są tylko szczegółami ubocznymi; w pejzażu odwrotnie figury będą ubocznym szczegółem, a natura główną treścią. Widać tedy, iż gdy mistrz zanadto pozwoli urosć szczegółom, które nie należą do istoty dzieła jego, już wtedy zatrze cechę któraby w niem panować winna. Małoż jest obrazów, w których nie widzieć, czyli pejzaż dla figur, czyli figury dla pejzażu!

Te szczegóły uboczne jednak, choć nie są istotne, nie są przecież dowolne i powinny się rodzić razem z całością, bo one wtórują treści głównej. Prawda, że inny mistrz, tworząc taką samą ośnowę, byłby innych użył szczegółów podrzędnych; ale bądź pewien, iżby wtedy i treść główna była w inny sposób wyrażona i całe dzieło byłoby odmienne. *Madonna della Seggiola* odziana jest chustką kraciastą; prawda, że to niby drobnostka, ale ona razem z całością pojawiła się w duszy *Rafaela*; a lubo nie przeczę, że mistrz to odzienie nastroił do całej postaci *Madonny*, to wszakże pewno, że gdyby nie był użył tej chustki, ale innę, pewnieby był i *Madonnę* samą odmienił. To

prawidło stosuje się równie tak do architektury jak do muzyki, tak do romansu lub dramatu jak i do rzeźby.

Nie trudno się nam przekonać, że i główne szczegóły między sobą znowu nie są równe co do znaczenia. Wszak wszystkie szczegóły dzieła artystycznego ściśle się w spólną jedność spletają; niechaj tedy będzie jeden szczegół, który nad wszystkie inne staje się wyrazem téj jedności, a zatem panującej myśli dzieła, więc ogniskiem i sercem całej kompozycji, około którego obracać się będą wszystkie inne jako około piasty swojej; one będą tylko środkiem dla niego, i będą miały, ściśle mówiąc, jedynie to przeznaczenie, aby rozwinąć z niego treść w nim zamkniętą, aby treść ta jego stała się jawną, aby mu dać sposobność okazania, czém on jest w sobie. Ztąd wynika, że ten szczegół pierwszy, będący wyobraźnikiem głównej myśli całego dzieła, zamyka także w sobie, jakby w pączku, wszystkie inne szczegóły, a tém samém znać, że one wszystkie są owym głównym szczegółem, ale już we formie rozwiniętej. Gdy atoli ów wyobraźnik główny jest upostaciowaniem jedności całej kompozycji, zatem zachowanie się innych szczegółów do niego okaże zarazem zachowanie się ich do jedności całego dzieła. Wypływa ztąd, że gdy w jednej wielkiej, bogatej kompozycji znajdzie się wiele szczegółów, one wszystkie mogą się ugrupować w osobne podrzędne całości, z których każda będzie dla siebie osobną jednością, mającą znów jeden główny szczegół, który będzie jój ogniskiem. Te całości podrzędne będą znów różnej wagi, wedle różnego stosunku swojego do głównej myśli całej kompozycji. Chodzi tylko tutaj o to, ażeby żadna z tych całości osobnych nie była luźną, aby wszystkie były splecione w jedną wielką całość, którą jest właśnie całe dzieło i panująca jego myśl, jak to widać np. w bitwie Konstantyna w Stanzach *Rafaellowych*, w sądzie ostatecznym *Michała-Aniela*, w wieczerzy *Leonarda da Vinci*, w gruppie *Nioby*, w sztukach *Shakspeara* (np. król *Lear*), w budowlu katedr naszych średnich wieków i t. p. Po bogactwie i harmonii w kompozycjach znać też mistrza. Łatwiej też podobno utworzyć szczegóły piękne i mnogie; ale zestroić je w jedną całość, na tém właśnie sztuka. Widzisz, jakto człowiek całą naturę sobie pokrajał na szczegóły, jak ją smaży i męczy i dręczy w retortach chemika i pod nożem anatoma, młotem geologa; jak to wszystkie przyrodnicze nauki rozebrały przyrodę między siebie na oddzielne warsztaty swoje; a rusza też ta uczciwa praca rześko, ochocho i dzielnie; szczęść im Boże! Dzięki tym trudom zacytnym, znamy też nie mało tych różnobarwnych kamyków, onéj cudownej mozaiki Bożej. Ale kiedyż zabrzmi owo magiczne słowo, co wyrzeczone wszechmocą ożywi te kamyki, aż się one same ruszą, zejda a złożą ów stary a cudowny stworzenia obraz! Niezbyt trudno chodzić po grządkach domowych życia i wrywać kwiatki, co śliczne barwą, co wonne oddechem, ale proszę je związać w jeden bukiet; kto przejdzie a nieco wprawnego oka, powie: ten bukiet złożony iście ręką

malarską *Seghersa* (*), a ów splewany sznurkiem i smakiem ogrodnika.

Prawda, że ta jedność rozmaitych szczegółów wystąpi nawet już z wierzchu, np. w dziele malowanem pojawi się sama nawet harmonia oświecenia tonem rozlanym po obrazie całym i t. p.; w poezyi, figury choć różne, połączone będą, jak wspólnym trzonem, siłą obyczaju swojego wieku, kulturą społecznego im czasu; figury zaś sobie odwrotne i wręcz przeciwne będą ułagodzone, zatem niejako z sobą powiązane przez postaci pośredniczące i t. p. — Wyznaj jednak, że zestrojenie takowe będzie dopiero zewnętrzne; wewnętrzna harmonia spoczywa na głębszem zestrojeniu kompozycyi. Od czego zaś takowe zawisło, wyłożyliśmy już dostatnio, nie ma tedy czego powtarzać powyższych uwag; przypominam tylko, com rzekł dawniej, iż ciało organiczne, a mianowicie organizm człowieka, może być wzorem dla kompozycyi artystycznej; w nim bowiem widzimy tak doskonale powiązanie szczegółów, iż każdy organ jest zarazem przyczyną a zarazem skutkiem wszystkich innych, tak, że całość jest ścisłym systematem nawzajem z sobą powiązanych skutków i przyczyn, powodów i następstw.

Z tych zasad wynika też dla nas najbliższa uwaga. Dzieło sztuki jest jednością, jest przeto całością ściśle z sobą powiązaną, a zatem ściśle oddzieloną od reszty świata. Wypływa ztąd, że dzieło takowe jako całość winno mieć swój początek, środek i zakończenie, a tém samém stopniujący się, potęgujący się rozwój swój. Główna myśl dzieła stulona, jakby w zarodzie, kłuje się, rośnie, rozwija, aż w końcu bucha na jaśń całą swoją potęgą. Kwiat dojrzały pęka i rozsypuje nasienie swoje na świat — nasienie i ziarno wiekuistej prawdy, by się przyjęło między ludźmi. To spotęgowanie stopniowe obowiązuje wszystkie dzieła sztuki, czyli się roztaczają w przestrzeni czyli w czasie; znajdziesz je tak w onych trzech figurach składających grupę Laokoona, jak w roztoczeniu się świątnicy budowanej, jak w dramacie, romansie i t. d. To prawo kompozycyi samo przez się będzie wykonane, byleś zachował jęj ustawy przytoczone.

Otóż masz zarys głównych zasad kompozycyi, wedle wyobrażeń dziś już w estetyce przyjętych; skreśliłem je atoli konturem ogólnym, nie wdając się w drobniejsze odcienia. Gdyby mi się kiedyś miało zebrać na rozwój szczegółowych sztuk, jako architektury, rzeźby, malarstwa, poezyi i t. p. miałbym porę sposobną rozmawiać o szczegółowem zastosowaniu tych ustaw. Teraz zwrócę tylko baczność twoją na jedną z głównych wad, pojawiających się bardzo często w dziełach sztuki, a pochodzącą najczęściej z braku zachowania prawideł kompozycyi. Wiele bowiem znajdziesz artystycznych

(*) Daniel *Seghers*, jeden z najznakomitszych malarzy kwiatów, ur. w Antwerpii 1590 roku, umarł tamże 1661. Był on uczniem Jana Brueghel starszego i przyjacielem Rubensa. (St.)

prac, które nie zrodziły się z czystego pokochania się w piękności, ale z próżnej osobistej chęci popisywania się sztuczną przesadzoną kombinacją. Ten atoli grzech przeciw sumieniu artysty karany też bywa najczęściej niezrozumiałością dzieła, bo wszelka zawilość ciemna i zagadkowa jest żywotną obrazą sztuki pięknej; piękność jest treścią duchową, nieskończoną, ale odzianą w ciało, jest tedy uwidomioną i uzmysłowioną; widać przeto, iż jej treść jest cała na wierzchu, na widoku, że powinna być odrazu zrozumiała. Niechaj filozofia badaniem swoim nurzy myśl w toniach przedmiotu swojego, by wynieść z niego na jaw prawdę na dnie ciemném ukrytą; piękność jednak nie jest metafizyką, ona nie jest łamigłówką, ona jest jednym z tych aniołków Rafaelowskich, co patrzy na ciebie uśmiechem dziecięcym; lecz w tym uśmiechu, w tych oczach niewypowiedzianego wyrazu przemawia nieskończoność. Przypominam ci jedną ze szkół niemieckich, zkądinał znakomitych zasług, która, nie bardzo szczęśliwie naśladowując wielkiego mistrza swojego, maluje obrazy do sfinksowych zagadek podobne; więc ich kompozycyi nikt bez komentarza nie zrozumie; dla tego też twórca ich staje obok dzieła swojego i odbywa jakby prelekcję, tłómacząc, wyjaśniając myśli swoje ukryte w obrazie i zwracając uwagę twoją nie na to, co widzisz na oczy swoje, ale na to, o czém on sam myślał komponując dzieło swoje; znać, że malowanie takowe graniczy ze sferą chłodną, mrozną allegoryi. Odejdziesz ze smutkiem, bo z przekonaniem, że człowiek ten chybił powołania swojego, że z niego byłby głęboki teolog, filozof, ale że nie jest malarzem. A cóż dopiero, gdy poemat jest jakby szaradą lub rebusem, zwłaszcza, gdy pod twardą, nieprzezroczystą łupiną najczęściej treściwego ziarna braknie!

Ale gorzej jeszcze gdy muzyka będzie niezrozumiała! toć istne świętokradztwo, dokonane na tej sztuce niebiańskiej i na istocie wiekuistej człowieka; muzyka jak sumienie, jak światło słońca, jak powietrze, jak łzy, jak miłość, radość i boleść są dzielnicą całego ludzkiego rodu. Wielomocny władca, żebrak w łachmanach, prostego serca człek i mędrzec, wszyscy, byle zanego serca, jednakie mają prawo od Boga udzielone do tej ojcowizny swojej. Wszak to ona, zdrojem przeczystym z nieba na ziemię spłynęła! Skąp, zanurz we falach tonów znękaną duszę twoją, a zapomnisz palące żywota krzywdy, odpuścisz wszem winowajcom twoim winy, odrodzisz się znów sam młodością nieskażoną i staniesz znów wśród dawno utraconego raju uczuć twoich, zawitasz do niego z duchem męża a dziecięcą rzewnością. Słuchaj. Muzyka! — Otaczają cię w koło uskrzydłone chóry serafinów, a duszy twojej wyrosły niebolotne skrzydła, i ona razem z aniołami ulatuje do świata cudów. Słuchaj, teraz zabrzmiały głębokie akkordy, toczą się i wzdymają oceany tonów, zapadły mroki nocne. Te tony, te akkordy, to nie głosy ludzi pojedynczych; wśród ciemnic kroczą duchy pogrzebanych stuleciów, olbrzymie ciemnie umarłych ludów; na wołanie muzyki rozwarły się mogiły prze-

szłości całej; słyszysz tę przeszłość niby huk morza miotanego burzą. Ale znów wszystko zniknęło jako znika zły sen; znówu wiosenne, wonne zaranie młodej natury przyplęnęło na powiewach akkordów; z pod splotu róż słychać szepty kochanków, tęsknoty serdeczne, rozkosze i bóle miłości, a roje geniuszków rzewnych, lekkich, oblatują je w koło. I znów z onej strony płyną jęki; coś w sercu szlocha, płacze. Uderzyła z góry nieszczęścia błyskawica — gród stary, odwieczny stanął w płomieniach; pożar bije falą, wzbijają się słupy ogniste, kłęby dymów, niby straszidła potworne, niby szatanów postaci, sięgają obłoków. Runęło w popiołach miasto rodzinne! — drwiny złych duchów! — Słuchaj! ztamtąd wałęsa się okrzyki milionów; bliżej a bliżej huczą dumno tryumfy i Halleluja pogromców. I znów wszystko ucichło. Dźwięki niebiańskie wzbily się w górę, a nad światem unosi się anioł z palmą pokoju w ręku. To anioł harmonii; więc stanął na tęczy przymierza między niebem a ziemią, na tęczy siedmio-barwnych tonów; on splata i godzi piorunne głosy przeszłości i tęsknoty miłosne, serca wesele i bóle w duszy płonące; uśmierza, osładza i rozpacz i żale i dumy tryumfy; on zwil wszystko, co się na niebie, co się na ziemi święci, w jeden wieniec pieśni niebiańskiej, jakby kwiaty z Bożego sadu; mniemasz żeś się odrodził młodości wspomnieniem; samego siebie widzisz wiosennym młodzieńcem, widzisz splecione z tych tonów ojca, matki, przeszłości postaci; zda ci się, że się znów roztworzyły utracone raju bramy, że ci wróciła dawna serca pełnia! Miłość nieskończona jak świat, głęboka jak niebios przepaści, zagrała ci w sercu; radbyś znów jak niegdyś przytulić te gwiazdy Boże objęciem nieskończonej miłości, przytulić do siebie rzewnem kochaniem cały ludzki ród, całe stulecia i przeszłe i przyszłe i obecność całą. — Ba, ba, cóż ci tak tkliwie? serce ci zabolalo; zkądże te czułości? toć to goście dawno, tak bardzo dawno zapomniane! Muzyka coś ci duszę roztopiła; wskrzesiła z martwych dawno umarłe czasy i obraz onych dawnych niebiańskich młodości ogrodów, kędyś hodował najdroższych marzeń twoich kwiaty i nadzieje twoje i wiary i miłości twoje. Nieprawdaż? tobie nie żal młodości, żal ci jedynie tych światów, co w duszy pomarły! niegdyś, przed laty, takeś był bogaty sercem; dziś tak ci pusto, tak zimno. Ba, na to czułości żadne nie pomogą, już ci się nigdy więcej w sercu nie zaludni, nie odzyskasz nigdy, co niepowrotnie stracone. Lecz się nie wstydz, nikt cię nie widzi; gdy wrócisz między ludzi, nadrabiaj jak możesz, a tymczasem posłuchaj tylko jeszcze co Shakspeare prawi o muzyce: „Noc i cisza, to istotne struny wdzięcznej harmonii. Patrz, jak niebios błonia wysadzone w kręgi jasnego złota. I najdrobniejsze z tych kół, które widzisz, śpiewa w polocie swoim jako Anioł Boży, wtórując chórom młodości Cherubinów. Tak, harmonii pełne są duchy wiekuiste! My nie słyszymy ich, obłożeni grubą szatą pyłu. Człek, co nie zna muzyki w piersiach swych, którego nie roztkliwią śluby uroczych tonów, ten gotuje zdradę, rozbój, pod-

stęp podły. Poruszenia duszy jego ponure jak noc, a chęci czarne jak piekło. Nie powierzaj się takiemu. — Słuchaj, Muzyka!" (Kupiec Wenecki.)

I oni nam powiadają, że prawdziwa muzyka jest tylko przywilejem znawców! My nie przeczymy, że ta metafizyczna, umiejętna, spekulacyjna, niezrozumiała muzyka niektórych uczonych kompozytorów, dowodzi potężnej kombinacyjnej głowy; nie przeczymy, że ona wydoskonalila teorię dźwięków, ale niechaj przecież ci panowie nie powiadają, że oni kochają muzykę. Bo słusznie ktoś powiedział, że „kto kocha muzykę, nie obchodzi się z nią jak z nieprzyjacielem, nie każe jej jęczeć i boleć, nie wymusza na niej gwałtami dowodów umiejętności swojej, przewyżczając trudności które sam swawolnie sobie wymyślił, nie używa jej za środek dla miłości własnej; nie staje się podobnym chirurgowi, któryby zdrowemu człowiekowi połamał kości, aby się mógł popisać zgrabnym złożeniem i szczęśliwem wygojeniem“.

Czas atoli nawrócić. Widzisz, mógłbym tutaj, wyłożywszy już jako tako rzecz o kompozycji, rozprawiać jeszcze szeroko o studyach, szkicach i innych przygotowaniach, bez których, również jak bez kompozycji, nie obejdzie się tworzenie dzieła sztuki; ale, to wszystko już pomijając, pytam jakie nam wystąpi zjawisko ducha, jeżeli mistrz zaniecha kompozycji, jeżeli mimo siebie puści to wszystko, cośmy o niej dotychczas powiedzieli, jeżeli ideał wprost zamieni na dzieło sztuki i wyniesie go żywcem w rzeczywisty świat? Wtedy zjawia się *improwizacya*. Improwizacya! Ja myślę, że człowiek nie jest Panem Bogiem; u samego Boga tylko myśl jest zarazem istnieniem, dla człowieka zaś ciężka droga z myśli do istnienia. Inaczej stwarza Bóg, inaczej człowiek. I nawzajem to też prawda, że człowiek, będąc jestestwem myślącym, inaczej znów śpiewa jak ptaszek na gałęzi; bo ptaszek śpiewa bez myśli, w nim nie ma myśli, a sam przez się jest tylko istnieniem. Ptaszek nie potrzebuje komponować, jego piosenkę już ktoś inny za niego skomponował.

Nie przeczę, że *improwizacya* jest często prawdziwej genialności objawem, ale ta zmarnieje, nie dochowa się, gdy będzie nadużyciem znieważona; dla tego też *improwizator* rzadko odpowiada nadziei, którą pierwotnie zrodził.

Ponieważ *improwizacya* odrazu zamienia ideał na dzieło sztuki, a pomija całą pośredniczącą sprawę kompozycji, będącą właśnie przejściem z ideału do dzieła piękności, zatem my, pamiętając na czem zależy kompozycja, łatwo już zgadniemy czego braknie w *improwizowaniu*. Jakoż, gdy dopiero w kompozycji ideał rozkwita całą pełnią swoją, ztąd też za*improwizowane* dzieło sztuki nie będzie rozwinięte z siebie i okaże niedostatek nie tylko pod względem formy, ale i pod względem samego ideału. Zaiste, póki genialność, a nawet i talent, świeci jeszcze całą potęgą świeżą, rodzimą, póty też i niedostatki te będą ukryte, zwłaszcza gdy dech poezyi owionie treść umie-

jętną, naukową, opisową, a zatem treść już zkądinad przygotowana i będącą na zawołanie; lecz później zwolna, niepostrzeżenie, na miejsce pierwotnej świeżości stawać będą obrazy zużyte, zwietrzałe, dawno już otarte i opatrzone w świecie.

Nie ma co mówić! Pięknie zrazu duchowi w tej swobodzie pierwotnej, w tym dzikim majestacie swojej potęgi. Improvizator słucha mocy przyrodzenia, która w nim robi i prze; nie ogląda się zatem na przepisy szkoły, na prawidła przyjęte w świecie, oddając się niby geniuszowi, który w nim przebywa. Lecz, jak się ktoś z nowszych autorów wyraził, zanim się improvizator obaczy, swoboda jego butna, luźna, zuchwała przejdzie w odwrotność, bo w niewolę. Jak bowiem improvizacya, samowolnie oddaje się w pęta narzuconej sobie treści, jak się ona stosuje do upływających minut, do granic czasu dozwolonego jej na przygotowanie, tak oddaje się mimo wiedzy swojej pod powagę kilku osób, które na nią czekają; zanim się przeto samą spostrzeże, już stosować się pocznie do ich smaku i do ich umysłowego kierunku. Otóż tym trybem talent, co mało sobie ważył prawidła uświęcone wiekami, oddaje się sam w hołdy dobrowolnie ułomkowi drobnemu współczesnej mu publiczności, bo owemu szczupłemu gronu, będącemu dla niego światem całym. Nie dziw też, że zwolna gaśnie ta luna światlista, którą natura uwieńczyła skronie wybranka swojego, a z całego niebiańskiego posagu, który tak biednie zmarniał, zostanie tylko jedna wprawa wierszowania. Atoli łatwe składanie wierszy nie jest jeszcze poezją, toć jedynie jej strona zewnętrzna, techniczna; wirtuoz nie jest jeszcze mistrzem.

Wiemy, że ideał jest żywotnym warunkiem wszelkiego piękności dzieła, lecz w improvizacyi ideał będzie zawsze nierozwiniętym, bo on dopiero mocą kompozycyi roztoczyć się zdoła w całej piękności swojej. Ztąd jawnie znać, że w miarę wyrobienia się ducha przez kompozycyę, mistrz nabiera też coraz wyższej potęgi w twórczości ideałów. Rzecz się zupełnie tak ma jak w myśleniu a wysłowieniu. Bo lubo nie zaprzeczam, że wprawa myślenia wyrabia w nas moc wysłowienia się, przecież nie mniej jest rzeczą pewną, iż staranie około jasnego wysłowienia wdraża nawzajem ducha do dokładniejszego coraz myślenia. Głuchoniemi nie tylko dla tego są upośledzeni na umyśle, że, nie słysząc drugich, nie bywają potraceni do własnego myślenia, lecz ich nieudolność pochodzi również i ztąd, iż sami nie mówiąc, nie wyrażając myśli swoich, trudniej już rozwijają myślenie własne. Podobnie, kto się zrzeka pracy nad kompozycyą, zrzeka się tém samém możności stwarzania coraz doskonalszych ideałów. Ztąd też słusznie powiedziano, że Rafael bez ręki, nie mogący wykonywać pierwotnych ideałów swoich, nie byłby nigdy dopiął wyższego szczytu, nie byłby zdołał stwarzać tych właśnie ideałów swoich, — słowem, nie byłby został Rafaelem.

Lecz zważ jeszcze jeden niedostatek improvizacyi a zaiste najważniejszy. Improvizacya tworzy ideał w chwili upodobanej sobie,

patrzy całą zimną przytomnością na robotę swoją; tak tedy w improwizacji duch rozdziela się na dwie strony, na rozsadek i na fantazyę; rozsadek jest trzeźwym świadkiem czynności fantazyi, która dla tego właśnie traci wolność swoją rodzimą, nie rozwija swoich lotów, bo ją kępują oczy owego trzeźwego prozaicznego świadka; a przecież wszystko, co się tworzy i poczyną czy w świecie natury, czyli w duchowym świecie, okryte jest świętą tajemnicą, i fantazyja twórcza jest wstydliwą; jej przeszkadza rozsadek natrętny. Wszak przy improwizacji są obecni nawet inni świadkowie, ciekawi tych mistycznych zrodzeń duchowych? — Tém gorzej! Albo téż mniejsza o nich, oni nie dojrzą tych świętych tajemnic, bo ich nie ma w improwizatorze właściwym. Wiemy atoli już z powyższego rozwoju, iż wcale inaczej się dzieje, gdy się poczyną ideał prawdziwy, ideał w głębokiem znaczeniu swoim. Rzekliśmy, iż w tych chwilach uroczystych wstępuje w mistrza natchnienie; jest to duch twórczy, będący niby własną istotą jego, a przecież potęgą obcą, wyższą, z góry nasłaną. Ten duch posiadał całą duszę mistrza; ona, pogrążoną będąc w duchu tym, nie odróżnia go od siebie, nie widzi go; dusza mistrza w tém natchnieniu nie jest sobie obecną, nie należy więcéj do siebie, ani jest świadkiem własnych swoich zrodzeń. Mistrz sam nie świadom uczynienia swojego, bo w tych jakby jasnowidzeniach one rajskie ogrody, one czarnoksiężkie pałace, wywołane magią fantazyi, są dla niego rzeczywistością, a rozum o tyle tylko ma mocy, iż w tych obrazach przebiera, wybiera, nie kępując atoli potęgi fantazyi twórczej, rodzącej. Dopiero, gdy przeminą te chwile uroczyste, gdy wróci znów stan rozsądku i rozeznania siebie od czarodziejskich obrazów, wtedy dopiero mistrz poznaje ów stan swój, wtedy dopiero sądzić może o duchu, który go był uczynił i objął kochaniem niebiańskim; lecz wtedy właśnie już zniknął ów stan uczynienia, uleciał duch, i rozplynęły się marą senną one rajskie ogrody i czarnoksiężkie pałace. W improwizacji we właściwém znaczeniu, fantazyja jest pierwiastkiem podrzędnym, jest służebniczką trzeźwych władz duchowych. W natchnieniu prawdziwém, stan bezświadomy rozpoczyna grę duchową zrodzeń artystycznej fantazyi, a trzeźwość, na polu tylko sobie przytomna, o tyle tylko jest czynną, ile właśnie potrzeba aby stanął wybór między postaciami, które fantazyja zrodziła. Tutaj fantazyja jest panią i mistrzynią, a władze trzeźwe, na polu obecne, są tylko jej służebnice wielce podrzędne.

Już temu dawno, bardzo dawno, gdy żył król i królowa. Było to w owym porannym lat tysiącu, gdy purpurowy wschód ludzkich dziejów przyświecał zrodzeniu Grecyi, owéj młodej prorokini zacności człowieka i kapłanki wszystkiego, co wzniosłe i piękne na ziemi. Wtedy to żył ów król i królowa, a trzy córki kwitły im wdziękiem i powabem na radość ich serca i szeroką przez kraj sławę. Dwie starsze siostry, choć były cudnego uroku, toć przecież ich uroda była ziemskim kwiatem, ztąd téż ku ziemskim uciechom zwracały się ich

serca młode, i, miłości światowej wcześniej zaślubione, opuściły ojcowski dom. Najmłodsza ze siostr, Psyche, tchnęła niewidzianą nigdy jeszcze od ludzi pięknoscią; zdała się być córą jednego z olimpijskich bogów i jakby sierotą niebiańską opuszczoną na ziemi; postać jój, to muzyka Boga pieśni, a ruchy jój, to uwidomione, wcielone tony lutni jego. I przykrzyła sobie Psyche w królewskim grodzie; i pusto i głucho rozkładał się przed nią świat w koło; patrzyła w obłoczne niebios budowania, w nich okiem tęsknym upatrując ulubieńca dla siebie. Było to w owym porannym lat tysiącu, kiedy wiekuistość wyjawiała się jeszcze w postaci tutecznej, odzianej pięknoscią, gdy i serca samych niebian nieśmiertelnych czuły po ludzku, gdy nawet słabostki człowieka olimp wysoki z biedną ziemią podzielał. Nie dziw tedy, że lud ze wszech stron w koło spływał, młodą dziewicę za samą boginię miłości mając, oddawał jój pokłon i cześć; ale téż i nie dziw, że te wonne dymy ofiarnych ołtarzów, że rzewne serc uwielbienia, wzbijając się pod bogów mieszkania, trwogą zawistną poruszyły Wenus, dotychczas samowładną panią miłości i wdzięków. Ona w lęku, by jój Psyche nie odebrała rządów wszechmocnych na ziemi, daje rozkazanie synowi, by młodą dziewicę rozkochał nikczemnym kochaniem ku najnędnijszemu z ludzi. Lecz Amor ujrzał Psyche i własną strzałą swoją sam zranił siebie.

Tymczasem król ów i królowa, bolejąc iż Hymen nie ośmielił się jeszcze zbliżyć pochodni ziemskich płomieni do najulubieńszej córy ich, pytają wyroczeni o radę. Apollo, bóg pieśni a przyszłości wieszcz, wyrokiem zgrozy pełnym głosi, że Psyche na zawsze stracona dla ziemi, że na szczycie samotnym przepaścistej skały ma ją ukochać małżonek o potworniej, o straszliwej, skrzydlatej postaci, co wrogiem i ludziom i niebian wrogiem. Więc żałobnym orszakiem, pogrzebowym pochodem, z żalem serdecznym ludu, na rozpacz ojca i matki, pełna boleści i łez wyprowadzona jest Psyche na szczyt samotny przepaścistej skały. Tam została sama jedna, sama jedna ze strachem i trwogą śmiertelną w sercu. Ale, jakby miłości lubym powiem, wionął zefir tchem, objął dziewicę i uniósł do edeńskiej doliny i złożył snem ukołysaną wśród woni kwiatów. Gdy Psyche otworzyła oczy, niby gwiazdy duszy swojej, czarodziejski świat, ogród cudów objął ją do koła, i zadrgało serce lękiem i rozkoszą niebiańską, i pyta sama siebie, czyli to może jeszcze uludne, polotne, sennie obrazy, czyli istny jaw!

Niebo rozpieło błękity promienne jakby namiot nad łóżem miłości natury całej, a namiot złotem słonecznym i w barwy światliste szyty. U stóp dziewicy wyrastają róże o licu rumianém, a rumienia się, bo tęsknią za miłością, i płaczą rosy kropelką, bo dech porania zapomniał dziś o różach i ucałował usta dziewicy; w koło woni drobnych kwiatków ród, co, chowając pod zioła główki swoje, rozpowiada z cicha sobie szczęście Psychy młodej; a motyle, co to same niby kwiatki lotne i lotne miłostki, unoszą się z kwiatów na kwiaty

i każdemu z nich coś mówią i prawią; boć motylki to swaty i powierniki ich kochania. Wszędzie pełno muzyki; to śpiewaki skrzydlate kołyszą się na gałęziach, to znów rzekłbyś, że na obłokach gniazda swoje mają, że gdzieś wysoko na błękitach założyły orkiestry swoje i nucą śpiewki weselne, miłosne, boć one same tak miłością szczęśliwe; całując zaś stópki dziewczicy ucieka potok, a ucieka śpiesznie, bo mu śpiesznie do strugi, co tam skryta pod ciemnym splotem krzewów oczekuje wybranka; nawet to drzewo pradziadowe, bezlistne, tak niby opuszczone i biedne tu w krainie szczęścia i cudów, nie jest samotnem; powój kwitnący odział je w koło szatą zieloną, niby haftowaną suknią weselną, a to serce jego, od wielu lat martwe, tutaj zdoprawdy puka radością i kochaniem, bo tu rozkoszą i miłością odycha świat cały.

A zadrgała Psyche rozkoszą, bo poznaje, że to nie uludne polotne obrazy senne, że to istny jaw. I patrzy, a tam wśród grona drzew milczących wzniosł się pałac czarodziejski; nie jest on dziełem śmiertelnych rąk; wspaniały, przepychu pełen, a przecież odziany i lubością i wdziękiem; świetlisty on, strojny, hardy a przecież kształty jego tak urocze i harmonji pełne, jakby marmurowe akkordy. I słucha Psyche, a głosy niewidome witają ją jako panią tego miłości edenu; a służebnice nadświatnej urody czekają skinienia młodej dziewczicy.

Lecz gdy zagasły wieczorne purpury, a powiewy ciche mroku westchnęły po ziołach i kwiatach, po strumieniach i skałach, a liście, kwiaty i gałęzie, kołysząc się zlekka, zasnęły już; gdy przebrzmiały światła i barwy, niby podanie z dawnych lat, a gwiazdy zwiły się w błyszczący wieniec weselny i jakby do ślubu ustroiły noc, Psyche sama jedna została w sypialnej komnacie, oczyniona czarem magicznym swoich dziejów. Gdy dumia i marzy, stanął przed nią ulubieniec niewidzialny, w nocnych cieniach ukryty. I liście i kwiaty, zioła i ptaszki zadygotały w sobie i na pół przebudzone podały sobie o przybyciu kochanka wieść. Gdy na wschodzie świtał brzask poranny, gdy pierwsza gwiazdka gasła, wśród uściśnienia miłości prosił rzewnie, błagał kochanek by Psyche nigdy, nigdy, nie chciała obaczyć jego postaci „bo“ rzekł „gdy raz obaczysz postać moją, już zginię szczęście nasze, a ja nigdy, nigdy nie zdołam już wrócić do ciebie“. A gdy zaświtał brzask poranny i gwiazdka zgasła, uleciał kochanek.

I płynęły dni i płynęły noce w rajskich ogrodach, a z każdym ciemnym mrokiem wracał niewidomy kochanek. Dnia pewnego, gdy na tę dolinę cudów a czarodziejskiej uludy spokój głęboki rozlewał rozkosz cichą, lubą, gdy Psyche spoczywała pod ciemnym sklepem krzewów wonnych, jakieś płacze i jęki, narzekania bolesne zadrgały echem w szczęścia edenie; znać, że to wołania z innego świata, ze świata rzeczywistości i cierpienia, o którym wśród chwil błogich zapominała Psyche. Były to siostry jej starsze, które z onej skały wro-

gięj, samotnej, przepaścistej wzywały płaczem Psyche. Więc za powrotem nocy, wśród pieśczęt miłości a toni kochania, błaga rzewnie małżonka, by siostry jej mogły być świadkami jej szczęścia. Zezwolił niewidomy kochanek, ale znów powtarza, znowu prosi i błaga by nigdy nie zechciała obaczyć postaci jego. Zefiry uniosły siostry do państwa czarownego, i Psyche, oprowadzając je po ogrodach edeńskich, pokazywała im wszystkie rozkosze, wszystkie uroki, skarby i wdzięki nieskończone, któremi ją otoczył w koło jej ulubieniec. Lecz siostry, zdjęte może czy ciekawością czyli zazdrościwem uczuciem, wznieciły w sercu Psyche niepewność i wątplenie, nalegając, by przecież obaczyła samego dawcę szczęścia swojego. A długo, długo opierała się Psyche, bo oddawała się z ufnością serdeczną kochaniu swojemu. Lecz razu pewnego, wśród nocy nieměj, głuchěj, miotana niepewnością wzdycha i płacze, i już nie zdoła dać rady sobie; chwyta więc lampę i pugił, a zcicha, niedosłyszana, jak powiew lekka, wstępuje do komnaty śpiącego ulubieńca. Lęk, radość i trwoga zatrzęsły dziewczicą, bo widzi na łożu kochania i piękności boga, widzi na oczy śmiertelne Amora, w istnėj niebiańskiėj postaci; jej kochankiem najcudniejszy z bogów olimpijskich! Lęk, radość zatrzęsły dziewczicą, omdlały pod nią stopy, drżąca ręka wypuściła pugił, kropla oliwy z lampy spadła na ramię boga miłości. Amor się przebudza, wyrzuca jej rzewnie, żałośnie nieufność i zdradę, i ucieka. Daremnie błaga Psyche i klęczy i płacze, daremnie zaklina; zniknął kochanek, uleciał do nieba, a z nim zniknęło szczęście rajskich edenów i czarodziejskich pałaców.

Czyliż mam jeszcze prawić o biedach, o rozpaczey Psyche, o mękach, które przecierpiała? Gdy skoła nadzieja powrotu kochanka, padła już na nią ciemna myśl samobójstwa, a Wenus, karząc za śmiałość pokochania jej syna, wymyślna w sposoby udręczenia dziewczicy, posyła ją nawet do smętnego państwa Prozerpiny.

I wiele katuszy serca przetrwała Psyche i wiele przeboleła, aż w końcu darowana jej była wina.

I zanieciona do wysokiego olimpu zasiadła wraz z bogami do swojej ucztę weselnęj; a Jowisz, który skinieniem trzęsie posadami niebios a przecież wyrozumiały jest na słabości ludzkie, co tak pełen łaski, bo sam tak potężny, podał dziewczicy czarę ambrozji, a ona wypila z niej nieśmiertelność dla siebie; odtąd Psyche stała się wiekuistęj młodości boginią, odtąd Psyche jest duszą, a wyrosły jej skrzydła motyle!

Kogo ukocha gość z Olimpu, niechaj nie żąda widzić okiem cielesnëm ulubieńca swojego, a ślubem z nadświatnëm państwem złączony zasiądzie do ucztę nieśmiertelnych, wypije z czary niebiańskięj młodość wiekuistą, niekończącą się nigdy. Kochanek z nieba zesłany roztworzy mu oczy, by przewidział. Tak doczesności syn, mistrzem się stając, ujrzy myśl wiekuistą ukrytą we wszech jestestwach i zrodzi ją na jaw w widomėj postaci piękności. A jak sam,

choć z ziemi wywodzi pochodzenie swoje, a przecież zaślubił się z niebios mieszkańcem, a tak i w dziele jego wiekuistość obejmie doczesność rzewną miłością (*).

(*) Przed samem wysłaniem rękopismu tej książki do druku, więc bardzo długo po skreśleniu powyższych ustępów o improwizacji i improwizatorach, stała wśród miasta naszego *Deotyma*. Zjawienie się jej tak dla nas było lubie i urocze, jak gdyby wśród zimy mroźnej, wśród jałowej w koło natury, darowany ci był niespodzianie z miłej ręki bukiet świeżych fiołków, lub innych wonnych, barwnych dzieci młodocianej wiosny; a jak *Deotyma* zostawiła nam po sobie wspomnienia wdzięku pełne; tak też serdecznie pragniemy aby i ona nawzajem wniosła z sobą miłą pamięć o swoim choć przelotnym pobycie w grodzisku naszym.

Byłoby iście o czym pisać, gdyby mi przyszło wypowiedzieć jakie się nam nasuwały myśli, patrząc na to zjawisko tak wdzięczne i świetne a zarazem tak nadzwyczajne pod względem Psychologii i Estetyki. Przecież już tyle o zadziwiającym talencie *Deotymy* napisano, iżby się może obeszło zupełnie bez mojego zdania; a nadto, kto wie czyli mi nie przynasz, iż wyrzeczenie dziś ostatniego słowa w tym względzie byłoby może zbyt śmiałym, bo zbyt wczesnym sądem. Wiemy, że ogromne wstrząśnienia duszy, że zadane sercu rany, bóleści pełne, bywają niestety najczęściej ogniem czyszcącym, w którym hartuje się geniuszu poeta, a lubo wszyscy z całej duszy życzymy aby i bez tych cierpień duch poetycki *Deotymy* wzniósł się na szczyty najwyższe własnej istoty swojej, toć przecież trudno przewidzieć co jej gotują losy jasne lub ciemne, czekające każdego człowieka, a ukryte na dnie przyszłości jego; więc tém mniej wolno, ile mnie się zdaje, dziś wyrokować ostatecznie o talencie *Deotymy*. Bo chociaż myślę, iż kto ma uszy ku słuchaniu a oczy ku widzeniu, z trudnością tylko nie dosłysz i nie dowidzi skrzydeł wieszczych *Deotymy*, toć przecież nikt dziś nie zdola wywróżyć, czy to są skrzydła gołębic śnieżnej co z miłością pilnując strzechy domowej dodaje jej wdzięku, miłac zacisze lubie spokojnego żywota, czyli to są loty orlecia, co kiedyś, na tatrzańskich turniach zalozwszy sobie stolicę, puści się wzdłuż po nad Wisły wstęga i przejrzy się w zwierciadłach rzeki rodzinnej; a może te skrzydła skrzydłami Cherubina, co zateśkni za niebem, wzbije się po nad obłoki i utonie w przepaściach gwiazdzistych!

Przeto, wedle mnie, nikt o tém jeszcze w tej chwili stanowczego zdania dać nie może i dla tego, jak rzekłem, nie śmiałbym rozpisać się w tej mierze.

Ale skoro powyżej dość obszernie rozwodziłem się o improwizacjach, więc mi już teraz nie podobno milczeniem pominąć *Deotymy*; a co więcej już dla osobistego dogodzenia sobie radbym, choć pobieżnie, skreślić o niej wyrazów kilka, bo tym sposobem niby wcielię w słowa i zatrzymam w piśmie te chwile przelotne a tak miłe, które nam upłynęły w czasie jej bytności pomiędzy nami.

Słyszałem *Deotymę*, a przecież nie cofam żadnej myśli, żadnego wyrażenia z ustępów powyżej o improwizacji powiedzianych! — Nie mógłbym atoli żadnym sposobem zgodzić się na zapatrywanie się tych, którzy w *Deotymie* jedynie widzą improwizatorkę w ścisłejjszym znaczeniu! Wedle mnie *Deotyma* nie jest taką improwizatorką, ale poetką, ale artystką prawdziwą, która też i improwizować umie. Lecz w tém właśnie najogromniejsza różnica. Kto improwizatora nazywa poetą, a *Deotymę* improwizatorką, myli się w tém, iż w obu razach bierze formę za istotę, pozór za rzecz.

Wytłómaczę się bliżej. Rzekłem, że *Deotyma* jest poetką prawdziwą która umie improwizować; z czego wypływa najprzód, że w jej improwizacjach odywać się będzie struna właściwa i konieczna wszystkim improwizacyom, a tém samem znajdzie się w nich pewna właściwość, która będzie wspólną i *Deotymie* i improwizatorom w ścisłym znaczeniu.

Lecz nawzajem, gdy duch *Deotymy* jest czémś więcej niż zdolnością do improwizacji, gdy on jest zaiste duchem istnej poezyi, wynika ztąd, że jej improwizacje różnić się także będą od właściwej improwizacji, i że różnica ta koniecznie będzie dwoista. Bo jak znajdziesz w improwizatorach właściwych pewne wrzeczne ze-

Im wyżej stanie mistrz fantazją, tém jaśniej oczyma ducha obaczy tę myśl wiekuiatą, tém doskonalszą będzie postać, która ją odzieje, tém przeto i treść dzieła będzie głębsza, tém forma jego

wewnętrzne zalety, których nie spotkasz u Deotymy; tak na odwrót, gdy geniusz prawdziwej poezji przebywa w duszy téj młodej dziewicy, więc téż w jej poematach uczujesz tchnienie wyższych światów, które są zupełnie obce dla improwizatorów w ścisłym znaczeniu.

Słyszac Deotymę, poznasz, że ona iście improwizuje, choćbyś nawet o tém nie był wprzód uprzedzonym, choćbyś nawet nie był głębszym znawcą owéj tajemniczéj pracy ducha, która robi na dnie wnętrza naszego.

Przywiedzmy sobie przeto na pamięć cechę każdéj improwizacji w znaczeniu ścisłym, a potem pytajmy czyli, i o ile, one się znajdują w improwizacjach Deotymy.

Jakoż najczęściej znamieniem wszystkich prawie improwizacji są myśli metafizyczne, ogólne rozumowe zasady, przedmioty wzięte z różnych dzielnic wiedzy ludzkiej, allegorye, ton dydaktyczny, opisujący, i tym podobne cechy. Inaczej téż być nie może, bo jedynie przedmiot z wiedzy wzięty, jedynie treść rozumowa może być na zawołanie umysłu ludzkiemu.

Oprócz atoli znamion takowych, jest jeszcze inna cecha, którą z istoty rzeczy znajdziesz koniecznie w każdéj improwizacji; jestto ta rozplynność, rozwiewność postaci i obrazów, które w sobie są mgliste, które nie tężeją, że tak rzeknę, we formy plastyczne, o zarysach wydatnych, wyraźnych, ale ułatniają się niby lekkim chuchem, nie nabierając krwi i ciała; ztąd jakiś obłok zagadkowy, mistyczny otula niekiedy treść całą. Te cechy mają, jak już z powyższych ustępów moich widzieć można, dwojaką przyczynę: jakoż najprzód, gdy w improwizacji ideał, w duszy poczęty, wprost, więc bez pośrednictwa kompozycji, przechodzi w gotowy poemat, przeto nie ma, że tak się wyrażę, dość czasu, by się ukończył w sobie, by wziął na siebie postać plastyczną o konturach wydatnych, wyrazistych; a drugą znowu przyczyną tego braku form ściśle oznaczonych jest właśnie ta, że sam ten ideał w improwizacji najczęściej nie jest, ściśle mówiąc, ideałem, bo jest najczęściej myślą rozumową, a zatem, prawdą ogólną będąc, mniej się nadaje do wcielenia w postać indywidualną, mającą własną osobną fizyognomię swoją.

Gdy takowe są mniej więcej znamiona wszystkich improwizacji, więc trudno twierdzić, jakby się ich dopatrzeć, nie można i w poematach Deotymy, które przecież także są improwizowane. Że jednak duch, żyjący w téj dziewicy młodej, jest zaprawdę duchem wieszczym, więc świeci tak jasnym promieniem, że nawet i pod względem tych cech, które ma wspólne z improwizacją w ścisłym znaczeniu, różni się od niej właściwem sobie światłem i barwą. Zanim atoli bliżej te różnice wytłumaczę, zważmy jakie to są te zalety któremi celują improwizatory właściwe nad Deotymą? Są to zalety którychbych pragnął nigdy nie widzieć w poematach Deotymy, o ile one będą improwizacją. Jest to, słowem mówiąc, ukończenie zupełne pod względem zewnętrznej formy. Jestem przekonany, iż Deotyma, widząc przed sobą napisane własne improwizacje, nie jedno poprawi w nich co do harmonii i wyrażenia, co do wiersza, więc co do formy zewnętrznej. Tego wszystkiego nie uczyni improwizator właściwy, bo on nie zdolen już być wyższym od właściwej improwizacji; on całego siebie wlał już w tę formę zewnętrzną, bo on cały jest tylko formą zewnętrzną, mechanizmem; on przyszedł do téj techniki ogromną wprawą i wrodzonym talencikiem, ale te biedne zalety opłacił utratą wewnętrznego człowieka; on dał ziarno za lupinę! (*) Bo ta forma jest u właściwego improwizatora wszyst-

(*) Do jakiego stopnia ta łatwość zewnętrznej formy dochodzi, widzieć możesz z tego, że się pojawiają po stołcach europejskich np. improwizatorowie włoscy, którzy z narzuconej sobie osnowy zaimprovizują całą tragedję w pięciu aktach: a zawiązanie i rozwiązanie, rozkład na akty, sceny, osoby, słowem organizm cały sztuki tak ułożony, że odpowiada najściślejszym prawidłom, a przecież taka tragedia nie jest poematem, nie jest dziełem piękności. Wszak kilka lat temu, jak improwizator niemiecki popisował się w Krakowie! nie improwizował on wprawdzie dramatu, ale jedynie wiersze liryczne i opisowe; przecież za to miał,

piękniejsza, t $\acute{e}$ m nakoniec połączenie treści i formy będzie ściślej-
sze i zupełniejsze, czyli t $\acute{e}$ m doskonalej głębszej treści odpowiadać będzie
głębsza forma.

ki $\acute{e}$ m, bo obok ni $\acute{e}$ j strona wewn $\acute{e}$ trzna, duchowa jest pusta i głucha; wi $\acute{e}$ c stać go
jedynie na obrazy dawno opatrzone, przenośne, porównania zużyte, zblakowane; po
nie to sięga improwizator do pamięci jakby do składu różnobarwnych zapasów, na-
gromadzonych na wszelki przypadek. Inaczej u Deotymy! Słysz $\acute{a}$ c ją, trudno
wstrzymać podziwienie swoje; taka urocz $\acute{a}$ świeżość tchnie z tych j $\acute{e}$ y improwizacyj,
zwroty tak uderzające bo niespodziewane, obrazy świecące kolorytem tak pełnym
przepychu, taka tu oryginalność w przenośniach! Wszak nawet wyrazy pojedyn-
cze, użycie języka, wł $\acute{a}$ danie mow $\acute{a}$, wyraźnie świadczy, że tu technienie idzie z g $\acute{o$ ry,
że tutaj duch poezyi ocenił dusz $\acute{e}$ improwizatorki nasz $\acute{e}$ j.

Mówilem powyżej, że poemata j $\acute{e}$ y s $\acute{a}$ improwizacy $\acute{a}$, że zat $\acute{e}$ m b $\acute{e}$ d $\acute{a}$ miały i cechy,
kt $\acute{o$ re s $\acute{a}$ wsp $\acute{o$ lne t $\acute{e}$ ż improwizatorom wł $\acute{a$ ściwym, np. dydaktyczność, treść z wiedzy
wzi $\acute{e}$ t $\acute{a}$, myśli rozumowe, a nawet jak $\acute{a}$ s rozwiewność, mistyczność obloczn $\acute{a}$; jak $\acute{o}$ ż
lekki ślad tych znamion spotkasz i w improwizacyach Deotymy; ale zważ, że ta
barwa dydaktyczna, że ten przedmiot, z nauk wzi $\acute{e}$ t $\acute{a}$, pod j $\acute{e}$ y natchnieniem przy-
biera urocz $\acute{e}$, nadzwyczajne kształty; ta treść umiej $\acute{e}$ tna cz $\acute{e$ sto ci się pokazuje ze
strony zupełnie now $\acute{e}$ j, uderzając $\acute{e}$ j, rzekłbyś, że te przedmioty, owiane poezy $\acute{a}$ Deo-
tymy, zabrzmiały dźwiękiem, kt $\acute{o$ rego nigdy jeszcze z siebie nie wypowiedziały;
a myśli j $\acute{e}$ y to nie abstrakcyje ogadane, tysiąc razy powtarzane; te myśli j $\acute{e}$ y wypa-
dają cz $\acute{e$ sto niby błyskawic $\acute{a}$ z tajników duchowych i s $\acute{a}$ nieraz tak głębokiego zna-
czenia, żeby nam dziwno by $\acute{o}$, zk $\acute{a}$ d ta mądrość przyszła t $\acute{e}$ j młodej dziewicy, gdyby
nie przekonanie, że to wł $\acute{a$ śnie $\acute{o}$ w zachwy $\acute{t}$, prawdziwie poetycki, zast $\acute{e}$ puje dzia-
łanie wytrawionego rozumu, i zdol $\acute{a}$ oświeci $\acute{e}$ ć przedmioty now $\acute{e}$ m, niezwykl $\acute{e}$ m
światł $\acute{e}$ m.

Prawda, że obloczna mistyczność otacza niekiedy treść poematów Deotymy, za-
słaniając jasność i dobitność obrazów; prawda, że te postaci u ni $\acute{e}$ j nie stają pos $\acute{a}$ -
giem rzezbionym, w kt $\acute{o$ rym i og $\acute{o$ ł i szczeg $\acute{o$ ły wszystkie wyst $\acute{e}$ pują z cał $\acute{a}$ pot $\acute{e}$ g $\acute{a}$
swoj $\acute{e}$ j indywidualności. To prawda! Ale $\acute{c}$ to być inaczej nie m $\acute{o}$ że przy improwi-
zacyi; a nadto uwaz, że u ni $\acute{e}$ j ta mistyczność niepewna, to nie chmurna mgła, wł $\acute{o}$ -
cz $\acute{a}$ ca się po w $\acute{o$ dołach i dolinach, ale s $\acute{a}$ to obłoczki lekkie, ulotne, zbierające się
na błękitie nieba, przepromienione światł $\acute{o$ śc $\acute{i}$ ą, umalowane w barwy t $\acute{e}$ czone, one
niby składają postać, już poznajesz wyraźnie j $\acute{e}$ y zarysy, kontury; ale w t $\acute{e}$ m dmu-
chnie jakby powiew poranny a obłoczki już s $\acute{a}$ rozwiane, aby nieza $\acute{d}$ ługo znowu
związać się z sob $\acute{a}$ i inne złożyć postaci, kt $\acute{o$ re się zn $\acute{o$ w rozpl $\acute{y$ ną.

Co rzekłem a $\acute{z}$ nadto do mojego celu wystarczy, bo m $\acute{o}$ że się już ze mn $\acute{a}$ zgo-
dzisz, że Deotyma nie jest bynajmniej improwizatork $\acute{a}$ w ścisł $\acute{e}$ m znaczeniu, ale, jak
rzekłem, prawdziw $\acute{a}$ poetk $\acute{a}$, kt $\acute{o$ ra improwizow $\acute{a}$ c umie! Powiesz m $\acute{o}$ że, że nie jesteś
wolny od obawy, iż cz $\acute{e$ ste improwizowanie, kt $\acute{o$ re jest, jak mnie się zdaje, mni $\acute{e}$ j
wł $\acute{a$ ściw $\acute{a}$ form $\acute{a}$ dla talentu Deotymy, mogłoby szkodliwie wpłyn $\acute{a}$ c na ducha poezyi,
kt $\acute{o$ ry w ni $\acute{e}$ j żyje, że wł $\acute{a$ śnie zawsze tak bywa, iż nawyknięcie ka $\acute{z$ dego staje się
pot $\acute{e}$ m własn $\acute{a}$ nasz $\acute{a}$ natur $\acute{a}$, że forma zewn $\acute{e$ trzna zamienia się na wewn $\acute{e$ trzny ist $\acute{o$ te $\acute{t}$
człowieka, że tedy nawyknięcie do improwizowania m $\acute{o$ że sprawić, iż Deotyma,
poetka-artystka tak świetnych, promienistych talentów, zamieni się na improwiza-
tork $\acute{e}$ w ścisł $\acute{e}$ m znaczeniu, że tedy form $\acute{e}$, to jest wierszowania łatwość, oplaci
utr $\acute{a}$ t $\acute{a}$ swoj $\acute{e}$ j gł $\acute{e$ bi duchow $\acute{e}$ j i polotu talentu swoj $\acute{o$ go. Wyznaje, że niebezpie-
czeństwo jest wielkie, i m $\acute{o$ że ono wł $\acute{a$ śnie stanowi jedn $\acute{e}$ z trudności, dla kt $\acute{o$ rych
dziś nie łatwo wyrzec ostateczne słowo o przyszł $\acute{o$ ści Deotymy; ale ja mam nadzieję,

krom zadan $\acute{e}$ j sobie osnowy, jeszcze podyktowany szereg rzeczowników, kt $\acute{o$ re dano mu wpl $\acute{e$ ść w ten wrze-
komy poemat; a nadto należało mu walczyć z trudn $\acute{a}$ miar $\acute{a}$ wiersza niemieckiego, kt $\acute{o$ r $\acute{a}$ mu równie $\acute{z}$ narzu-
cono, i wywiązał się wielce gładko z całego zadania; bo jedynym grzechem w jego improwizacyi by $\acute{o}$, iż
zlekka przewinął przeciw metryce, używając np. niekiedy, bez ścisł $\acute{e}$ j potrzeby, troche $\acute{o$ w zamiast sponde $\acute{o$ w
i na odwrot. Wszelako najcz $\acute{e$ ściej sami ci improwizatorowie sztukę swoj $\acute{a}$ za lekki żart, a nie za poezy $\acute{e}$
uważają.

Widzisz przeto, iż się zbudują stopnie różnej potęgi fantazyi, jakby Jakóbowe wschody, po których wstępują aniołowie do nieba. Jeden, jeden tylko wśród wszystkich szczebli może być najwyższym; ten już przy samym progu nieba piękności, ten sam jeden jest całą fantazyą. Przeto też wszystkie poniższe, lubo tak różne między sobą, stanowią przecież tylko jeden rodzaj fantazyi, bo mają to wspólne, iż żaden z nich nie jest całą pełną fantazyą; one wszystkie różnią się między sobą jedynie co do stopnia swojej potęgi, różnią się więc tylko liczebnie; ów zaś szczebel najwyższy nie tylko się różni od nich liczebnie, lecz właśnie dla tego, iż on sam jeden jest najwyższym stopniem, jest właśnie sam jeden tylko całkowitą, zupełną fantazyą; różni się przeto od innych wszystkich rodzajem. Na onych wszystkich poniższych szczeblach stają i wyższe i niższe talenta, na owym zaś stopniu najwyższym staje geniusz; on się różni rodzajem od wszystkich talentów. Wszak ta sama prawda łączy się wszędzie, kędy tylko zachodzą stopnie. Człowieka organizm, właśnie dla tego że jest najdoskonalszym ze wszystkich organizmów, różni się od nich nie tylko stopniem, wyższością potęgi, ale też różni się od nich światem całym, różni się jeszcze rodzajem (jakością), i dla tego sam tylko jeden jest on przybytkiem ducha, jestestwa obdarzonego rozumem, myślą, nieśmiertelnym trwaniem. Jeżeli inne organizmy są tylko wyrażeniem jednej z myśli natury, człowiek sam myśli, sam siebie wyraża. Geniusz nie jest tedy bynajmniej jedynie talentem spotęgowanym, on jest samą istotą od nich różny; światy całe rozdzielają geniusz od talentu; geniusz sam jeden jest całą, zupełną, nie ułomkową fantazyą. Każdemu, choćby najwyższemu talentowi, brakuje czegoś do całkowitości fantazyi. Geniusz sam jeden zdoła stworzyć dzieło, w którym najgłębsza treść wyjawia się w najdoskonalszej formie, w którym tedy i treść i forma będą zlane najściślejszą jednością. Talent, dla niezupełności swojej, okazać się może wprawdzie w piękności formie, ale tej formie nie dostaje głębokiej treści; ztąd też i ta piękność sama wyrównywać będzie jedynie pozornie formom stworzonym przez geniusz, ale braknąć jej będzie onego najściślejszego połączenia treści a formy. Najczęściej talent odznacza się mistrzowską technicznością, pożyczając od geniuszu treści. Niekiedy nawet talent wyższy strzeli genialnością prawdziwą, ale te chwile jasne będą dla niego jedynie szczęśliwym wyjątkiem, zdarzeniem...

ze ją od złego uchowa instynkt, właściwy prawie każdemu talentowi prawdziwemu, instynkt który uczy co jest szkodliwe a co idzie na zdrowie i moc duchowi, a te nadzieje nasze wiążą się pewnie z najgłębszym życzeniem wszystkich, których z serca obchodzi literatura polska.

(Dla śledzących za rozwojem piśmiennictwa krajowego, nie potrzebujemy zapewne przytoczyć tutaj szczegółowych dowodów na to, że nadzieje i życzenia znakomitego estetyka, wypowiedziane co do Deotymy w powyższym ustępie, ziściły się w zupełności. — St.)

Talenta są prawie zawsze czeladzią geniuszu, obrabiając, rozwijając, upowszechniając ideę przez geniusz zrodzoną.

W talencie żyje wprawdzie fantazyja potężna, ale ona bywa jedynie czynną o ile jęj talent użyć zechce, o ile ją do twórczości potraci. Geniusz jest czynnym nie tak dla tego, iż chce tworzyć, jako raczej dla tego, iż nie może nie być czynnym; jest twórczym, bo nim być musi; ta potęga niebiańska, złożona w nim zawiązkiem, wyrasta w olbrzyma i zniewala do stwarzania; ta potęga, ta myśl wiekuista stała się jego naturą, zamieszkała w jego osobie. Ztąd też talent sam siebie odróżnia od potęgi twórczej przebywającej w nim, wie o niej jako o pierwiastku, który nie jest całą jego istotą; odwrotnie w geniuszu potęga twórcza staje się jego osobistą, indywidualną naturą; bo ta moc ogarnęła w nim całego człowieka; ona jest potęgą, która nim włada, ona silniejsza od niego, on się jęj oprzeć nie zdoła; człowiek posiada talent, a geniusz posiada człowieka.

Właśnie dla tego, iż w geniuszu zarazem przebywa potęga bezwzględna, nieskończona prawda, i że z drugiej strony ta potęga i prawda staje się własną jego indywidualnością, jego, że tak rzekę „interesem“ prywatnym, osobistym, wynika ztąd sprzeczność pozorna, którą rozwiązuje geniusz. Albowiem dla tej prawdy nieskończonej, dla tej idei wiekuistej, która w nim pracuje, dzieło jego uderzy w serca wszystkie jakby gromem; każdy w tém dziele pozna ową prawdę, która przemieszkuje w nim samym, w najświętszych, najgłębszych tajniach własnego jego ducha; dzieło to zda mu się przemawiać, jakby prorok starych lat tysięcy, słowami wiekuistemi, prawdami dawnemi jak świat. Lecz nawzajem, gdy ta idea wiekuista, te prawdy nieskończone, stały się tutaj osobistą naturą mistrza, gdy występują tedy w barwie indywidualności jego, więc tém samem znowu okazały oryginalność. Każdy geniusz jest oryginalnym; on mocą owęj idei przeziera wskroś świat, ale go widzi po swojemu, widzi go z tej strony z jakiej go nikt jeszcze nie obaczył, ani go już nigdy więcej nie obaczy, bo każda indywidualność ludzka jest tylko jedną, jest jedyną, nie powtarzającą się nigdy. Te prawdy ogólne, dawne jak świat, wyjawiają się przeto jakby nowe, jak gdyby dopiero wczoraj na ziemię zesłane.

Są epoki w dziejach ziemskich, co martwe, głuche i clikie, a ludzie nużą się i biedzą i przędą tę nić zostawioną im puszczoną z dawnych lat. Zdaje się, jakby upiór przechodził straszędem przez miasta, przez kraje; nikt go nie widzi, ale wszyscy czują jego zimny, lodowy dech grobowy; a pada mór na dusze w koło, a kogo dotknie mór, staje się sam własnym upiorem siebie, i clikością własną drugich zabija. Wtedy jakby z ciepłej dłoni Opatrzności wypuszczona gwiazda spada na ziemskie poniża, przybiera postać ludzką, i rodzi się geniusz, co albo dźwiga się we figurę historyczną, albo skinieniem ręki wskazuje niepostrzeżone jeszcze przez ludzi skarby wiedzy, albo odświeży wsze serca odrodzoną piękności postacią. Gdy

swojego dokona geniusz, ulatuje w górę, a świat żyje długo jego dziedzictwem; niekiedy stulecia przemina, zanim ludzie zdołają objąć okiem jego ogromną postać, rysującą się na horyzoncie dziejowym przeszłości.

Przecież geniusz, choć z gwiazdy a z Bożej siejby zrodzon, rozpoczyna żywot swój na ziemi, więc wśród ziemskiej niedoli, łamania się i mąk; on nie obejdzie się bez ciężkiej pracy a nauki, będzie się mocował ze sztuką i z sobą. Zanim doczeka się pociechy z siebie, zanim sam sobie wyrośnie na radość i chwałę, uczuje rozpacz i boleść, widząc, że dzieło rąk jego nie wyrównywa tej potędze, która w nim prze i robi. A wiele przebędzie znoju, zanim to dzieło jego stanie przed nim w przeczystym spokojnym majestacie, wolne od śladów doczesnych trudów i przebytych cierpień, zanim to dzieło rozpromieni się tryumfem swojego wyswobodzenia z doczesności.

Bo widzisz, jabym porównał dzieło mistrza do żywota naszego. Każdy z nas ma zadane sobie arcydzieło; tém arcydziełem jest on sam, jest niém własne życie jego, a ideałem tego dzieła, który mu świeci w duszy, jest zakon Boży, wiekuista miłości ustawa. A jak z bryły bezkształtnego marmuru znojem duchowym wydobywa mistrz posąg, którego postać promieni się w duszy, tak i każdy z nas zdobywa wśród trudów na własnych niskich ochotach, na doczesnej swojej naturze, wiekuistą istotę swoją; jest to praca około posagu. Ja wierzę, iż te treści i cierpienia życia, te późnej starości niemoce, te męki i boleści ostatniej śmiertelnej choroby, te prace skonania, te wszystkie nawiedzenia Boże, mają istic ten cel, aby biednemu człowiekowi lżej przyszło odstać od doczesnego świata i zwrócić myśl do ojcowizny nieskończonej, żeby mu było przecież nie tak żal tych ziemskich dolin. Te gorycze życia, te palące udręczenia są uwolnieniem duszy od tutecznych zuzelic, aby kiedyś stanął na drugiej stronie grobu w spokojnym majestacie, wolen od śladów doczesnych trudów a przebytych cierpień, w promiennym tryumfie wyswobodzenia swojego z doczesności, tak jak posąg staje w promiennej swojej piękności.

Talent i geniusz! Wszak to tylko dwa, różne całkiem od siebie rodzaje fantazyi! Wypadałoby mi teraz mówić o innych rodzajach, różnych już pod innym względem a dotkniętych przezemnie w inném miejscu (*). Lekkie o nich, przelotne potrącenie wystarczy. Jakoż inna będzie fantazyja, kwitnąca w architekturze a inna w malarstwie; innej fantazyi wymaga rzeźba, innej muzyka a innej poezya. Lecz każdy z tych rodzajów znów składa się z grup przeróżnaitych; chciejmo sobie przypomnieć różne style architektury, i znówu różne przeznaczenia dźwignionych budynków, albo różne rodzaje poezyi, muzyki i t. d. — I znów wszystkie te rodzaje różnie się cieniują,

(*) Zob. Wykład systematyczny filozofii. Filozofia ducha, § 469 do 473.

wedle tego, czy fantazyja będzie wzniosła, czy wdzięczna, czyli pełna prostoty, czy komiczna, czyli tragiczna i t. d. i t. d., — a te tak różne barwy fantazyi przeróżnie się znów z sobą łączą i zlewają.

Widzisz, że ta osnowa jest tak bogata, iżby rozsadziła miarę listów naszych, więc przepuścisz mi, że się nie będę nad nią rozwodził, a to tém mniej, iż ona należałaby raczej do rozprawy o różnych rodzajach sztuki pięknej w szczególności. Jest atoli jeszcze jeden podział fantazyi, godzien zaiste całego naszego zajęcia, — jest to fantazyja ludów, rozciągająca się w dziejach naszego rodu. Każdy lud historyczny ma od Boga powierzone sobie słowo, którego jest wcieleniem; to słowo jest jego duszą; on, podobnie jak człowiek pojedynczy, ma powołanie żeby je ze siebie wyrobił, aby urzeczywistnił to słowo w dziejach. To słowo przebywa we wszystkim żywocie ludu, w całej historii jego, we wszystkim objawie jego; ma swój zaś kwiat a woń najwyższą w jego sztuce pięknej, w jego fantazyi. Ztąd, wedle różnego piętna duszy każdego ludu, inna a inna będzie fantazyja jego. Pobieżny przegląd tych dziejów fantazyi, uważanych na tle historii, będzie osnową następnych listów naszych.

CZĘŚĆ DRUGA.

DZIEJE ARTYSTYCZNEJ FANTAZJI.

LIST TRZYNASTY.

Historia Powszechna i Historia Fantazji.

Wstęp. — Opatrzność i dzieje ludzkie. — Znaczenie ludów, państw i okresów w historii. — Ludzie historyczni. — Historia fantazji i rozwój dziejów ludzkich. — Fantazja każdego ludu jest wyrazem jego treści wewnętrznej. — Szczyt historii i panowanie fantazji u każdego ludu. — Różność ludów pod tym względem. — Stosunek natury materialnej do fantazji ludów. — Wpływające ztąd różne epoki w historii fantazji. — O zadaniu listów następnych.

Ten stary świat nasz toć to jest siwy pradziadowy dom, który nam ojciec nasz niebiański zbudował i puścizną rodowi człowieczemu przekazał; a dumnie stoją te stare węgly jego i po dawnemu jeszcze sklepią się gwiazdzistego nieba stropy. Świeci się butnie i wesoło ten stary gród, choć nie jedne miotają nim wichry szalone, choć w różne czasy buchnął płomień z pod ziemi i jasno rozgorzał żarem, choć, jak nam bają dawne lata, te sadzawki jego niegdyś wzdeły się buntem, a przełamując groble swoje rozwlekły po dziedzińcu i sadach domu jakieś skrzele żabie, skorupy ślimacze i kości rozlicznego gadu. Stoi to budowanie Boże na przekór lat tysiącom; niekiedy tylko jeszcze z najgłębszych sklepów i przepaścistych piwnic coś straszy, puka, kołaczę, zatrzęsie ogniem, jakby racą strzeli i czarnym kopciem zadymi. Dziwne się tu rzeczy działy; byłoby długo o czém pisać i prawić; lecz już najdziwniejsze są kroniki mieszkańców dworu tego. Tu, jakby syny domu, zrodziły się narody i ludy, z kolei dzie-

dzice ojcowskiej puścizny. Jedne z nich pomarły niemowlętami w kolebce: urodziły się, zapłakały, i z klekotką w ręku a z papką w ustach zasnęły na wieki. Inne urosły w pacholęta; więc ich podrzuca junackie zuchwalstwo, dzika ochota ledwie co serca im nie rozsadzi; więc z szabelką a biczkiem huczą, szumią i swawolą po ojcowskim dworcu, a o bawidełka zazdrośni krwawią się bójką sierdżistą. Lecz też złym dzieciom zguba sięaczy; jakoż, gdzieś nadkręciwszy karku, przepadli bez śladu. A był i taki lud, co rozkwitł w czulego młodzieńca; marzył, kochał tęsknił, lepił postać drogą swęj miłości; a gdy mu uczucie serce rozebrało, to w szarą dobę coś zaśpiewał, na lutni zabrząkał, aż też w końcu za ostatnią gwiazdą myślami pogonił, i na tych gwiazdach ducha zostawił, i nie wrócił więcej do ojcowskiego dworca. Tymczasem inne mężniały w siłę i potęgę ludy-robotniki; każdy z nich, walcząc z gorzkim życia trudem, pracował od świtu do zmroku, pracował i chorował, aż mu krwawym potem opłynęło czoło; a gdy bez wytchu dokonał już zadanej mu z góry roboty, znużony legł i umarł. Na potomków w historii spadały jego dostatki a cierpki dobytek.

Ród dzisiejszy, spanoszony robocizną swych zmarłych braci i własnym zabiegiem, jakoś wymądrzał, zrozsądniał i tak sobie też rad na tém dziedzictwie swoim, tak się rozsiał szeroko a dogodnie w tych jasnych świetlicach, tak mu w nich wszystko na rękę, domaszno i błogo, iż zacierając ręce, sam do siebie się uśmiecha i czuje, iż na téj ojcowiznie swojej jest jakby królem sobie a panem. Zlustrował wszystkie tajniki i ciemne kąty dziedzictwa swojego, zna na palcach dom swój; wie co ma, wie nawet czego mu już zabrakło; bo od czasu do czasu niespodzianie wywlecze mu się na podwórzec z pod starej obory jakaś kość ogromna, resztki straconego statku, i zmieszsz mu porządek systemu jego, przypominając, że nie zawsze tak jak dziś w tym domu bywało; dziś w tym domu jasno i widno. Kędy niegdyś omackiem chodził, tam już teraz powykuwywał okna i wpuścił promień dzienny jasny rozumu, albo przynajmniej postawił od biedy, niby świeczkę, formułkę abstrakcyjną; więc też już wszędzie śmiało sobie i we dnie i w nocy chodzi, niczego się nie lękając. Upiory, czarownice, strachy i inną czeladź piekielną powściągnął zaklęciem filozofii; a gdzie niegdyś ta hołota broiła, tam on dziś wyprawia bale i tańce. Sam djabeł nawet, ów stary faktor domowy, nie pokazuje się już na dniu białym; lecz przebrany po księżycu się włóczy, niby lunatyk lub poeta jaki.

Choć atoli ten nasz ród, dziś tak rześko się krzątając około spraw natury, wyświeca ukryte materyalnego świata tajemnice, trudna mu przecież jeszcze rada z państwem duchowém. Lubo on tak oświecony i mądry, lubo wyższy nad wszystkie zabobony, a jednak gdy mu przyjdzie puścić się owym długim a głuchym korytarzem historii, kędy to stulecia zapadłe porozwieszały stare obrazy umarłych państw i narodów, toć mu coś groźnie a dziwnie na serce pada. Zda

mu się, iż stare spłowiące twarze drgają nowém życiem, że nań mru-gają, przemawiają tysiącem dziwnych języków, a występując z ram swoich ciągną za nim, pokazując boleści żywota swojego, i serca zakrwawione blizny. Daremnie pragnie wyrzucić z myśli te mary i widziadła, lub jak trwożliwe chłopię zanucić lekką piosenkę na odpędzenie zgrozy; strach go dławi, a piosenka w gardle zamiera; więc, głęboko westchnawszy za dusze umarłych w Bogu braci, śpiewa godzinki nabożne. A niekiedy się téż zabierze do dawnych kurzem strawionych szpargałów, podartych szmat pargaminowych, okruców grobowców zwietrzałych, złamanych pieniążków; w nich chce wypatrzeć dzieje tych zapomnianych gospodarzy ziemi naszej. Przecież te pamiątki wszystkie będą nazawsze rupieciami bez wagi i wartości, jeżeli w robocie téj nie przyświeci mu światło z wnętrza ducha własnego, jeżeli wprzód w sobie samym nie rozgoreje poznaniem siebie. Bo zważ, miły przyjacielu mój, gdy człek wprzód sam siebie przejrzy, gdy sam z sobą będzie w zgodzie a pokoju, i we własnych ducha przybytkach obędzie się jakby w domu swoim, gdy objaśni ten świecznik Boży, co w duszy jego od wieków płonie; już téż rozwidni się i historia cała i te dzieje człowiecze, które się dźwi-gły ogromną budową w upływie lat tysiąców. Wtedy téż zrozumie mowę stuleciów, które oddawna utopione w wieczności łonie; w sobie samym znajdzie rozwiązanie zagadek dziejów świata. Ta przeszłość dawno pogrzebana, te kości starych lat tysiąców, rozsypane po kruchtach historii, ożyją, gdy je zaklnie imieniem i słowami wiekuistej swój potęgi; złączą się z sobą, nabiorą ciała, przemówią o sobie i o drogach, któremi je Bóg przez wieczność prowa-dził. Bo to światło wewnętrzne, to oko duchowe, co nigdy się w nas nie mruży, co wiecznie patrzy i wiecznie czuwa, Bożym namiestnikiem jest. A jak natura wszystka i te cuda stworzenia są Opatrzności robotą, tak i wątek dziejów świata jest sprawą Bożą. Czyliż tedy nie jasno i nie pewno, że bylebyś zrozumiał pierwiastek Boży, co żyje w duchu twym, toć zrozumiesz bez trudu i naturę i tajemnice historii; bo i duch nasz, jak i wszystko co istotność ma, przez Boga jest i jest we-dle niego.

Patrz, łupina żołędzi obtula sobą masę nierozdziernioną, mi-azgę bezkształtną; w téj ślepej, niesfornéj materji niczego się dopa-trzyć nie zdołasz, a przecież, gdy ta żołądz w łono ziemi wpadnie, już jakby stworzenia cudem łupina pęka, a z onéj ślepej miazgi roz-wija się kiel, wyrasta lodygą, dębem, co, twardniejąc hartem kory, zuchwale wyteża konary, rozpina gałęzie i przyodziewa się wspaniałą szatą liści jakby płaszczem majestatu swojego; a tak w mil-czeniu spogląda na bieżące górą niebiosą i przemijające nad nim wieki. Wszak dąb ten, z całą potęgą swych konarów i gałęzi, z ca-łym bogactwem swych żołędzi i liści, zwinięty był w téj głuchej rdzeni łupiny i spoczywał w niej dopiero jako myśl, jako dusza całej przyszłej postaci jego; ale ta myśl stworzenia, ta dusza przybrała na

się postać, stała się widomą, wstąpiła w dąb, a co było myślą stało się ciałem. Albo, widzisz jak na tej karcie białej czernią się w kropki i kreski nieme nuty muzyczne; one milczą, są bez życia, martwe i ciche; w nich, jakby w znakach magicznych, drżmie zaczarowany duch wielkiego kompozytora. Lecz gdy na nie tchnie geniusz muzyki, już téż te nieme nut głowy, te kropki i kreski nagle się poruszają, zmartwychwstają i przybiorą skrzydła, zerwą się niby ptaków Bożych stada, wzniosą się i z wysokości niebiańskich zanurzą, zakwila, zapłaczą harmonią; drżącą pieśnią wnijdą w świątnię serca twego i tam o mistrzu swoim, o twórcy świadczyć będą, a ujrzysz w duszy twój tę jego postać z harmonij złożoną, a przejrzaną wiekuistości światłem.

Tak, przyjacielu drogi mój, jak w onęj głuchéj miazdze zołędzi, stulona jest pierwotna myśl twórcza i wszystka postać dębu z całą jego przyszłością tak strojną, bogatą, potężną; jak w tych nutach zwinięte spoczywa uczucie i duch mistrza,—tak na dnie historii świata żyje myśl rozumna, duch Boży. Narody, państwa, wieki, to są owe ogromne konary na wiekuistém drzewie ludzkich dziejów, co rosną, krzewią się w potęgę wedle myśli Bożej, zamkniętej w pierwiastkowym ich zarodzie; to są te dźwięki i tony, którym nuty skreślił Bóg, ów wielki mistrz a kompozytor odwiecznej harmonii. Owo drzewo historii wedle jego woli się dźwiga; owa pieśń dziejów, grzmiąca przez wieki piorunnym akkordem, wedle jego zakonu się toczy.

Tak jest, Bóg, wzniesiony ponad światy na majestatu swojego tronie, przenika myślą, przepromienia wolą wsze jestestwa przez siebie stworzone; myśl jego jest gwiazd oddechem i wieczności sercem, wola jego przedzie wątek wszystkich wieków. Więc wierzymy, że Opatrzność, więc wiemy, że mądrość Boża rządzi światem.

Są tacy, co rozwodzą się sentymentalnie, prawiąc o natury cudach, o skrzętnej robocie bezmyślnéj mrówki, o instynkcie pszczołki, o krążeniu gwiazd, i wszędzie widzą rozum opatrzny, a nie widzą go w trudach ludzkiego rodu, w kroczeniu wielkich wydarzeń przez świat. Czyż ich może strachy biorą, gdy im przyjdzie wpatrzeć się w tajemnicze sprężyny onego wielkiego zegaru, co stuleciom i wielkim wypadkom w historii, co ludom i państwom, rodzenia i skonań wybijają godziny?

W historii świata, w dziejach milionów istot rozumnych, wiekuista mądrość Boża znacznie ma świadectwo siebie, niż w grze rzeczy przyrodzonych, wirujących zawsze a zawsze tym samym kołowrotem. W tych dziejach świata zdarzenia nie wracają nigdy, nie rodzą się nigdy do siebie podobne. Ów nawrót, owo wieczne do siebie podobieństwo isci się jedynie w dzielnicy natury; lubo i w tej naturze bezdusznój były i są ogromne epoki, lubo i tutaj czas nie zatrzymał się w swym pochodzie, a natura się rozwija i rośnie choć niepostrzeżenie.

Patrz, pomniki historyczne, księgi pisane, wypadki światogłośnie,

na granitach rzeźbione, sięgają w stare bardzo czasy, w one tysiączne lata, które przepłynęły dawno; a z dalszej dali jeszcze, jakby echa, dochodzą nas wieści, mity i stare podania ludów dawno pogrzebionych. Mamy się tedy na czém uczyć téj ludzkiej historii, a przecież każda karta tych dziejów jest jakby usprawiedliwieniem opatrności Bożej.

Puść się myślą wstecz; niechaj historia, ta przeszłości prorokini, roztworzy usta swoje, niechaj nam prawi o dziejach Europy od czasów chrześcijańskich, o starym Rzymie, co przeszło lat tysiąc gospodarzył na téj ziemi, o tych Grekach mądrych o oku jasnym, a głębokim rozumie, a tak wdzięcznej artystycznej fantazyi. Niechaj nam prawi o Palestynie świętej; niechaj nam rozpowiada o tych ludach Wschodu starego, o zamyślonym Egipcie, który przez życie całe mocuje się, by uczcić wieczność grobami, o tych mrowiskach ludzkich, co nad Eufratem, nad Tygrysem zbudowały miasta olbrzymie jako gniazda olbrzymiej potęgi; niechaj nam historia roztacza te marzenia nadgangesowych światów, lub roboty prozaicznych Chin, kędy już chronologia straciła miarę i znaczenie swoje, a zaprawdę, poruszają do dna duszę te boleści tylu stuleciów, te twarde trudy a prace ludzkiego rodu; wtedy staną zaiste przed tobą te ludy, te robotniki przeszłości z twarzą, gdzie cały wielowiekowy ich żywot wycisnął cierpienia a męki bez końca. W tych historyach postrzeżesz epoki, w których duch dziejów jakby rozpaczał o sobie, przyciśniony ciemną nocą zwątpienia i mozołem bez końca. Przecież pociecha, jakby rosa niebiańska, ochłodzi ci serdeczne żalości, gdy rozważysz, że po takich smętnych nocach znów zaświeciła jutrzienka nad światem i znów zabrzmiały pieśni radości duchowej, jakby kwiaty i pieśni ptasie, gdy, po burzy i ślocie, powódź słonecznych światłości zaleje świat. Wtedy te postaci ludów zmarłych, dopiero tak żałosne i bolesne, zamieniają się na chóry aniołów Bożych z palmą w rękę, z uśmiechem niebiańskiego pokoju, a na skroniach z gwiazdzistą koroną; bo historia jest całopaleniem. Gdy pokolenie, gdy lud, gdy stulecie umiera, duch ich jakby hostya wznosi się na ofiarę ku niebu.

Dreszczem atoli przenika nas pytanie, zkąd my idziemy, dokąd śpieszy w dziejach swoich ten ludzki ród nasz? — Na to pytanie zaiste nie trudno odpowiedzieć: dzieje ludzkie, praca tylu wieków, mocowanie się, skropione znojem tylu milionów, to zaiste nie-drwiny, ani igraszka bezmyślna; dzieje ludzkie ku temu się miały i mają, by człowiek wynosił w sobie a wypiastował w duszy owo ziarno wiekuiste, które mu Bóg udzielił posagiem, by się stał coraz zacniejszym, wyższym w sobie i godniejszym onego wiekuistego Bożego tchu, który nań wionął przy stworzeniu pierwszego człowieka. Ale zapytasz gdzie są granice téj pielgrzymki ludzkiej przez świat? — To w wiekuistości głębiach ukryta tajemnica!

Zamiast zapuszczać się w mroczne a niepewne badania, zasłonięte przed naszym okiem duchowym, zapytajmy raczej, jakim try-

bem iści się Boża myśl w dziejach ludzkich? Uważ, przyjacielu, ta myśl jest nadzwyczajną, a ma wstąpić w państwo przestrzeni i czasu, ma wziąć na się ciało i krew! Więc, między tą myślą opatrzną a ziszczeniem się jej w świecie rzeczywistości, stają, jako ogniwa pośredniczące, państwa, ludy i wielkie epoki dziejowe.

Uważmy atoli, że nie wszystkie ludy jeszcze były powołane, by się stały robotnikami w tej winnicy Pańskiej. Rozwiń przed sobą kartę ziemskiej kulicy, patrz w one głębie tęskne, przepaściste Afryki, Ameryki, w te obszary Azji szerokie jak wieczność, w te gromady oceanских wysp; jak tu ciemno, głucho, krwawo, samotno! tu ród ludzki złożony snem jest ciężkim, nocne zmory przywałyły mu piersi, nie oddycha duszą pełną, ani się zna być człowiekiem. Ależ i do tych biednych braci naszych a sierot dziejowych zajdzie kiedyś głos ducha, „bo duch gdzie chce tchnie, a nie wiesz, z kąd on przychodzi, albo dokąd idzie“ (Ś-ty Jan, III. 8.). Tymczasem te ludy i państwa, te stulecia, które już stanęły do pracy w tych dziejach świata, rozebrały między siebie robotę około uczłowieczenia człowieka. W każdym ludzie, w każdym wieku jest myśl, która jest jego sercem i duszą, która go prze nieświadomie do działania, do pracy, a prze tęsknotą nieskończoną, by wykonał w świecie powołanie swoje, by trudem a mozołem wyrobił w sobie i z siebie pierwiastek mu powierzony. A tak idzie praca od ludu do ludu, od wieku do wieku, przez świat i ludzkość całą, przez lat tysiące. Żaden z tych pierwiastków nie jest całością w sobie, ale jest dopełnieniem wszystkich innych, jest jednym dźwiękiem z onej harmonii Bożej. Jestto podział pracy na ludy, szczepy, kraje i wielkie epoki.

Zważ atoli i w tém podziwiał mądrość opatrzną, że ona choć rozdała każdemu ludowi pracę, której ma dokonać na ziemi, przecież nie tamuje mu woli wolnej; całe ludy, podobnie jak i człowiek pojedynczy, nie są jedynie bezwonnemi jasełkami w tym wielkim dramacie dziejów. Opatrzność zakreśliła jedynie zakon ogólny światu, wytknęła mu cel, zostawując rodowi ludzkiemu by po swojemu ziścił najwyższe przykazanie. Wszelkie inne pojmowanie będzie fatalizmem i doprowadzi do czczego rozumowania, co buduje formułki filozoficzne, niepoparte faktami (*).

Wracając atoli do osnowy naszej, chciéj baczyć, że jak te pierwiastki dziejowe, rozdane między ludy, są różne wedle ich usposobienia wziętego od natury, bo ten pierwiastek jest właśnie ich własnym sercem i duszą, tak téż różne są pierwiastki te i pod względem stopnia rozwoju i czasu, na którym historia postawiła te robotniki swoje.

Każdy wiek gotuje materyał dla następnych pokoleń, dla następnych ludów, które kiedyś, jako jego dziedzice, mają wstąpić do

(*) Zob. Wykład systematyczny filozofii. Filozofia ducha, § 643.

wiekuistej pracowni historii powszechnej. Co było dla poprzedzającego ludu arcydziełem najwyższem wysilenia jego, jest jedynie jakby surową osnową dla późniejszych narodów, którą znów te narody przeistaczają na nowe a wyższej doskonałości dzieło. Tak idzie praca od starszych do młodszych a wnuczych ludów, a następuje epoka po epoce.

Widac też z całej przeszłości dziejowej, że gdy jeden wiek, jedna epoka ustępowała ze świata, a druga miała nastać w historii, już wtedy, w tém ich wielkiem porachowaniu się wzajemném, płaciły sobie milionami pojedynczych ludzi. Bo gdy nowa epoka się dzwigała, gdy miały stanąć nowe zręby historii, ludzie pojedynczy byli jako powiewne wióry a odlatujące trzaski. Bo w człowieku każdym dwie są strony: jedna przemijająca i bezważna, bo doczesna i ziemska, druga ogromnej wartości, bo nieskończona i trwająca na wieki. Pierwszą człowiek na zewnątrz zwraca, i poświęcając ją całą, szczęściem doczesnem swoim i krwią serdeczną karmi świata dzieje. Druga strona jest wewnętrzna; tę człowiek na własność wyłączną zachowuje dla siebie; i choć tam na zewnątrz biją burze, choć wichry i uragany wstrząsają światem, toć one jedynie zdołają rozkołysać wierzchnie duszy fale, lecz nie tykają dna istoty naszej; tu wiecznie cicho, spokojnie, uroczysto. Tę istoty naszej już nikt znieważyć nie zdoła; wynosimy ją całą, nietkniętą ziemskimi obelgi przed wieczności tron; byleby tylko człowiek ze samym sobą nie stanął w sprzeczności, i sam do tej duszy świątynicy nie wprowadził wroga. Tym wrogiem jest świadomość własnej winy, rozdzierająca istotę naszą na dwoje, bo zradza we wnętrzu naszem wojnę boleści pełną. Jakoż gdy, uwiedzeni naszą naturą doczesną, przemijającą, zderzymy się z oną ogólną wiekuiłą harmonią świata, i przez winę damy zwycięstwo stronie szczegółowej naszej nad tą prawdą ogólną — już zarazem zderzamy się z sobą, z własną naszą istotą, bo ta sama prawda ogólna, co światem sprawuje, tleje i w nas samych iskrą żywą i nieśmiertelną. Ztąd walka żalości pełna, trawiąca żywot nasz. Taka jest teoria sumienia.

W każdej atoli epoce, w każdym kraju, ludzie pojedynczy są, choćby bezświadomie, piastunami pierwiastku, który całemu ich ludowi jest przekazany. Bo mądrość najwyższa, co światem sprawuje, tak rozporządziła historią, iż każdy człowiek goni niby za celem osobistym, dobija się o dogodzenie własnym widokom, własnym chęciom, dążnościom; ale te właśnie zabiegi jego zradzają, mimo nawet wiedzy jego, dobro ogólne i urzeczywistniają właśnie ów pierwiastek powierzony od Opatrzności całemu ludowi, do którego także ten pojedynczy człowiek należy.

Atoli te mrówcze trudy pojedynczych ludzi, znoszące ziarnko po ziarnku, nie wystarczyłyby w historii świata; te tłumy jednostek, pracujących i robiących, ale bez wiedzy co w nich pracuje i robi, byłyby w wiecznem rozpojedynczeniu, gdyby nie, zajaśniało od czasu

do czasu ognisko, zbierające w sobie te wszystkie rozstrzelone promienie. Tém ogniskiem, zjawiającem się od czasu do czasu w dziejach świata, są wielcy ludzie, ludzie historyczni. Oni są wyobraźnikami swojego ludu, swojego wieku, a hasłem i godłem wszystkich potęg, wszystkich uczuć, które bezświadomie żyją w sercu zwyczajnych ludzi. Lecz i wielki człowiek jest synem czasu i narodu swojego, i on nie zdoła myślą ulecieć nad swój wiek współczesny; on sam nie zna ducha, który nań wionął, ani wie dokąd go unosi wszechmocne jego tchnienie, bo i on słucha głosu osobistych dążeń swoich, i walczy i pracuje, by dopiął własnego swojego celu. Prze go to miłość sławy, to chęć panowania, to inna z tych potęg tysiąca, co w sercu człowieka gniazdo swe mają; on w swoich sprawach siebie tylko widzi, a przecież dopełnia jedynie Opatrzności zrządzenia. Uważa atoli, że choć nie jest mu obecny w myśli świata pochód, on zgaduje wszakże krok następny, do którego zabierają się człowiecze dzieje, i przeziiera co się we wszystkich sercach święci, i ku czemu je prze wewnętrzną, nieznana im jeszcze potęgą. To zgadywanie, ten duch wieszczy stanowi siłę a moc wielkiego człowieka.

Gdy w historii nowa epoka się zradza, już ona, niby duch w Hamlecie, pod ziemią pracuje i puka i o swém przyjściu znać daje. Ta przyszłość nadchodząca, wszędzie przytomna choć niewidoma, rozlewa się, rzekłbyś, w powietrzu, żyje w kołysaniu się drzew, przemawia w gadankach dzieci, tęskni w pieśniach, kwili w boleściach i żalach ludzi, przesuwa się we snach, marzeniach; już i znaki na niebie i ziemi coś wróżą, coś straszą. A jak młoda dziewczica, gdy ją nachodzą pierwszej miłości tęsknoty, sama się traci i siebie nie poznaje; tak i świat, gdy nad nim nowa przyszłość zawisła, czuje jakiś cisnący niepokój i brak, jakąś duszność i tęsknotę niewypowiedzianą; a z téj tęsknoty sam sobie sprawy zdać nie może, ani wie z kąd ona mu przyszła. Ale człowiek wielki zna te przeczucia wieku, on dotyka się pulsów współczesnego świata; a gdy ten świat cały w koło niego jeszcze, jakby nocnym snem złożony, drżenie i marzy, on sam czuwa i słyszy cichy chód czasu i bijące dziejów godziny; a zanim świt, zrywa się i woła słowem potężném, wszechmożném, a słowo to upada na świat jako grom i co było dopiero drobném, tulącym się pod ziemią ziarnem, w mgnieniu oka wyrasta w olbrzyma. A gdy mąż wielki wywoła tę przyszłość, już ona do historii należy, już dokonał powołania swego na ziemi, swoją osobą płaci te swoje zrodzenia, bo sam idzie na poniewierkę, lub skonaniem, jakby pieczęcią, stwierdza puścizny swoje. Tak umarł Cezar i Napoleon, Kolumb i Cyrus, Aleksander, Karol Wielki, Kopernik i Galileusz. Bo duch wiekuisty, jakby orlica, rozpina skrzydła nad światem, rozgrzewa następne czasy swém ciepłem nieskończoném, swoim żywotem; a gdy młode orle, zagrzane tém ciepłem i życiem matki, przełamię skorupę cisnącą, ta spada i na zatrącenie idzie. Orleciem jest

nowa epoka w historii, a jej zwłokami martwemi, ową skorupą wymietną, jest człowiek historyczny.

Chciéj baczyć, jak z historią powszechną świata, podobnie się rzecz ma z rozwojem fantazyi w dziejach ludów.

Gdy mi teraz przychodzi oznaczyć, choć pobieżnie, stosunek historii fantazyi do ogólnych dziejów ludzkości całej, wypada mi oprzeć się na osnowie dwóch poprzednich listów, a mianowicie na liście XI. Tam rzekłem, że zachodzi ogromna różnica między fantazyą powszechną a fantazyą artystyczną. Powszechna fantazyja, tak jak każda inna władza psychiczna, dostała się udziałem wszystkim ludziom, choć nie w równej mierze a potędze, choć nie w równym stopniu; fantazyja artystyczna zaś jest posagiem, którym Opatrzność udarowała jedynie szczupłe grono wybrańców, bo wieszczów i mistrzów. Powiedzieliśmy równie, że fantazyja powszechna, choć ma wiele przymiotów wspólnych z fantazyą artystyczną, choć tą fantazyja powszechna zdobi, stroi, przeradza przedmioty z rzeczywistości wzięte, choć przeto jest nawet i twórczą, toć przecież ta jej twórczość nie jest dostateczną; ona nie wystarczy, aby stworzyć dzieła, któreby były wyrazem zmysłowym wiekuistości i nieskończonej prawdy. Jakoż dzieła tej powszechnej fantazyi, nie będą nigdy dziełem czysto duchowém; one nigdy nie zdołają się wyzwolić od śladów, które na nich zostawiła doczesność; nigdy nie będą zupełnie wolne od niedostatków, któremi je przyprószyła przypadkowość, władająca wszystkiém, co na ziemi poczęte. Fantazyja artystyczna zaś jest wskrós twórczą; nieskończoności duch, gość innych światów, skrzydłem swojém obtula mistrza a ten natchniony stwarza, jakby gromem, treść wiekuistą i formę przeczystą dla tej treści; a tak staje dzieło na podziw świata. Na tych postaciach, fantazyją mistrza do życia wywołanych, nie ma już śladów bied i niedostatków ziemskich. Te postaci są niby z materyi zrodzone, ale z materyi przepromienionej duchem; są to przychodnie z nadgwiezdnéj krainy, co z miłości dla człowieka zostały na ziemskich nizinach. W nich ziemia i niebo, doczesność i wiekuistość, ześlubione przymierzem miłości nieskończonej. Fantazyja powszechna może jedynie podziwiać dzieła, ale ich stworzyć nie zdoła; ona może jedynie zasiadać do uczty przez geniuszów jej zastawionej, ale ona w ich domu będzie zawsze tylko gościem z łaski uraczonym. Bo widzisz, fantazyja powszechna dla tego nie zrodzi nigdy z siebie istnych ideałów piękności, prawdziwych dzieł sztuki, dzieł wolnych od ziemskich niedostatków, od skazy rzeczywistego doczesnego świata, dla tego nie zdoła ona być rzeczywiście twórczą, że sama jest jeszcze ziemską, bo sama nie wyswobodziła się jeszcze od potęg przypadkowych, od skazy ziemskiej, od więzów rzeczywistego świata; by stwarzać, trzeba się wznieść skrzydłem wiekuistości nad przypadłość, nad rzeczywistość doczesną; by stwarzać, trzeba natchnienia.

Rzekłem także w liście XI, że mimo niedostatków właściwych

fantazyi powszechnej, jest ona przecież skarbem danym nam na życie całe; nadto, że ta fantazyja jest wielką pomocą dla fantazyi mistrzów, bo ci nie tylko z natury, którą przed sobą na własne oczy widzą, nie tylko z powszedniego życia i obyczaju, w którym przebywają, nie tylko z dziejów prawdziwych czerpią osnowę dla dzieł swoich, ale też udają się do fantazyi powszechnej i tam znajdują dla siebie osnowę, a osnowę tém bogatszą, że już nie jest surową, ale przez tę fantazyę powszechną napoły przeistoczoną i dla fantazyi artystycznej przygotowaną. Wspomniałem również w owym liście, że ta fantazyja powszechna pojawia się jako fantazyja gminu, jako fantazyja rozlana po ludzcie całym.

Widzisz tedy, że gdy mam na tém miejscu pomówić bliżej o zachowaniu się historyi fantazyi do historyi powszechnej świata, wypada mi najprzód ściśle oznaczyć ogólny a wzajemny stosunek fantazyi różnych ludów do siebie, określić bliżej jeszcze wzajemne miejsce się mistrza a fantazyi ludu do którego on należy, nakoniec choć z lekka skreślić cechę wielkich epok w rozwoju fantazyi.

Wszak dopiero co rzekłem, że każdemu ludowi, który zapisany na pracownika około historyi świata, dostał się powierzony mu pierwiastek, by go rozwinął, wyhodował serdeczną miłością; ten pierwiastek rozwinięty występuje w historyi każdego ludu, w urzędzeniu jego wewnętrznym, w losach jego, w jego obyczaju, w religii, filozofii, we zwyczajach, w prawach, w chęciach i tęsknotach, w smutkach i weselach, w kierunku umysłowym i we fantazyi.

Jeżeli prawda, że z dziejów, że z obyczajów, z prawa i t. p. możesz sądzić o duszy ludu, tém potężniej wyświeci nam się treść jego z filozofii, religii i fantazyi jemu właściwej. Bo lubo wszystkie objawy duchowe wyrastają z treści jego, toć przecież prawo, obyczaj, rząd, są czémś ziemskim, czémś od licznych przypadłości zawisłym, bo tutaj potrzeby, nawijające się w życiu, potężne wywierają wpływ; ale w religii każdego ludu, w jego sztuce mieści się właśnie ta część treści jego duchowej, która odnosi się do wieczności, do nieskończonych prawd. Filozofia atoli, oparta będąc na rozumowaniu czystym, nie jest rzeczą każdego ludu, a nadto jeszcze dla tego właśnie, że jest rozumowaniem, że jest abstrakcyjną, mniej już jest wyrazem właściwej barwy ludu. Religia zaś najczęściej żyje w uczuciu uduchowionem, którego trudniej dosłyszec w sercu ludów. Inaczej z fantazyją jego. Bo ona właśnie uzmysławia najmisterniejsze moce w duchu przebywające, ona je wciela w kształty widzialne, słyszalne, dotykalne; w niej tedy najszczerzej, najwyraźniej lud wypowie dzieje wewnętrzne swoje.

Sztuka, jako córka fantazyi, poczęta z najgłębszych tajników narodu, jest zaiste najświętszą miłością jego; każdy lud, każdy naród w dziełach fantazyi swojej widzi duszę własną w zmysłowej postaci; on w niej kocha siebie, jako młodzieniec kocha się w postaci kochanki swojej. Ta fantazyja rozgrzewa piersi jego, budzi dawne

wspomnienia, stroi kwiatami blade czoło nieszczęściem znękanę, i tyśiącem gwiazd rozświeca mu tęskne życia ciemnice. Na dźwięki starych pieśni, podań gminnych, zmartwychwstają dawne chwały i żale pomarłe. A choć lud jaki utonie w otchłani wieków, choć od wieków trawa i zioła zarosną stare groby jego, jego duch żyje w cząstkach zgruchotanych sztuki jego, w ułamkach jego pieśni; a bylebyś do tych okrucichów przystąpił z kochaniem w duszy, dokażesz cudów; przyciśnij je do piersi miłością, a te kawały jego rzeźby, jego budowania znów zadrgają dawném życiem, i poczujesz jak w nich po dawnemu zapukało serce. Lecz abyś doświadczył tych cudów, miej sam serce a serce zacne, o uczuciach gorących, abyś miał czém ogrzać to, co dla świata dawno pomarło, dawno śmierci mrozem zastygło.

I dla tego właśnie fantazyja jest tak żywotnym, tak wiernym objawem dziejów wewnętrznych każdego ludu, i dla tego ona właśnie jest tak potężną cechą, odróżniającą lud każdy od innych ludów. Jeżeli tedy prawdą jest, cośmy rzekli powyżej, iż historia powszechna odbywa się podziałem prac między ludy, że każdy z nich rozwija i hoduje pierwiastek sobie od Opatrzności powierzony, że tedy wszystkie te pierwiastki, będąc wzajemném siebie dopełnieniem, stanowią dzieje powszechne ludzkości;—tak równie jest prawdą, że fantazyje różnych ludów są podobnie wzajemném dopełnieniem siebie, że one wszystkie, wiążąc się w jeden wieniec kwiatów precudnych, składają właśnie dzieje fantazyi w historii powszechnej.

Mając atoli zrozumiéć głębiej to całe roztoczenie się wszystkich kształtów fantazyi w historii, jest rzeczą najwyższej wagi, byśmy nie chybili w charakterystyce każdego z nich. Ochroni nas jedynie od pomyłki w téj mierze ścisła baczność na ów pierwiastek każdego ludu, który rozrósł się w piersiach jego treścią duchową jemu samemu właściwą, a zatém ową treścią, która, jak rzekłem powyżej, objawia się w jego religii, filozofii, obyczajach, prawach, tęsknotach i weselach jego. Przyjdzie nam tedy mieć ciągle na oku wszystkie te pojawy; one dopiero zdołają nam roztworzyć piersi każdego ludu, każdej epoki, a wtedy téż charakterystyka fantazyi ich wypłynie nam już prawie sama przez się. I wyznaję ci otwarcie, że nawet wtedy, gdybym rozumiał, że same dzieła sztuki wystarczyć mogą do oznaczenia właściwości fantazyi jakiegoś ludu lub epoki, przecież jeszczebym się trzymał tamtego trybu postępowania; bo wedle mnie droga taka nie tylko jest nierównie więcej zajmującą, ale zarazem podaje sposobność spuszczenia się nurkiem w przepaści ducha ludzkiego i poznania owych mocy tajemnych, które władają jego wewnętrznym żywotem.

Z tego powodu niechaj ciebie nie dziwi, że zabierając się do charakterystyki fantazyi jakiego narodu, rozpatrzymy się dość szeroko w tych wszystkich objawach jego treści wewnętrznej, które, choćby nie miały bezpośredniego związku z tą fantazyą jego, zdołają nam

wypowiedzieć przecież, co się na dnie duszy jego dzieje, a tak odgadniemy już i piętno jego fantazyi, którą też wtedy wystarczy ocechować kilku wyrazami. Zwykle też skreślę ci przytęm lekkim konturem cechę jakiego dzieła lub mistrza, ale to uczynię zlekka tylko, bo przecież nie przedsięwziąłem pisać historii sztuki ale dzieje fantazyi; nie będę też przywodził w tym celu charakterystyki mistrza lub dzieła sztuki, abym tęm popierał ogólne rozumowanie, bo rozumowanie takowe, byle się udało, powinniśmy już ze samego siebie brać moc i utwierdzenie; lecz raczej uczynię to jedynie w tym zamiarze, aby lepiej na przykładzie wyjaśnić i unaocznąć rozumowanie całe.

Gdy zaś właśnie ta sama treść wewnętrzna narodu, która się wyjawia jego fantazyą, nadaje mu także rolę, którą ma odegrać w tym ogromnym dramacie Bożym, w tych dziejach świata; zatem wyznasz, że ocenienie fantazyi jakiego ludu, lub epoki historycznej, wymaga koniecznie ciągłej bacności na te dzieje powszechne ludzkiego rodu. Fantazyja każda może być wtedy jedynie dojrzaną w prawdzie swojej, jeśli jej kontury odrysują się na tle historii powszechnej. Trzeba znać żywot każdego ludu i stosunek jego do innych narodów w historii, trzeba sobie wprzód zdecydować sprawę z jego zasług, jakie położył Bogu i człowieczeństwu pracą swoją i żywotem i śmiercią, zanim zdołamy słusznie ocenić dzieła sztuki, któremi, jakby kwiatami duszy, umał sobie ojczyznę swoją i ustroił skronie zeznojonę twardą pracą.

Niechaj ci przeto nie będzie dziwnem, że gdy w tych listach przyjdzie mi przypatrzeć się tak różnym zjawiskom duchowym, rzucę też często okiem na historię ludu, którego fantazyja będzie właśnie przedmiotem naszym.

Pozwól atoli bym uczynił kilka uwag, które tutaj nie zawadzą, choć one tak wprost wypływają z rzeczy samej, że zaiste same z siebie już nasuwają się myśli twojej.

Świetność historyczna narodu, potęga, którą zacieżył wśród współczesnego sobie świata, ważność jego polityczna w dziejach ludzkich, bynajmniej nie idzie w parze z potęgą a dzielnością jego fantazyi; może, mimo przewagi ludu, co myślą światonośną zasiadł na panowaniu ogromnego obszaru ziemi, dopatrzysz się w życiu jego zaledwie kilku pączków sztuki napół rozwiniętych, co nieśmiało wyzierają wśród jego wawrzynów wojennych lub korony politycznej mądrości. I nawzajem, znajdziesz może ludy, których fantazyja bogata, bujna, wdzięczna i pełna potęgi, a przecież ludy te nie będą tęm, co zowiemy ludem praktycznym, politycznym. Zrozumiesz, że nas wszystkie podobne pojawy zarówno obchodzić będą; z tą samą miłością, z którą zabierzemy się do ludu artysty, badać też będziemy dzieje narodu, który przeżył życie swoje, twardo pasując się z sobą i ze światem, który przebył tę drogę przez historię, doznając rzadko tylko pieszczot od tych lubych i wdzięcznych cór fantazyi, co innym

śpiewały na cierniowej pielgrzymce ich żywota. Bo nawet ta omdlałość fantazyi jego będzie dla nas zjawiskiem bardzo zajmującym, byle w sercu naszym była miłość dla tej wiekuistej natury człowieka, byle w tém sercu była cześć dla tych dróg historyi, którą lat tysiące idą przez świat.

I patrzmyż, treść cała, która się rozwija w duszy każdego ludu, daje mu miejsce odpowiednie wśród innych narodów i wśród epok następujących po sobie w czasie; przecież fantazyja a sztuka, lubo jest wykwitem tej treści, nie jest jeszcze cała tą treścią; więc się nam zdarzy, że obaczymy w naszym dziejowym rozwoju fantazyi, jak często epoki i ludy późniejsze, więc wyższej nierównie treści duchowej, niezawsze sprostają zdolają ludom, które je wyprowadziły na scenie świata. I dla tego właśnie roztoczenie dziejów fantazyi a chronologiczne następstwo ludów po sobie w historyi, niezawsze są odpowiednie sobie; zdarzy się tedy, że lud wcześniejszy zajmie w historyi sztuki miejsce późniejsze od ludu, którego był poprzednikiem w pochodzie stuleciów.

Czyli zaś lud jaki stanie wyżej czyli niżej w tych pracach wdzięcznych około piękności dzieł, toć już ze samej istoty rzeczy wynika, że fantazyja jemu właściwa nie objawi mu się zrazu w całej świetności; długo ona będzie zaklętą w sercu jego, tam czekać będzie w zarodzie, zanim ją wypiąstuje i wyda na świat w najwyższym jej uroku. A z tego znowu wynika, że czas ten najwyższych dzieł sztuki u każdego narodu, a epoka najwyższego jego rozwoju dziejowego, nie bywają bynajmniej sobie współczesne. Każdy lud póki był zajęty, aby sam z siebie się wydobył, póki pracował nad sobą i ważył się i mocował z potęgami historycznemi, póty też nie stało mu czasu ani swobody, by uosobił chwałę swoją w posągach marmurowych swoich bogów i bohaterów, lub uderzył w lutnię, by wyspiewać czyny pradziadowych lat i przodków wielkich; bo on sam wtedy był przodkiem wnuków następnych. Jednak z drugiej strony również jest prawdą, że gdy lud upada na siłę duchowej, gdy mu się na skon zbiera, już go nie stać na mistrzów, na wieszczów; bo mistrze, wieszczowie, to jego krew, to jego serce; gdy braknie mu wieszczów, mistrzów, już znać, że ścina się w nim krew, że i bicie serca jego ustaje. Z tego też powodu każdy naród wtedy występuje w najwyższej potędze sztuki swojej, gdy chwała jego i praca historyczna już jest dokonana, a potęga jego już już chylić się zaczyna do zachodu, jakkolwiek w ludziach żyjących tętni pełne jeszcze życie, choć w nich nie ma jeszcze przeczucia o wieczornym zmierzchu, który zwolna gotuje się ich narodowi. Epoką tedy najwyższego uroku sztuki są te, że tak powiem, pierwsze godziny popołudniowe najwyższej świetności jego, godziny, kiedy się styka południe z zachodem jego żywota.

Takie są w ogólności koleje, któremi się ma rozwój fantazyi każdego historycznego ludu do jego dziejów zewnętrznych. Jeżeli

zaś bliżej rozpatrzmy się w tém roztoczeniu fantazyi, jeżeli po-
mnimy, że ta fantazyja sama rozszczepia się na różne rodzaje sztuki,
toć zobaczysz, że wedle różnego usposobienia różny téż rodzaj fan-
tazyi będzie mu najwłaściwszym, a tém samém, że wykwitnie mu
sztuka nade wszystkie od niego ukochana; tak jeden z ludów stanie
się budownikiem, dźwigając przybytki dla bogów swoich, choć tych
świątnic nie zdoła uczcić wiekuistym mieszkańcem; tego dokona
z kolei inny naród, który geniuszem natchnienia przyłoży serce do
martwej marmurowej skały, a ze skały wystąpi mu bóg jego, odziany
urokiem najwyższej piękności. U innego narodu uczucia wciela się
w obrazy malowane, lub zabrzmia pieśnią liryczną, lub roztoczą się
epopeją, albo przemówią dramatem. Jeżeli zaś lud jest tak pełen
szczęścia i takim piękności wybrańcem, że wszystkie te kształty fan-
tazyi wstąpią na poniżej ziemskiej ojczyzny jego, toć i w takim nawet
razie jedna ze wszystkich sztuk będzie już najdroższym jego ducho-
wego wnętrza wyrazem. W niej się rozpromieni i zaświeci chwała
świata. W każdym atoli razie, wszystkie rodzaje sztuki, pielegno-
wane przez naród pewien, wystąpią pewnem następstwem po sobie.
A najczęściej już architektura, jako sztuka symboliczna, mająca do
czynienia z linią i przestrzenią, i z twardą, nieużyta, głuchą materją,
stanie na reju sztuk pochodowi; za nią skulptura umieści posągi
w tych świątyniach; potem malarstwo roztoczy swoje dzieła na ścia-
nach świętych przybytków. A lubo poezya i muzyka przygrywać
i przyspiewywać będą pracom wszystkich tych mistrzów i ludów
wszystkich od początków samych, toć przecież będą czasy, w których
poezya, a mianowicie muzyka stanie się wyłączną ulubienicą ludz-
kiego rodu! (*)

Takowe są zaiste ogólne stosunki historii fantazyi do dziejów
powszechnych świata, więc do dziejów duchowych; ale i natura ma-
teryjalna ma swoje dzieje, i ona jest jednym z tych czynników, wpły-
wających silnie na treść duchową ludów, nadając jej barwę wła-
ściwą.

Natura tutaj uważana być może z różnego względu; ona pojawia
się to jako natura a usposobienie własnej cielesności, będące tak
różne w różnych ludach; to jako natura, otaczająca lud w koło, więc

(*) Ob. *Schnaase*, Geschichte der bildenden Künste, T. I, 1843, Wstęp; tudzież *Kugler*, Kunstgeschichte, 1848. Dwie te książki zasługują na polecenie ich młodym czytelnikom.

(Dzieło *Schnaasego* wyszło w 2-ém wyd. 1871 r., *Kuglera* zaś w wyd. 5-ém 1872 roku. Z pomiędzy nowszych prac, obejmujących całość historii sztuki, zasługują na szczególną uwagę: *Wilhelm Lübke*, *Grundriss der Kunstgeschichte*, od r. 1860 kilkakrotnie wydana; *Juliusz Braun*, *Geschichte der Kunst*, 1873; wreszcie pięciotomowe dzieło *Maurycyego Carriere*, *Die Kunst im Zusammenhange der Culturentwicklung*, 1873 roku, które po raz pierwszy stara się przedstawić ogólny rozwój ideałów ludzkich, łącząc umiejętnie historję sztuki plastycznej z dziejami poezyi, literatury, muzyki i w ogóle życia umysłowego. — St.)

jako przyroda jego ziemi rodzinnej, tak magicznie działająca na cały jego ustrój duchowy; bo czém jest ciało dla duszy pojedynczego człowieka, tém jest przyroda kraju dla ducha każdego narodu. Jeżeli zaś cielesne i psychiczne usposobienie każdego narodu, jego temperament, jego zdolności fizyczne są wielce dzielnym pierwiastkiem w jego życiu duchowém — toć potężniej jeszcze waży natura ojczyzny jego. Klimat, rzeźba kraju, wody, obłoki, świat roślinny i zwierzęcy, widoki i dramata, które odgrywa natura, wpływają milczkiem, znienacka, w duszę każdego ludu; są to moce, co wzierają w głębie serca, urzekając je oczyma swojemi; to rozpalają żarem, to chłodzą jego fantazyą, to nastrajają do uczuć skocznych, radośnych, to do nuty tęsknej, przeciągłej jak stęp, jak oceanu niezmierzone przestrzenie lub płaski nieprzebytą pustyni; to znów, otaczając człowieka hardą, śmiałą, butną górską naturą, budują mu w koło grody boże, przyczółki alpejskie, na których szczytach obłocznych te moce siadają jakby na niedosięglym tronie swoim.

Zrozumiesz tedy, że względ na tę naturę ojczystą każdego ludu nie może być nam obojętny. Dotknijmy się go przeto choć zlekka u tych ludów, które nie usamowolnwszy jeszcze ducha swojego z pod potęg natury, urzeczzone jej mocą zostają pod jej zakonem a władztwem. Lecz z tego stosunku do natury nasuwa się nam inny, nierównie jeszcze ważniejszy dla naszego celu, bo zachowanie się ludu do natury jako do świata, z której czerpać ma ośnowę dla fantazyi swojej. Wszak fantazyja, ubierając treść duchową we formy materialne, zmysłowe, bierze właśnie te formy z natury, choć je przetapia, przeistacza na dzieło piękności. Tak przeto ciężkiej wagi jest pytanie, czém dla którego ludu jest natura? Człowiek otoczony przyrodą, uderzony jej dziwami, zrazu upamiętać się nie zdoła; ona mu światem potęg to lubych, pieszczących, to groźnych, straszliwych, złowrogich. Więc lud ten nie widzi tej natury taką, jaką jest, ale taką, jaką jemu się być wydaje; naturę rzeczywistą pokrywa natura druga, cudotworna, dziwaczna, urojona, co się miesza i mąci; a ta nowa, przez fantazyę jego wymyślona natura tém będzie dziwaczniejsza, im bujniejsza jest fantazyja gminna powszechna, im mniej rzeczy stworzone rozjaśnione są umiejętnością, im później poznany będzie ład i związek wszech jestestw przyrodzonych. A co ten lud w tej naturze przez szkiełko swojej fantazyi obaczy, to już będzie własną istotą jego wewnętrzną; on w niej jak w zwierciadle przejrzy się, obaczy własną treść swoją; ale będzie siebie widział nie przeczuwając, że z tej natury własny jego wizerunek na niego się patrzy! A gdy w tej treści ducha najcenniejszy jest pierwiastek, który go wiąże z wieknością, z bóstwem, więc też lud, nie rozgrzany jeszcze promieniem wiary zbawienia, w potęgach natury obaczy bóstwo i oblecze je własną naturą swoją; o ile tedy sam człowiek poczuje się być duchem, osobą, o tyle też te bogi jego będą osobami, duchami; o ile zaś on sam w sobie jeszcze mąci własną duchową istotę

swoją z potęgami natury materyjalnej, o tyle też te bogi będą materyjalne i staną się dziwnym zamętem duchowej a materyjalnej istoty! Widać też, że gdy człowiek, oprócz tej najwyższej treści swojej, którą jest bóstwo, ma i inną treść, odnoszącą się do ziemskich potęg, zatem też fantazyja wyroi mu tłumy postaci o mocy podrzędnej, stojącym na straży rzeczom doczesnym.

Te moce, przebrane w kształty fantastyczne, nawet i wtedy rozgłaszają się po świecie, gdy wiara prawdziwa rozjaśni wprawdzie wyobrażenia człowieka o Bogu, ale umysł ludzki nie rozpatrzy się jeszcze dostatecznie w naturze, i nie pozna tych praw odwiecznych, które są zakonom wszech rzeczy stworzonych. W takich epokach świat będzie się miał w dziwnej sprzeczności do siebie samego, bo z jednej strony co do rzeczy wiekuistych i Bożych będzie znał najwyższe prawdy, a z drugiej strony zaludni świat tuteczny ciżbą jestestw fantastycznych, dziwacznych (rusalki, czarownice i t. d.).

Przekonywamy się tedy, że różne kształty, w których pojawia się fantazyja ludów, najgłówniej zależą od różnych wyobrażeń, których się lud jaki dosłużył o istocie ducha, a tém samém zależą od różnego stosunku jakim się zachowuje człowiek do natury i całej rzeczywistości, która właśnie podaje mu treść a ośnowę dla jego fantazyi.

Łatwo już nam teraz pojąć, że takowe różne wyobrażenia ludów, i te różne ich zachowania się do ducha i do natury, będą właśnie zasadą podziału historii fantazyi na różne jej epoki rozwoju i nadadzą tym epokom charakterystyczne piętno.

Gdy atoli w powyższém rozprawianiu mojem, w liście niniejszym, miałem głównie na myśli fantazyją ludu, to jest fantazyją powszechną, a gdy z drugiej strony wyobraźnikami wydatnemi epok historycznych fantazyi są dopiero dzieła sztuki, a zatem fantazyja artystyczna; przychodzi mi tedy raz jeszcze rzucić okiem na stosunek mistrzów i wieszczów do fantazyi powszechnej ich ludu.

Mistrz tak się ma do fantazyi powszechnej swojego kraju, jak się mają wielcy ludzie historyczni do pierwiastku dziejowego, który żyje na dnie ich narodu lub stulecia. Człowiek wielki nie stwarza nic takiego, coby nie żyło już zarodem w jego narodzie, w jego czasie; on jedynie zna pocucie, drgające w przyszłości. Człowiek wielki rozumie ku czemu się ma lud jego i ku czemu prze historia świata, więc geniuszem proroczym wyrzeka to słowo, objawia ludziom własną ich treść, co robiła i pracowała w ich piersiach; tak staje się ogniskiem serc wszystkich duchów, a zarazem jasnowidzeniem geniuszu przeziara wskrós środki i potęgi, które mu staną przy boku i będą pomocą, by to słowo stało się ciałem, rzeczywistością.

Podobnie dzieje się z mistrzem; on też nie może się wylamać z wieku swojego, on też nie może nie być synem swojego czasu i swojej ziemi. Fantazyja jego jest kwiatem na drzewie tej fantazyi powszechnej; w nim płyną jej soki, on z niej bierze życie swoje; gdy

kwiat odpadnie od drzewa, pójdzie wiatrom na pastwę, zwiednieje i zginie bez owocu. Niechaj się tedy mistrz trzyma wiernie drzewa, z którego wyrósł, bo w niem ma moc swoją i żywot swój; fantazyja jego stanie się martwą, bez serca, gdy się przeniewierzy swojej rodzicy — fantazyi powszechniej. Dla tego, gdy mistrz należy jeszcze do narodu, w którym natura, dzieje i cała rzeczywistość nie staje jeszcze przed oczyma człowieka w prawdziwej postaci, ale zasłonięta jest jakby czarodziejską oponą, wtedy i mistrz nie zdoła ujrzyć tej rzeczywistości, jaką jest sama przez się, ale bierze ją niby z rąk gminnej fantazyi, więc taką, jaką się wydaje jego epoce i krajowi, który jest ojczyzną jego.

Przecież do wieszczu, do mistrza należy, aby takową osnowę surową, grubą, przyćmioną jeszcze pyłem żywota powszedniego podniósł do wysokości ideału piękności. Niechaj mistrz zbiera fantazyę ludową, co jako kwiaty rośnie po mogiłach, niechaj te kwiaty związa w wieniec chwały, a ten wieniec stanie się i dla niego koroną czci i uczuć powszechnych. W nim wszyscy się obaczają, wszyscy się przejrzą w jego dziełach; a gdy te dzieła będą uwidomionym duchem powszechnym, ale podniesionym do ideału piękności, więc rozpromienionym zacnością i szlachetnością, nie dziw przeto, że wieszcz, że mistrz, jak się stał chwałą swojego ludu, tak będzie zarazem jego nauczycielem i kapłanem obyczaju. On nieskończoną potęgą wpłynie na ów świat, z którego wyrósł, z którego się zrodził; dzieła jego będą ołtarzem, na którym rozgoreje uczucie całego jego ludu na chwałę jego własną i na cześć niebiańskiego Ojca. Niechaj tedy mistrz oddycha tym powietrzem fantazyi rodzimej, niechaj się spoufali z duchami swoich puszczy i krzewów i łąk swoich; te niechaj mu szeptały tajemnice swoje, wróżby swoje.

Przecież do wieszczu, do mistrza należy aby nie wypuszczał nigdy z pamięci, że on jest nie tylko synem czasu swojego, lecz co więcej, że jest zarazem tak przyszłości jak przeszłości prorokiem, że mu nie wolno pozostać po za wiekiem swoim. Jeżeli tedy kraj jego wyrósł, choćby tylko w połowie znaczniejszej, z widziadeł fantazyi powszechniej, zasłaniającej mu prawdy rzeczywiste, wtedy i wieszczowi nie wolno już brać widma za prawdy, wtedy raczej nie tak te widziadła ludowe, jak już sam ten lud winien się stać dla niego przedmiotem poezyi. Bo zważ, sztuka piękna, poezya nie jest żartem lekkim; biada jej, gdy straciwszy z siebie zacność swoją, ubliży sobie, zmyślając postaci kłamliwe, w które sama nie wierzy; sztuce, poezyi nie wolno schlebiać żadnej z części onego ogółu, do którego mistrz należy; bo jak mu się nie godzi puszczać się za własnym kaprysem, tak nawzajem nie wolno mu się mizdrzyć do lada zachcianki swojej publiczności, by od niej wyżebrać jakieś łaski dla siebie.

Dla tego też jedynie te dzieła sztuki przeżyły mistrza żywot doczesny, i przetrwały długie wieki, i przetrzymały nawet zwaliska grodów ojczystych jego, które się zrodziły nie ze służalstwa prze-

lotnym chwilom, ale z zacnego ślubu mistrza z fantazyą powszechną ludu jego, i ze zręków wieków zapadłych, i tych które się dopiero wykluwały dla przyszłości jego. Takowe to dzieła są same jedne istnemi wyobraźnikami różnych ludów i epok historycznych, tudzież okazują ich pochod a znaczenie w dziejach fantazyi całego człowieczeństwa.

Jakie zaś są te wielkie epoki, na które rozdzielają się dzieje fantazyi? Toć skreślę tutaj kilku wyrazami. Skreślę je zlekka, ogólnie i w krótkości, bo jestem zdania, że w pracy lekkiej i pobieżnej, jaką są te listy nasze, wszelkie oznaczenie z góry epok i podziałów przed roztoczeniem treści samej jest niewłaściwe. Jeżeli bowiem oznaczenie takowe ma być głębszej wartości, wymaga, aby przecie było ugruntowane, więc powodami wsparte, a takowe znowu wymagają długich wywodów i rozpraw, bez których wtedy jedynie obejśćby się mogło, gdyby ta nasza historia fantazyi była częścią jakiegoś systematu filozoficznego; bo w takim razie już cały tok tych dziejów wypłynąłby ze systematu samego i w niej miałby utwierdzenie swoje i usprawiedliwienie.

Gdy zaś przedmiot tych listów jest niby luźny i samodzielny, a gdy przytém pragnę uniknąć rozwlekłych, usprawiedliwiających rozpraw, więc też przestaje na rzuceniu tutaj kilku konturów ogólnych tych epok fantazyi, by ci ułatwić z góry pogląd na całość naszej osnowy; a przywołam sobie w pomoc właśnie te myśli, które powyżej pobieżnie rzuciłem mówiąc o różnych stosunkach ducha ludzkiego do natury.

Rzekliśmy już nawet w tym liście naszym, że nieskończoność przebywa w człowieku od początku świata, od chwili gdy Bóg na niego tchnął duchem swoim. Ale ona zrazu przebywa zarodem w duchu naszym, a rodu ludzkiego właśnie jest powołaniem, aby rozwinął, wyrobił z samego siebie ten pierwiastek dany mu posagiem. Wszak powiedzieliśmy, że to wyobrażenie i zdobycie go na sobie jest zdaniem historyi powszechnej; jakoż wiele wieków i długiej pracy potrzeba, zanim nawet sam duch ludzki będzie świadom siebie, zanim przeczuje, co w nim robi i wre.

Gdy zaś, jak wiesz, fantazyi artystycznej jest powołaniem, aby tę nieskończoność, ten pierwiastek wiekuisty wcielić we formy zmysłowe, czyli we formy z natury wzięte, zatem już znać, że wedle różnego stopnia rozwoju duchowego, fantazyja też różnie użyje tych kształtów natury, aby w nich wyrazić treść duchową. Te różne tryby przeistoczenia form przyrodzonych okazują już zarazem i stosunek różny ducha do natury, a tём samém stanowią różne epoki rozwijającej się fantazyi.

Pomijając w tej chwili epoki pomniejsze, uważmy, jakie główne

okresy nam już z istoty rzeczy wypłyną z tych różnych stosunków ducha do natury, w której on ma wyrazić treść swoją.

W tej mierze atoli stosunek może być tylko trojaki. Najprzód bowiem treść ducha ludzkiego o tyle się rozwinęła, że zdolna już być mistrzynią form przyrodzonych, że tedy zdolna przeniknąć je *wskróś* promieniem swoim. W takowej epoce człowiek będzie się miał tym trybem do tego dzieła sztuki swojej, że cała jego treść duchowa, wyrażona będzie w tém dziele piękności, a to tak dalece, że co będzie w treści, znajdzie się téż w dziele sztuki, jako w formie swojej zmysłowej, i że nawzajem wszystko, co jest w tej formie (więc w posagu, obrazie, pieśni i t. d.), stanie się wyrazem tej treści duchowej; tak przeto treść duchowa i forma będą sobie zupełnie odpowiednie.

Łatwo ci zgadnąć, że to wzajemne równoważenie się treści i formy będzie miało, jakby po dwóch stronach swoich, dwie ostateczności, z których jedna będzie stopniem poprzedzającym ją, druga będzie stopniem następującym, późniejszym. Co do tego stopnia późniejszego, ten nastąpi wtedy, gdy treść duchowa tak już rozwinie siebie, tak rozplonie wiekuistością, tak wyrośnie nieskończonością, że już nie zdoła znaleźć odpowiedniego sobie wyrażenia we formach z przyrody wziętych, w dziełach piękności. Wtedy mistrz czuje, że treść jego wewnętrzna przerosła te formy wszystkie, że choć je napelni sobą, przecież zostanie się jeszcze wyższa część jego własnej istoty, która się nie pomieściła w tych kształtach zmysłowych, w dziełach sztuki pięknej.

Wręcz inny będzie ów stopień, który poprzedzi ową epokę równowagi; będzie to bowiem stopień pierwszy i najniższy, w którym treść duchowa tak mało jeszcze z siebie się rozwinęła, że nierównie wyższą od niej treść zdołają wyrazić te formy natury, gdy będą przeistoczone na dzieła piękności. W tej tedy pierwszej epoce treść wewnętrzna ducha stanęła poniżej dzieł piękności.

Ta epoka pierwsza jest okresem fantazyi Wschodu, mianowicie starożytnego Wschodu. Epoka równowagi owiej, w której treść duchowa a forma zupełnie są sobie równe i nawzajem się wyczerpują, jest okresem sztuki klasycznej, bo greckiej i rzymskiej. Epoka trzecia, w której treść duchowa przerosła wszelkie formy piękności, jest okresem sztuki chrześcijańskiej.

W epoce pierwszej duch człowieka, jak się rzekło, pozostał poniżej tych form uroczych, na które przeistoczone być mogą kształty natury pod natchnieniem mistrza. Pochodzi to ztąd, że duch nie zdołał jeszcze ująć potęgą nadświatną tych kształtów przyrodzonych, a tém samem, że nie uznał jeszcze własnej potęgi swojej, bo nie uznał własnej swojej istoty, górującej nad naturą, bo jeszcze nie wie siebie być duchem, osobą.

Pojmowanie istoty ludzkiej jako osoby jest niezmierniej wagi, a jest przecież zarazem wyobrażeniem bardzo jeszcze ubogiem; bo osoba jest jestestwem wiedzącem siebie, odnoszącem się do siebie

myślą i wolą, a tём samém odgraniczającém się własną mocą swoją od zewnętrznego świata, jest oparciem się na sobie; a jak osoba wie o sobie, tak też umie się odróżnić od jestestw, które nie są nią samą.

Znać przeto, że wyobrażenie o sobie jest arcybiedném i głuchą abstrakcją, gdyż nie uwzględnia tój nieprzeliczonej a tak głębokiej różnaitości, jaka zachodzi między osobami. Nie uwzględnia nawet różnaitości, zachodzącej między ludźmi, więc nie baczy na ich wartość moralną, zdolności, usposobienie, i całą treść ich. Ale wyobrażenie o osobowości ducha jest przecież zarazem ogromnym a trudnym nabytkiem. Bo długo ludzkość się namocowała z sobą i napracowała, zanim zdołała wyrobić pojęcie o istocie osoby, zanim człowiek uczuł się być osobą.

Tego pojęcia nie miał Wschód starożytny! A jak tu człowiek nie wie jeszcze jasno, że jest osobą, tak też bogi, jego fantazją stworzone, nie są jeszcze osobami. Niekiedy w tych bogach, a mianowicie w mitach o nich, widać wprawdzie jakiś zaród, jakiś związek osobowości, ale takowy wnet się rozplywa, rozlatuje zarysem niepewnym, i ginie. A gdy człowiek nie wie się być osobą, więc też nie ma jasnej pewności o wiekuistém trwaniu swoim, nie umie siebie odgraniczyć, odosobnić od natury, i poznać przepaść, która go, jako osobę i duchową istotę, odłącza od natury, od tych jestestw materialnych. Ztąd duchowa jego istota miesza się i mąci z tym światem zmysłowym; ztąd też jego bogi mieszają się i mącą z potęgami przyrody, co są bezprzytomne sobie i ślepe. To mącenie się najczęściej stwarza kształty potworne w rzeźbie i w poezji, w których wiekuistość a głucha bezrozumna materya szalonym zamętem są skojarzone z sobą.

Gdy atoli człowiek tą dziką chaotycznością miesza się ze światem materyi, więc też nie ma jeszcze panowania nad tą naturą materialną; ztąd fantazya jego, choć gorąca i wrząca, nie zdoła przeniknąć pierwiastkiem wiekuistości kształtów z natury wziętych, a zatem używa ich tylko za zewnętrzne, powierzchowne znaki swoich myśli. Tak patrzy na formy roślinne, zwierzęce, ludzkie i t. d., a spostrzegłszy w nich własność jaką, odpowiadającą niby myśli, którą chce wyrazić, bierze tę formę i wyrzyna ją w kamieniu, potęgując aż do przesady tę własność odpowiadania myśli, którą chce oddać tём swoim dziełom. Tak to dzieło samo istotnie będzie miało dwojakie znaczenie: jedno znaczenie własne swoje, znaczenie przyrodzone, a drugie znaczenie przenośne, które mu nadał człowiek; tym sposobem powstaje symbol (np. ręce są środkiem do działania, ztąd fantazya indyjska potęguje te ręce i tworzy postaci wielorękie; matka, jako niewiasta karmiąca dzieci swoje, staje się symbolem natury, gdy się zamienia na Izydę mnogopiersią).

Otóż symboliczność jest pierwiastkiem przeważającym we fantazji starożytnego wschodu. Lecz właśnie dwojakie znaczenie

każdego symbolu wyjawia niedostateczność jego; co ztąd pochodzi, że Wschód nie wyrobił sobie jeszcze dostatecznego wyobrażenia o duchu i naturze. A jak w człowieku jeszcze trwa potworna walka i zamętne mocowanie się nieświadomego ducha z potęgami natury, tak też te symboliczne postaci, przez fantazyę Wschodu stworzone, są potwornym, chaotycznym objawem jego treści nierozdziernionej, nierozwiniętej. Zważ, że ten brak rozgraniczenia materji i ducha, ten zamęt ogólny, zapustny, jest także powodem, że z téj fantazyi wschodniej rodzi się niekiedy i panteizm; bo i panteizm jest pomącaniem ducha i materji, stwórcy i stworzenia.

Dopiero w Grecji człowiek wie, że jest duchem, że jest osobą. On tutaj już umie siebie odróżnić od natury, a tém samém już i moce przyrodzone straciły nad nim przewagę swoją. Lecz z drugiej strony lubo duch Hellady dorósł już natury, ale jęj jeszcze nie przerósł. Co tylko jest we wewnętrznych głębiach człowieka, znajdzie wcielenie swoje w dziele sztuki, zatem we formie z przyrody pożyczonęj, i nawzajem cała ta forma jest przenikniona duchem. Duch mistrza i ludu jego pomieści się cały w dziele fantazyi artystycznej, w nięj się przejrzy. Ta harmonia wzajemna między człowiekiem wewnętrznym a zewnętrznym, między duchem a naturą, myślą a materją, czyni z Hellady duch prawdziwie artystyczny. Tutaj fantazyja powszechna jest osnową już prawie wyrobioną dla poetów i mistrzów. Jego myśli są obrazami, a on obrazując myśli. Ztąd też Grecy, choć mają wyobrażenie o duchu, o osobowości jego, przecież wiążą go jeszcze z ciałem. Grecy nie mogą jeszcze wyobrazić sobie ducha bez ciała. Dla téj wdzięcznej harmonii wewnętrznej treści duchowej a zewnętrznego świata, Grek w tym świecie zewnętrznym widzi siebie; tu nie ma przeto fałszywego, bolesnego wdzięku w życiu. Tutaj szczęście młodości kwitnie ludziom i bogom. Wszak te bogi same są ludźmi, ale uduchowionemi i wzniesionemi do piękności ideału, i w nich wdzięczne przymierze ducha i ciała. Jakoż właśnie dla tego, że bóstwo tutaj jest jeszcze cielesnie pojęte, że się przedstawia w połączeniu z materją, z ciałem, dla tego też występuje tutaj polyteizm, wielobóstwo. Bo materya, bo natura jest właśnie wiołością jestestw, bo właśnie co jest jednością idei, rozpryskuje się w naturze na wiele jestestw osobnych.

Ale zważ, ta harmonia nie mogła długo ostać się na ziemi, bo w tym pięknym świecie klasycznym tętniło przeczucie wewnętrznej sprzeczności. Bogowie są duchowo-zmysłowe jestestwa, są ciałem odziane a mają być nieskończone! To sprzeczność! Dalej, duch człowieka, wiekuistości syn, ma być w harmonii ze światem zmysłowym, przelotnym; i to jest sprzecznością!

Na te sprzeczności Grecya umarła. Duch przerósł formy tuteczne, doczesne, z natury wzięte, a to wzniesienie się jego nad świat ten rzeczywisty, było wyrokiem śmierci dla Hellady i jęj świata piękności. A tém samém pojawiła się już nowa epoka dziejom ludz-

kim, w której występuje właśnie ta wyższość ducha i treści jego nieskończonej nad światem rzeczywistym. Tę nową epokę przedstawia historia fantazyi u chrześcijańskich ludów. Tutaj człowiek, party nieskończonem poczuciem, wie, że jest tylko gościem na ziemi. Żadne szczęście ziemskie, żadna idealność z doczesności zrodzona, choć pełna uroku i wdzięku, nie zdoła ukoić, zagoić tęsknoty, która w nim robi i nie daje pokoju.

Widać, że w tym świecie nowym, nowy rodzaj fantazyi pojawi się w piękności państwie. Będzie to sztuka chrześcijańska, co zwrócona jest ku wnętrzu, ku najświętszej serca tajemnicy. Tutaj przeto rodzą się te rodzaje sztuki, które z najgłębszych przybytków serca występują na jaw. Teraz zabrzmi z ciszy serca poezya lirą, uczuciem głębokiem, tęsknem, drgającym; teraz nastąpi epoka dla muzyki, téj sztuki, w której duch sobie daje posłuchanie, a tony, jakby anioły dosłyszane słuchem ziemskim, szepną o najwyższych prawdach i rozwiążą mu zagadki wszystkie świata, i wywróżą życia i śmierci, rodzenia i skonania tajemnice. I znów muzyki dosłyszane, w głębokości ducha żyjące, zbudują mu świątynie a katedry gotyckie, owe wielkie domy boże, co się staną kontrapunktem, w którym wiążą się wszystkie sprzeczności, wszystkie przeciwieństwa architektury, akkordem i harmonią nieskończoną. Ta epoka atoli znów sama z siebie rozdziela się na dwa ustępy czasu, na dwa różne stopnie. W pierwszym duch przeczuwa, że doczesność, a mianowicie natura, nie jest odpowiednią téj wiekuistości, którą wiara roztworzyła w głębiach serca człowieka; więc duch człowieka odwraca się od doczesnego świata i przyrody a tonie w sobie, słuchając jedynie téj cichej mowy wnętrza swojego, co mu jest prorokiem o nieskończonej wartości jego, i wróżbitą światów nadgwiezdnych. A tak człowiek staje sam w sprzeczności i z tą zewnętrzną przyrodą i z własną naturą zmysłową ciała swojego (wieki średnie i romantyczne). Drugi zaś stopień téj epoki będzie zbliżeniem się człowieka do natury i rzeczywistości, pogodzenie się z nią; mimo tego atoli tęsknoty wewnętrzne nie ustaną choć się ułagodzą, nie zniknie też w człowieku treść nieskończona, którą rozwinęła w nim wiara chrześcijańska — (sztuka nowożytna, od XVI stulecia poczynająca się).

Przestaję na tych lekkich rzutach, rysujących oblicze tych trzech głównych epok w dziejach fantazyi, mając dać obszernie ich roztoczenie w całym ciągu listów następnych. Zwracam tutaj tylko uwagę twoją, że możnaby i owe dwie pierwsze epoki, bo rzecz o fantazyi wschodniej starożytnej i o fantazyi klassycznej, połączyć razem i uczynić je dwiema epokami jednego wiekszego okresu. Bo obie mają to do siebie, że w nich duch ludzki nie przerósł natury, że człowiek oczyniony jest jeszcze jéj urokami, że nie przejrzał do dna własnej wiekuistej istoty.

Widzisz tedy, że tym trybem dzieląc historję fantazyi, można kłaść I-szy wielki okres a w tym umieścić całą starożytność, więc

cały czas niechrześcijańskich ludów; zatem w nim znajdują się dwie epoki: a) fantazyja wschodu, b) fantazyja klassyczna, która znów rozdziela się: 1) na fantazyję grecką, 2) na fantazyję rzymskich mistrzów. Potem następuje II-gi wielki okres, bo dzieje fantazyi u chrześcijańskich ludów, który znów rozdziela się na dwie epoki, bo: a) na epokę czasów średniowiekowych i b) na czasy nowożytne, zaczynając od początku wieku XVI. Na ten podział chętnie się godzę, bo jest tém stosowniejszym, że wynika ze stanowiska chrześcijańskiego zapatrywania się na świat, a tém samém uznają ogromną różnicę, która zaszła we wszelkich stosunkach ludzkich od czasu wiary Jezusa Chrystusa. Lecz nie mogę się zgodzić z tymi estetykami, którzy z każdej z dwóch epok (bo z epoki średnich wieków i z epoki czasu nowożytnego), które wedle nas składają ten II-gi wielki okres, czynią dwa osobne wielkie okresy, które, wedle zdania tych estetyków, tak się mają między sobą różnie, jak każdy z nich od okresu I-go, obejmującego ludy starożytne, niechrześcijańskie. Ten pogląd zdaje mi się być mylnym, choć jest wymyślony przez znakomite powagi (np. Vischera), a powstał jedynie z chęci nadania protestantyzmowi przesadzonej przewagi w historii sztuki, więc z zarozumiałego uprzedzenia, jakoby dla protestantyzmu pojawiającego się właśnie w XVI wieku, sztuka miała się wskrószyć przerodzić. Obaczysz zaś w późniejszych listach, iż lubo prawdą jest, że ze XVI stuleciem nowa era nastaje dla sztuki, toć przecież i to prawda, że ta era nie jest bynajmniej takim zerwaniem z przeszłością chrześcijańską, jak to mniemają estetycy owi, a co więcej okaże się równie, że ten nowy zwrot sztuki w XVI wieku, ma jeszcze inne a głębsze powody.

Wszak duch, odprawiając te wielkie okresy i epoki w dziejach fantazyi, napasował się krwawym trudem przez długie wieki. A wiele narodów w tej pracy złożyło żywot swój na ofiarę historii powszechniej. Ztąd też ich rodzenia się i silenia i śmierć są treścią najwyższego znaczenia dla każdego myślącego człowieka.

Atoli w tych kilku listach, poświęconych rozwijaniu się ducha w sztuce, bynajmniej nie mam zamiaru napisania historii fantazyi ze wszystkimi jej szczegółami. Przestaniemy na oznaczeniu ogólnym charakteru każdego okresu, dotkniemy się tylko zlekka każdego narodu, a bylebyśmy zrozumieli jego piętno właściwe, już nadać mu zdołamy stosowny stopień w historii świata, i zgadniemy czém on był dla historii fantazyi całego rodu człowieczego. Jest też niepodobna, by wspomnieć o wszystkich ludach, które tu położyły zasługi swoje. Przypatrzmy się jedynie gwiazdom pierwszego rzędu, onym jasnym konstellacyom, przyświecającym, jakby okiem Bożem, dziejom świata. Gdy wielmożność i potęga, oparte na głuchej sile, spadły na ziemię niby suchy liść, idąc na pomiotłę wiatrom; te gwiazdy, te pierwotne córki ducha nie mrużą się nigdy, wiecznie żyją, wiecznie spokojne goreją chwałą rodu naszego. Ku nim nie sięgną zamieci ziemskie i kurzawy padół żywota; one na wieki będą przy-

mierzem między człowiekiem a Bogiem, boć wszystko na tej ziemi tonie w niepamięci; to tylko trwa wiecznie, co z ducha Bożego i prawdy się rodzi. A my wszyscy jesteśmy potomkami tych jasnych gwiazd, synami ich światłości w historii; oddajmy im tedy cześć.

Czyli zaś podolałam tej wziętej na się pracy? Czyli mimo dobrej chęci wywiążę się godnie z zadania mojego?

Mam ją przekonanie wewnętrzne, które mi dodaje otuchy do tej pracy. Gdy dzieje fantazyi roztaczają nam obraz silenia się historii około tego, co wzniosłe i piękne na świecie, i gdy nam tedy okazują jako ród człowieka dąży bez spoczynku do coraz większego uznaczenia i uszlachetnienia siebie; więc też myślę, że każda, choćby najdrobniejsza, praca w tym względzie nie może nigdy być bez zupełnej wartości, bo wypływa z wiary w nieskończony postęp świata, ze czci dla prawdy a wiekuistej zacności, żyjącej w ludzkim rodzie. I dla tego mniemam, że i ta skromna praca nie będzie może zupełnie straconą.

*

*

*

Niegdyś, w starych wiekach Indów, *Budda*, najwyższa cnota, istotność istności wszelkiej, odbierał cześć i pokłony od kraju całego. A cisnęły się zewsząd i króle i pany wielkiej potęgi i władcy ludów, a czołem bijąc bóstwu Buddy, znosiły skarby swoje i klejnoty drogocenne. A mieszkała też w miejscu tym zgrzybiała uboga staruszka, żyjąca o żebranym chlebie. Gdy obaczyła te stosy złotych i srebrnych sprzętów, i te skarby, co jaśniały w świątyni Buddy darem i ślubem, przejęta żalem serdecznym, sama mówiła do siebie: „Jakaż ja winą moją przyszedłam na tę biedę ostatnią, że nie mogę stanąć przed tronem cnoty najwyższej, i rozsiewać ziarna zacności i zbawienia?” I poszła żebrac między ludzi. Żebrała od świtu aż do późnej nocy, a uzebrała pół szelągka, i poszła do kupca prosząc go, aby jej sprzedał oliwy. A on rzekł: „Niewiasto uboga, bardzo mało będzie oliwy za ten pieniążek twój. Lecz powiedz mi, do czego ci jej potrzeba?” „O, panie!” rzekła staruszka, „ja żebrałam od rana do wieczora, i ten jeden pieniążek uzebrałam sobie, a oliwę za niego poświęcę na cześć najwyższej prawdzie”. A on ulitował się nad ubogą, i dał daleko więcej oliwy niż żądać mogła. Żebraczka, przepełniona radością, nalewa nią drobny kaganiec, i stawia go na ołtarzu Buddy, i modli się do bóstwa rzewnie: „O ty istotności nad wszelką istotnością! Ten mały kaganiec jest całą ofiarą, którą ci dać mogę! O! gdyby ten płomyk skromny zdołał rozproszyc czarną ćmę niewiedomości i kłamstwa i winy ze świata całego! Gdyby zdołał rozświecić prawdę i zacność i uczciść, co wielkie na niebie i na ziemi!” — I przez noc całą gorzał kaganiec. A gdy z dniem porannym kapłan wstąpił do świątyni i zbierał z ołtarza dary, dmuchnął i na ów kaganiec mały by go zagasić, ale płomień błysnął silniej jeszcze, a kapłan już ręką, наконец szatą chciał go przytłumić; lecz kaganiec

gorzał coraz to świetniejszym i potężniejszym płomieniem. A gdy tak daremnie się kapłan silił, Budda przemówił z ołtarza: „O! zaprawdę, nie przytłumisz ty płomienia tego, i nikt go przytłumić nie zdoła. A gdyby i wszystkie czterech mórz wody po nim przeszły, nie zagaszą go jeszcze, boć on mi jest darowany na cześć tego, co wiekuiste, a z czystej wiary w zacność i prawdę!” (Stara indyjska legenda.)

I. Fantazya u ludów wschodnich.

LIST CZTERNASTY.

C h i n y.

Wstęp. — Ulica Kantonu. — Malarz chiński. — Teatr. — Muzyka. — Komedya. — Nauki u Chińczyków. — Astronomia. — Wojskowość. — Brama tryumfalna. — Zabawy. — Budowa świątyni. — Obrazy religijne. — Ogrody. — Brak treści wewnętrznej w człowieku. — Moralność. — Rodzina i Państwo. — Formy zewnętrzne. — Dramat chiński. — Lira i powieść chińska.

Mając się puścić wędrówką przez świat i różnojęzyczne jego ludy, przez lat tysiące, a coraz zacniejsze epoki ludzkich dziejów, i pod słuchać cichego ducha powieści w historii, trudno nam przyszło pominąć owe rozłożyste przestwory azyatyckiego Wschodu, co go *Chinami* zwiemy. Tam, na zatyłkach starego świata, odsadzonych daleko od dziejów powszechnych ludzkiego rodu, rozciąga się olbrzymim obszarem ogrom państwa, którego przestrzeń o sto tysięcy mil kwadratowych większa od Europy całej, a ludniejsza od niej o sto milionów mieszkańców. Ztamtań starowieczne pieśni niosą nam podania o pradziadowej cywilizacji, o niezłomnych nigdy pracach skrzętnych onego mrowiska ludów, co tu zamieszkały od przedhistorycznych czasów.

Chiny, to świat oddzielny i w sobie zamknięty; ścisnęły go granicą prawie nieprzebytą i duchowe i materialne potęgi. Ku północy wzdęły się wierzchowiny martwe, milczące podbiegunowej Azji; z zachodu i z zachodniego południa wzbily się w obłoki twierdze alpejskiej natury, obiegając stromym okopem kraj; od wschodniego południa i wielkiego wschodu głębokie oceanów zastąpiły od świata. Wszak to są one najogromniejsze zlewiska wód całego ziemskiego planety; wszak to ten morski świat Spokojnego Oceanu, co szerzy się w daleką dal, bo aż pod obie Ameryki. Lecz zważ, że ta nowa

część świata zwróciła się przodem ku Europie, bo biegiem swoich rzek i wyspami i całą rzeźbą geograficznego swojego ukształcenia; a przeciwnie zwróciła jakby nice swoje ku Chinom, ku „Spokojnemu Morzu“, pokazując mu jedynie brzegi bez odnóg, bez grona licznych wysp i bez rzecznych prądów.

Na tych przestrzeniach bezmiernych chińskiego świata rzeki potężne, niby tętna olbrzymiego ciała, zwaliwszy w poniża wody swoje, toczą się wspaniałym pochodem, i, zanim przepadną w morskich toniach, snują się po obszarach, zbogaconych pracą natury i własnym krwawym trudem człowieka. Ale jak te rzeki grają wiecznie jedną i tą samą pieśnią wartu swojego, tak i życie tutaj płynie wiecznie tą samą falą, tak i historia tutaj zawsze jedna i wiecznie ta sama. Tu od tysięcy lat krząta się trzysta milionów jestestw rozumnych, i krząta się i pracuje pilnie, nieznękanie, jakby pszczelnik ludzkiego rodu; ale od lat tysięcy, jak w pszczelniku, powtarza się wiecznie ta sama praca, ten sam trud i znój bez odmiany, bez cofania się, bez postępu! Tu nawet echem nie dobiegła wieść o rodzeniu się, o kochaniu narodów, o ich walkach i wieńcach ich sławy; tu cicho i głucho o tém wszystkiém, na co sobie zapracował świat, czego się dośłużył długowieczną męką historii, co z głębin duchowych z boleścią na jaw wyważył. Tu nie dobiegła wieść o weselnych tryumfach, o łzach i rozpaczach stuleciów całych. Chiny stanęły same o sobie. Ztąd piętno oryginalności wybite na całym tym narodzie; a piętno to tak jest silne, przeważne, że obok niego zginęła cecha indywidualna ludzi pojedynczych, że obok niego zatarała się i zbladła różnica, rozdzielająca człowieka od człowieka. Nieublagana, niewidoma, demoniczna moc zrównała tutaj, jakoby strychnulcem, ludzki ród. A jak wszędzie znajdziesz tu wargi napuchłe, nosy przyplaszczone, nozdrza zadarte, oczy ukośne, brwi w górę skrócone; tak też znajdziesz tutaj w każdym pojedynczym człowieku ten sam obyczaj i zwyczaj, ten sam smak, dążność i ochotę, układność i myśl. Jak ciało, tak i duch tych wszystkich milionów jest jakby w jedną i tę samą formę wtłoczony; a jak dziwaczny jakiś rodzaj ryb oryginalnością kształtu różnić się może od wszystkich innych rodzajów, a jednak wszystkie pojedyncze ryby tegoż rodzaju nie różnią się między sobą, tak tutaj z człowiekiem się dzieje. Choć cały naród ma swoje właściwe a tak osobliwe piętno, iż w niczém nie jest podobny do innych narodów, toć przecież takie tutaj jest podobieństwo, taka jednostajność między pojedynczymi ludźmi, jak już w żadnym innym narodzie. W Chinach jest tylko rodzaj ludzi, człowieka nie ma.

Inaczej też być może. Ogromne to państwo, odcięte od świata, ślepe, głuche na wypadki historii powszechnej, stęchło, za-stało się w sobie, nie przyjmując nigdy w siebie nowych odradzających żywiołów. A jak jest odgradzone od dziejów obcych ludów, tak i w sobie jednostajne; nie zna, co różnych pierwiastków gra, — nie zna, co ważenie się i mierzenie ich wzajemne. A jak tutaj czło-

wiek nie wyrobił własnej indywidualności swojej, nie wstąpił w głębie własnej istoty, nie wy dobył z niej uczucia siebie; tak też i naród cały, nie mierząc się i nie ważąc z innemi ludami, ugrzązł w zarozumieniu o sobie, nabrząkł pychą i uprzedzeniem uludnem o swoim znaczeniu na świecie.

W Chinach nie ma innéj różnicy przeciwnych pierwiastków, krom różnaitości geograficznych potęg; tu jedynie mierzy się i waży północ i południe, wschód a zachód, wysoczyzny a poniża dolin, wody i suchy — tu jedynie gra przeciwność klimatów. Z téj różnaitości mocy przyrodzonych spadają na lud ten burze powietrzne, powodzie i mór; ztąd wałą się na niego burze i wywroty polityczne, które przecież, nie tykając nigdy dna społeczności, odmieniają tylko dynastye; istota tego państwa zostaje zawsze jedna i ta sama. Chiny płacą te powodzie i mory, burze i zamęty polityczne milionami ludzi; poczem znów wszystko wraca do ładu i porządku, wraca do ciszy, spokoju i pracy.

Duch ten, tak jednostajny i wiecznie tkwiący w miejscu, stosowne też dla siebie odebrał od natury uposażenie kraju. Owa sieć bogata, gęsta rzek, owe roztoczenie potężne morskiego pobrzeża spotęgowały ogół, masę całego ludu, ale nie tknęły się rozwoju pojedynczego człowieka. Ów żywioł wodny jak wszędzie tak i w Chinach rozniecił wczesnie potrzeby i ochoty a żądze zmysłowe, parł do przemysłu, handlu, wynalazków, wyćwiczył udatności do ręcznej pracy, do rzemiosł i wyrobów, a rozwinał te dążności umysłu do tego stopnia, jak już w żadnym innym kraju na świecie (*). Jednostajność bowiem chęci i ta wspólność kierunku umysłowego sprzęgły twardo te wszystkie niezliczone miliony do wspólnej pracy, a tak dokonały się dzieła mechaniczne, o których już gdzieindziej nie słyhać. Pomysł sobie ów kanał „Cesarski“, co tysiąc stóp szeroki, co rusza bez przerwy przez bagna i zatoki, góry i doliny, i co tak długi, iżby połączył Bałtyk z morzem Czarném; lub chciej przywieść sobie na pamięć ów sławny mur chiński, głośny na świat cały; wszak w nim jednym więcej cegieł, niż we wszystkich domach całej Anglii i Szkocyi, a tych domów przecież ze dwa miliony! Albo pomnij na owe olbrzymie mosty o trzystu filarach ciosowych! Zważ jeszcze, że Chińczycy wynaleźli proch, druk i igłę magnesową — więc trzy ogromne czynniki ludzkiej historii, — a wynaleźli je wtedy jeszcze, gdy się o nich nawet nie marzyło Europie.

Lecz pytasz, co się tu dzieje z potęgami ducha? czémże jest tu człowiek, co stworzony na podobieństwo Boże? w jakiej się postaci objawia sztuka piękna, czém jest jego artystyczna fantazya, a czém fantazya powszechna ludu tego? — Rzuć okiem, choćby w polocie, na obyczaj i zwyczaje, na zabawy, na religię i prawa tego ludu,

(*) Ritter, Erdkunde T. IV. str. 726. — Herder „Ideen“.

a zajrzysz w serce samo duchowi, co tu włada, i zgadniesz, czy to anioł jasny, czyli ciemności demon, który tu zasiadł na panowaniu i rządzi losami tych nieprzebranych milionów.

Tłumnie, szumnie, huczno, gwarno na ulicach Kantonu. Cisną się, tłoczą bazarze, komedyanty, przekupnie, olejkarze, śpiewacy, a każdemu czegoś bardzo śpieszno, każdy biegnie lekkim kłusem, rzadko który się zatrzyma; śpieszą i biegną i gwarzą a śmiejąc się wrzeszczą. Cisną się wśród tłumów jeźdźcy na koniach, pchają się drażniki, warczą, turkoczą wozy i wózki, przemykają się lektyki. Wśród wrzawy i gwarów głuszących wznoszą się zapachy sprzedawanych kwiatów, olejków, wódek pachnących, dymy kadzideł, odory smażonych ryb, śwędy tłuszczów przypalonych i pieczywa wszelkiego rodzaju. Po obu stronach ulicy ściany domów biją połyskiem tak świecistych pokostów, tak błyskotném szkliwem, iżbyś rzekł, że niektóre z tych domków są szczerolote; u góry kryją się dachy wywijane, zadarte, o dzwonekch ruchawych, z węzem lub smokiem straszliwym po rogach. W domach rozwarte na oścież sklepy bogate, na sklepach napisy o barwach jaskrawych, żarzących, złocistych; kołyszą się latarki wielobarwne o fantastycznych przeróżnych kształtach. A w sklepach świecą towary kosztowne. Tu sprzedają wytworne szale jedwabne, lśniące haftów przepychem, tam znowu jaśnieją w słońcu srebrne, złote wyroby przepyszne, ondzie znowu składy snycerskie, tokarskie towary; więc szachy misterne, warcabnice w kamienie wysadzone, skrzyneczki, wachlarze, kubki, umbrelki i wszystkie te fraszki i próżniaki, te potrzebki niepotrzebne cywilizowanego, zbytkuującego świata; a robota wszędzie tak sztuczna, tak wykwinna i wyborna, że im nie starczą ani one śliczne, smaczne cacka paryzkie, ani wykończenie wytworów angielskich. A te wszystkie towary chińskie tak bajecznie tanie, że się już trudno oprzeć pokusie.

Choć je atoli tak niby nisko zaceni Chińczyk, ofiaruj połowę, a on się zgodzi i jeszcze doda jakie drobiazgi w przyczynę. Bo tu trzeba ostrożnie z chińskimi kupcami; otumanić kogoś, toć się im zdaje być żywiołem ich powołania, a gdy się poznasz na tych figlach, on się uśmiechnie i grzecznie odpowie, że arcy-rad poznać tak mądrego cudzoziemca! A liczy i rachuje, coś winien zapłacić, na skrzyneczce — w niej druty, na drutach kulki — oto szczoty używane na północnym wschodzie Europy, w Rossyi zwłaszcza, a są chińskim dowcipnym wymysłem, który się tam nazywa Juan-pan (*).

Zaledwieś znowu na ulicy, aż tu opada cię jakiś krzykała i kła-

(*) *Davis, China, T. II. — W. Heine, Wanderskizzen, Allgem. Augs. Zeit. N. 312 335 roku 1853. — Du Halde, Description de la Chine, w tłóm. niem. III. § 2. str. 290.*

dzie ci gwałtem w rękę całą wiązkę adresów, któremi się polecają przeróżne sklepy, sklepy, kramy, rękodzielnie, a między niemi zachwala też roboty swoje szanowny Ling-tszing-fu-zu, malarz portretów, pejzażów, mapp — on nawet i nuty kopiuje. Siedzi w sklepie swoim warkoczny artysta i pracuje, śmiga pędzlem, że aż miło; a z nim razem pracuje z 10-ciu czeladzi. Spójrzij w koło — są tu widoki i całego Kantonu i, ogrodów i domków. Perspektywy ani w liniach, ani światłach, ani w barwach nie szukaj; bo masz wiedzieć, że artysta chiński trzyma się bardzo zdania, że malarstwo winno rzeczy wystawiać, jakie są same przez się; gdy tedy przedmiot jedynie oddaleniem się zmniejsza, skraca, toć jest złudzeniem oka, więc kłamstwem, które nie warto, by było uświęcone sztuką piękną! Nie ma też tu na tych obrazach cieniów. Niechaj pan Ling-tszing-fu-zu obaczy portret przez europejskiego artystę robiony, toć on, jako i wszyscy jego chińscy koledzy, widząc cienie i światła, zapytają się z podziwieniem: czyli rzeczywiście żyjący oryginał obrazu tego miał jedną stronę twarzy ciemniejszą a drugą jaśniejszą? Albo też, patrząc na cienie, uważają je za plamy pochodzące z uszkodzenia obrazu. Prawda, że ongi i sama Elżbieta angielska kazała się także malować bez cieniów, ale to uczyniła z czystej życzliwości dla swoich poddanych; chodziło jej o to, aby oni mogli bez przeszkody podziwiać pleć białą swojej dziewiczej królowej! Zato z najściślejszą dokładnością odrysowane są karty geograficzne; możesz się nawet zupełnie zdać na liczby, wyrażające głębie wody na mappach morskich. Patrz atoli, jako nasz artysta maluje ptaki, kwiaty i rybki! On policzył piórka na ptaszku, wszystkie cętki na roślinach, policzył i zmierzył liście kwiatów i łuszczyki na rybach, a tak wiernie, skrupulatnie, pracowicie kopiuje, iżbyś rzekł, że najdrobniejszej drobnostki nie opuści; ten artysta to istny dagerotyp w postaci żywego człowieka! A jakież wyborne jego farby olejne, jakie wyborne płótno, jakie doskonałe techniczne wykonanie! Jeszcze też śliczniejsze, świecistsze obrazki malowane na chińskim papierze; a jakie to tanie! za kilkanaście złp. dostaniesz tuzin pomniejszych obrazów, lub jeden wielki na kilku stopach kwadratowych; a gdy troszkę się potargujesz, to artysta doda i ramy lakierowane; gdy zaś zakupujesz same ramy, zapłacisz tę samą prawie cenę; ale potarguj się trochę, a doda w przyczynku i obraz do ram kupionych! (*)

Pożegnawszy artystę, radbyś teraz dalej puścić się po bruku ciosowym, wybornym tych ulic zamętnych; ale to szczere niepodobieństwo! Zaciął się ruch tłumu na ulicach — cały sznur i pieszych i konnych, wózków, wozów i lektyk nagle się zatrzymał. Cóż się stało? Oto jakiś jegomość jadący ujrzał znajomego sobie śpieszą-

(*) W. Heine l. c. N. 312.

cego piechotą; więc zeskoczył z wozu, więc grzeczności, więc komplementa.

Pierwszy Chińczyk: Jakąż szczęśliwością błogą świeci oblicze twoje, o ojcze!

Drugi Chińczyk: Jest to, szanowny doktorze, blask szczęśliwości twojej, który spływa na twarz moją.

Pierwszy Chińczyk: Czyli szczęśliwie kwitnie Jesion i luby Klon?... i t. d.

Masz wiedzieć o tém, że wyrazy „ojcze!“ „doktorze!“ są w Chinach najwyższą grzecznością, którą powiedzieć można; a jesion znaczy ojca rodzonego, a klon znaczy matkę. Przecież nie na tém kończy się dobre wychowanie obu tych ichmościów. Pierwszy składa ręce, błagając by „ojciec“ siadł z nim do pojazdu, drugi zaklina się, że tego nie uczyni nigdy; na to pierwszy oświadcza uroczyście, że nie ruszy z miejsca póki nie będzie miał z sobą przyjaciela. Drugi przysięga, że ani siedzie, ani pójdzie drogą, póki szanowny „doktor“ nie pojedzie. I dalej nowe frazesa, ukłony, ofiarowania służby swojej, i afekta, grzeczności i formuły, a tu cała ulica zapchana czeka a czeka cierpliwie i uprzejmie, choć się jakoś na dęszcz zbiera (*). Bo wiedzmy o tém, że nie ma już ludu na całym świecie, co by tak przestrzegał form grzeczności jak Chińczyki. W końcu przecież jakoś przeszorowała się ulica; kłab ludzi się rozgmatwał. I wielki bo też czas, bo zdaleka słychać straszny gruch w kotły, w bębny; widać nad tłumem ulicznym wzniesione umbrety jedwabne, proporce, chorągwie olbrzymie; na nich malowane żółwie skrzydlate, smoki, węże i inne poczwary; a niosą na kijach wysokich deski czerwone, na deskach wypisane długie tytuły i godności zbliżającego się dygnitarza. Fraszka atoli umbrety, proporce, żółwie, smoki i napisy; najwięcej powagi dodają mu pacholki krępe, barczyste, niosące zapasy bambusów (**). Otóż i sam Mandaryn, sam Tsong-tu pulchny, okrągły i tłusty sobie pan; niosą go w złocistej lektyce; śliczna na nim długa wyszywana suknia; znać, że on mandarynem 5-go stopnia, bo na léjkowatej czapce iskrzy kryształowa gałka, a na piersiach płat sukna, na którym haftowana papuga. Postrach bambusów uciszył ulicę, w koło pusto jakby wymiótł; kto nie zdołał uciec do kąta, stanął kolkiem, bo skłonić się z europejską byłoby zbytnią poufałością (***). Aleć niechajby-no ten tu mandaryn o gałce kryształowej spotkał w drodze innego mandaryna z gałką czerwoną, a choćby nawet z niebieską, widziałbyś, jakby się co tchu wytoczył ze swojej lektyki i znów stanął przed tamtym jak wryty (****). Poniesli go nakoniec, — i znów pełna ulica gwarną, krzykliwą ciżbę; odechnął

(*) China histor. romant. maler. Zeszyt VII.

(**) China histor. romant. maler. Zeszyt VII.

(***) *Du Halde* l. c. T. II, str. 37 — 39.

(****) Obacz *du Halde* l. c. dodat. 258.

każdy, bambusy znikły im z oczu, choć nie z myśli. Bo masz o tém wiedzieć, że bambus nie przebiera, że sięga i po najwyższych dostojenstwach; ani dworzanin zamożny, ani mandaryn, ani dowódzca wojskowy nie jest wyjęty z pod bambusa. Za lekkie uchybienia nawet spada karą bambus; co więcej, karze on nawet za winy przeciw moralności, które u ludów chrześcijańskich zostawione są sumieniu i uczuciu honoru. Jakoż znajdziesz w prawach chińskich jakby taryfę bambusów. Przytoczę ci choć kilka przepisów: 1) Naczelnik bióra, przedstawiający niegodnych na wyższe stopnie, bierze 80 bambusów. 2) Sługa, hałasujący w obejściu cesarskiego pałacu, 100 bamb., a pan jego 50. 3) Kandydat do urzędu, jeżeli się źle popisie na egzaminie, 40 bamb. 4) Sędzia, nie stosujący się do przepisów na miejscu zbrodni, więc niby przy visum repertum, 100 bambusów. 5) Jeżeli jaka kobieta frymarczy solą, wtedy mąż jęj bierze 100 bamb. 6) Kto, siadając do stołu, zasiada powyżej starszego, 5 bamb. 7) Lekarz, piszący złe recepty, 100 bamb. 8) Mąż zalotny, kochający żony uboczne więcej niż prawą małżonkę, 80 bamb. (*) Słowem bambus jest tutaj perpendykulem świata. Przecież nie jest on znowu tak straszny, jak się z wierzchu wydaje; nikt go też sobie nie bierze zbyt nie do serca; bo najprzód kara ta nikomu nie ubliża, nikt dla otrzymanych bambusów nie traci na czci publicznej ani na poważaniu powszechném; jest szanowany jak dawniej, urzęduje sobie jak dawniej z całą powagą i uroczystością, słowem jest sobie tak podobny jak pierwój (**). Bambus jest niby napomnieniem, karceniem ojcowskiem, niehańbiącym wcale. Następnie zważ, co nie mało znaczy, że skazany na bambusy może i nie być obecnym osobiście przy wykonaniu wyroku; bo są tacy, którzy z powołania swojego chętnie go wyręczają i zastępują miejsce jego, byleby im, jako słuszną, dobrze zapłacił; a ci ichmoście tak sobie też zwinnie poczynają, że zanim się spostrzeże sędzia, przytomny przy egzekucyi, już po wszystkim; kara jest wymierzona, nie doszedłszy atoli swojego właściwego adresu; albo też sędzia, podarkiem ugłaskany, patrząc w inną stronę udaje, że nie spostrzegł zamiany osoby. Bo też nigdzie przekupstwo urzędów tak nie grasuje jak w Chinach. Powiadają, że wyręczyciele a zastępcy takowi na tych antreprzyzach robią dobre interesa, zbierają wielkie majątki (***).

Nie ma czemu tedy się dziwić, że na ulicach miast chińskich tak ludnych, tak tłocznych, wszyscy przecież tak grzeczni są, cierpliwi; nikt drugiego nie traci, nie szturchnie, nie obryzga, bo na byle hałas jakby ze ziemi wyskakują policyanty, godząc po swojemu właśnie i kłótnie (****).

(*) *Tymkowski, Podróż do Chin* — T. II. str. 42 i nast.

(**) *Du Halde i Grossier, De la Chine*, T. V.

(***) *Du Halde* l. c.

(****) *Choix des Lettres édifiantes écrites par des Missions étrangères*. T. I. str. 32 i nast.

Zaiste, patrz, jak teraz co żywe śpieszy się w tamtą ulicę, każdy radby być pierwszy, a przecież mimo tłoku nie ma swarów i szturchanćców; wszyscy rzucają się tłumnie ku owemu budynkowi z drzewna, co, od niechcenia i ladajako postawiony, teraz roztwiera wrota swoje, by przyjąć ciżbę krzykliwą. To teatr! Teatr, jaki prawie na każdej ulicy chińskiego miasta widać; w samym Pekingu jest kilkaset trupp aktorskich; więc też sobie grają od rana do wieczora, bo już nie ma drugiego narodu, któregoby paliła taka mania do widowisk scenicznych! (*) Gdy zamożny Chińczyk wyprawia ucztę u siebie, wtedy do sali jadalnej wstępują zamówione aktory; dyrektor ich klęka przed gospodarzem domu, podając mu do wybrania spis sztuk, jakby swoje repertoryum teatralne; poczem popisuje się swoim talentem scenicznym.

Nie myśl atoli, że ta namiętność do teatru wpływa tu na rozwój i ukształcenie sztuki, — bynajmniej; widowiska dramatyczne są dziś na tym samym stopniu, na jakim były lat temu kilkaset; aktory, to pozganiana hołota, co chwilowo puszcza się na komedię, potem rozlatuje się włóczęgą na wszystkie wiatry. Z nich nikt nie czyni sobie powołania ze sztuki dramatycznej, a do dziś dnia nie przyszło tam do stałej trupy, do stałego teatru; a przecież bez tych dwóch warunków nie ma sztuki scenicznej. Wszystkie budynki są mniej więcej jak ten, który tu przed sobą widzisz; jestto niby buda jarmarczna, mogąca być w chwili złożoną, w chwili rozebraną; kilka krokiew i desek, to cały materiał. We wnętrzu, na słupach ośm stóp wysokich, wznosi się scena, pokryta lekkim, wykreconym dachem; naprzeciw niej łoża ogromna dla dam; po prawej i po lewej inne dla płci niepięknej. Tu zasiadły wielobarwne mandaryny, co miłą się do siebie jedwabnym słówkiem i częstują się herbatą, słodyczami i słodkawami grzecznościami. Przestrzeń między łożami a sceną zajęta jest, jak u nas, parterem. Ależ ten parter wiecznie jest ruchawy niby fale morskie. Bo później przybyli tłoczą się naprzód; ci zaś, co już bliżej sceny, opierają im się z całych sił. Gdy zaś tamci, stojący u drzwi, przemogą, już publiczność, stojąca przed samą sceną, znajdzie się nagle pod podłogą teatru i, zamiast dramatu, widzi pale i słupy; ale gdy się jej uda wziąć górę i przeprzeć najezdników, już widzowie, stojący w sąsiedztwie drzwi, znajdą się znienacka na ulicy. Nie ma się więc czego dziwić, że ten lub ów zuch spina się po słupach do wysokości łoż i ztamtąd patrzy się i na widowisko i na tłum poziomy, co pod nim szumi i huczy. Bywa też, że czasem jeden z urzędników, przeznaczony do pilnowania porządku, sam skuszony miłością do teatru, wylezie tym trybem nad publiczność, oddaną mu w dozór. Przecież uciecha niedługa; wszystkie te wypadki przewidywane; znajdzie się inny dygnitarz służbisty z bambusem tak dłu-

(*) *Lay, The Chinese as they are.* Rozdz. XI.

gim, że i na wysokościach znajdzie winowającą-amatora; więc wykrzyk! poczem chybko spuszcza się biedak na ziemskie niziny, — i znów cicho i porządnie (*).

Ale już krzaka orkiestra, słychać tony! Spójrzij na narzędzia muzyczne a zgadniesz okropności, jakie cię czekają. Skrzynki o jedwabnych strunach, darte żwawo smyczkiem, burczą i warczą; wtórują im cymbalki z drutów, bite niemiłosiernie pałką z bambusu; wrzeszczą klarnety krajowego wynalazku, piszczą piszczalki, brzęczą gitary, chrypią flety; dalej jeszcze trąby, dzwonki i bębny pomagają do strasznego hałasu. Im przeraźliwsza muzyka, im krzykliwsza, tém ona cudowniejsza dla chińskich znawców. System muzyki u Chińczyków nie ma wyobrażenia o półtonach, a tém mniej o kontrpunktach; wszyscy w najszcześliwszym razie grają unisono, a jak się już bardzo wysadzą, to jedni odzywają się o oktawę wyżej lub niżej od drugich; harmonia zdaje się im być chaotycznym nieładem (**). Wierzyłbyś tedy, że to w Chinach miała się najprzód urodzić muzyka! że Konfucyusz, układając śpiewnik swój, dobierał nuty z trzech tysięcy starych pieśni! że ten pięciotonowy system muzyki znany jest w Chinach od półpięta tysiąca lat, że miał przywędrować w poprzek Azji aż do mglistych gór Szkocyi, kędy się po dziś dzień przechował w śpiewach górali! (***) A przecież muzyka jest w wielkiej czci u Chińczyków; miło téż było czytać, jako po ukończeniu ostatniej wojny z Anglią, chińscy generałowie, zaproszeni na ucztę na okrętach angielskie, przy kielichach kolejnych na wyścigi śpiewali z gospodarzami swoimi. Sami marynarze angielscy przyznają, — a to nie mało znaczy, — że śpiewy nie były bardzo wdzięczne i dźwięczne, ale za to tak potężne, że się okna okrętowe trzęsły.

Lecz kortyna się porusza, podnosi się. — Występują na scenę dwa ogromne smoki, z całą uroczystą powagą wysuwają się naprzód; teraz kłaniają się mandarynom po prawej, potem mandarynom po lewej stronie. Bo w Chinach nawet smoki znają uszanowanie dla dygnitarzy! Stały już smoki nieporuszone. Teraz zjawia się na scenie księżyc w okazałej pełni i śmiało staje wśród onych smoków straszliwych; smoki przypatrują mu się zjadliwem okiem, obchodzą go w koło, mierzą go, rozdziwiają paszcze; znać wyraźnie, że ra-deby go połknąć, ale w końcu ze wstydem poznają, że to rzecz niepodobna. Więc ukłoniwszy się mandarynom, siedzącym po prawej stronie, potem mandarynom po lewej, odchodzą „skonfundowane“ na

(*) *Davis* l. c. Rozdz. XVI.

(**) *Davis* l. c. T. II. Rozdz. XVII.

Lay l. c. Rozdz. XVII.

Klaproth, *Asiat. Mag.* I.

Du Halde T. III, § 2, 285.

(***) *Fink*, *Wandelungen der Tonkunst*. Rozdz. VIII i nast.

wielką pociechę i radość całej publiczności. Księżyc zostaje jeszcze przez chwilę na miejscu, spokojny, pełen sprawiedliwej a zacnej dumy; w końcu, w uczuciu odniesionego zwycięstwa kłania się poważnie i odchodzi. Zaslona spada. — Wtedy z łóż, z parteru, z góry i dołu, z przodu i z tyłu teatru hukną oklaski; każdy z całego gardła: woła Hao! Hung! Hao! co znaczy po naszymu: Brawo! Brawo!

Chciéj baczyć, że tak w Chinach, jak i na całej północy Azji panuje mniemanie, że zaćmienia księżycowe ztąd się rodzą, że dwa smoki napadają na księżyc chcąc go połknąć, lecz że ten planeta zawsze się jakoś szczęśliwie wywija z niebezpieczeństwa. Warto téż pamiętać, że astronomowie zwykli nazywać smokiem tę przestrzeń nieba (caput et cauda draconis) w której się zdarzają zaćmienia księżyca i słońca.

Nie ma kraju gdzieby nauki w ogólności tak były czczone jak w Chinach; nie ma literatury tak bogatej w książki, jak chińska; nauki niby prowadzą do najwyższych dostojeństw, a przecież nie ma w nich postępu. Tutaj zaiste zegar ludzkiego rozumu stanął.

Tak i astronomia od wieków jest uprawianą i czczoną u Chińczyków. Przecież im zawsze trudna sprawa z kalendarzami bez pomocy europejskich misjonarzy. Cesarz Xun tak wielce szanował te umiejętności, iż ze szczerego złota i dyamentów sprawił sobie kulę niebieską; chował nawet na dworze swoim dwóch astronomów, z których jednemu było na imię Hi, a drugiemu Ho. Ci zacni panowie, zamiast patrzeć nieba, patrzali szklanek, nie zapowiedzieli tedy zaćmienia słońca. Cesarz Xun przeto wydał wyrok: I-o Zakazując astronomom pić wino. II-o Nakazując ściąć głowę astronomom Hi i Ho.

Wystąpiłeś znówu na ulicę, znówu ścisk i hałas; oddział wojska się zbliża! Każdy, jak może, przytula się do ścian domów. Na czele dowódzca niesiony w lektyce bogatej. Dziwny to widok, ci rycerze! nie ma ani ładu, ani składu, ani karności w tym ich marszu. Każdy z żołnierzy, prócz fuzyi, niesie jeszcze pikę długą, a krom tego trzyma parasol od słońca i deszczu! a na dobytek każdy dźwiga jeszcze latarnią! (*) A jakież to karabiny, jaki to dopiero tryb strzelania u nich! Jeden żołnierz trzyma rusznicę i niby mierzy, poczem odwraca głowę; potem przystępuje do niego drugi i palący lont przytyka do panewki. Zrozumiesz, iż nie trudno było téż Anglikom w ostatniej wojnie dać radę tym biedakom. Zważ jeszcze, że gdy to wojsko ma pomaszerować choćby tylko na jedną milę piechotą, by się nie „sfatygowało“, siada na wozy; toż samo czyni konnica; i ona odprawia pochód na wozach, bo jazda konna zbyt męczy kawalerzystów; konie tedy idą luzem, a co więcej, kulbaki i całe ubranie koni także ładuje się na wozy, by się te rumaki nie męczyły zby-

(*) Journal des Débats, miesiąc Lipiec 1853 r.

tnie (*). Gdy tedy 300 żołnierzy puszcza się w pochód, trzeba im z tysiąc ludzi do podwód. Jaka piechota i jazda, taka i artyllerya. W ostatniej wojnie angielskiej działa chińskie pękały wśród bitwy, a tak szkodziły więcej własnym kanonierom niż nieprzyjaciółom; z 91 armat zdobytych przez Anglików, jedna była tylko do użycia, a ta była roboty europejskiej, i z téj jednej właśnie trwożliwi Chińczycy nie śmieli dać ognia (**). A przecież oni to wynaleźli proch! — i znali go już wtedy, gdy się jeszcze Europie ani śniło o Szwarcu mnichu!

Przepchało się już około nas to wrzekome, nieboże wojsko, i zwraca się w ulicę główną, kędy zdaleka coś sterczy nad głowami; dwa słupy wkopane w ziemię, połączone u góry dwiema poprzecznymi belkami, z których wierzchnia pokryta dachem wywijanym chińskim; i tu smoki dla ozdoby i dzwonki; a wszystko to pomalowane na czerwono; na belce poprzecznej napis złocisty. Tamtędy ciągnie wojsko. Te belki pionowe i poprzeczne, z dachem wywijanym, z dzwonekami i z napisem, to brama tryumfalna postawiona na uczczenie jakimś mandarynowi za zasługi cywilne lub wojskowe. Jeżeli ktoś bardzo i bardzo się odznaczy geniuszem i poświęceniem się za sprawę publiczną, wtedy budują mu jeszcze wspanialszą bramę, bo zamiast dwóch, wkopują w ziemię rzędem cztery kije; tak tedy brama taka ma aż trzy wchody, które wszystkie malowane na czerwono.

Poznałeś tedy już jeden przykład architektury monumentalnej Chińczyków.

Radbym ci jeszcze pokazać jaką bożnicę; ona może jeszcze jaśniej nam wyjawia, co się dzieje w głębi duszy tego dawnego a tak osobliwego ludu; nie braknie ich na przedmieściach i w najbliższej okolicy Kantonu.

Po drodze przypatrz się tym różnym gruppom, co tu i ówdzie, już stojąc, już siedząc, bawią się pod cieniem olbrzymich drzew. Tu przysiadło do ziemi grono starców poważnych, brodatych, prawie każdy z nich patrzy przez olbrzymie okulary; zapewne radzą o ważnych sprawach kraju, o rzeczach ciężkiego znaczenia, o tém, co cieszy, lub co boli na sercu. Bynajmniej — jeden z nich cmoka się z papugą, drugi ręką chwyta muchy, trzeci każe chrapaszczom koziołki magać, a kilku chłopców poważnie się przypatruje tym zatrudnieniom ojców swoich (***). Na ogolonych głowach tych chłopaków widać pełno blizn i ran głębokich — są to ślady miłości ich ojców i dowody przestroż, których nie szczędzili, wychowując synów swoich (****). Nieco dalej stanęło w kółko towarzystwo liczniejsze

(*) Journal des Débats. miesiąc Lipiec 1853 r.

(**) Neumann, Gesch. des englisch-chinesischen Krieges, str. 154. (Drugie wydanie tego dzieła wyszło w r. 1855. St.)

(***) Davis l. c. T. I, str. 321 i nast.

(****) W. Heine l. c. N. 339.

— słyhać krzyki radości — znów się uciszyło; otóż oni zajęci zabawą wielce ulubioną w Chinach. W środku kółka miejsce puste i tutaj, niby na arenie, walczą z sobą dwie do kości wychudłe, wymorzone kuropatwy; wygłodzono te zwierzątka do ostatka; teraz postawiono je naprzeciw siebie, kładąc między biedne ptaki ziarno ryżu; więc one o to ziarno biją się i dziobią i ranią i trzepocą; arena pokryta mnóstwem wytarganych piórek (*). Podobnie też zabawą tu powszechnie ukochaną są zapasy dwóch świerszczów; Chińczyki póty je drażnią, póty dokuczają biednym tym żyjątkom, póki one nie rzucą się na siebie zjadłą walką, która też kończy się utratą członków lub życia jednego z zapasników drobnych. Tuż obok tej grupy stanął strzelec; zapewne to on dostarczył kuropatw owych; teraz trzyma pod pachą dużą czapkę, skrepował jej boleśnie skrzydła, i, aby się nieszcześliwy ptak nie mógł mścić dziobem, oślepił go przewłókszy słomkę przez powieki dolne i przewiązawszy mu ją na głowie (**).

Jeżeli prawda, com rzekł w jednym z pierwszych listów moich, że łatwiej poznasz, czém kto jest i co wart, z tego jak się bawi, niż z tego jak pracuje, tedy wyznasz, że te zabawy Chińczyków, tak okrucieństwa pełne, odsłaniają nam zaiste smętne, nocne wnętrza tego ludu. Mniemam, że stowarzyszenia, zawiązujące się teraz po wielu krajach w celu rozszerzenia uczucia litości dla zwierząt, są świetniejszym dowodem ucłowieczenia się Europy i zaiste wyższą dla niej chwałą, niż wszystkie koleje żelazne, banki i maszyny parowe, razem wzięte. Śmiałbym powiedzieć, że sposób obchodzenia się ze zwierzętami, okazuje jawnie stosunek człowieka do Boga, do Stwórcy wszelkiego życia.

Widzieliśmy zabawy Chińczyków, obaczmyż teraz jak się modlą Bogu.

Właśnie niedaleko od tej grupy widać świątnię, czyli raczej zbiór świątnic to większych, to mniejszych. Całe obejście otoczone murem. Wchodzimy najprzód na podwórze pierwsze; tu rozpoczyna się już droga podwyższona nad ziemię, a wysadzona płytami granitu. Ta droga biegnie w prostą linię na przestzał, przez środek całego zakładu; na nią widzisz rząd bożnic w różnym od siebie oddaleniu, a znajdujących się na różnych dziedzińcach kratami od siebie odgrodzonych. Na pierwszym owym podwórzu zbudowane dwie świątynie; owa droga ciosowa przechodzi je na wylot, a tak czyni z nich niby rodzaj przysionków. Na drugim dziedzińcu widać inne świątynie, które ta droga z obu stron okrąży, tworząc jakby taras, poczem ciągnie dalej w linię prostą ku następny dziedzińcom i innym świątyniom. Od czasu do czasu, z lewej i z prawej, widać drobniejsze

(*) Heine l. c.

(**) Heine l. c.

świątnice, oddalone od tej głównej drogi, lecz połączone z nią podobnie ścieżką wysoką i również wykładaną granitowemi płytami. Uważ jeszcze, że niektóre z tych budynków są podwyższone; do jednych wstępuje się po kilku, do innych po kilkunastu stopniach. Każda z nich ma cztery wchody, bo po jednym na każdej stronie, wyjąwszy ostatnią, która ma tylko jeden wchód. Wszystkie pokryte owym znanym nam dachem chińskim, zadartym, wywijanym; dach spoczywa na słupach to kamiennych, to drewnianych. Słupy połączone są lekkim drewnianem przezroczystem przepierzeniem, najczęściej złożonem z łąt, we wzorki strojne, zgrabne. Wszak te wrzekome ścianki sięgają tylko do połowy wysokości słupów, a tak nie braknie światła we wnętrzu świątnicy. Dach, słupy i ścianki powleczone w barwy świeże, jaskrawe, świeciste pokostem, często i gęsto błyszczą bogatą pozłotą. Wykonanie techniczne wszystkich szczegółów jest prawdziwie wzorowe; znać, że to rzemieślniki wyborne, pracowite.

W pewnem oddaleniu stoja jeszcze na uboczu domki, zapewne mieszkania kapłanów; widać jeszcze małą sadzawkę, studnię, pojedyncze drzewa; a to wszystko umieszczone symetrycznie, skłladnie i ładnie.

Na stopniach jednej z tych świątnic siedzi starzec z miną dobroduszną; jakaś mu błogość na sercu; patrzy przez olbrzymie okulary tak wesoło i spokojnie na świat, że aż miło, a trzyma pod pachą książkę. Słuchaj, on śpiewa, a śpiewa sławne słowa, pełne zachwycenia, mędrca Tin-ki-szi:

O jakim szczęśliw żem się w Chinach rodził!
 O jakżem jest szczęśliwy!
 Mam dom, w którym sobie mieszkam!
 Mam sobie co jeść, mam co pić!
 Mam wszystkie życia wygodki!
 Mam i suknie, mam i czapki!
 O jakież błogie szczęście stało się udziałem moim! (*)

Te wyrazy są najpopularniejsze w Chinach, powtarzane są przez miliony serc, bo są wyrazem ogólnego przekonania. Zbliża się staruszek, spoglądając na nas tak figlarnie przez okulary swoje i wita słówkiem uczciwem „Czing-czing“ co znaczy: dzień dobry. Zagadniony, by nam przecież udzielił jakiś ustęp z onej grubej książki, roztworzył uroczyscie i czyta: „Najuczeńsi mężowie są zdania, że stolica rozumu ludzkiego jest w żołądku“; osobliwa to filozofia tej książki! zwłaszcza iż wiadomo, że inni mędracy chińscy są zdania, jakoby rozum w sercu mieszkał (**). Nasz staruszek ofiaruje her-

(*) Davis l. c. I, str. 267.

(**) Davis l. c. I, 322.

bate w maluchnych filiżankach; herbata przewyborna, choć bez cukru i śmietanki; potem z wielkim ceremoniałem a po różnych korowodach wykwinętej grzeczności, przyjąwszy drobne cygaro chińskie, zaprasza cię do odwiedzenia wnętrza świątń (*). Obiecuje wszystkie pokazać, krom ostatniej.

W każdej z onych dwóch wstępnych świątń znajdziesz po cztery bożyszcza; bałwany te są ogromne, bo do 30 stóp wysokości, ohydne brzydaki, zwłaszcza jeden z nich, niby wojak groźny, patrzy się gniewnie na przechodniów, trzymając miecz olbrzymi w ręku.

Następne świątńce są prawie zupełnie między sobą podobne; w każdej bożyszcze sążniste, a obok niego dwa pomniejsze. Któż nie zna tych chińskich bałwanów, które ongi tak często to z porcelany, to z kamienia wyrabiane, spotykano na kominkach w elegancznych salonach zeszłego wieku? lub te figury brzuchate, z miną dobroduszną, jowialną, o długich harcapach, jakby mrugające oczkami? Otóż takich bożyszców tutaj więcej, niż onych straszliwych, groźnych brzydaków. Przed nimi ołtarze dziwnie wystrugane, stoły gotowe do przyjęcia ofiar, które na nich ludzie nabożni składają; w każdej bożnicy kadzielnica ogromna, z niej wznoszą się dymki pachnące. Przy ścianach zasiedli kapłani, czytając, pisząc i pamiętając o podsycaniu dymów wonnych.

Patrz, w jednej z tych bożnic kłęczy na kobierczyku kobieta. Twarz bardzo szeroka, a nosek, usta, oczy niezmiernie małe, więc całe oblicze jest jakąś próżnią, jakimś pustkowiem, niby bez wyrazu, czegoś mu brakuje. Jest to typ twarzy chińskiej, który mianowicie jest widocznym u niewiast; bo u mężczyzn broda i wasy zasłaniają te pustki rozłożyste. Wszyscy atoli przyznają, że mimo tego wszystkiego, gdy uśmiech kobiety ożywia jej oblicze, już ono nabiera wiele serdecznego wdzięku. Jeszcze atoli mocniej się zdziwisz, gdy się twarzy tej pani z boku przypatrzysz. Profil dam chińskich jest iście uderzający, bo cała część środkowa twarzy, więc część między brodą a czołem, nadzwyczaj w tył cofnięta (**). Nie jeden z europejskich wędrowców, zachwycony urokiem damy chińskiej, stracił ułudę swoją i przekonanie o jej piękności, gdy twarz jej przypadkowo z profilu obaczył (***).

Ta pani, kłęcząca na pleciance, należy zapewne do zamożniejszej warstwy społeczeństwa chińskiego; znać to po tych nóżkach małych, potwornych, skrupowanych jakby w pięść. Wszak to od piątego roku życia zaczyna się ta bolesna operacja; pęty ścisną ją tę nogę, pęty sznurują stopę, wywijając pod podeszwę palce, póki życie nie odrętwieje, póki ta część ciała tak cudnie przez naturę utworzona nie

(*) *Heine* l. c. N. 312.

(**) *Lay* l. c. Rozd. IV.

(***) *Lay* l. c.

obumrze, zamieniając się na kłab potworny, martwy, bez życia (*). Przyznaj, że Chińczycy mają dziwaczne wyobrażenia o piękności i o wdzięku ludzkiej postaci. Choć, prawdę mówiąc, ani *Wenus Medycejska* ani *Kapitolińska*, które przecież są wyrazem najwyższej piękności niewieściej, nie wciskały się nigdy w te bezlitośne, srogie nowoczesne sznurówki!

Widzisz, ta chińska dama trzyma w ręku puszkę małą, w niej pełno drobnych patyczków, i póty nią wstrząsa, póki jeden z patyczków nie wypadnie na ziemię. Na patyczku litera, tę zapisuje kapłan na boku stojący. Nakoniec już i siódmy patyczek wyleciał z puszki, więc siedm liter zanotowanych. Teraz chwila stanowcza; kapłan zdejmując ze ściany sznurek na którym ponawlekane żółte papierki, na których znowu popisane formułki i jakieś wyroki. Wybiera siedm papierków, niby wedle liter owych, i układa z nich wróżbę, niby kabałę po naszymu. Późem dama bierze kadzidło obwinięte w skrawki papierowe, zapala je i zatyka przed bałwanami; dym rozplywa się wonią po świątnicy. Potem jeszcze pali papierki pozłacane, posrebrzane, i na tém już koniec jęj nabożeństwa (**).

Widzisz tedy, że to nabożeństwo nie jest bynajmniej skupieniem się ducha w sobie; człowiek tutaj nie daje jeszcze posłuchania bożym głosem, odzywając się w sercu jego; ta pobożność cała jest jedynie wykonywaniem mechaniczném czezych ceremoniałów, w których duch nie jest obecnym. Tutaj człowiek żyje cały na zewnątrz samego siebie, więc też cackami, materją bezduszną kwituje się z niebem i z własnym duchem swoim, a tak fraszkami świecistemi wiąże doczesność z wiekuistością, niebo i ziemię. Ale-bo téż tutaj i to niebo jego jest ladajakie! Duch człowieka nie zwrócił się jeszcze ku sobie, nie utonął jeszcze w świętych tajemnicach własnych głębin swoich. Ztąd téż jak nie zdoła odróżnić istoty duchowej od materji, tak nie zdoła poznać prawdziwego stosunku ducha i materji; więc miesza dziwnym zamętem oba te światy i dziwacznie w jego wyobrażeniach pogmatwały się niebo i ziemia, doczesność i wiekuistość. W téj dzikiej atoli chaotyczności dwóch światów przeważają moce zmysłowe, materialne. Czyliż tedy dziwno, iż tam legną się pojęcia, któreby zaiste były komiczne, gdyby nie były tak smutne, i byłyby smutne, gdyby nie były znowu tak śmieszne. Wystarczy, jeżeli wiernie opowiem, co się pewnego dnia przytrafiło Ojcu Le Comte, a powtórzę ci dosłownie wyrazy jego.

„Zdarzyło się pewnego razu, powiada on, że mnie wezwano abym ochrzcił chorego Chińczyka. Był to siedmdziesięcioletni starzec. Jakże wielce jestem wam, Ojcze, obowiązany, rzekł chory, żeście

(*) *Lay* l. c.

(**) *Heine* l. c.

przyszli by mnie z katuszy ostatnich wybawić! Ale wytłómaczę się bliżej. Może wam wiadomo, że od dawnych lat żyję na łaskawym chlebie cesarza. Bonze nasi (kapłani), którzy przecież doskonale wiedzą, co się dzieje na tamtym świecie, zapewniają mnie, że będę musiał odslugiwać się za te łaski za życia doznane, że po śmierci dusza moja wstąpi w ciało konia pocztowego, że tedy będę obowiązany roznosić rozkazy cesarza w dalekie prowincje państwa. Napominają mnie przeto bym, gdy już tym koniem będę, sumiennie dopełniał powinności moich, bym nie wierzał, nie rżał, nie kasał, nie furkał! Kłusujcie żwawo, mówią do mnie, żyrcie mało, bądźcie cierpliwi, a łatwo być może, że bogowie z potulnego zwierzęcia uczynią was jeszcze znakomitą osobą i dostojnym mandarynem! Otóż ta myśl jest dla mnie okropną; drzę cały, dręcę się nocą, męczę się nią we śnie! Zdaje mi się czasem, że już koniem pocztowym, co się wydiera, gdy go postylion biczem zatnie. Jak tylko się obudzę, jestem jakby w łaźni, i nie wiem, czylim jeszcze człowiekiem, czyli już koniem..... Powiadano mi, iż wyznawcy waszej religii nie ulegają takiemu nieszczęściu..... Więc proszę was przyjmijcie mnie do waszej wiary. Wiem, że trudno dotrzymać jej przepisów, ale niechajże już i tak będzie, wolę być na tym świecie chrześciani-nem, niż na tamtym świecie koniem pocztowym“ (*).

Czas jednak, byśmy się od tych uwag i gawęd puscili w dalszą przechadzkę; wszak po za świątynią naszą ciągnie się mnóstwo let-nich pałacyków bogatych mieszkańców Kantonu. A każdy z tych dworów otoczony ogrodem; a w tych właśnie warto przejrzeć się po trochu, bo ogrody zaiste wyjawiają nam dokładnie stosunek każ-dego ludu do natury, a tém samém nastrój duszy jego pod względem sztuki, bo i fantazyja artysty czerpie z natury osnowę swoją. Wstą-piwszy do jednego z tych zakładów, zdaje się zrazu, żeś wśród prze-pysznego angielskiego parku. Doliny miłace się, o trawnikach świe-żych, wonnych, kwiatami przeszywanych; strumienie, potoczki srebr-ną wstążką bieżące po dolinie; a mruczą i wykręcają się kapryśnie po murawie; to znów kryją się pod bukiętami krzewów kwitnących, to znów ciskają się ze stromych skał, a te skały dzikie, fantastyczne wznoszą się chaotycznym nieładem, a grożą i straszą, jakby były dziećmi onych gwałtownych wywrotów natury, które przeszły ziemią. Tu znowu stawy o rysunku grymaśnym; w nich rody ryb i roślin wodnych, ciekawe słońca, wyglądają na świat promienny z chłodnego błękitu kryształowych pałaców swoich. Tam gaik śpiewny uwień-czył pagórek łagodny, a wśród cieniów świeci się domek schludny, wesół a przez strumienie przeskakują od niechcenia mosty sielskie z białej brzozy. Słowem, gdy staniesz wśród ogrodu tego a spoj-rzysz w koło siebie, poznasz, że ogrody, zwane u nas angielskimi,

(*) *Du Halde* l. c. III, — I Oddział § 54.

są czystym wynalazkiem chińskim. Że zaś tak istotnie się rzecz ma, toś mi świadectwem powaga najzacniejszych autorów (*).

Zdawałoby się tedy, że w zakładaniu tych ogrodów kierowała myśl szczęśliwa pomagania naturze, więc potęgowania przyrodzonych jej uroków, więc nie przeszkadzania jej w tej swobodzie, zradzającej różnaitości bez końca; bo to właśnie ta gra ślepego przypadku tworzy jej wdzięki najwyższe. Przecież ośmielał się powiedzieć, że byleś się tym ogrodem i tym opisom ich bliżej przypatrzył, łatwo w nich dowidzisz, jako i tutaj chiński charakter nie odstąpił siebie. Rzekłbym, że naturalność jest tutaj przesadzona, a tém samém przerzucna się w drugą ostateczność, bo w wymuszoną sztuczność. Prawda, że dolinki w tych ogrodach nie są podobne do siebie, że każda jest inna; ale różnica jest tak wymyślna, tak wyrafinowana, że wyraźnie znać, że łopata i taczki były tą przypadkowością, tą igraszką natury. Skały sterczą niby tak strasznym, chaotycznym nieładem, iż łatwo poznasz, że ten nieład jest przygotowany, że ta chaotyczność jest skutkiem długiego namysłu. Nigdy też w naturze zdroj nie wytrysnie z takich skał i takim trybem, jak to widzisz w tych ogrodach chińskich, ani też żaden strumyk, żaden potok w naturze nie biegnie z takimi grymasami, jak te wody chińskie. Otóż tutaj ta chińska natura jest więcej przypadkowa i naturalna, jak natura sama. Tutaj gospodarzy przestarzała cywilizacya, sztuczność wykwintna, co udaje przyrodę i jej prostotę, pełną naiwności, i dla tego właśnie tak jest wstrętne, tak obrzydliwe.

Zgodzisz się zapewne ze mną, że każdy zrozumie, gdy kobieta zechce niekiedy sztucznemi sposobkami przyjść w pomoc mdłym wdziękom, i byleby w tém nie było przesady, toć już nikt tą chętką się nie zgorszy, bo ona tak jest naturalna, tak wrodzona niewiastom, że jest prawie ich powinnośtką; a zważ, że tutaj ta sztuczność i upoetyzowanie odnosi się przecież jedynie do ciała, więc do zewnętrznej strony człowieka, do wierzchu jego istoty. Inaczej wcale się dzieje, gdy kobieta, co poznała świat a tajemne serca dzieje, co oddawna przejrzała stosunki ludzkie, udaje w ruchach i w zmyślonych uczuciach niewinność naiwną i naturalność pełną prostoty młodziuchnej dziewczyny. Lecz prawdziwa naiwność a niewinna prostota pochodzi właśnie z uczuć nieświadomych siebie, z braku osądzenia siebie i świata. Sztuczność przeciwnie jest skutkiem jasnej świadomości własnej istoty i zupełnego ocenienia siebie i drugich; gdy tedy sztuczność takowa zmyśla prostotę i naiwność niewinną, już wtedy staje się wręcz przeciwną sobie samą, i dla tego jest tak wstrętne, tak odrażające. Tutaj nawet zmyślanie nie odnosi się już do zewnętrznej strony, do powierzchowności ciała, ale raczej do wnętrza, do du-

(*) Np. *Abel Rémusat*, *Mélanges Asiatiques* I, dalej *Grossier*, *De la Chine*, Rozd. VI.

szy; tutaj kłamstwo, fałsz gnieździ się w samej myśli. Taka to więc jest, wedle mnie, ta wrzekoma natura tych parków chińskich.

Z tej też przyczyny stokroć miłsze te ogrody Chińczyków, kędy już sztuczność i przymus występuje szczerze i bez maski. W tych ogrodach już drogi brukowane w kafle szklivem błyszczące, strumyki jawną sztucznością ujęte w brzegi wymyślne, a mostki ich złociste, kwiatki sadzone w desenie misterne, nie udają żadnej prostoty. Jest to ten rodzaj ogrodów, które kubek w kubek przypominają te malowania, które u nas spotykasz na wazonach, umbrelach, stoliczkach, obiciach chińskich. Nie braknie też roślin strzyżonych we formy zwierzęce, widzisz tedy krzewy udające jelenie, konie, orły, czaple; i nie trudno o całe stada tych zwierząt, a do tego wszystkiego za wzór chińskim ogrodnikom najczęściej służą jakieś ryciny europejskie. Podziwiał cierpliwość wieloletnią, i prawdziwie nadludzką wytrwałość, której trzeba było do stworzenia tych wszystkich dziwaków. Krzew od małego już był naginany, kępowany, wiązany, nacinany, by nim choć z grubsza przygotować kształt i formę, którą miał przedstawiać. Aż na koniec po wielu latach dzieło zostało dokonane, przystrzyżone ostatecznie. Robota się kończy na wprawieniu zwierzowi porcelanowych oczu.

Jeszcze dziwniejsze są inne wymysły. Pokazują ci bowiem kilkostopowe skrzyneczki, w nich świat miniaturowy; stoją stare pradiadowe drzewa, niby leśne patryarchy; kora na nich szorstka, zwietrzała, konary potężne, zuchwałe. Wśród drzew sterczą skały pokryte mchem, w koło zioła i trawy. Te drzewa starodawne, te patryarchy odwiecznej puszczy wznoszą się zaledwie na jedną piędź od ziemi, a stosownego też ogromu są skały, które je otaczają. Słowem, jest to widok, jak gdybyś na świat patrzył przez przewróconą perspektywę teatralną. Sztuka wymyślna, zmuszona, zadając gwałt naturze, poczyniła te potworne dziwadła i zmusiła roślinność do skarłowacenia (*).

Chińczycy znają się też z gruntu na sztuce złudzenia oka co do wielkości przestrzeni. Wstąp i do małego ogródka a zrazu zdawać się będzie, że on jest ogromny, rozłożysty i obszerny. Jeden ze sposobów, których w tym celu używają, jest np. ten, że na przedniem tle sadzą drzewa potężne o silnych konarach, o dużym liściu i mocnej barwie, a im dalej, tém też mieszczą drzewa i krzewy mniejsze, o misternych gałęziach i liściach, o barwach bledszych; tak więc tumanią widza, co do odległości i obszaru całej przestrzeni.

Tak przeto sklepiłem ci, jak mogłem, na prędce obrazek tego dziwaczного narodu; te zlepki moje mają przecieć tę główną zaletę, że

(*) Heine l. c. N. 338. Co do sposobu używanego przez Chińczyków, by skarłowaciać drzewa, ob. *Voyage dans l'Intérieur de la Chine par Lord Macartney* T. I. st. 61.

się w nich trzymałem świadków naocznych, którzy na miejscu przypatrzyli się objawom duszy tych nieprzeliczonych milionów. Nie trudno nam teraz przyjdzie wywróżyć całe wnętrze ducha tego ludu i stosunek jego do fantazyi artystycznej; a to tém łatwiej, że choć pobieżnie, już widziałeś pojawy tej fantazyi w niektórych sprawach sztuki chińskiej.

Wiesz, że fantazyja prawdziwa wypływa z tajnego, świętego źródła wiekuistości ducha. Bóg tchnął w człowieka nieskończoność, a ona przebywa w nim i objawia się przeczuciem najwyższej prawdy, cichém prorocstwem o Bogu. Ten pierwiastek tęskni w człowieku do Boga, jako do źródła swojego, a tak staje się poczęciem i gruntem Religii. Jak atoli znowu nieskończoność Boża żyje we wszech światach stworzonych i w nich ma odbicie swoje, tak ten pierwiastek nieskończoności, człowiekowi od Boga wiany, tęskni by się stał także po swojemu twórczym i aby miał w dziele, przez siebie utworzonym, odbicie własnej wiekuistej istoty jego; ale to dzieło będzie już dziełem piękności, będzie sprawą twórczej, artystycznej fantazyi człowieka. Tak tedy, jak już zkadinał wiesz, Religia każdego ludu a jego fantazyja artystyczna są w ścisłym związku z sobą. Jak przeto prawdą jest, że każdy człowiek, każdy naród, wedle własnej wartości swojej będzie miał wyobrażenie o Bogu, tak znowu to różne wyobrażenie uzmysłowi się w sztuce jemu właściwej.

Chcąc tedy poznać fantazyję artystyczną Chin, pytaj się przedewszystkiém o ich wiarę, o ich religiją.

Słusznie powiedziano, że Chiny mają trzy religie a żadnego Boga. Pierwiastek nieskończony, wiekuistości dech, drżenie jeszcze w nocnej duszy tego ludu; on dopiero czeka przebudzenia swojego. W piersiach człowieka głucho, pusto, smętno; więc téż on oddany jest zewnętrznym światom i magicznym natury potęgom.

Nie będę ci się tutaj rozszerzał nad religiami chińskimi. Wiesz że na 500 a może i na 600 lat przed erą naszą Lao-tse i Konfucjusz pracowali, by starodawną wskrzesić wiarę, co już od wieków poszła w rozsypanie (*). Przecież ujeli oni te pradziadowe nauki jałowym rozsądkiem, ujeli głównie tylko ziemską stronę człowieka. Świat zmysłowy jest tutaj przeważającym światem. Ztąd nie ma ustalonego wyobrażenia o Bogu; tu nie ma nawet właściwej nazwy dla Boga. Dla jednych Bóg jest przestrzenią gwiazdzistą, dla drugich niebios błękitem, dla innych znowu morzem powietrzném, a znów dla innych

(*) Główne dzieło *Lao-tse'go*: Tao-te-King (droga do cnoty), oraz *Konfucjusza*: Ta-Hio (wzniosła nauka), w nowszych czasach przełożone zostały na języki francuzki, niemiecki i angielski przez takich sinologów, jak: *Abel Rémusat*, *St. Julien*, *Pauthier*, *Plaenckner*, *Marshman* i inni. Zob. szczególnież przekłady *Plaencknera*, zaopatrzone w komentarze, rzucające zupełnie nowe światło na nanki starożytnych myślicieli Chin: *Lao-tse, Der Weg zur Tugend*. 1870. *Confucius, Die erhabene Wissenschaft*. 1875. — St.

osobą cesarza chińskiego, który tu zaiste jest pośrednikiem między niebem i ziemią. Te wyobrażenia dziwnie się między sobą mącą a mieszają. Gorzej jeszcze się stało, gdy Buddaizm z Indyów przedarł się do Chin i wzięwszy na się imię religii „Fo“ wprowadził między lud chiński istny panteizm, czyli co jedno — ateizm, wlewając w te serca głuche i ciemne ową demoniczną naukę, że najwyższą prawdą, ostatecznym początkiem a końcem wszystkiego jest: nicestwo.

Czyliż tedy dziwno, że człowiek głuchy na duszy, nie mając Boga w sercu, nie ma też wagi a treści we wnętrzu swoim, że żyje cały na zewnątrz, światem skończonym, zmysłowym, że nie ma nawet przecucia o swoim wiekuistym nieskończonym znaczeniu. Słowem, tutaj duch ludzki nie utonął w sobie, nie ujął, nie uznał siebie; więc też nie zna różnicy między własną istotą swoją a istotą natury. Duch człowieka dziwnie się poplątał i pomieszał chaotycznie z mocami przyrody; nie zebrawszy się w sobie jako w twierdzy, jest na łaskę oddany siłom natury; on im się korzy, w nich żyjąc, im się oddając. Tutaj człowiek nie ma w sobie treści głębszej, nie wyrobił z siebie indywidualności silnej, różniącej ludzi pojedynczych między sobą i nadającą każdemu z nich tak wyraźne, osobnicze piętno.

Łatwo tedy nam też pojąć można, że człowiek na takowem stanowisku religijnem kwituje się z wiarą swoją bezdusznymi mechanicznymi praktykami; rytuał zewnętrzny zastępuje rozrzewnienie religijne; kadzidła, palenie papierków złocistych, toć jest ofiara, wiążąca go z wiekiistością. Jasna też rzecz, że nie znając, jak rzekłem, ani własnej istoty duchowej, ani jej różnicy rozdzielającej ją od natury, żyjąc poplątany z tą naturą zamętem i niby w jedności z nią, chce panować nad nią sposobami zmysłowymi, — czarami. Ztąd tedy legnie się ów potworny, straszliwy zabobon tego ludu.

Zrozumiemy też łatwo, że skoro świat tameczny, nadziemski tak mało ma wagi, a człowiek cały żyje żywotem tutecznym, już tém samém najwyższą zasługą Konfuciusa było jego zwrócenie się do życia ziemskiego, praktycznego, i skreślenie nauki, czyli raczej nauk moralności. Wziąwszy te jego księgi moralne do ręki wyznasz chętnie, że w nich dużo uczciwości, dużo zdrowego rozsądku. A przecież trudno znaleźć książkę tak ckliwą, tak nudną, jak ta niby filozofia moralności Konfuciusa. Są to niby praktyczne przestrogi, jakie każdy może zebrać długim życiem i bogatym doświadczeniem; są to ogadane, opatrzone od dawna maxymy, a dla tego głównie tak cklive i nudne, że w nich nie ma ani głębi filozoficznej, ani też religijnego uświęcenia. Te wszystkie prawidła nie trzymają się siebie, są niby ułomkowe, bo nie mają spólnego ogniska we wnętrzu człowieka. Ta nauka Konfuciusa, jak była li owocem doświadczenia, więc pozbierana w świecie zewnętrznym, tak też nie przejęła sobą głuche go wnętrza człowieka, nie rozgrzała sobą serca, lecz została tylko przepisem zewnątrz niego istniejącym.

Konfucius atoli mimo wysokiej osobistej zacności swojej, i pod względem samej treści i kierunku, zwichnął myśl własnego ludu, bo w niego wmawiał że on cały jest tylko jedną wielką rodziną, i że tedy jako jedna wspólna rodzina urządzić się winien.

Ztąd w Chinach wyobrażenie rodziny jest tym silnym a przeważającym pierwiastkiem, przenikającym wszystkie stosunki prywatne i publiczne, jest pulsem wszelkiego żywota.

Tutaj rodzina właściwa jest niby otoczona czcią; najwyższą powinnością są obowiązki familijne; tutaj samo nawet państwo jest uważane za rodzinę.

Każda chińska rodzina składa cześć zmarłym członkom swoim a dziadom dawnym, udając się w pewne dni roku do sali umyślnie w każdym domu ku temu przeznaczonęj, w której są porożstawiane figurki, wyobrażające nieboszczyków. Przed temi posążkami odbywają się ceremoniały i obrzędy; ale te ceremoniały i obrzędy są czeze i puste. A przecież rodzina tak wielkie ma znaczenie, iż każdy Chińczyk uważa sobie za najwyższe nieszczęście wygasnąć bezpotomnie; a gdy cesarz pragnie wynagrodzić zasłużonego człowieka, wtedy nie jemu, ale jednemu z jego ojców zmarłych nadaje tytuły i honory i stopnie. Tak tedy własne zasługi nie czynią nikogo przodkiem sławnym potomków, a potomkiem sławnych przodków.

Jednak, mimo tej przewagi rodziny w Chinach, nie ma tutaj rodziny prawdziwej, jak jej nie ma na całym Wschodzie. Zdarzają się tam zaiste przykłady rozrzewniającej miłości dzieci ku rodzicom swoim, boć i w Chinach trudno wyprzeć się głosu natury i bożych przykazań, wpisanych od stworzenia światów w serce człowieka. Przecież nie ma rodziny! Despotyzm ojcowski, wielożeństwo, zatem nieuznanie godności niewiast, są powodem, dla którego tu nie istnieje rodzina. Wszak prawo, służące ojcu, wyrzucania na ulicę własnych niemowląt w razie, jeżeli ich wyżywić nie chce, jawnie okazuje, jak tam uczucia są skręcone. Mniejsza o to, że nas zapewniają, jakoby donoszenia o tych okropnościach były przesadzone; dość na tém, że takie prawo istnieje i że bywają wypadki, w których ojcowie używają tego prawa.

Z drugiej strony łatwo zgadnąć, dla czego Konfucius uważa państwo jako rodzinę. Rodzina jest jednością a połączeniem osób powiązanych z sobą krwią; ma tedy podstawę materyalną, zmysłową, choć uduchowioną. Taka jedność, taka idea była tedy sama jedna zrozumiałą dla ludu, który sam jeszcze tak jest zmysłowy, tak materyalny, nieduchowy, jak lud chiński; taki lud nie był jeszcze w stanie pojąć wysokiej, abstrakcyjnej idei państwa. Konfucius uczynił państwo rodziną, a miesząc dwie idee różne spaczył i wyobrażenie o państwie i wyobrażenie o rodzinie. Rodzina, uczyniona państwem, straciła na świętości swojej rodzimęj, pierwotnej, serdecznej. Państwo, uważane za rodzinę, wyległo się w potwór. Innego jest rodzaju posłuszeństwo i uszanowanie, które się winny ojcu, innego rodzaju

posłuszeństwo i uszanowanie, które się należą władzy zwierzchniej i prawu. Pomoczenie tych dwóch pojęć wyległo okropny stan społeczny Chin. Tutaj człowiek, od kolebki do późnej starości uważany za dziecko, wodzony na pasku, nie rozwinał własnych głębi swoich, nie stanął nigdy o własnej sile, skarłowaciał w duszy. Ten brak uczucia siebie stał się brakiem uczucia honoru; ztąd kara bambusem dotyka wszystkich bez względu, ona tutaj nie ma nic strasznego w sobie, krom fizycznego, to jest zewnętrznego cierpienia.

Właśnie jednak brak treści wewnętrznej, więc owo przeważanie się człowieka na zewnątrz, jest powodem, że w Chinach nie ma wewnętrznego przekonania o tém, co poczciwe lub złe; tutaj nie ma prawdy moralnej, istniejącej samej przez się; tutaj to jest złe, co ustawa pisana zakazuje; to jest dobre, co ona nakazuje lub pozwala. Ale co więcej, właśnie dla tego braku treści duchowej, ustawy moralne Konfucjusza, jako też prawa i przepisy publiczne państwa, nie przenikają wcale wewnętrznego człowieka, są li czémś zewnętrzném, nie znajdującém odgłosu w sercu a przekonaniu człowieka. Jeżeli tedy w państwie zdrowém, w stanie prawidłowém społeczeństwa obyczaj i prawo w ścisłym są z sobą związku, a każdy zaś człowiek poczciwy dopełnia ustaw i praw, bo w tém idzie się honor jego i przekonanie, w Chinach ustawy i prawa nie mają sprzymierzeńca we wnętrzu człowieka; każdy stosuje się do tych praw o tyle, o ile jest do tego zmuszonym zewnętrznie, o ile tego prawa nie zdoła podejść pozorami prawnymi, więc kazuistyką, więc sposobami zewnętrznymi. Ztąd frantowstwo i zła wiara Chińczyków są znane w świecie całym, tak w stosunkach prywatnych jak i publicznych. Wszak w ostatnich układach rozbiegła się wieść po Europie, że rząd chiński miał podejść Anglią, i trzeba było odwołania w pismach publicznych, aby sprostować to zdanie; okazało się jednak, że rzetelność układów raczej była skutkiem przezorności angielskich pełnomocników, niż dobrej wiary rządu chińskiego.

Z tej czczości wewnętrznej rodzą się nie tylko one czerce dziecinne zabawy, ale z niej lęgnie się też owo okrucieństwo straszliwe i względem ludzi i względem zwierząt.

Nawzajem atoli grzeczność przepisana, ceremoniały zewnętrzne, formy towarzyskie, właśnie dla tego, że są powierzchowne, bywają tutaj przestrzegane z pedantką ścisłością. A znajdziesz w Chinach grube księgi prawideł grzeczności. W tych księgach wyczytasz najdokładniejsze receptarze zachowania się; tam się zawierają przepisy co np. trzeba powiedzieć przy odwiedzinach, jak nogi stawiać, co powiedzieć wprzód, co potem, jak oczy stulić; dalej, jak listy składać w danych razach; a jest nieskończenie wiele sposobów składania listów, a każdy ma swoje osobne znaczenie; trzeba długiej, mozolnej nauki, aby się ich nauczyć i pamiętać; tutaj lokaje przyklekują, mówiąc nawzajem do siebie, a flisy grzeczniejsze niż gdzieindziej niewydarzone eleganckie dandysy. Istnieje i osobny trybunał czu-

wający nad zachowaniem przyjętych form (*). Słowem, cały naród chodzi tu spięty, jakby sznurówką, dusznym ceremoniałem i formą grzeczności, i tak jest skrepowany w najdrobniejszych czynnościach swoich, że mu niepodobna nigdy odetchnąć całemi piersiami.

Wyznaję chętnie, że tylko barbarzyńiec i człowiek źle wychowany cenią sobie lekko formy towarzyskie; jestem nawet zdania, że formy takowe, choć się tyczą tylko zewnętrznego człowieka, mają wielką wagę; one bowiem uczą czuwania nad sobą, tłumienia w sobie niesforniej natury i trzymania na wodzy namiętności. Dobrze wiesz, jak to często w Europie ten lub ów dopuściłby się sprawy szpetnej plugawej nawet, gdyby się nie obawiał zgrzeszyć formom.

Powyżej widziałeś wprawdzie widowiska sceniczne, w których głównym bohaterem jest księżyc; wiesz atoli zapewne, że przecież znowu nie cała dramaturgia chińska składa się z podobnych fraszek, że owszem jest nie mała liczba sztuk teatralnych zawierających w sobie istotnie wiele zalet. Jednak wyznaję, że wszystkie te piękne szczegóły nie wystarczają, by z tych sztuk uczynić dramat prawdziwy. Jeżeli Chinom, jak widziałeś, rzeczywiście brakuje objawów niższych fantazyi, jakże się spodziewać poezyi dramatycznej, która isticie jest najwyższym szczytem sztuki pięknej!

Prawda, że przyrządy zewnętrzne, złudzenia teatralne, dekoracye, maszynerya i t. d. nie są warunkiem wartości dramatu, toć jednak znów pewno, że, w miarę jego wzrostu i rozwoju, i te przydatki wszystkie się udoskonalają i rozwijają. Obaczmyż, co pod tym względem w Chinach spotykamy? W teatrach chińskich sama tylko garderoba jest bogatą i wielce strojną, ale zato przedsiębiorca nie łamie sobie głowy nad tém, co jest złudzeniem sceniczném. Gdy np. jaki generał chiński na scenie wyprawia się z wojskiem w oddaloną prowincyą, tedy podnosi jedną nogę, udając, iż siada na konia, lub, jak u nas pachole, jeździ na lasce, trzaska z bicia, obiega scenę; inni tymczasem bębnią, trąbią, tupią nogami i wrzeszczą straszliwie; ów generał ciągle na kiju jeżdżąc obiega scenę; nakoniec się zatrzymuje mówiąc: „otóż przybyłem!“ Gdy taki generał dobywa twierdzy, wtedy dwóch lub trzech z jego żołnierzy kładzie się na sobie, udając niby wał forteczny. Kto ma na scenie otworzyć drzwi istniejące jedynie w myśli jego, czyni ręką stosowne poruszenie i powiada: „otóż i drzwi otwarte“ i t. d. i t. d. Widać, że te chińskie artyści razem z ich publicznością podobne są do naszych chłopiąt małych, którym linia mieczem, laska dzidą, stółek koniem, szafa fortecą. Prawda też, że takie dziecięce pojmovanie przypomina początkowe teatru europejskie, z których sobie żartuje Shakespeare w „Śnie nocy letniej“. Jakoż w tej sztuce jeden z aktorów ma wyobrażać ścianę; radzą mu tedy, by popruszył się wapnem lub bryłką gliny;

(*) *Du Halde* l. c. II. str. 119.

a gdy znów rzecz dzieje się w świetle księżyca, więc jeden z artystów staje się uosobionym księżycem; występuje tedy na scenę z latarnią w ręku.

Mniejsza atoli o te przyrządy, bo cechą jeszcze więcej charakterystyczną, okazującą barbarzyństwo czyli raczej dziecinność chińskiego umysłu, jest ta łatwość, którą sztuka dramatyczna przeradza się w widowisko hałaśne, krzykliwe, w łamane sztuki, w zręczność cielesną, zwinność gimnastyczną, słowem w to wszystko, co mniej do ducha, jak raczej do zmysłu zewnętrznego przemawia. Ztąd też zrozumiesz, że Chińczycy mistrzami są w puszczaniu sztucznych ogniów, w rozświecaniu nocy ciemnej milionami przeróżnych latarni.

Widzisz, że to wszystko nie zapowiada bynajmniej głębszego pojmowania sztuki, i rzeczywiście, o ile miałem sposobność poznania poezji dramatycznej Chińczyków w niektórych mistrzowskich tłumaczeniach, śmiałybym powiedzieć, że to są raczej tylko powieści dramatyzowane albo raczej dyalgowane, i to nawet nie bardzo zgrabnie ani szczęśliwie. Pomijam już, że dramata zwykle ciągną się przez długie lata, jako np. w onej sławnej tragedji: „Sierota Chiński“; rzecz się rozpoczyna przed urodzeniem bohatera sztuki, a kończy się na 20 roku życia jego. Lecz krom tego znajdziesz i inne dziwactwa. Tak np. każda figura, pojawiająca się po raz pierwszy na scenie, zwraca się do widzów i sama się przedstawiając powiada, jak się nazywa, jaki jęj sposób myślenia, jakie jęj cele, zamiary i t. d., co tém osobliwsze jeżeli figura jest złoczyncą; tak np. w *Sierocie Chińskim* występuje na scenę Tu-ngan-ku mówiąc: ja jestem Tu-ngan-ku i pierwszym ministrem wojny; dalej porównywa się sam do tygrysa, co ciągle myśli nad zgładzeniem człowieka; dalej oświadcza, jaką nienawiścią goreje względem Tszao-tun, tłumaczy z bezczelną szczerością, jakich używa podstępów, zdrad i okrucieństw, by zgubić nieprzyjaciela swojego i jakie w téj chwili ma zamysły i t. d. A w dramacie *Hoéi-lan-ki* czyli w „kółku krędą kreślonym“ (*) pani *Ma*, co później truje męża, tak się przedstawia publiczności: „Mężczyźni nieustannie wielbią powaby moje, więc téż chęci podobania się przypisać należy rumieńce na licach i barwy koralowe ust moich; ale wystarczyłaby miednica z wodą, by w okamgnieniu zniknęły te piękne kolory... Ja jestem pierwszą żoną pana „Ma“... udało mi się zawieść ufnosć mojego małżonka. W sąsiedztwie mieszka pewien pisarz sądowy“ i t. d...

Prawda, że ten zwyczaj oświadczenia się publiczności znajdujemy téż niekiedy w greckich dramatach, ale tam zaiste ma inne znaczenie, a nadto ten widz, ten lud grecki inaczej zupełnie waży w swojej historii ojczystej, którą mu odgrywają na teatrze, aniżeli te

(*) *Hoéi-lan-ki* ou l'histoire du cercle de craie, drame en Prose et en Vers, traduit du Chinois par St. Julien. Londyn 1833.

chińskie biedaki w tych dziejach mdłych państwa swojego. A przynasz zresztą, że jeżeli dzieła dramatyczne są arcydziełem greckim, toć już pewno nie dla tego zwyczaju, o którym mówimy, a który jak nie jest zaletą teatru greckiego, tak też nie jest główną wadą teatru chińskiego.

Dramatowi zbywa w Chinach na warunku żywotnym. Świat chiński jest światem w sobie zwichniętym; więc też to pathos, to uczucie wszechmocne, tragiczne, porywające człowieka do działania, nie ma prawdy w Chinach; a lubo jest niby prawdą dla Chińczyków, toć właśnie dla tego, że jest krzywe w sobie, że jest uprzedzeniem dowolnie przyjętym (konwencyonalnym), nie może mieć nawet u Chińczyków tej wagi głębokiej, jaką mają prawdy czerpane z ogólnej natury ludzkiej, nieprzemijającej nigdy. Uważ, że w tragedyi „Sierota Chiński“ rzecz głównie na tém się zasadza, aby ocalić chłopczykę, który sam jeden pozostał z całej wyznietej rodziny. Własna matka, widząc niebezpieczeństwo dziecięcia swojego, rozpacza wprawdzie, ale jej rozpacz nie jest boleścią przejętego trwogą serca macierzyńskiego, lecz pochodzi jedynie z obawy, by nie zaginął mściciel zamordowanej familii i dziedzic jej imienia. Tsching-ying lekarz ocala pacholę; on własne dziecko swoje podstawil na miejsce onego malca na śmierć przeznaczonogo. Do tego poświęcenia zaś zniewala go przekonanie, że gdy jego własna rodzina jest tylko uboczną gałązką onej rodziny przeznaczonej na śmierć, więc mu się zdaje, że lepiej poświęcić gałązkę, niż konar główny. Wszak i on sam, straciwszy syna swojego, płacze nad nim, ale nie płacze rozdartą duszą ojca, lecz z rozpacz, że dziedzica mieć nie będzie. Widzisz tedy, że się tutaj wszystko dzieje prawdziwie z chińska.

Przyznaję atoli, że wiele piękności jest w tej tragedyi, że niektóre sytuacye zresztie obrachowane, że w niej wiele uczuć rzewnych. Inaczej wszelako być nie może. I Chińczyk jest człowiekiem, i w jego sercu żyje prawda, choć przygłuszona, choć oskorupiała przesadami.

Zwracam uwagę twoją na jeden jeszcze zwyczaj zachowany w tym dramacie, podobnie jak i we wszystkich sztukach teatralnych w Chinach. Rzeczy zwyczajnego, potocznego znaczenia wymawiane są przez aktorów zwykłym sposobem; gdy zaś występuje uczucie mocniejsze, głębsze, wyrażające czyli to boleść, czyli to radość, czyli niepokój lub strach, wtedy osoba dramatyczna przemawia śpiewając. Ta liryczność, wpleciona w dramat, wedle mnie dowodzi instynktu szczęśliwego dramaturgów chińskich i jest rzeczą nierównie właściwszą niż tryb naszej europejskiej opery, w której treść najbliższa, najprozaiczniejsza, równie bywa śpiewaną jak uczucia gwałtowne i myśli wzniosłe. — Wróćmy atoli do naszej tragedyi. Żal mi, że nie mogę korzystać z przygotowanej dawniej pracy, w której, rozwijając ośnowę całej sztuki, umieściłem najważniejsze ustępy; byłbyś więc tém łatwiej przystał na moje zdanie o tej dramaturgii chińskiej. Rzecz o tych Chińczykach jednak już i bez tego urosła mi zbytnie

pod piórem i zabrała więcej miejsca, niżby się jój słusznie należało. Dodaję przeto tylko jeszcze jedną uwagę. Jak społeczność chińska nie jest gruntem właściwym dla rozwijającej się indywidualności człowieka, tak i w dramacie jój charakterzy nie zdołają się rozwinąć. figurom brakuje wnętrza, one nie mają ani głębi duchowej, ani sumienia; a jak w tej społeczności nikt nie może się ruszać swobodnie i odetchnąć całymi piersiami, tak i na teatrze siatka nitek konweny, przesądów, i dziwactw krępuje dusze postaci działających. Ztąd tutaj atmosfera tak ciasna, duszna, dławiąca. Nakoniec zważ, że usposobienie umysłu chińskiego nie jest pewnie stanowiskiem, z któregooby przejrzyć można wskrószyć rządy świata, co niewidome dla oka zmysłowego, zewnętrznego, władają losami ludzi i świata całego.

Z tego, co rzekłem, z łatwością już odgadniesz jaka jest i lira chińska; nie zbywa nam na poematach chińskich tłómaczonych na języki europejskie. Uczucia w nich miękkie, łagodne, sentymentalne; te piosenki bywają słodkie, miłuchne; ale im, równie jak całemu usposobieniu duchowemu tego ludu, brakuje głębi prawdziwej. Śpiewak nie zapuszcza się nigdy nurkiem w topiele duszy swojej. W innych krajach boleści i uciechy, rozlane po wszystkich sercach, zbierają się w piersiach wieszczu, a on za cały lud swój cierpi, śpiewa i kona. Gdy ta pieśń zadrga w głębiach istoty wieszczu, już zatrzęsie posadą ducha jego, a wieszcz sam zatrwoży się pieśnią własną; własne dzieło jego uchwyci go lękiem. Bo co uczucia, co radości i żalu w tajniach ukrytych całego kraju, to zrywa się w duszy mistrza, wypada na świat ogniem grzmiącym, niby słupem żarzącym wulkanu i lawą kipiącą. A jak te moce, co wrą i palą się w podziemnych ciemnicach, i cisną się, zwierają z sobą aż rozsadzają piersi wulkanu; tak wieszcz oplaca często żywotem swoim te kipiące potęgi we własnych piersiach i jemu często boleści serce rozsadaż ogniem, co go trawi; oplaca je żywotem swoim, i jemu niekiedy pękają piersi z cierpienia.

Ale w Chinach lira nie jest tym wulkanem wzniosłym i hardym; to wzgórze łagodne, lube, co umajone w wonne zioła i kwiaty; lud ten spokojny i cichy wije sobie z kwiatów, z ziół, bukiety i wieńce i składa je u stóp kochanki, lub matki, albo stroi niemi podnoże cesarskiego tronu.

Lira chińska, to nie orzeł, co mieszka w samotni na skalnych wysokościach a bije lotem w nadobłoczne niebo; — piosenki chińskie, to stado gołąbków domowych, chowanych, pieszczonych, co czyste, mile, białe, gruchające szczęściem i miłością.

Poezya cała, a mianowicie lira chińska, nie jest córą natchnionej fantazyi, ale za to jest łamigłówką pełną zagadkowych conceptów; tyle jest w niej sztuczności wymyślniej, tyle niby znaczeń ukrytych, dwójznacznych, że bez osobnego komentarza trudno zrozumieć misterne myśli autora. Jakoż ku temu celowi istnieją nawet dla Chińczyków słowniki poezyi a słowniki ogromne bo o 100 lub 200

tomach (*). Gdy właśnie ta poezya nigdy się nie wznosi po nad gwiazdy i skromnie a rozsądnie chodzi sobie po ziemi, dla tego zdaje mi się, że najwłaściwszym rodzajem dla niej są powieści ze zwyczajnego życia wzięte, których też tutaj nie brak wcale. Te powieści obyczajowe, jakby obrazki hollenderskie przez Chińczyków malowane, pokazują nam świat prywatny, codzienny tego dziwnego ludu.

Zamiast cobym się miał rozszerzać komentarzem nad naturą tych powieści, wolę przywieść ci jedną z nich, choć jej treść wielce skrócić mi wypada, co nie zawadzi bo jest dość nudna i czeza. Ona niechaj ci będzie typem ogólnym wszystkich podobnych romansów (**). Wszak ona doczekała się w Chinach wydań nader licznych, co już świadczy jak przypadła do smaku swojej publiczności. Tytuł jej „Liś Kwiatu“.

Żył niegdys w Chinach młody słuchacz akademii, młodzieniec wielkich nadziei, a było mu na imię Lyang. Pan Lyang atoli mimo talentu świetnego, mimo żądzy mądrości, trapiiony był tęsknotą niewypowiedzianą, nieukojoném pragnieniem; bo dniem i nocą przemysliwał nad tém, jakby sobie znaleźć małżonkę godną siebie. Daremnie „chadzał do ogrodu, by uszczknąć sobie kwiaty, daremnie miłuchne ptaszki witały gościa z gałązek lubych, daremnie kwiaty otulały go wonnym obłokiem“, serce młodzieńca trawiła tęsknota. „Jakże mało ludzi, woła Lyang, dosięga szczęścia, którego doznają ptaki wodne Juen i Jing, które w umizgach wzajemnych i pieszczotach lubych pływają sobie około brzegów stawu! Jakże piękne jest życie, gdy się kocha wzajemną miłością i z całego serca!“ Nakoniec woła: „oto już ja ośmnaście wiosen przeżyłem i napróżno żyłem!“ (***)

Taki niby początek tej powieści; czynię ci tu uwagę, że niezmiernie często w chińskich romansach mowa jest o kwiatach, księżycu, potoczkach, liliach, woniach i t. d. — Koniec końców szczęśliwe natchnienie poprowadziło pana Lyang do ciotki. Tutaj student rozkochany błąka się i marzy, marzy i błąka się po nocach księżycowych. Aż tu pewnego wieczora, księżyc, co to bywa opiekunem i patronem wszelkich cierpień miłosnych, ukazuje mu ogród sąsiedzki, a w tym ogrodzie altankę, a przed altanką dwie panny, grające z sobą po księżycu w warcaby. Jedna z tych dam była tak precudna, tak prześliczna, iż serce pana Lyang rozebrała niewypowiedzianą rozkoszą „a szczęściem, któremu już żadna ludzka mowa bynajmniej nie wydoła“.

Ale wnet losy zawistne zachmurzyły oną rozkosz i ono szczęście naszego bohatera! Panna Yao-sian, bo tak się zwało owo piękności cudo, przybyła tylko w gościnę w tamte strony. Wróciła tedy wnet

(*) *St. Julien* w przedmowie do tragedyi: Hoéi-lan-ki.

(**) Ob. *Abel Rémusat*: Nouveaux mélanges asiatiques, i títom. p. Dr. Kurz tej powieści: *Das Rosenblatt*, St. Gallen. 1836.

* (***) Kurz l. c. str. 5.

do ojca swojego, a ten ojciec był generałem a niegdyś towarzyszem szkolnym ojca pana Lyang.

Po odjeździe lubej panny Yao-sian miłość tak już była posiadła duszę młodego akademika, że już w żaden sposób nie mógł sobie dać rady; więc puszcza się za kochaniem swoim, staje na miejscu; wtedy, biorąc się na sposób, kupuje ogród, przytykający do mieszkania generała. Potém z tytułu sąsiedztwa „prezentuje się“ w domu jego.

Zapomniałem ci atoli powiedzieć, że ponieważ panna Yao-sian miała wszystkie najwyższe zalety, więc była i poetką. Otóż złożyła przesłiczne wiersze na „wierzbę płaczącą, co smutne gałązki kapie w zwierciadle wód krystalicznych ogrodowego stawu“. Dziwnym trafem ten poemacik dostał się w ręce rozmiłowanego studenta, więc też on nie leniąc się czémprędzej wystosował piosenkę, pilnie bacząc, aby w niej zachowaną była ta sama miara wiersza, której użyła ulubienica serca jego; bo zachowanie miary znaczy w Chinach, że i serca sobie odpowiadają wzajemnym zapalem. I jakoś tak się rzeczy złożyły, że panna służąca ślicznej Yao-sian była pośrednicą tej gorącej miłości; nie dziw przeto, że kochankowie zeszli się z sobą w ogrodzie; takie schadzki atoli bywają w Chinach, jak słychać, rzeczą arcy-niebezpieczną, i dla tego też bardzo rzadko się trafiają. Panna Yao-sian uznała pierwsza niebezpieczeństwo takowe, więc rzekła: „Spotykamy się pod śliwą i wśród grządek, na których pełno melonów“ (nie tłómaczę ci tej przenośni, znaleźć atoli możesz bliższe znaczenie jej u Rémusat).

Za powtórniem widzeniem się kochanków nastąpiły, jak to bywa, przysięgi i straszliwe zaklęcia. Lyang sam podaje swojej damie rotę wspólnęj przysięgi, którą ona też słówko po słówku za nim powtarza: „Bodajbym przepadł w piekło na wieki, bodajbym nie wrócił nigdy w koło istnienia, gdybym kiedyś miał złamać te śluby moje! Bodajbys ty utonęła w nurtach bystrzej rzeki, bodajby cię nie chybił topór, gdybys miała zgwałcić przysięgi twoje!“

Pan generał i pani generałowa, przypatrzwszy się bliżej młode-mu Lyang, widzą że to człowiek wcale do rzeczy a wielce przyzwolity; nie sprzeciwiają się tedy bynajmniej skłonnościom córki swojej. I jakoś wszystko ma się ku najlepszemu, gdy one losy zazdrośne znowu cichaczem gotują zkądinąd cios okropny, albowiem ojciec kochanka, nic nie wiedząc o sentymentach syna, wybrał mu już inną żonę; — więc zmartwienia, a żale, a kwasy, a zazdrość i fochy.

A jakby nie dość jeszcze biedy, waleczny generał otrzymuje rozkaz, by bez zwłoki udał się na granicę państwa i gromił nieprzyjaciół. Wyprawa jego nie była nader świetną; generał otoczony został w kółko od nieprzyjaciół srogich, więc odcięty od swoich. Wtedy Lyang śpiesznie zdaje egzamina najwyższych stopni, a zdał je z wielką chwałą; więc wedle przepisów chińskich miał prawo dowództwa nad wojskiem. Oddano mu też korpus, z którym on rusza na owe granice, by wyswobodzić ojca swojej drogiej pani. Przecież, nieste-

ty, i nowy wódz, podobnie jak poprzednik, otoczony został w kółko od nieprzyjaciół i odcięty od swoich. W stronach jego rozchodzi się nawet wieść, że zginął w krwawej potrzebie; więc w domu płacz i narzekanie. Nieszczęście takowe podaje sposobność pannie Yao-sian wywodzenia najtkliwszych żalów a trenów i wierszem i prozą. Druga zaś narzeczona młodego bohatera z rozpacz rzuca się w rzekę! Jakimś szczęśliwym trafem atoli zdarzyło się, że niedaleko na łodzi przechadzał się pan Lung Inspektor szkół; ten, widząc tonącą pannę, ratuje nieszczęśliwą. Gdy się to dzieje, jeden z towarzyszków akademickich biednego Lyang otrzymuje dowództwo nad trzecią armią; gwałtownym pochodem staje na owę nieszczęśliwą granicę, uderzył na wrogów i uwolnił starego i młodego generała. Wszyscy więc wracają z tryumfem. Cesarz, wynagradzając ich zasługi i cuda waleczności, nadaje wszystkim tytuł „*Pe*“ co znaczy tyle, co po naszymu „książę“. Wszyscy też bardzo szczęśliwi; jeden tylko Lyang się trapi, bo ma dwie narzeczone! Jednak wielce mądrze sobie radzi w tej trudnej sprawie, bo, za zezwoleniem nader cnotliwej i pięknej Yao-sian, bierze sobie obie za żony. A żyli długo i szczęśliwie.

LIST PIĘTNASTY.

Indye.

Wstęp. — Natura Indyi. — Jój przewaga nad człowiekiem. — Kasty. — Pokutniki i pielgrzymki. — Gminna i artystyczna fantazyja u ludów. — Bagawidgita. — Wnioski, wypływające z tej pieśni. — Pojęcia religijne tłómaczą zjawiska zewnętrzne. — Panteizm Indyjski. — Mitologia. — Wypadkiem tego usposobienia jest fantazyja odpowiednia. — Cecha tej fantazyi w rzeźbie, w architekturze, w poezyi i muzyce. — Sakontala.

Każdy lud na dnie serca swojego przechowuje wrodzoną sobie poezyją; z tych głębin najskrytszych jego istoty wypływają mu na jaw i marzenia i żale i pociechy jego; a póki lud jest sobą samym, póki jest świadom siebie, póty też i ta wewnętrzna poezyja nie umiera, a żyje życiem pełnem, choć ją głuszą światowe hałasy, choć ją tłumią burze zewnętrzne i wichry straszliwe. Tą poezyją jest owa fantazyja *powszechna* wszędzie rozlana, wszędzie obecna, drgająca po wszystkich sercach; po wszystkich latach i wiekach; — a ta fantazyja, choć każdemu ludowi jest posagiem w świat i otuchą w życie, przecież w każdym ludzie jest inną a inną; ona tak mu własna, jak ma własną krew i uczucie i myśl. Więc choć powiewy przyniosą pieśni uroczę ze stron dalekich, ze stron obcych; choć z krain wiecznej wiosny przyniosą dźwięki cudowne, ale cudze, toć przecież

w sercach cicho, spokojnie i chłodno, przecież tęskno w duszy; przywiane zdaleka pieśni a dźwięki ulecają jako woń zbladłej róży, jako liść laurowy, oderwany od gałązki rodzinną. Gdy atoli z własnej kości, z własnej duszy, z własnych borów i gór, i z własnego nieba urodził się wieszcz, a z najgłębszych piersi zaśpiewa pieśń; wtedy i w sercach wszystkich i w duszy każdej śpiewno, wrząco, uroczysto, świątecznie, i każda dusza, każde serce odezwie się wszechmocnym dźwiękiem i zawtóruje mistrzowi, a tęsknoty i marzenia staną się jawem w pieśni.

Atoli chwile te rzadkie są i drogie w dziejach ludów; najczęściej wloką się ich dni i lata w cikliwé życia prozie; lecz i w tych szarych powszednich chwilach lud każdy, choć nieświadom tej poezji swojej, byleby był zdrow na sercu i myśli, znajdzie tę poezję swoją, tę fantazję sobie właściwą w swoich dziejach przedświtowych; w niej się dopatrzy rozplymnych postaci pradziadowych lat; z tych starych wieków dosłyszysz głosów, niby wołania dzwonka z za boru, co wzywa wśród mglistego mroku na nabożeństwo poranne.

Przecież i każdy pojedynczy człowiek ma te bajeczne dzieje żywota swóego; one mu dzwonią wspomnieniem lubém z poranku młodości, z dziecięcych lat; on niemi się pieści i bawi, niemi się chłodzi i krzepi, gdy go znękają i złamią życia trudy; on pieści się, bawi i krzepi, gdy mu te wspomnienia przyniosą i baje, i powieści, co mu tak błyszczą, tak świecą jako złote jabłuszka, jako obrazki świeciście. Wtedy znów cudem fantazji zmartwychwstaną mu czasy dawno zapadłe, postaci dawno pomarłe.

Dzieci, zwłaszcza na północy, żyją wśród czarów, uroków i marzeń, póki im anioł nie zamknie bramy do rajszych ogrodów uludy; a co wspomnień człowiek uniesie z tej życia wiosny, toć już jego własnością a skarbem złoży się do grobu; a choć życie zziębi go i zmrozi, w sercu będzie wiecznie ciepło, wiecznie młodo i tkliwo.

Jedna też wszystkich dzieci na północy historia. Bo gdy zimowe wichry zerwą się wieczorem, gdy wirem szalonym zatoczą śnieżne zamieci, a goniąc i pędząc przed sobą białe tumany, biją w szyby dźwiękiem żałosnym, jękiem przeraźliwym, albo też, latając po polach, kniejach, huczą, szumią, i znów po dachach, strychach, kominach, niby dusze czyszców kwilą i żalą się, i płaczą i świszczą; wtedy w izbie dzieci, zagrzone igrą i pustotą, zamilkły, tulą się kółkiem do piastunki swojej a zanim wieczorny zmówią paciorek, chciwe są jeszcze posłuchać gadki czarodziejskiej, co straszy i pieści, grozi i trwoży i bawi. Więc dzieci w naprężonej ciekawości przejęte rozkoszą i lękiem umilkły, cała ich dusza w uchu, a w oczekiwaniu pukają serduszką małą. Ale piastunka stara sama się kłopot i biedzi, bo się trwoży, że jej może już i gadek nie stanie; a w siwéj głowie, w pamięci wyschłej radaby jeszcze odgrzebać przypomnienia dawne. I trapi się i kłopotu piastunka stara! Ale na dworze wśród śnieżnej zamieci, wśród ciemności zimowego wieczora, snują się

postaci dziewicze, ledziuchne, powietrzne, jakby ze mgły, a z poświęty brylantowej śniegów utkane; krążą wirem i lotnym tanem, toczą koła, a koła te coraz bliższe a bliższe, aż widziałą w okna wejrzą, aż piastunkę i dziatwę obaczą; więc wpadną do domu, i chuchną na czoło piastunki i natchną fantazyą, a staruszki czoło się rozjaśni, a oczy zemdlone znowu zaświecą blaskiem; więc już natchniona prawi dziatkom baję i plotki o królu i królowej, o królownie złotowłosej, o rozkochanym królewiczu, o wrózkach, o czarownicy złośliwej, o czarnym kogucie, o onęj szczoteczce, co w las urosła, o drzewie grającem, o ptaszku mówiącym, o górze szklanęj. Gdy piastunka baję i gada, już owo grono lekkich dziewiczych postaci obleciało wszystkie domy i chatki, i dzieci i piastunki wszystkie, a zanim świt, już przez Tatry i morza, przez Arabią czarodziejską wróciły duchy do dalekiej ojczyzny swojej, do dalekiej ojczyzny nadgangesowej, kędy grody lodowe Himalajów stanęły odwiecznym Indyom na straży.

Zkąd dzieciom ta czarodziejskich bajeczek żądza? Zkąd onym pierwotnym ludom Wschodu, tym Arabom, tym Indom, ta miłość do nadprzyrodzonych powieści? — Zkąd to podobieństwo gadek arabskich, indyjskich, do powieści, co bają nianki dziatwie po wszystkich krajach? Zkąd! — Choć każdy lud, każdy naród ma sobie właściwą fantazyą, jak ma własne serce i własną krew, choć ta fantazyą powszechna jest w każdym ludzie inna a inna; toć znów prawie wszystkie ludy w dziecięctwie swoim, jak wszystka dziatwa drobna, to mają wspólnego, że ideę najwyższą zastępują sobie obrazami swojej fantazyi. Duch człowieka przeczuwa instynktem serca, że ten świat materyalny, że ten świat skończonych, dotykalnych, widzialnych rzeczy nie jest jeszcze całą prawdą; instynktem przeczuwa, że zjawiska powszednie, codzienne, są dopiero pierwszym pojawem, zewnętrzną oznaką duchowych prawd, co wieczne i nie przemijają nigdy. Gdy jednak duch dziatwy i pierwotnych ludów niezdolen pojąć jeszcze onych prawd wiekuistych, gdy niezdolen rozmówić się z onym duchem, którego dech jest rzeczy stworzonych żywotem, gdy niezdolen ująć wszechjестestw rozumem, więc zamiast wiekuistego ducha, widzi duchy, na miejscu nieskończonej mądrości, fantastyczność cudotworną, zamiast przedświatnych ustaw, rządzących niewidomie człowiekiem i naturą, a prowadzących opatrzenie wszystko do celu, widzi czarnoksiężkie moce; — tak rozum i pojmowanie trzeźwe, głębokie zastępuje sobie fantazyą, fantazyą powszechną wszędzie rozlaną. Bajeczki i gadki, w których rozmiłowana dziatwa, powieści czarodziejskie, zrodzone z duszy, onych ludów, są istic dowodem że duchowi człowieka nie starczy świat powszedni, materyalny, że tęskni, by się wznieść nad koło poziome rzeczy skończonych i marnych.

Jak każdy człowiek pojedynczy w dziecięctwie swoim przebył wiek fantastycznej życia uludy, jak każdy naród stroi początki swojej fantazyi kwiatami, tak znów ludzkość cała, wszystka Historia

Powszechna przesniła, przemarzyła w Indjach ułudny wiek swojego pacholeństwa i poranne dzieje swoje. Życie Indyi jest zaiste życiem marzeń, tu ojcowizna fantastycznych widziadeł; więc téż jak dawny świat, tak dawne narody wszystkie i ludy wszystkie tęskniły do Indyi, do młodości swojej; do Indyi one wzdychały przez wieki całe, jako do rajskiej dziedziny, nierozczarowanej jeszcze młodości.

Ta tęsknota powszechna okazuje się nie tylko w powieściach, w tych wszystkich świecistych bajach, złoćących wyobrażenia o kraju tym; ale nawet ku tamtéj stronie świata mieli się zdobywcy i pogromcy ziemi. Ztamąd zawiała ochota na Macedońskiego Alexandra, onego króla o sercu młodzieńczém szerokiém, o fantazyi poe-ty, by ujrzał brzegi świętego Gangesu, i parła go ochota, aż stanął nad Indusem. Ale tu dech nieznanego świata przeszedł mrowiem żelazne zastępy jego, — i zastępy zatrzymały się nieporuszone. Nadaremnie prosił Alexander i błagał, nadaremnie zamknął się smętny w namiocie, nadaremnie: — trwogi ujęły serca niezwycięzonych hufców; — i wrócił młodzieńczy król, z nieukojoném pragnieniem, i zesmutniał, i umarł. Znowu, po wielu wiekach, one rzymskie ludobójcze legiony, którym fantazyja była niby bajką, poezya zaś cackiem, a jedyną prawdą szabla, nie zdołały się oprzeć wołaniu niewidomej poezyi, która wieje przez świat i ludy, — legiony dotarły tryumfem do Indyi. Ale i na tych pogromców świata padły oczynienia czarodziejskie, i było im dziwnie jakoś i markotno na sercu; zalaatywały ich wonie obcych światów i głosy niesłyszane nigdy. Znowu ruszyły orły rzymskie ciężkiém skrzydłem do swojskiej północy, kędy znów wróciło im się panowanie nad ludami i uczuciem własném, a historia zapomniła już drogi do Indyi.

A lubo świat zgubił sobie drogę do Indyi, przecież chętnie jeszcze o nich gawędził i bąbał, jakby o wieści cudownej, czarnoksiężkiej. Średnie wieki, co już życiem wewnętrzném toną w głębiach własnego ducha i rade zamykały się w sobie życiem domaszném, przy ognisku domowém zebrane; te średnie wieki, co same tak fantastyczne i urocze, bąbały i plotły o onym kraju, kędy tak dziwne a kosztowne rzeczy rosną, kędy pieprz się rodzi i korale i cynamon, kędy ślimaki żyją perlorodne, a świecą stosy szmaragdów i rubinów, kędy wonią kadzidla i straszą lwy, tygrysy i krokodyle ohydne, a bąbały o kraju, z którego dla mądrego króla Salomona przychodziły i słonie i małpy i klejnoty, gdzie się niewiasty na stosie palą, a mądrość tak odwieczna i głęboka, jak te jego czarodziejskie knieje. I spłynęły snem same te średnie wieki, i uleciały niepamięcią same te zamki i pustelnie, krzyżowcy i piękne damy, trubadury i karły, i turnieje i pielgrzymy! Życie poetyczne średnich wieków przeszło marzeniem; świat zrozsądniał, zprozaiczniał; noc fantastycznych widziadeł stała się trzeźwém, jasnym południem, a Indye — Indye zostały krajem niestarzejacéj się nigdy fantazyi, krajem cudów i czarów. Tutaj wiecznie kipi i pieni się odurzający pułhar marzeń.

Wszak nawet samo dzieło najtrzeźwiejszego rozumu i politycznej mądrości urosło na tym gruncie Indyi w ogrom fantastyczny, w dziwo do sennych widziadeł podobne.

Na szarej ulicy starego Londynu, co jest olbrzymią głową maluchnej wyspy w Europie, zbiera się dziś od czasu do czasu niepozorne grono kupców, niepozornej postaci. A jak się zejda, to radzą i myślą, liczą i kombinują, a każde ich słówko centnarem złota zawąży. Ci ludzie — to władzcy mitologicznego państwa Indyi, onego państwa, co się ciągnie wzdłuż przez świat przestrzenią jak Europa od sycylijskiej Messyny do ostatniej podbiegunowej, lodowej zatoki Norwegii, a ciągnie się wszecz, ot tak, jak od Lizbony do Smoleńska. W tém państwie, jedno sto milionów mieszkańców korzy się w zupełnym poddaństwie, a drugie sto lennictwem uniżoném. Te kompanie kupieckie trzymają w posłuszeństwie królów o kilkunastu milionach poddanych, a starszych dynastją niż rodzina Burbonów; to stowarzyszenie kupców ma na żołdzie swoim liczniejsze wojska niż Francya cała, a coby było dochodem nieostatniego królestwa w Europie, to ci kupcy płacą jako pensją, jako chleb łaskawy indyjskim książętom, królom i jednemu cesarzowi, wziętym w niewolą. Czyliż to nie są dziwy! Czyliż ta sama prawda prozaiczna nie przybiera się tu w kształty a ogromy fantastycznych marzeń, udając mityczne, bajeczne postacie! (*) — Gdy zaś już sam dech Indyi rozniecił fantazją płomienną we wszystkich ludach nowych i dawno pomarłych, na które wionęły tchem uroków swoich; gdy na téj ziemi dziwotwornej sama nowoczesna polityka zrodziła potęgę olbrzymią, do marzeń podobną, pomyśl, czém dopiero być tutaj winna sama fantazya tych rodzinnych ludów, co od lat tysięcy śnią i marzą w tym kraju cudów, jako w przedwiecznej ojczyźnie swojej! — Zaiste, tutaj sama natura jest ową piastuną czarodziejską, co uczyniła ten lud, śpiewając mu pieśni rajskiej uludy, otaczając go cudami stworzenia, jakby sennemi obrazy; tutaj duch człowieka ukołysany mocami przyrody drzémie i marzy; on pod urokiem demonów zmysłowych przez sen prawi, niby dziecię gorącą kąką trawione; to uśmiecha się rozkoszą anioła, to płacze przez sen.

Tak jest, duch indyjskiego ludu nie zdoła się wyzwolić z objęcia natury, która go trzyma czarnoksiężkim urokiem.

Jeżeli gdziekolwiek, toć zapewne w Indyach przyroda kraju wyjaśni nam fantazją, która się rozwinęła na łonie jego; jeżeli gdzie, toć zaiste w Indyach natura jest czynnikiem przeważnym w życiu, religii i sztuce ludu.

Chciej tedy ze mną rzucić, choć polotnie, okiem na usposobienie

(*) Pogląd ten na potęgę kompanii Indyjskiej opiera się na dziele posła szwedzkiego w Indyach, *Björnstierna*: Das britische Reich in Ostindien. Przetłómaczone na język niemiecki i wydane r. 1839, dzieło to wielce zajmujące i polecenia godne.

tęj indyjskiej przyrody; spojrzenie to, choć lekkie, będzie samo przez się już dokonaną połową celu zamierzonego w tym liście moim.

Dwie rzeki ogromne: z zachodu Indus, ze wschodu Brahmaputra, zamknęły kraj ramionami swojemi; na południu wąż się fale Oceanów. Gdy ruszysz ku północy, rzeźba kraju wznosi się piętrami, buduje się coraz wyżej, a w odległości mil czterdziestu obaczysz już na widnokręgu niby obłok ciemny; im dalej pociągniesz na północ, tem ten obłok rośnie, wznaga się w kształty silne, zuchwale, rozdziela się na turnie, grody, co potężnym, butnym zarysem odcina ją się na błękitach indyjskiego nieba. W końcu to budowanie Boże staje przed wędrowcem w niewypowiedzianej uroczystości majestatu swojego. Jestto Himalaja, — wzrąb nie tylko Indyi, nie tylko Azji, ale całej ziemskiej kulicy, moc i więźba. Lodowce Himalajów i śniegi promieniają się w słońcu, niby srebrne zwierciadła, rozświecając kraj w około, a poświata ich dziwnie zagląda w ciemne pomroki pomarańczowych i palmowych lasów, co odziały równiny, doliny, jakby tajemnicą świętą. — Himalaja! Wszak najwznioslejszy szczyt Alpów, ów Montblanc, mógłby mu być podnóżem; boć dwadzieścia rogalów Himalai, wyższe są niż Chimborasso amerykański. Tutaj ludzka noga nie zagości, tu życie nie sięga, tutaj wieczna cisza, wieczna niemota, jak przed świata stworzeniem; tu jedynie przemawia grzmot, pioruny walących się śniegów i gruchocących się lodów. Tutaj straszliwa wspaniałość natury biegunowej i wiekuistych mrozów, w sąsiedztwie zwrotników skwarnych, palących, założyła panowanie swoje. Tutaj też gorejąca fantazja Bramina zapala się płomieniem na widok Himalajskiej natury i przeradza się w cudną, wzniosłą poezję. Tutaj Bramin widzi swoich bogów i stolicę i tron; zarysy jasne lodów i śniegów są „uśmiechem Siwy, wielkiego boga!“ Na tych przyczolach błyszczących, siasiał tysiącooki Indra, co skały kruszy; ów bóg błyskawiczny, co, rozsyłając po ziemi pociski piorunów, pokazuje ludzkiemu rodowi łuk swój tęczę na niebie. „Tamto, po przezrystym nurcie powietrznym, żeglują potężnym szeregiem srebroskrzydłe łabędzie, posłańce obłoczne wiekuistych bogów.“ W tych pałacach lodowych rodzi się Ganges święty, wypada z pod sklepów kryształowych, ubranych w ciżbę nieskończoną sopli błyszczących. Gdy te tysiączne sople zagrają w słońcu barwami, gdy wody rzucą się w przepaść, w dyamenty się rozpryskując, wtedy zadrży podziwem serce człowieka, jako już nigdzie więcej na świecie, a natura majestatem uroczystym myśl jego uwięzi. Rzeka Ganges przybiera się w potęgę i toczy się na południe tak olbrzymiem łożem, że w porównaniu z nim i najogromniejsze rzeki Europy maleją w niepozorne potoki. Ganges, równie jak Nil, nabrzmiewa peryodycznie, zalewając jakby morzem kraj; ale zanim jeszcze wody jego z równin do Oceanu spłyną, już na te wody uderzają upały pory gorącej, skwarnej. Tak wilgoć parna, a spotęgowane ciepło, razem złączone, wykipiają w roślinność tak potężną, tak bujną, o jakiej my

w naszej części świata wyobrażenia nie mamy; więc vegetacya tameczna dźwiga się, wyteża w kształty gwałtowne, olbrzymie, potworne. Urodzajność tej ziemi, potęga przeważna klimatu, moce materji, tak tu są silne i wszechwładne, że ta bezduszna natura przytłumia ducha, a ciało człowieka, to arcydzieło materji, bierze górę nad myślą jego; tutaj myślenie jest marzeniem, rozum gorącą, senną fantazyą. Nawet mieszkaniec Europy, przybywszy do Indji czerstwy, rzeźki i ochoczy, wnet uczuje się być pod urokiem magicznym tej natury, a życie jego, ukolysane miękkością i pieszczotami klimatu, popłynie mu na poły jawem, na poły snem uludnym, wśród tej przyrody czarnoksiężkiej, cudownej, majacznój (*).

Przyroda Indyjska jest świeża, potężna, jaką była nazajutrz po stworzeniu świata, i podobna do tej natury dziwniej, której szczątki znajdujemy skamieniałe we wnętrzach ziemi naszej. Tam ćmią się po wzgórzach i dolinach knieje nieprzebyte indyjskiego dębu (*tectonia grandis*), który nie ma już równego sobie na świecie w budownictwie lądowem i okrętowem. Wszak pod Bagdadem dziś jeszcze sterczą jakieś olbrzymie gruzy starego grodu, które już od lat tysiąców rozsypały się w zwaliska, od lat tysiąców pokruszyły się jego ciosy, głazy twarde; lecz pałacowe belki stare, z tego dębu wyciosane, leżą na tych gruzach tak zdrowe, tak nietknięte przez krzywdzącą moc stuleciów i potęgę trawiącą żywiołów, jakby je dopiero wczoraj przywieziono z puszczy. Albo ta palma kokosowa (*cocos nucifera*), tak urocza i pełna wykwintnego stroju! Ona strzeliła pniem prostym, wysmukłym, na 80 stóp wysokim, a u szczytu rozłożyła liście ogromne kilkołokciowe w kité wzniosłą, wesołą, powiewną. Ta palma jest jakby świętość od ludu czczona, bo ona istnym obrazem opatrznój natury. Indowie naliczyli 99 korzyści błogich, których to drzewo użycza człowiekowi: — olbrzymi orzech jest mu pokarmem, sok napojem; we dnie otula go cieniem, w nocy dostarcza pochodni (**); z niego drzewo na domy, na łodzie i t. d.

Trudnoby nam przyszło wymienić one wszystkie kadzidla kosztowne, lub owoce i korzenie drogie, które tutaj tak bogatym posagiem dostały się tej ziemi. Wspomnę tylko o jednym jeszcze drzewie tak dziwném, że aż nadaje osobne piętno tej stronie świata i działa zarazem tak potężnie na fantazyę tego ludu, że się stało jakby symbolem i godłem jego religji i filozofji. Jestto owa figa indyjska (*bananowe drzewo*, *ficus Indica*), która w sanskrycie *aswata* się zowie. — To drzewo jest tak odrębnój istoty, jakoby do innego pierwotnego należało świata; rzekłbyś, że ono zapamięta pierwszy dzień stworzenia. To drzewo jest obrazem religji Indów, jest jakby panteizmem roślinnym: ciągle się odradzając, ciągle się przeradzając, nie umiera

(*) Ritter l. c.

(**) Porównaj Ritter, *Erdkunde*, Tom V i VI, obejmujące „Świat Indyjski“, oraz Bohlen, *Das alte Indien*.

nigdy; z jednego drzewa rozrasta się puszcza niezmierzona. Konary wyteżają ramiona swoje, nachylają je ku ziemi, z końców ich gałęzi puszczają się korzonki napowietrzne, niby purpurowe frendzle; te zwieszają się ku ziemi, chwytają ją, w nią rozrastają się korzeniem, z którego wznosi się nowy pień, nowe drzewo, które znów dźwiga się, wzmacnia się i buja, i znowu wyteża gałęzie swoje, by nowe wydać drzewo, i tak dalej a dalej szerzy się tajemnicza praca natury; a korzenie tej figi tak ogromnej potęgi, że wbijają się w opoki, rozsadzają skały i rozwalają świątnice we wnętrzach gór wykute. Każde drzewo jest jakby kolumną podpierającą konary poprzedniego, niby filarem dźwigającym zielone, gęste stropy liści. Więc zewsząd roztwierają się jakby sklepiaste kościoły, na tysiącu kolumn wsparte, wzniosłe krużganki; dźwigają się baniaste kopuły, gotyckie budowania, szerzą się pałace bezmierne, rozświecone zieloną pomroką. Słowem, jestto obraz a symbol onej myśli, drżącej na dnie ducha Indyi, onej myśli ciągłego odradzania się, nieskończonego odtwarzania się; jestto uzmysłowienie onej istoty, która jest we wszystkim a przecież jest tylko jedną i tą samą istotą; jestto symbol onej jednej istoty we wszystkich jednostkach, a wszystkich jednostek w jednej istocie: A te rosnące kościoły liściaste, pałace i kopuły zielone, te budowania natury roślinnej są ustrojone, ozdobione, wysadzone wszystkimi dziwami bogatej natury. Od ziemi, od spodu drzew, spinają się przeliczne pnące rośliny, chwytają się gałęzi i po nich się snują, przędą, plotą, wyszywając je jakby robotą krzyżową, cudem swoich kwiatów, co lśnią barw przepychem i odurzają wonią. Cały strop kniei jest jakby namiotem z kobierców misternie haftowanych. Lecz na tym stropie, na tych kobiercach uwija się ciżba nieprzebrana ptaków złotopiórych; tu śpiewa Bulbut, słowik indyjski o „tysiącu pieśni“; tam kołysze się wśród kwiatów wykrygowany, utrefiony Altinga, co bywa ulubieńcem i godłem kochanków w Indjach; a wszędzie gęsta gawiedź papug malowanych w lśniące barwy jaskrawe; a roje te swawolne swarzą się i prawią i śpiewają i plotą od świtu do mroku. Gdy się zerwie i uleci ten cały ród próżniaczy, pustacki, toć już doprawdy słońce się zaćmi; a gdy siada chmarą na polu ryżowém, toć w kilka godzin do żdźbła zrabują, poczem wrzeszcząc i krzycząc z łupem do puszczy wracają.

Tak tedy i ziemia i woda, powietrze, lasy i góry i doliny są pełne silnego życia; tu wszystko się raduje potęgą natury bujnej, swawolnej; tu przyrodzie bezdusznej dobrze, miło i rozkosznie; tu wre i kipi życie w tysiącznych kształtach, a natura zaziera w ducha człowieka, majacząc i oczyniając siły umysłowe. Tutaj siatka magiczna, niewidzialna, związała trzeźwą, jasną myśl i rozsądek zdrowy. Jakoż ta przewaga przyrodzonych mocy nad człowiekiem, ma jakby symboliczne wyrażenie w onej wojnie, którą wydaje natura bezrozumna indyjskiemu ludowi, a zwłaszcza w oném panowaniu dzikiego zwierza nad biednym mieszkańcem tego ogromnego ziemi obszaru.

Pomijam już te tłuszcze śmiertelnego jadu, potwornego wymiaru węzów, onych alligatorów straszliwych, krokodylów ohydnych, zaczajonych na człowieka po błotach i młakach; jest tu jeszcze inny jego wróg a wróg najsroższy. Jakoż w Indyach ojczyznę swoją ma rodzaj najogromniejszych tygrysów. Jemu to na łaskę zostawiony lud biedny i nagi, co przed nim ucieka z chatką swoją, wieszając ją po urwistych skałach i warując ją, jakby twierdząc, palami. A przecież z pod téj nędznej strzechy tygrys wynosi nieszczęśliwych mieszkańców, jako krwawe łupy swoje, a przecież wioska po wiosce pustoszeje bezludna, stawszy się ofiarą żarłocznego zwierza. Bo tygrys, wysunawszy się ze trzciny, z pośród tłumu ludzi wywleka człowieka; lub rzucając się z drzewa jeźdźca i konia powali, a choć nikt przed świtem i po zachodzie nie puszcza się knieją, toć przecież rzadko który z biedaków, noszących listy przez puszcze, dochodzi celu swojego.

To władztwo beźduchowej natury nad jestestwem rozumném tém jest okropniejsze, tém straszliwsze, że we własnym umyśle tego ludu jest jakaś ubliżająca mu pokora przed ślepą potęgą przyrody. Gdy nieszczęśliwemu mieszkańcowi wioski błysnie z gęstwiny krwawe oko tygrysa, wtedy on składając ręce woła: „Momu! — jam dziecię twoje, przepuść mi życie“, bo u nich jest przekonanie, że ta prośba pomoże, gdyż widzą w tygrysie wcieloną duszę jednego ze zmarłych krewnych. Matki po trzcinach składają własne niemowlęta swoje, niby na przebłaganie ducha tygrysa. A zwierz ten powszechnie jest zwany: „panem na czarnej skale“.

Jakoż Indowie mają w wysokim poważaniu zwierzęta, opiekują się troskliwie najniższém życiem; owady i gady znajdują staranne, troskliwe współczucie.

Atoli to przemaganie mocy materyalnych nad myślą, nad duchem człowieka, nie tylko się wyjawia w klimacie, w żywiołach, w ukształtowaniu kraju i w olbrzymich widokach natury, nie tylko wyraża się wpływem potężnym roślinnego świata i zuchwalstwem okrutném zwierząt i w onej czci dla nich; ale występuje jeszcze we formie panowania własnego ciała nad rozumem, a więc istoty zmysłowej, materyalnej człowieka nad potęgą umysłu jego. Przepuść mi opisy obrzydłe onych rozkolysanych namiętności, owego rozbestwienia chuci zmysłowych, co miotając człowiekiem odbierają mu przytomność siebie, wiedzę własnej istoty swojej, co jest tém smutniejszym zjawiskiem, że człowiek ów szal opętania, owo zapomnienie siebie w rozzwierżeniu zmysłów, uważa być czią bóstwu oddaną. Jakoż poświęcenie się na rozpustę ohydną, bezwstydną, sromotną, ma tutaj znaczenie religijne! — To wszystko pomijamy. Zważ atoli, że ta sama przewaga materyi własnej cielesności występuje już najsilniej tutaj w kastach indyjskich; bo te, jak ci wiadomo, oparte na rodowém i zmysłowém, cielesném pochodzeniu, gdyż chodzi między ludźmi wieść, że te różne kasty zrodziły się z różnych członków Brahmy,

najwyższego boga. Kasty indyjskie przygłuszyły uczucie jedności całego narodu; one nawzajem na siebie nie działając i nie oddziaływając, nie odtwarzając się nawzajem, trwały w odgradzeniu od siebie, spróchniały w sobie; tak całość społeczeństwa strupiała, nie doszła nigdy do idei państwa.

Cztery były kasty. Najwyższą jest kasta Braminów — są to bogi wcielone. Kto z innej kasty ujrzy Bramina, już pada przed nim na oblicze, wołając: „Tyś jest Bóg!“ Ich osoby nienaruszalne; najdrobniejsza krzywda im wyrządzona nie może być nigdy odpuszczona, odpokutowana; bo ktoby Bramina choć ździebełkiem uderzył jest przeklęty na wieki; ale sam Bramin choćby za najcięższą zbrodnię dotknięty bywa jedynie karą pieniężną. Bramini zdołają naturze rozkazywać i działać cuda. Aby zaś być Braminem nie potrzeba żadnego ukształcenia, bo Bramin jest tem, czém jest, z urodzenia; własne przyczynienie się do znaczenia, nadające wartość osobistą, byłoby przeciwko zasadzie; dla tego też ich obowiązki ograniczają się ceremoniałem czczym, bezdusznym, tudzież baczniem na przepisy drobnostkowe, puste, bezrozumne (*).

Z drugiej strony rzucić okiem na tę kastę wzgardzonych Puleasów; są to potępińcy zohydzeni, im nie godzi się chaty stawiać; oni zniewoleni żyć pod strzechą ze wszech stron otwartą na wiatry i zimna, lub chować się po gałęziach drzew albo wandołach, na gotową pastwę dzikiemu zwierzwowi. Nie wolno im oddychać tem samém powietrzem, w którym żyją inni ludzie, bo sam widok ich trefni człowieka innej wyższej kasty; gdy go tedy obaczą zdaleka, krzyczą i wyją przestrzegając o swęj obecności, i nim tamten nadejdzie, chowają się w gęstwinę lub na szczyt drzewa. Gdyby atoli, mimo tego, przypadkiem jakim zeszedł się przeklęty Puleas z kimkolwiek z wyższej kasty, wtedy zabijanym bywa jakby zwierz dziki. Gdy głód wypędza ten ród nieszczęśliwy z boru, wtedy zdaleka od mieszkań ludzkich stawiają na ziemi koszyczki plecione swęj roboty i odehodzą, czekając, póki jaki wieśniak litośny, zabrawszy koszyk, nie położy na miejsce jego odpowiedniej wartości zboża, lub innego podarku. Będąc przymuszeni z oddalenia wołać na ludzi, ci biedacy oduczyli się mowy ludzkiej; ich głos podobny jest do ryku zwierząt. Gdy cień Puleasa padnie na wodę, już ona strefiona, i winna być oczyszczona promieniem słonecznym lub księżycowym. Puleas nie jest objęty księgą ustaw karnych; on nie ma żadnych praw, a więc obelgi, męki i śmierć jemu zadana, nie są wcale wyrządzoną mu krzywdą. A patrzącymy, ten Puleas jeszcze nie jest ostatnim w po-

(*) Braminowi np. nie wolno patrzeć się na żonę swoją, gdy ona ziewa, ję, ki-cha; ani przelazic przez postronek na którym ciele uwiązane; nie wolno mu chodzić po skorupach, ani pozierać na wschodzące lub zachodzące słońce i t. p., a jeżeli Bramin na starość uda się na życie samotne w puszczy, wtedy już wysokiego stopnia świętości dostępuje.

gardzie, on nie jest jeszcze najniższą kastą; ten Puleas jeszcze się mieni za szczęśliwszego od Pariasa; uważ, że w kascie Pariasów znów są trzy stopnie poniżenia, a myśl mrowiem przechodzi, iż w Indiach jest Pariasów trzydzieści milionów.

Taki los jest ogromnej ilości ludzi w kraju, w którym, jakby na drwiny ludzkiego rodu, małpy uważane bywają za leśnych bogów, i razem z innemi bożyszczami odbierają cześć i hołdy; tutaj zwierzęta najpodlejsze, owady nawet, mrówki, mają szpitale opiekuńcze swoje i domy ochrony. Uważmy nadto, że ci Indianie w ogólności są narodem miękkim, zniewieściałym i tkliwym!

Obejdzie się już bez dalszych przytoczeń, bo z tego, co tu wspomniałem, już dostatecznie widać tę straszliwą przewagę materyalnej zmysłowej natury, a mianowicie własnej cielesności człowieka nad duchem, łatwo też już z tego odgadnąć zdołasz, jako tutaj potęgi materyalne miotają umysłem ludzkim; jak ten krzywy stosunek duszy do mocy materyalnych wypacza właśnie jej czynności a przedewszystkiem skręca fantazyę, która, jak wiesz, z istoty swojej odziewa treść duchową w kształty zmysłowe z natury wzięte.

Lecz dziwna sprzeczność gnieździ się w sercu Indów! Obok brzemienia przyrody, co cięży snem okropnym na piersiach ludu tego, znajdziesz ostateczność drugą, bo właśnie najogromniejsze zrzeczenie się cielesności i uczuć zmysłowych, znajdziesz poniewieranie rozkoszy, pogardę dla najsroższych katuszy i boleści fizycznych, spotkasz jakąś żądzę szaloną zadawania sobie cierpień bez miary i mąk niewypowiedzianych. Przywodzę ci tylko na pamięć onych pokutników i pielgrzymów indyjskich. W odłączeniu od świata żyje pokutnik (Yogi); liść suchy i woda jest strawą jego, a odzieniem, jak się wyraża dawna pieśń, roślinny pnące, które obrastają mu ciało i kaleczą go i krepują, a barki i ramiona okrywają gniazda ptaków, a mrowisko przysypuje nogi jego. W innem miejscu siedzi inny pokutnik wśród czterech rozpalonych ognisk, a z góry słońce zwrotnikowe dopieka ciało jego. Ówdzie znów inny wyciągnął ręce nad głowę, chwycił się gałęzi, i trzyma je wyteżone, póki już na życie całe nie stracą władzy, póki nie zeschną same na suche i martwe patyki. A znów inny pokutnik, tocząc się po ziemi, odprawia pielgrzymki dalekie; inny rzuca się na ziemię wzdłuż, i znowu wstaje, i znowu się rzuca, mierząc długością całego ciała swojego oddalenie do miejsc świętych. Inny nakoniec ścisnął ręce w pięść, aż przez długie lata paznogie przebiły dłoń, przerosły na wylot rękę, i drugą stroną na jaw wyszły.

Jakoż odbywają się jeszcze podobne umartwienia na wielką i straszliwą stopę. W jednym zakątku Indyi — gdzie wśród srogięj, rozdartej, alpejskiej natury, orze się głębiną stromych skał rzeka Narbuda, i tłucze się pniąc i szumiąc po opokach przepaścistego łoża swojego — czernią się w koło do chmur sięgające góry, porośłe ciemnym lasem, gdzie czarny tygrys ma panowanie swoje i gniazdo.

W miejscu, gdzie już najgwałtowniej a z chyżością strzały przemyka się Narbuda, wody jej rozszczepiają się w ramiona, tworząc wyspę Mandatę. Ta wyspa jest jednym z mnogich cudownych miejsc Indyi. Z dalekich kończyn kraju puszcza się pielgrzymką lud, by oddać cześć bożkowi Machadeo (Siwie), który tutaj czczony bywa wymawianiem bez końca zgłoski Om! Om! Na tej wyspie jest miescina Omkar-Mandata i bożnica niewielka, lecz pełno około niej wrzko-myh cudów, skrecających mózg fanatycznym tłumom. Tamto rośnie drzewo Kuri, pod którego białą korą znaleziono litery sanskrytu, znaczące Ram! Ram! imię jednego z bożyszcz; tam są jaskinie, odpowiadające setnóm echem a głosem ogromnym na ciche zapytania, a widok już bożnicy cudem działa na pielgrzymów, bo uzdrowia kalectwa i choroby mnogie. Braminowie, służący świątnicy, bogate korzyści ciągnąc z wiary powszechniej, podniecają jej ufnosć bezmyślną i radzi są ze skreślenia rozumu łatwowierniej tłuszczy. Więc też jedni z pielgrzymów każą się na cześć miejsca żywcem w ziemię grzebać, inni zaś jeszcze okropniejszą sobie gotują śmierć. Jakoż powyżej świątnicy wznosi się ogromne urwisko skały nazwane *ofiarną opoką*; ona sterczy pionowo nad zawrotną przepaścią; z niej szaleńcy rzucają się w otchłań, by się nieba dosłużyć. W połowie tej przepaści czerwoną barwą naznaczona skała wskazuje im kierunek skoku; spadając w głąb odbierają z boku pierwsze uderzenie, a tak następnie odbijając się od skały, przepadają w głębi 150 stóp i już z kością zgruchotaną dolatują dna. Chodzi atoli stara wieść między ludem, iż ktoby tu z żywotem uszedł, zostanie Rajazem, czyli księciem wyspy; więc Braminowie tameczni, jak słyhać, trują każdego przed śmiertelnym jego rzuceniem się w otchłań. Widzisz, że ci fanatycy, poświęcając się śmierci straszliwej, nie mają nawet pocieszającej pewności, że skonem okropnym zjedną sobie łaski Bóstwa (*).

(*) Jakoż, kto się wpatrzył w karykaturę ohydną, w jaką się myśl człowieka w Indyach wykrzywić może, temu zaiste, jakby mara, utkwilo w duszy imię Gangotri. W sąsiedztwie źródeł gangesowych, pod samém gniazdem wiecznej zimy i na wysokościach odsadzonych od ludzi, znajdziem Gangotri, jedno z miejsc, będących celem gorącego pragnienia pielgrzymów indyjskich. A droga do miejsca tego już sama przez się jest pokutą, ciemnictwem ciała i zrzuceniem z siebie zmysłowej natury. W to miejsce grobowej samotności ciągną oni kilkomiesięczną drogą. A trudno już rozwozić się nad okropnością tej ich podróży i strachami, które im towarzyszą. Natura w srogięj dzikości spiętrzyła tutaj góry powyżej chmur; to strzeliła w iglice skalne, to rozwarła otchłanie bezdenne. Tu olbrzymie okrucy gór, waląc się ze szczytów, podcinają niby ździebła starowieczne drzewa, z grzotem przelatują bory i, gruchocząc wszelką zaporę, wycinają sobie przez puszcze drogę, a część jej sprowadzają w głębie. W inném miejscu znów drabiny, uczezione nad kilka tysięcy stóp głęboką otchłanią, albo w obłokach zawieszzone kładki wązkie, gibkie i kołyszące się, umyślnie pochyło położone, na kilkadziesiąt łokci długie, prowadzą od skały po nad przepaści, których dna nie dojrzyysz; wymagają one zwinności i wprawy skoczków, by żywcem je przebyć. Skały i góry granitowe tutaj przybrały kształty fantastyczne, olbrzymie, to wież i niby grodów jakich, to

Przypominam ci tylko jeszcze one okropności w Jagarnat, zapewne tobie kładiną znane, a przywodzę je z przyczyny, że w nich właśnie połączone są dwie ostateczności; bo tu spotykają się nawzajem rozzwiercenie chuci zmysłowej obok najokropniejszego zrzeczenia się siebie i dobrowolnego skonu.

Szerzy się równina na mil kilkanaście pusta, głucha, piaszczysta; zewsząd biela się kości obłąkanych ofiar, a piasek skwarny przesiąkły ich krwią. Rozpoczęła się uroczystość: wytaczają wóz ogromny, olbrzymi; tysiące mężczyzn i kobiet ciągną go, na nim bóżyszczę ohydne, poczwara z twarzą wykreconą, z gębą rozwartą, krwawą; ręce jego ze szczerego złota, z drogich kamieni oczy błyszczące. Toczy się wóz; teraz ugrzązł w piaskach — w tej

znów straszdeł i upiorów stworzonych w wyobraźni gorączką rozpalonej; wszędzie znać, iż trzęsienia ziemi lub pioruny potargały te skały i utworzyły te wymyślne postaci i kształty.

Fantastyczniej atoli jeszcze, niż ta natura bezduszna, wyrodziła się tutaj myśl człowieka; i ona jest straszdełem dzikim i ohydnym upiorem; bo mnogie tłumy wędrowców pędzi tą drogą fanatyzm religijny i zawrót rozumu, do tej świątyni, głośnieją na kraj cały. Więc w Gangotri kąpią się w lodowatej wodzie gangesowej, by spłókać dawne winy życia; więc gromadnie rzucają się w znak na skalistych porzeżach wody, utopieni w sobie, oderwawszy myśl od wszystkiego co jest, aż im się zmysły zleją w chaotyczne nicestwo; świat w koło nich i niebo nad nimi maci się wirami i kręci. Inni siedzą pogrążeni w sobie nad wodą, lepiąc kulki ze świętej gliny, i rzucają je po jednej w nurty, niby ofiarne dary po zmarłych. Tamci znów przybyli z daleka, by się tutaj głodem umorzyć; z wysuszonem ciałem, okiem w słup wywróconem, podobni do mary grobowej, mrozem i głodem skrzepli rozzmuchiują popioły zgasłego ogniska, by się ocieplić w czasie skonu. Gdy zajrzysz w gęstwinie kniei, otaczającej tę scenę w koło, z pomiędzy obsłony ciemnej sosien brodatych wymykają się, niby cienie zmarłych, postaci pokutników; oni nadzy, twarz ich sina, włosy rozczochrane sterzącym koltunem, oczy krwią zabiegłe, ciało wyschłe, cienkiem przepasane powrośłem i zwalane popiołem i błotem; chodzą krokiem wymierzonym, i niby widziadła przemykają się i znikają w leśnej ciemnicy. Przecież nie tu koniec tego piekła za życia. Od miejsca tego idzie jeszcze pielgrzymka, droga czterech dni, w naturę wiecznie świeżych śniegów i mrozów biegunowych. Idą tłumami szaleńcy biedni, ale mało kto z tamtąd wraca w koło żyjących; ze szczupłym wyjątkiem na pół drogi umierają z głodu i zimna, a usiadłszy pod skałą, konają z rozpacz, że Machadeo (Siwa) nie dozwolił im dojść celu, iż zatem ofiarę ich życia odepchnął i wzgardził; umierają w osłupieniu wśród uragowiska i przekleństwa przechodzących; lecz choćby i doszli do miejsca samego, jeszcze nie są pewni, czyli ofiara ich łaskawie przyjęta będzie. Celem ich drogi bowiem, wśród tej mroźnej natury, jest skała sięgająca obłoków; poniżej jęj ciągnie się druga poprzecznie z ostrym jak nóż grzbietem, i na tę ze szczytu się rzucają. Kto w łaskach Siwy, temu ona skała przetrnie ciało na dwie równe połowy; kto się rzucił mniej szczęśliwie, ten na wieki przeklęty; przeto w chwili ostatniej, po niewymownych cierpieniach i katuszach, w chwili najstraszliwszego poświęcenia, jeszcze nie ma pewności, czyli ofiara jego na korzyść mu pójdzie. A biada temu, kto, ujrawszy przed sobą głębie, nderzony lękiem, cofnie się i wraca, tego pastuchy górskie kamieniami zabijają, boć jest ohydnym krzywowiercą i pastwą przysła piekła, a niesie z sobą klęski i nieszczęścia bez końca. Bramini, co sami nie wierzą w to, co w drugich wpajają, tuczą się darami i krwią obłąkanych. Patrzac się na nich, iście uwierzyłbyś, iż to szatańskie posłanniki, zastępujący wiekuistego wroga istoty ludzkiej na ziemi.

chwili arcypkaplan rozpoczyna pieśń, pieśń tak pełną bezwstydu i roz-zwierzęconej chuci, że już żadne pióro europejskie nie zechce się zbezcześcić powtarzając jęj treść; za każdą strofą tłumy odpowia-dają chórem. Wóz się poruszył, toczy się, znów się zatrzymał; wtedy lada kto z ludu (za bytności Anglika Buchanana, chłopiec dwunastoletni) rozpoczyna jakieś krzyki, jakieś mowy, a sili się na wyrazy najbezpieczniejsze, które tém były ohydniejsze, że podrostek ten mówił w tak gorącym zapale, z tak głębokim przekonaniem, i towarzyszył wyrazom sprośnemi, szkaradnemi giestami, a tłuszcza rozjuszona wtórowała głośnym wrzaskiem. Przecież wóz ruszył. Wtedy wyrывa się z ciżby w szale fanatyk, ciska się pod koła; koła gruchoczą mu kości, posoka czerwieni koleje wyciśnione w piasku; niezadługo ofiaruje się drugi obłąkaniec, i znów trzeci i t. d.

W obejściu tej świątnicy mieszkają tanecznice, bajadery — jako kapłanki bożyszczą!

Na te obchody w Jagarnat zbiera się niekiedy przeszło milion ludu. Tak tutaj występuje w dwóch ohydnych ostatecznościach: oddanie się szalom zmysłowym, a zarazem zrzeczenie się życia i po-święcenie się ofiarne.

Ale to zrzeczenie się siebie wyjawia się w Indyanach jeszcze innym kształtem, bo stłumieniem, zabiciem całej wewnętrznej treści duszy, swoich myśli, wyobrażeń, uczuć, pamięci, wiedzy siebie. Jakoż pokutnik siada w samotném odłączeniu od świata, powtarzając bez końca słówko Om! Om! powtarza je tysiąc razy, milion razy, aż odurzeje w sobie, zapominając o wszelkiej treści duszy swojej, o świe-cie, o niebie, o ziemi, o sobie, o tém co było, jest i będzie; w duszy pusto, głucho, ciemno; nicestwo otoczyło pokutnika wkoło, wewnątrz nicestwo, duch próżnią przepaścią, bezdenną; a jest wiara, że kto tego dokaże, ten zostaje najwyższą doskonałością, staje się Brahłą, bóstwem wiekuistém.

Jednak dość już tych okropności. Com dotychczas rzekł, stanie nam za wróżbę ogólną o charakterze fantazyi Indów. W tej fan-tazyi znać o sobie daje potęgą wszechwładna natury, co ogromem majestatu pełnym, co siłą bujną, wrzącą, gwałtowną obsta-piła czło-wieka dokoła i magiczną mocą czynia duszę jego. W tej fantazyi występują te ostateczności, co rzucają człowiekiem; bo on albo się oddaje na oślep rozshukanym namiętnościom zmysłowym i hołduje za-pamiętane materyalnej naturze, albo téż znowu samowolnie niweczy siebie; ofiarując się na okrutne cielesne katusze i skon pełny męki, albo nakoniec tonie w czczości i zapomnieniu siebie. Łatwo zro-zumiesz, jak w tych zjawiskach dziwnych człowiekiem pomiata rozigrana własna fantazyja jego, ta fantazyja powszechna indyjskiego ludu! I łatwo zgadnąć, jak znowu te same pierwiastki występują w jego fantazyi artystycznej, w jego sztuce, więc w architekturze, rzeźbie, a już najwyraźniej w jego poezyi. Ułomek z tej poezyi

będzie tedy wprost komentarzem téj fantazyi, co gore i pali w duszy tego ludu.

Obok świętych ksiąg Wedas, mają Indowie dwie pieśni bohater-skie ogromnej długości: Ramajana i Mahabarata; one powstały na lat tysiąc przed narodzeniem Chrystusa. W Mahabaracie jest wstęp zwany Bagawadgita (śpiew boski), a wstęp w obszerności odpowiedni olbrzymim rozmiarom całej téj epopei, bo sam się składa z ośmnastu długich pieśni. Gdy się zjawił w przekładzie stał się podziwem Europy; rozbierali go uczeni Anglii, Francyi i Niemiec. Bagawadgita była uznana za podanie przechowane od trzech tysięcy lat; ona jest zaprawdę najcudniejszym kwiatem, co się rozwinął jeszcze w szarym brzasku historii świata; treść jest odurzająca a forma majestatu pełna. Ten to ustęp wybrałem, a kładę go tutaj w drobnych wprawdzie ułomkach, które atoli oswoją nas i z naturą fantazyi poetycznej Indów, i zarazem wyjawia zasady, które się stały podstawą wszystkich systematów religijnych i filozoficznych, które żyją nieskończoną mnogością w Indyach (*).

Osnowa Gity jest następująca. Bóstwo Wisznu zchodzi od czasu do czasu z nieba, przybierając kształty człowieka. Jednym a prawie najważniejszym jego wcieleniem jest pojawienie się jako Kryszna, i w téj postaci widzimy go w Bagawadgidzie. Drugą figurą jest bohater i wojownik Arszuna, najukochańszy uczeń i wybraniec jego. Sceną zaś Gity jest owa ogromna równina w okolicy, gdzie dziś Delhi; na niej czernią się dwa nieprzyjacielskie wojska, by olbrzymią bitwą rozstrzygnąć wojny domowe, a chodzi o panowanie nad obszarem, co się rozkłada między śnieżnymi twierdzami Himalaja i południową kończyną Indyi, co się szerzy od Perskiego morza do Chin. Wojska gotowe do boju, czekają tylko hasła by uderzyć na siebie. Otóż początek Gity, otóż słowa pieśni naszéj:

„Wtedy wódz zawołał głosem ogromnym, niby rykiem lwa, całym piersiami zadał w muszlową trąbę, by wzniecić odwagę w szykach Kuruów, a ze wszech stron odezwała się mnogość muszli nieprzeliczona i wojennych trąb, a huk ich grzmiący zalatywał w nieprzejrzaną dal. Okazał się teraz, stojąc na wozie bojowym a pełnym przepychu, Arszuna. Śnieżnymi końmi powoził Kryszna, a oba zagrzmieli w muszle niebiańskiego kształtu; wnet wszystkie wodze a zacniejsze wojownicy ozwały się muszłowemi trąby; jęk ich prze-raźliwy przeniknął wskrós serca Kuruów, a ziemia i niebo zwracały go piorunnym odgłosem.

(*) *Stuhr*, Die Chinesische Reichsreligion und die Systeme der Indischen Philosophie, 1836. Porównaj rozprawę: Ueber die unter dem Namen Bhagawadgita bekannte Episode des Maha-Bharata von *Wilhelm von Humboldt*. 1826.

(Z pomiędzy nowszych prac, dotyczących religijnych i filozoficznych poglądów Indów, zasługują na uwagę: *Colebrooke*, Essays on the philosophy of the Hindus. Nowe wyd. z r. 1858. *J. Mullens*, The religions aspects of Hindu philosophy, 1860. *A. Ludwig*, Die philosophischen u religiösen Anschauungen des Veda, 1875. Tu należą prace *Maza Mullera* nad literaturą sanskrytą i porównawczą mitologią. — St.)

„Gdy Arszuna obaczył wojsko, pragnące krwawego boju, i gdy już gromadne strzały świstały w powietrzu, wtedy wziął łuk swój i temi słowy mówił do Kryszny: — „„Zaklinam cię, o Kryszno! niechaj wóz zatoczy nas między oba wojska, bym poznał mężów, z którymi mi dziś walczyć przychodzi““. — Kryszna zagnał wóz na środek rozlegający się przestrzenią między obu wojskami. Arszuna długo w milczeniu przypatrywał się szykom, i widział ze wszech stron dziadów i stryjów, braci i wnuków, synów i nauczycieli, najbliższych pokrewnych i przyjaciół swoich; wtedy żalność zabiegła mu duszę, uczucia zadrgały w nim bólem, a serce jego jęknęło temi słowy: — „„O! Kryszno, drgają członki moje, ścina się serce, powstają włosy i cała istota moja wzdyga się lękiem; z rąk wypada Gandeko, łuk mój, skóra na ciele kurczy się i schnie; ja się łamię w sobie na dwoje, stać już nie zdołam, męty zachodzą rozum mój, a ze wszech stron napadają mnie przeczucia smutku pełne. Jakież będę miał prawo do szczęśliwego życia, gdy zniweczę pokrewnych moich? O! Kryszno, już nie żądam zwycięstwa, ani pragnę panowania, ani radości; bo czémże jest radość żywota, czémże jest żywot sam, czém władza, jeżeli ci, dla których właśnie życzymy sobie panowania, i szczęścia i radości, stają naprzeciw sobie do krwawych mordów gotowi? . . .

„Nie — raczej ścierpię, by na mnie uderzyły one szeregi mordercze, niechaj umrę, bronić się nie będę!““. I usiadł Arszuna wśród obu wrogich szeregów, złożył łuk i strzały, a jego serce jęknęło pod brzemieniem żalu.

„Kryszna uśmiechnął się i przemówił do zatopionego w duchu temi słowy: — „„Mędrzec nie smuci się nigdy ani żyjącymi ani umarłymi! Ja byłem od wieków, i ty sam byłeś od wieków, wszyscy od wieków jesteśmy. Te ciała, co sobą obtulają duszę, są przemijające i skończone. Jak człek zrzuca z siebie dawne szaty, przywdziewając nowe, tak i dusza porzuca jedno ciało, niby przyodziewę swoją, a bierze na się inną nową, jakby przywłokę nową; dusza jest wiekuista, nieprzemienią, choć w przemiennej i znikomej formie. . .

„Więc śmiało rzucaj się w boje, wszak wojownikiem (Kszatrya) jesteś! Gdy się w męztwie zachwiejesz, przywali cię hańba — za jedno niechaj ci będzie zysk i strata, życie i śmierć. Ten tylko w sobie przechowuje mądrość prawdziwą, kto przybytek istoty swojej zamknie żądzom, i w sobie sam umieści szczęście swoje; temu i okropność żadna nie przyspieszy serca bicia, i nie zazna niepokoju ani lęku. Wszak ja, wszak ty, wielokroć razy rodziłyśmy się na świat; ty nie znasz rodzeń twoich, ale ja znam rodzenia moje! Choć nie umieram nigdy i panem wszech stworzeń jestem, przecież, władając moją własną istotą, przybieram z własnej mojej potęgi

postać widomą i w niej, pojawiając się światu na zbawienie sprawiedliwych i na zniweczenie złośliwych, od wieku do wieku ... Komu dusza cała utonęła w Bramie, temu zagoreją radości niezamglone nigdy....

„Kto równie okiem patrzy na rzeczy wszystkie, a we wszystkim mię ogląda, tego ja nie opuszczę, a ten mię nie opuści nigdy! Kto w jedność bóstwa wierzy i mnie się modli, mnie wszechbytnemu, ten... o! Arszuno jest doskonałym Yogi. Jak świecy płomień w bezwietrznej izbie gore w pokoju, tak gore dusza mędrca nieznająca namiętności burzy! Niechaj nurkiem w sobie utopi się człowiek, i w niwecz puści każdą serca ośnowę, którą zdradza osobista chęć, niechaj stłumi zmysłów i duszy swojej treść i nie myśli o czémkolwiek! Ja jestem świata poczęciem, ja jestem świata zniszczeniem! Nie ma potężniejszego krom mię, a wszystkie jestestwa przeziemnie trzymane są niby rząd pereł na nici swój. Ja jestem wilgocią wody, w słońcu i księżycu światłem, wezwaniem pobożnym w księgach Wedas, istotą człowieczą w człowieku, gorliwością w gorliwym, żywotem żyjących; ja jestem nasieniem wszechrzeczy, mądrością mądrego, a chwałą i potęgą potężnego; ja nie znam żądy, nie znam gniewu! Świat bywa zniszczony po trwaniu swoim, a gdy przychodzi na niego dzień, świat się znów odradza; ale co przy zniweczeniu i wywrotach świata się ostoi, to innej jest natury, jak rzeczy widzialne; to jest wieczne, a w tej wieczności ja mieszkam, i ta wieczność najwyższa staje się dzielnicą tych, którzy się korzą Bóstwu!“

Patrzac się na te myśli świetne, a wyrażenia pełne powagi, rzekłbyś zrazu, że to perły, gorejące rubiny i przepyszne szmaragdy, osadzone w złocie korony wschodniej. Przecież obaczmy do jakiej treści mądrość tu zamkniętą sprowadzić nam wypadnie.

Ten ułomek, choć tak drobny i biedny, wystarczy nam przecież może, by z niego wysnuć dostatecznie całe usposobienie indyjskiej fantazyi.

Kryszna żąda aby człowiek spłynął z bóstwem w jedność zupełną. Tego dosięga gdy wyrzuci z siebie wszelką treść duszy, gdy ogłuchnie w sobie, gdy myśl swoją puści w niwecz; człowiek winien nie być więcej sobą samym, stracić właściwe cechy swoje, właściwe znamiona, różniące go od innych jestestw, powinien łamać się z sobą, by się stał tylko samą pustą jednostką, która niczem więcej nie jest, tylko czczem, gołym istnieniem. Słowem Kryszna żąda, aby człowiek zamienił się na puste, abstrakcyjne istnienie, a wtedy dopiero spłynie z bóstwem w jedność. Przecież właśnie z tego już wynika, że bóstwo takowe samo jest także tylko owem głuchem istnieniem; bo istnieniem bez żadnych znamion i cech.

Jakoż i Kryszna sam o sobie powiada, że jest wilgocią wody, że jest żywotem, że jest słońcem, człowiekiem i mądrością — słowem,

że jest wszelką istotą, że jest każdą rzeczą, a zatem, że znamiona, cechy właściwe tym różnym istotom, a różniące je między sobą, nie mają żadnego znaczenia, są obojętne; więc Kryszna jest w sprzeczności sam z sobą, gdy mówi o chwale, o hańbie, o złem i dobrem. Jeżeli zaś żadne cechy, żadne różnice nie mają znaczenia, więc wiadać, że to jest jedynie prawda we wszech jestestwach, co im wszystkim jest wspólnem, co jest tłem wszelkiej bytności. Odgarnij wszystkie cechy, znamiona, własności od jestestw różnych, coż ci pozostanie? Czcze, gołe istnienie. Zaiste, głuche, puste istnienie będzie ich wspólnem istnieniem; to przeto istnienie jest bóstwem Indyan; jest u nich ogólnym świata duchem, jest świata poczęciem, jest świata zniszczeniem.

Zważ atoli, że istnienie takowe, nie mające żadnych własności, żadnych cech, nie będące żadną rzeczą w szczególności, nie będące niczem w szczególności — jest niczem, jest naprawdę nicestwem.

Tak przeto, wedle filozofii a religii Indyan, najwyższą doskonałością a bóstwem, z którym się człowiek zjednoczyć winien, jest czcze, ogólne istnienie, jest rzeczywiście nicestwo. Prawda, że Indyanie trzymający się Bramaizmu sami nie spostrzegli się, że dnem ich wiary jest nicestwo, przecież dowodem nawet, że nasze rozumowanie jest prawdziwe, jest już sam Buddaizm, który jest dalszym rozwojem Bramaizmu; w Buddaizmie bowiem owo nicestwo już wyraźnie wyrzeczone jako początek i koniec wszechrzeczy.

Zanim atoli z onej pierwotnej zasady filozofii i religii Indyan wysnujemy ostatecznie istotę indyjskiej fantazyi, pozwól, bym uczynił jeszcze lekką uwagę. Zrozumiesz teraz, że zabicie wszelkiej treści w duszy, przytłumienie wszystkich głosów serca, prowadzi do połączenia się z bóstwem, z ogólnem głuchem istnieniem; ale zrozumiesz, że także do tego samego celu prowadzą katusze dobrowólne, męczarnie i pielgrzymki straszliwe, i śmierć ofiarna; bo i te sposoby wszystkie są zatraceniem, zapomnieniem siebie, ogłuszeniem wszelkiej treści, więc utopieniem się w istnieniu bezdennem, pustem, czczem. Jakoż jeszcze do tego samego celu dochodzą Indowie przez oddanie się na oślepię namiętnościom zmysłowym i szalom rozhukaniej cielesności, boć i tym trybem człowiek traci wiedzę siebie, zapomina siebie i staje się głuchą jednostką. Tak tedy wyjaśniają nam się wszystkie zjawiska powyżej ci przed oczy roztoczone.

Nie trudno już nam poznać, że ta cała nauka jest panteizmem, choć surowym i pierwotnym jeszcze. „Jestto panteizm w całej straszliwości nocnego majestatu swojego; jestto owa nauka, co w ułudnej postaci nadziemskiej poezyi przyprawiwszy sobie skrzydła anielskie, uśmiechem czarodziejskim uspiła Indye; a gdy je snem duchowym złożone być widziała, wysłała z tego ludu, niby upiór, krew żywotną, serdeczną, i zostawiła go wyschlą mumią na ziemi. Ten panteizm przeszedł narody Wschodu przystrojony w szaty niby głębokiej filo-

zofii; ale mądrość téj filozofii była rozpaczą bez granic, a słowa jéj dżumą śmiertelną dla ducha“ (*).

Rozumie się, że wszelkie rozprawiania i wykrzykniki, utyski i gniewy, choćby z najuczciwszój woli pochodziły, nie nie pomogą na panteizm; on jedynie powalony być może drogą ściśle umiejętną prawdziwój filozofii. Przecież nie tutaj miejsce tych wywodów umiejętnych; spytajmy się raczej, zkąd Indyanom przyszła ta nauka? — Indyanie nie mogli się zdobyć na wyobrażenie o bóstwie będącém jedném, ogólném, a obejmującym przecież w sobie nieskończoność treści, rozmaitości pełnój; oni nie mogli się zdobyć na myśl o bóstwie duchowém, przytomném w świecie i władnacém wszech-jestestwami, a będącém przecież czémś różném od świata, to jest istniejącém w sobie i o sobie, wiedzącém o sobie, słowem, będącém osobą. Bo osobą nazywamy jestestwo, co ma świadomość siebie, co wie o sobie. Umysł Indyan nie był dość silnym w sobie, aby zdołał połączyć wyobrażenie takiego bóstwa, co by było odrębném i wyższém od świata jestestwem, a zarazem objawiało opatrzną mądrość swojną w nieskończonej rozmaitości jestestw, będących wyrazem nieskończonej i rozmaitej wewnętrznej treści jego.

Do tych wyobrażeń o osobowości bóstwa doszli dopiero Grecy, bo oni pojęli bóstwo, jako jestestwo duchowe; lubo to wyobrażenie wyjawia się u nich dopiero we formie wielobożeństwa.

W Indyi panuje dualizm dwóch ostateczności, nieprzemierzony nigdy. Z jednéj strony zamiast bóstwa o treści nieskończonej, ziewa otchłani bezdenna, bo owo istnienie nieskończone, bezmierne, próżne, które u nich samo jedno jest prawdą; z drugiejj strony jest inna ostateczność, bo cały świat jestestw jednostkowych, odznaczających się i odróżniających między sobą cechami, znamionami właściwemi; po téj stronie tedy jest cały świat treści, a świat rzeczywisty, obejmujący i jestestwa zmysłowe i duchowe, i gwiazdę i człowieka i proszek ulotny, i ludy całe, i myślenie i robaczka, nawet bogi indyjskie, nawet całą mitologię indyjską i t. d. Ale ten świat rzeczywisty nie ma prawdy, on jest rozplynném, rozwiewném zjawiskiem, nie mającém trwania; wszystko jest tu uludném widmem, kłamstwem zawodném. Cały świat i wszystkie te jednostkowe jestestwa występują z onéj otchłani głuchego istnienia, jakoby wyziewy grobowe, wiążą się i unoszą nad nią, niby widziadła chwilowe, i znów do onéj przepaści wracają, która je pochłania niby grób; — sam Kryszna jest tylko widziadłem takowém. Więc tutaj wieczne odbywają się zrodzenia, wieczne konania; tu nie ma bytu, co by trwał; — trwa tylko wieczna przemiana, i bogi wiecznie się przeradzają, wiecznie przybierają na się inne a inne kształty; wszystko, co się rodzi z téj otchłani, to są niby fale wzdymające się na bezdeni ciemnéj oceanu,

(*) Wykład systematyczny filozofii, T. II, § 208, przyp.

które, zaledwie co się wzniosą, rozplywają się bez śladu; są to bańki wodne, co świecą nad przepaścią barwy cudownemi, lecz ledwie co zaświecą a już rozpryskają się nicestwem niby sen. Ta otchłań „jest świata poczęciem, jest świata zniszczeniem“ ta otchłań jest Pra-brahma.

Z tych wyobrażeń dzikich, chaotycznych wynikają następne wypadki.

Jak to istnienie ogólne, przepaściste jest bezmierne, tak też bogi, rodzące się z niego, o ile wyrażają to istnienie, same przybierają bezmierność; ich postać puchnie w potworne kształty, ich żywot wzdyga się w majaczne dziwactwo bez granic. Tu fantazyja Indyan ma istny żywioł dla siebie; ona gorąca, opojona, zatacza się tanem zawrotnym nad tą przepaścią grobową. Ztąd mitologia indyjska, arcydzieło fantazyi tego ludu, jest tak pełna okropności, tak straszna jak nocne mary i dziwadła chorobliwe. Ztąd rzeczy duchowe, przestoczone na zmysłowe, nabierają ogromu bezmiernego, rozmiarów olbrzymich. Ganges np. spływa po kędziorach bóstwa — pustelnik pokutuje lat tysiące, miliony. Ztąd pokutnik rozkazuje słońcu i gwiazdom, i mocen wstrzymać ich biegi; bo on sam przez pokutę i zatracenie siebie stał się ogólném głuchém istnieniem, więc bóstwem. Dla tego olbrzymiego, zmysłowego ogromu, i pieśni ich tak olbrzymie, że jeden ustęp, jeden epizod, rozmiarem swoim wyrównywa wielkim epopejom innych ludów. Tak epopeja Ramajana składa się z 24,000 słoków, z których każda znaczy dwa wiersze po 16 sylab; Mahabarata przez późniejsze przydatki urosła do 100,000 słoków.

Jak owo istnienie bezdenne, bezmierne, nie mając żadnych cech, żadnych własności, nie jest osobą, bo nie jest jestestwem wiedzącem o sobie, tak też wszystkie pojawy i widziadła nie są osobami w znaczeniu prawdziwém, tak też w Indyach człowiek nie wie jeszcze że jest osobą.

Gdy różnice, odznaczające między sobą jestestwa, nie mają znaczenia, gdy są marne i ulotne, więc też rzeczy wszystkie mieszają się dzikim nieładem, bez końca przechodzą na siebie, mącąc się chaotycznością fantastyczną, szaloną. Tutaj fantazyja odprawia swoje dzikie zapusty. Fantazyja rozkołysana miesza nawet jestestwa duchowe i materyalne; tutaj drzewa, ptaki, słonie przemawiają ludzką mową, wyrokuja najwyższą mądrością; tutaj świat jest światem czarodziejskim, czarnoksiężkim. Z tego pomieszania jestestw duchowych i materyalnych rodzi się owa cześć dla przedmiotów natury z krzywdą istoty rozumnej człowieka; ztąd kasty, ztąd litość dla owadów obok okrucieństwa. W Sakontali jest gaj przeznaczony jako ochrona dla zwierząt, a Sakontala sama, polując młode leśne rośliny, powiada, że tchnie miłością siostry dla tych krzewów biednych. Wszak widziałeś, że tygrysy uchodzą za uwidomienie duszy zmarłych krewnych.

Zrozumiesz, że do tej potęgi a znaczenia rzeczy materyalnych

i natury przyczynia się ogromnie ta przyroda indyjska tak gwałtowna a wspaniała, tak wielmożna, bujna i bogata, z całą swoją mocą magiczną.

Słusznie tedy przypatrzyliśmy się dokładniej na wstępie listu tego naturze indyjskiej tak czarodziejskiej; ona zrosła z człowiekiem w jedno, z niej tedy poznać możesz czém tu jest duch ludzki. Jakoż pomącenie rzeczy duchowych i materyalnych, przypisywanie przedmiotom zmysłowym potęgi duchowej, jest podstawą wszelkiego czarodziejstwa. Czarodziejstwo to i dziwotworność, ten zawrót fantastycznych myśli, który panuje w tej fantazyi Indyi, jest właśnie tym pierwiastkiem, co ją czyni tak podobną do gadek, tak chciwie przez dziatwę słuchanych. Przecież, mimo tego, ta fantazyja nie jest dziecinną wyobraźnią; tu nie dzieci prawią baję, to duch całego ludu, co z topieli swoich przemawia, a choć on w jęctwie natury, choć czyniony tchem mocy materyalnych, wyrokuje isticie z najgłębszych głębin istoty swojej. Więc tutaj obok bezrozumu jest mądrość, tutaj buchają strzeliste błyskawice wśród ciemnej nocy i słychać ułamki muzyki rzewnej, choć przygluszonej łomotem burzy morskiej.

Przecież właśnie gdy różnica między rzeczami jest wątła, nieznaczająca, gdy wszystkie jestestwa mieszają się z sobą, więc téż tutaj nie panuje rozsądek. Bo rozsądek ma właśnie to do siebie, że rozgarnia rzeczy różne, porządkuje je i szykuje; takowej zaś czynności duchowej tutaj nie ma. Ztąd téż fantazyja indyjska czy się pojawi w architekturze, czyli w rzeźbie, czyli w poezyi, puszcza się w sprzeczności i dziwactwa, ciska się z jednej ostateczności w drugą; to niby rozumna i oględna, to niedorzeczna.

Jakoż to poniewieranie cechami różnemi jestestw, stanowiącemi właśnie ich istotę, to pomącenie szalone wszystkich rzeczy, choćby wręcz sobie sprzecznych, to nieuznanie ładu i pewnych praw w świecie, odbija się koniecznie w dziełach sztuki indyjskiej. Tutaj nie ma prawideł, ustaw pewnych, stałych. A jeżeli je niekiedy dojrzysz, jeżeli obaczysz jakiś panujący charakter np. w dziełach architektury, albo w miarze wiersza, toć ten charakter mniej jest wypływem za-
stanowienia się i jasnej wiedzy, jako raczej ciemnym instynktem, co niby przez sen przeczuwa istotę swoją.

Ten brak ustaw i praw stałych, to chaotyczne spływanie przedmiotów różnych, ten dziwny świat czarnoksiężki, w którym nie ma nic stałego, w którym nic nie jest oparte na sobie, w którym nic nie ma w sobie mocy i tęgości wewnętrznej, w którym wszystko przesuwają się niby w latarni magicznej, mieniać się, migocąc i błyszcząc, — jest isticie światem majacznym, sennym. Ta fantazyja indyjska jest więc do marzeń sennych podobna; bo i we śnie przelewają się obrazy, mącą się z sobą i bujają, i hasają niedozorowane rozsądkiem, nieuszykowane rozumem.

Łatwo zgadnąć, że gdy tutaj stwórca i stworzenie, świat duchowy i materyalny, pomieszane z sobą, gdy tutaj nie ma uznania

prawdziwego stosunku Boga do natury, ani człowieka do tej natury; więc też tutaj człowiek nie zdolen jeszcze kształtów przyrody przetopić na ideał piękności, który właśnie jest jedynym trybem wyrażenia nieskończoności duchowej, we formie materyalnej, zmysłowej. Zamiast tej prawdziwej piękności, znajdziesz w sztuce indyjskiej najczęściej przepych świecący całém bogactwem zuchwałej, wrzającej fantazyi, znajdziesz olbrzymią wytrwałą pracę w dokonaniu dzieł ogromnych, bezmiernych.

Lecz uważ, że ten brak opierania się na sobie samym, ten niedostatek dzielnego hartu i samoistności występuje we fantazyi indyjskiej osobiwą miękkością, jakąś biernością, jakąś niewieścią słodyczą a wdziękiem łagodnym, cichym. Toć widzieć można w poezyi, kędy prawie najcudniejsze miejsca właśnie tchną sentymentalnëm rozrzewnieniem i lubemi głosami serca; w posągach bogów te ciała nie mają niby kości; ręce, nogi, tak pulchne, jakby z ciasta ulepione; toż i w budowaniu linie łagodne, formy dalekie od wszelkiej szorstkości. I dla tego też, jak dawno uważano, tak w rzeźbie jak i w poezyi najszcześliwiej stworzone są figury i charaktery kobiet; — niewymowny wdzięk, łagodność i słodka tęsknota rozlane są na tych żeńskich postaciach.

Treść duchowa chrześcijańskich ludów jest tak głęboka, tak niebotyczna, że ona w części tylko może znaleźć wyrażenie stosowne w dziele sztuki, więc w zewnętrznyëm uzmysłowieniu, więc w postaciach a formach z natury wziętych, ale wzniesionych do piękności ideału; w części zaś ta treść duchowa nie zdoła się już pomieścić w postaciach zmysłowych, choćby najwyższym urokiem obłanych; ona zaiste znajduje w uczuciach jedynie religijnych i we filozoficznëm rozumowaniu godny siebie i odpowiedni sobie wyraz swój. Inaczej w Indyach. Jestestwa natury, choć bezduszne, choć same nie myślą, są przecież uwidomieniem myśli stworzenia, a im na wyższym szczeblu natury stanie które z tych jestestw, tém też wyższej myśli jest wcieleniem. Otóż te myśli, promieniące się w dziełach natury, są nierównie więcej z siebie rozwinięte, niż ono głuche jeszcze miotanie się a szamotanie sennego ducha Indyi. Duch ten nie dorósł jeszcze do tej wysokości, by pojął, by przeczuł tę mądrość, te myśli stworzenia; on chwycił te kształty natury, zwichnął je, skrzywił, wykrzywił w karykatury, by w nich wyrazić to miotanie się, to zrywanie się sennie swoje; i ztąd te dziwaczne postaci i figury w skulpturze i poezyi indyjskiej. Otóż wytknąłem ci, ile się mi zdaje, wszystkie główne cechy fantazyi Indyan; wszak jedną z najważniejszych jest, jak wspomniałem, owa głęboka sentymentalność. Bo jeżeli w Indyach głównym charakterem tak fantazyi jak całego ducha jest brak rozgarnienia, brak trzeźwego zastanowienia i zimnego rozumu; toć rzekłbyś, że ten brak niby zastępuje uczucie; cały żywot staje się tutaj uczuciem, serdecznością. Zdawałoby się, że im więcej cofa się myślenie prozaiczne, tém potężniej tutaj gra uczuciowość; cała

duszy potęga przeważała się w moc uczuć tkliwych, rzewnych. Jestto jakby życie niewieście w dumaniu serca utopione, w którym cała potęga ducha zamienia się na ciche wróżby, na prorocтва; serce to zgaduje, co lube i zacne, instynktem, jakimś widzeniem duchowym. Dla tego podobno żaden naród w żadnym wieku nie miał nigdy poezyi tak czarującej uczuciem, tak głębokiej a lubej sentymentalności jak Indyanie.

Dotknawszy tym sposobem najcenniejszych znamion fantazyi Indyan, przywiodę ci tylko jeszcze niektóre przykłady z ich sztuki, które nam posłużą za wyjaśnienie powyższych wywodów.

Do naszej rozsądnej a tak trzeźwej Europy, jakby przypomnienia dziwów sennych a marzeń nocnych, dochodzą wieści o owych świątyniach starego Hindostanu, co wykute pod ziemią we wnętrzu twardej skały. Jakby z innego świata gadki, czytamy opisy cudów tej podziemnej architektury, którą słynie Salsette, Carli, Elefanto, Mawalipuram, Ajajanti, Ellora i tyle innych jeszcze stron Indyi, onej starzej ojczyzny niesłychanych dziwadeł; przypatrujemy się widokom, rysunkom, rycinom, które już przeszły w obrazkowe książki dziatwy naszej, a patrząc na obrazy te, zdaje się nam, że to istne baje czar-noksiężkie, które prawią jedynie nianki w naszej przerozsądniałej części świata, a którym nawet już i dzieci więcej nie wierzą.

Te podziemne świątynie, nie są to pojedyncze budowle, to zbiory świątynic, to miasta ukryte w łonie gór, to świątynie podziemne, wykute we wnętrzu nieużytej opoki; tu ludność cała łamała się krwawym trudem, tu przez długie wieki pokolenia po pokoleniach pasowały się z potęgami przyrody, by dla bogów swoich zdobyć na naturze przybytki, by okupić świętą, niezmordowaną ofiarną pracą zrodzenia duchowe.

Gdy dziś wędrowiec z dalekich stron stanie wśród tych dzieł olbrzymich, gdy go obstąpią w koło te ciemnice przepychu pełne, o kształtach tak dziwacznych, fantastycznych, żeć mu się już zdają być wywoływane magicznem wróżki zaklęciem, wtedy już nie podziwienie ale nieme osłupienie go uderzy; posłyszysz w koło siebie wołania onych pracowników tysiącznych, co tu położyły męki swojego żywota, by uczcić owe ślepookie potęgi natury, które miały ich duszą, uchwyci wędrowca febralna gorączką, podobna do onej, która parła te miliony ludności do wysilen bez granic. Prochy tych robotników poszły wiatrom na igłę, imiona ich od lat tysięcy rozplynęły niepamięcią, ale ich dusza pozostała w tych podziemiach zaklęta urokiem; ona żyje w tych rzeźbach bogatych, które tutaj zewsząd wykwitły robotą tak bujną a tak pracowicie, tak wytrwale, z taką miłością dokonana.

Tutaj znachodzisz całe góry wydrażone, przeistoczone na państwo podziemne, tajemnicze. Przysionki, chodniki, świątynie, komnaty, kaplice, schody, stawy, mieszkania dla kapłanów, dla pielgrzymów, ciągną się i cisną to obok siebie jak miastem, to znów wykute po nad sobą, niby w piętra olbrzymich pałaców i ogrodów. A na stropie,

na ścianie, na gzymsach, na filarach i kolumnach, lśni ta rzeźba ozdobna, a wyrabiana z tym wykwintem misternym, jak gdyby dopiero wczoraj wyszła z pod umiętnych złotniczych pilników, a te rzeźby przecież liczą wiek swój na lat tysiące! Przy migotnym, powiewnym płomieniu pochodni występują z ciemności posągi bogów wielorękich, wielonogich, więc potworne widziadła migocą, mrugają, a ruszają się; ich członki mnogie gramolą się i wiją, niby węzów gniazda.

W innych stronach kraju zdawać ci się będzie, że ta najstarsza, pradziadowa architektura indyjska wychyliła się już z pod ziemi, że się buduje na jej powierzchni otwartej, że te jej dzieła na jawie dźwignione, na dniu jasnym, białym. Pod Ellorą, wśród samotnej, butnej a zuchwałej natury, znowu podziwiać będziesz gromady świątyni podziemnych, co pieczarami wkuły się w skały. Tutaj każdy bóg indyjski ma swoją świątynię; Siwa ma ich 20; więc słusznie te dzieła niesłychane noszą imię „cudów Ellory“, ztąd słusznie nazwano te miejsca Dewagiri (Bożą górą). Ale uważ, oprócz tych grot czekają cię tu inne jeszcze budowania. Znajdziesz się nagle wśród miejsca otwartego zupełnie z góry; niby to łom kamieni, niby rynek, lub ogromny dziedziniec. To miejsce w koło zamykają skalne ściany na sto stóp wysokie, a pionowe, a pilnie ociosane, oglądzone; w tych ścianach, niby w różnych piętrach, szereg się komnaty, mieszkania wykute w skałę. Lecz w oddaleniu od tych ścian, więc wśród tego olbrzymiego dziedzińca, stoją świątynie obszerności naszych kościołów i kaplice; a cokoły tych kaplic składają się z rzędów kamiennych słoniów, lwów dźwigających niby całe budowanie; do świątyń przystawione niby dzwonice; a te świątynie wszystkie od dołu do góry pokryte ciżbą ornamentów, rzeźby; tu i owdzie około nich jeszcze ustawione słonie kamienne ogromnych wymiarów. Pomyśl, że od szczytu tych świątyni szły kamienne mosty powietrzne olbrzymim łukiem do onych ścian otaczających dziedziniec, więc do komnat kapłańskich; dziś atoli te mosty w części runęły. Na pierwsze polotne wejście zdawałoby się, że te świątynie, kaplice, te wszystkie budowy potężne dźwignęły się z powiązanych z sobą ciosów. Bynajmniej! — Zważ, ten cały niby plac i dziedziniec były jedną górą, jednolitą skałą! — i dopiero z niej wykuto ten dziedziniec, zrównano jego ściany, w środku zostawiono części tej skalistej góry niby ogromne kamienne bałwany, i takowe części dopiero przeistoczono na świątynie, przystrajając je ornamentem rzeźbionym z wierzchu a wydrążając je w środku na bożnicę obszerną, bogatą, zdobną. Tak tedy ta całość: dziedziniec i przybytki, świątynie i słonie, one mosty i komnaty — słowem, wszystko wykute, wyciosane z jednej sztuki! — z jednej ogromnej góry, jakby ziarno z łupiny.

Jednak, kędy niegdyś duch człowieka, tak twardo pasując się z uporną materią, odbywał boleści rodzeń swoich, tam dziś hołotna chmara bezrozumnych papug broi i głuszy szwargotaniem naturę,

tam trzcina wysoka zarosła gęstwina, tam tygrys gospodarzy, a lew trzyma straż, broniąc człowiekowi widoku pracy człowieka; tam węże potworne i dżuma i cholera się legną.

Nie będziem atoli dłużej prawić o tych dziwach i cudach; pomi-
jam budowanie onych Dagopów, które już stanęły nad ziemią
a dźwignione trybem zwykłym choć słynne z ogromności swojej.
Bo nam nie chodzi wcale o charakterystykę wszystkich odcieniów
fantazyi; dla tego przestaję na tych lekkich zarysach najdawniej-
szej indyjskiej architektury, nie dotykając budowania buddaizmu
w Indyach, który zreformował bramaizm stary i zniweczył kasty
i ostudził fantazyą Indyi; — chociaż, prawdę mówiąc, byłoby zaiste
o czém szeroko się rozwódzić.

Właściwiej podobno będzie zwrócić uwagę twoją na cechy ar-
chitektury indyjskiej, a będą nam one potwierdzeniem powyższego
wywodu.

Otóż, te budowania podziemne są wyrazem ducha Indyi, co
uśpiony jeszcze w głębokiem łonie natury; boć i nasz sen powszedni
jest iście powrotem w objęcie sił przyrodzonych, jest zaiste przytu-
leniem się duszy naszej do piersi matki-natury.

Bujanie zaś luźnej fantazyi indyjskiej, wyraża się silnie i potę-
żnie w tej architekturze. Okazuje się zaś najprzód samém już labi-
ryntnem, zamętne budowaniem. Jak w całej myśli Indyi żadna
bytność nie oparta na sobie i nie ma ogniska swojego i środka
w sobie samém, jak tam człowiek, nie uznając się być osobą, nie
odnosi się jeszcze sam do siebie, tak też i nie widać w tych groma-
dach świątnic podziemnych jednej głównej myśli przewodniej, do
którejby się odnosiły jako do ogniska wszystkie owe tak fantasty-
czne przybytki. Brak im tedy organicznej artystycznej całości,
brak ładu, który jedynie tam być może, kędy dogląda pracy fantazyi
rozum trzeźwy obecny sobie, lub mądrość idąca z prawdziwego
mistrzowskiego natchnienia. I dlatego właśnie duch Indyi jest
party miotaniem wewnętrzném i żądzą wyszamotania się, wyrzuce-
nia z siebie potęgi, co nim ciska; więc on się sili i mocije, by doko-
nał dzieł tak olbrzymich; dla tego stulecia, całe pokolenia w tysią-
cznych robotnikach mają się tej pracy bezmiernéj, ogromnéj; robota
i siła materyalna, rozmiary materyalne przestrzeni mają tutaj za-
stąpić ducha potęgę. Świat nie przeczuwa jeszcze, że kilka rysów
węglem rzuconych ręką Michała Anioła, lub kamea, rznięta geniu-
szem greckiego mistrza, wyższém jest świadectwem wzniosłości
ducha ludzkiego, niż te całe góry wydrążone krwawym znojem tych
indyjskich ludów.

Jakże odpowiednie tej fantazyi sennéj są przybytki podziemne!
— one tak daleko się ciągną wzdłuż i szerz a ciśnione stropem tak
nizkim! tutaj duszno i parno; rzekłbyś, że zły sen przygniótł piersi
uśpionego ludu.

Ta fantazyja indyjska gorąca wyraża się tutaj jeszcze bujaniem

bez miary téj architektury rozigranej; w niej nie ma ładu, nie ma pewnych prawideł i praw; tu nie ma też pewnego stylu. Stylem jest tutaj brak zupełny stylu. Bylebyś chciał, a już w tém budowaniu indyjskiem wszystkie obaczysz style: i łuki rzymskie i bizantyńskie, i one maurytańskie w podkowę wywijane, i gotyckie sklepienia, i brusy greckie i t. d. Jeżeli zaś te wszystkie formy architektoniczne tutaj się przypominają, toć to mniej jest stylem jak raczej instynktowem parciem, dobywajacém się z duszy nieświadomej siebie. Nie znajdziesz tutaj trzeźwości i chłodu rozumu, z którym z istoty zawsze winna łączyć się fantazyja artystyczna. I z tego właśnie powodu w architekturze indyjskiej nie są uwzględnione potrzeby techniczne. Najważniejszym tego przykładem jest kolumna. Kolumna z istoty swojej jest podporą, dźwigającą brzemie architektoniczne; ale forma kolumny indyjskiej, tak dzika, tak fantastyczna, nie odpowiada bynajmniej swojemu zadaniu; jęj rysunek pękaty, napuchły, jak świadczy o swawoli fantazyi, tak jest raczej zawadą zabierającą miejsce, niż podporą dźwigającą (*).

Architektura indyjska wysila się, wymyślając nowe coraz formy kolumn, ale wszystkie te formy świadczą o swawoli butnej fantazyi, a żadna o rozwadze rozumnej. Ta przerozmaitość fantazyi tak się rozigrała w Indyach, że nawet w naszych czasach, bo w roku 1623, (licząc bowiem na miarę indyjskiej starowiecznej historii wiek XVII rzeczywiście już do naszych czasów należy) wystawiono salę olbrzymią o 124 filarach; — choć na pierwszy rzut oka rzeźba na wszystkich filarach zdaje się być do siebie podobna, za bliższm

(*) Porównaj słup indyjski z kolumną grecką. Kolumna grecka jest prawdziwem arcydziełem. Jęj forma jest cudnie piękna, a zarazem najdoskonalej odpowiada celowi swojemu, bo ona, mimo wdzięku i uroku, jest podporą silnie dźwigającą. Jakoż w całym budownictwie greckim nie znajdziesz architektonicznego członka, któryby nie był i ozdobnym przystrojem, i zarazem nie mógł być ściśle wytlómaczony z potrzeby technicznej, bo z warunków mocy i trwania budynku. — Podobnie też każda część i cząsteczka w głowicy i w podnózu kolumny greckiej ma swój powód rozsądny (praktyczny) a przecież przyczynia się do jęj piękności prawdziwie estetycznej. Nie tak się rzecz ma z kolumną indyjską. Uważmy formę kolumny indyjskiej, która już najczęściej się powtarza w téj architekturze. Ta kolumna jest od spodu filarem czworoszczennym, z którego wyrasta trzon okrągły ściętniający się u góry, a przewiązany trzema napęczniałemi pasami, a u samego wierzchu pokryty kulą spłaszczoną, która tak przyciśniona niby ciężarem, że obwód jęj występuje nawet po za krawędzie spodniego czworoszczennego filaru. Ta kula tedy, u wierzchu ściśniona będąc, bardzo małą powierzchnią dźwiga strop. Cały ciężar tedy spoczywa właśnie na téj małej powierzchni drobnej; a tém samem wiadać, że i występująca część onęj kuli i grubość trzonu i grubość owego czworogrannastego filaru są niepotrzebnymi, bo nie dają żadnej mocy, nic wcale nie dźwigają, i są raczej zawadą zabierającą miejsce. Cała tedy forma słupa jest wymysłem fantazyi, ale nie ma usprawiedliwienia w rozsądku.

Lubo różne a przerozmaite bywają kształty kolumn indyjskiej architektury, przecież żadna z nich nie odpowiada zadaniu naturalnemu, które podpora mieć winna.

jednak przypatrzeniem się obaczysz, że każdy z nich mieni się innym rysunkiem, inną głowicą, innemi centkami; słowem, ta fantazyja jest niewyczerpana jak stworzenie, jak natura. Ba, i natura nie może pójść w porównanie z tą wyobraźnią migocącą się, promieniejącą się w różne barwy i błyski! Zważ naturę roślinną; ona podobno dość swawolna, swobodna, bujająca sobie całą wolnością nieogledną, a przecież ten świat roślinny zdaje się być dla fantazyi indyjskiej jeszcze niewolniczym, jeszcze zbyt prawidłowym; więc ona chwyta te formy roślinne, zwija je i skręca, buja niemi i wymyśla i swawoli, stwarzając sobie kształty roślinne, o których nawet natura nie marzyła nigdy.

Z tego już wnosić możesz co się dopiero dzieje z postacią ludzką, wypaczoną w one indyjskie bożyszcza. Indye nie wiedzą, co znaczy osoba, istniejąca o sobie, odnosząca się do siebie jako do ogniska swojego; ztąd też wyległy się owe poczwarne bogi, któremi się dziwaczy rzeźba indyjska. W tej Trimurtis, niby w troistości indyjskiego bóstwa, kędy Brama, Wisznu i Sziwa, niby w jedność są związane, widzisz pęk rąk i nóg, a nie wiedzieć która ręka, która noga do której się odnosi głowy, a tak wyraźnie znać, że i ta Trimurtis nie ma znaczenia osób; — albo przypominam ci onego słonia złożonego z samych figur niewieścich i t. d. i t. d. Rzeźba, podobnie jak architektura, zastępuje duchowy pierwiastek czynnikami materyalnemi, więc albo ogromem wymiarów (np. jeden z posągów w Bamian ma 70 stóp wysokości a drugi nawet 120), albo kosztownością materyału, bo wysadza posągi drogim kamieniem, wkładając mu oczy brylantowe lub rubinowe, zdobiąc ręce, nogi perłami ogromnej wartości. Niekiedy te figury nie są już płaskorzeźbą, ale prawie zupełną rzeźbą, bo przytykają tylko jeszcze nieco grzbietem do skały a przez to właśnie stają się objawem ducha, nieoderwanego jeszcze od potęg natury. Ta przemoc natury nad człowiekiem, to nieusamowolnienie się ducha tém jeszcze się wyraża, że tutaj nie ludzka głowa osadzona bywa na zwierzęcym kadłubie, dając znać o panowaniu myśli nad bezrozumną potęgą przyrody, ale odwrotnie widzisz głowę zwierzęcą, osadzoną na tułowiu ludzkim; taka potworność atoli głosi bezecne tryumfy mocy materyalnych nad złą istotą człowieka.

Napomknąłem ci już powyżej, że brak samoistności dzielnej, silnie na sobie opartej, że brak hartu i twierdzy wewnętrznej, jest piętnem w całym charakterze i duchu Indyanów; ta właściwość odbija się tak wyraźnie w tych członkach wiotkich, okrągłych, pulchnych, bezkostnych, gibkich skulptury indyjskiej, w której nie widać ani muskułów, ani kości, ani mękości; taka postać oddaje iście trafnie tęsknotę miłosną, bierną, gnuśną, tudzież ospałą zmysłowość i to rozpieszczenie całego nastroju duszy Indyanów. Mówiłem ci również powyżej, że figury niewieście, które jakoś lacięj

się do takowej rzeźby nadają, bywają często wykonane z wielką lubością i wdziękiem cudnym, uroczym (*).

Przecież wypływa już z istoty rzeczy samój, że ten wdzięk pełen najwyższego powabu, łagodny, tęskny wykwita już najcudniej w indyjskiej poezyi. Przeczucia bezmierne, tkliwe, ciemne, nieodgadnione, z cicha odezwały się w sercu tego ludu; jak młoda dziewczyna nocnym marzeniem widzi rozpląnny obraz kochanka nieznanego jeszcze, tak poezyi tego ludu przysniła się wiekiistość i niebian grono, żyjących w niezamąconym nigdy pokoju.

Ta poezya jest zaiste ogrodem marzeń rajskich; w niej fantazya przechadza się wśród wonnych kwiatów, słucha dźwięcznych natury pieśni, kocha i marzy. Niekiedy atoli z pośród krzewów i kwiatów, wśród szczęścia miłości błogiej a pieśzczot miękkih, wśród jasnych promieni i pysznych barw wesołych wzniesie się jakieś ciemne straszidło potworne, i grozi, i kroczy, i już chwytą i dławi, ale się rozplynie mrocznym dymem. Wszak ta poezya o instynkcie misternym ducha, o rzewnych wróżbach serca, dosłuchuje się tych cichych szeptów duszy, tej cichój, tęsknej muzyki, której nikt z powszednich ludzi nie przeczuwa, nie odgadnie. Najlżejsza, najmisterniejsza woń serca tchnie w tej poezyi tkliwej, która jest rzeczywiście poezją uczuć najrzowniejszych, a te uczucia wszystkie rosną i rozwijają się w świecie czarodziejskim, kędy już nie rozsądek i powszedni rzeczy ład, ale cudotworność niewidomie władą.

Wspomniałem ci powyżej, że poezya indyjska jest przedewszystkiem poezją uczuć, że sentymentalność głęboka zastępuje w niej prozę rozsądku, że cała siła ducha uderza w uczucia, w nich przeważa potęgą; powiedziałem też, że życie poezyi indyjskiej jest życiem niewieściem, że instynkt serca jest tutaj mądrością. Ztąd też żadna inna poezya, żadnego innego narodu nie wyrównywa w tych uczuciach delikatnych, misternych poezyi indyjskiej. Powtórzę ci tutaj porównanie, które o tej poezyi indyjskiej wyrzekł jeden z najgłębszych znawców piękności, a które wedle mnie jest również cudnym jak trafne. Gdy młoda niewiasta zostawszy matką usnie, wtedy przez sen marzy o szczęściu swoim, o dziecięciu; a uczucie błogie, radość duchowa, wykwita rumieńcem na bladym licu. Takim rumieńcem błogich marzeń i zwiastunem uczuć szczęścia pełnym jest indyjska poezya.

(*) Poeci indyjscy, jako znakomici znawcy w tej mierze, wyliczają 46 warunków piękności niewieści; gdy się wszystkie te 46 warunków zjedną, wtedy dopiero wedle nich kobieta jest prawdziwie piękna. Winna mieć np. kędziory, co jak pawie pióra spływają po kolana, brwi zatoczone łukiem tęczy, oczy błękitne jak szafiiry, usta świecące purpurowe jak korale na młodych liściach, żeby jak pączki jaśminu, stan cienki żeby się sama ręką objąć mogła, podeszwy bez wklęsłości i t. d. i t. d.

Rozumie się, że nam mniej chodzi o ocenienie estetyczne tej poezyi, jak raczej o wyświecenie, że pierwiastki fantazyi indyjskiej, przezemnie powyżej wykazane, grają zarazem całą potęgą w jego poezyi.

Nie pozostaje mi dość miejsca, bym ci podał wyjątki z tej poezyi jako przykłady; przecież dziś już nie trudno o tłumaczenia arcydziel śpiewaków indyjskich na różne języki europejskie; odsyłam cię do nich — ograniczę się jedynie na kilku słowach, dotykając się z lekka tych dzieł precudnych.

Dwie są wielkie epopeje Indyan, jedna zowie się Ramajana a druga Mahabarata; tamta starsza, bo podobno powstała na 800 albo nawet na 1000 lat przed J. Ch. — Mahabaraty już dotknęliśmy się powyżej; tutaj położę ci tylko wkrótce treść Ramajany, choćby w okruszynach, bo radbym ci okazać przelotne barwy całej tej kompozycyi, która śpiewa chwałę Ramy, indyjskiego bohatera. Śpiewcą tego poematu jest Walmiki, ów wieszcz od bogów natchniony.

Wstęp. Dawno bardzo, bo trzy tysiące blisko lat temu, gdy Walmiki, samotników książę, żył w puszczy cichłej. — „Pewnego wieczora przed nim stanął Narada, bóg natchnień wieszczowych, i w wymownym zachwyceniu głosił mu cnoty, potęgę i piękność Ramy, co przyświecał duszy, niby księżycowa poświata. Tak Narada wlewał w piersi boskiego wieszca chęć, by śpiewem zacnym zacnego uwielbił męża. I wypłynęła pieśń, i uстроiła światy potęgą swoich czarów. Kto się poi boską Ramajany krynicą, już nie ugasi nigdy swojej duszy pragnienia! A niechaj będzie pochwalon, pochwalon na wieki, jako mędrzec pokory pełen i wolny od winy!”

„Dumał mędrzec (Walmiki), i postem i pokutą pobożną, gotował ducha do wielkiego dzieła! I dumał nad dziełem tak wielkiem! Znagła zoczył parę rozkochanych ptasząt, tonących w rozkoszy miłości, ale strzała okrutnego myśliwca zabija samca! Ulubienica pozostała rzewnym żalem oblatuje ciało swojego kochanka. Wieszcz, litując się jej cierpień, nad losem nieszczęśliwej kochanki zapada w zamyślenie głębokie, i woła: „Biada tobie okrutniku puszczy! Biada! Niedługo będą dni żywota twojego, nie doczekasz się starości późnej. Ty zabiłeś jedno z ptasząt pary, miłością upojonych!” O dziwy! Ta właśnie żalosna skarga wylewa się z ust jego wierszem rytmicznym, pełnym harmonii i miary! A tak cudem mistrz wynalazł rodzaj wiersza dla Ramajany, który z siebie miał zrodzić.

Samą treść Ramajany można objąć w kilku słowach. Rama jest jednym z wielu wcieleń bóstwa Wisznu. On na ziemi jest synem króla Dasaraty z pierwszej żony. Lecz król ma drugą jeszcze małżonkę Koikę, i z niej drugiego syna Baratę. Na prośbę tej drugiej żony król Dasarata mianuje Baratę następcą i skazuje Ramę na wygnanie; ale wrychle ojciec, bolejąc żalownie nad synem swoim umiera. Wtedy szlachetny Barata udaje się w głębokie puszcze,

kędy żyje Rama wygnany i ofiaruje mu koronę. Nie przyjmuje poświęcenia szlachetnego brata zacny Rama, ale cały pragnie oddać się wojnie przeciw rodowi ohydnych olbrzymów! W tej wojnie dzielnymi sprzymierzeńcami Ramy są: Hunaman i Sugriwa, co są książętami małp. Cały tedy naród małp bojuje z wielką walecznością w jego sprawie, a najważniejszym ich dziełem jest most skalny przez morze, bo tym mostem rusza wojsko Ramy do wyspy Lanki, która jest stolicą króla olbrzymów. Tam uwięziona Sita, małżonka Ramy; ona była uprowadzona przez króla olbrzymów, a teraz przez Ramę wyswobodzona jest z niewoli. Sita, aby dowieść małżonkowi niewinności nieskalaną, przechodzi przez rozpalone płomienie, a płomienie nie tknęły się żarem ognistym niewinnej niewiasty. „Wtedy radość dreszczem przeszła świata wszechnicę; co żywe, co istnie, było weselem przejęte; i radowali się wszystkie przodki dawne święte praszczury!...” „Od tej chwili już pełen potęgi świat i wesela pełen, i dochował świat wiary słuszności i prawu. I był świat już wolen troski i nienawiści i przykrój tęsknoty. I nikt z grona tych szczęśnych wybrańców nie widział skonu ukochanego z serca syna; ustały strachy wszelkie w tym państwie wiecznej uciechy; nie ma w niem trwogi z ognia zrodzonej, nie ma trwogi z wylewu wód zrodzonej. W tym państwie wiecznej uciechy nie ma wdowich łez, nie ma człowieka o rozumie zamętym; tutaj ani nędza trapi człowieka, ani trapi go niemoc żadna. A gdy po dziesięć lat tysiąców i jeszcze po dziesięciu setkach lat, Rama opuści państwo swoje, wtedy on rozplynie w świecie bóstwa wielkiego.

Jak owe podziemne pieczarskie przybytki znów obejmują w sobie drobne kapliczki, przyboczne świątnice, tak też obie te epopeje objęły mnóstwo ustępów precudnych (*).

(*) Wszak rozmowa Kryszny z Arszuną, przytoczona powyżej, jest właśnie takim epizodem Mahabaraty a jest tak długa, że już sama w sobie jest poematem obszernym. Podobnie nie braknie tych epizodów i w Ramajanie. — Jednym z nich jest znany pod imieniem „Zestąpienie Gangi“, a bogini Ganga jest uosobieniem rzeki Gangesu; i tutaj obok skarbów poezji nie brakuje na fantazji cudaczącej się dziwnie i potwornie. Tak zaraz pieśń ta rozpoczyna od króla Sugaras i opowiada, jako on miał dwie małżonki a smucił się bezdzietnością swoją. Król przez sto lat czyni pokuty, by potomków wyprosił od nieba. Po upłyniętej pokucie, wróżyła święty pobłogosławił obie królowe mówiąc: „każda z was może się stać matką albo syna jednego, który atoli będzie pradziadem długiego szeregu potomków, albo może zrodzić sześć razy po dziesięć tysięcy synów“. Tak się stało; pierwsza małżonka cieszyła się jednym tylko synem, ale on okrutnego był serca, bo najwyższą jego radością i najmiłą zabawą było topienie młodych pacholąt — chwycił je i rzucał do rzeki Saraju i szydził z męki tonących i t. d. — Druga zaś małżonka Sumatis, co była siostrą króla wszystkich ptaków, wedle własnego wyboru stała się matką nieprzeliczonego potomstwa, bo o dziwy! powiła olbrzymie dynie, a gdy te dynie rozkrojono, zamiast ziarek ruszało się w niej dziesięć sześć tysięcy chłopców małych. Tak marzy sobie dalej ten poemat, który, mimo podobnych dziwactw, jest pełen najwyższego wdzięku.

Ta fantazyja uczuciowa Indów jest prawdziwie muzyką serca. W poezyi indyjskiej lirycznej pieśń jakby strumieniem wylewa się z duszy i płynie wśród czarnoksiężkich gajów, strojnych w kwiaty i wonie. Zaiste czém jest ta lira indyjska, to okazuje się z tego, czém u nich jest muzyka; bo muzyka jest właśnie sama przez się sztuką wyższą liryczności. Zważ, że melodye u nich są uosobione, przybierają ciało; bo wierzą Indyanie, że gdy która z nich się na ziemi odezwie słodkim, czarownym wdziękiem, to wtedy już znać, że jedna z nimf zstąpiła z nieba wśród ludzi, a każda nimfa ma postać i oblicze, wyrażające charakter odpowiedniej sobie melodyi. Głównych melodyj świętych jest 36, więc w niebie 36 nimf, a każda z nich ma swój dzień świąteczny na ziemi. Siedm też jest tonów muzyki, a każdy ton jest także nimfą. W niebie śpiewają pieśni liryczne i grają i hasają; tam pełno śpiewaków i melodyi i tańców. Wszak Aleksander Wielki i jego bezśpiewne Macedony wyznali, że nie ma ludu, co by się tak rozpyływał dźwiękiem muzyki jak Indyanie, a jeden z królów perskich, wielce miłujący muzykę, posłał aż do Indów po graików i przyrządzili mu ztamtąd aż dwanaście tysięcy muzykantów.

Pomyśl, w jakich-to pieśniach liryczność miłosna tu obchodzi święto swoje. Ow zbiór pieśni: „Gitogowinda” zwany, tak śpiewa miłość, jej tęsknoty, radości i smutki i wesela, tak barwą promieniejącą maluje kwiaty i krzewy, i tchy powietrzne i niebo i ziemię, że już my biedaki na północy o takich pieśniach gorących i fantazyi takowej pojęcia nie mamy.

Obok epopei i liry, rozwinał się też i dramat, a świeci się pełne chwały imię Kalidasasa. Dotychczas trzy mamy dramata jego: pierwszy Sakontala, drugi Wikramurwasi, trzeci Malawika i Agnimitra.

Göthe, przeczytawszy Sakontalę, uniesiony jej cudnością uroków, sam wyśpiewał jej chwałę w mistrzowskiem zachwyceniu.

Rozpoczyna się ona od prologu. Występuje Bramin i błogosławi dzieło i grę artystów. Poczém pojawia się dyrektor i wypraszając z gotowalni aktorkę rozpoczyna z nią rozmowę. Rozmowa pełna uprzejmości wzajemnej i grzecznej oglady. Aktorka na prośby jego śpiewa dla rozweselenia publiczności wdzięcznemi tony.

Poczém akt pierwszy. Sceną puszcza indyjska z całym przepychem potężnym samotnej natury, o którym wspomniałem na wstępie listu tego. Król Duszmanta poluje w kniei; jadąc na wozie ściga antylopę. Wśród pogoni rozmowa z woźnicą. Już już doganiają szybkie zwierzę, gdy słychać głos z za sceny: „O królu! ta antylopa w naszej puszczy ma bezpieczne schronienie! Nie zabijaj jej!” — Król każe zatrzymać wóz. Pustelnik i uczeń jego występują na scenę.

Pustelnik. Nie zabijaj o wielomocny władzco biednego młodego zwierzątka! Nie zabijaj go, ono u nas znalazło przytułek dla siebie.... — Król przyrzeka zaprzestać łowów... Pustelnicy odchodzą.

Król Duszmanta (*oglądając się do koła*). Łatwo zgadnąć, żeśmy w pobliżu mieszkań pobożnych pustelników.

Woźnica. Po jakich oznakach poznać to można, o królu!

Duszmanta. Patrz pod owemi drzewami rozsypano ziarna dla samiec papuzich, by miały czém karmić pisklęta bezpierz. Widzisz tam młode jelenie, jako pełne zaufania do człowieka, przywykły nawet do głosu jego, płasają bez obawy. Powierzchnia rzeki czerwieni się korą święconą, która spływa falami jej wód. Tam korzenie młodych drzew kąpią się w świętych stawach, a wody dygotają od lekkich igrających powiewów. Ondzie znowu jasny połysk liści młodych, obwiany jest na chwilę dymkiem wznoszącym się z ofiarnych ołtarzów. Widzisz, jak tam spokojnie, sarniátko młodziuchne skubie trawkę.

Duszmanta (*schodząc z wozu, oddaje woźnicy klejnoty kosztowne*). Weź te drogie stroje. Z pokorą jedynie i bez światowych blasków trzeba wstępować do gajów nabożeństwu poświęconych. (*Głosy za sceną.*)

Duszmanta. Słyszę niewieście głosy (*patrzy przez krzewy*). Dziewczyny młode niosą dzbany do polewania roślin. Jakaż ich postać luba! Dlaczego wdziek dziewic ukrytego gaju nie pojawia się nigdy w pałacach? Niechaj ustąpią ogrodowe kwiaty, niechaj ustąpią miejsca kwiatom leśnym, co wdzięczniejsze wonią, wdzięczniejsze barw urokiem. (*Staje pełen podziwienia ukryty w gęstwinie krzewów.*)

Sakontala, Anusuja i Priamwada.

Anusuja. O Sakontalo, w twojem towarzystwie dopiero widzę, jak przepysznój i zachwycającej piękności są te drzewa ojca naszego Kanny. Zaiste tobie, któraś tak podobna do świeżo rozkwitłej maliki, przystoi polewać krzewy i kwiaty!

Sakontala. Nie tylko dlatego skrapiam kwiaty, że taka wola ojca naszego, choć i ta wola jego byłaby już dla mnie dostatecznym powodem; ale wyznaję wam, że tchnę miłością sieroty ku tym roślinom młodym.

Priamwada. Przyjaciółko moja luba! Krzewy przez ciebie skropione rozkwitną dopiero latem, które zaledwie co się rozpoczęło. Chciėjmy pokrzepić i te roślinki biedne, których czas rozkwitania już przepłynął. Cnota nasza tém wyższa, im wzniolejsza nad miłość własną.

Sakontala. Wyborna twoja rada (*polewa rośliny*).

Sakontala. Patrzcie, jak owo drzewo Amry przywołuje nas do siebie palcami liści swoich, rozkołysanych wietrzykiem łago-

dnym — zapewne chce nam szepnąć do ucha jakąś tajemnicę swoją. (*Wszystkie trzy dziewice zbliżają się do drzewa.*)

Priamwada. O Sakontalo! Spocznijmy tu na chwilę w cień jego.

Sakontala. A dlaczegoż właśnie tutaj?

Priamwada. Bo to drzewo Amry tobie zaślubione; tyś tak podobna do rozkwitłego powoju, co się oplótł około Amry lubej.

Sakontala. Słusznie cię nazwano Priamwadą, czyli „miłomówną”.

Duszmanta (*w ukryciu*). Ona iście prawdomówna. Czyliż usta Sakontali nie świecą jakby listek kwiatu? Czyli ramiona jej nie podobne do gibkiej łodygi? Piękność młodociana opłynęła jej postać całą!

Anusuja. Patrz, Sakontalo moja, jak to świeżo rozkwitła malika (powój), którąś nazwała Wanadosini, czyli „rozkoszą gaju”; ona wybrała sobie słodkie drzewo Amry za narzeczonego swojego.

Sakontala (*przybliżywszy się, wpatruje się z zachwyceniem drzewu i powojowi*). Jakoż luba jest ta roku pora. Ona tak wdzięcznie obchodzi wesela miłosne kwiatów!

Priamwada (*z uśmiechem*). A wiesz ty Anusuja, dlaczego Sakontala z takim uniesieniem radosnym patrzy na te rośliny?

Anusuja. Nie mogę zgadnąć, choć nad tem myślę i radabym bardzo wiedzieć.

Priamwada (*śpiewa*):

„Gdy Wanadosini wybrała dla siebie kochanka, to i mnie zaślubiony będzie ulubieniec sercem wybrany!” Otoż widzisz, Anusujo, tak właśnie do siebie teraz mówi Sakontala nasza!

Sakontala. To są, Priamwado, marzenia wyobraźni twojej.

Tak dramat ten płynie najcudniejszą sielanką, pełną tklivości rzewnej, słodkiej. Zgodzisz się ze mną, gdym tę poezję nazwał cichą misterną muzyką serca. Jest to sentymentalność pełna prostoty i słodczy, a przecież nie słodkawa, nie sztuczna i umysłowa. Łatwo też nam tutaj spostrzedz owo pokrewieństwo duszy z otaczającą w koło przeważną naturą i wielkie znaczenie tych cudnych jej uroków.

Rozmowa dziewcząt młodych rozwija się dalej tą samą uroczą prostotą, gdy pszczołka wyleciawszy z kwiatu maliki, brzęcząc oblatuje usta Sakontali. Ona broniąc się jej, ruchami wdzięcznymi zachwyca ukrytego Duszmantę; gdy pszczołka coraz śmielsza, coraz zuchwalsza, Sakontala przejęta trwogą, woła ratunku; w tej chwili z za krzewów pojawia się król, śpiesząc jej w pomoc. Skłopotanie się dziewcząt. Przecież zawiezuje się rozmowa z nieznanym, w której atoli Sakontala dla swojej nieśmiałości mniej ma udziału..... W końcu Duszmanta dowiadyuje się od Anusui, że Sakontala nie jest

bynajmniej córką pustelnika Kanny, że ojcem jęj był książę Kausika a matką nimfa Menaka. Radość najwyższa i szczęście bez granic przeżywa król, bo już żadna różnica kast nie zawadza mu do zaślubienia Sakontali. Lecz nie wydaje się ani z miłością swoją ani z imieniem. Sakontala z lękiem czując w sercu swoim nieznane jęj wróży miłości, pragnie odejść; przyjaciółki ją wstrzymują. Duszmanta, uważając że dziewczica zbyt utrudzona polewaniem roślin, imieniem kwiatów skropionych ofiaruje jęj pierścień kosztowny.

W drugim akcie: Scena na pograniczu puszczy, kędy rozpięte namioty króla. Przyjaciele i wodzowie Duszmanty, którym już ekliwne to życie w kniei, radziby go skłonić do powrotu ku stolicy. Ale król, przejęty miłością gwałtowną, pragnie pozostać w świętej kniei. Daremnie nawet wzywa go matka do stolicy na religijną uroczystość nadchodzącą; ale że pustelnicy, mieszkający w kniei, błagają od niego pomocy przeciw duchom złowrogim, którzy się pojawili w kniei, król używa tego pozoru i nie wraca do miasta.

W akcie trzecim: Miłość tak rozebrała serce Sakontali, że bliennieje, choruje, zwierza się przyjaciółkom swoim. Widzenie się kochanków. Trudnoby mi było, choć pobieżnie, podać ci treść a tém mniej najcudniejsze ustępy tego dramatu, bo on nader długi i ciągnie się przez siedm aktów. — Kochankowie zaślubieni. — Wtedy dopiéro król myśli o powrocie; błaga atoli Sakontalę, by w rychle za nim pośpieszyła do stolicy. Sakontala, żegnając się, prosi by nigdy a nigdy nie zapomniał o ich miłości. Król pokazuje jęj, że na pierścieniu czarnoksiężkim, jęj darowanym, wyryte jest imię Duszmanta. „Wymawiaj każdego dnia jedną z tych trzech zgłosek, a gdy tak całe imię moje przeczytasz, zjawi się dworzanin mój i zaprowadzi cię do królewskiego pałacu”.

Tymczasem Sakontala, zatopiona w swoim szczęściu bez granic, przeż niebacznosc nie oddała czci należnej obcemu braminowi, idącemu przez las. On, gniewem zdjęty, rzuca na nią przekleństwo.

Nadchodzi czas, w którym Sakontala wyprawia się do stolicy. — Powiernice jęj i pobożny pustelnik Kanna, który zastępował ojca Sakontali, odprowadzają ją na granicę puszczy. — Scena pożegnania najwyższej rzewności. — Sakontala przybywszy do stolicy staje przed małżonkiem. — On jęj nie poznaje! Podziwia jęj piękność, ale całe dzieje ich miłości wyszły mu z pamięci! Sakontala chce mu okazać pierścień, lecz pierścień zgubiony, zesunął się jęj z palca, gdy sięgała do poświęconego stawu. To nieszczęście, ta strata pamięci u króla są skutkiem przekleństwa bramina. Sakontala, zapomniana od męża, zelżona od dworaków, odchodzi z sercem rozdartém. Ona mniema, że Duszmanta zaparł się swojej miłości.

Nie długo potém rybak, złowiwszy rybę, znajduje w niej pierścień kosztowny; chcąc go sprzedać idzie do stolicy — schwytany, przyprowadzony przed Duszmantę. Na widok pierścienia nagle król

wraca do pamięci, wraca mu się uczucie najwyższej jego miłości do Sakontali. — Żal i rozpacz króla. — W końcu Sakontala wynaleziona. — Szczęście obojga kochanków.

LIST SZESNASTY.

E g i p t.

Wstęp. — Natura Egiptu i historia. — Teby — groby (hypogee) tebańskie. — Zwaliska Teb. — Memnony. — Piramidy. — Labirynt. — Usposobienie duchowe Starego Egiptu i wynikająca ztąd symboliczność jego fantazy. — Cecha rzeźby i architektury egipskiej. — Gadka stara.

Niekiedy i dobrze pomówić z umarłymi!

Nie wiem, czyliby się kto znalazł, coby, przeżywszy już znacznieszą część swojego życia, nie doświadczył czasem tych chwil niewypowiedzianej, rzewnej tęsknoty, kiedy się nam przykrzy w tém życiu powszedniem, tych chwil, w których serce zachodzi bólami całej naszej przeszłości i nabrzmiewa niby łzami cierpień bez końca. Są to chwile tak smętne i szare, że nam aż ciężko, dławno, parno na tym Bożym świecie, co przecież tak piękny a cudów pełny. Są to chwile, w których dobrze pomówić z umarłymi; wtedy dobrze utonąć w duszy, wskrzesić pamięć zgasłych ojców, przyjaciół, krewnych, i rozmówić się w myśli od serca z nimi; wtedy dobrze nawiedzić mogiły i groby i przenieść się w dawno upłynione lata; a często umarli ulecą zbolale dusze żywych.

A kto jeszcze przeżył długie lata w mieście jakim, toć pewnie na cmentarzu jego będzie miał część własnej przeszłości, część własnego żywota pogrzebaną pod ziemią. Dla tego też i na naszym krakowskim cmentarzu w każdej prawie godzinie, w każdej porze dnia znajdziesz kogós z miasta na samotnej pielgrzymce wśród grobów.

Wczoraj i ja taką wędrowkę odbyłem.

Śmierć, to wielka nauka dla żyjących! Jakoż, kłopotki i zmartwienia codzienne marszczą jedynie wierzchnie duszy fale, lecz gdy znienacka spadnie na ciebie całém brzemieniem skon drugiego człowieka, którego uczucia zrosły się z uczuciami serca twojego, wtedy nieskończone boleści, jakby burze i wichry Boże, roztworzą ci do dna duszy twojej topieli, i z głębin ich wyrzucają na jaw prawdy jak perły drogie, choć wśród cierpień zrodzone; bo wtedy co wiekuiste, co nieskończone, stanie w promieniu niebiańskim przed duszą twoją; co ziemskie, doczesne, zblednie, skurczy się w karła, zniknie, uleci.

Wtedy poczucie wewnętrzne ci wróży, że cię sam Bóg nawiedził. Czas zagoi wprawdzie głębokie rany serca w blizny; na miejsce wrzając, gwałtownej boleści wstąpią wspomnienia smętku i żalu, a przecież tak pełne słodczyi rzewnej. Ale to dopiero wśród grobów owieje cię dech innych światów, tak cichy i spokojny, że ci ukoji troski codzienne i ulży te biedy, biedki zwyczajnego żywota.

Takowym uczuciom dziwnie wtórowała sama pora roku na tej wczorajszej wędrowni mojej, po tym krakowskim cmentarzu!

Głęboka jesień przygasiła już wszystkie natury barwy; sposzarała te jasne nieba błękity; jej wichry obdarły z krzewów i drzew ów bogaty liści strój, co na wiosnę wykluwał się tak uroczo, tak pełen nadziei ku słońcu; dziś, jakby najdroższe serca ludzkiego uczucia, rzucony o ziemię wilgotną, zwalany, sponiewierany, poszedł na pomiotłę i gzy mroźnym, jesiennym zamieciom. Mgła mokra, gęsta, kłębami przewalała się po świecie, w niej jakby w morzu tonęły domy, wieże, kościoły; one teraz, jakby własne mary swoje, traciły zarysy, rozplywając się w kształty zamazane, omdlałe. Daleko jeszcze za miasto dopływały zegarów głosy, i stary Kraków nasz uderzył w swe kościelne dzwony, i harmonią ich tonów zaśpiewał tren żaloby, tak pełen grozy, tak przeciągły, głęboki i smętny. W końcu i ta pieśń oniemiała, umarła.

Wśród samotności a głuchego opuszczenia, niedaleko przed bramą cmentarza zaszedł mi drogę pogrzeb. Z grubej mgły występował zwolna, niby z obłoków, ubogi wózek o jednym zbiedzonym koniu, na wózku z prostych desek trumna, a na trumnie krzyż czarny rozmazany słotą; obok szedł woźnica, — on był sam jeden całym konwojem pogrzebowym. Mgła coraz gęstsza już obsłoniła nawet najbliższe przedmioty i zamknęła nas zewsząd oponą swoją; tak tedy umarli, i woźnica i ja składaliśmy sobie we trzech świat osobny, własny i cichy. Czasem tylko wózek zaskrzypiał, czasem trumna stukła, czasem zaklekotały nad nami suche gałęzie drzew. Tak w końcu stanął wózek u wrót cmentarza; dołów przygotowanych było podostatkiem; więc w rychłe zadudniła trumna w głębi, więc kilka łopat ziemi, a już nasz wędrowiec stał się jednym z gospodarzy na tej świętej roli Bożej. Blisko niego stos liści żółkłych, nawianych wśród grobów; one, chwyczone wiatrem, nagle się zerwały, skrzyły się w słup, a słup wierząc się i szumiąc poleciał daleko po nad mogiły, niby oznajmując im nowego przybylca; świerki zaś, te warty grobowe, co im tak bujno na naszym cmentarzu, zatrzęsły się w sobie zimnym dreszczem, zamruczały i wnet rozgadały nowinę po całym cmentarzu. A w koło już nie było widać istoty żyjącej. Głucha cisza zaległa tę nieprzejrzaną przestrzeń; niekiedy tylko tu lub owdzie zgrzytły drzwiczki blaszane na starych pochylonych krzyżach, niekiedy na grobie sykły zioła zwiedniałe, powiewem poruszone; westchnął zwiedniały listek, poruszył się na grobie; niekiedy coś stęкло pod ziemią — zapewne załamały się dawne spróchniałe

deski. W środku, jakby na rozstajnych drogach, czerniła się kaplica drewniana; ona choć biedna, z desek sklecona, jest jakby stolicą świętą tych grobów ubogich i tych pomników okazałych. Gdym wracając przechodził to nieboszczyków państwo, nie było już widać duszy żywej; zdawało się jak gdyby te długie rzędy grobów jedno po drugim z kolei wybiegały na przeciw mnie z pod zasłony wieczornego już mroku i mgły; jak gdyby te szyki czarnych krzyżów, pomników kamiennych, zachodziły długim, nieprzejrzanym szeregiem, niby wojska kroczące śpiesznie na przegląd Boży a ostateczny sąd. Były też mogiły bez krzyża i napisu; widać, że mieszkańcy ich wlekli krzyż przez cały żywot swój, i na nim też legli w grobowym dole; lecz imiona ich, łzawém zaprawdę pismem wyrte, trwają w pamięci tych, których zostawili na ziemi. Obejdzie się już bez pomników, — wszędzie ta ziemia jest święta, wszędzie sprawiona krwią i cierpieniem bez końca. — Cmentarz rodzinnego miasta, toć to jest kronika tej cichej historii rodzin, tych dramatów, co to odbywają się na szczupłej skromnej scenie domowej, nieznaniej od świata, a przecież tak często są pełne rzewności, tak bogate w serdeczną treść, iżbyś nią mógł nappełnić księgi całe.

Przebaczysz mi zapewne, że ci położyłem ułomkiem wewnętrzne dzieje uczuć; aleć one nie są bynajmniej osobistemi uczuciami; one przecież są wszystkim prawie ludziom wspólne, bo rzadkobys znalazł serce, do którego by nie zapukały choć z cicha myśli podobne; a wspomniałem ci o tém wszystkiém, dla tego, że z kolei przychodzi mi mówić o tym ludzie, którego życie całe było dumaniem nad śmiercią, o ludzie starego Egiptu, którego historia i kraj cały jest cmentarzem, kędy dech grobowy owionął wszystkie człowieka sprawy, od kolebki do śmierci.

Nieśmy atoli dzięki i chwałę ludowi, który pierwszy w stariej historii głęboką wiedzą a instynktową wiarą uświęcił prawdę o nieśmiertelności duszy, który, uznając świat materji jedynie za przybytek ducha a ciało za doczesne szaty jego, oddawał cześć ludzkim zwłokom; nieśmy, powiadam, cześć ludowi, który całe życie pracował by umarł i był pogrzebion z godnością.

Egiptą ziemię zewsząd obsiadły tłumnie narody, z których każdy w kolei wieków, niby na sejmach dziejów ludzkich, zabierał głos w świętej sprawie człowieczego rodu; sam tylko Egipt zamysłony milczał w ciszy ducha swojego; on bez bojów hałaśnych, bez wojen światoburczych zdobywał na własnych głębiach duchowych skarby, któremi zapomógł wszystkie w koło ludy i z bogacił późne wieki. Na wewnątrz siebie zwrócony, podsłuchiwał wiekuiowości zrodzenia i tonął we własnej istocie, tonął w bezdeniach nieba; w nich, jakby

na zegarze świata, myślą ścigał wieczne gwiazd obiegi. Aleć bo też i sama ziemia rodzinna tego ludu, jakby na zadumanie a zebranie myśli stworzona. Niby ona jest wyspą samotną, odrębną, a przecież wśród obszaru i twierdzy lądów stałych. Jakoż ze wschodu i zachodu dyszą dwie przestrzenie skwarne pustyni głuchych. Tam wszystko martwe, nieruchome, prócz piaszczystych zawiei; wszystko nieme, krom westchnień zbłąkanego wędrowca; tam jedynem życiem łew, tygrys, szakal lub kościste, trupie ramiona kaktusów, a nad pustynią bezmierną sklepi się tarcza nieba płomienna czerwonym żarem, rozpalając piaski i chaotyczne głązy pustyni barwą ognistą (*). Od północy wprawdzie morze Śródziemne bije otwartą falą swoją; lecz gdy dla innych narodów pomorza są wolnym, swobodnym oddechem ku światu i szerokim gościńcem, wiążącym społem ludy, dla Egiptu morskie wody są złowrogiem bóstwem; on ze wstrętem odwraca się od nich, wpatrując się jedynie obliczem niezmiennem we własny kraj, niby w dom a dzieje swoje. Więc tylko od południa jedyna jest brama do tej zamkniętej w sobie ziemi. Gdy bowiem Nil, spadłszy z Alpów Abissyńskich a przebrawszy się przez Nubię, dostaje się pod granice egipskie, już tutaj gruchocze nurty swoje o tysiące wysp opocznych i olbrzymie sterczące skalne samorody; a szumi i kipi, swawoli i pryska, zanim u samych wrót Egiptu z hukiem i grzmotem przewali się przez katarakty i progi. Tu w koło obstepuje go natura również dzika, zuchwała, groźna w przepaści i strome skalne ściany. Zaledwie atoli rzeka pominie Elefantynę, ostatnią wyspę przezwaną „wonnymi kwiatów ogrodem“, na której święty grób Ozyrysa; zaledwie tu dotknie się gruntu Egiptu właściwego, a już miarkuje swoje wody, już upamiętawszy się płynie uroczysto, poważnie, w milczeniu, jakby ze czecią, z uszanowaniem przez ten kraj również uroczysty, poważny, i tak już zwolna, z cicha łączy w nieskończone morza objęcie.

Ale już przy wstępie do Egiptu zbliżają się do obu brzegów pasma gór, a ścianami rudawemi towarzyszą rzece bez przerwy, zostawując między sobą dolinę wąską, bo szerokości ledwie kilkomilowej. Tym tedy pasem ciasnym, zielonym, bieży Nil nierozdzielonem łozem; z obu stron za górami ziewają owe pustynie samotne, głuche. Dopiero gdy rzeka podpłynie w sąsiedztwo morza, oba pasma oddalają się od jej brzegów, rozchodząc się w odwrotne sobie strony. Nil tutaj, wypuszczony z ciasnych karbów na przestrzeń kraj, rozstepuje się we dwa potężne konary, a tak zdradza one sławne w świecie widły swoje — *Deltę*. Egipt tedy różni się postacią od

(*) Pan Tępa, jeden z najznakomitszych artystów naszych, odbywszy podróż po Wschodzie przywiózł nam szkice i studia z Egiptu; on pędził jakby w tych skwarach promiennych umaczanym przedstawił potężność i strachy i przepych tych pustyni, niżby tego dokonać zdołały wszelkie opisy moje.

wszystkich innych krajów na Ziemi; on cały jest tylko rzeką z dwoma długimi a wązkimi pobrzeżami i z płatem szerszym przy końcu; więc go też Herodot uważa być podobnym do cienkiej zielonej łodyki o jednym liściu u szczytu, a rzuconej na czerwony piasek pustyni.

Jak do tej samotnej doliny, odgradzonej od świata, rzadko tylko zalatują turkoty historii i wrzaski wywrotnych wojen; jak w sercu ludu tego przebywa cichy, głęboki pokój, nie zamacony namiętności wojną, — tak też i niebo jego ciche, bezchmurne; nie ujrzyś na niem onych wiecznie zmiennych kształtów i ruchawych barw obłocznych, onego dramatu, co, ciągle walcząc, ciągle się przeobraża w nadpowietrzną scenie; tu spokojny błękitów strop zagląda milczący w kraj i w spokojne a ciche serce człowieka (*).

Jednakże najpotężniejszem znamieniem kraju, które się już nigdzie więcej z tą dobitnością nie powtarza, jest Nil. On nabrzmiewaniem i opadaniem wód swoich zrodził w duszy człowieka niezachwianą myśl o rządzie i ładzie niezmiennym Świata, i rozdzielił rok Egipski na trzy silnie odgradzone od siebie pory; on był drogą którą z południa przyplęnęła cywilizacya. Na brzegach jego następują po sobie trzy dzielnice geograficzne kraju, trzy miasta stołeczne i trzy odpowiednie im epoki historii. Jakoż oświata ze starożytności, z pradziadowego a zapomnianego Meroe, założyła w wyższym Egipcie Teby; później, z upływem wieków, dźwignęła w Egipcie średnim państwo Memfis i zbudowała owe piramidy swoje; w końcu, zatrzymując się nad morzem, wystawiła w Alexandryi tron Ptolomeuszów. Tutaj atoli już duch Grecyi zawiął Egipt i zmienił postać jego. Więc też owe same dwie pierwsze dzielnice kraju a pierwsze dwie epoki historii są istnym wyrazem fantazyi i właściwego żywota jego (**).

Znać ze wszystkich zjawisk, że Egipcjowi sztuka przyszła z południa, z Etyopii; wszak ztamtąd nawet wstępuje do Egiptu owa archi-

(*) Co do natury Egiptu porówn. Ritter, Erdkunde T. I. od str. 677. — Śpieszmy zawiadomić czytelników, że niedawno przybyło do literatury Polskiej dzieło nowe *Podróż na Wschód* przez M. Manna, w którym czytelnik znajdzie wierne obrazy natury i sztuki starożytnego Egiptu, co tém dokładniej przedstawia nam ten kraj niesłychanych cudów, że autor sam go zwiedzając pisał książkę swoją pod wrażeniem świeżem i żywem, którego doznawał na miejscu, otoczony będąc w koło scenami tej nadzwyczajnej przyrody, i zabytkami nadzwyczajniejszego jeszcze ludu. Wyjątki z tego dzieła, dotychczas ogłoszone, dowiodły, że autor miał oczy i uczucia otwarte na świat, że dostrzegał nawet szczegóły, co, choć niby drobne, nie pomalu przyczyniają się do kolorytu i tonu obrazów.

(**) Wiadomo nam, że w najświeższych badaniach historycznych znajdują się domysły, wywodzące inaczej pochod historyi w Egipcie; ale owe badania dotychczas, o ile sądzić się ośmielam, nie poparły jeszcze dostatecznie twierdzenia swego. (Nowsze badania nad historią Egiptu znakomitych egiptologów, jak: Lepsius, *Denkmäler aus Aegypten u. Aethiopien* 1849—60, *Das Königsbuch der Aegypter* 1858; Brugsch, *Historie de l'Egypte* 1859, *Recueil des monumens égyptiens* 1862 i nast. potwierdzają w ogóle powyższe zarysy, podane przez Kremera. — St.)

tektura we wnętrzu skał wykowanych świątnic i w łonie gór wydrążonych przybytków, przypominających Indye; a lubo tutaj na ziemi egipskiej budowanie usamowalnia się już z objęcia podziemnej natury, przecież olbrzymie pieczary, tak rozłożyste a zdobyte pracą niesłychaną i żelaznym trudem, świadczą i o pochodzeniu swoim i o potężnej niezłomnej woli starego Egiptu. Bo jak ów robaczek z piersi swych wysnuwa jedwabną przędzę, i biedzi się i sili, by z niej utkać grób dla siebie, co go kiedyś ma wypuścić lekkim skrzydlatym motylkiem, tak dusza ludu tego, niespracowana nigdy prządka, z siebie wydobywa nadczołowieczych prawie sił i wytrwania bez granic, i walczy ze skałą i mocuje się z nieużyta, twardą naturą, by sobie stworzyć pośmiertne mieszkanie, kędyby już mogła spocząć w ciszy i doczekać się zanim też jej wyrosną wiekuistości skrzydła.

Tak Egipt jest cały cmentarzem a jego najwyższą sprawą życia jest dumanie nad śmiercią, obrzęd pogrzebowy, i oddanie czi zwłokom umarłych.

Nad Tebami, na ścianach zachodniego pasma gór, co tak silnie odsadza czerwona kształty swoje od jasnych nieba błękitów, czerwioną się płamy, idące po sobie jakby następstwem otworów fujarki pasterskiej; są to wchody do podziemnego, w górze wykutego, państwa umarłych. Gdy pustynia chuchnie, rozpieczone jej tchy wlatują w głębie tych pieczar, a one jękną tonem żalonym, długim. Więc też z dawien dawna zowią te grotty fletnią (Syrinx). Dziś, w pierwszych przysionkach do tajemniczego Świata przeszłości, znajdziesz rodziny na pół dzikich Arabów, którzy niby pasterze, niby rozbójnicy tutaj wraz z trzodami założyli legowiska swoje. Drgający płomień kaganca oświeca gospodarowanie barbarzyńców w tym świecie ponurym, tęsknym. Na pół nadzy rozkładają się na mumiach i czaszkach z wieków Faraonów i warzą sobie wieczrze przy ogniu roznieconym z trumien spruchniałych i z kości dawno zapadłych pokoleń; bają i prawią o przygodach, o rozbojach, o podstępach swoich, i chełpiąc się pokazują sobie wzajem naszyjniki, figurki, pierścienie i inne łupy wykradzione z głębin kośnice starych. Bo oni przywłaszczyli sobie puszczną po tej siwej przeszłości Egiptu i rabują groby zgasłych stuleciów jego. Więc z szalbierska handlują swą zdobyczą, więc zazdrośni frymarku za ciężkim okupem pozwalają wstępu obcym do wewnętrznych pieczar grobowych. Lecz gdy w nie wstąpisz, gdy przy płomieniu pochodni rozpatrzysz się w tych nocnych przestrzeniach, już świat jakiś, zgrozy a uroczystości pełny, obejmie cię całą potęgą swoją; otoczy cię zamęt ulic, placów, przysionków, komór i t. d., za nimi ciągną znów inne krążganki, chodniki, a za temi znów inne i tak bez końca; tu schody w górę się spinają, tam inne idą w głąb; tu schody wyprostowane, szerokie, tam skręcają się ślimakiem; tu na czworaku po ziemi płeść się potrzeba, tam znajdziesz salę przestronną, wysoką, słupiąstą, gdzieindziej znów zapadają, niby studnie, szyby pionowe i giną w głębiach niedojrzanych. Całe to

pieczar państwo gmatwa się labiryntem powikłanym, całe wykute w litęj opoce, całe założone zwłokami umarłych pokoleń. Setkami, tysiącami piętrzą się mumie na mumiach, na trumnach trumny; znać, że wiek po wieku wnosił tu zwłoki swoje i układał w stosy, budując z nich jakby twierdze śmierci i pomniki znikomości ludzkiej.

Przez ten świat skonu i zniszczenia atoli wygląda życie starego Egiptu w całej prawdzie, z całą treścią domowego obyczaju. Ściany w koło strojne w obrazy malowane, a tak barwami świeże jak gdyby wczoraj dopiero wyszły z pod pędzla mistrza. Tu widzisz stolarskie, ciesielskie warsztaty, tam piekarze lub czeladź garbarska krząta się pilnie około pracy swojej; indziej znów uwija się skoczne grono tancerzy a wtórują im grajki i dudarze; często też wśród tych scen codziennych zwyczajów wciskają się nieme a tak pełne wymowy przestrogi z innego świata. Przed pałacem wiekuistej sprawiedliwości zasiada na sądzie Ozyrys, otoczony orszakami swojego dworu; przed nim stanęła dusza zmarłego. Ozyrys na szali waży i mierzy sprawę jej ziemskiego żywota i stanowi niezmiennym wyrokiem o losie jej, o pokucie powtórnej na ziemi, lub o nagrodzie w promienistej krainie gwiazd. Tych sądów pośmiertnych znajdziesz tu gęsto: jedne malowane na ścianach, inne na papyrusach, dodane jakby posagiem mumiom w śmiertelne powicie. Niekiedy w końcu korytarza dygoce i mruga w kołyszącym się świetle pochodni postać rzeźbiona występująca ze skalnej ściany.

Ale tu, gdzie niegdyś panował ład i ścisły szyk, dziś rozpustuje gburowata swawola. Widać, że tu często ręka świętokradzka, poderwawszy niższe warstwy trumien, zwała całe to misterne budowanie, a setki mumij rozsypały się po ziemi dzikim zamętem; kędy stąpisz przebijesz nogą cztery, sześć i więcej ciał spróchniałych, a z nich miał gęsty, gruby, czarny unosi się chmura, miesza się z powietrzem, dławii oddech, grożąc zaduszeniem.

Te prochy brudne, ta tłuszcza nieprzebrana ohydnych nietoperzów, które, ocuczone ogniem pochodni, ze świstem i piskiem wirują koło wędrowca głowy, wyziewy i cuch z nieprzeliczonej cizby umarłych ciał, zaducha skwarna niby rozpalonej huty w tych sklepach smętnych, uderzają zgrozą zmysły i znękaniem ciało. A pamięć olbrzymiej, tu pochowanej przeszłości, żywa obecność śmierci i zniszczenia, trud i dzieje tylu pokoleń, cienie lat tysiąców, które tu przemieszkały, napominające a groźne oblicze historyi, to wszystko ciężkiem brzemieniem pada na duszę, i niby snem straszliwym nagli, by się wydobyć z objęcia tych widziadeł i odetchnąć swobodnie w jasnym słońcu dnia i żywota.

Więc niby odrodzony znajdziesz się na wyżynach górujących owe katakumby; ale tu nowe, lubo inne, dziwy niewypowiedzianą siłą chwytają za serce wędrowca. Pod stopami, po obu pobrzeżach nilowych rozścięła się niedoścignione 'okiem morze zburzysk, rozwalin. Są to rozsypiska Teb, najstarszego miasta w stariej świata cywiliza-

eyi. Wszak Homer, temu lat blisko trzy tysiące, sławi głośną już wtedy potęgę i chwałę Tebańskiej stolicy, a zdobywając się na wyrażenie najwyższej zamożności śpiewa: o piaskach morskich zamienionych w złoto, lub o skarbach, które się w stobramnych Tebów liczą mieście:

Gdzie w pole każdą bramą idzie mężów dwieście,
Koni i wozów liczne prowadząc szeregi.

(*Iliada* IX. 382.)

Dziś ta pieśń wielkiego wieszca żyje jak przed trzydziestu wiekami, ale ów lud budownik przebrzmiał niby struna lutni zerwana; a miasto jego, ognisko stołeczne staréj kultury ludzkiego rodu, stojące w grobowce, pałace, świątynie, zubożone posagiem Indyan, Arabii, murzyńskich krajów i ludów zaoceńskich, — to miasto do imienia prawie przepadło w zapomnieniu. A jak nici pajęczce na drogich stłuczonych rzeźbach, tak dziewięć wieków siadło, wraz z gruntami swojemi, na obaliskach jego; przylepiły dymne chatki i gołębniki swoje do przepychu wywróconych piękności dzieł, na które składały się robotników miliony i długi szereg wymarłych po sobie pokoleń. Te nędzne wioski nadają dziś nazwiska swoje dzielnicom osobnym roztrzęsionych Teb.

Teraz te gruzi, niby bawidelka naukowe, rozwożą po świecie. Każda stolica nasza radaby się pocieszyć, jakby cackiem, sfinxem rodzimego egipskiego pochodzenia, zapominając, że nasz własny czas jest sfinxem, co grozi zdławieniem każdemu, kto nie rozwiąże jego zagadki — kto nie zrozumie jego tajemnicy. Wszak z łona starych Teb przywieziono do Europy ów obelisk Luxoru i postawiono w Paryżu na ozdobne ubranie miasta. Gdy drugi, jakby bliźniak, jemu podobny obelisk świeci jeszcze swym blaskiem w egipskiem słońcu, tamten, wyrwany z pod boku jego, rysuje się i trawi w chmurach i mrozach północnego nieba. Obcy gość, z pod obcego nieba, z innych lat tysiąców stanął wśród pokolenia obcego sobie i przemawia hieroglifami do naszego stulecia.

Gdy nam w Europie pokazują malowane widoki egipskich budowli, gdy w zbiorach bogatych znajdujemy grobowce, posagi z nadnilowych brzegów sprowadzone, toć kształty téj architektury, téj rzeźby, tak nam się zdają podsadziste, grube, a postaci rzeźby egipskiej tak niby chude i twarde, że nam już trudno dopatrzeć się w nich piękności jakowej. Ale, powiedz, czyli ktoś zdoła nawet odgadnąć duszę choć maléj, ulotnéj piosenki, kto zarazem nie rozumie ojczystego jéj kraju, kto nie rozumie szeptu borów tego kraju i westchnień jego łąk, i muzyki jego wichrów i wód? kto nigdy nie przyłożył ucha i serca do gruzów, do mogił jego, i nie podsłuchiwał pulsów, bijących w głębi téj ziemi? — Więc téż dziełom Egiptu przypatrzeć się należy w Egipcie samym; gdy na nie tchnie powietrze ojczyste, gdy je opłynie poświata i barwy rodzinnego nieba, gdy zafarbuje

właściwemi kolory, wtedy owe zdętwiałe kształty nabiorą życia i ruchu, uduchownią się, uderzą potężnym zarysem swych linii, i zagrają siłą swych światel i cieniów, tak pełnych tajemniczego uroku. Tu na tej ziemi egipskiej kolumny greckie, choć tak szlachetne i czyste w rysunku swoim, budowania rzymskie, choć tak śmiałe i harde, będą nikłe i omdlałe bez wydatnych cieniów i światel, bez dźwięku i siły. Te greckie zwłaszcza budowania, postawione na ziemi egipskiej, obok dzieł własnych Egiptu, będą śpiewem niewieściu obok grzmiących hymnem organów. Więcej niż którakolwiek inna fantazyja, fantazyja egipska doszła się życia u piersi własnej ziemi, dochowała się i urosła w objęciu ojczystej natury. Nigdzie już więcej nie spotykamy tak wspólnego nastroju tych dwóch potęg, tak różnych od siebie, bo spraw ludzkich i przyrody krajowej. Dla tego też w Egipcie sztuka tak do siebie zawsze podobna, tak sobie samej wierna, tak wpływem wieków nie traci właściwego wyrazistego piętna, jak natura Egiptu zachowała wiernie rodzimą cechę swoją. Więc też dość jest przypatrzeć się jednemu z dzieł egipskiej fantazyi artystycznej, aby sobie już wywróżyć ducha, spoczywającego na dnie wszystkich tych dzieł i we wszystkich dzielnicach kraju i we wszystkich epokach jego historyi.

Teby atoli są sercem całej sztuki egipskiej, a choć dla łatwiejszego upamiętania się podzieleno zamęt ich gruzów aż na dwanaście grup osobnych, dla nas wszakże wystarczy wspomnieć o zburzyskach pałacu Karnak; szczęty jego szczęśliwiej zachowane wystarczą za wszystkie inne. Nie będziem się też wdawali w szczegółowe opisy, bo te już dziś w lada książce znaleźć możesz; chodzi mi jedynie tutaj o to, by odświeżyć w myśli twojej zarysy Egiptu, byśmy się mogli tém snadniej porozumieć z sobą.

Tuż od wschodniego Nilowego brzegu, sześć set kolosalnego wymiaru sfinxów, o głowie niewieściej a lwim kadłubie, staje dwoistym szeregiem po obu stronach szerokiego gościńca. Ten później rozszczepia się na dwie ulice sfinxowe. Jedna ma się na lewo i dobiega do świątynicy najdawniejszej w całej Tebaidzie; kolumny jej ciężkie, kształty osiadłe, poważne, zadumane, a światło, po mistrzowsku użyte, nie wpada wprost w przestrzenie przybytku, ale odbijając się i łamiąc, rozlewa się z góry mistycznym i tajemniczym urokiem. Lecz to arcydzieło starodawnego Egiptu zmaleje, gdy się weźmiesz na prawo onego gościńca głównego i puścisz się drugą ulicą sfinxową, wiodącą ku pałacowi Karnak.

Sam wstęp już do tego dziwnego gmachu jest jakby wspaniałą przedmową do czarodziejskich wielkości, które czekają na wędrowca we wnętrzu starego grodu. Bo pilon wchodowy i przysiónek wstępny jaśnieje i kosztownością materiału i dobraniem artystycznym jego barw; tu świetne marmury i granity różowe, i piaskowce różnobarwne spływają w jedność wspólnego akkordu; przed bramą dwa olbrzymy, niby dwie warty kamienne, strzegą wejścia do świętego przybytku.

Wień z napiętą wyobraźnią a naprężoną bacznością wstępujemy do pierwszego dziedzińca, co ogromnie rozlega się niby rynek miejski. Tu wywróćiska na wywróćiskach piętrzą się w mogiły, w góry. Obalone kolumny, zgruchotane kolosy, stłuczone obeliski płatają się z sobą i sterczą szalonym nieładem. W koło dziedzińca obiegają podsienia, wsparte na długim szeregu kamiennych filarów. W środku, jak znać, dźwigały się dwa rzędy kolumn monolitowych (z jednej sztuki) a wysokich niby dom czteropiętrowy (70 stóp), ale wszystkie trzęsieniem ziemi są strzaskane, prócz jednej; one potłuczone w kręgi mieszają się z sobą niby porozciskane warcaby. Między te słupy przechodziły niegdyś ofierne kapłany i tłumy nabożnego ludu. Na drugiej stronie dziedzińca, wprost wchodu, roztwiera się nowa brama, nowy pylon, nowy przysionek. Taż katastrofa natury, która wywróciła owe dziedzińcowe kolumny, obaliła jedną połowę wstępną bramy (pilonu) a gruzy leży tak potężnym chaosem, żeć się zdaje, jak gdyby się góra urwała z posad swoich i wysypała tu wnętrzności swoje. Tędy to wstęp do najogromniejszej sali jaka jest na świecie. Bo ta sala tak rozłożysta, iżby kościół N. Panny w Paryżu w niej pomieścił się z łatwością. Ta sala jest ze cztery razy obszerniejsza, niż nasze krakowskie Sukiennice (bo 318 stóp dł. 160 szer.), a tak wysoka, że kolumny podpierające strop sięgłyby prawie pod sklepienie tak śmiało naszego maryackiego kościoła (88 stóp) — tych kolumn podpierających kamienną powagę jest niby las, bo jest ich 134, a wszystkie z jednego kamienia! a wszystkie tak grube, że na gziem-sie, obiegającym ich głowice, sto ludzi wygodnieby stanąć mogło. Z tej sali wyprowadza nowa brama, znów olbrzymi pylon, za nim znów nowy dziedzińiec, a za tym dziedzińcem znowu inny czwarty pylon z bramą; od niego dopiero idzie wstęp do wewnętrznych najbogatszych gmachów. Jeżeli już wszędzie poprzednio lśniły obrazy pozłoty i rzeźby, toć tutaj w tych świetlicach już niewyczerpana błyszczy bujność stroju i ozdób, i rzeźb. Processye, bitwy, ofiary, łowy, tryumfy, bogi i ludzie, obcy i swoi, przesuwają się na ścianach niby kamienna epopeja niesłychanego przepychu.

Zważ, to samo trzęsienie ziemi, co poderwało kolumny na dziedzińcu i połowę wstępnego pilonu, nie zdołało przemódz potęgi owęj sali. Walący się pylon dosięgnął i zgruchotał trzy najbliższe kolumny, uderzył i w czwartą, ale ta już nie zadrgała w sobie i do tej chwili dźwiga całe bezmierne brzemie onych chaotycznych gruzów. Natura, wojując swoją ślepą siłą materyalną, nie przemogła tutaj materyalnej potęgi dzieł człowieka. Sala ta dziś w tej samej postaci, w jakiej była przed 3000 lat.

Trudno się upamiętać i uspokoić rozkołysaną imaginacją; dusza tu widza ciągle, jakby na skrzypcu, od wrażeń potężnych przechodzi do silniejszych, do potężniejszych jeszcze. Dwadzieścia bram są tutaj wchodem do wewnętrznych komnat, sal, korytarzy, izb, rozdzielonych w sercu samém tego świata stariej architektury. Zrozumiesz

najwyższe zachwycenie wędrowca, jeżeli zważysz, iż te ogromy wszystkie, te wszystkie pilony, dziedzińce, bramy, sale, przysionki, zbudowane są na wspólnej osi, na jednej linii ocznej, perspektywą olbrzymią. Zrazu, na przodzie, uderzają gwałtowne wielkością kształty i gwałtowne światła i cienie; te stopniami nikną, gasną, zbliżają się do siebie, aż na końcu w niedościgłej dali mdleją, tonąc w błękitnej sreżodze atmosfery, niby tony oddalającej się muzyki. To państwo niesłychanej świetności otoczone było w koło murem, a tak składało się w całość, której już nie sprosta żadne budowanie w nowej Europie. Zbliżał się może do niego Rzym swoją architekturą w czasie najwyższego górowania, gdy trzymał żelazną ręką cały ówczesny znany świat. Ale kościół Św. Piotra dzisiejszego Rzymu, wraz z kolumnadą dziedzińca swojego, znacznie jest krótszy (bo o 111 stóp), niż długość pałacu Karnak, licząc od sfinxów wschodniej do zachodniej bramy.

Słusznie ktoś z najpoważniejszych wędrowców powiada, iż rozwaliny tego pałacu w Karnak są najwspanialszym i najogromniejszym zabytkiem starożytnej i nowożytnej historii. A Champollion, którego zapewne nikt nie posądzi o przesadę, tak się wyraża: „Egipcjanie zabierali się do dzieł takich, jak gdyby byli wielkoludami sto stóp wysokimi. Taż wyobraźnia nasza, co snadno myślą wylatuje nad kolumny budowli europejskich, tutaj pada zemdłona u podnoża kolumn pałacu Karnak. Ani mnie też zbiera chętka skreślenia obrazu jego, bobym nie sprostął i w tysiącznej części przedmiotowi; a nadto, gdybym nawet zdobył się na jakiś opis jałowy i bezbarwny, toczyłby mnie jeszcze w Europie przewali zapaleńcem, albobym może i powiedział, że na rozumie zaszkwankował“.

Jużby ani słów, ani miejsca stało, gdyby mi przyszło choć pobieżnie wspomnieć o Luxoru chwale, o grobie Ozymandiasa, co zaludniony mnóstwem kolosalnych figur, o tym stropie kamiennym, który cały z jednej sztuki, a świeci złotymi gwiazdami na lazurówym tle, lub o owych gruzach, które się zdają być rozwaliną miasta, a które przecież są tylko gruzami strzaskanych posągów o wymiarach ogromnych, lub o onym Hippodromie, miejscu widowisk i igrzysk, ćwierć mili długim, a półwierci mili szerokim.

Wpółśród zwałiska siwej przeszłości, siedzą w spokoju i ciszy głębokiej owe dwa olbrzymie Memnony z glazu wykute, a są tak ogromne, że je w koło o dwie mile obaczysz. Długi i przeciągły ich cień dosięga ścian oddalonych gór Libijskich, i niby widziadło starego Egiptu, krocząc mierzy uciekające światu godziny. Niedgdyś te Memnony witały każdy wschód słońca głębokim dźwiękiem, niby pieśnią poranną; „był to dźwięk“ powiada Strabo „jakby zerwanej struny“. Dziś Memnony nieme, i w tém milczeniu swoim znów przetrwają nowe lat tysiące. Przychodnie z Europy nocują przy ich stopach, by się z pierwszym promieniem słońca dosłuchać tajemniczej ich mowy. W mroku nocy, przy migotach jasnych gwiazd przeczystego egipskiego

nieba, kształty olbrzymów rosłą w ogrom straszliwy; w około słychać kwilące szakale, ze szczeliny posągów wybiegają ze szmerem gromady jaszczurek, wiatr szepcze z cicha około głów Memnonów. Ale one same milczą; światło i promienne ciepło słońca, już nie budzi więcej oniemiających tonów. Już wszystkie struny pękły w piersiach dawnego Egiptu. Bo dla świata inne ciepło, inne światło, inne słońce weszło w sercu człowieczego rodu, a powitały je znękanie miliony pieśnią radości i dziękczynienia. — Mowa tajemnicza Egiptu już jest poniewczasie.

Te przepychy i wysilenia ludzkie wywróciły już szalone siły natury, już owe, również ślepe i dzikie, z Azji przybyłce; a pierwszym z nich był ów Kambizes Pers, co to brodził we krwi, w winie, we łzach ludzkich, i wyprowadził burdy po świecie; on pijaną pięścią uderzył w tę siwą, zasnęłą cywilizacją egipską; lecz szalony zawadyaka zgruchotał jedynie głazy; duch Egiptu nie tknięty wzniósł się w niepokalaną zacność i zasiadł na zburzyskach swjej stolicy, niby na tronie a majestacie swoim, i z nich patrzy na rodzące się oświaty potomnych narodów niby na wnuki swoje; a ów warchoł azyatycki przepadł w swém nicestwie.

Zważ, przez dwieście lat tu plondrowali i gruchotali Persowie, a przecież gruz, co ich przetrwały, tak są piękności a rzewności pełne, tak wejrzeniem swojem grają w duszy wędrowca, że przejmują czcią i dreszczem uszanowania. Pomyśl, co było z tych stolic naszych europejskich, z tych Londynów, Neapolów, Berlinów, gdyby się ziemia pod niemi zatrzęsła, gdyby w nich przez dwa stulecia gospodarowały barbarzyńskie burzyciele, gdyby jeszcze na dobitkę, jak w Tebach, po ich rozsypiskach przeorało się ciężkim pochodem dwa lub trzy tysiące lat? Może późny jaki wiek dokopałby się w ich rumowisku skorup dzwonów potłuczonych, jakich ułomków z oprawy ostrolukich bram, lub innych okrucich z dziełności średnich wieków; reszta zamieniłaby się w kupę gliny, tynku i błota!

Atoli rozsypiska, pozostałe w Tebach po pomnikach architektury publicznej, po grobowcach, świątnicach, pałacach królewskich, zajmują dziś przestrzeń równą połowie Paryża, a przecież te budowania stanowiły niegdyś samo tylko ognisko miasta. Dodaj więc w myśli obszar okryty domami mieszkalnemi, zabudowaniem prywatnem, rozciągającym się zaiste w głąb okolicy, a zrozumiesz roztoczystość tej stariej stolicy Egiptu.

Jakoż od samych granic Egiptu do Teb, i znów poniżej tej stolicy, pobrzeże Nilowe wysadzone jest, jakby w klejnoty drogie, pomnikami architektury. Świątnice, groby, pałace stanęły szeregiem nad rzeką, a ich kształty urocze przeglądają się spokojnie w jej wspaniałych wodach. Bliżej Memfis rzadnieją te budowania, ludność gęsta, przechody wrogich ludów zniweczyły bogate dziedzictwo z dawnych lat. Choć więc i starożytne Memfis zaginęło do śladu, choć wygasła pamięć życia jego, zostały przecież w całej potężności pomniki śmierci po Memfickich władcach — one Piramidy.

Być może, iż jak mówią, te grobowce bezmierne dźwignęły obce przychodne króle (Hiksos) i że z obcych krajów na ziemię egipską przeniosła się myśl tych mogił kamiennych; ale to pewna, że lud egipski, przyjąwszy już tę myśl za swoją, wykonał ją po swojemu na stopę niebotyczną. Dumanie nad śmiercią urosło tutaj w widziadło ogromne i skamieniało w Piramidy. Patrzac się na umiejętność pracowników, na ich wytrwałość bez granic, rzekłbyś, że te przybytki śmierci, są żyjących sławą. Ciężka opoka, twarda skała — materya głucha tutaj przemożona od człowieka, i zniewolona służyć na cześć jego zwłokom, boć one są przecież nieśmiertelnego ducha szatami. Więc ze szczytu tych piramid nie tylko czterdzieści wieków spogląda na świat; z tego szczytu patrzy jeszcze duch, zwycięzca bezmyślnej natury; ten szczyt jest podnożem jego chwały i tryumfów jego. Więc tu u stóp piramid, na pograniczu pustyni leży ów potężnych wymiarów sfinx; on symbolicznie broni życiodawczą rolą od piaszczystych zawiei; wszak i one są innym kształtem téjże materyi wiecznie zawistnej pracom człowieka. Gdy tak duch w Egipcie przełamał skały i obronił się wiatrom, już i chwycił pod panowanie trzeci żywioł, bo wodę; więc wyżłabia kanały, stawia śluze, jazy, tamy, kopie owe wielomilowej przestrzeni jezioro Meris, a tak zmusza wody by służyły łakom, polom i ogrodom. Wśród tych atoli prac zwyciężkich, stało się dzieło obłędu, jakaś zagadka kamienna — ów Labirynt! O nim stary Herodot, choć tak przejęty miłością dla swój Grecyi, prawi: „Gdyby Helenowie nasi wszystkie budowy swojego stawiania razem złożyli, jeszczeby się nie zebrało na dzieło, jakim jest Labirynt. Wszak mi nawet wyrazów nie, starczy bym zdołał piramidy opisać, a cóż dopiero mam powiedzieć o budowaniu tém, o onych dwunastu ogromnych, dachem pokrytych dziedzińcach, o dwunastu pałacach jego, o 3000 komnatach! Nadziemną część, mówi dalej, sam widziałem, jest to dzieło wyższe nad siły człowiecze“ i t. p. (II. 148).

Rzekłbyś, że na Egipt padło powołanie niesłychanej pracy i sileńia się z sobą, by położył podwaliny dla przyszłej ducha budowy, lecz że ten świat duchowy był dla niego jeszcze obłędnym labiryntem, nie do rozwiązania zagadką. Wszak sam ten Egipt, niby w chwili jakiegoś somnambulicznego przeczucia, wyrokował o sobie owym, tak pełnym treści, napisem. W Sais wznosiła się świątnica bogini mądrości Neet, „która nie ma pochodzenia i sama z siebie idzie“; nad wstępem głównym wryte były te słowa: „Ja jestem wszystkiem, co jest, było, będzie. Nikt ze śmiertelnych nie podniósł méj opony — owocem żywota mojego jest Helios — słońce, wiekuiście światło!“

Ten napis jest testamentem Egiptu, którym zapisał dorobek swój światu; poczem jakby naródów patryarcha położył się, by umarł.

A liczną, tłumną falą mnogie wieki spływały do wieczności łona,

mnogie pokolenia przeszły światem, a nikt nie podniósł onęj tajemniczej opony, nikt nie rozwiązał onęj zagadki.

Aż gdy cielesność została ukrzyżowana, a Bożem zmartwychwstaniem „sama śmierć umarła“, już spadły wszystkie opony, a rozzerwała się téż od wierzchu do dołu i owa zasłona jerozolimskiego kościoła, a z za téj opony wystąpił objawiony duch.

My dziś, bogate dziedzice przeszłości całej, wykołysane dzieci Wiary, zbieramy niebiańskie róże, urosłe na cierniach dawno zameczonych stuleciów. Dla nas w świecie ducha nie ma zagadki, bo nam się objawił sam Bóg. Prawda jest naszą najświętszą powinnością i najświętszym prawem naszym. Zdołamy więc zajrzeć w głębię duszy Historyi świata i zrozumieć pulse wieków; zdołamy więc zakląć ducha zmarłego Egiptu, by przemówił o sobie językiem dzieł sztuki swojej.

W Indjach dzikim zamętem mięsza się jeszcze duch i materyalna natura; tam człowiek opojony, oczyniony jeszcze czarodziejską mocą sił przyrody, daremnie się szamocze i miota, by się wydobyć z jej objęcia. Do Egiptu, jakby dawne wspomnienia, dolatują odgłosy tego ducha Indów; jakoż i w Egipcie są kasty, i tu podziemne budowania w skale wykute, i tu bogi niekiedy wykręcają się w nadgangesowe dziwadła, i tutaj niekiedy w obrządki religijne mięsza się zmysłowość, i hołd oddany fizycznej naturze; i w Egipcie dźwigają się ogromne roboty pokoleń całych w budowaniach olbrzymich i t. p. Ale porównywając te dwa ludy i ich sprawy, rzekłbyś, że duch i fantazyja Indyan tak zawrotne, zapustne, uspakajają się nad Nilem, że zwłaszcza owa fantazyja, ciągle ruchawa, rozkołysana, migotna, skamieniała w granitach egipskich. Przecież, za bliższem przypatrzeniem się spostrzeżesz, że jeszcze głębsza różnica rozdziela obie te fantazyje. Jakoż fantazyja indyjska, tak dziwaczna i senna, przeszedłszy na grunt egipski, dostała się udziałem ludowi, który tak rozgarniony, rozsądny i porządny jak ta jego natura, jak ten jego Nil. Trojaka pora roku, ściśle od siebie odgraniczona, wylewy rzeki nie chybiające nigdy w swoim czasie, te niezmiennie nigdy prawa i prawidła natury kraju ujęły téż żywot i sprawy ludzkie i zatrudnienia wszelkie w ład i szysk a w pewne i niezmiennie ustawy. Tutaj człowiek od natury uczy się rozgarnienia, rozsądku i porządku. On rolnikiem, więc bacność zwrócił na rzekę, co mu skrapia zbożne łąny, więc prowadzi kanały, wykopuje jeziora jako zapasy wód, więc mierzy i pola i czas swój, a wprawiony w rozsądek nie mięsza rzeczy różnych, liczy i waży i rozdziela. I dlatego właśnie zaczyna téż już rozróżniać i istotę własną, istotę duchową swoją, od mocy materyalnych; a przeczuwając już tę różnicę ogromną, już tém samem przeczuwa i wróży sobie prawdziwe ducha znaczenie. I dla tego właśnie człowiek tu rozpoczyna walkę a walkę zwyciężką z mo-

cami przyrody, z przewagą materji. Ztąd téż to podobieństwo jego do Indyj jest raczej pozorne. Jakoż w Egipcie różnice kast są ułagodzone; a obrządki religijne, ogrom pracy budowników, dziwaczność postaci bożyszcz i te wszystkie zjawiska, będące niby odgłosem Indyi, mają inne w Egipcie znaczenie.

Przecież te walki a pasowania się z mocami przyrody są tak ogromne, tak trudne i olbrzymie, że w Egipcie to zwycięztwo duchowe nie mogło być jeszcze w zupełności otrzymane; uznanie istoty ducha nie mogło być tutaj jeszcze ukończzone w sobie. Jest to dopiero pierwszy szary świt poranny, zwodny, niepewny i majaczny; lud Egiptu przeczuwa, że duch jest osobą, że tedy jest wolnej woli, że wiekuiste jego jest pochodzenie, że przeto jest wyższym niż natura. Te atoli prawdy głębokie i tak ciężkiej wagi nie rozpromieniły się jeszcze całą pełnością w Egipcie, wystąpiły dopiero na pół ze swojego zmroku. Ztąd osobowość człowieka, wolna wola ducha i wiekuistość jego na pół są zrozumiane, a natura nie jest jeszcze ostatecznie przemożona.

To atoli przeczuwanie, to wrózenie sobie prawdy, obok niemocy wyjaśnienia jój w zupełności, to zatrzymanie się przed samemi programi prawd, stanowi zagadkowość Egiptu. Lud ten sam przeczuwa, że się zderza z zagadką, którą sam tylko na pół rozwiązać zdołał, że on sam sobie jest zagadką, więc nie może znaleźć sobie pokoju. Ta niepewność, to powątpiewanie miota nim i kołysze, chociaż to miotanie się i rzucanie jest przecież inne, niż ów niepokój senny Indów starych. Życie Egiptu schodzi na sileniu się nad sobą, by sam siebie zrozumiał, by dla treści, która się w nim burzy, fantazyja znalazła wyrażenie stosowne, odpowiednie. Przecież gdy treść ducha tutaj sama jest jeszcze nierozdzierzgniona dostatecznie, gdy myśl sama jeszcze omackiem chodzi, więc i fantazyja biedzi się i mocije i radaby to w tych, to znowu w innych formach znaleźć wyraz odpowiedni dla prawd, które się dopiero wykluwają w duchu. Fantazyja Egiptu, toć młoda dziewica głucho-niema, w której odzywa się pierwsza wróżba rodzącą się w sercu miłości; nieznane jój uczucie ją ogarnia, miota, ciska tём sercem; ona sama siebie nie rozumie, więc ogarniona nieskończoną tęsknotą w obliczu, w łezce, w giestach zagadkowych wyjawia potęgę, która ją owładła. Fantazyja Egiptu, rozebrana miłością ducha wiekuistego, radaby wyrazić przeczucie i wróżbę swoją, ale jój braknie słów jasnych, by się zamodliła do kochania swojego.

Ta zagadkowość, ta na pół ukończona praca, to zatrzymanie się przed samym progiem prawdy, ten niepokój jest całym żywotem Egiptu i piętnem jego fantazyi; jest więc powodem téj sprzeczności, w której duch Egiptu zostaje sam z sobą, a której przemódz nie zdoła.

Dziś milczą głazy, granity Egiptu, obrobione niewypowiedzianym znojem pradziadowego ludu. On po zgonie swoim nie zostawił nam

w dziedzictwie pieśni, w którychby wyśpiewał uczucia swoje; jego poëzya, toć są te jego budowania olbrzymie; one to są epopeją, dramatem i skamieniałą lutnią jego. Tém więcéj tedy potrzeba nam posłuchać głosów religii Egiptu, bo jak te wyobrażenia jego religijne z jednej strony są ostateczném wyjaśnieniem fantazyi tego ludu i jój rodnym gruntem, tak téż z drugiej strony są jój żywém i wyrazistém odbiciem.

Na początku był Knef, przedświatny Bóg; on duchem, tchem, on jest czynną potęgą, on jest powiewem, co wiekuisie przenika istnienia wszechnice; on świata tajemną siłą i mleczą; on wodzi gwiazdy po niebie — a obrazowym znakiem i hieroglifem jego jest wąż zwinięty w pierścień, niby wszechświatów koło. Małżonką tego Boga-Ducha jest Materya — bogini Neit, wszech Bogów macierz i wszech jestestw wiekuista osnowa.

I znów jest druga para bogów pierwotnych: Sewech, czas, co nie ma granic, i z niego się rodzi bytność wszelka, w nim rozplywa bytność wszelka, a jego małżonką jest Paszt, przestrzeń nieskończona, co stanęła na straży porządku i ładu wszech rzeczom; ona ksienią jestestw stworzonych (*). Te bogi są prabogami, z nich poczęte wszystkie inne bogi, którym oddane jest władztwo nad światem, z nich pochodzą bóstwa, wyrażające naturę egipską, więc Ozyrys, Izys, Horus, Tyfon, Anubis, Tot i t. p. A choć te dzieje zrodzeń egipskich bogów właśnie w ostatnich czasach z całą głębią a bystrością ludzi genialnych zbadane zostały, toć przecież dla naszego celu wystarczy, jeżeli nieco bliżej przypatrzymy się tym dwom parom pierwotnych bogów. One są niby jedném bóstwem, a przecież rozdzielają się na dwie odrębne pary, z których każda znów o tyle tylko jest jednością, o ile małżeństwo stanowi. Wprawdzie na reju ich jest bóg-duch, ale on sam nie jest jeszcze duchem w znaczeniu prawdziwém, on sam jest niby misterną materią okryty; ten duch jest dechem, lekkim tchem. Nadto on połączony jest małżeństwem z boginią Neit — z materią; ten stosunek więc objawia, że materya jest mu równą, że ona podobnież jest pierwotną, jak sam duch. Te cztery bogi są małżeństwem połączone, są tedy niby osobami, a przecież one, znacząc materią, czas, przestrzeń, są abstrakcją głuchą, bezosobową, są, że tak rzekę, pojęciem metafizycznym. Tak tutaj w zarodzie już spotykamy ową połowiczność, ową rozpoczętą a niedokonaną myśl. Tu jest jedność bóstwa, ale jeszcze niezupełna; duch jest w ciele, on światem władnie, a przecież ma obok siebie materią, równą sobie z prawa i z rodu. Te bóstwa są osobami, ale ich osobowość jeszcze niezupełna, niedostateczna.

Takowy charakter religii i fantazyi Egiptu silnież jeszcze prze-

(*) *Reth*, Geschichte unserer abendländischen Philosophie. Tom I. 1846 r. str. 133.

bija w tych mitach jego, w których mowa o stworzeniu świata i człowieka. Wszak i tutaj samo pojęcie stworzenia nie jest jeszcze zupełne. Świat jest niby sprawą bóstwa, ale nie sprawą samodzielną, samowolną; on jest raczej wpływem, emanacją bóstwa. Bo przyznasz, że kędy nie ma uznania zupełnej osobowości bóstwa, tam też nie ma woli samoistnej, nie ma stworzenia.

Posłuchaj tego mitu. Bóg-czas złorodny (Sep, Kronos) dźwignął się wojną przeciw najwyższemu bogu, a tłumy bogów poszły za wrogim czasem. Przecież bóg-duch powalił je wszystkie zwycięstwem i wrócił światu dawny ład rzeczy, i puścił na ziemię potop, by z niej zmyć grzeszne zakąły. Litując się atoli nad duchami, co wojną bezbożną nastąpiły na majestat jego, chciał im wrócić dawne niepokalanie i pogodzić je z wiekuistą potęgą. Ulepił tedy ciała ludzkie, by w kształcie człowieczym demony grzeszne mogły odbyć na ziemi doczesnym życiem pokutę i odkupienie. Dlatego w samej chwili, gdy człowiek ma się zrodzić na ziemi, jeden z demonów winnych opuszcza nadgwiezdną stolicę, i pielgrzymką przez zwierzyńiec niebiański po srebrnym łuku drogi mlecznej postępuje ku ziemi. Wśród tej wędrówki atoli patrzą na niego i chuchają konstellacje gwiazd — to ich tchnienie a spojrzenia urok odezwie się później w sercu tego rodzącego się człowieka uczuciem, charakterem, więc pokieruje jego sprawami i całym ziemskim żywotem. Gdy duch połączy się z ciałem, już wtedy rozpoczyna pokutę i odkup swój, a w poniżach ziemskiej pielgrzymki, w trudach i biedach twardych, uwalnia się od onej winy przed życiem doczesnym popełnionej. Śmierć jest tedy oswobodzicielką człowieka, ona wyzwala duszę z ciemnic doczesnych. Dusza, zwłokłszy z siebie ciało, staje w pałacach sprawiedliwości wiecznej, kędy Ozyrys zasiada na sądzie w duchów swoich gronie; tam, wedle wyroku jego, dusza unosi się do wiecznobłogich nieba przestrzeni i zasiada w bogów stolicy, albo wraca powtórnie na ziemię na nowe pokuty, więc na nowe cierpienia w ciele ludzkim lub zwierzęcym, albo nawet w postaci roślinnej; a te nawroty do żywota doczesnego póty trwają, aż nie spadną ostatnie pyły winy i grzechów skalanie (*).

Widzisz, ta nauka jest istic kwiatem fantazyi Egiptu, więc nacechowana właśnie temi znamionami, o których ci powyżej wspomniałem.

Otóż duch jest wiekuistym, życie pokutą a śmierć wyswobodzeniem duszy. Ztąd ciała zmarłych odbierają cześć; ztąd po Egipcie całym powiewają tchy niby ogromnej kośnicy, a kraj cały ojcowizną umarłych a światem grobów. Ale i tutaj Egipt zatrzymał się przed progami prawdy, bo zamiast uczcić wiekuistość ducha, w którą wierzy, on uczcił śmierć, ciała bezduszne, umarłe.

(*) Röth, l. c. str. 153 i następne.

Ale jest inna jeszcze sprzeczność. Wszak widziałeś sądy nad duszą zmarłego i wyroki sprawiedliwe, tak więc znać, że człowiek jest uważany za osobę, więc za jestestwo o wolnej woli; a z drugiej strony przecież zostaje pod wpływem gwiazd! Konstellacye przyświecają mu w czasie rodzenia się jego, władają nie tylko jego losami, ale uczuciem, charakterem i sprawami jego, a tak i urzekają wolę jego i odbierają jej wolność przyrodzoną. Ztąd dalsza sprzeczność; duch jest wiekuistym, jest jestestwem znającym dobre i złe, więc jestestwem rozumnem, a jednak w razie nieodpokutowanej winy ma mieć przeznaczone za mieszkanie a narzędzie swoje ciało zwierzęce! Jest to wiara w wędrówki duszy, tak potworna, tak przeciwna sobie samą. Wiadomo ci, jak to w upływie wieków sprzeczność tej nauki wyświecił Arystoteles. Mądry Grek, wychowany w uczuciu własnej zacności i w poważaniu siebie, orzekł, że samo przypuszczenie, jakoby dusza mogła w nieodpowiedniem sobie przemieszkiwać ciele, jest myślą dziką i spaczoną. Tenże powiada dalej, że każda dusza wedle usposobienia swojego ma zastosowane ciało, boć takowe jest jedynie uwidomieniem materyalnem duszy.

Przestane na wykazanych już sprzecznościach, dowodzących, jak to pod każdym względem lud Egiptu, już mając dotknąć się prawdy, zatrzymuje się i odwraca się od niej; jak to zawsze, mimo męki i trudów jego, prawda jest dla niego nierozwiązaną zagadką, jak to on na polu tylko poznał istotę swoją; a choć wie, że z istoty swojej jest wyższym niż przyroda materyalna, toć przecież nie zdołał wskrószyć przemódz tej natury, ani poznać do dna, czem jest duch.

Teraz nie trudno nam będzie zrozumieć, dla czego fantazyja Egiptu jest symboliczną, dla czego symbolika jest główną i przeważającą cechą sztuki egipskiej.

Zważmy dwie ostateczności.

Jeżeli człowiek jest w zupełności jeszcze oddany w ciemieństwo natury materyalnej, wtedy materji służy, a rzecz zmysłowa sama przez się jest dla niego bóstwem; to bożyszcze strugane, które podbiegunowy mieszkanięc niby karmi tłuszczeni, tranem, upraszając sobie szczęśliwe łowy, a bije i sromoci, gdy się polowanie nie powiodło, — to bożyszcze jest fetyszem, bałwanem, bo tu ono nie jest obrazem niewidomego bóstwa, ale samo jest bóstwem; to drewno, ten kamień, którego się człowiek dotyka, jest bóstwem. Znać, że tutaj sztuki nie ma i być jej nie może. Inaczey się dzieje, gdy lud jaki całą treść ducha swojego przelewa w dzieło swoje, gdy w postaci zmysłowej przez niego stworzonej świeci, promieni się duch. Wtedy (a tak było u Greków) postać zmysłowa, z natury wzięta, cała jest nieskończoności ducha wyrazem, jest zwiastunem wiekuistości jego; i dlatego ta postać, choć od przyrody pożyczona, jest przetopioną, przelaną w duchu, przerodzoną w ideał piękności; w niej nic nie pozostało takiem, jakim było w naturze; nie tylko z oblicza, nie tylko z postaci całej i postawy posągu przemawia

duch, ale on promieni się, świeci w szatach jego marmurowych, z włosów i rzemyków jego sandałów. I toć jest sztuka prawdziwa, toć są panowania i tryumfy prawdziwe fantazyi artystycznej nad światem zmysłowym! Egipt stanął w środku między temi dwiema ostatecznościami. Bogi egipskie — toć już nie fetysze, aleć nie są jeszcze dziełami sztuki w znaczeniu prawdziwem. Egipt o tyle dopiero przemógł naturę, że postaci jej używa za wyrażenie treści duchowej; ale jeszcze nie jest zdolny przerobić, przetopić w duchu tych jej kształtów na ideały piękności. Egipt, chcąc wyrazić myśl jaką, wybiera z pośród natury przedmiot, mający jakąś własność, przypominającą tę myśl, która właśnie ma być wyrażoną; czyni tedy ten przedmiot symbolem tej myśli, biorąc go wprost jakim jest, a nie przerabiając go na dzieło piękności artystycznej. Tak powstaje symboliczność; ona właśnie jest cechą główną i charakterem fantazyi egipskiej; w symboliczności tkwi owa połowiczność, zagadkowość, sprzeczność z sobą, a przytém refleksya, rozsądek w dobieraniu symbolów (*). Słusznie też mówiono, że lud egipski sam jest tym sfinksem, onem własnem swoim godłem ulubionem. Sfinks jest zagadką tajemniczą; on na poły człowiekiem, osobą, na poły zwie-

(*) Tak np. kwiat Lotus, wół, krowa, skrzydła, krokodyl, kot, ptak, ibis, lew, krogulec i t. d. stają się symbolami. Jak tutaj te przedmioty nie są bóstwami wprost, nie są fetyszami, tak nawzajem nie chodzi tutaj o to, aby te przedmioty i kształty różne przeistoczyć na dzieła sztuki, ale raczej o to, aby upatrzeć w przedmiocie jakieś podobieństwo z myślą, która ma być wyrażoną. Tak tedy symbol ma rzeczywiście dwa znaczenia: raz własne swoje znaczenie, treść przyrodzoną, rzetelną; drugi raz znaczenie, które mu nadał człowiek jako znakowi zewnętrznemu, np. skrzydło jest organem ptasim, drugi raz znaczy modlitwę do nieba się wznoszącą. Krowa oprócz znaczenia własnego wyraża jeszcze urodzajność życiodawczą natury i t. p. Widzisz atoli, że to symboliczne wyrażenie się myśli przedmiotem zewnętrznym jest wielce samowolne; bo choć w tym przedmiocie jest zaiste własność, która niby odpowiada myśli, którą masz wyrazić, toć on będzie miał zaiste także inne jeszcze własności, nadające się na oznaczenie innych myśli. Nawzajem i myśl twoja, którąś rad wymówić znakiem zewnętrznym, znajdzie nie tylko w tym jednym przedmiocie, obranym przez ciebie, odpowiednie wyrażenie, ale może go dojrzeć i w innych przedmiotach zupełnie różnych od tamtego wybranego przedmiotu. Wynika stąd, że symbol sam przez się zawsze będzie tylko na poły zrozumiałym, czyli będzie zagadką. Bo zagadka nie jest wcale niewiadomością zupełną; bo gdy dla kogo jest coś zagadką, ten wie zarazem, że istnieje jakaś tajemnicza prawda dla niego ukryta. Myśl Egipcyan to w jednym kształcie, to znowu w drugim, lub w trzecim szuka wyrazu myśli dla siebie, i stąd ta niepewność tego ludu, ta sprzeczność a niezgoda jego; np. słońce, Nil, rok, sprawiedliwość, rolnictwo, te wszystkie wyobrażenia mają uosobienie w bogu Ozyrysie; i na odwrót znów Ozyrys ma za symbol każdy z tych przedmiotów; dalej wszystkie te przedmioty między sobą są wzajemnym siebie symbolem. Jest to niemoc ducha znalezienia obrazu dla siebie. A to przecucie, co się kłuje, te ciemne, głuche wróżby serca prą duszę Egiptu do wyrażenia siebie, więc do oglądania siebie w zewnętrznym przedmiocie. Widać atoli, że chcąc znaleźć symbol odpowiedni, trzeba rozsądku i zastanowienia, rozgarnienia.

Tak w samą rzecz w symbolu tkwi zagadka na poły wyjaśniona — niepewność i sprzeczność z sobą, a przytém rozsądkowość i rozgarnienie, mity, więc nawet powieści, które znów niczem innem nie są, tylko symboliką rozwiniętą.

rzęciem, bo głowa ludzka na ciele zwierzęcém; w nim więc godło ducha ludzkiego, wydobywającego się z mocy natury.

Lubo cała fantazyja Wschodnia ma pierwiastek symboliczny w sobie, choć już początek jego jest i w Indyach, toć dopiero znajdujemy go w Egipcie w całym kwiecie swoim.

Wszak i my mamy symbolikę własną (*). Ale nasza symbolika ma to do siebie, że obok jej ciemnego i zagadkowego tłómaczenia się, mamy inne wyższe tryby wyrażenia treści duchowej, bo wiara chrześcijańska i długowiekowe łamanie się ducha ludzkiego w historii rozjaśniły nam własne wnętrze nasze, i nauczyły wyjawienia tej treści, czy to w serca nabożeństwie, czyli w sztuce, czyli w jasnej, przezroczyściej mowie.

W Egipcie pierwszy raz zdarzają się te dwa światy, bo duch i natura, wiekuistość i doczesność; te dwa światy wręcz są sobie odwrotne i sprzeczne z sobą, więc zwycięstwo wiekuistości na poły tylko dokonane; i dla tego symboliczność jest jedynym trybem, którym się zdoła wyrazić treść nieskończona, budząca się w duszy tych zacnych pracowników nadnilowej doliny; ona też przejęła wskrós ich sztukę. Dotknę się tu choćby tylko najważniejszych cech tej fantazyi, stosując do niej wypadki powyższe poglądu naszego.

Fantazyja symboliczna nie jest twórczą, ona nie tworzy, jako wdziała, postaci piękności idealnej; dla tego jestestwo zewnętrzne wzięte jest wprost z natury; dla tego nawet i żywe jestestwa są symbolem, np. żywy wół Apis, żywy krokodyl i t. d. Jeżeli zaś kształt jaki, o ile go natura przedstawia, nie wystarcza do wyjawienia myśli, wtedy po swojemu go fantazyja egipska uzupełnia; tym trybem znajdziemy i tutaj głowy zwierzęce (kocie, ptasie, krogulcze, krowie) na tułowiach ludzkich, a niekiedy nawet kształt jest złożony z wielu różnych zwierzęcych postaci; — prawda, że z tego tworzą się potwory, przypominające straszne bożyszcza indyjskie, ale w Indyach duch jeszcze omackiem się rzuca i śni, w Egipcie zaś jest trzeźwym, zastanawiającym się, głębszym; on tworzy z refleksją rozumną te kształty, by były znakiem dla myśli jego.

Ta połowiczność, to na poły uznawanie się ducha okazuje się jeszcze tutaj tym trybem, że posągi egipskie nie są więcej tak wiotkie, bezkostne jak indyjskie; owszem odznaczają się siłą, jędrno-

(*) Znak krzyża świętego, łódź, baranek i t. p., są symbolami religijnemi; życie zwyczajne pełne jest symboliki; suknie czarne lub wesołej barwy, wianek na trumnie lub na skroniach narzeczonej młodej — lilia, róża, niezapominajka, ruta, rozmaryn, mirt; zdjęcie kapelusza, oddanie kluczy nowemu dziedzicowi, kądziel lub skórka zajęcza posłana niezbyt odważnej młodzieży; czwórka siwa, arbuz, pawie piórko; uderzenie w dłoń przy ugodzie, rozmowa kochanków na kwiaty używana na Wschodzie i t. d., to wszystko jest symboliką. Ale właśnie dlatego, że tutaj zachodzi jeszcze zagadka, więc trzeba znać tę symbolikę, by odgadnąć jej znaczenie. I sama natura ma swoją symbolikę, choć wyraźniejszą i mniej zagadkową: łezka, rumieniec występujący na licach, ucałowanie i t. d.

ścią twardą, ale za to przechodząc w drugą ostateczność są chude, długie, bez swobody; ręce, nogi sztywne, przylegające do całej postaci nieruchomej; nadto wszystkie dokonane są wedle tego samego prawidła i typu; one nie mają indywidualności, odznaczającej je między sobą; twarz ich zdrewniała, bez wyrazu, abstrakcyjna, uśmiech skamieniały, oczy niezwrócone w pewne ognisko, one patrzą gdzieś w przepaścistą, niedościgłą dal. Ta abstrakcyjność, ten brak wyrazu, jest powodem, że te posągi mogą się powtarzać jak kolumny nieskończenie wiele razy, bez sprawienia przykrego wrażenia. Pomyśl sobie, jak okropny, straszliwy byłby widok, gdyby te figury miały indywidualność pewną, gdyby były wizerunkiem jednego i tego samego człowieka, a były, niby na ozdobę architektoniczną, ustawione jakby gościncem długim we dwóch szeregach nieprzejrzanym. To powtarzanie się tej samej twarzy, tych samych wydatnych zarysów a podobnych do siebie, byłoby zaiste nie do zniesienia, byłoby okropnem.

Ale niedokonane wyzwolenie się ducha pojawia się jeszcze w tém, że ciała tych figur doskonałej są wyrobione niż ich oblicze, kędy promieni się dusza, kędy myśl o sobie przemawia, i dlatego też może tutaj kształty zwierzące wyższej są artystyczności niż ludzkie.

Posąg stojący sam o sobie jest wyrazem swobody, która atoli nie rozwinęła się jeszcze w Egipcie; z tego przeto powodu nierównie więcej tu mają wartości płaskorzeźby, które jeszcze niby nie są wyzwoleniem od tła ogólnego przyrody; nadto w płaskorzeźbie nie chodzi o indywidualność i życie duchowe jednego pojedynczego człowieka, ale raczej o wydarzenie jakie, o fakt, np. o bitwy, o uroczystości, obchody religijne, polowania, zatrudnienia codzienne. I płaskorzeźby Egiptu są pełne cech właściwych fantazji jego, a mianowicie onej symboliczności. Tak zważmy, że same rozmiary są symbolem: np. w bitwach, król jest ogromnego ciała i trzyma cały pęk nieprzyjaciół za włosy, a figury, wyobrażające nieprzyjaciół, są drobniejsze; tak podobnie w płaskorzeźbie i malowanych obrazach brakuje perspektywy, która właśnie jest pierwiastkiem duchowym; zamiast perspektywy przedmioty dalsze umieszczone są wprost nad bliższymi; nadto wszystkie figury ujęte z profilu; cieniów nie ma w malowaniach. — Nawet farby same mają znaczenie symboliczne, np. Egipcianie i ich konie czerwonej barwy, niewiasty żółtawe, nieprzyjacioły popielate, a bogi to błękitne, to zielone, to żółte, wedle różnych żywiołów, któreimi władają.

Przewaga rozsądku, praktyczności, występuje głównie w doskonałym technicznym wykonaniu; jakoż same dawne łomy kamieni do dziś dnia są podziwem wędrowców europejskich; widzimy też wielką udatność w sprowadzaniu ogromnych skalnych bałwanów ze stron dalekich; następnie doskonała technika wyjawia się i w trwałości budowania, co się obroniło tylu tysiącom lat i w tej świeżości barw

obrazów, co świecą i błyszczą niby nie zwiędłe kwiaty grobowe po onych pokoleniach starych.

W Egipcie spostrzedz już możesz istotnie rozwój wszystkich rodzajów sztuki; ale one tutaj jeszcze nie ściśle odgraniczają się od siebie i przechodzą nawzajem na siebie. Ściany, filary, obeliski, piramidy, od ziemi do wierzchu pokryte taką ciżbą płaskorzeźby, że nie wiedzieć, czyli ta architektura jest dla rzeźby, czyli rzeźba dla architektury. Posągi, płaskorzeźby są malowane, co tutaj było tém potrzebniejsze, że skulptura najczęściej jest wkleśła (*bas-reliefs en creux*).

Lubo atoli te rodzaje sztuki nie są rozdzielone od siebie, chociaż one wszystkie stają się wyrazem fantazyi egipskiej, przecież nie trudno nam odgadnąć, że właśnie ten rodzaj sztuki najpotężniej się w Egipcie rozwinął, który ze samej istoty swojej jest symboliczny, który, będąc również zagadkowy, przemawia do człowieka niby głuchoniemą mową, i niby przecuciem, zwiastując o treści człowieka; jest to sztuka, co nie słowami ani postaciami, kształtami wyrażnemi, ale liniami w przestrzeni staje się tłómaczem duszy; tym rodzajem sztuki jest atoli architektura — ona najdokładniej odpowiada fantazyi powszechnej tego ludu.

Lud egipski jest ludem budownikiem; co się waży i żyje w sercu, co się kluje i tęskni w duszy, to kamienieje w tym kraju w budowaniach olbrzymich. Bóg, osobą będący, nie stanął jeszcze wśród ludu tego, ale on w zagadkowym przecuciu wróży sobie o przybyciu jego, więc mu dźwiga mieszkania i święte przybytki, gotowe do przyjęcia nadgwiadznego gościa. Przecież nie jest zdolnym, aby mu stworzył zacny obraz jego. Rzeźbione posągi bogów nie są tu dziełem sztuki, istniejącem samodzielnie, dla siebie, ale służą budowaniu, są-li przystrojem architektonicznym, są środkiem a nie celem; co więcej, ten brak indywidualności posągów, to wykonanie ich prawidłowe, geometryczne, to symetryczne ich ustawienie obok budynków, nakoniec same olbrzymie wymiary tych posągów, są dowodem, że tutaj skulptura jest architektoniczną, że architektura jest sztuką przeważającą. Podobnie malowanie jest wprost ozdobą, jest ornamentyką architektury.

Miotanie się i boleści zrodzeń duchowych Egiptu pojawiają się już w samym ogromie budowania, w onej niesłychanej pracy robotników twardych. Jak duch Egiptu nie opatrzył się jeszcze w sobie, jak nie wie jeszcze, że jest osobą, jestestwem o sobie stojącym, tak i budowanie jego nie jest całością w sobie ukończoną; pilony wstępne, dziedzińce, przysionki, sale, pałace, idą po sobie i obok siebie mogą być bez końca jeszcze pomnożone, bez nadwężenia całości, bo takowej nie ma jeszcze w architekturze egipskiej. Kędy człowiek nie wie jeszcze o myśli opatrnej Boga, władającej światem i do której się odnośzą wszystkie stworzenia, jako do ogniska swojego; póty też i w jego własnych dziełach nie będzie jedności, nie

będzie całości, bo nie będzie jednej myśli, do której się odnoszą części wszystkie dzieła tego, jako do ogniska swojego i serca.

W architekturze egipskiej wszystko jest symbolem: symbolem jest i pochyłość ścian zewnętrznych, przypominająca piramidy, i piramidy same, i liczba schodów, kolumn i obeliski, i ta podsadzista powaga, uroczysta, świąteczna, i to zadumanie głębokie, monumentalne, które tu tchnie po głazach. Do tej architektury formy roślinne są równie prawie żywcem przeniesione, one nie nabrały jeszcze architektonicznego rysunku, ale będąc także symbolem są prawie kopiami pączków, palm, kwiatów — natura w nich nie jest przeżożona!

A wszędzie znać ducha porządku i ładu; samo założenie świątyni jest jakoby symbolem uroczystych pochodów świątecznych procesyj; same te przysionki, sale, pilony, obeliski, rzędy podwójne kolumn, stojące na dziedzińcu, są także jakoby symbolem uroczystości religijnych; same ich bowiem rozstawienie wskazuje któredy mają ciągnąć obchody świąteczne, oddające bóstwu pokłon i hołd.

Pieśni święte śpiewane, hymny na cześć bogów, ogłuchły, onie miały wśród tych granitów; nie wcale nam nie pozostało z tej poezyi starego Egiptu; na miejsce tej umarłej poezyi znamy jedynie mity religijne, z których znów najpiękniejszym jest powieść o Ozyrysie i Izydzie, i o wrogu ich Tyfonie. Rozumie się, że ten mit jest allegoryą; — fakta, kształty w nim występujące odnoszą się wprost do natury Egiptu, do ciał niebieskich, do Nilu, pór roku i t. d.

Te mity atoli zanadto są znajome, bym ci je miał powtarzać; na ich miejsce przytoczę ci obrazek obyczajowy z życia Egipcyan wzięty. Pożyczam go z Herodota; a choć ta powiastka nie jest zmyśloną, bo ten zacny gaduła Herodot nie zmyśla nigdy, przecie gdy ona przechodziła z ust do ust, z pokolenia do pokolenia, więc znać, że przypadła i do fantazyi starego Egiptu. Brak więc światowej poezyi tego ludu niechaj nam zastąpi ta gawęda stara; ona bardzo stara, pewnie jedna z najdawniejszych na świecie, bo Herodot, który sam przecież urodził się bez mała na 500 lat przed erą naszą, prawi o niej jako o dawniej bardzo rzeczy.

Otóż żył niegdyś w Egipcie król Rampsenit, bardzo bogaty; miał złota, srebra, klejnotów co niemiara. Pragnąc ubezpieczyć sobie jakoś te skarby swoje, rozkazał budowniczemu, by mu wystawił skarbiec, niby wieżę z ciosów, któraby jedną ścianą dotykała pałacu. I stało się wedle woli królewskiej. Ale podstępny architekt potajemnie umieścił jeden z ciosów tym trybem, że bez trudności mógł być wyjętym z muru przez dwóch ludzi, albo nawet przez jednego silnego człowieka.

Niezdługo on architekt śmiertelnie zachorował; przywołuje tedy przed skonem dwóch synów do siebie, i oświadcza im, że jako dobry ojciec wielce troskliwie pamiętał o ich losie, że dbał o ich przyszłe utrzymanie; powierzył im tedy tajemnicę swoją, opisując

najdokładniej on cios ruchomy. Wkrótce też umarł ojciec. Synowie zaś, nie odwlekając sprawy, nocą udają się pod skarbiec — poznali kamień, odsunawszy go nie żalowali sobie — nabrali mnóstwo złota i powrócili do domu.

Nie lada było zadziwienie Rampsenita, gdy nazajutrz, wszedłszy do skarbcza, postrzegł głębokie szczyrby w złocie, a tu ani zamki, ani drzwi, ani pieczęcie nie były tknięte! Zadziwienie króla codzień się wznagało, bo co noc bracia odwiedzali skarbiec jego; co rano tedy brakło to w worze złota, to znów jakichś klejnotów drogiech. Zachodził w myśl król Rampsenit, jakby szkodzie zapobiedz. Nakoniec wziął się na sposób; porozstawiał w skarbcu sidła misternie, spodziewając się pomyślnych skutków. Gdy następnej nocy bracia znów stanęli w skarbcu, jeden z nich, spostrzegając naczynie złociste, wabiące, pokusne, zbliżył się do niego, ale w tém siatka zapadła. — „Ratuj się mój bracie! zawołał, bo co do mnie, jam już zgubiony; utnij mi głowę proszę i zabierz ją sobie, by nas nie poznano!“ — Te jego słowa zdawały się być drugiemu wielce rozsądne, więc usłuchał i sprawił się wedle życzeń brata.

Z pierwszą chwilą poranku król Rampsenit wchodzi do skarbcu. Podziwienie, strach, zgrozy go porwały widząc wśród złota i klejnotów człowieka w sidłach ale bez głowy! a tu pieczęcie nietknięte, a w murach nigdzie choćby najmniejszej szczeliny.

Nie wiedział król jakby sobie już miał począć; nakoniec po długich namysłach tak sobie poradził: kazał ciało złodzieja powiesić na murach miasta, postawił przy niém wartę, nakazując jęj aby miała ścisłą baczność na przechodzących i każdego chwytając, coby patrząc na wiszące ciało narzekał i płakał.

Matka onych dwóch braci dowiedziawszy się o tém, nie mogła na sobie przenieść boleści z poniewierania zwłok synowskich, nastawała tedy na żyjącego syna, by, bądź co cądź, uratował ciało brata od sromoty i oddał mu pogrzebną cześć; on perswadował matce, łagodził, ale napróżno; ona mu bez ogródki oświadczyła, że jeżeli nie dopełni jęj żądania, to wprost uda się do króla i wyda rzecz całą. Syn, któremu nigdy nie brakło wybiegów, zebrał osielki swoje, obciążył je łagwiami wina, i pod wieczór zapędził pod mury miasta, kędy było powieszone ciało braterskie; gdy się już zbliżał do straży, rozpruł jedną z łagiew; wino ciekło na ziemię; on udając kłopot, przestraszenie, krzyczał, szamotał się wielce, niby rozpaczając. Co gdy widzieli żołnierze trzymający warty, przyskoczyli i pili żwawo ciekące wino. On niby się gniewa, swarzy, łaje; żołnierze jakoś go namawiają, by się w żalu miarkował, nakoniec rzecz całą obrócili w śmiechy i w żarty; więc też on udając, że się udobruchał, śmieje się i żarty stroi. I tak się niby z niemi zaprzyjaźnił, że ich jeszcze jedną łagwią uraczył, i został z niemi częstując wesoło gości; niezadługo straż na piękne spojona zasnęła. Złodziej wtedy zdjął

zwłoki z muru i ostrzygl na hańbę straży brody a to z jednej strony i poszedł.

Gdy się do króla doniosło, że ciało ukradziono, i że ostrzyżono brody jego żołnierzom, unosił się od gniewu Rampsenit, a uwziawszy się, aby koniecznie odkryć przebiegłego filuta, ogłosił publicznie, że ofiaruje córkę swoją temu, ktoby jęj opowiedział sprawę swoją naj-sromotniejszą, a zarazem najdowcipniejszą. Zmiarkował on broiciel, co się święci. Uciął tedy bratu rękę od samego ramienia, wziął ją pod płaszcz i poszedł do królownej, szepnął jęj w uszko: „Czynem moim najsromotniejszym jest ten, żem uciął głowę rodzonemu bratu, a czynem najdowcipniejszym, że mi się udało spoić wartę królewską“. Królowna w tęg chwili chwyta go za rękę, chcąc przytrzymać, ale jakież jęj podziwienie, gdy złodziej uciekł a ręka ucięta pozostała w jęj mocy.

Król Rampsenit już teraz wielbił naprawdę rozum onego figlar-nego złodzieja, rozesał uwiadomienie po wszystkich państwach z oświadczeniem, że daruje karę zbrodniarzowi i suto go nagrodzi. Zaufał sprawca, stawil się przed królem. Rampsenit, pełen podziwu, po długiem a głębokiem zadumaniu się, rzekł: Otóż Egipcyanie najmędrsi ze wszystkich ludów, ale ten mędrszy nad wszystkie Egipcyan; dajmy mu tedy córkę za żonę. I to się stało. Młoda para żyła długo i szczęśliwie.

LIST SIEDMNASTY.

Assyrya — Babilonia i Persya.

Wstęp. — Nemrod. — Odkrycia uczynione przez Botta i Layarda. — Znaczenie tych zabytków w historii sztuki. — Usposobienie umysłowe tych ludów. — Ztąd cecha ich fantazyi wyrażając się w dziełach sztuki. — Zdaje się, że sztuka tych ludów jest ogniwem pośredniem między sztuką egipską a grecką. — Persya. — Persopolis, grób Cyrusa, groby królewskie. — Cecha tęg fantazyi. — Zendawesta.

„Mene-tek-el-upharsin! Zliczył Bóg królestwo twoje i do końca je przywiódł! Zważonys na wadze, a znalezionys lekki!“ (Daniel V, 25.)

Te wyroki historii, napisane palcem Bożym na ścianie pałaców Baltazara, uderzyły gromem na one olbrzymie mocarstwa wszystkie, co je powiła Azya, ludzkich rodów macierz. I runęły wszystkie te państwa ludowladne, poczęte jeszcze w szarém zaraniu dziejów świata; runęły wszystkie te państwa już od dawnych lat tysięcy,

i rozsypana jest ich moc; jako sen przeminęły ich pychy wielomożne, a ich tłumne narody rozwiane są jako liście jesienne.

Puść się myślą od himalajskich śnieżnych grodów ku Europie, kędy fale Śródziemnego morza wygrywają jakby wieści stare o kolejach historii; przeleć myślą po tych niezmiernych rozłogach, kędy bieżą Tygru i Eufratu wody, a zawieje cię zewsząd wspomnienie najstarszych ludzkich dziejów, zda ci się, że wody potężne tych rzek szepcą sprawy Ninusa, Semiramidy, Sardanapala, Nabuchodonozora, Cyrusa, Aleksandra. Posłyszysz, jako echa rozlegające się po pustyni, imiona Babilonu, Assyrii, Medyi, Persydy, Fenicyi. Jakby sen pacholący zamigocą się gadki o wiszących ogrodach, o wieży babilońskiej, o królownie Mandanie, i one powieści wszytkie, co ci były rozkoszą w dziecięcych latach, wysłane z krain dziwów i cudów.

Roztwórz księgi Herodota, zacnego wędrowca, i czytaj co nam prawi o Babilonie: „Miasto to ma 480 stadiów obwodu (15 mil geogr.); jest też ono otoczone w koło murem, a muru tego wysokość na 200 łokci, a grubość jego na 50 łokci — w nim sto bram ze spiżu ulanych. W Babilonie jest świątnica Belusa a w środku niej ciosowa wieża, na której zbudowali drugą wieżę, na tej trzecią wieżę, na tej czwartą, tak, że aż ośm wież piętrzy się na sobie; w najwyższej wieży jest świątynia, w niej łoża a przy niem stół złoty. Niekiedy bożek zstępuje z nieba i sypia na tém łożu; tak twierdzą kapłani chaldejscy, ale ja temu nie wierzę“ (*).

Chcięj pomyśleć, że ta wieża Belusa wysokością swoją przenosiła najwyższą piramidę egipską o 179 stóp, bo jej było 800 stóp wysokości (**).

Ogromniejszém jeszcze niż Babilon było miasto Ninus. W niem Semiramis pochowała małżonka swojego, wysypując mu pomnik na $\frac{1}{3}$ część mili szeroki; w niem szalał rozpustą Sardanapal. Lecz wszelka bliższa wiadomość o tej stolicy Azji ogłuchła. Nie wiedzieć nawet czyli to miasto Ninus jest oną Niniwą, o której Pismo Św. wspomina, jako o „wielkiem Bożem mieście“ co było tak ogromne, „że było na trzy dni drogi obwodu jego“ a do którego wysłany był Jonasz z Bożego rozkazania, by nawracał serce króla i ludu do pokuty, a w którym mieście żyło, wedle słów proroka, więcej niżeli sto dwadzieścia tysięcy ludzi takich, „którzy nie umieli rozemnać między prawicą swoją a lewicą swoją“ (***).

Wieki minęły śpiesznym pochodem przez świat, a nikt już nie mógł wskazać, kędy się rozlegało to miasto niby mrowisko milionowe ludzkiego rodu; było zapomniane do imienia, do miejsca, na którym stało.

Dreszcze cię przejdą, gdy pomyślisz, że bajeczne, mityczne za-

(*) Herodot, I, skrócono 178 do 184.

(**) Wieża strasburska ma jedynie 443 stóp.

(***) Jonasz, IV. 1.

wiązki starożytności klasycznej, bo Grecyi i Rzymu, są prawie świeże, prawie nowoczesne, w porównaniu mrocznych dziejów tych miast Assyrii i Babilonu. Pomyśl, że one wyprzedziły dwoma tysiącami lat zbawienie świata, że od czasu ich najwyższej potęgi przeleciało tysiąc lat, zanim zapadła mityczna wojna Trojańska i zabrzmiały pieśni Homera, a król Salomon dźwignął kościół swój na cześć Panu; a przeszło siedemnaście stuleciów, zanim ów młodzieniec młodzieńczej Europy, ów Macedoński Aleksander, przeleciawszy świat umarł w tym Babilonie. Ba, tysiąc trzysta lat spłynęło po ziemi od czasu, gdy te Azji siedziby były tronami starożytnego świata, aż do chwili, gdy Romulus, ów wilczy wychowaniec, założył pierwsze lepianki na pagórach Rzymu; i znów od tego Romulusa blisko tysiąc lat historyi rzymskiej przesuwał skrzydłem ociężałym, krwią spluskanym, zanim skończyła Roma. Nowy teraz świat poczęty — wykluwały się nowe państwa, nowe narody pod ciepłym miłości Bożej a prawdy chrześcijańskiej. Nastają stulecia średnie, — a jest ich dziesięć z okładem, — czas czarodziejskich mocy, wojen Krzyżowych i pieśni trubadurów; lśniacej, migotnej fantastyczności, a rycerskiej i butnej awantury; czas miłostek a skruchy rzewnej, serdecznej, — czas szlachetny a pełen barbarzyństwa — nakoniec zadniała na niebie dziejowym historya nowożytna, a otworzył jej drogę Kolumb, Vasko i Magelan, co naokoło objechał planetę. Cisnęły się odkrycia za odkryciem, wynalazki za wynalazkiem, jak się parły pokolenia po pokoleniach. A wywędrowały ludy Europy w Amerykę kupczącą, bo już ciasno tej Europie w domu, bo jej ludy w dni kilka parą przejechać ją będą mogły od końca do końca. Europie tak śpieszno z życiem i historyą; ona ogromne wypadki dziejowe, które niegdyś nie pomieściły się w setku lat, ścisnęła w jednym ich dziesiątku, jak ścisnęła wielomilowe przestrzenie w kilku godzinach czasu; a dzienniki, gazety, fabryki, pisma ulotne, nowe romanse, spekulacye, przedsiębiorstwa, odkrycia, pędzą na wyścigi przez świat; każdy chwilą obecną zajęty, krząta się i biedzi prozą dnia każdego. A Assyrya, Niniwa, Babilon? — to gadki dziecięce! Zaledwie ojciec pozwala, by nauczyciel o tych plotkach prawil pacholątkom jego; bo te powieści wszystkie zmyślane przez gadulów starych, te wierutne bajeczki czynią z młodzieży niepraktycznych marzycieli, a tu czas goni, a tu życie prze, a tu trzeba być czujnym i mieć oczy, a oczy otwarte na rzeczywistość! bo ona tylko sama jest prawdą. Na co się komu zdadzą one obrazki senne, któremi się niegdyś durzył ów dawno zmarły świat — niedoszły w rozumie! Tak myślano lat temu dopiero dziesięć, o ile ktoś o tém jeszcze myślał. Ale naszym czasem, choć tak prozaicznym, nie brakuje nigdy cudotwornych dziwów; one pukają od czasu do czasu do drzwi powszedniego, trzeźwego, rozsądnego życia, przypominając, że są cuda, o których Hamlet powiada „ani śniło się filozofom naszym“. Za naszych dni przeszłość stara rozwarła groby swoje, a postać po-

śmiertna dawno zapomnianego Wschodu wystąpiła z pod ziemi i pojawiła się Europie, jak ongi ojciec Hamleta, i wystąpiła w całym rynsztunku wojennym z mieczem w rękę, z koroną na głowie.

List p. Longworth z Nimrud nad Tygrem, umieszczony w Morning Post d. 3 Marca 1847 r.

„Będąc w Mosul, wielce pragnąłem odwiedzić wykopaliny w Nimrud. Radbym atoli choć kilku słowami opisać wrażenia, które mnie uderzyły wśród tych gruzów pełnych dziwu. Wszystkie te zwaliska były pogrzebane w ziemi. Aby się do nich dobyć, Layard kazał odkopać ziemię do głębokości 12 lub 15 stóp; tak dostał się do wnętrza pałacu zbudowanego z płyt marmurowych. Tu przedstawił się istny zamęt labiryntny przysionków, świetlic, komnat, a ich ściany wszystkie widziałem pokryte płaskorzeźbą i oném pismem w klin pisaném; a te ozdoby i przystroje były jeszcze wybornie zachowane. Wyższa część murów zbudowana jest z cegieł i pomalowana w kwiaty i t. p. lśniące jeszcze najżywszą barwą. Dachy były zapewne drewniane — tu i owdzie sterczały jeszcze z nich ułamki rozsypane.

„Było to właśnie pod wieczór, gdym zstępował w te świetlice, więc długie cienie potęgowały jeszcze wrażenie, pełne lęku i grozy, tych przedmiotów, które mnie w koło otoczyły. Przyszłaż, żem był wskrósł poruszony, stanąwszy wśród przepysznego mieszkania starych assyryjskich królów, a nie potrzeba było przyłożenia silnego wyobraźni, by tu obaczyć zmartwychwstające widziadła zapadłej wielkości i potęgi. Widma przeszłości napełniały zewsząd ciżbą ściany, po których, mówiąc słowami Byrona „rozpostarły się mgliste skrzydła trzech tysięcy lat“, one przedstawiały wędrownemu widzowi obraz onych mocarzy, co niegdyś władali tak wielką częścią téj ziemi, którąśmy dziś zamieszkali. Tutaj oni świecą w orientálním przepychu bogato wyszywanych szat, i w tym dziwnym swoim przystroju na głowach. Tutaj widać ich sprawy i w czasie wojny i pokoju; to udzielają posłuchania obcym ludom, to walczą w bitwach i zdobywają twierdze, to na łowach ścigają lwy i t. d. Widok takiej mnogości przedmiotów obcych, cudzych, przeniknął mnie do dna duszy. A postaci królów i ich namiestników były tak prawdy i życia pełne, i wyrobione tak piękną płaskorzeźbą, że się zdawało, iż w lada chwilę wystąpią i gniewnie powstaną na zuchwalców natrętnych, ośmielających się nachodzić ich samotność cichą. Tu i owdzie znów pojawiały się potworne kształty starych bóstw assyryjskich; ciała ich ludzkie, ale z obwisłemi długimi skrzydłami a głowy o dziobach orlich. Tam znów u bramy przysionków opustoszałych, wiernie trzymają straż kolosalne postaci skrzydlatych lwów i wołów o twarzach ludzkich olbrzymiej wielkości. Zdawało się, że w chwili mrocznej wieczora wszystkie te figury, te wszystkie boży-

szeza dawno umarłej religii, podniosły głowę swoją ze snu długich wieków. Zaiste uczucie uszanowania, które mnie przejmowało, było podobne do uczucia hołdu, które dla nich mieli niegdyś pogańskie ich czciciele“ (*).

Otoż jest list pisany sześć lat temu, a niezadługo po chwili, gdy pogrzebione pomniki tego dawno umarłego świata zmartwychwstały, występując przed oczy żyjących.

Zaczniemy atoli od początku.

Chwała odkrycia pomników assyryjskich należy się zaiste Francuzowi Botta (**). Botta dopiero 1843 r. na wiosnę opuścił Francją. przeznaczony będąc na konsula do Mosul, miasta położonego nad Tygrysem. Pod Mosul sterczy kilka potężnych pagórków; zarysy ich są tak nadzwyczajne, że zrazu widać, iż one nie są dziełem natury, ale raczej rozsypiskiem ogromnego budowania; a gdy między ludem tamtejszym chodzi wieść, że jeden z tych pagórów jest grobowcem Jonasza Proroka, więc też te rozsypiska wszystkie uchodziły za gruzy dawnej Niniwy „onego miasta trzech dni obwodu“ kędy kazał Jonasz, Boży wysłaniec.

Botta przeto, jako człek o szerokiem sercu a bystrzej głowie, zajął się kopaniem w tych pagórach, ile mu tylko stawiało czasu wolnego od spraw konsularnych; aleć krom napisów w klin pisanych (klinopismo), nie odniósł żadnej ważniejszej nagrody za trudy swoje. Atoli samo to miejsce nie było wielce korzystne do tego celu, bo te pagóry tak blisko znajdują się Mosulu, że zapewne ważniejsze zabytki, a mianowicie ciosy o płaskorzeźbach, dawno już były znalezione przez mieszkańców i obrócone na materiał do ich domów.

Mimo to wszelako Botta nie przykrzył sobie i starannie zbierał okruchy cegieł i alabastru, na których były ślady wyrzeźbionego pisma. W rychle włóscianie przyległych wiosek znosili mu ułamki podobne, aż się też zdarzyło, że jeden z nich, widząc jaką cenę Botta przywiązuje do tych zabytków, a słysząc, że radby przedewszystkiem znaleźć rzeźby, poradził mu żeby czynił poszukiwania w jego

(*) Ob. Austen Henry Layarda, *Niniwa i jej zwałiska* 1848, oraz drugie dzieło *Niniwa i Persepolis* 1852, przez p. Vaux asystenta przy Muzeum Brytańskiem. Historia odkrycia pomników tych, które podam czytelnikom niom w skróceniu, czerpana jest po największej części z dwóch tych ważnych dzieł.

(Nowsze badania Layarda opisane są w jego dziele: *Second expedition to Assyria* 1867. — St.)

(**) Paweł Emil Botta, znany podróżnik, syn włoskiego poety i historyka Karola Botta, ur. 1805; odbył podróż na około świata; od r. 1843 był konsulem francuzkim w Mosul, od roku 1847 konsulem generalnym w Jerozolimie, od r. 1857 żył w Trypolisie; umarł we Francji 1870 roku. Najgłówniejsze jego dzieło: *Monument de Ninivé*, 5 tomów 1846—50, zawiera w sobie wspaniałe rysunki zabytków assyryjskiej sztuki przez Flandina. — St.

rodzinną wsi Korsabat, i zapewnił, że tam przy stawianiu nowych domów mnóstwo podobnych rzeczy wykopują.

Poszedł za tą radą Botta, udał się do onego Korsabat, odległego od Mosulu na pięć godzin karawanowej drogi. W Korsabat obaczył pagórek, który na końcu wschodnim wznosił się wysokim ostrokreśnięciem, zachodni zaś koniec pagórka rozdzielił się na dwa ramiona. Otóż w tém miejscu Botta zabrał się z całej duszy do pracy, która też najpiękniejszym skutkiem uwieczoną została. W rychłe dogrzebał się pałaców; w nich po ścianach napisy i płaskorzeźby, później posągi kolosalne, na nich ślady farb, mury ścian powiązane z wielką technicznością, rysunek rzeźb pełen prawdy i natury. List pierwszy Botty dnia 5 Kwietnia 1843 roku, donoszący światu o tak ważnych odkryciach, sprawił też we Francyi ogromne wrażenie. Rząd ówczesny postanowił nie szczędzić dla Botty środków, by mógł rozpocząć poszukiwania na wielką stopę. Ówczesny minister spraw wewnętrznych Duchatel, przekazał mu znaczne summy, a Villemain, minister oświecenia, przyłożył mu się znakomicie, wysyłając do niego Flandina, który sobie już był sławę zjednał w Persyi, jako znakomity rysownik; — on miał przerysować te wszystkie zabytki rzeźb, których bez skruszenia nie można wyprawić do Europy. Przeznaczono też fregatę osobną, by popłynęła do morza Perskiego, dokąd miały być spławiane Tygrem te olbrzymie zabytki starych lat, a ztamtąd zawiezione do paryzkiego Louwru. Botta okryty był zaszczytami od rządu swojego i narodu; kosztem publicznym wydane zostało dzieło pełne przepychu, obznajmujące świat cywilizowany z ważnością jego prac i mozołów. Żwawo i ochotczy postępowała teraz robota, a co chwila z ziemi wydobywano to napisy, to płaskorzeźby, to posągi ogromne, to małe figurki miedziane, to naczynia, to wyrabiania misterne na kości słoniowej, a mianowicie uderzały wyobraźnię owe gigantyczne lwy i woły skrzydlate o głowach ludzkich. Znalezione też znaczną ilość stopionej miedzi i ułamki drzewa spalonego na węgiel; ztąd wnosil Botta, że dach był drewniany, że był spojony gwoździami miedzianymi, a wreszcie, że budynek cały zapewne zniszczony został przez pożar.

Nic też nie zdołało złamać odwagi Botty; żary dopiekające letnie, nieznosne nawet dla tamecznych mieszkańców, szerzyły morderczą cholerę między robotnikami jego, i samego przypawiły o niemoc długą i niebezpieczną. Przecież niezniekana, twardo kuta wola tego zanego człowieka, przemogła wszystkie zapory zawistne, a rychło Francya i Europa ujrzała się dziedziczką wielkiej części spadku po królach assyryjskich, zmarłych przed tysiącami lat.

Niemniej atoli, jak te wszystkie odkrycia, jak ta hartowna, niezłomna przełamana, wytrwałość i głęboka znajomość rzeczy, idzie Botty na cześć jego gorąca miłość do umiejętności, obok której nie podniosła już głosu żadna drobna zazdrostka i niechęćka narodowa. On to Anglikowi Layard, bawiącemu właśnie podówczas w tamtych

stronach, podał rady szczere, z całém wylaniem udzielając mu swego doświadczenia. Poszedł za radą i przykładem Botty Layard i zabrał się do poszukiwań; ale mniej znalazł współczucia w swoim kraju i w rządzie swoim, i wszystkie pomysły jego, tak pełne bogatych nadziei, byłyby poszły w niwecz, gdyby jeden człowiek nie był się ujął za nim. Tym był Sir Straffort Canning; on mu wyjednał środki, które, choć nie były wcale obfite, wystarczyły wszakże; aby rozpocząć robotę. Lubo później te poszukiwania odbywały się kosztem i na rzecz Muzeum Brytańskiego, przecież nigdy siły, któremi mógł rozporządzać, nie wyrównały zasobom Botty. Zajmujące są słowa, któremi Layard opisuje stan duszy w onęj nocy, gdy nazajutrz miał rozpocząć pierwsze prace około odkopania pomników zapadłych; była to noc gorączki trawiącej, stan, który był na polu jawem, marzeniem febralném. Rozwijały mu się widziadła podziemnych pałaców olbrzymich, potworów kamiennych i znowu przesuwaly się przed oczami duszy figury dziwne; na kamieniu rzniete napisy bez liku majaczyły go czarodziejskiem widmem. Zdawało mu się, że już wymyślił sposoby wydobywania tych światów odkrytych z podziemnej ciemnicy na świat jasny, widny; i znów marzyło mu się, że niby błądzi po labiryntnym zamięcie świetlic i izb, korytarzy, dziedzińców, z których szukał daremnie wychodu; gdy znów nagle całe to królestwo marzeń zapadło, zniknęło bez śladu, a pracownik biedny ujrzał się samotny na mogile gruzów chwastem zarosłej. Te widzenia gorączkowe nekaly go noc całą, aż złamany na siłach zasnął; nad ranem usłyszał głos sługi, zerwał się z koiberka, wystąpił z chaty i zabrał się do dzieła. (*Layard I część Rozdz. 2.*)

Rozpoczął pracę, a jak zaś szczęśliwe były jej skutki, jak one nawet przewyższyły owe obrazy marzeniem gorączkowém zrodzone, widzieć możemy już z wyżej przytoczonego listu Longwortha, który odwiedził w r. 1847 podziemne pałace w Nimrud, dopiero co odgrzebane przez Layarda. Nie podobna już wypowiedzieć tych zawał i trudności, z któremi pasowali się ci zacni ludzie, pracując nad odkryciem tajemnic dawno umarłych ludów. Klimat niegościny, niedostatek, bezdroża na pustkowiach natury, zła wiara robotników, brak wszelkich, choćby najdrobniejszych, wygod życia i inne wrogie potęgi bronily, jakby zawistne demony, wstępu do podziemnego świata; a już najzaciętszym nieprzyjacielem usiłowania był fanatyzm ciemny mieszkańców, popierany przez ciasnogłowych rządców onych prowincyj. Przytoczę ci tu tylko jeden wypadek. Pewnego ranku Layard wracał konno do wykopaliska swojego — wtém ku niemu jak konie wyskoczyć mogły pędzi dwóch Arabów. „Śpiesz się! śpiesz się, Beju! znaleźli Nemroda! Allah! To istny cud! widziałem go na własne oczy moje. Jeden tylko jest Bóg!“ A już nie mówiąc ani słowa, polecili wiatrem ku namiotom swoim. Wstąpił Layard w głębie do szybu. Sługa jego Awad zaszedł mu drogę, prosząc o podarunek na uczczenie dnia tak ważnego. Spojrzał L. w koło

siebie, ale widział tylko stos ogromny koszów i płaszców, a nigdzie Nemroda. Arabscy robotnicy w oka mgnieniu rozebrali osłonę, na prędce z płaszców i z koszów ułożoną, i w tej chwili przed L. zjawia się ogromna głowa, gigantycznych rozmiarów. I nie ma się czemu dziwić, powiada Layard, że widok jej przerażający zmroził strachem Arabów; nie trzeba było zbyt gorącej fantazyi, by w tém zjawisku obaczyć one okropne jestestwa, które, wedle starych podań chodzących wśród tego ludu, zwolna występują z podziemnego państwa, pojawiając się śmiertelnym. A przecież ta głowa była tak okazała, tak pełna pokoju! ona, przebywszy 2500 lat pod ziemią, teraz stała znów na jawie dziennym!

Niezdługo słychać było tentent koni, a Szeik - Abder - Raman z połową szczepu swojego ukazał się na brzegach wykopanego szybu. Sprowadzili ten tłum owi dwaj Arabowie, których L. spotkał w drodze. Bo zaledwie stanęli u namiotów, a już z wielkim krzykiem rozprowadali dziwy niesłychane; wtedy kto mógł dopadał swojej kłaczki, wołając: „Nie ma Boga krom Boga, a Mahomet jest prorokiem jego!“ i wszyscy cwałem pośpieszyli, by oglądać cud. Nie łatwo było Layardowi namówić Szeika, by zstąpił w głębie wykopalisk, dla przekonania się, że przecież głowa, którą widzi, jest istotnie z kamienia. Szeik, przypatrzwszy się jej długo ze wszelkich stron, zamyślił się głęboko. Nakoniec zawołał: „To nie dzieło ludzkich rąk, to jest sprawą owych niewiernych olbrzymów, o których prorok — pokój z nim — wspomina, że byli ogromniejszego ciała niż najwyższe drzewa daktylowe, a ta głowa, to jeden z tych bałwanów, które Noe — pokój niechaj będzie z nim — przeklął przed samym potopem!“ Na to zdanie pełne erudycyi zgodzili się wszyscy Arabowie.

Layard, chcąc ulagodzić umysły, wyprawił tego wieczora zabawę, racząc Arabów skopowiną; a muzyka wędrownych grajków, którzy właśnie tamtędy ciągnęli, nie mało dodawała ochoty; ze wszystkich też stron zbiegano się przypatrzeć onemu dziwowisku, a zarazem by podzielać wesołą ochotę.

Lecz na tém nie skończyły się kłopoty; zaledwie owa głowa w nieobecności Layarda była odkopana, gdy jeden z Arabów, obaczwszy ją, dosiadł był czempredziej konia i popędził do Mosul; bez tchu przelatywał bazyry wołając, ile miał głosu, że Nemrod zmarł — twychwstał! — Ogromny rozgłos po mieście. Kadi, niechętny oddawna L., zwoluje Muftego i Ulemów, by tę rzecz wspólnie rozważyć ze strony teologicznej. Narada skończyła się na processyi uroczystej do gubernatora prowincyi Ismaila baszy. Protestowano przeciw pracom L. jako obrażającym ustawy Koranu. Ale Kadi sam jakoś nie był pewnym, czyli odkryto obraz, czyli też kości Nemroda, co był „możnym myśliczem przed obliczem Pańskim“ a jego excellencya Ismail basza znów nie mógł sobie przypomnieć, czyli ten Nemrod był prawowiernym prorokiem czyli też ohylnym niewiernym.

W tej niepewności kazał polecić L., aby się ze szczątkami Nemroda obchodził z uszanowaniem, a zakazał wszelkich dalszych prac około nich. Po długich korowodach stanęło przecież na tém, aby na czas zawiesić roboty, póki się miasto jakoś nie ukołysze (*).

Zaiste wystarczy już, com powiedział o historii pojawienia się tych zabytków na widok jasny cywilizowanej Europy. Nie rozwodzę się też nad poszukiwaniem komissyi francuzkiej, zajętej w tej chwili odkopaniem gruzów Babilonu. Ogromne pagóry odległe na milę od Birs-Nimrud okazują miejsce, kędy niegdyś wznosiły się budowania olbrzymie olbrzymiego miasta, a choć doszły nas najświeższe sprawozdania komissyi, przecież z nich jako i z dawniejszych znać, że praca około tych babilońskich rozwalisk dość jest niewdzięczna. Dotych czas nieznaleziono żadnej rzeźby; a kawałki cegieł malowanych, składających niegdyś jakiś obraz, są po dziś dzień całym owocem trudów i wielce znacznych kosztów. Brakuje też napisów o sprawach wojennych w gruzach Babilonu, a przecież napisy tak są gęste w ruinach Niniwy; również jest rzeczą wielce uderzającą, że nigdzie w babilońskich rozsypiskach nie widać śladu sklepień, gdy tymczasem w Niniwie znaleziono sklepienie bramy, sale, korytarze, a na rzeźbach widać nawet mosty o łukach ciosowych.

Przepuścisz mi zaiste i bliższe opisy owych rzeźb wykopanych, i pałaców odkrytych w Niniwie, a zapytasz raczej o wartość tych dzieł sztuki, o ich znaczenie w dziejach rozwijającej się fantazyi artystycznej. Na to właśnie pytanie trudno mi wielce odpowiedzieć. Dzieła sztuki ludów Starłej Azji są dla nas zupełnie nową dzielnicą, bo dopiero od lat dziesięciu istniejąca; nie było jeszcze dość czasu, by się w nich dostatecznie rozpatrzeć, a one też uderzyły Europę zniecierpliwioną takim podziwieniem, że brakło jeszcze chłodnej rozwagi, swobodnej, niezamąconej myśli do trzeźwego badania a bezstronnego sądu.

Gdy mowa o Grecyi lub Rzymie, o Egipcie lub Indjach, zdołamy prawie już, jakby na figurach geometrycznych, wykazać na ich dziełach istotę fantazyi tych wszystkich ludów; lecz gdy patrzymy na zabytki assyryjskie, jakiś tajemniczy duch, jakieś oczy nieznanego nam świata patrzą na nas z tych postaci dziwnych, a tak pełnych majestatu a okazałości olbrzymiej. Przeczujemy, że wiele jeszcze okretów obciążonych skulpturą i napisami popłynie do Europy, że wiele wyjdzie jeszcze na świat rycin, dzieł i opisów, że wielu głębokich znawców i badaczy złoży pracę całego życia swojego na ofiarę umiejętności, zanim zdołamy sobie zdać sprawę jasną o tej fantazyi, otwierając nam nowe królestwa w dziejach ludzkiego ducha.

Wszak filozofia ze swoją szkodą przekonała się nowemi czasy, a mianowicie we filozofii natury, jak to niebezpiecznie wyrokować

(*) *Layard*, Rozdz. IV.

zawczasnie w jakimkolwiek przedmiocie, gdy jeszcze niedostaje pewnych faktów.

Mam wprawdzie w tej chwili przed sobą rozłożone mappy, rysunki, ryciny, plany i t. d. assyryjskich pomników; ale wyznaję, iżbym nierad wysunąć się zarozumiale z jakimś zdaniem zbyt zuchowałém, gdy inni lepsi odemnie, a którzy nawet widzieli na oczy i dotykali się tych pomników, tak nieśmiało odzywali się ze zdaniem swoim. Przyznaję ci się, iżbym był nawet całą tę rzecz chętnie pominął, gdyby się godziło nie wspomnieć o zabytkach tak ważnych, które w tej chwili poruszyły całą myślącą Europę; gdyby się godziło przemilczeć o tym ludzie historycznym, w tych listach moich, w których sobie założyłem choć zlekka dotknąć usposobienia artystycznego wszystkich narodów i epok, które w olbrzymich historycznych postaciach kroczyły po scenie dziejowej ludzkiego rodu. Pomijając tedy nawet różnice niniwskiej i babilońskiej sztuki, o ile ją znamy czy z rzeczywistych dzieł, czyli z podań historyków, wypowiem kilka nieśmiałych wyrazów o wspólnym charakterze obu tych sztuk. Wyrazy moje tém mniej będą śmiałe, że, jako rzekłem, zdania przez znakomitych znawców rzucone są jeszcze zbyt ułomkowe, aby mogły wesprzeć mnie dostatecznie powagą. Nie chciéj tedy rozprawy moję uważać za twierdzenia, któreby sobie rościły prawo do jakiegoś stanowczego wyrokowania o rzeczy.

Najprzód jest rzeczą niewątpliwą, że te zabytki stanowią ważne a dotychczas nieznane ogniwo w dziejach fantazyi artystycznej; one zaiste uzupełniły przerwę w historii rozwoju sztuki pięknej.

Jakiż atoli jest charakter tej fantazyi przebijającej się w tej puściźnie po tych starych pokoleniach Azji? Patrzymy na kierunek i dążność ich duchową. Assyrya równie jak Babilon długą i przeważną potęgą panowały licznym narodom Azji — władztwo ich było olbrzymie. Zdobycie sobie atoli takowej potęgi i panowania było tém trudniejsze, jeżeli zważymy samo usposobienie tych wszystkich szczepów, które trzeba było przemódz i trzymać w karbach azyatyckiego posłuszeństwa. Nie rozprawiając obszerniej pod tym względem, zwrócę tylko jeszcze uwagę twoją na samą naturę tych krajów, na których stały Babilon i Niniwa. Cała ta przestrzeń nie ma bynajmniej granic od natury samej tak ściśle zakreślonych, aby one zarazem służyć mogły za obronę państw jednolitej istoty. Z tego wypływa, że tém więcej potrzeba było siły i wewnętrznej potęgi, aby sobie wywalczyć przewagę i utrzymać się, choćby przez czas niejaki, na panowaniu tak olbrzymiej przestrzeni Azji. I dla tego słusznie policzono te państwa do ludów czynu z okiem i duchem na zewnątrz zwróconém. Indye, usypiające w miękkich czarodziejskich marzeniach, nie złożyły nigdy litego państwa, one się jedynie zdobyć mogły na zbiór państw drobniejszych; ich właściwa historia nie wystąpiła nigdy po za obręby rodzimego kraju. A Egipcyanom, zadumanym, tonącym w sobie, łatwiej było przyjsć do całości politycznej

odrębnej, bo sama natura uczyniła z ich ojczyzny całość w sobie zamkniętą, a nie tylko odgradzoną ze wszech stron od świata, ale mającą nawet piętno tak osobne, tak właściwe, jak już żaden inny kraj na świecie.

Niniwa i Babilon nie kołysały się w marzeniach jak Indye, nie dumały nad zagadką nadświatną człowieka i natury, jak Egipt; one były powołane do twardych spraw, do butnego działania, i stojąc jakby na strażnicy dziejów Wschodu, czujnym zmysłem patrzyły około siebie, dostrzegając pilnie wszystkich zjawisk zewnętrznego świata.

Z tego, co rzekłem, wypływają następujące wnioski.

Te ludy właśnie dlatego, że działały, że się pasowały ze światem rzeczywistym, że dokonały spraw ogromnych, których odgłos rozlegał się po dziejach ludzkich — podawały innym narodom osnowę do dzieł fantazyi, mogły się stać przedmiotem sztuki dla obcych; ale za to same nie były ludem bogatą fantazyi (*). Świat zewnętrzny, rzeczywisty, tak zajmował Babilon i Assyryę, tak potężnie ich wiązał, że im nie stało czasu, by ten świat ustroić, upoetyzować w uludne kształty.

Gdy atoli do tego świata zewnętrznego, rzeczywistego, który tak ciężko ważył w duchu tych ludów, należy również i natura, w koło otaczająca człowieka, a nawet jego własna cielesność, więc już z tego ich usposobienia nowe możemy wysnuć wnioski.

Jakoż brak rozwiniętej fantazyi, a przytém znaczenie wielkie rzeczywistości i tej istnej natury, musiało być koniecznym powodem, że te ludy mniej idealizowały, a trzymały się raczej tego, co im rzetelna podawała natura. Wniosek ten sprawdza się też wedle mojego zdania na ich rzeźbach. Kto tylko widział te skulptury, przyznaje im nie lada znajomość anatomii i znakomite studia natury. Widać wszędzie, że tym mistrzom chodziło o naśladowanie rzeczywistej przyrody, że mieli zmysły rozwarte na kształty, które im przedstawiał świat materyalny; oni nauczyli się natury, nauczyli się rysować. Muszkuły w tych rzeźbach, mianowicie ramion, rąk i nóg, są tak wydatne i tak ściśle wyrażone, a twarze tak pełne indywidualności, iż wyraźnie znać, że mistrze ich patrzali na rzeczywistość dla tej rzeczywistości samej. Przekonywamy się przeto, że te figury w niczem już nie są podobne do tych twardych, architektonicznych, sztywnych posągów egipskich, co to bez muszkułów, bez wyrazu na twarzy, a robione niby na pamięć, wedle raz na zawsze przyjętych proporcji i rozmiarów. Wszak te oblicza królów, bohaterów assyryjskich są tak nacechowane charakterem właściwym, iż znać, że są wizerunkami osób żyjących. Dziwny to widok tych głów o włosach, brodach utrefionych, wyloczkowanych z najwyższą starannością,

(*) *Vischer* w *Es'etyce*.

i strojnych w czapki wysokie, a suto i dziwacznie ozdobione. Ten naturalizm sztuki pojawia się i w tém jeszcze, że jak nam prawią wędrowcy, fizyognomie mają piętno dzisiejszych mieszkańców w owych krajach, że nawet draperye posągów przypominają sposób noszenia sukni dziś jeszcze tam używany.

Chciój atoli baczyć, że gdy rozprawiając o tych rzeźbach mówimy o trafnym, poprawnym rysunku, o studyach natury, o umiejętności anatomii, trzeba mieć wzgląd na to, że i ta sztuka assyryjska, jak każda inna, miała epoki swojego rozwoju, najwyższego wykwit, a późniejszego upadku. A sztuka assyryjska tém więcej zaiste ulegała tym epokom różnym, że trwała życiem tak długiem i przeciągłym. Uważają atoli, że stała na szczycie swoim mniej więcej na 1000 do 2000 lat przed J. Chr. Zważ, że gdy dziś robotnicy odrywali od ścian pałacowych płyty marmurowe z płaskorzeźbami, spozstrzegali, że te płyty były i z drugiej strony rzeźbione we figury, więc ze strony do ścian wmurowanej; przecież rzeźby te wewnętrzne były innego już stylu. Widzimy tedy, że te płyty należały niegdyś do starszych jeszcze pałaców, które rozebrano do nowszych budowli. Znaczący domyślają się, że takowe starsze rzeźby sięgają zapewne czasów Ninusa i Semiramidy!

Ale i tutaj to jest cechą wielce charakterystyczną, że ciało jest lepiej rysowane niż oblicze, które właśnie jest ducha promienną stolicą, a znów kształty zwierzęce dokładniej są wykonane, niż postać ludzka.

Prawda, że na tych rzeźbach i w kształtach ludzkich i zwierzęcych, widać niekiedy gwałtowne odstępstwo od natury; ale w takich razach to odstępstwo jest tak potężne, tak uderzające, że właśnie widać, że się stało z namysłu, że ma cel nadania téj postaci pewnego piętna i symbolicznego znaczenia.

Atoli i tutaj, jak na całym Wschodzie, rzeźba nie jest jeszcze sztuką usamowolnioną, ona nie istnieje jeszcze sama dla siebie, jest niby służebnicą i ornamentyką architektury; albowiem i człowiek, będący główną osnową dla rzeźby, nie jest wyswobodzony w zupełności z pod mocy natury. Przecież płaskorzeźby są, jak już powyżej widzieliśmy, dzielnie występujące; one bynajmniej nie są tak płaskie a tém mniej wkleśłe, jak to widać w Egipcie.

To zwrócenie się tych ludów do natury, do życia zewnętrznego, jak jest powodem, że ich sztuka wiernie naśladuje naturę, nie idealizując jej wcale, tak téż to usposobienie objawia się jeszcze i pod innym względem. Jakoż te ludy bitne, praktyczne, żyjące życiem zewnętrznem wysoko sobie ważyły siłę przyrodzoną, fizyczną; i dla tego właśnie nogi, ręce i ramiona są tak muskularne i mocne w porównaniu z tułowiem. Podobnież blask zewnętrzny, przepych hardy, butny, widomy dla świata, jest tu wielkiego znaczenia. Rzeźbione postaci tych królów, pełne są okazałości i majestatu. One tak świąteczno, uroczysto patrzą na świat, że znać jako one i władały mno-

giemi ludami, i składały wspaniałe ofiary bóstwu na cześć. Szaty wyszywane, bogato strojne, są pełne powagi i grozy. Patrząc na te postaci, widzimy w nich jakby uosobione dzieje starego Wschodu.

Ta chęć okazałości, wypływająca z uczucia własnej potęgi i z żądzy okazania jej na zewnątrz, wyjawia się i w architekturze; ogrom pałaców, niesłychana wysokość, do której sięgają budowania Assyryi i Babilonu, i ta butność harda, głosząca ludom świata dzielność i siłę mocarzy, jest tutaj zupełnie właściwym wpływem nastroju całego ludu.

Zważ jeszcze, że gdy nad Eufratem i Tygrem człowiek żył raczej życiem rzeczywistém, zewnętrzném, a niżeli duchowém, zatem też działo się tu inaczej, jak w ciężko zamysłonym Egipcie. Tam bowiem większa część rzeźby i architektury ma religijne znaczenie, a najczęściej jest hołdem śmierci oddanym; w Assyryi zaś fantazja jest niby świecką, światłową, ztąd rzeźbi najczęściej fakta historyczne, wielbiąc swoich mocarzy i bohaterów. Budowania ogromne, okazałości i przepychu pełne, są właśnie pałacami, mieszkaniem tych królów i władców. Co więcej, te figury religijne są potworne, dziwaczne, bo są symboliczne; a przecież wedle sądu tych, co je widzieli — w nich znać jakiś zdrowy, rozsądny pogląd; ośmieliłbym się powiedzieć, że tutaj nawet symbolika jest harda i zuchwała, pochodząca z uznania swojej wartości. W Egipcie krokodyle, kocie, krowie, krogulcze głowy, owady rzeźbione są ważnym pierwiastkiem symbolów; w Niniwie zaś orzeł, lew, skrzydła, wół w całej potędze swojej, ciągle i ciągle wracając się na rzeźbach, świadczą jaki to ten lud hardy i bitny i butny!

Te atoli figury religijne i bożyszcza, są jeszcze jawnym dowodem, że i tutaj bóstwo nie jest pojęte ściśle jako osoba; i tutaj w duchu nie ma jeszcze jasnego wyobrażenia o tej jedności ducha, do której jak do ogniska odnoszą się wszystkie promienie jego.

Tę jedność doskonałą nie widać też w architekturze pałaców staréj Niniwy. Wpatrując się w jej plany, a rozporządzenie wewnętrzne, znać, iż przy zakładaniu ich nie przyswiecała jedna myśl przewodnia; te pałace nie są organiczną całością. Prawda, że to już nie są owe senne labiryntne marzenia w skale wykutych pieczar indyjskich; owszem jest niekiedy pewna symetria w całym rozkładzie; izby i sale często odpowiadają sobie i co do wielkości, kształtu i wzajemnego położenia swojego; ale często także możnaby ująć, lub dodać mnóstwo świetlic i sal, a całośćby na tém nie traciła bynajmniej. Słowem, i tutaj, jak na całym Wschodzie, nie pojawia się jeszcze owa architektura, którą dopiero mogła Hellada stworzyć — architektura, w której każdy, choćby najmniejszy szczegół, odnosi się do całości swojej, w której każdy szczegół jest zarazem przyczyną i skutkiem wszystkich innych, w której wszystkie części, choćby najdrobniejsze, nawzajem się tworzą i są wzajemnym warunkiem swoim.

Odważyłbym się orzec, że z powyższych faktów wynika, iż ta

sztuka Assyrii staréj, jest jakby ogniwem pośredniem między Egip-tem a Grecyą. I w Niniwie symboliczność jest jeszcze pierwiastkiem ciężkiej wagi, ale przecież obok niego przeważa sztuka świecka, która służy ku uczczeniu ludzi i bohaterskich spraw; figury nie są jeszcze ideałami w greckiem znaczeniu, ale nawzajem nie są też tylko znakiem niemy, jałowym myśli; one mają znaczenie same przez się, one w samej rzeczy jako postaci mają wartość swoją, nie potrzebując pożyczonéj symbolicznój treści.

Prawda, że ten naturalizm wyrażający się (w całym kierunku tych ludów, jak z jednéj strony czynił je zdolnemi i do wielkich dzieł w życiu praktyczném, tak też z drugiéj strony wplótł w ich obrzędy religijne, sprośność zmysłową, a co więcej, stał się przyczyną upadku tych olbrzymich państw. Po pogromach, po przemożeniu ludów w koło, zwycięzcy chętnie oddawali się rozkoszy bezmiernéj, miękkości niesłychanéj, zapadli w gnuśność sardanapalską, usypiając w objęciu czarodziejskich mocy zmysłowości, a tak znów stali się lupem drugiego podobnego do siebie ludu. Nie darmo też na cały świat, rozeszły się wieści i do późnych pokoleń dostały się podania, o rozpucie bez miary, o zniewieściałości bez granic życia w Babilonie. Aleć ta zmysłowość rozkołysana, to oddanie się, te zapadania się w uciechach rozkoszy materyalnych, są wielce różne od gnuśności zniewieściałéj owych Indyan. Bo tam człowiek jeszcze jest oczyniony bezwzględnie magiczną mocą natury, która nim miota i włada, odbierając mu przytomność siebie; nad Tygrysem, nad Eufratem zaś zwycięzcy świata w rozkoszach zmysłowych zewnętrznych pragną nagrodzić sobie ciężkie trudy wojenne, pełne krwawego znoju. Oni teraz panami wszech ludów w około, więc z pełną wiedzą rzucają się w objęcie, w morze odurzającéj rozkoszy.

Możnaby zaiste wysnuć ci cały jeszcze szereg wniosków podobnych, które prawie same się nam rodzą, gdy się rozpatrzymy w rycinach tych zabytków, które nam się dziś wydobywają z kośnicy ciemnéj przeszłości; lecz myślę, że do naszego celu wystarczy, cośmy dotychczas o nich rzekli, a trudno też nam puścić się na hazard, oddając się zbyt zuchwale niepewnym, a zarozumiałym przypuszczeniom.

Nie mogę atoli odwrócić się od tego dawnego wschodu ludzkich dziejów, nie uczciwszy choć słówkiem starożytnéj Persyi, owego rodzinnego kraju Cyrusa, Daryuszów i Xerxesów, choć on o wiele, wiele stuleciów młodszy od owych grodów Babilonu i Niniwy.

I Persowie, choć innego szczepu i pochodzenia, byli również ludzie dzielni, ludzie czynu i mężkich spraw; i oni w swoim czasie zasiedli na tronie złocistym całego wschodu; oni nie ustąpili żadnemu z władców zrodzonych w Azji, ich powalił duch Europy, duch nowéj historii, który się nosił w Macedońskim Aleksandrze. Persya padła w oném olbrzymiem pasowaniu się potęg przeszłości z przyszłością nową, do której miał należeć ludzki ród.

Dziś cicho i samotnie na rozwaliskach świętego Persepolis — mil-

cząc zasiadła historia wśród tego grobowego miasta następców Cyrusowych. W koło opuszczenie i głuchota; w szerz i w dal nie dojrzysz żadnego innego dzieła ludzkich rąk. Niekiedy tylko słysząc krzyk szakala, lub przesunie się lis, albo lew ryknie; niekiedy słysząc rżenie koni; — to jeździec na pół dziki, lub wędrowcy z Europy, co karawaną ciągną, by złożyć hołdy podziwu swojego gruzom, które, choć w poniewierce, tak jeszcze przepychu i cudów pełne.

Na wysokim terasie marmurowym wznoszą się jeszcze licznemi gronami kolumny wysmukłe, swobodne; brusy niegdyś je łączące spadły i rozsypały się w okrucy, zostały tylko prawie zachowane one wschody prowadzące na teras, wschody najwspanialsze na świecie; takich wschodów już żaden naród w historii, żaden wiek zbudować nie zdołał! A obok wschodów lśnią płaskorzeźby bogate, świadki dawniej wielkości. Widzisz bez liku postaci tłumne, co się cisną w czterech szeregach, nad sobą umieszczonych; te figury ciągną uroczyscie, to rozmawiając z sobą, to niosąc pułhary, laski, berła, ozdobne naczynia i sprzęty, a są uzbrojone w pugiwały, lub łuki i miecze. Jedne z tych postaci zwyczajem Medów odziane są szerokim płaszczem, inne w obcisłych z perska sukniach, a z wysoką tyarą na głowach; jedne ustrojone w łańcuchy na piersiach zwieszane, inne w kolczyki i w naramienniki. Na drugiej stronie wschodów ciągną pochody świąteczne, — to uroczyste poselstwa, co od dalekich narodów niosą hołdy i cześć „królowi królów“. A pochód ich podzielony na grona osobne, z których każdemu przewodniczy mąż poważny odziany płaszczem, w rękę trzymający laskę wysoką, u boku jego miecz. A każde z tych gron inaczej przybrane. W jednym widzisz posłów odzianych żupanem, o krótkich rękawach, na nich założony pas (w sposób polski), końce krótkie pasa spadają we frendzle. Inne grono składa się z figur, których włosy ujęte siatką, broda ich krótka, nogi gołe, z płaszczykiem zarzuconym. Nagie części ciała dobrze modelowane, anatomia zachowana ściśle. A wszystkie te posły niosą bogate dary „Wielkiemu Królowi“, to klejnoty, to futra, to kosztowne materye, lub prowadzą konie pyszne, wielbłądy, woły, wozy i t. d. — i kroczą wszyscy poważnie, uroczysto.

Persepolis, choć w gruzach i rozsypaniu, jest jeszcze pełne piękności, a te piękności, pełne dziwu i cudu, stały się ofiarą nieopatrznej, słabej chwili wielkiego człowieka.

Państwo Persów już zgruchotane w bitwie pod Arbela; Persepolis wzięte. Tysiące a tysiące mułów i wielbłądów, naładowanych skarbami pałaców królewskich, ciągnie do Europy. Wojsko zwyciężkie Macedonów hula w Persepolis, nuży się w zbytkach bezdennych. Im czas bawić się i szumić. Sam Alexander tarza się w życiu Sybaryty, odurzony szałem i dziką ochotą. — W Persepolis szumi wojsko wraz z królem swoim w wyuzdanym weselu. — A szlachetny Dariusz, nieszczęśliwy król Perski, ze życiem uchodzi przez pustynie głuche, bezludne; rzucił się za nim w pogoń oddział jeźdźców

macedońskich — i oni go dopadną w okropnej chwili, gdy we krwi swojej konać będzie odebrawszy cios morderczy od Bessusa, powiernika swojego, który ze wszystkich sług i przyjaciół przy nim sam jeden pozostał; tak go znajdują jeźdźcy Alexandra; jeden z nich pokrzepi umierającego wodą przyniesioną w szyszaku, a Daryusz pobłogosławi i poda mu prawicę omdlałą, — a wrogie twarde wojownicy zapłaczą nad królem królów, a panem Azyi. — Tymczasem hucznie, szumnie, ochotno w Persepolis! Grzmi biesiada w późną noc; pieśni i żarty, kwiaty i kobiety cudnego uroku i puhary dodają ochoty weselną — Alexander opity pychą i winem. — W tém powstaje od uczty Thais zalotnica i wyzywa go, by pożogą Persepolisa pomścił spalone niegdyś przez Xerxesa świątynie w Grecyi. I wszyscy rozgrzani puharem przyklasnęli. Sam król Alexander powstaje i zataczając się woła: „Zemsta za Grecyą“ i porywa głównią zapaaloną, i rzuca ją w przecudne Xerxesowe pałace; za nim poszli wszyscy biesiadnicy, i wnet Persepolis morzem płomieni. Nazajutrz, po wyspaniu się, Alexander zarumienił się, rozkazał ratować — ale zapóźno. Macedonów wstyd było za króla. A był to przecież ten sam Alexander, który przez Hyrkanią, aż pod Kaukaz i morze Kaspijskie posyła pogon za Bessusem, a ujętego mordercę każe tracić straszną śmiercią; był to ten sam Alexander, który tak zacie i szlachetnie obszedł się z matką i małżonką i dziećmi Daryusza. Wszakto Daryusz umierający, podając rękę owemu żołnierzowi, co go wodą orzeźwił, rzekł: „najwyższą moją boleścią jest, że ci nie mogę wynagrodzić dobrodziejstwa twojego, — ale Alexander za mnie ci wynagrodzi, a bogowie Alexandra wynagrodzą za wspaniałomyślność wyświadczoną rodzinie mojej; ja przez ciebie podaję mu prawicę moją“. Ten sam Alexander, co odurzony złą chwilą, w popioły, w gruzy obrócił święte Persepolis, starą królów perskich siedzibę, śmiercią karze rządzcę kraju Persidy, który w nieobecności zrabował grób i zbezczescił zwłoki Cyrusa.

Ten grób Cyrusa arcy zajmujący jest pod względem architektury. Całość jest niby piramidą, na której szczycie stoi domek ciosowy o dachu szczytowym, także ciosowym. Piramida jest w ten sposób zbudowana, iż ze wszystkich czterech stron, prowadzi sześć stopni do szczytu, z których najniższy, będący podwaliną całości, jest prostokątem 44 stóp długości, a 40 szerokości, a wysokości 5 stóp 6 cali. Najwyższy zaś 25' 8" dług. a 21' 8" szer. Domek na wierzchu, czyli grobowiec, obejmował niegdyś ciało Cyrusa złożone w złotej trumnie; dalej krzesło złote, dalej kosztowne klejnoty, kobierce, łańcuchy, szable, drogie kamienie i t. d., słowem nieocenione skarby.

Napis był taki:

O człowieku! Jam Cyrus, perskiego państwa założyciel i władca Azyi. Nie pozazdrość mi pokoju w grobie!

Następnie (wedle Strabona).

Ja Cyrus, król królów, tu leżę pogrzebiony;
 Ja byłem przyjacielem przyjaciół moich,
 Byłem najlepszym jeźdźcą i łucznikiem najlepszym,
 Byłem najpierwszym myśliwcem,
 I byłem wszechmożny w działaniu!

Ten grobowiec wielkiego pogromcy, choć bez napisów, bez skar-bów, dziś jeszcze się wznosi w sąsiedztwie Persepolis. W tej samej okolicy widać jeszcze inne groby królewskie, wykute w ścianach skalnych. Na 300 stóp od ziemi widać wystawę (facyatę) architektoniczną, ona jest podzielona na dwa piętra; w dolnym cztery kolumny pół okrągłe, które miasto kapitelu zdobne w podwójne głowy jednorożca, dźwigające bogate brusy i gzymse. Między kolumnami środkowymi są drzwi z gzymsem bogatym, a przypominającym architekturę Egipską. Wyższe piętro przedstawia jakieś murowanie, wielce zdobne w rzeźby; na niém trójnóg mały, na którym pali się ogień święty, obok trójnoga figura brodata, otulona płaszczem; u góry słońce, a między płomieniem i figurą u góry, unosi się jeszcze jakaś inna postać dziwna, promienista.

Nie będę ci wspominał o innych zwaliskach pomników starych Persów. To co mamy przed oczyma, zarazem z tém, co nam ich księgi religijne prawią, dostatecznie już tłómaczy nam istotę perskiej fantazyi.

I Persowie byli ludźmi czynu i oni, w świat rzeczywisty duszą zwrócení, mniej błyszczeli własną fantazyą, a raczej byli bogatą osnową dla obcej fantazyi. Com rzekł powyżej o Assyrii i Babilonie, stosuje się po większej części i do Persów, z tém atoli ograniczeniem, że Persowie nierównie mniej jeszcze byli ludem-artystą, niż one stare ludy siedzące nad Eufratem i Tygrem. Ich figury wypracowane pilnie, ale nie są bynajmniej dziełem artystycznego natchnienia. A ich figury religijne o dziwacznych kształtach, są to raczej rozsądkowe allegorye. Wielkość i przepych zwycięzców świata i tutaj występuje z całym okazałym, hardym majestatem.

Krótkie dzieje państwa Cyrusowego nie wystarczyły do rozwoju dzielnego ich narodowej sztuki. Widzimy tedy jakieś wspomnienie z architektury Egipskiej; często nam się téż przypomina i Babilon i Niniwa. Bo téż inaczej być nie mogło. Persowie, możni pogromcy świata, przyswoili sobie formy zwyciężonych ludów. Mimo to przecież, narodowa ich fantazyja, czyli raczej właściwy smak przebija dość silnie w ich dziełach, mianowicie w architekturze. Te kolumny lekkie, cienkie w niczém nie są podobne do egipskich, tak ponurych i zadumanych. A forma tych kolumn, ich kapitelów jest zupełnie perska (*).

(*) Zaiste te kolumny perskie, a szczególnie ich kapitele odznaczają się najwyższą, prawie dziwną oryginalnością. Mianowicie są tu dwa kształty głowic wielce uderzające, a które się najczęściej spotykają; — jeden z tych kształtów,

Więcej atoli, niż te wszystkie kamienne zabytki, wypowiedziały księgi religijne starych Persów, zwłaszcza Zend-Avesta przez Zoroastra spisana. Zdaje się wedle najnowszych badań, że nauka Zoroastra powstała po upadku Niniwy z ułamków religii assyryjskiej. Co w Assyrii było zarodem, toć rozwinął Zoroaster, czyniąc z dawnych wyobrażeń zmysłowych myśli oderwane.

Nauka Zoroastra jak sama, oparta będąc na abstrakcyach, na pojęciach ogólnych, okazuje brak fantazyi natchnionej, umiejącej obrazować treść duchową; tak równie, będąc podstawą religijną, jest niechętna wszelkiemu obrazowaniu przez sztuki piękne. Tutaj dwie potęgi występują jako władające światem: Ormuzd, pierwiastek dobrego, światłości, użytku, — i Aryman, pierwiastek złego, ciemności. Oba pasują się z sobą walką — jest to sprzeczność, dualizm, który spotykamy na wschodzie, a którego ludy jego przemódz nie zdołają. Zważ równie, że tak pojęcie światłości, dobrego, użytku, jak pojęcie złego, ciemności i t. d. nie są bynajmniej osoby rzeczywiste, postaci indywidualne; ale są to abstrakcje, pojęcia metafizyczne, słabo, rozlotnie uosobione w Ormuzdzie i Arymanie — i dla tego też właśnie obie te potęgi nie mają rozwoju w żywocie swoim; do nich nie przywiązane są prawie żadne mity, opowiadające ich losy i czyny. One, jako myśli oderwane, są w sobie próżne i głuche. Ale takowe zapatrywanie się jak zrodziło światło-bożeństwo, cześć światła nie będącego osobą, tak też dowodzi, że prozaiczność rozsądkowa, studziła fantazyą tego ludu, to jest fantazyą powszechną; a tém samém, wiadać, że Persów sztuka głównie też z tego powodu nie mogła się rozwinąć.

Kładę ci tu drobny wyjątek ze Zend-Avesty; będzie on dostatecznym dla nas przykładem téj poezyi, bo cała Zend-Avesta brzmi prawie tym samym tonem (*).

Ormuzd przemawia do Zoroastra:

„Ja wyrzeknę ci ono słowo! — słowo przeczyste, przenajświętsze, słowo nieskończonej tęsknoty, co było wtedy, gdy nie było Nieba ani wód! ani ziemi ani drzew! słowo co było przed ogniem i przed

przedstawia essownice (ślimacznice) jońskie, ale umieszczone w ten sposób, że one nie są położone poziomo, tylko przyczepione pionowo, więc do bocznych krawędzi kapitelu; a na każdej krawędzi są dwie takowe ślimacznice. Ta część z ossownicami wyrasta niby w kielichu kwiatu, mającym tedy liście do góry zwrócone; ten kielich od spodu styka się z drugim kwiatem, którego atoli liście są ku ziemi zwieszone — a pod tym drugim kielichem dopiero rozpoczyna się trzon kolumny okrągły, złobkowany. Drugi rodzaj głowic składa się z dwóch koni, jednorożców lub wolów zrośniętych niby grzbietem z sobą; nogi przednie zwinięte pod ciałem występują po za obwód kolumny; między karkami jest ustęp, w którym umieszczano belkę. Niechaj to będzie przykładem tych osobliwych form architektonicznych. Nie opisuję już podnożów tych kolumn; one prawie również nadzwyczajne — i dla tego trudno je zrozumieć, nie mając zarazem i rysunku przed sobą.

(*) Obacz jeszcze wyimki w Wykładzie systematycznym filozofii T. I. § 149 przyp. i T. II. § 247 przyp.

człowiekiem czystości pełnym, przed światem i wszech narodami, co z Ormuzda poczęte są!

O Zoroastrze! wymów przeczyste słowo moje, wymów je, choć cię opuści mowa, i nadzieja cię opuści na skonania łożu. Kto w państwie światów moich wymówi słowo moje i wyspiewa je pełnym wdzięków tonem, tego dusza uniesiona będzie w górne niebiańskie przybytki. Ja Ormuzd, ja sam uczynię mu mosty szerokie ku światłościom niebiańskim — on będzie czystym, jako niebios a czystym! i będzie świecił niebiańską światłością. Ja sam — Ja Ormuzd majestatem odziany, wymówiłem to słowo z wysokości mojej — a słowem tém wszechjestestwo czyste dostąpi Ormuzdowych światów. I teraz — i na wieczność całą, usta moje wymawiają to słowo — a błogosławieństwo ze słowa rodzi się światu.

..... Ja Niebios Pan stałem cię czynnym a zniknął władzca złego. Z pośród złych, z głębi przepaści zawołał głosem: Ja nie chcę mieć myśli o dobrém, nie będę mówił o dobrém — odrzucam precz mądrość i nienawidzę zakonu wszechrzeczy!

LIST PÓSMNASTY.

Ludy Mahometańskie.

Wstęp. — Fantazyja Arabów, Persów i Turków. — Fantazyja perska jest głównym wyrazem fantazyi tych ludów. — Niektóre pieśni. — Mistycyzm wschodni przechodzi w panteizm i przybiera dwojaką formę w poezyi. — Sprzeczność zamknięta w każdym panteizmie. — Nauka Mahometa i panteizm. — Różnica panteizmu indyjskiego od panteizmu islamskiego. — Rodzące się ztąd ostateczności w duchu ludów mahometańskich. — Fantazyja czarodziejska. — Powieści Tysiąca Nocy i Jednej i ich znaczenie estetyczne. — Arabowie, ich życie, poezya i język. — Ułomek z Koranu.

Ktoś z geologów, chcąc podać obraz owych przemian, które nasza ziemska kulica przecierpiała, zanim zrodziła tę dzisiejszą naturę swoją, tłómaczy się, o ile pamiętam, mniej więcej w ten sposób. Wystawmy sobie w myśli Archaniola, co od czasu do czasu, opuszczając stópnie Bożego tronu, zwiedzał naszego planetę. Za pierwszym razem spostrzegł jedynie lotne tchy, pary płynące lekkim chuchem po wiekuiestej światów przestrzeni; ale już te tchy i pary poczęły się ścinać, teżyć w gęstsza materyą. I znów po długim, długim czasie wysłannik Pański obaczył planetę naszego, i widział jego lądy lśniące naturą bogatą, potężną; góry, doliny, płaszczyny poszyte w puszcze palmowe, w lasy gęste drzew szyszkowych, a ziemie i wody pełne olbrzymich płazów: węże potworne, krokodyle i inne jaszczury ogrom-

nego ciała pluskały się po zatokach i grzały się na słońcu, a po powietrzu latały straszliwe pterodaktyle o głowach krokodylich i nietoperzowych, skrzydłach niby smocze potwory. I przepłynęły nowe, a długie wieki, niby jeden Boży dzień, gdy znowu stanął Archanioł na Ziemi naszej i widział jako pod równikiem i pod biegunowem kołem, co teraz państwem wiecznych mrozów, wszystka kula ubrana była w tę roślinność przepyszną, dziś znaną zaledwie na skwarzym zwrotnikowym pasie. A po puszczach, kniejach, gajach, pasły się, gonili tłuny jeleni i stada słoniów, nosorożców; rozlegały się zewsząd ryki, wycie lwów, tygrysów, niedźwiedzi; a te kształty zwierzęce były tak przesadnego ogromu, o jakim nam dziś i zamarzyć trudno. Przecież wśród tej natury potężnej, przemożnej, Anioł nigdzie nie widział jeszcze śladu ludzkiej stopy. A tak wiele, wiele jeszcze razy, po długich ustępach czasu, Anioł stawał na ziemi naszej, a coraz inną widział scenę, coraz na niej nowe odgrywały się dramaty Boże. A gdy już ostatni raz odwiedził wysłaniec niebiański naszego planetę, obaczył wielką jego dzielnicę wysadzoną, niby w klejnoty, w bogate, zamożne miasta; obaczył szerokie zbożne łany, ludzkich rąk błogosławną pracę, a na łąkach, na rzekach, na morzach szerokich, parą przelatywały statki i wozy, i widział Anioł po miastach wspaniałe pałace, w nich rozłożone umiejętnie kości, odciski zwierząt, skamieniałe tropy jestestw olbrzymich, ślady roślin, które należały niegdyś do pierwotnej natury, i widział ludzi, co w imię nauki zakławszy te zabytki stare, pytali je o koleje i losy dawne tej naszej ziemskiej ojcowizny (*).

Zdarzyło ci się zapewne, a nieraz w życiu, że po długich latach znów wstąpiwszy do domu, do mieszkania, kędyś bywał często, niegdyś za lat dziecięcych, zastałeś innych ludzi, inną mowę i obyczaj, inne otaczały ciebie sprzety, i obrazy na ścianach inne, tylko jedne mury te same pozostały; wszystko przeminęło, gdzieś umarło; znikły też dawne marzenia i uczucia twoje. A gdy znowu, po długim lat szeregu, powtórnie staniesz w tych samych izbach, smętne dziwy ci na duszę padną, gdy się rozpatrzysz w tych czasach, które znowu przeminęły; wtedy już i sam siebie nie poznasz, i już się nie doliczysz ani tych wypadków, co to nie głośnie, nie widne dla świata, a przecież tak ciężko wąż w życiu rodzin i losach pojedynczych ludzi; nie policzysz się nawet z treścią własnych piersi twoich, bo i w nich inne mieszkanie, inne głosy, inne obrazy, inne dzieje. Te same izby pozostały, ale ludzie i ich sprawy, ich serca historya, ich koleje losu posępne i świetne przeminęły, jako te cienie różnobarwne, przemykające się na ścianie dla zabawy pacholąt małych.

Podobnie, jak z historią onych zrodzeń naszego planety i natury jego, podobnie jak z historią każdego z nas, w tym powszednim ży-

(*) Porówn. Wykład systematyczny Filozofii T. II. § 283 przypis.

wocie, ma się rzecz z dziejami ludzkiego rodu, a z obszarami świata, kędy odgrywają ludy i narody dramat swój. W liście przeszłym patrzyliśmy się na wstającą z martwych Assyryą, oną pramacierz cywilizacyi Wschodu; złożyliśmy téż cześć rozwaliskom w Persepolis świętém. Teraz proszę, byś się w duchu przeniósł w inne stulecia, w inne ludy i w inną historią, zachowując atoli ten sam dom i ściany stare. Dramat odmienny — nowe aktory — sam jeden teatr pozostał z dawnych lat. Chciéj tedy od onéj pijanej nocy, gdy macedońskie podpalacze, ze swoim królem na czele, płomieniem niweczą Persepolis, przelecieć w myśli z jakie kilkanaście wieków i rozpatrzeć się znowu w tych samych przestworach, co zaległy świat od lodowatych pałaców himalajskich, aż do pobrażów, kędy kipią wody Śródziemnego i Czarnego morza. Patrz, jak tu gospodarzyła Historia! Ona rozorała stare zagony, rzucając na tę rolę swoją nową siebę, nowe ziarno duchowe, co téż zeszło bujnym kłosem, a bujniejszym jeszcze kwiatem — kwiatem, co lśni we wszystkie wschodniej fantazyi barwy, jakby od klejnotów i drogich kamieni pożyczone. Dziwnym tłumem cisną się tu wprawdzie różnojęzyczne rody i szczepy, ale już najświetniej ważą na tych przestrzeniach islamiczne ludy. O ich fantazyi wypada mi dziś pomówić, a tak już skończymy rzecz o téj zachodniej Azyi, więc i o Wschodzie całym; bo o świętych pieśniach, co brzmiały na Syonie, i o budowaniu Jerozolimskiego kościoła, zamawiam sobie rozprawę w inném miejscu, co zaciéj odpowie treści takowej.

Fantazyja mahometańskiego Wschodu zajaśniała troistym promieniem, bo fantazyją arabską, perską i turecką; a choć każda z nich świeci właściwą barwą, to przecież wspólna jest ich istota. Téj istoty wspólnej nie zbyt trudno się nam dopatrzeć; bo gdy fantazyja Persów przewyższa ogniem swoim fantazyją Arabów i Turków, więc téż ona jest pod wielu względami najdobitniejszym wyrazem fantazyi islamicznej; a gdy znowu ze wszystkich rodzajów poezyi perskiej sufizm, czyli poezyi mityczna, stała się najwyższym jej szczytem, zatem téż w tym rodzaju znajdziemy właśnie najwyraźniej ducha, który jest wspólném tłem fantazyi tych ludów. Co w innych rodzajach poezyi Persów, co w pieśniach Arabów i Turków jest dopiero lekkim potrąceniem i przepowiednią, — stanie się rozwiniętym w zupełności pojawem w poezyi śpiewaków Sufi. Posłuchajmy więc na-przód ich głosów, niechaj nam wyśpiewają pieśnią rzewną najgłębsze serca swojego tajemnice.

Znacie wieść o żeglarzu siwym, oną starą wieść? O żeglarzu, co wiele setek mil i żywot cały przepłynął na oceanu wodach?

Miał żeglarz ten pacholę drogie, uroczę jak słońce w południe, lubę jak księżycę spojrzenie, gdy kolysząc się na wieczornym obłoku patrzy na świat; pacholę było z różami na licach i z narcyzem w oku; postać jego niby powiewny cyprys młody.

Pobożnym był ojciec — był i z pozorów i z treści pobożnym. Niewinności rajskiej był syn, a czysty jako wiosny poranny dech!

I znów miał na oceany dalekie puścić się ojciec siwy; a gorącą miłością wiedziony, kochanie swoje, syna pragnął z sobą zabrać na oceany dalekie.

U brzegów nadmorskich ciżbą tłoczy się lud, i płacze, żegnając się kupców grono; płacze, bo im tak bolesne, braci, rodziców, przyjaciół, kochanki, uściśnienie ostatnie.

I zawał wiatr od Wschodu i na okręt ciżbą śpieszą tłumy wędrownie, a tłumy zestrachane drogą, bo droga tak daleka! Siadł na okręt i żeglarz stary a przy nim pacholę młode. Strzałą ścigał okręt wiatry, strzelał w świat daleki!

I rzekł młodzieniec: o ojcze drogi mój, dla czegoś poświęcił morskiej fali, pokój cichy, luby żywota? Na wodach nie stanie nigdy miły dom, nie zakwitną nigdy na morzach ogrody!

Na to ojciec: Patrz jak rzeško, jak śmiało za zyskiem biegnie świat! Jak unosi czleka na wsze strony zarobku żwawa ochota! Wszak po trudach, po morskich trwogach, czeka nas rozkosz, czeka nas cześć i wszystko życia wesele.

O ojcze mój! nie będzie z tego trudu ani czci, ani wesela. Sława i radość rodzą się z mary, rozplywają się marą! Biada, biada nam! Nie dobra mowa twoja, ojcze mój. Puść mnie na lądy! puść mnie na brzegi!

Duszy mojej kochanie, woła żeglarz siwy, wszak droższym mi jesteś, niż wszech światów skarby! Złoto i srebro obok ciebie marnym dla mnie prochem. Wszędzie i wszędzie widzę tylko ciebie. Dla mnie księżyc i ziemia, słońce i niebo są jedynie oblicza twojego zwierciadłem. Gdy ty mnie porzucisz, porzuci-mnie z tobą żywota dech! Wszak to jedynie z miłości ku tobie pędzę po falach i ścigam burze wichrowe!

Na to młodzieniec: ojcze mój drogi, nie znasz, ach! nie znasz tajemnic przepaści. Ja ci objawię światło prawdy bezwzględnej, Jestem Simurg — Tronem moim nieskończoności szczyt. Z tych morskich topieli bije dla mnie objawienia zdroj! W morskich otchłaniach ujrzałem bezwzględnej prawdy oblicze!

Duszo duszy mojej, zawołał ojciec, wstrzymaj te mowy. Czyliż pragniesz, niedoświadczone moje pacholę, mądrością górować nad starce! Bezwzględna prawda! Ona zaiste nie igraszką pacholąt młodych. Niechaj ci starczy przykazania i zakonu powaga!

I znów młodzieniec: „Ojcze! nie odwiedziesz mnie, nie odwiedziesz z drogi mojej! Oczu moich już nie odwrócę od ojczystego domu! Te morskie igry są dla mnie wzorem, jak się zniweczyć mam. Ja na własném jestestwie mojem kładę depcząc stope! Miłości płomienne ognie, to przewodniki moje! Precz rozumie — ty nie jesteś mi potrzebą! Ja idę za miłości ścieżką, za miłością wiekuistą! Bo jeden — jeden tylko jest żądzą moją — wszystko inne strącam z sie-

bie, spiesznie rzucam po za siebie. Jednego tylko widzę, śledzę zarówno jego spojrzienia.

Wtedy ojciec uniesiony gniewem: — młodzieńcze! gdy nie umilkną bezbożne mowy, wtrącę cię w morskie bezdenie! Choć jesteś najdroższym żywota mojego klejnotem, przecież brak ci rozsądku, tobie nie przystoi bezwzględność, tobie niechaj starczy wiary powaga.

Miłością opojony młodzieniec, tak mu odpowie: wiedz, iż we wszelkim duchu ukryty drzemie wiekuisty kochanek. Wiedz, że ja sam sobie pojawiłem się jako wszechżywota ocean. Ciebie i istnienie wszystkie widzę w duchu moim. Dla czegożbym nie miał głosić widzenia! Wszak to nie moje jestestwo przemawia przezemnie. Ja sam znikam w obec siebie i mojemu słowami przemawia Bóg. Tyś mię chciał stracić w morskie topiele — nie odwlekaj ojcze! Gdy sam już rozpływałem nieskończoności falą, fala będzie mi żywotem. Ojcze, ja sam jestem kochankiem, ze serca tryska mi prawdy źródło. Prawda mi się pojawiła. Słuchaj, co prawda przemawia! „Zachód twój jest wschodem twoim. W okresie przestrzeni i czasu jeńcem jest duch. Rzuć się w nurty Boże, a rozwiązane będą węzły wszech zagadek ducha“. Więc istnienie moje tonie w Bogu, jak tonie w morzu wody kropelka.

Tak woła i rzuca się z krzykiem radości w oceanu bezdenie! — Cisną się tłumne majtki, załamując ręce i płacząc z boleści, i widzą, że młodzieniec lubo zniknął w wodach, jako znika śniegu płat w słońca promieniu. Stał ojciec i patrzy, utopiwszy oczy w wodne prądy — i stał i patrzy. W tém z głębin piersi jęknął westchnieniem, milczy i duma i myśli, i nagle się zrywa, potoczył wzrokiem do koła, zbliżył się na brzeg statku, — rzuca się sam w morskie topiele i przepada w kipiących bałwanach. Ogłuchnął strachem okrętowy lud i stał nieporuszony — stał zakłęty, jak osadzony w muszli morskiej nieruchomy pereł rząd.

I znów inny głos zabrzmiał w zachwycie gorącym:

„Jam świata duchów sokołem! Jam opuścił wysokości niebiańskiego tronu. Chwycony łowów pragnieniem, wpadłem w sieci ziemskiej bytności — ujęty ziemską postacią! Jam uleciał z gniazda mojego na Niebo!“

I znów trzeci głos tęsknoty śpiewa:

„Śledziłem wizerunku duszy mojej, a nikt nie podał mi duszy mojej obrazu. Wtedy zawołałem: o duszo moja! Znajdź wszechstworzeń zwierciadło, a zaiste w zwierciadle tém znajdziesz i obraz twój!“ (*).

Tam znowu inny wieszcz odurzony życia rozkoszą, „winem“ ziemskiej uciechy, śpiewa:

(*) Inne jeszcze podobne przykłady: Wykład systematyczny filozofii. T. I. § 50 przyp. § 168 przyp.

Śpieszno róży, śpieszno, by się z nicestwa narodziła wszechistnienia cudem!

Fjotek kornie róży bije czołem, i modli się do róży hołdem rzewnym:

Pójdź ze mną przyjacielu mój; spełnij wesolo poranny wina puhar!

Nie odkładaj do jutra radości uciech, nie zwlekaj ich do żywota końca.

Znajdź sobie lube kochanie, reszta nie warta i pustej łupiny!

Nawróć do ogniochwalstwa wiary, bo tym ogniem jest miłość wrząca, a płomieniem życie.

Dech grobowy, dreszcze mroźne ziębią pokutnika dom.

Słuchaj, czego uczy wiosna luba; ona od wieków jedynym świata prorokiem młodym!

Czujesz świeże jęj powiewy? Roztwórz im piersi twoje, one same jedne są wszech prawdy tchem!

Ten powiew, to miłości duch, to zbawienia dech; on miłości rozkoszą, co płynie od woni milionowych kwiatów!

Powiedz, jaki to duch, co żyje w tych pieśniach dziwnych, tak rzewnych i gorących, tak tęsknych, a niby przepaścistej głębi. Te głosy wszystkie, choć tak różne, są dziećmi jednego, wspólnego im wszystkim ducha, bo jak pieśń ostatnia żąda, aby człowiek zapomniał siebie w rozkoszy ziemskiej i w weselach tutecznego świata, i radzi ulotnienia duszy w woniach kwiatów, w miłości i w powiewach wiosny młodej; tak tamte pierwsze są spotęgowanym, tęsknym mistycyzmem, którego najwyższą mądrością jest rozplynienie w onej bezdeni abstrakcyjnej, którą nazywa Bóstwem.

Jakoż w tym mistycyzmie wschodnim człowiek, tęskniąc do Boga, traci siebie, zapomina, że jest istotą w sobie osobną; a gdy się ten mistycyzm spotęguje, już wtedy istota ludzka miesza się z istotą Stwórcy, w niej ginie niby tchem lekkim, niby kroplą w toplach oceanu, w którym się rozplywa istnienie wszelkie.

Czyli zaś to stracenie siebie nastąpi z ulotnienia istoty człowieka w rozkoszy ziemskiej (w materyalizmie), czyli to znikanie własnej jednostki wyniknie z utopienia siebie w istności najwyższej, zawsze i w każdym razie, takowe usposobienie ducha, o ile będzie spotęgowane do najwyższego stopnia, stanie się panteizmem. W każdym bowiem razie, człowiek traci wiedzę jasną o różnicy jestestw duchowych a materyalnych, w każdym razie spłyną dla niego jestestwa wszystkie w jeden ogół, w jedno istnienie, kędy już nie będzie rozdzielenia jednostkowych jestestw od siebie; w każdym razie zniknie jasna wiedza o Bogu-stworzycielu wszech rzeczy, będącym przystołą opatrnością we wszech jestestwach, a istniejącym przecież

samoistnie, jako osoba, za światem, i po nad światem jestestw stworzonych.

Zaiste, z tych powyższych pieśni wieszczów perskich patrzy na nas panteizm z całą straszliwością, który, już to uwieńczony różami, oddycha słodką ich wonią i brzmi w pieśni zakochanego słowika, kipiącym puharem natchnienia, upaja myśl człowieka, wabi i nęci do weselnych życia godów; już to znowu strąca z siebie, co tuteczne i ziemskie, a prze do okropności samobójstwa. Tu wszystko się mąci i miesza: gwiazdka i robaczek, listek i duch, przyszłość i przeszłość, nędza i potęga ludowładna; tu wszystko spływa w jeden ogół, w jedno istnienie, tu wszystko obraca się hasem kołowrotnym. Panteizm, jakby wir na oceanie wszechistnienia, każdą bytność do siebie ciągnie, porywa, zatacza ją kołem szalonem, a na bezdeniach tego wiru czatuje jako topielec wrogi — nicestwo, i patrzy oczyma na człowieka, co, jak ów żeglarz młody, płynie na okręcie doczesności, na morzu żywota, a panteizm wabi i nęci człowieka, by się rzucił w morze wszechistnienia, co bije wiekuiłą falą. Tu cały świat kręci się dzikim, bezprzytomnym szaleń, jakby owym tanem zapamiętany derwiszów mahometańskich.

Mówiąc o Indyach wspomniałem, że jedynie prawdziwa filozofia, umiejętność rzetelna, zdoła powalić panteistyczne stanowisko, wykazując nielogiczność jego. Zrozumiesz, że nie tutaj miejsce do głębszych, a gruntownych rozwojów, coby wykazały kłamstwo takowego zapatrywania się w samem założeniu, w samych węglach jego. Dla naszego celu wystarczy, jeżeli wytkniemy wypadki niedorzeczne, do których prowadzi panteistyczność wszelka, i sprzeczności, w jakich ona staje sama z sobą we własnym swoim rozwoju, i jak te sprzeczności przechodzą w obyczaj, życie i odzywają się potężnie we fantazyi tych ludów. Jakoż ta panteistyczność, nie odróżniając dostatecznie jestestw duchowych od materialnych, a tém samem nie odróżniając ściśle Stwórcy od rzeczy stworzonych, raz uważa jestestwa li jako nie mające znaczenia, patrzy się na nie jako na bańki wodne, które przez chwilę błyszczą przepychem barw tęczy, i świecą i promienia, a wnet prysną, strzelą kropelką i rozplyną w nicestwie; drugi raz ta panteistyczność przypisuje tymże jestestwom ogromną wagę, bo ściera różnice rozdzielające je od wiekuiстого jestestwa, będącego źródłem wszech rzeczy.

Ztąd wynikają z kolei wręcz sobie przeciwne odwrotności, bo raz hołdowanie rzeczom ziemskim, więc rozsądek prozaiczny; drugi raz pogardliwe odwrócenie się od rzeczy tutecznych, więc owa miłość panteistyczna do istnienia ogólnego, bezdennego — miłość, co jest podobna do „skonania motylka w płomieniu świecy z tęsknoty za światłem“.

W tej miłości panteistycznej człowiek, jak ów młodzieniec w powieści, kładzie stopę „na własnym istnieniu swoim“. A tak człowiek, nie uznając żadnej bytności jednostkowej, mając je wszystkie

i siebie samego za czcze mary, może zawołać: „Precz rozumie! ty nie jesteś mi potrzebnym“.

Zaiste rozum nie jest potrzebny panteizmowi, bo rozum ma właśnie to przeznaczenie, aby nie mącił rzeczy różnych, by je rozdzielił, a potem dopiero wskazał, jak one nawzajem mają się do siebie, jak one, choć tak różne, i właśnie dla tego, że są różne, wiążą się cudną harmonią z sobą i podlegają wiekuistym prawom, niezmiennym i pełnym mądrości ustawom. Tego wszystkiego nie czyni panteizm, a nie wiedząc o Panu wszech światów, co jest ogniskiem wszelkich stworzeń swoich, nie pojmuje téj harmonii jestestw, co choć różne od siebie, wiekuistymi prawami nastrojone są jakby do jednego głównego tonu, co brzmi w nieskończoności. Panteista mąci wszech rzeczy ład i szyk; on uznaje różnice jestestw, ich stopnie jako przechodnie, rozplątne pojawy, znosi więc wszelkie różnice, wszystkie szczeble, mąci wszystko z sobą, a tak nawet zaciera różnicę zachodzącą między nim samym, a owym ogółem wszech rzeczy, i w tym ogóle przepada zawrotną, pijaną miłością. Ale ta miłość sama jest kłamstwem i sprzecznością sama z sobą, więc sprzecznością z rozsądkiem. Bo miłość jest znalezienie, widzenie siebie w inném jestestwie, jest tedy jednością dwóch jestestw udzielnych, jest jednością różnic, a różnicą w jedności. Dla tego miłość siebie samego jest tak obrzydliwa, tak wstrętna, bo jest nielogiczna, bo tu jestestwo samo siebie kocha, bo w téj miłości nie ma różnic dwóch, lub więcej jestestw, co jest warunkiem miłości wszelkiej. Miłość więc, a tęsknota onego młodzieńca do wiekuistości, ta miłość, w której przepada i ginie jednośćką jego, w której ginie wszelka różnica, nie jest miłością, ale właśnie grobem wszelkiej miłości, jest miłością skłamaną! jest to „pochodnia, co świecąc sama się trawi“.

Rozumiem, że dostatecznie ci wykazałem sprzeczności, w których sama się gmatwa i sidła panteistyczność wszelka. Nie może też być inaczej, bo gdzie założenie błędne, tam kłamstwo, niby grzech pierworodny, zradza ciągle nowe kłamstwa i sprzeczności. Niechaj sobie wrzekomi uczycciele co chcą bają, to pewna, że żadne rozumowanie nie trafi samo z sobą do końca, nie rozdziernie zagadek świata, jeżeli za węgiel swój nie położy wiedzy o Bogu, który jest jednym ogniskiem mądrości wiekuistej osobą, do której się wszystko odnosi, jak to uczy wiara chrześcijańska, a podaje każda filozofia prawdziwie umiejętna, wypiastrzana na jój łonie.

Niechaj człowiek wie, że w głębi ducha jego przemieszkują wiekuistość, ale niechaj oraz wie, że ten nieskończony pierwiastek w nim jest ziarnem Bożem, które Pan Niebios włożył w serce jego, by je rozwinął zacnością, by poznał siebie, by wiedział o Bogu, i swoim stosunku prawdziwym do Ojca na Niebie, o prawdziwej miłości. Mistycyzm panteistyczny wschodu patrzy się w siebie, patrzy w głębie piersi swoich; lecz w nich widzi jedynie otchłań jasności, co go oślepia; w tych światłach on nie widzi treści, nie

przeczuwa, że ta światłość bije od skrzydeł anioła, co się z miłości zamknął w sercu człowieka, nie wie, że ten anioł jest tylko wysłannikiem Pańskim, zwiastunem miłości nieskończonej, której nie zdolają ogarnąć gwiaździste przestrzenie. Na tych ogromnych rozłogach starego Wschodu człowiek nie wie jeszcze, że na miejsce doczesności zstąpiła owa niebiańska miłość bez granic, że ona w cierpieniach i skonie ziemskim nie utraciła wiekuistości istoty swojej.

Zrozumiesz zaiste, że byłoby pewnie wymuszonem naciąganiem rzeczy, gdybym, przechodząc dzieła tej wschodniej fantazyi, chciał wszędzie w nich wytykać panteistyczność, boć ona zaiste znaleźć się tylko może w ostatecznym wysoku fantazyi tych ludów wschodnich; ale za to proszę cię, byś nie wypuszczał z pamięci tych sprzeczności dotkniętych powyżej, które właśnie wyrosły z tego samego gruntu, z którego rozwinęła się owa panteistyczna dążność, — te właśnie sprzeczności posłużą nam, jakem już rzekł, do zrozumienia i żywota tych ludów i dziejów ich państw i obyczajów ich a mianowicie ich fantazyi. Zanim atoli zabiorę się do roztoczenia takowego, uważmy jeszcze, z kąd się mógł zrodzić ten panteizm wśród nauki Mahometa, która przecież tak twardo i potężnie stanęła przy wierze w jednego, w jedynego Boga?

Mahomet! to poeta-prorok i zakonodawca! on zachwytem proroczym tchnął na naród dopiero co pasterski żądzą podbojów; on Wschód uczynił zdobywcą połowy cywilizowanego świata; moce płomienne jego nauki stopiły duszę różnorodnych ludów jakby w jedną całość. Mahomet zwołał je wszystkie pod wspólny sztandar wiary, on wyswobodził te ludy od gusiel i zabobonu. Tego wszystkiego zaiste dokazać zdołał Mahomet, ale nie zdołał przecież sięgnąć do najgłębszego gruntu serca ludzkiego!

Mahomet głosi, że Bóg jest Bogiem, że tylko Ałlach jest Bogiem, że on sam jedynym prawdziwym Bogiem, który sam na sobie przestaje; on wspomina nawet o aniołach, i maluje barwą gorącą, palącą i zgrozy ostatecznego sądu i rozkosze rajskie; a przecież te nauki jego nie mogły wystarczyć, one nie napęłniły treścią ducha ludzkiego, one nie zamieszkały wszystkich toni serca, więc mimo tej jego nauki ogromna próżnia pozostała w sercu. Dla czego? Bo Bóg Mahometa jest abstrakcją, bo wyobrażenie o Bogu nie jest u niego rozwinięte, bo Ałlach jest tylko bóstwem (numen) bez dziejów bożych, jest pojęciem oderwanem bez dalszej, roztoczonej treści. Więc też to pojęcie tak ubogie nie mogło już przeniknąć, przejaść wskrós człowieka i ogarnąć wszystkich stron uczuć i serca jego.

Patrz, my, cośmy wypiautowani wiarą chrześcijańską, my od kołębki do grobu żyjemy jakoby w atmosferze wiekuistości, nią oddychamy, nią żyjemy, nią czujemy. Ona przeniknęła wskrós całe jestestwo nasze, nasza wiara ma treść nieskończoną, ma dzieje; każdy czyn nasz, każde uczucie, każda myśl znajdzie odpowiednią prawdę w zasadach wiary, które łączą ogniwem świętém niebo i ziemię,

wiekuistość i doczesność. Inaczej w islamizmie; w nim nie ma Bożych dziejów, on w istocie swojej zupełnie jest podobny do wiary tych, którym się zdaje, jakoby już ogromnie wiele wyrzekli, gdy przystają na byt „istności najwyższej“ (*être suprême*!), i rozumieją, że taką abstrakcją zdolają zastąpić Bożą historią na niebie i ziemi. Ale, kto jedynie wie i jedynie wierzy, że jest „istność najwyższa“, ten rzeczywiście mało bardzo wierzy i mało bardzo wie, i sam mimowolnie wyznaje, że u niego nie głęboko w rozumie, ani głęboko w sercu. Ubogi ten na duchu, kto, jakoby na jałmużnie, przestaje na wiedzy, na wierze o „istności najwyższej“, na tej biednej i jałowej abstrakcyi. Ta nędza umysłowa tém więcej litości godna, że on żyje przecież w świecie chrześcijańskim, w świecie wiary i wiedzy i umiejętności głębokiej, a nie korzysta z tych ogromnych zasobów duchowych, których się dosłużyła cywilizacja świata łamaniem się i pracą tylu wieków.

Podobnie oderwanem pojęciem jest Ałlach islamicki, i właśnie ta abstrakcyjność jego, jakem dopiero rzekł, jest powodem, że ta wiara nie zapełnia wszystkich tęsknot serca ludzkiego, że nie przenika wskrószyć uczuć, które tak są bogate, tak nieprzebranej treści. Dla tych uczuć i tęsknot nieskończonych nie wystarczy bynajmniej ono wieczne, clikie powtarzanie: Bóg jest jeden! Bóg jest wielki! A Mahomet jego prorokiem!

Weź Koran do ręki. Mimo ognia a wrzących barw, mimo tego, że z każdej Sury (oddziału) patrzą na ciebie niby żarem chłonną oczy proroka, że czujesz z nich bijący na cię oddech skwarnej pustyni; przecież nie lada trudem jest to czytanie w tej grubej księdze, w której powtarzają się te same ogólniki, te same wyobrażenia bez dalszego rozwoju a powtarzają się bez końca. Do znękania czytasz a czytasz treść tę samą, rdzeń książki zawsze jedna i ta sama, bo abstrakcyjna i głucha, choć ustrojona w przybory obce, bo w ułamki poetów arabskich, bo w upoetyzowane powieści biblijne. Prawda, że cała osnowa Koranu jak zarzewie działa na palną, chwytłą fantazją tych wschodnich ludów, ale nie przenika ich serca, nie zagrzewa ciepłem życiodawczém, jednostajném od kolebki do śmierci.

Trzeba inną jeszcze treść, aby zaspokoić wszystkie te ciche wróżby w duszy, aby nie zostawić w niej głuchoty a ciemnic nierozświeconych, a tęsknot nieukończonych.

Z tego abstrakcyjnego a jałowego pojmowania bóstwa wynika, że człowiek w tej wierze czuje się luźnym, że wyobrażenia jego nie trzymana na wodzy, buja bez miary, miota się, ciska, że duch człowieka przerzuca się z jednej ostateczności w drugą a w tej burzy serca nie ratuje go wiara jego, która tak pusta i bez treści w sobie.

Następnie baczmy, że bóstwo Koranu tak abstrakcyjne, ogólne a nierozwinięte ani w myśli, ani w uczuciu człowieka, z istoty swojej już zbliża się do głuchego, beztreściwego, abstrakcyjnego ogółu, który jest dnem wszelkiego panteizmu, i który, jak widzieliśmy po-

wyżej, równie z siebie rodzi to rzucanie się bez końca, to miotanie się po sprzecznościach wręcz sobie odwrotnych. Zrozumiesz jeszcze bliżej to wyrodzenie się wiary Mahometa w mistycyzm panteistyczny, gdy zważysz, że wyobrażenie tak beztreściwe bóstwa, tak słabo rysujące osobowość jego, wnet się musiało rozplynać, ulotnić w pojęcie bezosobowe, rozplynać w ogół bezdenny. Albowiem dążność panteistyczna wszędzie tam się rodzi, gdzie się ulatnia wiara w Boga, będącego osobą.

Zważ, jak z jednej strony islamizm nie był mocen wstrzymać bujania fantazyi, jak, podając jedynie słabe zarysy osobowości Bożej, sam stał się potuchą mistyczności, wyradzającej się w panteizm; tak z drugiej strony ta mistyczność była oddziaływaniem (oppozycją) tych szczepów, które się opierały idei Mahometa. A kto wie, azali przypomnienia z dawniej perskiej wiary, z onej nauki oderwanej o dwóch pierwiastkach: światłości, więc dobrego, a ciemności, więc złego, które także są abstrakcją głuchą, nie przyczyniły się do całego stanowiska duchowego? Wyznaje atoli, że o ile sądzić mogę, ten wpływ nie jest jeszcze dziś dostatecznie wyjaśniony.

Tak ten mistycyzm panteistyczny zapowiada, że tu spotkamy pojawy, przypominające dzieje człowieka w Indyach; ale znowu trudno nie spostrzedz zrazu ogromnej różnicy, zachodzącej między światem nadgangesowym a życiem islamickich ludów. Wszak inny jest panteizm indyjski a inny ten, który się rozwinął u mistyków mahometańskich; tamten jest jakby marą pierwotnej niemocy ducha, oczynionego magią demonów natury, ten zaś zrodził się z zapadania ducha w siebie i z nieskończonej tęsknoty jego, pojawił się na łonie nauki, kładącej przeciw za węgiel a podwalinę wiarę w jedyne Boga; tamten jest niby złem marzeniem, cisnącém piersi ludu, którego całe życie jest ciężkim, kłamliwym snem, ten zaś jest filozofią, zachwytem narodów, które żyją na jawie i żyją w czynach i dzielności rycerskiej, w uczuciach gorących, namiętnych. Lecz jak w Indyach tak i na wschodzie mahometańskim miotają się ostateczności wręcz sobie przeciwne — bo duch i materya, świat oderwany a rzeczywisty, głuchy ogół a świat jednostek pojedynczych, rozkosze ziemskie a nadświatne dzielnice, fantastyczność bezmierna, nie mająca ładu ni praw, a rozsadek prozaiczny, powszedni, codzienny. W Indyach atoli te ostateczności są wskrós pomączone z sobą, są dziką mieszaniną jakby dwóch różnorodnych płynów w naczyniu zamkniętych, które, gdy je gwałtownie zakłócisz, rozbijają się na cząstki osobne, chaotycznie z sobą pomączone, a które przeciwieństwo połączyć się z sobą nie zdołają. W mahometańskim świecie obie te ostateczności podobne są do tych dwóch płynów, gdy się już ustoją, a każdy, zlewając cząstki swoje, do czysta się od drugiego odgraniczy.

Zaprawdę, przypatrując się, choć pobieżnie, życiu, obyczajom mośleminów, wszędzie znajdziesz one ostateczności wręcz sobie prze-

ciwne obok siebie i po sobie istniejące, i ściśle od siebie odłączone. Człowiek w islamizmie zapada w abstrakcyą głuchą, dumając a nie myśląc, tonie w bezdeni, co nie świeci, nie grzeje. Ztąd ta cisza duchowa tak głęboka, ten pokój uroczysty duszy, ta świąteczna męzka powaga, owo zadumanie, co tak lekce sobie waży troski i zabiegi światowe i pogardza tą grą ulotną żywota, zdając się na fatalizm wszechmożny. Znienacka atoli w tę ciszę bezwietrzną, w ten wrzekomy chłód duszy, w tę obojętność wpadnie iskra, a już, jakby błyskawicą, zajmą się palne uczucia człowieka; on się zrywa gnany żarem wewnętrznych płomieni, pędzi wichrem uraganów na pogrom świata, i gromi świat. Ale w rychłe gaśnie w sobie, usypia, i znów tonie w miękkiej beczynności pieszczotliwego życia.

Islamita to przestaje na małym, miarkuje i kielzna swoje ochoty i przemaga zacnem męstwem niedostatek i głód, to rozplywa się w rozkoszach zmysłowych, pieści się i kołysze ziemską uciechą, stwarzając około siebie uroczne światy; chętnie nawet wzywa sztucznych sposobów (opium), zapada w marzenia, przenosząc się w krainy czarodziejskie uludnych fantastycznych widziadeł, kędy, jakby we śnie, giną wszelkie prawa rozsądku, wszelki ład i rozumowy związek wszechrzeczy, a kalejdoskopem tu przesuwają się świat, hasając dziwnym zamętem.

Islamita hardy, niekiedy okrutny, dumnie spogląda na cały ludzki ród, ponieważ nim; bo ludzie, to jednostki marne, nie mające znaczenia. A często znów z milczącym sercem sam zstępuje z wysokości władzy na poniżej biedy, obojętnie nawet nakazanej śmierci się oddając i samego siebie za nic ważąc.

Moslemin, to wśród rzeczywistego życia mierzy, liczy i waży rzeczy najprozaiczniejszym rozsądkiem; to znów się szarpnie, zerwie nitki, co go ze światem powszednim wiąza, a wolny i swobodny jak ptak, cały świat czyni ojczyzną swoją, i na „latawcu wiatronogim ściga sepy“ i skwary piaszczyste, ale ściga i goni bez celu.

Tak tutaj wieczne kołysanie się ducha między dwiema ostatecznościami, tu nie ma praw stałych, pewnych, tu nie ma trwania, tu wszystko migoce się, błyska i gaśnie. Wszak nawet dzieje same, te żywoty samych państw, są tak migotne i majacne, jak dzieje duchowe pojedynczych ludzi. Wspomnij te kalifaty w średnich wiekach, co jakby brylantem błyszczały w ciemnej nocy, a świeciły od Bagdadu przez Azję, Afrykę, aż w głęboką Hiszpanię, a w rychłe znów niespodzianie rozprysnęły się w isierki płomieniste i zgasły. Dzieje ich to istne bajki arabskie, w których nic nie ma trwania, stałości. Te dzieje tém dziwniejsze, że przecież te państwa arabskie były piastunami umiejętności europejskiej w średnich wiekach; wszak to ówczesne arabskie kalifaty słusznie patrzyły się na ludy Zachodu, jako na nieoblaskawionych, grubych barbarzyńców. Przecież ci Arabowie byli wielkimi lekarzami, oni to rozwinęli matematykę, fizykę, astronomię, oni nauczyli się starych Greków, oni pisali

komentarze nad filozofią Arystotelesa. Wiesz, jedni z ich mędrców zabrali się do Koranu, filozofią go rozświecając; co więcej, byli i tacy między nimi filozofowie, co w uniesieniu najwyższego zachwyty pragnęli spłynienia z Bogiem, a tak głosili światu naukę panteizmu i rozwarli bezdenne jego przepaści. Nastaje też między Arabami filozofia, zaprzeczająca wszelkie prawidła, wszelkie ustawy świata; wedle nich wszystko, co się dzieje w świecie, tak fizycznym jak duchowym, dzieje się z chwilowego Bożego dopuszczenia. Człowiek, wedle téj nauki mógłby być tyli, co góra; a owad tyli, co słoń; ptak mógłby być zwierzęciem ssącym; że się nie tak dzieje, to jedynie dlatego, że taki niby zwyczaj przyjęty w stworzeniu, ale przyczyny rozumowej nie ma żadnej, nie ma żadnych praw rozumnych, stałych, trwałych.

A tak sama nawet filozofia mahometañska roztworzyła furtkę do państwa czarodziejskich dziwów, do fantastycznych widziadeł.

Znasz Babią Górę, Tatrów sąsiadę, co się szarzy i garbi na rąbku krakowskiego nieba; ta góra — to od czasu do czasu gospoda onéj staréj czarownicy, co ją zimą zowią, co tak nienawistna wszystkiemu co młode i piękne, skoczne i radosne, kochające i kochane. Ona tam milczkiem siedzi przyczajona i czycha na chwilę sposobną; więc znienacka, zanim się spodziewiesz, okryje się płachtą z brudnéj ciężkiej mgły, zjedzie na doliny nasze i w jednéj nocy pozabija wonie i kwiatki, poszarpie liście i zioła, pogasi światła i barwy. Daremnie broni natura te swoje dzieci lube, wnet i ona, urzeczona od staréj złoŹnicy, zaśnie ciężką śpiączką. I śpi i marzy natura; śni o swoich kwiatkach i barwach, woniach i światłach, a śpi póki jéj nie przebudzi powiew wiosny młodéj.

Teraz zima broi na dworze i ziébi, słuchaj jak szumi i jęczy i straszy! A tęskno ci w izbie i samotno i ckliwo, bo nam podobno gorzej jeszcze, niż naturze, drogi bracie mój; przecież do niéj wrócą światła i kwiaty, wrócą i barwy i wonie, ale duszę naszą urzekła inna jeszcze czarownica i uniosła światła i kwiaty, co nam świeciły i kwitły niegdys na wiosnę żywota naszego, a te światła i kwiaty podobno zwiędły i zgasły już niepowrotnie, na zawsze. Lecz nie dajmy się czarom złowrogim! brońmy się urzeczeniom, nie myśląc o nich; bo wiesz, choć ci czasem samotno i ckliwo, zaproś w goŹcinę inną czarodziejkę dobroczynną, co ci pokaże sztuczki magiczne, gry dziwne, wymyślne, i tak cię zajmie, zabawi, że ani się spostrzeżesz, a już wieczór zimowy, co tak długi i tęskny, przeminął, i zapomnisz na chwilę o światłach, o kwiatkach, co zgasły, co zwiędły niepowrotnie. — Ta wróżka, to wymyślna, kapryśna poetów i mistrzów pani; te biedaki są jéj oddane w jęctwo i w służby potulne; a dla nas zaś ludzi powszednich ta ich pani jest nadworną zabaw naszych mistrzy-

nią! Ale pozwól-no jej stroić sztuczki, pozwól gadać, bajać i zmyślać, a wnet się tak spoufali, że tych jej figlów nie będzie ni końca ni miary; ona drwinkami za gościnę i twoje dobroduszne przyjęcie zapłaci. Ona, jak prawią, umie i zadać niekiedy kropli na odmłodnienie, z fabryki onego hrabicza francuzkiego hulaszczęj pamięci, a jeśli zagra na skrzypkach, to ci poruszy w sercu skoczne lekkoduche figurki z dawnych lat. Więc nie gniewaj się, pofolguj tój bałamutnej psotnicy, pozwól broić tój wroźce figlarnęj; boć to ona jest *fantazyą*, a ona zaiste ważne piastuje dygnitarstwo w świecie duchowym — ona nam barwi, co szare, spleśniałe, a złoci, co tak biedne i ubogie w życiu. Wszak ta fantazyja podobna do świerczka w kominie: póki ona się odzywa, toć znać, żeś nie przemarzył do szczętu, że tam w sercu jeszcze ciepło, że tam choć jeszcze iskra w popiele. Nie broń tój psotnicy luběj progów twoich, owszem niekiedy pomóż jej dokazywać i broić! A jeżeliby ci brakło weny, a jejmość fantazyja się miała zdrzémać na piękne, toć zrzuc pychę z serca i siadaj między dziatwę, poigraj z pacholętami, a fantazyja znów się rozbudzi w tobie, a odświeżysz się na sercu, na myśli, i uspokoisz nie jedne bolejące serca rany. Bo dziatwa, to isticie pany na zamkach czarnoksięzkich; ona to w królestwie cudów i dziwów, jakby w domu swoim. Dla nich nie istnieje porządkny w świecie ład, w ich duszy złocisto, skoczno, chichotno, a tak dziwnie jak na tym ich sadzie godowym krakowskim, co u nas w każdą wigilią Bożego Narodzenia, niby bajeczka czarodziejska, z okrzykiem radości od pacholąt witany. Patrz, co się dzieje w ich duszy, gdy sosenka przyniesiona z Bielańskiego boru, zabłyśnie w jabłuszka, orzechy złożone, gdy na gałązkach jej, zamiast szyszek, zahustają się wiarusy wąsate, war-koczne Marynki krakowskie z cukru, i skaczą uwiązane dzieciątka i rybki ich z Wisły sąsiadki, i świecą barwiste stoczki, a w pudłach i pudełkach pełno dziarskich ułanów i groźnych piechurów. Posłuchaj co się tam migoce, mieni, w tych główkach małych. W oczach, w myśli przesuwają się światki, co sobie drwi z rozsądku, drwi z powszedniego ładu świata; więc téż one tak chciwe gadek o niestworzonych rzeczach. I dlatego właśnie, gdyś sam znudzony drobną, wymokłą prozą życia siadaj między dziatwą i praw im historyjkę, naprzykład tym trybem:

„Otóż tedy, jak wam powiedziałem, dzieci, Sindbad biedny zostawiony był samintuńki na owęj wyspie odludnej. Chodził biedak a chodził, gorzko płacząc a desperując, a tu w koło ani śladu żywej duszy; wdrapał się nawet na drzewo wysokie i patrzył na morze, ale tu ani śladu statku, tylko fale bezmierne a niebo głębokie. Już go ostatnie strachy przejęły, gdy zobaczył tuż nad brzegiem jakąś kulę ogromną; zbliżył się, patrzy, obszedł ją w koło i zmierzzył krokami, a było jej ze sześćdziesiąt kroków, a była ona biała, miękka i gładka. Stał tedy, dumał i myślał, coby to być mogło? Wtedy znienacka jakby zmierzch nocny padł na świat; zdało mu się, że

jakaś chmura gęsta słońce zaćmiła, ona z szumem i hukiem przylatuje bliżej a bliżej; wtedy ze strachem poznał Sindbad, że ta chmura to nie chmura, ale ów olbrzymi ptak Rökk (Skala), o którym tyle nagadali mu niegdyś podróżni, i domyślił się, że ta kula to pewnie jaje Rökkowe! I zgadł — Ptak spuścił się na jaje, by je wysiedzieć, a jak siadł toć i Sindbada przykrył sobą. Wpadł tedy biedak na myśl śmiałą a szczęśliwą, bo rozwinawszy z głowy zawój, co tchu przywiązał się do ptasiego uda, co było tak ogromne jakby pień najstarszego dębu. Ledwie to zrobił a jużci tu zrywa się Rökk i unosi z sobą Sindbada tak wysoko, że i świata już nie widać; więc leci przez wiele lądów, i leci, leci przez morza, a spuszcza się tak szybko, tak nagle, że Sindbadowi tchu nie stało. Otóż przecież Rökk już na ziemi. Sindbad czémprędzej odwiązuje się od nogi, wtem widzi, że i t. d.

Dalszy ciąg tej historii znajdziesz w zbiorze gadek, co je zowią „Tysiąc Nocy i Jedna“.

Te powieści słusznie uważane są za najcudniejszy a najwięcej charakterystyczny kwiat arabskiej fantazyi. Dla tej fantazyi frazską, bajką, konieczny rzeczy szyk, w niej przypadkowość rozigrana założyła władztwo swoje. Ta fantazyja samowolnie sobie gospodarzy w świecie a uśmiechająca się kuglarskim figlem wywraca, mąci jestestw porządek; to wywoła węże skrzydlate co się przemienia w cudnej piękności panie, strojne w złoto i klejnoty drogie, to czarem w kamienie przemieni ludność wesołego miasta, to stworzy komnaty sypialne oświecone, jakby lampą, blaskiem ogromnego brylantu, to wyprowadzi z morza olbrzymą zazdrosnego; on w szkatułce, którą trzyma pod pachą, chowa najulubieńszą kochankę swoją i t. d. A jak ta fantazyja drwi sobie ze znaczenia istotnego każdej pojedynczej rzeczy, które wplata w powieści swoje, tak też i „całość takowej powieści nie ma znaczenia głębszego; darmobys w niej śledził jakiejś głównej myśli a dążności moralnej, obyczajowej, nie spodziewaj się tutaj nawet ani satyry, ani allegoryi na dnie tych powieści“ (Göthe); rozumiałbys, że one są jako ptaszki, co śpiewają bezświadomie z całą duszy swobodą, bo im tak miło i lubo śpiewać, na nic się nie oglądając; są to wdzięczne drwiny ze świata i z ludzi, za które gniewać się nie można.

Choć te powieści arabskie nie mają rozumowego gruntu pod sobą, choć pisane są jakby dla pacholąt małych, przecież w nich żyje ukryty głęboki a samorodny fantazyi prawdziwej pierwiastek, i dla tego właśnie one i starszych tak czarują niewypowiedzianym urokiem.

Chcesz-li podpatrzeć ich zrodzenia, to pamiętaj, że i tutaj gospodarzą owe dwie powyższe ostateczności wręcz sobie przeciwne. Tutaj najprzód wylatuje na scenę fantazyja, jakby upojona zachwyceciem tanecznica, i w szale, drwiącym z rozsądku, wywraca zamęt jestestw naturę, a w zapustnej wesołej ochocie hula i buja i stwarza sobie światek cudów i dziwów i awantur, i rozsypuje, jakby do stroj-

nego sadu, złociste owoce, dziewczęta, rybki i wojaki na gałęziach rosnące. Gdy atoli swojego dokona, już znika jak przyszła, i ulatuje, aby znów gdzieindziej puszczać się na figle i sztuczki i drwinki. Wtedy występuje z kolei na scenę rozsądek rozważny, prozaiczny, i zbiera skrzętnie one złociste, dziwaczne dary lekoskrzydłej psotnicy, i wiąże je w sad, co równie jest bez korzeni i nie ma gruntu pod sobą, i przyczepia na nitce do gałązek jego te dziwy świeciste, obstawi świeczkami, a tak i powieść gotowa. Jednak, ten sam rozsądek, co tak chłodny i trzeźwy i rozważny, gdy obaczy własną swoją robotę gotową, pełną dziwów błyskotnych, mieniących, sam odurzeje widokiem swojej sprawy, sam się opoi, i puści się tanem zawrotnym w koło dzieła własnego, tanem ochotnym, fantastycznym, oczyniony czarodziejstwem, które sam wywołał. Tak tutaj one dwie ostateczności nigdy nie wiążą się w organiczną całość, one nie przenikają się z sobą; i jakby w somnambulizmie to rozsądek czuwa na jawie, to jakieś jasnovidzenia z kolei panują nad człowiekiem; a oba te stany są ściśle od siebie oddzielone.

Otóż i żywot i kraj Arabów jest taką powieścią cudowną; i tutaj nie ma nic stałego, trwałego; wszystko jest dziwem lśniącym, mieniącym. Człowieka w kapryśnej, samowolnej swobodzie przez życie całe podrzuca fantazyja; całe życie jego jest awanturą, przypadłością, hasem zapustnym. Dziewica arabska zaślubia się swojemu kochanui, a gdzieś daleko, daleko staje się matką, a gdzieś indziej znów wychowuje dzieci swoje, i znów gdzieś daleko umiera. Jakby w powieści czarodziejskiej nikt nie zgaduje, co się zdarzy, zanim słońce nazajutrz spadnie na widnokręgu pustyni.

Ta pustynia zaległa w koło świat, ona niema, cicha, niekiedy tylko po pagórach jałowych, po piaszczystych równinach przelatują głosy; jękna — konają gdzieś w niedosłyszanej dali. Niekiedy znowu przez cinę kurzawy, patrzy się na świat słońce obumarłą, żółtkłą twarzą, a po ziemi hulają wzniesione w słup i palą się chmury piaszczyste ciemną purpurą, niby pożarem natury, a pędzą szalejąc, kręcą się i wirują, i szukają wędrowców, by w ich krwi i skonie znalazły ngaszenie pragnienia! Dygoce strachem zdjęty tygrys, przycisnęła się do ziemi hyena z cicha szlochając, ryknął zgrozą lew, a płazy jadowite zwinęły się w skalnych szczelinach; natura odegrywa straszliwy, a fantastyczny dramat. Ale patrz, wśród pustyni skwarniej, jakby wyspa na oceanie głuchym, zieleni się i uśmiecha szczęściem błogiemi oaza, ojcowizna czarodziejskiej rozkoszy. Palmy rozkochane lekkim wspaniałych liści szeptem powierzają sobie miłości swoje. Gaje migdałowe poszyły pagóry tchnące rosą świeżą, a figi gestolistnych gałęzi spletem rozpięły namioty, kędy brzmia wdzięczne ptasie pieśni. Tam znów daktyle związały się w strojne bukiety, a wśród murawy łąk kwiecistych płynie strumyk, i cieszy się i raduje, że on tego wszystkiego szczęścia i wesela sprawcą cudownym. Gdy w koło na pustyni głucho i pusto, a skwary duszne życie wy-

ssały, gdy tam ciąży niemota cicha jakby na natury cmentarzu, w oazie tak lubo, wdzięczno, rozkoszno, żeć się już zdaje, że ona błogiem, sennem widziadłem wędrowca, mdlejącego wśród piasków skwar-nych nieużytej pustyni.

Przecież choć na oazie lubo i błogo, choć tu przyroda ustrojona jakby do ślubu ze szczęściem, a choć na pustyni cicho i skwarno, Arab kocha sercem gorącym tę pustynię żarzącą. Wszak on jej dziecięciem, ona jego światem, on w niej jakby w domu swoim; tu mu zdrowo odetchnąć, i puścić się za słońcem, za gwiazdami na rumaku lotnonogim. I tygrysy i węże, lwy i chmury piaszczyste, i wszystkie strachy pustyni są dla niego fantastyczną poezją, a walka ze śmiercią to rycerskie dla niego igry i turnieje, jakby lekka gimnastyka, gdy pójdzie o płatne z innym wrogim szczepem, co również synem pustyni, z którym jeszcze od pradziadów toczy się bój zemsty śmiertelnej, krwawej. Bo na pustyni zemsta nie umiera nigdy; ona wołaniem tajemniczym rozplywa po pustyni głuchej, umarłej „nią dygoce grot żelazny łaknący krwi, ona błyszczy i żarzy się w oku rumaka, zemstą tchną kości poległych, zbiele na piasku żółtym“. Tu nie prawo, nie sądy rozstrzygają spór, ale męztwo, ale rycerskie zuchwalstwo; tutaj człowiek jest jednostką niczem nie krepowaną, nie uznającą praw ogólnych; więc pędzi i biegnie, kędy go unosi serce kipiące a fantazyja w duszy żarem paląca.

Gdy boje na chwilę ucichną, gdy i pustynia zaśnie w koło, a gwiazd nocnych tłumy, jakby pochodnie, jasnością przeczystą zapłoną na niebie; wtedy około ogniska Araba rosną powieści i gadki i pieśni; wtedy, miłość i śmierć, przeszłość i przyszłość, i natury dziwne, i męztwa zuchwałe cuda, odziane w szaty uroczyste poezyi, jakby wdzięczne geniuszki rozchodzą się od ognisk we wsze strony pustyni, siejąc kwiaty duchowe po jej piaskach jałowych. Kwiaty te, niedojrzałe wzrokiem doczesności, mienia się cudem, stają się widome, żyją niezwykłym życiem; gdy na nie spojrzysz okiem fantazyi, wtedy te puste, umarłe, nieme arabskie rozłogi, te cmentarze głuchej natury stają się czarodziejskim ogrodem.

Nie trudno tedy już zrozumieć, że fantazyja Arabów wypada z piersi wieszczów najradziej poezją liryczną. Bo w samej poezyi lirycznej żyje cała swoboda uczuć człowieka, w niej jednostkowe piętno jego znajduje wyrażenie swoje, w niej wieszcz jedynie sam od siebie zawisł, nie zna co względy i więzy zewnętrzne. Dla tego też, gdy się Arab zabierze, by wyśpiewał grzmiącą epopeję, czyny pełne chwały szczepu swojego, już obrazy tej epopei stają się liryzmem, stają się raczej odbiciem osobistych uczuć śpiewaka, niż opisem zewnętrznych wydarzeń. Bo ta fantazyja, luźna i wolna, nie rada się stosować do zewnętrznego świata. Albo też, jeżeli opowiada i kreśli zewnętrzne wypadki, toć znowu z taką swawolą, z takim żartem z ustaw wiążących naturę, iż to opowiadanie staje się właśnie ową cudotworną arabską powieścią z Tysiąca Nocy i Jedna.

Równie z tego, co rzekłem, wyraźnie znać, że tutaj nie ma nawet mowy o dramacie, bo figura dramatyczna jest sobą samą, działa wedle siebie; wypada tedy aby poeta dla tych figur rzekł się sam siebie, aby treść wewnętrzną swoją uosobił na zewnątrz, nadał jęć ciału i uczynił ją niby niezawisłą od siebie; lecz te wszystkie warunki dramatu są wbrew przeciwne tej lotnej, gorącej, niczém nieumiarkowanej fantazyi, która, li na własnej osobistości oparta, wylewa się gwałtem niby dzikie wody wśród burzy i grzmotów. Z tych powodów też nie tylko Arabowie, ale żaden lud mahometański nie ma dramatu, ani go mieć nie może. Daremnie tedy niedawno rozumiano, że odkryto dramat między ludami temi; te słabe kompozycye są może nawet o wiele niższe, niż dyalogi średniowiekowej Europy. Obaczmy też później, mówiąc o fantazyi romantycznej średnich wieków, że tam podobne zjawiska występują, bo i tam liryczność przeważa, i tam człowiek nie ma oczu rozwartych na świat zewnętrzny, i tam duch tonie w sobie, stwarzając sobie własną rzeczywistość fantastyczną. Obaczmy atoli również, że wielka zachodzi różnica między romantycznością ludów mahometańskich a chrześcijańskich, której przeoczyć się nie godzi.

I uważ, ta bujająca, szalejąca fantazyja Wschodu znienacka znów rzuca się w drugą odwrotność, i staje się prozaiczną, rozsądkową, czasem nawet pedantką uczycielką. Obok liry kipiącej warem, palącej się jasnym płomieniem, obok czarodziejskiego świata powieści, stają zbiory ogromne przysłów, maxym, rad, sentencyj, a są tłumy nieprzejrzane tej dydaktycznej poezyi; jakoż jeden z tych zbiorów zawiera ich siedm tysięcy. To przerzucanie się z jednej ostateczności w drugą tłómaczy się już samo przez się z powyższych ogólnych zarysów ducha islamickich ludów.

Nie trudno też wywróżyć kształt tych poezyj, a mianowicie tej ognistej liry. Myśli, uczucia wylatują słowami niby błyskawice; wyrazów nie wiele, ale też za to biją jakby gromem (*). Te pieśni podobne szkicom wielkich malarzy — kilka rysów śmiałych, butnych, farby zuchwałe niby na hazard rzucone, co palą się, goreją, promienia — wystarczą do zupełnego obrazu. Zrozumiesz tedy również, że w ludzie rozsypanym na szczepy, hulającym w pierwotnej swobodzie po nieprzejrzanę przestrzeń ojczyzny, poezya jest prawie cała poezyją gminną, fantazyją powszechną, wszechbytną; ona rośnie jak dzikie kwiaty w całym przepychu swojej siły świeżej, rodzimiej. Arabia późno dopiero, a to tylko przelotnie i niedostatecznie, zaznała

(*) *Hammer-Purgstall*: Literatur-geschichte der Araber. Wiedeń, 1850 i nast. 7 tomów. To dzieło jest podobno najważniejszem ze wszystkich prac nowszych, a odnoszących się do literatury arabskiej. Tej też książki radziłem się głównie, wspominając tu tak zlekka o poezyi i języku Arabów. (Nader ciekawemi w tym względzie są także dzieła: *Schack*. Poesie u. Kunst der Araber. 1865 — w dwóch tomach; oraz *Julius Braun*, Gemälde der mohamedanischen Welt. 1870. — St.)

wpływów świetnych dworów, co iścily przepych, czarodziejstwo, o którym gwarzyły powieści cudotworne; ta świetność przemijających ognisk nie uczyniła nigdy doprawdy poezyi w Arabii dworską poezją; ona z istoty nigdy nie przestała być sprawą narodu całego, sprawą ogólną, wspólną wszystkim. Poeci tedy walczą z sobą o prym wśród nieprzeliczonej ciżby ludu; chwała poetyckiego zwycięztwa jest chwałą ich szczepu, w obec wszystkich szczepów. Na wstępie do bożnicy Kaaba w Mekkie zawieszone były siedm pieśni wyszytych złotemi głoskami na perskich makatach; one niegdyś odniosły nagrodę w obec nieprzejrzanych tłumów ludów, które rok rocznie gromadzą się na targach w mieście Okkadh. Przy téj fantazyi poetycznej ludu, co jest jego powietrzem, którym oddycha — krwią, która mu w sercu tętni — czyliż dziwno, że spory prawne, tak między pojedynczemi osobami, jak między szczepami odbywały się mocą wszechwładnej u nich poezyi. Rzecznikami stron bywali poeci; oni pieśnią wysławiali zacność, chwałę, męstwo i dzielność i słusność swoich klientów; i sędziami sprawy byli wieszczce szerokiej chwały, a wygrana stała się tryumfem poety-rzecznika i nagrodą jego wieszczego natchnienia.

Tak tedy poezya arabska jest kopalnią bogatą, nieprzebraną drogich kamieni i złota dla Europy, znachodzącą coraz nowe a nowe cuda i dziwy. Pomyśl sobie, że w szczupłym przeciągu czasu sto czterdziestu lat, licząc ich sto przed Hedżyrą, a czterdzieści lat później, śpiewało 300 poetów, między którymi było 16 królów, a 45 poetek; a tak i w następnych stuleciach mienia się i rodzą i bujają coraz to nowi wieszczce, i rosną jakby gęstym gajem czarodziejskiej poezyi (*).

Pytasz atoli, jakże się miała ta bujność poezyi, ten świat śpiewów i pieśni do nauki i wiary proroka?

Mahomet, zakonodawca-prorok, zanurzył ten czysty precudny język arabskiej pustyni w krynicy wiary, a nadając mu formę stałą, uświęcił go, natchnął szlachetnością pełną wzniosłego uroku. I trafnie i bystro rzekł temi dniami jeden z najcelniejszych badaczy i znawców arabskiej literatury (**): „język starego Egiptu i Persów i Medów, Sanskryt i święta mowa Hebreów dawno przebrzmiały w rzeczywistości. Cienie jednych z tych języków zakłęte są w napisach rzeźbionych, po grobach, w budowlaniach zapadłych, i zaledwie wskrzeszone być mogą szczęśliwym trafem i mocą czarodziejską badaczy; inne z tych języków żyją tylko w księgach uczonych i plątają się marą po szkołach. Ale język arabski żyje życiem niezwałtoném, żyje wieczną, nigdy nie zgasłą młodością w dziełach poetów i w ustach ludów; on rozwinął panowanie swoje po ogromnych przestrze-

(*) Hammer I. c.

(**) Hammer I. c. przedmowa str. XVIII.

niach trzech części świata, a był nawet czas, gdy ta mowa arabska była panującą w świecie duchowym, bo w dzielnicy nauk i umiejętności, i zajęła tron wszechwładny, opuszczony wtedy przez język rzymski, ów język pogromców starych ludzkich dziejów". Patrz, jak to geniusz Mahometa ciężko zaważył w duszy tych ludów! on do szczytu wytepił mity stare z pogańskich lat, a przecież, jak wspominałem, nie zdołał wytepić z serca swoich ludów miłości gorącej do gadek i powieści cudotwornych. Bo on, choć się gniewa, że go nazywano poetą, jest sam wielkim poetą.

W Al-Koranie, jak rzekłem powyżej, obok rdzeni prozaicznej jego zasad głównych, obok jałowego rozsądkowego pojmowania, widzimy powieści biblijne, ale cudnie ubrane w pałac, żarzące barwy fantazyi arabskiej; te powieści są upoetyzowane, wystrojone do niepoznania. A tak i tutaj widać owe ostateczności świata islamicznego obok siebie istniejące: bo rozagę, namysł, obok namietności płonącej, bo chłód rozsądkowy obok porywającej, zataczającej się wyobraźni. Mógłbym ci przytoczyć wyjątki z nie jednej Sury (oddziału) Koranu na poparcie mojego orzeczenia, ale trudno mi wystąpić po za obręby listu tego. Nie mogę się atoli oprzeć chęci uczęszczania cię choć ułomkiem drobnym owych dziejów miłosnych Jussufa i Sulejki, osnutych na treści Koranu przez Czami, jednego z poetów perskich. A wyrośnie nam z tego korzyść dwojaka, bo obaczysz jak Koran obchodzi się z powieścią biblijną, a przytém będziesz miał przykład poezyi perskiej, o którejbym ci jeszcze choć w krótkości pragnął wspomnieć. Zrozumiesz przecież, że jedynie mam na myśli, aby ci podać ogólne kontury ducha i fantazyi tego ludu, a dla tego chciéj te wyjątki uważać jedynie za okrucy okrucichów tego przesłicznego poematu. Zrozumiesz równie, że nawet nie mogę rościć sobie prawa, aby te ułamki uchodziły za tłumaczenie, bo do tego trzebaby umieć języki wschodnie, a zarazem być poetą; a ja ani do jednej, ani do drugiej z tych zalet nie mam pretensyi.

Jussuf, o którym tu mowa, jest to Józef biblijny, syn Jakóba Patriarchy; a Sulejką nie kto inny, tylko pani Putyfarowa. Mahomet poświęca całą dwunastą Surę Koranu historii Józefa, którą po swojemu amplifikuje, zdobi i stroi, a tak zaciera pierwotne, pełne prostoty i rzewności, opowiadanie Pisma Św. Zaczyna od chwili, gdy niby Józef powiada do Jakóba: O ojcie mój! Jam widział we śnie jedenaście gwiazd oddających mi pokłon! I widziałem, jako mi się kłaniał księżyc i kłaniało się słońce! — Synu mój! odpowiada Jakób, nie wspominaj o widziadłach tym braciom twoim, bo szatan jest ludzkich serc zaprzysięgłym wrogiem! Tobie zaś te widziadła senne niechaj będą wróżbą, że Pan ukocha cię miłością najwyższą i udzieli ci wiadomości wyjaśnienia ciemnych wyroków. Pan łaskę swoją uczyni świetną na tobie i na pokoleniu Jakóbowem i t. p. Kończy zaś Koran na chwili, gdy rodzice, przybywszy do Egiptu i stanąwszy w obec Józefa, chcą upaść do stóp jego, by okazać mu uwielbie-

nie swoje, ale Józef wstrzymuje ich, w rozczuleniu oddaje zgrzybiałym starcom cześć, na tronie ich sadzając.

Poeta perski Czami trzyma się wprawdzie Koranu w opowiadaniu swojem, ale obiera sobie za ognisko pieśni nieszczęśliwą miłość Sulejki do Jussufa, chcąc wyświecić jaskrawemi barwy, jako Jussuf polegając na ufności w Bogu jest niepokonanej siły duchowej; ale słaba niewiasta, nie mająca oparcia w sobie, miota się bez ratunku na falach namiętności swojej, aż i jej serce zostaje ukojone wiarą prawdziwą. Taką dążność bowiem prawie powszechnie przypisują tej powieści.

Ale widzę, że list ten jakoś zbytby mi urosł, wolę tedy zachować sobie do przyszłego listu historią o Jussufie i Sulejce i wszystko co mi jeszcze o fantazyi ludów islamickich mówić wypadnie.

LIST DZIEWIĘTNASTY.

Ludy Mahometańskie.

(Dalszy ciąg.)

Powieść Jussuf i Sulejka. — Fantazyja Perska. — Schachname. — Dwojake pieśni wieszczów perskich, a mające wspólne tło. — Ułamki z obu tych rodzajów. — Malarstwa, rzeźby, dramatu nie ma u tych ludów. — Cechy ich budowania.

Dopisek. Rzut oka na listy i stanowisko całego tego dziełka.

„Noc była, noc cudna jak żywota jasny dzień; noc szczęściarodna jak młodości błogi wiek. I ptaszek snił, i rybka w wodzie spała snem a umilkły nawet spracowane wieściienne. W świetle całym, w tej przedziwnej altance bożego ogrodu, same gwiazdy, same jedne z oczkiem otwartem chodziły po niebie! Noc ukradkiem uniosła wartom bacność czujną, i milczały dzwonów zawiązane usta. Nocny ptak roztoczył lotów śmiało miecze, a maki zasypały gradowej straży oczy. Jeszcze nie wzywają minaretów głosu na modlitwę Panu!”

„W tej nocy wdzięcznej spoczywała na łożu Sulejka miodousta, snu słodczyce pokryły jej oczu narcyzy. Dziewica użyczała wężłowi włosów wonnych fale, a łożo ustroiła postacią, jakby zwojem wdzięcznych róż. Zmysłowe jej oczy tonęły we śnie lubym, lecz jaśniały drugie niewidome serca oczy! Zdawało się jej, że widzi przed sobą młodzieńca obraz. — Młodzieńca? O nie! to widziadło przeczystego ducha! Oblicze jego, jaśniejące promienną światłością, niebiańskim hurysom odebrało rajske uroki i czarownych wdzięków moce. Cyprysu wzrost, tak wolnością swobodny, zdaje się być nie-

wolnikiem obok postaci młodzieńczej. Kędziory spływają po ramionach cudnych, jako więzy, co krepują rozumu potęgę! Przed blaskiem czoła jego skłania się kornie twarz słońca świecista. Łuki oczów jego to ołtarz modlitw świętych, to namiot ambry, co cieniem mroczy zasypianie lube, pełne rozkoszy cichéj. Oblicze jego, to Bożych Edenów księżycowa poświata; od rżesów biją w serca strzały!

„Gdy jęj oczy ujrzały to z nieba zjawienie, już jakby gromem zapłónięło serce miłością. Światłość jego lica i wdzięki nadziemskiej postaci związały ją serc tysiącem. Ona już w świecie nie widzi innego istnienia, krom jego uroków. Bujnie rozkwita miłości gałązka w jęj sercu osadzona. Oblicze jego ogarnia jęj duszę ogniami, co chłoną i cierpliwość i ufność wiary“

„Już noc, owo ciemne pachole, uleciała światu, już kur na poranie zawołał radośnie, a słowik pieśnią rzewną podniósł z róży pączka obłonkę, już fioletek i jaśmin w rosy kropelce omyły główki swoje; a jeszcze Sulejka spoczywała na łożu snem słodkim złożona. To nie sen! To błogie zmysłów odurzenie, to radość i podziw lubéj, błogie, przemarzonej nocy“.

„Zbliżają się niewolnice urodne i całują rączkę śnieżną; ocknęła się — jęj ocząt para szczęściem upojona, szaty spadły z jęj oblicza, jako obłoki wschodu przed słońca promienistą twarzą. Ona patrzy w koło, bez śladu rozplynęła postać pięknilica! Sulejka w sobie stula uczucia, niby w pączku młodym; boleścią chwycona, jak róża liście, tak ona chce podrzec szaty swoje, ale rękę wstrzymuje, wstyd ludzi utrzymuje jęj stopę na umiarkowaniu progach. W sercu kryje tajemnice swoje, jak szyb górski kryje rubiny płonące. Ona tak słodko przemawia do niewolnic grona, dusza jęj żali się cierpką boleścią; gdy łagodnie i lubo płyną z ust jęj mowy, jęj uczucie bucha iskier tysiącem. Daremnie widzi inne młodzieńcze postaci, daremnie, — na wieki jęj serce przykute do sennego obrazu. Wszak w tych miejscach, kędy ona bawi, stało widziadło lube, co jęj serce uniosło. W niem jedynie spoczęło ukojenie jęj duszy, w niem utopiła wszystkie pragnienia serca; a gdy to serce przemówi uczuciem, toć do drogiego przemawia widziadła!“

„Do nocy, do téj oblubieńców przyjaciółki, do nocy, co stróżą tajemnie kochanków, zwracały się najdroższe jęj duszy tęsknoty. Bo gdy dzień podnosił oponę rzeczywistego świata, już noc spuszczała zasłonę na niebiańskie zjawienia. I nadeszła noc! — Sulejka podobna arfie, zgięta w sobie, oparta o cierpień mury, zamiast w struny, nawiązana w strugi łez, co, do dźwięku duszy nastrojone, brzmiały żalem serce przenikając, i wygrywały całą gammę tonów boleści tęsknej. Obraz kochanka unosi się przed duszą jęj, perłami wysypują się z ust boleści słowa, perłami ciekną łzy z oczu cudnych.“

„Powiedz, o powiedz, którez głębie górskie zrodziły cię o klejnocie drogi mój! Dla ciebie to, dla ciebie oczy moje perełki leją; ty wziąłeś mi serce a nie wyrzekłeś nawet twojego imienia, ani kędy twój dom. Któż mi powie imię twoje, któż mi wskaże ojczyzny twojej ślady! Jeżeli królem jesteś, powiedz, jakże zowią stolicę twoją. Jeżeliś promieniem księżyca, powiedz, kędyż twoich wdzięków tron! O! niechaj nie cierpi nikt, com przecierpiała biedna! Serce straciłam, i straciłam kochanka serca mego. Widziałam obraz twój, on mi zabrał sen, wycisnął z serca krew, i krew z oczu wycisnął! Jam bezsenną, uczucia moje zostały w pożarach gorejącej miłości. Ja byłam różyczką na kwiecistej młodości niwie, byłam świeżą, cichą, jak strumień błęgiego żywota; nigdy mnie nie zawiął wichur srogi, ani ciernie nie zraniły stopki mojej. Ty jednem spojrzeniem oddałeś mnie burzom, a cierniami boleści usłałeś łoże moje! a przecież ja tkliwsza jestem na ciernie, niż róża listek!”

„Tak wzdycha nieboże aż do świtu zarania, i oskarża wizerunek kochanka fantazją zrodzoną. I uleciała noc.“

Tym trybem cudna ta powieść roztacza się w swoim uroku; poeta opisuje teraz, jako niewolnicę spostrzegając odmianę w Sulejce, radzą a radzą między sobą: jedna mówi, że to oczynienie; druga, że ją urzekł Diw (niby jeden z czeladzi wrogiego Arymana); trzecia, że zapewne czarnoksiężnik jaki umatnił ją w sidła; czwarta zgaduje, że to miłości brzemień. Mamka Sulejki, trapiąc się zbiednieniem drogięj dziewczycy, nalega na nią i zaklina, by jej prawdę wyznała. Sulejka wtedy opowiada jej sen swój. Mamka potajemnie udaje się do ojca; ten zdziwiony jej słowami, nie wiedząc jednak jak temu radzić, rzecz całą zdaje na Bożą wolą. I drugi raz zjawia się jej we śnie Jussuf. Wtedy miłość gwałtowna tak wstrząsa jej duszą, że Sulejka oddana okropności obłąkania. Ojciec zwołuje radę, ta uchwala, aby nałożyć biednej miłośnicy kajdany — kajdany złote wysadzone rubinami, perłami i t. d. Jussuf zjawia się po raz trzeci, lecz teraz już widziadło czarowne, poruszone rzewném, tkliwém błaganiem, oświadcza, że mieszka w Egipcie, gdzie piastuje godność Wielkiego Wezyra. Sulejka wyzdrowia, zdejmują z niej kajdanki złote.

Niezadługo rzeczywiście przybywają posłowie z Egiptu, prosząc o rękę królowny dla egipskiego wezyra. Z rozkoszą w sercu wybiera się Sulejka do narzeczonego. Przepyszny wjazd jej do Egiptu. Ale jakaż jej boleść i rozpacz, gdy wiedziona tęsknotą miłosną przez szparę namiotu obaczyła wezyra. To szpetny Putyfar! to nie obraz czarujących wdzięków we śnie trzykrotnie widziany!

Tymczasem Jussuf, od braci zaprzędany, przybywa do Egiptu; puszczony na sprzedaż publiczną, kupiony od Sulejki. Przecież jej wdzięki nie poruszają serca jego. Oskarża go przed małżonkiem. Lecz niemowle przemawia, zaświadczając niewinność młodzieńca. Ztąd plotki i bajki po mieście. Panie, znajome Sulejki, wzięły jej

sławę na złe języki, ztąd złośliwe komeraże, docinki i dowcipy. Sulejka pragnie ukarać obmównice. Zaprasza więc te panie do siebie na ucztę pełną przepychu. Po obiedzie dano wety. Sulejka zaś każdą z dam uraczyła pomarańczą; bo jęj barwa ciemnożółta jest lekiem na zazdrościwą niechęć. Potém Sulejka tak przemówiła do dam: „O wy panie, wdzięków pełne! Wy, co jesteście najwyższėj piękności wieńcem! dla czego zaprawiacie goryczą usta moje, za to żem ujęta gorącą miłością ku słudze mojemu! Gdyby on spojrzenie wasze zapełnił światłością uroków swoich, zaiste winna moja byłaby mi przebaczona!“

Panie wszystkie proszą i nalegają, by im przecież ukazała Jussufa, zapewniając, że go już kochają, choć go jeszcze nigdy nie widziały. Sulejka wyprawia po niego niankę. Ale Jussuf głuchy na prośbę. Wtedy Sulejka śpieszy sama do niego, błaga i błaga rzewnemi łzami i zaklina rzewnie, by nie rzucał na nią hańby i sromu ostatniego w obec wszystkich niewiast całego Memphis. Nakoniec Jussuf, litością poruszony, zezwala by go ustroiła w szaty przepyszne, co wzmogły jeszcze uroki jego i wzniosły je do piękności, „dla której już nie ma wyrazu“.

„Z ukrycia występuje piękności najwyższy skarb, rozkwitniony we wdzięki jako pole róż kwitnących. Gdy niewiasty ujrzały to pole róż kwitnących, już każda z nich uszczknęła spojrzenia różę, a to spojrzenie zabrało szczęście jęj żywota; każdej wypadła z ręki uzda krępująca wolą. Wszystkie, uchwycone podziwem tych uroków, oniemiały i skrzepły mrozem, jak gdyby już umarły!“

Panie w tém osłupieniu i zapomnieniu siebie, zamiast rozkroić pomarańcze, kaleczą sobie paluszki. Teraz wszystkie ujmują się za Sulejką, radzą by Jussufa skruszyła więzieniem. Zaledwie to uczyniła, gdy ciężki żal przejmuje jęj duszę. To posyła do niego niankę swoją, to sama wychodzi na wzniosły szczyt swojego pałacu, by choć ujrzyć dach więzienia Jussufa — Wyratowanie jego z kaźni — Putyfar umiera — Sulejka buduje dom za miastem obok drogi, którą codzień przebywa Jussuf, i rozkosz jęj gdy słyzy choć tentent konia jego. — Ale Jussuf ciągle nieczuły — Wtedy Sulejka odstępuię pogaństwa i nawraca się do wiary prawdziwego Boga, tak staje przed Jussufem, on przyjmuje ją tklivie; za pośrednictwem prośby jego Pan wraca jęj pierwszą młodość i dawne wdzięki. Nakoniec z bożego rozkazania Jussuf pojmuje ją za małżonkę — zobopólne szczęście, — Jussuf umiera — z żalu po nim umiera i Sulejka — Uwagi moralne poety, — koniec.

Otóż jest treść jednéj z tych nowszych powieści perskich, które nas od czasu do czasu dochodzą, jakby woń z wieńca wschodniéj poezyi.

Ta fantazyja perska jest córką arabskiéj; ona téż ognista, o krwi płomiennéj, lecz o sercu lekkim, radośnem; znać, że ona nie wyrosła na pustyni dzikiéj, głuchéj, że ją wychował dwór, niby dziecię lube,

pieszczone. Jój upłynęło życie wśród różanych ogrodów, wśród pałaców, najświetniejszych przepychów szacha, kędy rycerskość i wdzięk niewieści są przystrojem najwyższym. Nie dziw tedy, że ta fantazyja, co tak z natury gorąca, namiętna, przecież umie miarkować gwałtowność swoich uczuć i nie ubliży nigdy dobremu wychowaniu i wytwornemu smakowi; a mimo tego nie jest wymuskaną, częzą formą, ale pełną świeżości i życia. Com tedy powyżej rzekł o arabskiej fantazyi, znajdziesz i pierwiastkiem w Persyi; ale ten pierwiastek przybiera się tu w kształty nowe niesłychanego uroku i rozwija się we formy poetyczne, różnobarwne. Poezyja perska jest teraz jakby ogrodem cudownym, w którym duch roztula się różnobarwnym, czarownym kwiatem i w krzewy wonne, w których brzmią chórem pieśni słowicze. Ogród takowy raz tylko zjawił się wieczną wiosną w dziejach świata, bo w Persyi.

Przecież już najcudowniejszego władztwa dostąpiła poezyja, gdy szlachetna postać Mahmuda zasiadła na stolicy Persyi. Po kraju, między ludem płatała się jeszcze tłuszcza zabobonów i gusel pogańskich, gdzie niegdzie nawet straszło jeszcze widmo czężej bezwiaru. Mahmud znał potęgę drżemiące w głębi duszy swojego narodu, znalazł jego tajemnicze tchy; więc czarnoksiężstwem poezyi pragnął rozprzyszczyć upiory pogańszczyzny, i wskrzesić one moce śpiące w piersiach ludu. W rychłe przeto królewski gród otacza się zastępem czterystu wieszczów; oni pieśnią mają zdobyć serce człowieka i zawładnąć duchami. Wiara otula się w złoto-tkany poezyi płaszcz, wieńczy się różami i zaśpiewała ludowi cześć Bożą i chwałę proroka. A gdy tak zeszły mgły ciemne z duszy, gdy serca zapłonęły wiarą Koranu, Szach téj saméj wszechmocnéj potęgi chciał użyć, by te serca zapukały jeszcze uczuciem perskiej ziemi i miłością do perskiej sławy.

Od pradziadowych stuleciów lud przechowywał księgę starą w tysiącznych odpisach. Była to zbutwiała kronika — Bastanname; w niej od porannych dziejów przechowane były wieści mglistych starych lat i święte podania o bohaterach wielkiej przeszłości zmarłej; w niej złożony był cały żywot Persyi, niby zaszuszony kwiat. Mahmud, zagrzany chęcią wskrzeszenia z grobu staréj historyi, zamierzył przetopić ją w poezję, a wszystkie koleje Persyi, jój wielkie czyny i wielkie imiona rozwinąć przed ludem, jakoby obrazem, w jednéj ogromnéj epopei, — w Szachnamie. Wybiera tedy siedmiu ze swoich wieszczów, każdemu wyznacza jakiś ustęp z onéj kroniki; pragnął bowiem doświadczyć ich geniuszu, zanimby któremu z nich powierzył dzieło całe.

Nadszedł oznaczony dzień. Jeden ze siedmiu wieszczów, Ansari, czyta pracę swoją; pieśń zachwyca potęgą fantazyi, wdziękiem niewysłowionym harmonii. Pieśń ta to grzmi niby gromów łomot, to znów zcicha kwili i płacze, albo téż świeci cudownéj piękności obrazem. Szach zachwycony mianuje wielkiego poetę księciem wieszczów, oddaje mu berło duchowe, by panował w państwie duchowém, otacza

go dworem pełnym świetnego przepychu, czyni wielkim kapłanem poezji i najwyższym sędzią w piękności krainie. Nie jestże to dziwne, jedyne zjawisko w dziejach ludzkich, to dostojenstwo wieszczów! Jakoż utrzymuje się ono i w późnych pokoleniach; obok Szacha, panującego nad wolą ku ziemi zwróconą, władnie poeta-król nad myślą i uczuciem, które z wiekuistości ród swój wiodą i do niej tęsknią.

Wieszcz-zwycięzca Ansari, choć otoczony chwałą i najwyższym zaszczytem odziany, daremnie się broni smętkom i żalom, co mu na duszę padły. Czyliż on podejmie się dokonania olbrzymiego dzieła? czyliż ulegnie pragnieniu przeistoczenia całych dziejów perskich na epopeję, a tak może na szanie wystawi sławę promienną, już tak szczęśliwie zdobytą. I lekliwo mu i trwożno na duszy, i tonie w zadumaniu, myśląc, któremu z wieszczów miał oddać lutnię złotą. I duma i marzy, a z ciężkiem brzemieniem na sercu pewnego wieczora usiadł z dwoma poetami, przyjaciółmi swoimi; wśród cieniów wdzięcznego ogrodu. W koło ptaszki stroją zalecanki różom, i kwiaty tęskne patrzą się miłością ku sobie, i brzmia po krzewach ciemnych pieśni, i szmerzą wieczorne powiewy i prawią strumieniom gadki swoje, i dech kochania i poezji powodzą zalewa świat, a co żywo cieszy się życiem lubem. Wtedy grono troiste poetów spostrzega młodego wieśniaka, który butnym krokiem ku nim się zbliża. Ansari, zwracając się ku niemu z uśmiechem, rzecze: Braciszku mój, do wieszczów jedynie wieszczom wolny wstęp! — I ja poetą jestem, zawołał gość. Wtedy Ansari wprost z natchnienia zaczyna pieśń wierszem, jeden z przyjaciół jego dodaje wiersz następny, a drugi z poetów tworzy wiersz trzeci; lecz wtedy, jak błyskawiczną improwizacją, wpada nieznajomy, i z ust jego wylewa się ciąg dalszy rozpoczętej pieśni. I jak czarem uderzył w duszę słuchaczy oniemiałych, bo i wiersz przedziwnej harmonii, i treść jego wyjawia głęboką znajomość ojczystych dziejów. Tym wieśniakiem-poetą jest ów *Ferdusi*, najcudniejsza gwiazda na niebie perskiej poezji. On był synem ogrodnika w mieście Tus, który służył u zamożnego człowieka; tak sama młodość jego wypiastowana była w ogrodach, wśród kwiatów.

Wnet młody poeta deklamuje przed sultanem ułomek z dziejów perskich. Sultan słucha i mileży i znów słucha; te wiersze zdały się być wołaniem z nadludzkich światów. Taka była ich moc czarodziejska i urok oczyniający, że sultan w końcu, podziwieniem i rozkoszą natchniony, rozkazuje płacić za wiersz każdy pieniądz złoty i poleca Ferdusemu napisanie całej epopei Szachname.

Byłoby co prawić, gdybym ci zechciał roztoczyć koleje, które przebył Ferdusi w życiu; słowem, było to życie poety. To uwieńczony chwałą mieszkał w złocistych pałacach, piastowany będąc od szczęścia, to na wygnaniu błakał się o głodzie, ścigany wrogą nienawiścią.

Przytoczę tylko ostatni akt tej rzewnej i pełnej smętku komedii. Ferdusi, po wielu biedach, żyje przecież cicho, skromnie, ale w po-

koju, w mieście Tus, kędy niegdyś kolebka jego stała, a żył ze swoim zgrzybiałym nauczycielem Essedi. Nie długo przed śmiercią rzekł do starego przyjaciela swojego: „Nic mnie już tak nie trapi i nie ciąży na duszy, jak myśl, że nie zdołał ukończyć Szachnamy, brakuje tylko jeszcze czterech tysięcy wierszy, ale ich nikt nie dorobi w duchu moim i w myśli całości!”

Essedi. Uspokój się, podejmę się ukończenia dzieła, byle mi żywot starczył.

Ferdusi. Choć żywota, może nie zabraknie, ale ci nie stanie.

Essedi. Ukończę, jeżeli się to zgodzi z wolą Bożą!

I poszedł Essedi i nie było go widać przez dobę całą; poczem przyszedł. — Dokonałem dzieła! zawoła, i doprawdy w dwudziestu czterech godzinach napisał 4000 wierszy precudnych. Ferdusi umarł spokojnie.

Tymczasem sułtan wypuścił już od dawnych lat z pamięci osiwiałego wieszczą. Raz atoli w przytrudnej sprawie zapytał Wezyra o radę. Wezyr odpowiada wyimkiem stosownym ze Szachnamy. Sułtan pyta o wieszczą. Wezyr wymownie i z ciepła za nim przemówił, dodając, że Ferdusi żyje starcem samotnym w Tus. Wtedy sułtan rozkazuje obładować dwanaście koni indygiem, perłami i klejnotami, i posyła je w darze opuszczonemu poecie. Karawana, wchodząc do bramy miasta Tus, spotyka orszak pogrzebowy, niosący ciało wieszczą (r. 1030).

Siostra jego odmówiła przyjęcia przysłanych skarbów.

Zaiste, ten błady obrazek z życia poety jest prawdziwym przyczynkiem charakterystycznym do dziejów fantazyi na Wschodzie. Zda się, że w tej Persyi same powiewy roznoszą nasiona poezyi, że rosa, że słońca spojrzenie, że ptaszków szczebioty wywołują pieśni. Tutaj ziemia i niebo, wody i lądy grają i nucą, a epepeja olbrzymia, wspaniała, ogarniająca życie całego narodu i szereg długich wieków, rodzi się w chwilce jak żarcik poetyczny, lekki niby motylek lub sen poranny.

Widziałeś, jak się poemat Szachnamy zawiązał, jak wyrósł w pieśń niepodobną już do żadnej inną na świecie; w niej wszystko, com tylko rzekł powyżej o fantazyi Wschodu, znalazło wcielenie swoje. Powiedziałbym, że może mimo wiedzy, mimo woli samego wieszczą ten dech panteizmu tchnie niewiedomie w tym dziwnym, fantastycznym świecie tego poematu. Szachname nie objęła sobą ani szczegółowego historycznego zdarzenia, ani też nie ma za ognisko jednej figury głównej, ale sięga zrodzeń pierwszego człowieka i ogarnia całe epoki dziejowe i lat tysiące; a choć tu wypływają na jaw figury heroiczne jak np. Rustana i Aleksandra Macedońskiego, choć sułtan zdaje się być ogniskiem Persyi i pieśni samą, to przecież prawdziwym bohaterem i tłem jest tutaj potęga dziejów, co choć niewidoma, niespostrzeżona, włada ludzką historią, ale włada nią jako abstrak-

cya bezosobowa, niby idea bezświadoma siebie, a nawet złamana w sobie na dwa pierwiastki: jednym z nich jest światłość, moc wyrażająca się Persją, Iranem; drugim ciemność, to jest ludy wrogie Turanu; jestto jakby odgłos daleki owej walki Ormuzda i Arymana — światła i ciemności.

I tutaj moc wyobraźni zapustnej wzywa na rozkazy swoje gryfy i węże skrzydlate, ptaki cudowne, smoki i czarodzieje, twierdzą i grody z miedzi kute; tutaj tłumem cisną się przez scenę postaci mieniające się, co błysną, zaświecą nadprzyrodzoną potęgą i znowu ulatniają się bez śladu, jakby pochłonięte w dziejowych bezdeniach. I nawzajem, właśnie znów dla tego, że te figury i bohaterzy mają tylko przelotne znaczenie, że nie mają ogólnych prawd w sobie, co by je podtrzymywały, któreby je wiązały, więc też one na sobie wyłączenie się opierają, oddając się osobistemu natchnieniu. Ztąd te figury tak samowolne, butne, tak zuchwale, rycerskie, śmiałe; słowem, zradza się postać romantyczna a fantastyczna perskiego Pelwana. Pelwan toć prawie awanturniczy europejski rycerz średnich wieków; i jego najwyższym skarbem rumak i broń dzielna, lśniąca; jego żywiołem łowy i bitwy, igry rycerskie i pieśni. Niedostaje mu atoli wiary chrześcijańskiej i brakuje mu jeszcze drugiego potężnego pierwiastku, który tak wszechwładnie odzywa się w rycerzu chrześcijańskim, nie dostaje mu bowiem miłości, bo ta nie zradza się nigdy bez czci dla niewiast. Obaczmy, jak już rzekłem, później różnice między światem romantycznym średnich chrześcijańskich wieków, a romantycznością ludów muzułmańskich.

Jak figury atoli pojedyncze, jak natura cała nie uznaje w Szachname prawideł, tak też i wypadki płynące po sobie, jakby senne fantasmagorye, nie łączą się z sobą w organizm ścisły. Nad temi dziejami nie czuwa Opatrzność! Jeszcze w pierwszej swojej części Szachname, wyśpiewując mity i mgliste podania, jednoczy je choć zlekka tchem geniuszu; ale gdy zapaści się następnie w czasy historyczne, gdy Iskander (Aleksander Macedoński) zjawia się na scenie, już mimo magii poetycznej barwiącej, złocącej dziejowe wypadki, obrazy coraz luźniejsze wypadają z za kulis fantazyi. Epopeja płynie ciągle wspaniałym nurtem geniuszu, lecz podobna do nabrzmiałej dzikimi wodami rzeki zalewa powodzią w koło świat i unosi bezładu i szyku łupy, co znajdzie na wywrotniej swojej drodze. Tu wszystko się ciśnie dzikim pędem; uderzają o siebie wypadki, jedne z nich przepadają w toni, drugie puszczają się falą w dal, aż nakoniec wszystko znika — i epopeja dobiegła ujścia swojego!

Znać przeto, że i sama ta epopeja nie stanęła na gruncie prawd ogólnych, estetycznych. Słusznie może czynią ci, którzy porównali Ferdusego z Homerem; lecz pamiętajmy, że on jest Homerem, ale dla Persów tylko. Nie spodziewaj się w Szachnamie mistrzowskiego zestrojenia szczegółowych części w jedną całość niby w posąg cudny, jak to widzisz w każdej z osobna pieśni greckiego wieszczu, którego

natchnienie poetyckie było téż najwyższą mądrością, tworzącą od razu jakby gromem plan, na którym osnuł każdą z nieśmiertelnych pieśni swoich, niby całość dla siebie istniejącą.

Zważ, to panteistyczne tło, które dopiero nieśmiało przegląda poprzez obrazy Szachname, występuje już niezadługo później wprost w postaci samodzielnej i wyjawia się nawet w postaci dwoistej, a wręcz sobie odwrotnej (*).

Dawno już powiedzieli estetycy, że śpiewacy perscy rozdzielili się jakby na dwa chóry, mające wręcz sprzeczne sobie dążności, tchnące nawet niechęcią ku sobie, a przecież ich poezye mają wspólne panteistyczne źródło. Z jednej strony stoją wieszczowie, oddający się całą duszą tutecznym rozkoszom; oni pływają po morzu ziemskich radości, nucą i kochają się, bawią się i śpiewają miłość i wino, i różę i wszelkie światowe wesele. Z drugiej strony słychać chór mistyków, owe głębokie tony i poważne, onych uroczystych Sufi, co ująwszy islamizm w najgłębszym znaczeniu swoim, wynieśli z topieli jego miłość dla nieskończoności, pragnienie wrzące, kipiące zlania własnej istoty z Bożą istotą w jedność nierozdzielną; co tuteczne, co ziemskie, nie ma dla nich wagi i znaczenia, bo w nich prze i woła owa miłość nieogarniona, a nie daje im spoczynku i folgi w życiu. Mnieby się zaś zdawało, że te dwa chóry rzeczywiście śpiewają jedną i tę samą pieśń, choć ją śpiewają z innego tonu! Bo powiedz, czyliż oba te grona mistrzów nie są zwiastunami jednej i tej samej myśli? Oba pragną zapomnienia siebie, utopienia swojej jaźni; jedni atoli nurzają w powodzi szczęśliwości doczesnej, w bezkłopotnej, bechmurnej wesołości ziemskiej, drudzy zaś pogrążają ją w otchłaniach wiekuistej bezdeni, w której, jakby w oceanie głuchym, jaźń rozplywa kochaniem rzewnym, rozplywa kropelką, bańką znikomą. Gdy tamci w urokach niewiasty, w kochaniu się, w puharze wina znajdują błogie zapomnienie troski i żywota, i rozplywanie własnej istoty, przeciwnie u wieszczów mistycyzmu, kochanką, w której znajdują siebie, jest abstrakcja wiekuista, a winem jest odurzenie ducha, opojenie się ducha stworzonego na myśl jedności swojej ze wszechistnieniem.

Przecież zważ, że i mistycyzm, choć tak rzewny i zamętny, nie jest przecież ponurym, jest on radością zachwytną, weselem serca, godzącym się z sobą i z istnieniem wszech rzeczy, wyśpiewując sercem lekkim tęsknoty swoje. Tu nie ma tych tonów smętnych, grobo-

(*) Odsyłam czytelnika do wyjątków Szachname, tłómaczonych przez Lucyana Siemieńskiego, tak świetnym talentem, a umieszczonych w Bibl. Warsz. w zeszytach wrześnieowym r. 1853 i następnych. Zdaje mi się, że nie można dość podziękować Siemieńskiemu, że nam podał choć w ułomkach ten cudowny poemat, a oddał w tak mistrzowskiem tłómaczeniu, jak gdyby było pisane pierwotnie po polsku. S. nie ma atoli powodu uniewinniania się, iż nie znając pieśni w oryginalnym języku zabrał się do tłómaczenia tego, bo nam nie chodzi bynajmniej o dosłowny przekład pieśni, ale o uchwycenie ducha całości, a nadto długoby wypadało czekać zanimby się znalazł orientalista, będący zarazem poetą równym Siemieńskiemu.

wych, które tak mrozą i straszą w Indyach; tu panuje jakieś ochocze, wesołe oddanie się przeznaczeniu i pogodzenie się z losami.

Mimo tego, zwykle estetycy i badacze literatury, choć uznają fakta, nie uznają wspólnego tła obu tych dążeń; mniemam atoli, że kilka przykładów usprawiedliwi i wyjaśni do syta powyższe rozumowanie.

Chcię tylko jeszcze zważyć, że ten mistycyzm ma różne stopnie swoje, i że, rozwijając się stopniowo coraz silniej, na szczycie swoim staje się dopiero mistycyzmem panteistycznym. Przykłady, które ci teraz przytoczę, będą uzupełnieniem tych pieśni, które położyłem ci na początku listu tego.

Słuchaj, co śpiewa Hafis, naczelnik Samtego, pierwszego orszaku wieszczów.

„Płyną z nieba słodkie wonie, tulą duszę lube rajske tchy! Gdy w jaśni górnej tonę okiem, ekliwo mi na świecie tym! Duszo moja! roztoz skrzydła twoje. Uleć, uleć na rajske jasne szczyty! Biada, biada ci! W koło ciebie kraty, w koło ziemskiego jęstwa szranki!

Ale nie — nie chcę skarżyć się, nie chcę żalić się. Nie chcę lecieć na rajske jasne szczyty; nie chcę, choćby pękły kraty, choćby padły ziemskie szranki!

Bo co piękne, co kochane, co drogie sercu, jedynie kwitnie na samj ziemi těj! Owe rajske, jasne szczyty, zwierciadła tylko cienie blade ziemskich rozkoszy, i dla tego ci tak tęskno do jasnych niebios szczytów! Choć cię wabi próżnia głucha, choć cię ludzi bezdeń cicha, ona niegodna i zmiętego listka róży!

Po grodzie nieskończonych światów gospodarzy myśl, nieznająca granic, nieznająca więzów myśl! Ona wysokości zawrotne i przepaści bezdenne zwiedziła skrzydłem lotném, a puszcza się na wyścigi z wichrami wszystkich burz.

Lecz biada jēj! Harda myśl jękla niepokojem cierpień pełnym; ona walczy sama z sobą — ona chora! Biedna myśl! Ona czuje, że dla niěj tak głuchy, tak próżny ten wielki świat! Ona tēz nie zdoła znaleźć spoczynku! Biedna myśl! A miłości tak lubo, tak miło w komnatce małēj!“

Jednak podobno więcej, niż te wszystkie próbki, świadczy za naszym zdaniem co następuje:

Niechaj pierzchnie jaźń i siła jēj,

Miłość włada — precz jaźni samolubna!

Ulatuj ze mnie, gdy błyśnie miłości oko!

Najcudniejszą pięknoscią jest istota twoja, gdy rozplynie w uczuciu
[bez granic!]

Jakże smętny, jak i ponury jest przepych jaźni hardy!

Niechaj się w popioły spali serce miłości ujęte!

Niechaj je wiatry rozwieją!

Zwiastując w obec świata, jak wielką jest miłości potęga!

Gdy na wstępie do ostatniego listu położyłem ci pieśń Altara, należącego do drugiego grona wieszczów, zatem wystarczy, jeżeli uzupełnię ci rzecz krótkimi wyimkami z Czeladina Rumi, gdyż on najwyższym poetą mistycyzmu panteistycznego, co rozwiany jest od brzegów świętego Gangesu aż do Bosforu. Pieśni Czeladina nastroszone do dźwięku wszechświata, do tonu, którym gwiazdy obiegają słońce i grzmia mórz bałwany, a szepcze owadek błyszczący w porze miłości swojej. Rozpiąwszy gorące loty fantazyi, wieszcz uderza niemi jakby akkordem pełnym, unosi się do wysokości wiekuistych, a pędzi go a wiedzie przez nieskończoność burza uczuć i pożar gorącej duszy. Przecież i na wysokościach nadgwiazdnych, kędy mu znika świat i doczesności życie, kędy tylko wieszcz widzi nieskończoność bezdeni — pieśń jego pełna majestatu i dziwnego uroku.

Nie pytaj co miłość, co być kochanym, nie pytaj;
Nie poznasz tajemnicy, gdy nie przemówi do ciebie miłość sama.

Gdy słońce błysnie w ziemskie ciemnice,
Powiedz — czém kagańca płomyk biedny?
Gdy w obec ciebie stanie przyjaciel Bóg, coś go kochał sercem rzewnym,
Powiedz, na co tobie posłańca od niego!

O duszo moja zamieszkuj w duszy Bożej,
Duszo moja, czyliż bez ojcowizny nie tęskno, nie kliwo ci?

W nurtach trosk dopija się miłość szczęśliwości wina!

Znasz ty powód świata stworzenia!
Z miłości pojawił się w nicestwie Bóg!

Gdy dusza cofnie się z duszy;
Dusza będzie martwą jak bez duszy ciało!

Tajemnic tysiące pojawiają się w duchu,
Których nie dowidzi oko, nie dosłyszysz ucho.

Był gęslarz wiekiem znękany, troską zbiedzony. Nie stało zarobku — chleba zabrakło biednemu. I wziął lutnię, a sercem miodlitwą wezbranem westchnął. Szedł i szedł na cichy, święty ementarz Medyny. Przemówił ze łzami: „Tu usłyszysz moje granie Bóg! Allah! niechaj ci będzie wdzięczne moje brzdąkanie biedne!“ Długo, długo brzmiały struny jego — on płacze — pada na lutnię — i, zasnął; boleść przyniosła mu sen. W tej chwili zapomniał, że go jeszcze więzi ziemskie jęctwo. Wyszwolecił na wolność grajka sen — wyswobodził na wolność śpiewaka, wyswobodził i lutnię jego.

Wyzwolony był od ciała, wyzwolony od pełnego bólesci świata! W duchów krainie wyrosły skrzydła duszy jego. Więc z radością zaśpiewał: „O! na tych niwach rozkoszy, pozwólcie bym został, o przyjaciele moi! bym pozostał na wieki — na wieki! Jakże byłbym szczęśliw na tym nieskończonej wiosny świecie, upojony wę-

selem, na róż i tulipanów łonie! Wędrowcem byłbym bez stóp, bez skrzydeł; tu bez ust spełniałbym najwyższych uciech kielich! z myślą wolną od trosk, z sercem wolnym od mąk bawiłbym się z niebian jasnym gronem. Okiem zamkniętym widziałbym światy! Bez rąk zbierałbym róż i tulipanów zwoje, jako wodny ptak nurzyłbym się w słodyczy morzu; w źródłu Hiobowym splukałbym duszy skazy!

Taniec derwiszów.

(*Tamburyny bębnią.*)

Jam bóstwa ptak! — *Bakrabaku!* (tamburyny).

Odurzony jedności winem! — *Bakrabaku,*

Jam drogą zbawienia i modlitwą i psalterzem, *Bakrabaku!*

Ja tajemnic głębie znam, *Bakrabaku!*

Ja jestem wiekuistym losem, i upojonym słowikiem — bębnię *Bakrabaku!*

Choć od ludzi zrodzony, od wieków treścią modłów jestem, — *Bakrabaku!*

Ja jestem chorobą i lekiem!

Ja jestem wszechświatów źródłem! jam mędrce na drodze i szaleństw wąż-
[kiem, *Bakrabaku!*

Ja proszkim w słońcu jestem! *Bakrabaku!*

Ja nie jestem mną, ja we własnym ciele nie jestem mną, *Bakrabaku!*

Ja jestem szachem i żebrakiem, księżycem i niebem, ja środkiem i celem, *Ba-
[krabaku!*

Ja jestem płomieniem i lampą, jestem i kołując niebem, światłem i błę-
[skiem; ja i porankiem i wieczorem jestem, *Bakrabaku!*

Ja słońcem wiary, ja jestem pewnością zaprawdę! Jam niewiarą i wiarą,
[a bębnię, *Bakrabaku!*

Dość tych przykładów. — Mniemam, że nikt tej poezji mistycznej nie odmówi ogromnej, przepaścistej głębi, a formy cudownej. O ile zaś treść jej ma w sobie śmiertelny zaród błędu, toć zlekka już wykazałem na innym miejscu, mówiąc o panteizmie mistycznym islamickiego Wschodu, którego właśnie ta poezja jest wykwitem najwyższym. Jakoż gdyśmy rozprawiali o poezji arabskiej, widzieliśmy, że ta fantazja islamickich ludów, rodząc się z wyłącznej, osobistej treści człowieka, lekce sobie waży prawa obowiązujące świat zewnętrzny i prawdy, opierające się na samej istocie przedmiotów, i dla tego nigdy nie była zdolną do stworzenia dramatu. Dramatu nie miała poezja arabska, i perska także mieć go nie mogła, bo ta, choć rozwinięta we formy tak różne a czarodziejskiej piękności, wybijała przecież tak silnie panteizmem, który właśnie wszelką osobowość ulatnia, który wszystko zlewa w jedną nieskończoną, a tём samém jest wręcz przeciwny figurom dramatycznym, opartym na sobie i na własnej treści wewnętrznej, osobowej.

Z téjże przyczyny znać, że i malarstwo i rzeźba nie mogły być sztuką odpowiednią tej fantazji mahometańskich ludów. Widząc obraz malowany, islamita odwraca się od niego ze wstrętem, wyrzucając malarzowi, że uczynił ciało, nie mogąc mu nadać życia!

Inaczej z architekturą. Tutaj nie występuje już osobowość na sobie oparta, tutaj najcichsze duszy dźwięki i głosy grzmiące we wnętrzu człowieka występują na zewnątrz, tężąc w budowaniu, szepcząc linią lekką, misterną, swawoląc arabeskiem, uderzając potęgą swoich kolumn i wznosząc się łukiem śmiałym, misternym. W architekturze też islamici, a mianowicie Arabowie wyrobili sobie styl osobny, właściwy.

Rozumiem teraz, że pojmowanie nasze fantazyi mahometańskich ludów dostatecznie się już wyjaśniło przykładami z poezyi Persów i Arabów; dla tego poezye turecką pominąć mogę, a to tém więcej, że ona jest ich corą a naśladownicą wdzięczną; trudno mi atoli opuścić świat fantazyi islamickiej, by choć okiem nie rzucić na tę jego architekturę tak fantastyczną, butną, igrającą tak swawolnie, a przecież tak lubo i wdzięcznie.

Wiesz już, jak w duchu mahometanina dwa światy wręcz sobie przeciwne, dwie sprzeczności odwrotne graniczą z sobą, nie przejmując się atoli nigdy organiczném życiem; tutaj proza rozsądkowa myśli, liczy i mierzy obok tanów szałem opojonej fantazyi; tu zręczenie się mistyków, tęskniące do światów nadgwiezdnych, obok wesołości hulającej z lekkim sercem po ogrodach ziemskiej rozkoszy; tutaj gnuśność leniwa, tonąca w beczynnych marzeniach obok gwałtownych mocy, co porywają wojownika w dal nieznana na podbój świata. Tutaj, mimo ścisłych przepisów wiary, dusza człowieka z całym tłumem swoich uczuć, żądz, pragnień i marzeń znajduje nieskończone dla siebie pole; tutaj Koran sięga po tradycje do Pisma Świętego, a to podanie, tak prostoty pełne, tak poważne, ubiera w błyszczące szaty rozpalonej fantazyi; tu wieszcz Ferdusi kronikę, historję swojego ludu i macedońskich bohaterów oświeca płomieniem bengalskim swojej poezyi, a tak puszcza je, niby widział fantazyjne latarni magicznej, przed zdumione oczy czytelnika. Podobna też jest cecha mahometańskiej architektury. A widzimy tę cechę nawet w meczetach, więc w architekturze religijnej, a przeto w tym rodzaju budownictwa, który, będąc najwyższym ze wszystkich, jest właśnie najdzielniejszym środkiem do rozwoju właściwego stylu w każdym narodzie. Wszak i tutaj duch islamizmu nie mógł się wyrzec swojej istoty butnej, lśniącej czarodziejstwem. I tutaj znajdujemy te dwie sprzeczności, te dwie ostateczności, które, jakby niewidoma nić, przechodzą przez żywot mahometańskich ludów. Pierwiastkiem prozaicznym, rozsądkowym są w budowaniu meczetu różne jego części przeznaczone do różnych obrządków religijnych; te części objęte też są wyraźnemi prawidłami. Podobnie atoli jak obowiązki przepisane przez Koran, owe modlitwy, posty i jałmużny nie tamują swobody nieskończonej, która podlega płomienne namiętności wyznawców jego, tak też owe zimne przepisy i prawidła do budowania meczetów są jedynie ogniskiem prozaicznym, około którego puszcza się lekkoducha, wolnoskrzydła fantazyja, stwarzając

bajeczne, czarnoksiężkie budowania swoje. I zważ, te przepisy tém mniej tamują polot zuchwałej, twórczej wyobraźni, że lubo one oznaczają części meczetu, nie podają jednak prawideł, wedle których te części winny być obok siebie umieszczone. Ztąd też kształt tych bożnic to przypomina stare bazyliki chrześcijańskie, to znów zakrawa na bizantyńskie budowanie, to wreszcie mieni się w inne formy; i dla tego też właśnie mahometanizm, podbiwszy świat z taką łatwością, przyswoił sobie świątnice ludów zupełnie różnej wiary (*), i dla tego także właśnie w meczetach, z umysłu stawianych, daremniebys nawet śledził środka, ogniska architektonicznego, do któregoby się odnosiły wszystkie te części budynku, któreby imало i zbierało je wszystkie w jedność i całość; tego silnego wskrós przenikającego ogniska nie ma meczet, jak go nie ma wiara Mahometa, jak go nie ma Szachname. Tutaj kopuły, nawy, nisze, dziedzińce, wodotryski, kolumny, arkady, przysionki zbiegły się z sobą bez koniecznego związku. Przechadzając się po meczecie nie spostrzeżłbyś braku, gdyby znienacka jedną z tych części uniósł czarodziej, który je postawił. A gdy właśnie fantazyja architektoniczna nie czuje tu prawideł wiążących, przeto cała wylewa się powodzią ornamentów, ona cała staje się dekoracją. Ta architektura jest strojnica wykwinną, pełną ozdób, krygów i fioszków zalotnych, ale strojnicą wybornego smaku, gracji lekkiej, cudnej.

Jako atoli zadanie i przepisy nie kępują fantazyi, téj pięknej, ognistej i płochéj córy pustyni arabskiej, tak też nie ściskają jéj względy na estetykę i prawidła mechaniki. Ciężkość, bezwładność materji, jéj nieużytość a uporne dążenie ku ziemi — to żarty, to fraszki dla téj fantazyi; i słusznie powiedziano, że onaby rada budować się na obłokach, stawiać minarety swoje w powietrzu a z promieni słonecznych splatać sobie kopuły.

Gdy w architekturze starego Egiptu znać ciężkie brzemie granitów, ciskące tak poważnie i uroczysto na podpory swoje; gdy w Grecyi, jak obaczymy później, ciężące massy a siły dźwigające najcudniejszą są nawzajem do siebie zastosowane i zestrojone pełną wdzięku harmonią, a ten zestrój wyraża się jawnie we formach architektonicznych; w islamickiem budowaniu na to właśnie sady się sztuka, aby ukryć, schować prawa materji, aby odjąć jéj ciężkość, brzemie, i tak omajaczyć widza czarodziejstwem. Słowem, jak bajeczka czarnoksiężka, arabska, drwi sobie i żarciki stroi z praw ogólnych przyrody, tak architektura, jéj odpowiednia, drwi sobie ze wszelkich ustaw statyki i mechaniki. Gdy w staréj Grecyi wiele zależy na tém, aby części, członki architektoniczne, zrodzone samą już przez się potrzebą techniczną, wystąpiły wyraźnie na zewnątrz

(*) Porównaj np. dzieła Ramée, Kunglera Historję sztuki, mianowicie Schnaasego Historję sztuki T. III, do str. 328.

i stały się zarazem strojem i ozdobą budynku; islamska fantazyja, jakby ją wstyd było słuchać prawideł technicznych, maskuje architektoniczne części i swawoli sobie z niemi, drażni się z techniką, udając, że ją sobie lekce waży. O przykłady nie trudno.

Przypatrz się łukowi maurytańskiemu, co wznosząc się w kształcie „podkowy“ wyraźnie sobie drwi z ciężenia materji. Narysuj sobie koło, odetnij z niego małą część, co zostanie, niby ta większa część, jest maurytańskim łukiem. Widzisz jak tutaj oba końce łuku, spoczywające na podporach swoich, zamiast od razu, jak to zwykle bywa, dążyć do połączenia się u góry, wbrew temu naturalnemu prawu z początku wznosząc się oddalają się od siebie, rozchodzą się, a tak swawolą sobie i żartują z brzemienia, które dźwigają, a dopiero później, jakby sprężyna wygięta, strzelają ku sobie, znienacka się imając i wiążąc. Te arabeski, to są figle genialne, których nazwa sama przypomina ich pochodzenie od tej fantazyi, co igra pracując, a pracuje igrając. Patrz, jak te linie biegną wstęgami, jak się łamią, rzucają, splatają z sobą, potem się nawzajem puszczając, zradzają figury geometryczne, jakby przez maga kreślone. Tu utworzyły wielokąt, odleciały od siebie, niby gniewając się na siebie; ale zalotnice znów się dopadły, i, obiegłszy gwiazdkę, znów od siebie uciekają; w tym zaś szale zamętym swoich tanów mają przecież tyle przytomności, że unikają kąta prostego i przekątni, a w tym niby nieładzie swoim przypadkowym mają wyrachowanie misterne, więc też rysują wzorki niestychanego wdzięku. Te linie swawolne, figlarne, strojące sztuczki i psotki, one iście są łamigłówką dla myśli, coby je chciała odgadnąć; i słusznie też twierdzą estetycy, że te arabeski czy to prostokreślne, czyli kulistą drogą bieżące, mogły się tylko zrodzić w dowcipie misternym, wyćwiczonym na algebrze, a subtelnej filozofii grecko-arabskiej. A dodaj do tej gry linii znowu kombinacye ich barwy, gdy zabłysną to purpurą, to błękitem, śnieżną bielą lub złotem, czy fioletem, a przyznasz, że tutaj na jaw wypływa ona dwoistość duchowa, jako obok brojącej, bezuzdnej, kapryśnej fantazyi stanął rachunek matematyki, co różne myśli wiąże i kombinuje (*).

Rozumie się, im wyżej stańło chwałą życie islamu, tém pełniej rozwinęła się ta cecha jego fantazyi w architekturze; tak odbywszy to budowanie jakby młodsze epoki swoje w Azji i Afryce, nakoniec roz tuliło się całym przepyschem w Hiszpanii, a mianowicie w Grenadzie. Tutaj ta fantazyja dosięgła własnego szczytu swojego i jako czarnoksiężnica zbudowała Alhambrę, to złociste gniazdo swoje. Jak powieść z tysiąca nocy i jedna, świecą tutaj te pałace maurytańskich królów i zagrzewają serce sprożaczniałej Europy, jakby śpiewką rusałek z dawnych lat. Wśród krzewów mirtowych i róż, wśród

(*) Schnaase l. c. 331.

tchu cytrynowych i pomarańczowych drzew, wśród ziemskiego rajy natury stanęła Alhambra, jakby poezyi klejnot, a ciągle, ciągle żyje ta jej poezya w podaniach, w powieściach gminnych, co, jako kwiaty przeszłości, świecą i wonią niby mirtów krzewiny, niby cytryn i laurów gaje; te podania pną się, jako stubarwny powój, po ścianach, po kolumnach, po stropach złocistych, i płyną, i mówią i szepczą, niby śpiewy ukrytej miłośnicy, cudnej, uroczej. Boć tutaj i życie było niegdyś poezją rozkoszną, tu brzmiały maurytańskich i chrześcijańskich rycerzy turnieje, w obec ogniokich piękności wschodnich; tu marzeniem rozplywała myśl rycerzy po wojennej chwale i czynach wielkich. Teraz wszystko ucichło; niekiedy tylko słychać skrzydółko jaskółki, co pilnuje pałaców starych, jakby czekając dawnych gospodarzy, słychać strugę srebrną wodotrysku, co szepcze z cicha, tęsknie jak przed starymi laty. Przewodnik w sukniach żebraczych a z powagą granda pokazuje na posadzce ślady krwi; to krew wymordowanych Abenceragów, a było ich trzydziestu sześciu, a wymordował ich Boabdil okrutnik, co i zazdrość srogą zwrócił przeciw sułtance o urokach cudownych; więc też pokazują ci technące rozkoszą mieszkanie niegdyś Zoraidy i prawią ci jako rycerze chrześcijańscy walczyli na ostre, świadectwo dając o niewinności sułtanki; jak oszczercy krzywdę opłacili krwią i życiem, jak ona sama rozpaczą zdjęta utopiła pugnał w piersiach śnieżnych (*). I pięknie też i do twarzy tej architekturze w tym uroku powieści dawnych, co ją niby powiewy wieczorne, niby rumieńce zachodu otulają w koło. Tonąc myślą w tym świecie dziś umarłym, znajdziesz jakby komentarz do niego w kształtach tej architektury. Tu biegną kolumny jaspisowe, cienkie, lekkie, eteryczne, niby kwiatu łodyga — tu wyrosła jedna kolumna, tam łączy się z drugą, a one podtrzymują ściany jakby dekoracya, jakby kobierce haftowane w prześliczne wzory. Tam znów fantastyczne sklepienie łamie się we formy dziwne, a u sklepienia niby stalaktyty wieszają się sople dziwnie wyrabiane, rzeźbione; ondzie znów ściana na wylot dziergana w koronkę, a przez koronkę z kamienia świeci jasny nieba błękit. Zewsząd grają z czarodziejską barwy jasne, świeciście i zestrzają się z pożąłota bogatą; kopuły wiążą się dziwną tkanką i awanturują się w niewidzialne nigdy kształty; miejsce gzymsów zajęły napisy poetyczne, a litery ich splatają się wdzięcznie z arabeską kapryśną, jak obrazki w powieści zmieniają się kolumn kapitele, a korytarze, a świetlice, a sale zalane wiecznie mieniącém się światłem, a przecież tak lubém i har-

(*) Alhambrę a przedewszystkiém legendy do niej przywiązane opisał pięknie W. Irving.

(Washington Irving, pisarz amerykański, ur. 1783 um. 1859 r. Dzieło o Alhambrze wydał w roku 1832. Z pomiędzy nowszych opisów Alhambry zasługują na szczególną uwagę: Gosche, Die Alhambra, 1854, oraz odpowiedni rozdział w Historii Architektury Lübkego. — St.)

monii pełném. Zaiste, tutaj niby uleciały wszelkie względy na konstrukcyą, na moc, na istotę ziemską materyi; tu nie ma ogniska wspólnego, całości organicznej, tu pierzchły pedantyczne reguły rozsądkowe, tu fantazyja igra, bawi się i figluje, a przecież tu harmonia uczuć wszędzie rozlana; fantastyczność rozmaitości pełna nie razi, nie jaskrawi się, jest-to taniec swawolny, figlarny geniuszków lubych.

Jeżeli się znajdziesz w jakiejś świetnej europejskiej stolicy na operze czarnoksiężkiej, patrzysz w koło siebie i w górę i w dal; stupłomienne świeczniki potopem jasności zalewają salę; u góry i u dołu, z prawej i z lewej, zasiadły grona strojnych pięknych dam, i cały elegancki świat, co zostawił na chwilę te kwaski żywota i szczypliwe kłopotki w domu, a tu jak może pojawia się z twarzą bezchmurną i postawą świąteczną. A gdy muzyki zdroje wytrysną potokiem, gdy uwertura mistrzowskiej kompozycji zaleje budynek, gdy jęj fale spłyną z falami światła i ozdób świecistych, malowanych bogatą sali, gdy skąpią tłumy widzów nurtem eterycznym; wtedy do reszty z nich zabiorą biedki, spluczą kurzawy domowe; a dopiero gdy z nagła podleci kortyna i postawi cię wśród czarodziejskiego świata, to zabłyśnie budowanie przez duchów stawiane, a w koło ogrody cudowne, w kwiatach kołyszą się śpiące, zakłète królowny; spuszcza się z obłoków całe niebo zaludnione hurysek wdzięcznych ludkiem, a rycerze i cuda, tańce i śpiewy, i barwy i stroje i muzyka tak otumania duszę, tak napojem zawrotnym zmysły odurza, że nie możesz dać rady sobie, że się trudno upamiętać i pochwycić w nawale tych wrażeń; dopiero gdy znajdziesz się znowu w czterech ścianach domu twojego, kędy szaro a prozaicznie, gdy tłum rzeczy powszednich drwi, wydrzeżnia i żartuje sobie z uludy twojej, wtedy się zdaje snem ta opera i te widziadła skoczne, te śmiechy i barwy i cuda i dziwy! Takież uczucie nas przejmując, gdy złożywszy plany, rysunki, wizerunki Alhambry, kończymy rzecz z tym światem Wschodnim i z tym tłumem dziwnych jego gadek, a nawracamy do powszednich, codziennych zatrudnień.

D o p i s e k.

Czasem i dobrze gdy wędrowiec, przebywszy jakąś część drogi swojej, zatrzyma się, spocznie i spojrzy myślą wstecz za siebie, by sam przed sobą zdał sprawę, o ile w tej podróży swojej zdołał odpowiedzieć celowi, który sobie zamierzał wybierając się z domu w świat. Takowe bowiem policzenie się z sobą zradza mu dwojakie a nie lada korzyści; bo jeżeli się poczuwa do popełnionych błędów, już łatwiej na przyszłość uchronić się ich zdoła; jeżeli zaś spostrzeże, że zamie-

rzonęj pracy, ile sił swoich, sumiennie a uczciwie dokonywał, toć już uspokoiwszy się w sobie ze łżejszém sercem i z Bogiem ruszy w dalszą wędrówkę. Tak i mnie podobno przydać się może, jeżeli teraz porachuję się z treścią tych listów moich, dotychczas napisanych, i sam siebie zapytam, czylim się też uścił z zadania, wziętego na siebie? Bo widzisz, bracie mój, ja myślę, że w ocenieniu słuszném każdej pracy mniej chodzi o oznaczenie bezwzględnej jęj wartości, jak raczej o to, aby ją porównać z nią samą, więc z myślą główną, z której wzięła zawiazek swój, a zatém z celem, który swęj książkę położył sam piszący.

Tak tedy nasuwa się przedewszystkiém pytanie, czylim rzeczywiście w tych powyższych listach moich wywiązał się z zamiaru wyrażonego w owym pierwszym, wstępnym liście moim? A mianowicie czyli ta praca rzeczywiście odpowiada dzisiejszemu stanowisku nauki, czyli na prawdę jest choć nie obrazem, tedy przynajmniej odbiciem się pojęć filozoficznych o estetyce, ustalonych już w świecie umiętnym? Powtóre, czyli sposób wykładu jest właśnie zastosowany do czytelnika, który, lubo rad poznać się z tēm wszystkiém co rośnie i kwitnie w dziedzinie współczesnej nam umiętności, zajęty atoli będąc odrębném powołaniem, nie ma ani swobody, ani sposobności po temu aby się sam pracowicie rozpatrywał we wszystkich pojawach umysłowych? Słowem, czyli te listy moje są zastosowane do ciebie, jako do czytelnika, który, wykształciwszy się wielostronnie, nie masz atoli, jak powiadasz, pretensyi liczenia się do ludzi uczonych z powołania — i pragniesz, czytając książkę, znaleźć nie mozoł dla siebie, ale folgę i rozerwanie umysłu po zatrudnieniach powszednich?

Czylim zaś zadość uczynił obydwóm tym warunkom, nie mam żadnej pewności, wiem tylko, że ile mnie stać było, pragnąłem dokonać tego dwoistego mego zadania.

Nie litowałem pracy, ani trudu aby te listy były iście odgłosem współczesnej nam literatury; obeznałem się z pracami najcelniejszych pisarzy o sztuce, ze wszystkimi nowszemi dobyt看kami w różnych gałęziach wiedzy, będącemi w jakimś stosunku do treści tych listów; korzystałem tedy ze wszystkich zasobów literatury powszechnej, o ile takowe były mi przystępne; nadto, obróciłem na użytek własny wszystko, co mi nastreczyły ustne rozmowy z artystami i znawcami sztuki, lub własne zapatrywanie się na arcydzieła piękności.

Zrozumiesz atoli, że lubo mam we czci należnej znakomite powagi, przecież wypadało je o tyle jedynie uwzględnić, o ile się zgadzały z własną myślą moją zasadniczą, więc ze stanowiskiem mojem filozoficzném, z którego się zapatruję na sprawę sztuki pięknej. A mając ciągle na baczności, że listy moje nie są bynajmniej przeznaczone dla czytelnika, będącego z powołania uczonym, przywodzę głównie tylko te dzieła, które wedle mnie najwięcej się nadają do

oznajomienia młodych lubowników z ogólnym rysem sztuki i jej historii (*). A jak pewien jestem, że człowiek uczony, który się dorobił głębszej znajomości estetyki, nie wiele dowie się z tych listów moich, tak znowu mam nadzieję, że czytelnik, za jakiego ty siebie uważasz, nie bez użytku przebiegnie tę pracę moją. Bo rozumiem, że forma jej nie jest przytłaczająca, ani też nieprzystępna dla głowy, mającej ogólne wykształcenie. Ztąd pozwalałem sobie nieograniczonej swobody pod względem formy i trybu całego wykładu, dając tokowi rzeczy własne indywidualne piętno i barwę swoją, a to tém bardziej, żem się i pod względem treści tych listów nie czynił bezwarunkowym naśladowcą obcych prac i myśli, żem nie tracił zgoła swojej niezawisłości, żem wcale nie był przerabiaczem cudzych zdań i poglądów. Może więc czytając te listy znajdziesz rzeczywiście jakieś rozerwania i odpocznienie umysłowe. Spodziewam się zaś zaś tego tém śmielej, że sam kreśląc je doznaję w tém zajęciu folgi i ochłody po codziennem poważniejszym zatrudnieniu. Niech ciebie tedy nie dziwi, że tu i owdzie dotykam się może za lekko przedmiotów ogromnej treści, i że tak często puszczam pióro dokąd je usposobienie chwilowe poniesie. Jeżeli to nie dobrze, mniejsza moja w tém wina, bo korzystam z dozwolonej mi formy listów, tak wielce w tym względzie dla mnie dogodnej, a nadto życzliwe przyjęcie pierwszego ich tomu dodało mi otuchy, bym i w dalszym ciągu tej pracy nie kępował się ściśle przedmiotem, ale kreślił niekiedy co mi doba na serce lub na myśl przyniesie.

Co do drugiego wydania pierwszego tomu (**), mało tam miejsc odmiennych, mniej jeszcze wyrzuconych, ale za to wiele dodanych. Pomnożyłem bowiem ów tom niektórymi ustępami, które wedle pierwotnego założenia mojego miały być dopiero objęte w następnym ciągu rzeczy, a które po późniejszym rozmyśle stosowniejsze znalazły miejsce w pierwszym tomie. Co się zaś tyczy ustępów odmienionych lub opuszczonych, wyznaję, że te są głównie takowe, które się do polemiki literackiej odnosiły. A lubo mam przekonanie, żem w tych naukowych sporach nie ubliżył nikomu, bom sobie samemu nie chciałem ubliżyć, przecież myślę, że od tych ostatnich lat dwunastu wiele się w piśmiennictwie polskim zmieniło! Dziś podobno nastał czas, w którym wszystko rodzące się z miłością przytulić wypada, w którym każdy człowiek poczciwy chucha na to wszystko, co się kluje i rozwija, cieszy się każdym kielkiem, z którego się kwiatu lub owocu

(*) Niekiedy zniewolony jestem przywozić własną książkę „Wykład systematyczny filozofii”; powodem tego naturalnym jest właśnie to, iż książka ta równie jak i listy niniejsze są wpływem jednego i tegoż samego stanowiska filozoficznego, że cały mój pogląd na sztukę piękną jest wprost wypadkiem tych zasad ogólnych, które wyłożyłem w owym dziele systematycznym i ściśle umięjętnem.

(**) Jest tu mowa o pierwszych dziesięciu listach, które stanowiły I-szy tom dawnego wydania i wyszły po raz drugi w r. 1855. — St.

spodziewać może; a co więcej, dziś mało by się kto znalazł, co by go można godnie na krześle sędziowskiem literatury posadzić, choć jest natłok taki co sami się na nim radzi sadowią; lecz ja ani do pierwszych, ani do drugich nie należę. A z resztą, co przyszło literaturze z owych krytyk jakie najczęściej pojawiają się u nas? one jeszcze nikogo nie nauczyły, nikt im się poddać nie chce. Kwasy, gniewy, zawiści zjadliwe, a często bardzo kłótnie i niegrzeczności wzajemne są najczęściej całą korzyścią, całym ich owocem. Na widok tych boksów smuć się ludzie pocziwi, śmieje się gawiedź. Źli się cieszą, a diabeł swoje broi. Dla tego też zamiast ujmować zasługi moim współpracownikom w tej winnicy Pańskiej, wolę witać serdecznie i życzliwie każde usiłowanie i radować się tem co dobre i piękne, gdzie tylko je znajdę, przebacząc już słabostkom, które przecież w każdym ludzkim usiłowaniu pojawić się muszą. Niechaj kto chce zajmuje się chwastkami i osetem, jeżeli mu ta strawa tak po sercu, niechby nam tylko nie wśliznęli w szkodę, jak to często bywa, i nie trawiali uczciwego zasiewu na tej roli, tak bolesnym a krwawym skropionym znojem.

Żal mi tylko żem w ciągu tych listów nie miał dość sposobności wspomnienia jeszcze o tych wszystkich pisarzach i artystach naszych, co urosli na radość nam i chwałę, a zaprawdę niemała jest ich liczba. Żal mi tego, ale to dla mnie, nie dla nich; bo mnie pominęła pora tak miła dogodzenia uczuciom moim, dla nich zaś te wspominki moje może były obojętne. Bo jak najhałaśliwsze wychwały nie zdołają ochronić od zapomnienia dzieła, co się już umarło na świat zrodziło, tak też nagany niesprawiedliwe, kłamliwe i czernidła, zwykłe z lichęj głowy lub krzywego serca się legnące, nie dokażą swego, i, jak każde złe, rozbijają się o mękę Bożą.

Nie mniemaj atoli, że ja o tem wszystkiem dla tego tak prawię, że myślę jakoby w tych listach moich nie było licznych uchybień a ważnych pomyłek. Każdy pisarz najlepiej podobno zna co nie dostaje pracy jego, a zwykle już bardzo jasno postrzega błędy i usterki w niejakim czasie po wydaniu jej na świat. Więc ja jeden nie mogę być wyjątkiem, i źleby już ze mną było, gdyby mi przyszło na takie zuchwałe a śmieszne zarożumienie. Bo mam to przekonanie, że autor uważający swe dzieło za doskonałe ma słusność, ale co do siebie tylko, bo dowodzi, że on sam już nic doskonalszego stworzyć nie zdoła, że się już zatrzymał na równi z książką swoją; ale nie ma słusności co do przedmiotu samego, bo on będzie rósł i rósł jak wszystko co ludzkie, jak wszystko co duchowe. Jeżeli taki pisarz zarożumiał jest jeszcze młodym, tedy z niego nie będzie pociechy, bo już nie urośnie; jeżeli starszym, wtedy znać, że już z pola zchodzi. Zważ tedy, jakieby to było strapienie dla mnie, gdybym już nie mógł spostrzedz niedostatków w pracy mojej! Lecz gdy ich się sam już dopatruję, jakże tu wymagać po innych, aby takowych nie widzieli! Prawda! ale każdy autor ma prawo do spra-

wiedliwego sądu, ma prawo aby go przedewszystkiem ocenił i zważył „sąd parów“ czyli sąd ludzi, którzy, na podobném pracując polu, znają już wszystkie téj pracy kolce. Nadto jeszcze każdy autor ma prawo tuszyć sobie, że trud jego życzliwie, serdecznie przyjęty będzie, i dla tego wdzięczny ci jestem, jeżeliś sobie nie przykrzył czytając dotychczas napisane listy moje, a zarazem proszę, abyś się z równie życzliwém sercem zabrał do następnych.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

TREŚĆ LISTÓW

ZAWARTYCH W PIERWSZYM TOMIE.

CZEŚĆ PIERWSZA.

WSTĘPNE ZASADY ESTETYKI.

LIST PIERWSZY.

Wstęp.

Oznaczenie treści listów. — Stanowisko całej osnowy. — Usprawiedliwienie formy. — Str. 1.

LIST DRUGI.

Ogólny widok na sztukę.

Stosunek dzisiejszego społeczeństwa do potęg natury. — Zjawiska nam współczesne, dowodzące budzącej się miłości do sztuki. — Zasmakowanie w sztukach pięknych jest oznaką uduchownienia się czasu. — Sztuka ma cel swój sama w sobie. — Sztuka jest ogniwem, łączącym świat duchowy z cielesnym. — Historia sztuki jest obrazem rozwijania się duchowej potęgi ludzkiego rodu. — W świecie chrześcijańskim sztuka straciła wagę swoją. — Str. 6.

LIST TRZECI.

O prawidłach i ustawach w sztuce.

Rozmaitość pierwiastków duchowych i ich walka stwarza doskonałość. — Różne zdania co do samej drogi prowadzącej do pię-

kności. — Czas głuchy w sobie i bez treści wierzy w same jedynie prawidła. — Prawidła stojące li na wzorach piękności. — Tow. Przyjaciół Nauk Warsz. w r. 1812. — Prawidła opierające się na abstrakcyjnem rozumowaniu z pomijaniem wzorów. — Natchnienie. — Str. 19.

LIST CZWARTY.

Sztuka nie jest naśladowaniem natury.

Panowanie świata materyalnego nad duchem. — Sztuka nie jest kopiowaniem natury. — Wielkie dzieła natury; Tatry. — Stosunek rzetelny sztuki do natury. — Dwa pierwiastki koniecznie objęte w każdym dziele sztuki. — Różnica między dziełami prawdziwemi sztuki a dziełem będącym naśladowaniem natury. — Wrażenie jakie te ostatnie na nas czynią. — Zofiówka, — figury woskowe, udawanie zwierząt. — Wyznanie, iż sztuka ma prawo przebiegania w dziełach sztuki. — Natura w swych najwyższych pięknościach jest ukryta dla sztuki. — Przykłady. — Przestrzeń niebios. — Puszczę pierwotne i ich cuda. — Natura przedpotopowa. — Piękność natury i piękność sztuki. — Lubo sztuka nie może być naśladowaniem natury, przecież poznanie tej natury jest ogromnej wagi dla ducha człowieka.

Od chwili stania się Boga człowiekiem, materya i natura jest jedynie naczyniem duchowem. — Str. 28.

LIST PIĄTY.

Stosunek sztuki do zmysłów i do rozumu.

Powołanie zmysłów. — Wzrok i słuch są jedynie zmysłami będącemi w stosunku do sztuki pięknej. — Różnica ich od innych trzech zmysłów. — Przyjemność zmysłów nie jest celem sztuki. — Przeważanie strony zmysłowej w sztuce dowodzi jej poniżenia. — Czas malarzy Huet i Boucher. — Przecież bez zmysłów potęgi nie byłoby sztuki. — Wielkie znaczenie świata zmysłowego. — Skon. — Czasy poniewierania światem zmysłowym nie są dla sztuki przyjazne. — Pierwsze czasy chrześcijaństwa. — Symboliczność. — W sztuce nie wyraża się pojmowanie rozumowe. — Allegorye. — Shakspeare i Leonardo da Vinci. — Dzieła sztuki przed sądem zimnego rozumu. — Podział sztuki pięknej na różne jej rodzaje. — Str. 49.

LIST SZÓSTY.

Stosunek sztuki do uczuć.

Niezawisłość uczuć od woli naszej. — Uczucia nie mogą być prawidłem sądzenia o rzeczach, ani wskazówką postępowania naszego. —

Nie mogą tedy stanowić prawdy w sądzeniu o dziełach sztuki. — Uczucia są właściwym sądem w sprawach zupełnie osobistych. — Sztuka nie ma na celu wzbudzanie uczuć religijnych, ani moralnych. — Uczucie piękności czyli smak nie jest dostatecznym sędzią, ani twórcą dzieł sztuk pięknych. — Pojmowanie piękności przez Platona. — Właściwy okres dla smaku, w znaczeniu zwykłym uważany. — Smak estetyczny — Styl.

Chwile przemagających uczuć są zupełnie przeciwne sztuce. — Uczucia są atoli wyborną treścią dla sztuki. — Indyana pani Sand. — Stanowisko dzisiejszych romansów francuzkich. — Powołanie rzeczywiste piękności. — Harmonia rozumu i uczuć. — Str. 70.

LIST SIÓDMY.

Istota sztuki.

Różne rodzaje piękności. — Str. 95.

LIST ÓSMY.

Sztuka. — Wiara. — Filozofia.

Stosunek sztuki do religii, — do filozofii. — Zwyczajne zdanie o filozofii. — Uwłączanie rozumowi jest bluźnierstwem. — Zapatrywanie się mylnie na filozofię. — Jaroński i inni. — Rzut oka na treść listów poprzednich. — Badanie początku sztuk jest równie mylną jak niepotrzebną pracą. — Str. 111.

LIST DZIEWIĄTY.

O ideale.

Stosunek rzeczywistości do sztuki. — Przedmioty rzeczywistego świata nie mogą być żywcem przeniesione w świat sztuki. — Istota ideału. — Stosunek ideału do natury fizycznej. — Zkąd pochodzi szpetność pozorna niektórych jestestw natury. — Jestestwa pojedyncze, żyjące. — Okolica i pejzaże. — Pomniki historyczne. Sztuka i draperya. — Figury dramatyczne. — Obrazy hollenderskiej szkoły. — Adryan Brauwer i Jan Steen. — Stachowicz. — Paweł Kock. — Kraszewski. — Boz. — W wyższej sferze ideału rzeczywistość mniej jeszcze wystarczyć może. — Słowa Rafaela. — Zdanie Cyserona o Phidiasie. — Boleść bez granic nie ma miejsca w ideale. — Oedipus w Kolonos Sofoklesa. — Romeo. — Dwa obrazy Girodeta. — Zastosowanie rzeczy téj do komiczności. — Don Quixot. — Damy i Huzary, Poeta i Odludki Fredry. — Trzy sfery ideału. — Str. 128.

LIST DZIESIĄTY.

Świat właściwy dla ideału, Sytuacja, Kollizya, Działanie, Pathos — Charakter.

Stan społeczny stosowny do ideału. — Dzieje Polski. — Murdelion Kaczkowskiego. — Świat sielankowy. — Wiesław Brodzińskiego i starzy sielankarze polscy. — B. Zaleski, Pol. — Czasy bohaterskie Grecyi. — Wieki Romantyczne. — Cooper. — Walter-Skot. — Romanse morskie, powieści ukraińskie.

Działanie ideałów. — Sytuacja. — Panteony chrześcijańskie. — Indyje i Egipt. — Figury ze sytuacją spokojną. — Przykłady z rzeźby klasycznej i nowoczesnej. — Małgorzata we Faucie. — Julia Shakspeara. — Kollizya. — Powody, które wywołują kollizyę. — Powody przyrodzone. — Iphigenia, Hiob, Prometheus, Quasimodo. — Rebeka Walter-Skota; Ofelia. — Kollizya wywołana czynem. — Potęgi porywające człowieka do działania. — Przykład na tragedyi Romeo i Julia Shakspeara.

Złe. — Powody działania w sztuce. — Pathos. — Miłość. — Charakter. — Achilles. — Romeo. — Mohort Pola, Książę Radziwiłł Rzewuskiego i Chodźki; Kraszewski i Korzeniowski.

Pożegnanie czytelnika. — Str. 156.

LIST JEDENASTY.

Fantazya i bliższy jej rozbiór.

Wstęp. — Wspomnienia przeszłości nie są samém przypomnieniem. — Fantazya posagiem ducha ludzkiego. — Fantazya, mądrość, cnota. — Fantazya i rzeczywistość. — Fantazya jako czynność duchowa wszystkim ludziom wspólna. — Fantazya strojąca rzeczywistość. — Ale takowa fantazya nie jest jeszcze fantazyą artystyczną. — Warunki, aby być mistrzem i powołanie mistrza. — Walka mistrza z trudnością techniczną. — Henryk Stattler. — Jeżeli treść dzieła będzie pierwój w myśli poczęta niż forma, wtedy nie zrodzi się dzieło sztuki. — Rzeczywistość mogąca być treścią dla sztuki. — Allegorya nie jest dziełem prawdziwej fantazyi. — Chwila natchnienia jest chwilą rodzenia ideału. — Zdanie Platona. — Str. 187.

LIST DWUNASTY.

Fantazya i bliższy jej rozbiór.

(Ciąg dalszy.)

Kompozycja. — Natchnienie i kompozycja i w innych dziełach duchowych człowieka. — Ogólne zasady estetycznej kompozycji. —

Kompozycja charakterów. — Przykłady z Korzeniowskiego, Rzewuskiego, Kraszewskiego i Chodźki. — Dalsze uwagi nad kompozycją. — Powód częstych wad w kompozycyi i przykłady z malarstwa i muzyki. — Improwizacja. — Deotyina. — Talent i geniusz. — Powołanie geniuszu. — Stosunki jego do świata. — Rozmaitość fantazyi artystycznój. — Ztąd podział jej. — Treść listów następnych. — Str. 215.

CZĘŚĆ DRUGA.

DZIEJE ARTYSTYCZNEJ FANTAZJI.

LIST TRZYNASTY.

Historja Powszechna i Historja Fantazji.

Wstęp. — Opatrzność i dzieje ludzkie. — Znaczenie ludów, państw i okresów w historyi. — Ludzie historyczni. — Historja fantazyi i rozwój dziejów ludzkich. — Fantazja każdego ludu jest wyrazem jego treści wewnętrznej. — Szczyt historyi i poznawanie fantazyi u każdego ludu. — Różność ludów pod tym względem. — Stosunek natury materialnej do fantazyi ludów. — Wypływające ztąd różne epoki w historyi fantazyi. — O zadaniu listów następnych. — Str. 243.

I. FANTAZJA U LUDÓW WSCHODNICH.

LIST CZTERNASTY.

Chiny.

Wstęp. — Ulica Kantonu. — Malarz chiński. — Teatr. — Muzyka. — Komedia. — Nauki u Chińczyków. — Astronomia. — Wojskowość. — Brama tryumfalna. — Zabawy. — Budowa świątń. — Obrazy religijne. — Ogrody. — Brak treści wewnętrznej w człowieku. — Moralność. — Rodzina i państwo. — Formy zewnętrzne. — Dramat chiński. — Lira i powieść chińska. — Str. 267.

LIST PIĘTNASTY.

Indye.

Wstęp. — Natura Indyi. — Jej przewaga nad człowiekiem. — Kasty. — Pokutniki i pielgrzymki. — Gminna i artystyczna fantazja u Indów. — Bagawidgita. — Wnioski wypływające z tej pieśni. — Pojęcia religijne tłumaczą zjawiska zewnętrzne. — Panteizm in-

dyjski. — Mitologia. — Wypadkiem tego usposobienia jest fantazyja odpowiednia. — Cecha téj fantazyi w rzeźbie, architekturze, poezyi i muzyce. — Sakontala. — Str. 295.

LIST SZESNASTY.

Egipt.

Wstęp. — Natura Egiptu i historia. — Teby; groby (Hypogee) tebańskie. — Zwaliska Teb. — Memnony. — Piramidy. — Labirynt. — Usposobienie duchowe Starego Egiptu i wynikająca ztąd symboliczność jego fantazyi. — Cecha rzeźby i architektury egipskiej. — Gadka stara. — Str. 329.

LIST SIEDMNASTY.

Assyrya — Babilonia i Persya.

Wstęp. — Nemrod. — Odkrycia uczynione przez pp. Botta i Layard. — Znaczenie tych zabytków w historii sztuki. — Usposobienie umysłowe tych ludów. — Ztąd cecha ich fantazyi wyrażającej się w dziełach sztuki. — Zdaje się, że sztuka tych ludów jest ogniwem pośredniem między sztuką egipską a grecką. — Persya. — Persepolis; grób Cyrusa, groby królewskie. — Cecha téj fantazyi. — Zendawesta. — Str. 353.

LIST OŚMNASTY.

Ludy mahometańskie.

Wstęp. — Fantazyja Arabów, Persów i Turków. — Fantazyja perska jest głównym wyrazem fantazyi tych ludów. — Niektóre pieśni. — Mistycyzm wschodni przechodzi w panteizm i przybiera dwojaką formę w poezyi. — Sprzeczność zamknięta w każdym panteizmie. — Nauka Mahometa i panteizm. — Różnica panteizmu indyjskiego od panteizmu islamicznego. — Rodzące się ostateczności w duchu ludów mahometańskich. — Fantazyja czarodziejska. — Powieści Tysiąca Nocy i Jednej i ich znaczenie estetyczne. — Arabowie, ich życie, poezya i język. — Ułamek z Koranu. — Str. 371.

LIST DZIEWIĘTNASTY.

Ludy mahometańskie.

(Dokończenie.)

Powieść Jussufi Sulejka. — Fantazyja perska. — Szachname. — Dwojakie pieśni wieszczów perskich, a mające wspólne tło. — Ułamki z obu tych rodzajów. — Malarstwa, rzeźby, dramatu nie ma u tych ludów. — Cechy ich budowania. — Str. 407.

Dopisek. Rzut oka na te listy i stanowisko całego tego dziełka. — S. 407.

DIEA

JOZEF KREMER

WYDAWCA: J. KREMER, WARSZAWA

1877

WYDAWCA: J. KREMER, WARSZAWA

TOM V

LISTA KREMER

1877

WARSZAWA

WYDAWCA: J. KREMER, WARSZAWA

WYDAWCA: J. KREMER, WARSZAWA

1877